

BEAUMAN SALLY

OPOWIEŚĆ REBEKI

Rozwiązanie zagadki śmierci Rebeki w kontynuacji słynnej powieści Dauphne du Maurier.

W dwudziestą rocznicę śmierci Rebeki, niezwykle pięknej pierwszej żony Maxima de Winter, pułkownik Julyan, przyjaciel rodziny i wielki admirator Rebeki, otrzymuje tajemniczą przesyłkę. Zawiera ona czarny notatnik z widniejącymi na pierwszej stronie słowami:

"Opowieść Rebeki" oraz dwa zdjęcia. Kto jest nadawcą tej przesyłki? I dlaczego chce przypomnieć tamte bolesne sprawy?

Pułkownik Julyan nigdy nie zdołał zagłuszyć niepokoju sumienia, którego powodem było oficjalne orzeczenie przyczyny śmierci Rebeki. Czy Rebeka była manipulującą ludźmi, niemoralną femme fatale, jak utrzymywał jej mąż, czy też skrzywdzoną przez los i niezrozumianą przez bliskich ofiarą tragicznej historii, jak uważali inni? Do tej pory wszyscy poznali jedynie wersję Maxima de Winter, teraz nadszedł czas, by przemówiła Rebeka...



CZĘŚĆ I

Julyan

12 kwietnia 1951

ROZDZIAŁ 1

Ubiegłej nocy znowu przyśnił mi się powrót do Manderley. Te sny powtarzają się teraz z zastanawiającą regularnością i zaczynam się ich obawiać. Wszystkie są przerażające, mrozące krew w żyłach, a ten był najgorszy z nich, nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości.

We śnie wykrzyknąłem imię Rebeki, a zrobiłem to tak głośno, że natychmiast się obudziłem. Usiadłem sztywno wyprostowany, wbijając wzrok w ciemność, przestraszony, że jeśli wyciągnę rękę do kontaktu, tamta mała dłoń ją uchwyci. Słyszałem odgłos bosych stóp, biegnących korytarzem. Nadal tkwiłem po uszy w tym śnie i przeżywałem ten straszny moment, kiedy niewielka trumna zaczęła się poruszać. Dokąd chciałem ją przenieść? I dlaczego była taka mała?

Drzwi się otworzyły, cienki promień światła musnął ściany i w stronę mojego łóżka ruszył od progu blady, niewyraźny kształt. Z gardła wyrwał mi się tchórzliwy, jękliwy dźwięk. Wtedy uświadomiłem sobie, że domniemany duch otulony jest szlafrokiem i ma potargane włosy. Przyszło mi do głowy, że być może jest to moja córka, ale naprawdę tu była, czy widziałem ją tylko we śnie? Kiedy już się upewniłem, że istotnie mam przed sobą Ellie, serce zwolniło, a sen rozluźnił uścisk i wycofał się w mrok. Ellie ukryła swoje obawy, zachowując się jak zwykle rozsądnie i praktycznie: przyniosła ciepłe mleko i aspirynę, zapaliła gazowy piecyk, strzepnęła i poprawiła mi poduszki, i na koniec zaatakowała zsuwającą się z łóżka puchową kołdrę. Pół godziny później, gdy obydwójce odzyskaliśmy spokój i równowagę ducha, umiejętnie obarczyła winą za koszmar

senny mój upór oraz słabość do spożywanym tuż przed snem kanapek z żółtym serem.

Ta fikcyjna niestrawność miała przywrócić mi rozsądek i dostarczyć Ellie odpowiedniej wymówki do zadania mi kilku niespokojnych pytań dotyczących mojego stanu zdrowia. Czy czuję ból w okolicy serca? (Tak, czułem ból). Czy mam trudności z oddychaniem?

- Nie, do diabła, nie mam - warknąłem. - To był tylko zły sen, na miłość boską. Przestań mi matkować, Ellie, i przestań wreszcie biegać po pokoju...

- Bzdury! - rzuciła moja śliczna, wzburzona, niezamężna córka. - Dlaczego mnie nie słuchasz, tato? Ostrzegałam cię co najmniej tysiąc razy!

Co prawda, to prawda. Nigdy nie byłem dobry w słuchaniu ostrzeżeń i dobrych rad, nawet swoich własnych.

Koniec końców przyznałem, że odpowiedzialność za wszystko ponosi przekąska zjedzona o jedenastej w nocy. Zgodziłem się, że pochłonięcie na raz całotygodniowej racji cheddara (całe dziesięć deka!) było nieprzemysłane i nierozważne. W pokoju zapanowała cisza. Moje lęki zdążyły już ustąpić, ich miejsce zaś zajął dobrze znany smutek. Ellie stała w nogach łóżka, z dłońmi zaciśniętymi na mosiężnych słupkach. Łagodnie oczy utkwiała w mojej twarzy. Było po północy. Moja córka ma w sobie błogosławioną niewinność, ale nie jest głupia. Spojrzała na zegarek.

- Chodzi o Rebekę, prawda? - zapytała spokojnie. - Dziś przypada rocznica jej śmierci, a to zawsze cię porusza, tato. Po co mamy udawać?

Bo tak jest bezpieczniej, mogłem odpowiedzieć. Od śmierci Rebeki minęło dwadzieścia lat, miałem więc dwie dekady, aby poznać korzyści płynące z gry pozorów. Nie udzieliłem Ellie jednak takiej odpowiedzi, szczerze mówiąc, w ogóle się nie odezwałem. Coś -może wyraz oczu Ellie, może brak wyrzutu czy oskarżenia w jej tonie, a może po prostu fakt, że moja trzydziestoletnia córka nadal mówi do mnie „tato” - sprawiło, że moje serce nagle ścisnęło się z bólu. Odwróciłem wzrok, a kontury mebli w pokoju straciły ostrość.

Wsluchiwałem się w szum morza, który w spokojne noce, kiedy nie zagłusza go wycie wiatru, słychać w mojej sypialni bardzo wyraźnie.

Obmywało skały w niegościnniej grocie poniżej ogrodu. Był przyptyw.

- Uchył trochę okno, Ellie - poprosiłem.

Ellie, która jest subtelną osobą, zrobiła to bez zbędnych pytań i komentarzy. Spojrzała ku oblanej światłem księżycy zatoce i cyplowi po drugiej stronie, na którym znajduje się Manderley. Wielki dom rodziny de Winter, obecnie w stanie całkowitej ruiny, oddalony jest od nas w prostej linii niecałe dwa kilometry. Gdy ktoś udaje się tam łodem, odległość wydaje się duża, ponieważ nasze wąskie i kręte wiejskie dróżki wiją się wśród licznych zatoczek, które wcinają się głęboko w linię brzegową, ale łodzią dopływa się tam bardzo szybko. W latach młodości często

przebywałem tę drogę łodzią razem z Maximem de Winter. Zwykle zarzucaliśmy kotwicę w zatoce poniżej Manderley, tej samej, w której wiele lat później miała zginąć w tajemniczych okolicznościach młoda żona Maxima, Rebeka.

Wydałem cicho odgłos, ni to okrzyk, ni to jęk, który Ellie zignorowała. Nadal stała z wzrokiem utkwionym w cyplu Manderley, w skałach, po których tak łatwo go poznać, i w zasłaniających dom przed ludzkimi oczyma lasach. Wydawało mi się, że zaraz coś powie, ale milczała. Westchnęła tylko cicho, jeszcze odrobinę szerzej otworzyła okno i odwróciła się do mnie ze zrezygnowanym wyrazem twarzy. Rozsunęła zasłony, poprawiła kołdrę i z ostatnim, pełnym niepokoju i chyba żalu spojrzeniem zostawiła mnie sam na sam z przeszłością.

Wąski, jasny promień księżycowego światła wpadł do pokoju wraz z powietrzem pachnącym solą i morską świeżością. W moim umyśle obudziła się Rebeka. Ujrzałem ją znowu taką jak w czasie naszego pierwszego spotkania, kiedy nie przyszło mi nawet do głowy, jak wielką rolę odegra w moim życiu i jak wielka okaże się jej władza nad moją wyobraźnią (choć większość ludzi byłaby skłonna zaprzeczyć, że w ogóle posiadam jakąś wyobraźnię). Widziałem, jak wchodzi, raz, drugi i trzeci, bo trzykrotnie wywoływałem tę scenę z pamięci, do tego olbrzymiego mauzoleum, jakim był salon w Manderley - do pokoju, który wkrótce miała zupełnie przeobrazić, podobnie jak cały dom. Nie tyle weszła, ile wbiegła do salonu, prosto z ozłoczonego słońcem ogrodu, nieświadoma, że ktoś na nią czeka. Żoną Maxima była zaledwie od trzech miesięcy. Uj-

rzałem młodą kobietę w białej sukni, z maleńką broszką w kształcie motyla z niebieskiej emalii, przypiętą tuż nad sercem.

Obserwowałem ją z końca korytarza wspomnień. Raz po raz zatrzymywała się w klatce pamięci, tak jak uczyniła to wtedy, gdy ujrzała mnie, wychodzącego z cienia. Raz za razem spoglądałem w jej niezwykle oczy. Wielki smutek i poczucie winy podnosiły się potężną falą w moim sercu.

Odwróciłem wzrok od pasma księżycowego światła. Rebeka, podobnie jak wszyscy, którzy umierają wcześnie, zachowuje wieczną młodość, natomiast ja przetrwałem życie i zestarzałem się. Moje serce nie działa już zbyt sprawnie. Nasz doktor twierdzi, że arterie się zwężyły, czemu towarzyszą problemy z krążeniem, których nazwy nie potrafię nawet wymówić. Możliwe, że jeszcze jakiś czas, może kilka lat, serce będzie pracowało dosyć zwawo, ale niewykluczone też, że jutro lub pojutrze wysiądzie zupełnie. Krótko mówiąc, najprawdopodobniej nie pozostało mi zbyt dużo czasu i, jak ujął to nasz dobry doktor, nie powinienem „zwlekać z uporządkowaniem swoich spraw”. Myśląc o tym i wspominając swój sen, przyznałem się przed samym sobą, że przez ostatnich dwadzieścia lat przeinaczałem fakty, uzupełniałem je tworam własnej wyobraźni i, jak słusznie powiedziała Ellie, bez przerwy udawałem. Zbyt długo ukrywałem prawdę o Rebecce de Winter.

Pojąłem nagle, że coś się we mnie zmieniło. W jednej chwili postanowiłem pogodzić się ze zmarłymi. Nie ukrywam, że zrobiłem to w jak najbardziej odpowiednim czasie, niewątpliwie pod wpływem świadomości, że w każdej chwili mogę do nich dołączyć. Tak czy inaczej, zdecydowałem się zapisać po raz pierwszy, niczego nie omijając, wszystko, co wiem o Manderley, rodzinie de Winter, Rebecce oraz jej pełnym tajemnic życiu i jeszcze bardziej tajemniczej śmierci. Z powodów, które z czasem staną się oczywiste, wiem o tym wszystkim więcej niż ktokolwiek inny, wiem bardzo dużo... Podjąłem to postanowienie w tamtej chwili, w moim pokoju, który księżycowe światło uczyniło dziwnie obcym.

Była druga nad ranem. Kiedy w końcu zamknąłem oczy, przerażony, że sen może powrócić, nadal słyszałem oddech morza, choć nastał już czas przyływu i fale pospiesznie zbliżały się do plaży.

ROZDZIAŁ 2

Jestem starym żołnierzem, a przyzwyczajenia, nabyte w tej profesji, są niezwykle silne, dlatego też kiedyż coś postanowię, przystępuję do działania.

- Ellie, dziś po południu pójdziemy na spacer do lasu w Manderley - oświadczyłem przy smakowitym śniadaniu, złożonym z jaj na bekonie. - Zadzwoń do Terence'a Greya i poproszę go, żeby nam towarzyszył. Od dawna aż się pali, żeby tam powęszyć, więc na pewno nie odmówi.

W kuchni na chwilę zapadła zupełna cisza. Ellie, która kursowała tam i z powrotem między piecem kuchennym i stołem, musnęła pocałunkiem moje włosy, na co może sobie pozwolić tylko, gdy siedzę, ponieważ w postawie stojącej jestem zbyt wysoki na takie sentymentalne głupstwa.

- Świetnie dziś rano wyglądasz - powiedziała. - Jesteś bardzo przystojny. Czy to nowy krawat? Naprawdę wyglądasz lepiej, ale czy jesteś pewien, że...

- Jestem zdrowy jak koń - przerwałem zdecydowanie. - Nie zaczynaj, Ellie. Grey bardzo chce tam pójść, a ja nie mogę go zwodzić w nieskończoność. Zrobimy to dzisiaj!

- Jeżeli jesteś tego pewny... - rzekła Ellie z namysłem. Usiadła naprzeciwko mnie i zaczęła się bawić najpierw serwetką, potem listami z porannej poczty. Jej policzki okrył mocny rumieniec. - Może chciałby wpaść przedtem na lunch - ciągnęła niedbale. - Sądzę, że ty też nie miałbyś nic przeciwko temu. O, spójrz, jakaś paczka do ciebie. Niesamowite, miła odmiana po tych wszystkich rachunkach...

Czy już wtedy miałem jakieś przeczucie? Może, ponieważ zdecydowałem się nie otwierać paczki w obecności Ellie, choć przecież w jej wyglądzie nie było nic nadzwyczajnego, w każdym razie tak pomyślałem. Gruba brązowa koperta oklejona taśmą klejącą, zaadresowana do „Szanownego A.L. Julyana, sędziego pokoju, w rezydencji Sosny, Kerrith”. Było to o tyle niezwykle, że większość ludzi nadal tytułuje mnie „pułkownikiem Julyanem”, chociaż odszedłem z wojska prawie ćwierć wieku temu. Nadawca najwyraźniej dysponował przestarzałymi informacjami, bo sędzią pokoju przestałem być piętnaście lat temu. Nie rozpoznałem charakteru pisma, nie potrafiłem też określić go jako kobiecego czy męskiego, choć zazwyczaj udaje mi się to bez trudu. Kobiety nie mogą się oprzeć pewnym kaligraficznym upiększeniom, sztuczkom i kwiecistym zawijacom, którymi mężczyźni najczęściej gardzą. Przyznaję, że widok tej koperty sprawił mi przyjemność. Ostatnio otrzymuję bardzo niewiele listów, jako że większość mych dawnych przyjaciół i kolegów od dawna wacha kwiatki od spodu. Moja siostra Rose, dziekan jednego z wydziałów uniwersytetu Cambridge, pisuje od czasu do czasu, to prawda, lecz jej charakter pisma, tak typowy dla naukowca (i bardzo trudny do odczytania) jest jedyny w swoim rodzaju, no i oczywiście doskonale mi znany. Ta przesyłka z całą pewnością nie pochodziła od Rose. Zniosłem kopertę do gabinetu, zupełnie jak pies kość, a mój własny stary pies, Barker, teraz już zbyt stary i bezzębny, aby przejmować się kośćmi, pobiegł za mną. W gabinecie Barker usadowił się na dywaniku, a ja za biurkiem, twarzą do wielkiego i nieszczelnego okna z widokiem na pokryte świeżymi liśćmi drzewo, palmę, kilka przyciętych krzaków róż, mały taras i rozciągające się w dali morze.

Sięgnąłem po pióro i zacząłem spisywać listę porannych czynności. Nawyk ten, który zakorzenił się we mnie w czasie pobytu w szkole wojskowej, towarzyszy mi do dziś. Nadal codziennie tworzę tę przekłętą listę, chociaż wystawia to na próbę nawet moje możliwości twórcze. Trudno przecież, żebym pisał: „Pobłąkać się po domu”, „Uprzątnąć bałagan z biurka” albo „Poczytać »Daily Telegraph« do chwili, kiedy ogólne zidiocenie świata zaprowadzi mnie na krawędź ataku serca”. Nie mam też najmniejszej ochoty zapisywać, że moim podstawowym zajęciem będzie danego dnia drzem-

ka, bo przecież trudno uznać to za potencjalną czynność, a niestety właśnie na drzemaniu upływa mi większość czasu.

Tego dnia moja lista przedstawiała się o wiele bardziej obiecująco i zawierała, co następuje:

- 1) Śmierć Rebeki: podsumować znane fakty, określić cele.
- 2) Sporządzić listę „świadków”, związanych z Manderley i rodziną de Winter, itd.
- 3) Uporządkować wszystkie nie podane do publicznej wiadomości materiały dotyczące Rebeki oraz dokumenty ze śledztwa prowadzonego po jej śmierci.
- 4) Zadzwoić do Terence'a Greya.
- 5) Otworzyć przesyłkę. Jeżeli jej zawartość jest ważna (mało prawdopodobne), odpowiedzieć.

Mniej więcej przez dwie minuty czułem się naprawdę podekscytowany samym faktem przygotowania tej listy. Potem ogarnęła mnie dobrze znana panika. Już samo napisanie imienia Rebeki obudziło we mnie wielki niepokój, a słowo „fakty” wprawiło w dziwne przygnębienie. Zawsze gdy zastanawiam się nad krótkim życiem i okolicznościami śmierci Rebeki, trudno mi zachować zwykłą obiektywność. Faktów jest niewiele, za to plotek i pogłosek całe morze, dlatego nawet przy najlepszej woli łatwo ulec pewnym uprzedzeniom.

Z silnym postanowieniem pozbycia się ich raz na zawsze sięgnąłem po pióro, wyjąłem świeżą kartkę papieru i zacząłem pisać. W szkole sztuki pisania streszczeń uczył mnie melancholijny smutas nazwiskiem Hanbury-Smythe, absolwent dwóch wydziałów Cambridge (z pierwszą lokatą), który przez krótki czas robił karierę w Departamencie do spraw Kolonii Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Człowiek ten charakteryzował się też zdecydowaną słabością do butelki, ale nad tym nie będziemy się tu rozwodzić. Otóż Hanbury-Smythe powtarzał, że nie ma tak skomplikowanego problemu, sytuacji czy tekstu, których nie można by streścić w trzech zdaniach i że potrzeba skomponowania tak skąpego streszczenia zmusza człowieka do jasnego i precyzyjnego myślenia. Uważał, że wykonanie tego zadania pozwala nam dokładnie ujrzeć cele, które sobie stawiamy, a następnie przystąpić do działania. Mam wrażenie,

że to przekonanie utrudniło mu nieco karierę w czasie pracy dyplomatycznej na Bałkanach, ale to nieważne. Ja sam zostałem gorliwym wyznawcą metody Hanbury-Smythea i przez cały okres służby wojskowej korzystałem z niej ze sporymi sukcesami.

Teraz również postanowiłem się nią podeprzeć. W ciągu dość krótkiego czasu (niecałej godziny) udało mi się napisać takie oto podsumowanie faktów:

Tajemnica ostatnich godzin życia Rebeki

Późnym wieczorem 12 kwietnia 1931 roku, nieco po ósmej, pani de Winter, żona Maximiliana, wróciła po krótkiej wizycie w Londynie do Manderley, swojego domu w West Country. Koto dziewiątej wyszła z domu sama i pieszo udała się nad zatokę, w której przycumowany był jacht. Nigdy więcej nie widziano jej żywej.

Piętnaście miesięcy później, długo po zaprzestaniu wszelkich poszukiwań, w rezultacie niezwiązanej z jej zniknięciem akcji ratunkowej na morzu przypadkowo odnaleziono jacht pani de Winter oraz jej ciało. Dochodzenie zakotoczyło się dos'ć kontrowersyjnym werdyktem o samobójstwie. Bezpośrednim efektem energicznego i szczegółowego śledztwa, przeprowadzonego przez miejscową policję i sąd, było odkrycie, że pani de Winter cierpiała na śmiertelną chorobę i iv dniu swojego zniknięcia usłyszała tę diagnozę z ust praktykującego w Londynie lekarza. W ten sposób ujawniony został motyw jej samobójstwa, którego przedtem brakowało, i sprawa została zakończona.

Ponuro spojrzałem na zapisaną kartkę. Formułując zdania rzeczowo, chociaż często nieudolnie, i odpowiednio rozmieszczając znaki przestankowe, zawsze można nieco oszukać. Moje streszczenie było nudne i zgodne z faktami, zawierało jednak co najmniej osiem retuszujących prawdę zwrotów i jedno wprowadzające w błąd założenie. Znalazło się w nim również sześć zatajeń, przy czym wszystkie były bardzo poważne. Mogłem połączyć niektóre zdania, osiągając idealne, trzyzdaniowe streszczenie, ale nie zrobiłem tego, ponieważ niezależnie od ostatecznego efektu to, co osiągnąłem, było karykaturą prawdy. Hanbury-Smythe był osłem i pijakiem, a jego metody wydały mi się nagle całkowicie bezużyteczne. Sprawa została zakończona... Co za bzdura! Nie byłem z siebie dumny. Rebeka zasługiwała na coś znacznie lepszego.

Zdecydowany poprawić swoje dzieło, otworzyłem szufladę biurka, gdzie w teczce przechowuję wycinki prasowe dotyczące zniknięcia i śmierci Rebeki. Teczka przez te wszystkie lata stała się bardzo gruba - w historii Rebeki jest coś, czemu dziennikarze po prostu nie potrafią się oprzeć. Większość ma oczywiście obsesję na punkcie pogwałcenia sprawiedliwości. Uważają, że niektóre fakty zostały zatajone, a inne przeinaczone, i nie wahają się pokazywać palcem domniemyanych winnych tego stanu rzeczy, jak również winnego śmierci Rebeki. Chyba to Terence Grey powiedział mi niedawno, że wielka uroda Rebeki i jej popularność czynią z tej historii niezaprzeczalny przebój.

Uważnie przejrzałem wycinki. Metoda Hanbury-Smythe'a zawiodła mnie, ale może zwykli rzemieślnicy słowa udzielą mi pomocy, pomyślałem. Spragnieni sensacji i sławy pismacy oraz nasi lokalni plotkarze dbają, aby sprawa nie umarła śmiercią naturalną. Spekulacje na temat samej Rebeki i jej ostatnich chwil są ciągle żywe, zgodnie z moimi niegdysiejszymi naiwnymi oczekiwaniami. Jej zniknięcie i zgon nadal stanowią temat wielu artykułów. Większość, jak pogardliwie określił to Grey, to „prymitywne tekściki”, w których liczne powtórzenia mocno wątpliwych wiadomości mają zastąpić prawdę. Ukazały się też na ten temat co najmniej dwie książki, których autorzy byli jakoby w posiadaniu nowych i sensacyjnych informacji. Obie okazały się wytworami fantazji, utrzymanymi w niezwykle romantycznym duchu (w każdym razie taka jest moja opinia).

W rezultacie tych zabiegów „Tajemnica Manderley”, jak ją nazwano, stała się jednym z „klasycznych przykładów zbrodni” - cytuję tu niejakiego Erica Evansa, któremu kiedyś niestety udzieliłem wywiadu. W tamtych dniach, a nie należy zapominać, że było to przed drugą wojną światową, zalew kłamstw i skandalicznych plotek związanych ze sprawą Rebeki był tak wielki, że w końcu postanowiłem przerwać milczenie. Chciałem przedstawić dowody choroby Rebeki i wszystko naprostować. Dziś wiem, że popełniłem ogromny błąd, bo żaden szanujący się, szukający sensacji pismak nie jest zainteresowany „prostowaniem” szokujących historii. Wszyscy pragną wywlekać brudy, nie pisać prawdę.

Pan Evans przedstawił mi się jako doświadczony reporter, specjalista od spraw kryminalnych, człowiek, który „wyczuwa prawdę na

odległość". Napisał do mnie na papierze firmowym „Daily Telegraph” (najprawdopodobniej skradzionym, co przyszło mi do głowy znacznie później). Zauważyłem, że w liście roiło się od błędów ortograficznych i gramatycznych, lecz w swojej niezmierzonej naiwności winę za ich popełnienie przypisałem jakiejś biednej sekretarce. Jak ostatni głupiec uwierzyłem Evansowi, który bredził coś o „krucjacie prawdy”. Wiem, że byłem wtedy w marnym stanie emocjonalnym, bo całe Kerrith aż szumiało od fatalnych, bardzo przykrych plotek, co przyczyniło się do mojej rezygnacji ze stanowiska sędziego pokoju, lecz mimo wszystko powinienem był mieć więcej rozsądku. Już po dwóch minutach rozmowy z Evansem uświadomiłem sobie, że mam do czynienia z oszustem i wariatem, i natychmiast go wyprosiłem, zyskując w ten sposób nowego wroga. Poniżej przedstawiam krótki opis sceny naszego spotkania, które odbyło się tutaj, w moim gabinecie w Sosnach.

Listopadowe popołudnie, 1936 rok. Pułkownik Julyan, do niedawna sędzia pokoju okręgu Kerrith i Manderley, imponująca postać, siedzi za biurkiem. Jego żona Elizabeth, już wtedy w złym stanie zdrowia, otwiera drzwi, anonsuje gościa i oddala się. Wchodzi Eric Evans, mężczyzna po pięćdziesiątce, z przerzedzonymi włosami, Madą cerą, w okularach w szyl-kretowej oprawce, z północnoangielskim akcentem, o nieco fanatycznym wyglądzie. Ma w ręku walizkę, którą natychmiast otwiera. Wewnątrz znajduje się mnóstwo wycinków prasowych, fotografii Rebeki de Winter, wyrwanych z magazynów oraz spisanych ręcznie notatek, które Evans zamierza wykorzystać w książce o „tajemnicy Manderley”. Evans siada i wlepia wrogie spojrzenie w Barkera, młodego psa pułkownika, który warczy. Evans nie wyjmuje notatnika ani pióra, lecz od razu przystępuje do zadawania pytań.

EVANS: To było morderstwo, prawda?

PULK. J.: (po chwili milczenia): Na pewno pan wie, że werdykt sędziowski brzmiał: „Samobójstwo”.

EVANS: Mąż to zrobił. Każdy głupek by się tego domyślił.

PULK. J.: (spokojnie): Mam nadzieję, że zdaje pan sobie sprawę, iż w tym kraju zniesławienie podlega surowej karze, panie Evans.

EVANS: Kim był kochanek Rebeki? Czy de Winter przyłapał ich na gorącym uczynku?

PULK. J.: (mniej spokojnie): Twierdził pan, że pracuje pan dla „Daily Telegraph”...

EVANS: (przerywa): Decyzja sądu była zwykłą machlojką. Załatwił pan to dla swojego kumpla de Wintera. Nie pozwolę się uciszyć! To cholerny skandal! Cóż, niewątpliwie trochę przesadzam (dlaczego właściwie nie miałbym pozwolić sobie na parę zmyśleń, skoro wszyscy poza mną pozwolili sobie na więcej niż parę?), ale brzmiało to mniej więcej jak wyżej. Evans rzeczywiście nie pozwolił się uciszyć. Okazał się niestrudzony, chociaż z pewnością brakowało mu kilku klepek. W ciągu

następnych lat opublikował aż szesnaście artykułów na temat sprawy Rebeki de Winter, a także książkę zatytułowaną *Zniknięcie pięknej kobiety - rozwiązanie zagadki Manderley*, która stała się wielkim bestsellerem. Nim zginął podczas wojny, kiedy to niemiecka bomba trafiła w dom, gdzie znajdowało się jego mieszkanie (tak, Bóg naprawdę istnieje), stworzył cały przemysł obracający się wokół sprawy Manderley i dowiódł, że jest karą za moje grzechy. To on, w pojedynkę, wyrządził najwięcej trwałych szkód rodzinie de Winter. Seks i śmierć to bardzo czułe materiały wybuchowe, Evans zaś bez chwili wahania podpalił lont. Rezultat? Potężna eksplozja. Evans uczynił z Rebeki legendę, a z jej śmierci mit. W mojej teczce znajduje się jeden z jego pierwszych tekstów, opublikowany w 1937 roku, kilka miesięcy po naszym spotkaniu. W tym okresie ktoś - podejrzewam, że był to Jack Favell - naopowiadał Evansowi mnóstwo bzdur. I pomimo nieukrywanego subiektywizmu, niewyobrażalnej wulgarności, manipulacji, niczym nieuzasadnionych pomówień, ogromnych niedokładności i naprawdę kolosalnej głupoty, artykuł ten zrobił swoje, skazując Rebeke, Maxima i mnie samego na mroczną wieczność, w której dziwne postaci, tylko z grubsza podobne do nas, bez końca wykonują gesty, mające stanowić odbicie tego, co zrobiliśmy lub powiedzieliśmy. Było to niczym gra cieni, odbicie w krzywym zwierciadle, przed którym ja, jako jedyny pozostały przy życiu, wciąż stoję, gestykulując i poruszając ustami. Nie poznaję ludzi, których widzę w zniekształcającej rzeczywistość tafli, ale kogo obchodzi, co myślę...

Gdybym miał powiedzieć prawdę, byłby to wysiłek godny Herkulesa, pomyślałem, czytając pożałowania godną prozę Evansa. Sęk

w tym (muszę to przyznać), że niektóre z pytań Evansa były *rzeczywiście* logiczne. Nie brakowało mu pewnych prymitywnych zdolności, a metody, jakimi się posługiwał, czyniły tło całej sprawy o wiele jaśniejszym niż moja taktyka. *O tempora, o mores*, powiedziałem sobie. Moją sytuację trudno zrozumieć bez odwołania się do tekstu Evansa, więc zrobię to. Nie wiem, co z tego wyniknie, ale zacytuję tu cały artykuł, który dał początek wielkiej machinie, obracającej się wokół Rebeki, i który od chwili publikacji stał się obiektem marzeń wielu dziennikarzy ze skłonnościami do plagiatu.

W nocy 12 kwietnia 1931 roku wydarzyła się jedna z najbardziej intrygujących i nadal nie rozwiązanych zagadek naszych czasów. Wydarzenia, jakie miały miejsce tamtej nocy, oraz dramatyczne miesiące, które po niej nastąpiły, każą wszystkim żywo interesującym się tą historią odpowiedzieć na następujące pytanie: kim była śliczna Rebeka de Winter, sławna piękność i pani legendarnego domu w Manderley? Jest to klasyczne pytanie, które zadają sobie wszyscy zainteresowani tą sprawą. I jeszcze dwa pytania z gatunku podstawowych - jakie wydarzenia doprowadziły do dramatycznego zniknięcia Rebeki tamtego kwietniowego wieczoru i kto ponosi odpowiedzialność za jej śmierć?

W chwili tragedii Rebeka de Winter od pięciu lat była mężatką. Jej mąż, Maximilian (znany jako Maxim), wywodził się ze starego rodu, od wieków zamieszkałego w regionie West Country. Korzenie drzewa genealogicznego rodziny de Winter sięgają dziesiątego wieku. Manderley, legendarna rodowa siedziba de Winterów, ożywiona została nowym duchem dzięki energii i dobremu smakowi młodej żony Maximiliana. Często odbywały się tam przyjęcia, spotkania towarzyskie oraz bale maskowe. Zaproszenia na te okazje były marzeniem wielu osób z towarzystwa, a na liście gości nie brakowało sławnych nazwisk.

Pani de Winter, słynąca z urody, dowcipu, inteligencji, uroku i elegancji, była stałym tematem artykułów w najlepszych czasopismach. Z pasją oddawała się żeglarstwu (zdobyła wiele pucharów w miejscowych regatach), jej wiedza o ogrodnictwie była doprawdy godna pozazdroszczenia, a ogrody Manderley, ponownie zaprojektowane z jej inicjatywy, cieszyły się niezmiennym podziwem gości. Rebeka de Winter zasłużyła sobie także na wielką popularność i sympatię wśród miejscowej ludności, zwłaszcza dzierżawców swego męża, lecz część od dawien dawna mieszkających w tej konserwatywnej okolicy rodzin miała do niej zastrzeżenia. Ludzie ci uważali,

że jej sposób prowadzenia rozmowy jest zbyt bezpośredni, nie podobały im się również jej często niekonwencjonalne poglądy. Niektórzy wyrażali zdziwienie, że Maxim de Winter (o dziesięć lat starszy od Rebeki tradycjonalista, jak twierdzono) w ogóle się z nią ożenił. Utrzymywali, że Rebeka nie należała do ich sfery. Nie da się wfoyr, że jej pochodzenie owiane jest mgiełką tajemnicy. Kim byli jej rodzice? Gdzie dorastała? Przeszłość Rebeki wciąż pozostaje zagadką.

Mimo różnicy wieku, zapewne pochodzenia oraz zainteresowań, małżeństwo de Winterów wydawało się udane. Aie po zniknięciu pani de Winter w okolicy zaszumiało od plotek. Wiele osób utrzymuje, że ziarno tragedii zasiane zostało dawno temu. Plotki i pogłoski mnożyły się, prawda natomiast zaczęła wychodzić na jaw dopiero rok później, w wyniku serii wstrząsających, przerażających wydarzeń. Wybuchł skandal, nie ulega jednak wątpliwości, że wiele faktów związanych z wydarzeniami, do jakich doszło 12 kwietnia 1931 roku, pozostaje nadal w ukryciu. Intryga, która doprowadziła do tragedii, została skutecznie zatajona, a Manderley do dziś chroni tajemnice rodziny de Winter...

Przyjrzyjmy się wydarzeniom z 12 kwietnia i wątpliwościom, jakie budzą. Tamtego wieczoru pani de Winter wróciła z krótkiej wizyty w Londynie, której celu nigdy wyczerpująco nie wyjaśniono. Czy udała się tam na spotkanie z kochankiem, jak utrzymują niektórzy? Dlaczego, skoro miała mieszkanie w Londynie, gdzie często zatrzymywała się na noc, zdecydowała się na odbycie tak męczącej i długiej podróży - sześć godzin w jedną stronę, sześć godzin w drugą - w ciągu jednego dnia? Dlaczego natychmiast po powrocie do domu, koło dziewiątej wieczorem, będąc w stanie głębokiego wzburzenia, co zauważyło kilka pokojówek, wyruszyła pieszo w kierunku plaży rozciągającej się poniżej domu? Czy miała się z kimś spotkać w domku na molo, gdzie często przebywała (krążyły plotki, że domek był miejscem jej sekretnych schadzek z kochankami), czy też zamierzała, jak utrzymywali w czasie śledztwa jej mąż, wypłynąć na morze - w nocy, zupełnie samotnie?

Niezależnie od tego, jak brzmią odpowiedzi na te pytania, jednego faktu nie sposób podważyć: Rebeka de Winter, piękna trzydziestoletnia kobieta, nie wróciła z fatalnej wyprawy, a jej jacht, przerobiony bretoński kuter rybacki o zastanawiającej nazwie „Je Reviens” (Wróćę) odnaleziony został dopiero po piętnastu miesiącach. Kiedy wydobyto go z dna zatoki poniżej Manderley, gdzie przeleżał ponad rok, dokonano dwóch przerażających odkryć. Jacht został celowo zatopiony, a w kabinie znajdowało się ciało kobie-

ty w stanie zaawansowanego rozkładu. Prawdziwej przyczyny śmierci nie udało się ustalić i w obliczu braku dowodów przyjęto, że było nią utonięcie. Zdumiewające jest to, że po przeniesieniu zwłok na brzeg zostały one natychmiast zidentyfikowane. Wszyscy obecni nie mieli wątpliwości, kim była topielica, która na serdecznym palcu prawej dłoni nadal nosiła, podobnie jak za życia, obrączkę i pierścionek...

Tak więc w końcu odnaleziono Rebeke de Winter. To, co nastąpiło, stanowiło dalszy ciąg tragedii i parodię sprawiedliwości. Pospiesznie przeprowadzono dochodzenie i ława przysięgłych, złożona głównie z dzierżawców Maxima de Winter, którzy chętnie oddaliby niejedną przysługę mężowi zmarłej, orzekła, że Rebeka popełniła samobójstwo. Koroner, człowiek w starszym wieku, bardzo łagodnie obszedł się z czterdziestodwuletnim Maximilianem de Winter, gdy ten zajął miejsce dla świadków. Ówczesny sędzia pokoju tego okręgu, pułkownik A.L. Julyan, stary przyjaciel męża Rebeki, a według wielu miejscowych „snob, który uwielbia towarzystwo ludzi z tak zwanych dobrych rodzin”, zrezygnował z możliwości dalszego prowadzenia śledztwa. Oświadczył wtedy (i opinię tę podtrzymuje do dziś), że sprawa została zakończona.

Rozważmy jednak siedem wymienionych niżej faktów, z których każdy powinien stać się motywacją do dalszego dochodzenia, biorąc pod uwagę niezwykle naturę tego „samobójstwa”:

1) Niedługo po zniknięciu żony pan de Winter zidentyfikował ciało kobiety, wyrzucone na brzeg dużo dalej, utrzymując, że jest to Rebeka. Identyfikacji tej, która później miała okazać się „mylna”, dokonał sam.

2) Niecały rok po śmierci żony pan de Winter po raz drugi wstąpił w związek małżeński. Jego druga żona, którą poznał w czasie eskapady do Monte Carlo, była dwa razy młodsza od niego.

3) Poczynania de Wintera w noc śmierci Rebeki wydają się dosyć niejasne. Kolację zjadł w towarzystwie zamieszkałego w pobliżu zarządcy swego majątku, pana Franka Crawleya, można jednak powiedzieć, że zabrakło mu alibi na najważniejsze godziny - od dziesiątej wieczorem.

4) W okolicy Kerrith krążyły uparte plotki, że bezdzietne małżeństwo de Wintera z Rebeką należało do burzliwych.

5) Państwo de Winter mieli w Manderley osobne sypialnie, pani de Winter zaś często spędzała noce albo w swoim londyńskim mieszkaniu,

albo w domku na plaży. Jej mąż sprawiał wrażenie pogodzonego z tą sytuacją.

6) 12 kwietnia gospodyni pani de Winter, darząca ją szczerym uczuciem pani Danvers, która pełniła także funkcję jej osobistej pokojówki, miała wolny wieczór, co należało do rzadkości. Kto z domowników wiedział, że pani Danvers, osoba, która pierwsza podniosła alarm następnego ranka, będzie wtedy nieobecna? Czy nieobecność pani Danvers wyjaśnia, dlaczego właśnie tamtego wieczoru pani de Winter zniknęła na zawsze?

7) Po południu 12 kwietnia pani de Winter złożyła wizytę praktykującemu w Londynie ginekologowi, doktorowi Bakerowi, w jego gabinecie w Bloomsbury. Była to jej druga wizyta u tego lekarza. Co zaszło podczas pierwszej? (Doktor Baker, który zdiagnozował u pani de Winter zaawansowany, nieoperacyjny nowotwór złośliwy, „uryprowadził się na stałe za granicę”.)

Te pytania oraz wiele innych pozostają po dziś dzień bez odpowiedzi. Rebeka de Winter nie „spoczęła w pokoju”, a przynajmniej tak twierdzą miejscowi. Po zakończeniu dochodzenia została pochowana w krypcie rodu de Winter, obok przodków swojego męża. Parę godzin po tym pospiesznym, utrzymywanym w tajemnicy pogrzebie, Manderley spłonęło. Wypadek? A może dzieło groźnych, złowrogich mocy? Czy Rebeka, ofiara niesprawiedliwości, najwyraźniej nie oplakiwana przez męża, powstała z martwych, aby się zemścić? Czy podniosła się z grobu, podobnie jak podniosła się z dna morza? Przypomnijcie sobie nazwę jachtu - „Je Reviens”...

Pragnąc znaleźć odpowiedź na dręczące mnie pytania, w zeszłym miesiącu wybrałem się do Kerrith, niewielkiego miasteczka tuż obok Manderley. W miejscach publicznych i w skromnych domkach tej pełnej uroku miejscowości napotkałem wiele osób, które darzyły Rebeke de Winter miłością i szacunkiem. Wszyscy ci ludzie, oburzeni niedawnymi wydarzeniami, rozmawiali ze mną chętnie i otwarcie.

W ciągu jednego dnia, uzbrojony w nowe i sensacyjne dowody, zyskałem całkowitą pewność istnienia spisku, którego celem było zatarcie prawdy o śmierci Rebeki de Winter. Stojąc na smaganym wiatrami cyplu u stóp ruin Manderley, patrzyłem na ciemne morze, które pochłonęło Rebeke i jej jacht, i nie miałem cienia wątpliwości, że pani de Winter nie zginęła śmiercią samobójczą. Wiedziałem, kto ją zamordował i jaką metodą się posłużył. Pozostało tylko jedno pytanie: dlaczego Rebeka została zabita? Czyżby od-

powieź na nie kryła się w jej tajemniczej przeszłości? Odwróciwszy się plecami do nawiedzanych przez duchy ruin Manderley, postanowiłem wyruszyć na poszukiwanie prawdy o jej pochodzeniu...

Z radością oświadczam, że Evans nie zdążył zakończyć tego poszukiwania. Dopadła go bomba, lecz w tym czasie szkoda została już oczywiście wyrządzona.

Oparłem głowę na rękach. W krzywym zwierciadle, przed którym mnie postawiono, nadal gestykują dwa duchy i jeden błazen. Moje serce znowu bije szybciej i niezbyt miarowo. Poczułem się zdecydowanie gorzej.

ROZDZIAŁ 3

Zamknąłem teczkę z wycinkami prasowymi i utkwilem wzrok w żalonym drzewku za oknem. Barker ruszał nogami przez sen, a przed moimi oczami znowu pojawiły się sceny z mego własnego snu, niczym obrzydliwe opary z bagniska podświadomości. Znowu ujrzałem siebie, uwięzionego za kierownicą tego złowrogiego czarnego samochodu, który wydawał się jechać, skręcać, przyspieszać i zwalniać bez mojego udziału. Znowu jechałem tą niekończącą się drogą, prowadzącą do Manderley. Dokoła szalała zamieć, a kiedy nacisnąłem hamulec, okazało się, że nie działa. Obok mnie, położona na miejscu pasażera, zaczęła się poruszać mała trumna.

Wstałem z fotela, kilka razy przeszedłem się po pokoju i przejrzałem parę książek (ściany gabinetu są obudowane półkami z książkami). Usiłowałem wyrzucić ten sen ze swego umysłu i pamięci. Rano usiadłem przy biurku pełen energii, skupiony, lecz teraz znowu czułem się stary, znużony i słaby, oślepiiony gradem kłamstw, które narodziły się dwadzieścia lat temu.

Eric Evans mógł się przechwalać, że odkrył „nowe i sensacyjne dowody”, ale do czego się to wszystko sprowadzało? Otóż do niczego. Podobnie jak łowcy sensacji, którzy przyszli po nim, Evans rozgrzebał tylko śmietnisko plotek w Kerrith. Ludzie, którzy kiedyś pracowali w Manderley lub byli z tym miejscem w jakikolwiek sposób związani, rzucili mu kilka nieświeżych, cuchnących kości. Tak czy inaczej, Evans i jego następcy nigdy nie odkryli żadnych prawdziwych dowodów, świadczących o tym, co stało się z Rebeką w ostatnią noc jej życia. Nie dowiedzieli się też niczego ojej przeszłości. Nawet Terence Grey, historyk, nie dziennikarz, niemniej

niezwykle bystry obserwator i badacz faktów, nie zaszedł zbyt daleko, jak mi wiadomo. Wcale mnie to nie dziwi. Byłem przyjacielem Rebeki i lepiej niż ktokolwiek inny wiem, jak doskonale umiała zacierać ślady i jak bardzo nie lubiła zwierzeń.

Czy ja sam podjąłbym się wyznaczonego sobie zadania, gdyby nie wpływ Terence'a Greya, dziwnego młodego człowieka, który niedawno przybył do Kerrith i z niewyjaśnionych powodów żywo zainteresował się życiem oraz tajemniczymi okolicznościami śmierci Rebeki? Prawdopodobnie nie. Odkąd Grey zjawiał się w okolicy i zaczął zadawać pytania, moje sny stały się dużo bardziej dramatyczne. Przynależało mi się przysunąć telefon. Nadszedł czas, aby pomówić z Greyem i zaproponować mu popołudniową wyprawę do Manderley - wizytę od dawna odkładaną, którą traktowałem jako swoisty egzamin. Jak zareaguje Grey, gdy wreszcie zobaczy dom, który tak bardzo pragnął ujrzeć? I skąd ta jego obsesja na punkcie Manderley?

Podniosłem słuchawkę i znowu ją odłożyłem. Była dopiero dziesiąta. Oboje z Ellie wstajemy wcześniej i wcześniej jemy śniadanie. Zaproszenie może jeszcze poczekać, pomyślałem. Pan Grey jest fascynującym, choć trochę przerażającym człowiekiem. Młody, energiczny, o cechach charakteru, które nieco mnie niepokoją (niepokoi mnie także przyczyna jego zainteresowania Manderley, która pozostaje niejasna). Byłem prawie gotów przyznać, że Grey mógłby okazać się dla mnie użyteczny, ale musiałem spokojnie zastanowić się nad paroma kwestiami, zanim odbędę z nim rozmowę. Wziąłem do ręki przesyłkę, która nadeszła tego ranka, zważyłem ją w dłoni, zdecydowałem, że otworzę ją później i skoncentrowałem uwagę na drugim wyznaczonym sobie zadaniu - na liście „świadków”.

W przeciwieństwie do pismaków i pana Greya, powiedziałem sobie, wcale nie potrzebuję świadectwa innych, aby napisać prawdę o Rebecce. Byłem jej przyjacielem, być może nawet najbliższym przyjacielem, w każdym razie tak sobie pochlebiałem, i znałem Maxima przez większą część mego życia. Manderley po raz pierwszy odwiedziłem jako mały chłopiec, więc rodzina de Winter nie stanowiła dla mnie zagadki. Jestem, jak mówi Grey, źródłem prawdziwych informacji, od chwili śmierci Maxima jedynym takim źródłem. Tak czy inaczej, rozmawiając z Greyem, uświadomiłem sobie, że w mojej wiedzy istnieje parę luk - nie dotyczą one spraw

szcze-

golnie ważnych, ale ich istnienie budzi we mnie irytację. Zawsze lubiłem beletrystykę kryminalną, Sherlocka Holmesa, Herkulesa Poirot i innych, uznałem więc, że nie zaszkodzi, jeśli trochę pobawię się w detektywa. A więc do rzeczy - moja lista świadków. Kto mógłby wiedzieć coś, czego ja nie wiem?

Skup się, skup się, powtarzałem sobie. Musisz myśleć trzeźwo i analitycznie. Dzięki samodyscyplinie i wojskowemu wykszoleniu nigdy nie byłem roztargniony, lecz ostatnio zaobserwowałem u siebie pewną skłonność do rozpraszenia uwagi. Niewątpliwie przynajmniej w części winę za to zjawisko ponosi mój wiek - skończyłem przecież siedemdziesiąt dwa lata. Zauważyłem też, że tendencja ta wzrasta, kiedy czuję się przygnębiony/zirytowany/niepewny/poruszony. Możecie wybrać, co wam się podoba. Natychmiast przywołałem się do porządku i z prędkością światła sporządziłem następującą listę:

- 1) Rebeka
- 2) Maxim de Winter
- 3) Beatrice (jego siostra)
- 4) Starsza pani de Winter (babka Maxima, która go wychowała)
- 5) Pani Danvers (za czasów Rebeki gospodyni w Manderley)
- 6) Jack Favell (kłopotliwy kuzyn Rebeki, nic dobrego, jedyny znany mi członek jej rodziny)
- 7) Dawna służba (pokojówki i lokaje z Manderley - wiele tych osób nadal mieszka w okolicy)
- 8) Frith (były główny lokaj, który służył w Manderley od niepamiętnych lat)

Nie była to długa lista. Fakt, że pierwsze cztery osoby opuściły już ten świat, mogłyby zniechęcić niektórych ludzi, ale nie mnie. Ja byłem w posiadaniu listów, które otrzymywałem od nich w ciągu długich lat, oraz moich wspomnień. W ten sposób zmarli mogą przemówić.

Niezależnie od wszystkiego, sam fakt napisania ich imion mocno mnie poruszył. Beatrice, która zmarła pod koniec ostatniej wojny, znałem od dziecka, młodszego ode mnie o osiem lat Maxima od dnia jego narodzin. Ich budzącą postrach w ludziach babkę żywo

pamiętałem z okresu dzieciństwa i lat chłopięcych. Starsza pani de Winter żyła jeszcze, kiedy Maxim ożenił się z Rebeką, którą uwielbiała. Podejrzewam nawet, że jeżeli komuś dane było poznać liczne sekrety Rebeki, to właśnie jej. Często myślałem sobie, że babka Maxima wie o jego zonie więcej niż on sam, ale oczywiście mogłem się mylić.

W kątach pokoju poruszyły się duchy. To, że napisałem ich imiona, obudziło je. Barker podniósł posiwiałą głowę, sierść zjeżyła mu się na karku, opadła i znowu się zjeżyła. Zmierzył mnie przejmującym, pełnym miłości spojrzeniem. Obaj myśleliśmy o moim przyjacielu Maximie, nieżyjącym od pięciu lat, który zginął w wypadku samochodowym przy wjeździe na teren Manderley od strony Four Tourmngs. Nie miałem wątpliwości, że Maxim sam spowodował tę katastrofę. Kilka miesięcy wcześniej skończył się okres jego wygnania i Maxim wrócił z zagranicy wraz z tą swoją drugą żoną, aby już na stałe zamieszkać w Anglii.

Wiem, co znaczy być prześladowanym przez furie, i zawsze byłem pewny, że ze swym zwykłym uporem nie dały one Maximowi chwili spokoju od opuszczenia Manderley. Jestem o tym głęboko przekonany, mimo że po wyjeździe za granicę Maxim przestał się ze mną kontaktować i nigdy nie odpowiadał na moje listy. Nie zostałem zaproszony na jego pogrzeb. Bardzo mnie to wtedy zabolalo i nadal boli. Byłem lojalny wobec mojego starego przyjaciela, może nawet zbyt lojalny.

Druga żona, „smutny mały duch”, jak nazwały ją moje przyjaciółki, siostry Briggs, rozrzuciła jego prochy w zatoce poniżej Manderley, w każdym razie tak mi powiedziano. Czyżby myśl, że Maxim mógłby spocząć w krypcie de Winterów obok Rebeki, wydała jej się me do zniesienia? Nie zdziwiłoby mnie to. Zaborcze kobiety pozostają zaborcze nawet po śmierci. Podobno teraz druga pani de Winter przeniosła się do Kanady. Chwilę się zastanawiałem, czy me umieścić jej na swojej liście, lecz zaraz odrzuciłem ten pomysł.

Spotkałem ją zaledwie kilka razy i zawsze wydawała mi się dziwnie nieokreślona, pozbawiona wyraźnych, zdecydowanych cech. Szczerze mówiąc, nie podobała mi się, chociaż może to mój podziw dla Rebeki sprawił, że natychmiast uprzedziłem się do drugiej żony Maxima. To prawda, że druga pani de Winter może wiedzieć o śmierci Rebeki więcej niż ktokolwiek inny, ponieważ Maxim

z całą pewnością uczynił ją swoją powiernicą, ale czy zgodziłaby się powiedzieć mi, co wie? Nigdy w życiu, pomyślałem. Tak czy inaczej, nie miałem żadnej możliwości, aby dowiedzieć się, gdzie przebywa. Moje przyjaciółki, stare panny Elinor i Jocelyn Briggs, twierdzą, że nikt z naszej okolicy nie utrzymuje z nią kontaktów. Podobno zabarykadowała się w swoim domu w Toronto (a może w Montrealu?) i nikt nie zna jej adresu.

Jeszcze raz przebiegłem wzrokiem listę. Nie pozostało na niej wiele nazwisk. Jak zauważył Terence Grey, w tej sprawie występuje zdecydowana „posucha” na świadków. Doszedłem do wniosku, że równie dobrze mogę wyeliminować jeszcze kilka osób. Nie zamierzałem rozmawiać z przedpotopowym Frithem, niegdyś lokajem, służącym i pucybutem z Manderley. Przyznaję, że za mojej pamięci Frith był przykładnym lokajem, ale lubił też wsadzać nos w nie swoje sprawy i często napotykałem jego paskudne, wszechwiedzące spojrzenie. Teraz Frith przebywa w lokalnym domu dla starców i jest prawie zupełnie dzieciniały. Dlaczego więc w ogóle umieściłem go na liście? Prawdopodobnie dlatego, że Terence Grey wydaje się nim interesować. Cóż, Grey nie zawsze musi się wykazywać głęboką mądrością. Grubą krechę przekreśliłem nazwisko Fritha. Kto jeszcze?

Za czasów Rebeki, w okresie wielkiej chwały Manderley, kiedy dom w każdy weekend pełen był sławnych gości, pracował tam cały legion służących, których większość była oczywiście niewidzialna, jako że dobrze wyszkolona służba powinna być niewidzialna, głucha i niema. Sporo z tych ludzi nadal żyje i mieszka w okręgu Kerrith. W przeciwieństwie do podłego Evansa i jego uczniów, którzy odnajdywali pokojówki z Manderley i gorliwie zadawali im pytania na temat sypialni państwa domu i tak dalej, w myśli od razu wykreśliłem cały żeński personel. Prawie wszystkie te kobiety to pustogłowe plotkarki, które nigdy nic nie wiedziały (co naturalnie nie przeszkodziło im wymyślać całe tony „faktów” na potrzeby pismaków i bredzić o prześcieradłach, krzykach, kłótniach i wzajemnych wyrzutach). Nie mogłem jednak wykluczyć, że niektórzy służący, na przykład Robert Lane, posiadają wiedzę, która mogłaby wniesić coś nowego do sprawy.

Od czasu do czasu wpadam na Roberta, co w tak małej miejscowości jest zupełnie normalne. Zawsze mi się wydawało, że to dość

miły facet i nadal jestem tego zdania. Kiedyś był młodszym lokajem w Manderley. Lokajem! Mój Boże, jakże dziwnie brzmi to dzisiaj! Siostry Briggs, moje nieocenione lokalne informatorki, mówiły mi, że po wojnie Robert ożenił się i teraz ma czworo dzieci. Pokrywa włosy grubą warstwą brylantyny i pracuje jako barman w nie rzucającym się w oczy hotelu w Tregarron, pełnej sklepików z pamiątkami i marnych kawiarni pułapce na turystów mniej więcej sześć kilometrów stąd.

Robert, który kiedyś słyszał w Kerrith ze słabości do rudych dziewcząt, cieszy się opinią gadatliwego. Może to i prawda, nigdy jednak nie zrobił na mnie wrażenia bystrego obserwatora. Nie przypadł mi też do gustu pomysł zadawania mu pytań przy barze. Pachniało to czymś niewymownie wulgarnym - jakże mógłbym wypytywać o Rebekę człowieka, który kiedyś podawał mi whisky z wodą sodową? Nie do pomyślenia! Kto jeszcze, kto jeszcze? Moja hsta kurczyła się z minuty na minutę. Z pewną niechęcią zacząłem zastanawiać się nad następną kandydatką - panią Danvers. Dziwna kobieta, ta Danvers.

Nie mogłem pominąć jej kandydatury chociażby dlatego, że przez cały czas pobytu Rebeki w Manderley pełniła tam funkcję gospodyni i zarządzała całym domem. Zawsze powtarzała, że jest bliższa Rebecce niż ktokolwiek inny, ale w to akurat nie bardzo wierzyłem (jeżeli Rebeka rzeczywiście była z kimś blisko, to tym kimś na pewno nie była pani Danvers). Niewątpliwie Danvers знаła Rebekę jako dziecko, lecz ponieważ ani ona, ani Rebeka nigdy nie mówiły o tym, gdzie, kiedy i w jakich okolicznościach znajomość ta została zawarta i w jaki sposób przetrwała, ta informacja nie mogła być przydatna. Danvers była histeryczką, co zauważyłem już przy pierwszym spotkaniu z tą damą (w wojsku nauczyłem się sztuki skutecznej obserwacji), a także fantastką, a więc jako „świadek” jest bezużyteczna, lecz podstawową trudność stanowi fakt, że nie mam pojęcia, gdzie jej szukać. Wyjechała stąd w noc wielkiego pożaru w Manderley i od tamtej pory nikt jej nie widział i o niej nie słyszał. Może nadal przebywa w krainie żywych (tak uważa Terence Grey), lecz moim zdaniem jest bardziej prawdopodobne, że ona także wacha kwiatki od spodu.

Teraz został mi już tylko jeden oczywisty kandydat - Jack Favell, kuzyn Rebeki i czarna owca jej rodziny, a poza tym bardzo, bardzo

nieciekawy człowiek. Favell był podłym tchórzem i hulaką. Wyrzucono go z Królewskiej Marynarki (nie jestem w stanie zrozumieć, jak się tam w ogóle dostał) i kiedy zaczął pojawiać się na przyjęciach w Manderley (nie sądzę, aby ktoś go tam zapraszał), robił już karierę jako profesjonalny wyłudzaczy pieniędzy. W czasie służby w wojsku spotkałem zbyt wielu ludzi typu Favella, by natychmiast nie zorientować się, z kim mam do czynienia. Poznałem go przy pierwszej czy drugiej okazji, gdy jako nieproszony gość przybył na jedno z przyjęć, chyba w 1928, jakieś dwa i pół roku po ślubie Rebeki i Maxima, i znienawidziłem go w chwili, kiedy uścisnęliśmy sobie dłonie. Okazało się, że ścisnąłem wtedy dłoń swojego przeznaczenia, ale oczywiście nie mogłem tego wiedzieć.

Zawsze podejrzewałem, że Favell miał w rękawie jakiegoś asa, którym mógł szantażować Rebeke, coś, co miało związek z jej dzieciństwem lub wczesną młodością. Poza panią Danvers, która nieodmiennie trzymała buzię zamkniętą na kłódkę, Favell był jedyną znaną mi osobą, naprawdę jedyną, która знаła młodzieńką Rebeke, chociaż w mojej obecności nigdy ani słowem nie wspomniał o jej przeszłości. Antypatia, jaką do niego poczułem, była w pełni odwzajemniona i rozmawialiśmy ze sobą bardzo rzadko. Po śmierci Rebeki zamieniliśmy najwyżej dwa, trzy zdania. Nie byłem zresztą jedyną osobą, która żywiła tego rodzaju uczucia pod adresem Favella - Rebeka nigdy nie sprawiała wrażenia zachwyconej obecnością kuzyna (choć niektórzy dziennikarze sugerowali coś całkowicie przeciwnego). Maxim również znienawidził go od pierwszego wejrzenia i bynajmniej nie starał się tego ukryć. On i Favell nie mieli ze sobą nic wspólnego. Maxim, podobnie jak ja, kierował się pewnymi życiowymi zasadami, natomiast Favell gadał, co mu ślina na język przyniosła, dużo pił, przeklinał i odnosił się do kobiet bez cienia szacunku. Było oczywiste, że nigdy nie będzie mile widzianym gościem w Manderley, chociaż podejrzewałem, że przyczyna konfliktu między nim i Maximem tkwi głębiej.

Czy Maxim był zazdrosny o Favella? Moja żona nie miała najmniejszych wątpliwości, że tak właśnie było. Być może kobiety szybciej i łatwiej niż mężczyźni wyczuwają tego rodzaju problemy. Ja sam nie należę do zazdrosnych mężczyzn. Instynkt podpowiadał mi, że Favell, który uwielbiał wywoływać zamieszanie, zdradził Maximowi jakieś sekretne historie z przeszłości Rebeki i w ten spo-

sób doprowadził do rozmaitych napięć pomiędzy małżonkami. Wydaje mi się, że zdarzyło się to mniej więcej rok przed śmiercią Rebeki. W tym okresie atmosfera w Manderley była rzeczywiście nie najlepsza i nawet godne podziwu aktorskie zdolności Rebeki nie pomogły zatrzeć tego wrażenia. Z moich doświadczeń wynika, że napięcie między małżonkami daje się wyczuć nawet z dużej odległości.

Wiem, że po jednym z pijackich epizodów Maxim zakazał Favellowi wstępu na teren Manderley, lecz ten drań nadal usiłował wejść oknem tam, skąd wyrzucono go drzwiami. Chyba nawet powiedziałem Rebecce, co myślę na jego temat. Podejrzywałem, że Favell skłonił ją do udzielenia mu pożyczki i uważałem, iż ktoś powinien ją ostrzec, a ponieważ wszystko, co miało jakikolwiek związek z Favellem, doprowadzało mnie do stanu wrzenia, niewykluczone, że wyraziłem swoją opinię w dość zdecydowanych słowach. Rebeka się uśmiechnęła. Podejrzewam, że mój „opiekuńczy instynkt” zawsze ją bawił. Odpowiedziała, że ma pełną świadomość, jakim człowiekiem jest jej kuzyn i dodała w typowy dla siebie enigmatyczny sposób (Rebeka potrafiła być i zagadkowa jak sfinks, i figlarna jak wiewiórka), iż mimo wszystkich swoich wad Favell jest „dokładny”. Gdzież u niego ta dokładność, pomyślałem wtedy. Muszę jednak przyznać, że po jej śmierci zacząłem rozumieć, co mogła mieć na myśli.

Wspomnienia o Favellu wprowadziły mnie w stan irytacji i podniecenia. Ostatnio cierpię na dziwną skłonność do ekscytacji, a że mój doktor pesymista ostrzega, iż zdenerwowanie mi szkodzi, znowu wstałem i przeszedłem się po pokoju. Krok w krok za mną chodziły duchy, które teraz na dobre zadomowiły się w kątach. Barker po-warkiwał na nie, ja zaś usiłowałem je bezskutecznie ignorować. Wróciłem do biurka i zobaczyłem, że drżą mi dłonie. Jeszcze raz przyjrzałem się liście „świadków”.

Cofnąłem się myślami do dnia, kiedy ostatni raz widziałem Fa-vella. Było to w dzień po ogłoszeniu w lokalnym sądzie wyroku w sprawie przyczyny śmierci Rebeki. Favell był niezadowolony z werdyktu o samobójstwie i, szczerze mówiąc, ja również nie byłem nim usatysfakcjonowany. Uważałem, że taki wyrok jest zupeł-

nie nonsensowny - nie udało się przecież odkryć choćby cienia motywu, Rebeka nie zostawiła żadnego listu, a ja po prostu nie mogłem uwierzyć, że odebrała sobie życie. Dlatego wystąpiłem z propozycją, abyśmy zrobili coś, co wydawało się oczywiste - chciałem, żebyśmy dokładnie ustalili, co robiła Rebeka w ostatnim dniu swego życia. Koroner mógłby sam wpaść na ten pomysł, ale jakoś nie wpadł.

Przejrzeliśmy notes Rebeki, który na szczęście zatrzymała pani Danvers, i właśnie w ten sposób odkryliśmy, że Rebeka w tajemnicy przed wszystkimi umówiła się na wizytę w gabinecie londyńskiego specjalisty chorób kobiecych, na godzinę drugą w dniu swojej śmierci. Zanotowała datę wizyty w dziwny, na wpół zakodowany sposób, który od razu obudził we mnie poważne podejrzenia. Ten lekarz był więc jednym z ostatnich ludzi, którzy widzieli Rebeke żywą. Dlaczego potrzebowała jego porady, dlaczego nie wystarczy! jej miejscowy lekarz? Czego się wtedy dowiedziała?

Następnego dnia pojechałem do Londynu, aby przeprowadzić rozmowę z ginekologiem. Towarzyszyli mi Maxim, jego druga żona oraz Jack Favell, który uparł się, że musi być obecny przy tej rozmowie (sądzę zresztą, że jako kuzyn Rebeki miał do tego prawo). Favell utrzymywał już wtedy, że z Rebeką łączyło go coś więcej niż więzy krwi i robił rozmaite wulgarne i godne najwyższej pogardy aluzje na temat ich wzajemnych stosunków. Favell był nałogowym kłamcą, więc nie przywiązywałem wielkiego znaczenia do jego słów, zdawałem sobie jednak sprawę, że gdyby te sugestie znalazły potwierdzenie, oznaczałoby to, iż Maxim miał motyw do popełnienia morderstwa.

Rozmowa z doktorem Bakerem odbyła się u niego w domu, nie w gabinecie. Pamiętam, że był to zwyczajny, przyjemny dom gdzieś w północnej części Londynu. Kiedy pożegnaliśmy się z lekarzem, wyszliśmy na zieloną podmiejską uliczkę. Jakiś nieszczęsny żołnierz pierwszej wojny grał na organkach *Róże Pikardii*, melodię, która do dziś wywołuje we mnie uczucie głębokiego przygnębienia. Byłem w stanie szoku. Chwilę wcześniej dowiedzieliśmy się, że Rebeka dwukrotnie odwiedziła gabinet doktora Bakera - za pierwszym razem, tydzień przed śmiercią, zrobiono jej prześwietlenie i kilka innych badań, za drugim lekarz poinformował ją o wynikach. Musiał powiedzieć, że stwierdzono raka macicy, nieoperacyjny, zło-

śliwy nowotwór. Czeka! ją okres systematycznie pogarszającego się samopoczucia i nasilających się bólów. Miała przed sobą najwyżej cztery miesiące życia.

Byłem wstrząśnięty, spodziewałem się czegoś zupełnie innego. Stojąc przed domem Bakera, starałem się nie zdradzić wielkiego żalu, jaki mnie ogarnął, wychowano mnie w przekonaniu, że mężczyźni powinni kontrolować i ukrywać swoje emocje, przerażała mnie myśl, że mógłbym się rozplakać.

Czy Rebeka podejrzewała, że była chora? A może diagnoza Bakera okazała się dla niej całkowitym zaskoczeniem? Serce ścisnęło mi się z bólu na myśl o tym, że ukrywała wiedzę o chorobie, cierpiała w samotności. W pierwszej chwili czułem się zbyt otepiały z żalu, aby ogarnąć myślą coś więcej. Dopiero po paru minutach dotarło to do mnie w całej pełni - implikacje tej informacji były bardzo znaczące. Poznaliśmy przyczynę ewentualnego samobójstwa Rebeki i teraz zyskaliśmy nieomal pewność, że wyrok sądu nigdy nie zostanie podważony, a policja nie znajdzie podstaw do wznowienia śledztwa, niezależnie od tego, jakie oskarżenia spróbuje rzucać Favell czy ktokolwiek inny. Maxim de Winter był czysty i wolny od wszelkich zarzutów. Odwróciłem się i spojrzałem na przyjaciela. Jego słodka mała żonka trzymała go za rękę. Ku mojemu przerażeniu i niesmakowi ujrzałem, jak przez jego twarz przemknął wyraz ulgi.

Właśnie wtedy zyskałem absolutną pewność. Staram się zapisywać tu całą prawdę, więc przyznam, że już wcześniej, dwukrotnie, miałem wątpliwości co do niewinności Maxima. Po raz pierwszy obudziły się one w moim sercu w chwili, gdy pochylił się nad zwłokami biednej Rebeki, aby dokonać formalnej identyfikacji. Uważnie obserwowałem jego twarz i widziałem, co się z nim działo. Drugi raz poczułem to samo podczas tego karykaturalnego pogrzebu, który zorganizował, kiedy to jako jedyni żałobnicy staliśmy ramię w ramię w krypcie rodziny de Winter.

Nigdy nie rozmawiałem z nikim o pogrzebie Rebeki, nawet z Elbe, nawet z moją zmarłą żoną, a jednak nie mogę o nim zapomnieć i to wspomnienie często wraca do mnie we śnie. Trudno tu zresztą mówić o pogrzebie, bo był to raczej pochówek, pozbycie się zwłok, pospieszne, niegodne i wstydlive. W tym względzie Evans nie przesadził ani odrobinę. Było to wieczorem, na zewnątrz lał deszcz.

Krypta, składająca się z kilku nisko sklepionych pomieszczeń i odgradzona od świata żelazną furką, jest jeszcze starsza niż kościół w Manderley, który wybudowano w okresie średniowiecza. Wyłożone ołowiem trumny z prochami de Winterów po obu stronach krypty, trumny stosunkowo niedawno tam złożone, jeszcze nietknięte zębem czasu, a także stare, spróchniałe i rozpadające się... Cóż, z pewnością nie jest to miejsce, w którym chciałoby się dłużej przebywać. A tamtego wieczoru miałem wrażenie, że... Zresztą to nieistotne, co czułem. Powiem tylko, że darzyłem Rebeke najgłębszym przywiązaniem i byłem bliski załamania.

W krypcie było bardzo zimno, a po ścianach ściekały krople wody. Biegące pod ziemią w zardzewiałych metalowych tulejkach kable elektryczne bez przerwy iskrzyły, więc kiedy staliśmy tam, słuchając stów modlitwy za zmarłych, światła zapalały się i przygasały, zapalały i przygasały. Proboszcz, równie niespokojny jak ja, wyraźnie się spieszył, chcąc jak najszybciej odprawić nabożeństwo. Stałem z pochyloną głową, lecz w pewnym momencie, wyczuwając poruszenie Maxima, podniosłem wzrok. Napotkałem jego spojrzenie, tak mi się w każdym razie wydawało, i przez chwilę wpatrywałem się w niego w migoczącym świetle. Był błądy jak ściana i zlany potem mimo panującego w krypcie chłodu. Zdałem sobie sprawę, że nie patrzy na mnie, lecz na coś, co znajduje się nieco ponad moim ramieniem. Wiedziałem, że nie ma tam nic, zupełnie nic, ale Maxim coś widział i cokolwiek to było, nie mógł oderwać od tego wzroku. Nigdy nie zapomnę wyrazu jego twarzy i cierpienia, jakie malowało się w oczach. Nie przesadzę, jeżeli powiem, że poczułem się tak, jakbym miał przed sobą potępieńca. Walczyłem podczas pierwszej wojny, byłem w okopach, więc naprawdę wiem, o czym mówię. Poznałem ten wyraz, ponieważ widziałem go wcześniej, na twarzach innych ludzi, od dawna już nieżyjących.

Patrzyłem na niego, głęboko wstrząśnięty, może przez sekundę, ale wydawało mi się, że trwa to długie godziny. Potem przewody elektryczne znowu zasyczały, zatrzeszczały, światło zamigotało i przygasło. Zanim modlitwa dobiegła końca, nim pastor zdążył wymówić słowa: „Niech spoczywa w spokoju”, Maxim usiłował wyjść, przeciskając się obok mnie. Położyłem rękę na jego ramieniu, aby go powstrzymać, i zorientowałem się, że drży. Nie był w stanie spojrzeć mi w oczy, zresztą jest tak aż do dziś.

Stojąc przed domem doktora Bakera, na przedmieściu Londynu, instynktownie zrozumiałem, że Rebeka nie popełniła samobójstwa! Maxim był w jakiś sposób zamieszany w jej śmierć. Nie odzyskałem jeszcze równowagi i mój umysł nie działał zbyt sprawnie. Patrząc na Maxima, natychmiast zacząłem wyobrażać sobie jakieś okoliczności łagodzące, na przykład gwałtowną kłótnię. Może uderzył Rebeke, która upadła i śmiertelnie zraniła się w głowę? Może poniosła śmierć w wyniku jakiegoś fatalnego zbiegu okoliczności? Nie dopuszczałem do siebie myśli, że Maxim byłby zdolny do morderstwa z premedytacją. Przecież to mój przyjaciel, człowiek honoru... Oczywiście wtedy wierzyłem jeszcze w honor.

Do dziś wierzę, że gdybym w tamtej chwili wziął Maxima na stronę i poprosił, aby powiedział mi prawdę, zrobiłby to. Znajdował się w strasznym stanie, na krawędzi załamania.

Przez parę minut wszyscy milczeliśmy. Wpatrywałem się w wysadzaną drzewami uliczkę. Teraz już wiem, że dotarłem wtedy do moralnego punktu zwrotnego w moim życiu. Byłem o krok od podjęcia decyzji, która miała mnie do końca prześladować. Gdyby Favell trzymał wówczas buzię na kłódkę, być może wszystko potoczyłoby się inaczej. Ale któż to może wiedzieć? Ja sam nie jestem o tym przekonany.

Favell nie trzymał jednak buzi na kłódkę, bo najzwyczajniej w świecie nie był do tego zdolny. Gwoli sprawiedliwości muszę powiedzieć, że on również wydał się bardzo poruszony. Rebeka nie była mu obojętna. Jak nieprzytomny chodził tam i z powrotem, powtarzając, że nie może w to uwierzyć, że musi napić się czegoś mocnego. Lecz zaraz potem, w sposób, który napełnił mnie obrzydzeniem, zapytał, czy ten rodzaj raka jest zaraźliwy. Była to sugestia typowa dla Favella i jego brudnej mentalności. Ponieważ żaden z nas nie zareagował na jego słowa, przypuścił ostrzejszy atak na Maxima i na mnie. Czy to wtedy po raz pierwszy usłyszałem, że „sprawa została zatuszowana”? Nie wiem. Pamiętam natomiast, że Favell ironicznie pogratulował Maximowi uwolnienia się od podejrzeń. Oświadczył też, że uzyskane od lekarza informacje mnie również musiały ucieszyć, bo oto mój stary przyjaciel może wreszcie spać spokojnie. Już wcześniej insynuował, że będę się starał zamknąć usta plotkarzom i że zadbam, aby znajomi i przyjaciele Maxima pomogli mu wykaraskać się z kłopotów. Dowodził, że jestem

snohem, któremu pochlebia, iż jest stale zapraszany do Manderley, i że zrobię wszystko, co w mojej mocy, aby de Winter wyszedł z tej sprawy cało.

Byłem pełen gniewu. Nie cierpiałem Favella, gardziłem wszystkim, co sobą przedstawiał, i właśnie dlatego, stojąc na tamtej podmiejskiej ulicy, bez chwili wahania podjąłem tę decyzję. Dysponowałem teraz jednoznacznym motywem samobójstwa, dowodów na popełnienie morderstwa nie było, brakowało nawet poszlak. Nie można posadzić człowieka na ławie oskarżonych wyłącznie za wyraz twarzy i nie można go skazać dlatego, że komuś się wydawało, iż dostrzegł w jego oczach wyrzuty sumienia. Nie. Nie wtedy, kiedy wynikiem oskarżenia może być kara śmierci. Podjąłem więc decyzję - skończyć z tym raz na zawsze. Postanowiłem osobiście zająć się rozpowszechnieniem opinii doktora Bakera, poza tym nie zamierzałem podejmować żadnych innych działań. Koniec. Chciałem położyć kres niedopowiedzeniom i podtekstom, pragnąłem, aby Rebeka wreszcie zaznała spokoju.

Oczywiście, wszystko ułożyło się zupełnie inaczej, co powinienem był z góry przewidzieć. Lecz wszyscy węszący za sensacją dziennikarze, wszyscy plotkarze i plotkarki z Kerrith, którzy doszukiwali się ukrytych motywów mojego działania, bardzo się mylili. W ich oczach byłem w najgorszym razie służalczym głupcem, który podlizywał się de Winterom, w najlepszym zaś zbyt lojalnym przyjacielem. Wszyscy byli absolutnie pewni, że bronię interesów Maxima i nie dostrzegali prawdy, chociaż rzucała się w oczy - chciałem chronić Rebekę, nie jej męża.

Byłem w pełni świadomy, co będzie, jeżeli śledztwo nie zostanie umorzone. Wiedziałem, że reputacja Rebeki ucierpi, zszargana i bezlitośnie unurzana w błocie. Nie miałem cienia wątpliwości, że wszystko wyjdzie na jaw - oskarżenia o liczne romanse, intrygi i niemoralne gry, o których otwarcie mówił Jack Favell. Wiedziałem, że jeśli ludzie zaczną podejrzewać Maxima o zamordowanie żony, nie spoczną, dopóki nie znajdą motywu, i nie będą musieli zbyt długo szukać. Jakiż motyw może być lepszy niż niewierność żony? W gruncie rzeczy sam też wierzyłem w niewierność Rebeki. Mówiłem sobie, że tak właśnie musiało być, bo Maxim nigdy nie

zrobiłby jej krzywdy, gdyby nie miał po temu bardzo silnego powodu. W ten sposób dopuściłem się najprawdziwszej zdrady wobec Rebeki.

W tamtym momencie, kiedy podejmowałem decyzję, że skończę z tym raz na zawsze, tarna chroniąca nas przed powodzią plotek była jeszcze zamknięta. Dziennikarze pisali różne rzeczy, lecz dotąd nie pojawiły się wzmianki o „kochankach” i „schadzkach”, w każdym razie nie natknąłem się na nic takiego. Pragnąłem, aby ten stan rzeczy trwał nadal. Bardzo mi na tym zależało. Właśnie dlatego starałem się przekonać wszystkich, że Rebeka zabiła się, ponieważ nie chciała konać powoli i w bólach. Chciałem, aby ludzie zapamiętali taki jej obraz, jaki wykreowała moja wyobraźnia - obraz pięknej, cnotliwej i odważnej kobiety. Aby moje wyobrażenie o niej przetrwało w pamięci innych.

Rebeka byłaby tym bardzo rozbawiona. Jej pojęcie cnót i honoru znacznie różniło się od mojego, była też większą realistką. Wiedziałyby, że im bardziej staramy się uciszyć ludzkie języki, tym mniejsze są szanse, że nam się to uda. Zanim wróciłem do Kerrith z Londynu, Jack Favell zdążył już obdzwonić większość swoich kumpli od kieliszka. Oczywiście nie udało mi się powstrzymać plotek, złośliwości, zjadliwości i skłonności do zmyślania niestworzonych historii, która jest głęboko zakorzeniona w ludzkiej naturze. Uciszyć plotki? Śmiechu warte! Zachowywałem się jak Kanut, który rozkazywał zalewającym brzeg falom, aby się cofnęły.

Nie istnieje prawo, które chroniłoby zmarłych przed pomówieniami. Nie było procesu, więc żaden adwokat nie mógł przemówić w obronie Rebeki, została jednak zaocznie skazana na prawie dwudziestoletnie milczenie. Nie może się bronić, zaprzeczać kłamstwom, prostować, wyjaśniać. Nie dano jej szansy, aby opowiedziała swoją historię lub chociażby zaprotestowała przeciwko temu, jak ją przedstawiano. Nie mogła powiedzieć: „Nie, było inaczej”. Teraz, gdy jestem już stary, zaczynam wyobrażać sobie, że to właśnie jest najstraszniejszy aspekt śmierci - ludzie mogą skakać po twoim grobie, a ty nie jesteś w stanie nic na to poradzić. Jesteś zakneblowany, nie możesz odpowiedzieć, chyba że ktoś przyjdzie ci z pomocą, jakaś dobra, mądra, niestrudzona osoba zajmie się twoją sprawą, dogrzebie się faktów, które mogą świadczyć na twoją korzyść i wydobędzie prawdę na jaw.

Czy mógłbym oddać tę przysługę Rebecce? Wczoraj wieczorem, przy świetle księżycy, wyobrażałem sobie, że tak. Myślałem, że mogę naprawić błędy przeszłości, ale teraz ogarnęło mnie wahanie. Siedemdziesięciodwuletni, moralnie podejrzany starzec z sercem w marnym stanie, który nawet nie potrafi w prawdziwy sposób przedstawić śmierci Rebeki, nie mówiąc już o jej życiu. Raczej daleko mi do sir Lancelota, prawda? Obym nie oddał jej kolejnej niedźwiedziej przysługi, pomyślałem.

Równie dobrze mogę od razu przyznać, że te wspomnienia bardzo mnie przygnębiły. Introspekcja zawsze jest bolesna, a przyglądanie się swoim niedociągnięciom i błędom w ohydny sposób zbliżeniu nie było takim początkiem dnia, o jakim marzyłem. W oczach miałem łzy, serce się tłukło, i czułem, że ciśnienie bardzo mi podskoczyło. Barker zaskowyczał cicho, podniósł się ze swego miejsca i potarł szarym nosem o moją nogę. Próbowałem się uspokoić, jeszcze raz czytając głupią listę „świadków”, lecz po chwili podarłem ją. Postanowiłem dać sobie spokój z potencjalnymi informatorami, nieżyjącymi, przeklętymi i nie zasługującymi na zaufanie. Jeżeli mam znaleźć Rebece, muszę poszukać innej drogi.

Patrzyłem na swój pokój przez łzy. Zapomniałem o telefonie do Terence'a Greya, zapomniałem o przesyłce, której zawartość miała później okazać się niezwykłą, i niepewnie wstałem z fotela. Potykając się, podszedłem do francuskiego okna, za którym uśmiechał się bezchmurny kwietniowy dzień. Rocznicą śmierci Rebeki...

Popchnąłem oszklone drzwi, zszedłem po schodach do ogrodu i ruszyłem ścieżką przed siebie. Barker, mój wierny cień, kroczył tuż za mną. Przeszedłem między nieco sfatygowaną palmą i żalonną araukarią, minąłem mocno przycięte róże i wreszcie dotarłem do wyłożonego krzywymi płytami tarasu na końcu ogrodu. Tuż za krawędzią tarasu zbocze opada ostro aż do niegościnniej zatoczki, która znajduje się mniej więcej dwadzieścia pięć metrów niżej. Dawno temu wyznaczyłem granicę swojego ogrodu niskim, teraz rozsypującym się trochę murkiem, na którym przysiadłem. Spojrzałem na morze, lazurowe przy linii horyzontu, atramentowe wokół cypla Manderley potem objąłem wzrokiem Sosny, dom mojego dzieciństwa.

Otrzyj łzy, Arturze, usłyszałem łagodny głos dziadka. Wcale mnie to nie zaskoczyło, chociaż dziadek nie żyje od pięćdziesięciu lat. Zmarli często teraz do mnie mówią, sądzę, że jest to jeden z aspektów podeszłego wieku. Zanim uświadomiłem sobie, co się dzieje, poddałem się temu głosowi i dopuściłem do siebie przeszłość, pozwalając, aby jej prądy poniosły mnie tam, dokąd chciały, czyli, nie po raz pierwszy i nie po raz ostatni, do Manderley z lat mojego dzieciństwa.

Tam czekali już na mnie niektórzy z nieżyjących „świadków”, gotowi przemówić. Oczywiście jeszcze nie było tam Rebeki - Manderley, na które teraz patrzyłem, istniało wiele lat przed jej przybyciem, wiedziałem jednak, że jeżeli będę uważnie obserwował de Winterów, na pewno coś odkryję. Zawsze uważałem, że nie można zrozumieć Rebeki, nie można zrozumieć osoby, jaką się stała, nie próbując zrozumieć rodziny, do której przez małżeństwo weszła. Czułem, że klucza do Rebeki należy szukać przede wszystkim w Manderley.

ROZDZIAŁ 4

Po raz pierwszy przyjechałem do Sosen, mając siedem lat, razem z matką i nową opiekunką imieniem Tilly. Było to w połowie lat osiemdziesiątych dziewiętnastego wieku (tak, jestem już naprawdę stary). Mieliśmy zamieszkać u mojego owdowiałego dziadka w domu nad morzem. Dom znajdował się w tej części Anglii, która wtedy uważana była za odległą, w krainie, na której temat snułem wiele fantastycznych marzeń i której w ogóle nie znałem. W tym czasie nie rozumiałem, dlaczego opuściliśmy Indie i dlaczego ojciec musiał tam zostać. Wiedziałem tylko, że nie mógł dostać kilkumiesięcznego urlopu ze swojego regimentu, a matka musiała odpocząć od tamtejszego klimatu. Dziś wiem, że spodziewała się drugiego dziecka, mojej siostry Rose, ale w tamtych czasach o takich sprawach nie mówiono głośno, zwłaszcza w obecności małego chłopca.

Początkowo tęskniłem za Indiami. Brakowało mi mojej ulubionej, oswojonej mangusty oraz *ayah*, której tęskne piosenki kołysały mnie do snu. Jeszcze dziś słyszę je bardzo dokładnie... Po bungalowach, w których mieszkaliśmy w Indiach, Sosny wydawały mi się nieco dziwne. Było mi ciągle zimno. Rano, budzony przez ostre krzyki mew, wstawałem z łóżka, drżąc na całym ciele, i spoglądałem przez okno na cypel Manderley po drugiej stronie zatoki.

Dziadek powiedział mi pocieszającym tonem, że wkrótce poczuję się tu jak u siebie, ponieważ mój ojciec dorastał właśnie tutaj, w tej części świata, podobnie jak liczne pokolenia Julyanów przed nim. W tym regionie, bezpiecznie ukrytym u stóp Anglii, w liczących wiele wieków rezydencjach, mieszka sporo starych rodzin,

mówił. Nadal żyją tu przedstawiciele rodów Greiwille oraz Raleigh, lecz najstarszym z nich jest ród de Winter, którego drzewo genealogiczne obejmuje osiem wieków.

- Czy wszystkie rodziny mogą poszczycić się takim pochodzeniem, dziadku? - zapytałem.

- Nie - odparł. - Aby wyprowadzić jasne i czytelne drzewo genealogiczne, ród w każdym pokoleniu musi mieć synów. Bez synów rodziny wymierają.

Widząc, że nie rozumiem, udzielił mi pierwszej lekcji genealogu. Dowiedziałem się, że chociaż wywodzimy się z bocznej linii rodu Julyan, powinienem być dumny z przodków, których krew płynie w moich żyłach. Wyjął drzewo genealogiczne naszej rodziny, które sam sporządził, i pokazał mi splątany, niezrozumiały las powiązań rodzinnych. Małżeństwo jednego z moich pradziadów z dziedziczką Grenville'ów, zawarte w 1642 roku. Małżeństwo z siostrą jednego z de Winterów, zawarte w 1820 roku. Julyanowie, którzy służyli swojemu Kościołowi, ojczyźnie lub prawom ojczyzny. Na samym dole wielokrotnie rozwidlonych gałęzi, wśród których dziadek umieścił imiona ziemian, sędziów, żołnierzy i duchownych, znajdowała się mała gałązka. Dziadek powiedział, że to moje miejsce.

Mój dziadek, Henry Lucas Julyan, proboszcz parafii w Kerrith i Manderley, został moim przyjacielem tego samego dnia, w którym przybyliśmy do Sosen, i mogę śmiało powiedzieć, że był jednym z niewielu prawdziwie dobrych ludzi, jakich znalazłem, wrażliwym na ludzkie cierpienie, wykształconym i mądrym. Przed przyjęciem święceń był wybitnym badaczem kultury i literatury starożytnej w Cambridge, gdzie zaprzyjaźnił się z Darwinem. Żył skromnie, jadał proste, niewyszukane potrawy, dużo spacerował, czytał, pisał i gardził wszelką ostentacją. Nie należał do tak zwanych światowych ludzi i zapewne dzięki jego wpływowi ja także nie prowadzę ożywionego życia towarzyskiego, jestem raczej niedzisiejszy i hołduję istniejącym od dawien dawna zasadom moralnym.

Dziadek był zapalonym przyrodnikiem amatorem i to właśnie on wtajemniczył mnie w przyjemności zbieractwa oraz katalogowania. Nim minęło pierwsze lato, jakie spędziłem w Sosnach, zacząłem już poznawać skamieliny i różne gatunki dzikich kwiatów, motyli oraz ciem. Dziadek nauczył mnie, jak bezboleśnie i szybko zabijać

owady chloroformem. Do dziś mam naszą kolekcję motyli - przechowuję ją w gabinecie, w szufladzie jednej z szaf bibliotecznych. Odkryłem, że teraz nie jestem w stanie jej oglądać.

Dziadek zabierał mnie na wycieczki wzdłuż wybrzeża. U jego boku poznawałem plaże, ciemne zatoczki, rozciągające się wyżej wrzosowiska i lasy, szczególnie te dookoła Manderley, gdzie można było złowić najwięcej motyli. Ród de Winter mieszkał w Manderley od czasów Wilhelma Zdobywcy, mówi! dziadek, natomiast sam dom w ciągu wszystkich tych wieków wielokrotnie przebudowywano i rozbudowywano. Ich niezwykle nazwisko pochodziło od normańsko-francuskiego słowa „ventre”, oznaczającego brzuch lub łono. Lionel de Winter, obecna głowa rodziny, był rówieśnikiem mojego ojca. Kiedyś byli przyjaciółmi i kolegami ze szkolnej ławy, lecz w ostatnich czasach, mówił dziadek, łączące ich więzy uległy rozluźnieniu, być może z powodu długiego pobytu mojego ojca w Indiach.

Zawieziono mnie do Manderley tego pierwszego lata, które spędziłem w Anglii. Poznałem tam Lionela de Winter i jego żonę Vir-ginię, jedną z trzech słynących z urody sióstr Grenville, znanych w okolicy jako „trzy Gracje”. Najstarsza, Evangeline, wyszła ostatnio za magnata okrętowego, sir Joshuę Briggsa, najmłodsza, Isolda, bardzo ładna i czarująca, jak mówił dziadek, była jeszcze niezamężna, średnia zaś, Virginia, żona Lionela, to ulubienica dziadka. Powiedział mi, że na pewno polubię Vir-ginię, która nie cieszy się zbyt dobrym zdrowiem, ale jest bardzo miła i łagodna.

Virginia, którą moja matka zawsze nazywała „biedną Vir-ginią”, rzeczywiście była dobrą, niewadzącą nikomu półinwalidką. Miałem wrażenie, że spędzała jeszcze więcej czasu na sofie lub na szezlon-gu niż moja matka, i nikt nie wyjaśnił mi, dlaczego tak się dzieje. Wciąż miałem wrażenie, że biedna Virginia jest gościem w Manderley i za każdym razem, gdy się tam zjawiałem, spodziewałem się usłyszeć, że spakowała rzeczy i wyjechała. Virginia najwyraźniej nie miała żadnego udziału w prowadzeniu domu. Wszystkie decyzje podejmowała jej teściowa, starsza pani de Winter, z domu Raleigh, przerażająca postać. Kiedy jej mnie przedstawiono, uważnie przyjrzała się moim włosom i oświadczyła, że są za długie, a ja wyglądam jak dziewczynka. Musiała jednak uznać, że mogę się okazać przydatny, bo ponownie zaprosiła mnie do Manderley. Miałem się ba-

więc z jedynaczką Lionela i Virginii, Beatrice, pulchną i uwielbiającą wydawać rozkazy małą dziewczynką, która interesowała się głównie końmi. Z czasem polubiłem Beatrice, lecz właściwie nigdy nie miałem z nią wiele wspólnego.

Czas mijał, zaproszenia do Manderley napływały coraz częściej, a ja nigdy nie byłem zupełnie pewny, czy rzeczywiście lubię tam jeździć. Ogromną przyjemnością były wyprawy do lasu w towarzystwie dziadka, lecz sam dom de Winterów wydawał mi się dziwny i przygnębiający. Był bardzo duży, bardzo ciemny i bardzo stary, rozparty na wzniesieniu, ukryty wśród otaczających go drzew. Wielkie, ciemne, wykładane boazerią pokoje zatłoczone meblami budziły lęk. Żyłem w ciągłym strachu, że cofając się, wpadnę na jeden z kruchych stoliczków, przewrócę go i stłukę ustawione na nim miniaturowe figurynki. Wszędzie czaiły się rozmaite zasadzki -uwiecznieni na portretach przodkowie, których oczy śledziły każde moje potknięcie, gobeliny, za którymi mógł się ukryć jakiś złowrogi obserwator... Beatrice poinformowała mnie z dumą, że dom zamieszkuje też co najmniej jeden duch, piękna przedstawicielka rodu de Winter, która skrada się mrocznymi korytarzami i odbiera wzrok tym, którzy ośmielą się na nią spojrzeć.

Uważałem, że Manderley jest bardzo brzydkie i pozbawione powietrza. Prawdę mówiąc, miałem lekką obsesję na tym punkcie. Lata spędzone w Indiach uczyniły mnie koneserem powietrza. Moja matka i żony innych oficerów nieustannie rozmawiały o dobrym i złym powietrzu, a każdego lata wyjeżdżaliśmy na północ, do jednego ze znajdujących się w górach garnizonów, aby uciec przez złym powietrzem, które przynosiło różnego rodzaju dolegliwości i ukryte choroby.

Byłem zdania, że w Manderley brak jest świeżego powietrza. Okna w tym domu były naprawdę olbrzymie, morze szumiało w dole, bardzo blisko, a mimo to we wszystkich pokojach panował zaduch. Nic dziwnego, że biedna Virginia stale niedomagała. Duszne, lepkie, ciężkie od wielowiekowych tajemnic powietrze mogłoby każdego przyprawić o chorobę. Ilekroć odwiedzałem Manderley, zawsze starałem się namówić Beatrice, abyśmy zeszli nad morze, nad zatokę, gdzie tyle lat później zginęła Rebeka.

Manderley potrzebowało tchnienia świeżego wiatru, pięknego jak zefiry, których podobizny pokazywał mi w książkach dziadek.

Zwykle wyobrażałem sobie jednego z nich, kiedy znalazłem się w tym strasznym salonie, zmuszony do rozmowy z tryskającym energią, nieco agresywnym w sposobie bycia Lionelem, który przy każdym spotkaniu z uporem godnym lepszej sprawy targał moje włosy, albo, co gorsza, z jego matką, Megierą, jak nazwała ją niania Tliły.

Na szczęście Lionel de Winter często wyjeżdżał. Miał tendencję do gwałtownych zmian nastrojów i depresji, i często narzekał na nudne życie na prowincji.

- Nie uważasz, że to miejsce to zapyziała dziura? - zwrócił się kiedyś do mnie. - Nie dzieje się tu nic ciekawego, ciągle tylko leje i leje. W przyszłym tygodniu wyjeżdżam do Londynu. Tam jest co robić - mnóstwo nowych sztuk do obejrzenia, codziennie zaproszenia na przyjęcia, dobre jedzenie i wino. Muszę uciekać spod fartucha mojej staruszki, jeśli rozumiesz, o co mi chodzi. Chyba wiesz, jak to jest, co, mój chłopcze?

Tego rodzaju przemowy powtarzały się dość często. Zwykle Lionel mruga! też do mnie znacząco i klepał mnie po ramieniu, jak mężczyzna mężczyznę.

- Tak, proszę pana - odpowiadałem, chociaż w ogóle nie rozumiałem, o co mu chodzi.

Kogo nazywał „staruszką”? Swoją matkę czy biedną Virginie? Ale przecież żadna z nich nie nosiła fartucha... Uważałem, że Lionel ze swoją zaczerwioną twarzą, humorami i jedwabnymi kamizelkami jest idiotą i gogusiem. Nie podobał mi się rozkazujący, nieuprzejmy ton, jakim zwracał się do żony. Mój ojciec nigdy nie odezwałby się tak do mamy, było to po prostu niemożliwe. Bolało mnie także, a potem gniewało, że Lionel ani razu nie zapytał o ojca, swego dawnego przyjaciela. Najwyraźniej w najmniejszym nawet stopniu nie był zainteresowany jego losem, ale właściwie nie powinienem się temu dziwić, ponieważ Lionel myślał wyłącznie o sobie.

Z Megierą sytuacja przedstawiała się zupełnie inaczej. Była znacznie inteligentniejsza od swojego syna, co wyczułem instynktownie i bardzo szybko, w typowy dla dzieci sposób. To ona sprawowała rządy w Manderley i absolutnie nie miała zamiaru przeprowadzać się do mniejszego domu na terenie posiadłości, przeznaczonego dla starszych, owdowiałych pań de Winter. Tak w każdym ra-

zie twierdziła Tilly. Tilly mówiła również, że serdecznie współczuje żonie Lionela, której przypadł w udziale nie tylko okropny mąż, ale i straszna teściowa, i że za nic nie chciałyby znaleźć się na jej miejscu.

Megiera była bardzo wysoka i miała niezwykle donośny głos. Wszyscy, na czele z Lionelem, drżeli na jej widok. Z moich obserwacji wynikało, że Megiera zna tylko dwa rodzaje konwersacji - albo powarkuje, wydając rozkazy, albo zasypuje gradem pytań. Ile masz lat? Dlaczego ta twoja matka nie każe ci ostrzyć włosów? Jeździsz konno? Czytasz, naprawdę?! Chłopiec w twoim wieku? Lionel nigdy nie interesował się książkami, co z tobą? Powinieneś więcej biegać! Opowiedz mi o Indiach! Tęsknisz za Indiami? Dlaczego? Kiedy wreszcie wróci twój ojciec? Czy jest chory? W Indiach wszyscy prędzej czy później zaczynają chorować! Nie jest chory? Szczęściarz z niego!

Te pytania następowały zwykle po dłuższym monologu na temat Indii. Megiera nienawidziła Indii, a jedynym powodem jej żarliwej niechęci był chyba fakt, że kraj ten położony był poza strefą jej wpływów. Pogardliwym machnięciem ręki zbywała wszelkie uwagi swoich rozmówców na temat zagranicy. Pewnego pamiętnego dnia, kiedy siostry Virginii przyszły na herbatę w ogrodach Manderley i Evangeline zaczęła opowiadać o swoim niedawno zakończonym miesiącu miodowym we Francji, a śliczna, czarująca Isolda westchnęła z zazdrością i szepnęła, że bardzo chciałaby podróżować, matka Lionela nazwała wszystkie „trzy Gracje” idiotkami.

- Ależ jesteście głupie! - wykrzyknęła, szerokim gestem wskazując lśniąca w dole, za soczyście zielonymi trawnikami morze. -Nigdzie nie znajdziecie nic piękniejszego, choćbyście najdalej pojechały. O wiele lepiej zostać tutaj i cieszyć się tym, co się ma.

Evangeline zmierzyła ją zimnym spojrzeniem i uniosła brwi, biedna Virginia westchnęła, a urocza Isolda zrobiła komiczną minę, ledwo Megiera odwróciła się do niej plecami. Kiedy wkrótce potem starsza pani de Winter oddaliła się w stronę domu, trzy siostry wybuchnęły śmiechem.

- Cóż to za dzika bestia! - parsknęła Isolda. - Jak ty z nią wytrzymujesz, Virginio?

- Nie powinnaś pozwalać jej na takie zachowanie, kochanie -rzuciła kwaśno Evangeline. - To przecież prawdziwy potwór!

- Ciszej... - szepnęła biedna Virginia, zerkając na mnie i na Beatrice. - Nie przy dzieciach... Małe uszy wszystko słyszą.

Całkowicie zgadzałem się z Isoldą - pani de Winter była dziką bestią! Tamtego lata nieustannie wygłaszała niepoehlebne opinie na temat Indii. Na pewno zdawała sobie sprawę z mojego przywiązania do tego kraju i dlatego z tym większą natarczywością gadała o powszechnym tam braku higieny, nieuczciwości tubylców i chorobach (tu zawsze spoglądała na mnie takim wzrokiem, jakbym nosił na swoim ubraniu legion groźnych zarazków). Usiłowałem schodzić jej z drogi, kryć się przed jej zimnymi, niebieskimi oczami, a wszystkie drogie mi wspomnienia z Indii rozsypywały się w proch pod ostrzałem jej okrutnych słów. W takich chwilach tęskniłem za swoim zefirem i modliłem się, aby przybył. Zwieszałem głowę, zaciskałem powieki i w końcu wyczarowywałem zefira z powietrza. Mój zefir był rodzaju żeńskiego i charakteryzował się dużym podobieństwem do siostry Virginii, Isoldy, w której gorąco kochałem się od siódmego do dziewiątego roku życia. Zefir był cudowną istotą o długich, falujących włosach. Wpadał do dusznego pokoju, potrząsał ciężkimi, obszytymi frędzlami zasłonami i trząsał drzwiami. Był wystarczająco potężny i bezlitosny, aby bez trudu powalić Megierę na ziemię i uciszyć ją raz na zawsze.

Dziadek mawiał, że nie powinienem się przejmować, ponieważ pani de Winter ma w gruncie rzeczy dobre intencje i chociaż głośno szczeka, to nie gryzie. Należy jednak pamiętać, że mój dziadek był naprawdę świętym człowiekiem, a jednym z ograniczeń świętości jest skłonność do wynajdywania usprawiedliwień dla ludzi z gatunku Megiery lub niedoceniać zła, które w sobie noszą. Zawsze uważałem, że znacznie bliższa prawdy była Tilly, która niezmiennie powtarzała, iż starsza pani de Winter jest zwykłą jędzą i tyranem w spódnicy. Kiedy Tilly dodała kiedyś, że syn Megiery i jej oczko w głowie niczym nie różni się od kocura z sąsiedztwa, bardzo mnie to zaciekało. Często widywałem tego kocura, wężącego w naszym ogrodzie za czymś do jedzenia.

- Słyszałam o nim niejedną historyjkę - powiedziała Tilly znacząco spoglądając na naszą gosposię, panią Trevelyan.

Podejrzywałem, że źródłem tych historyjek jest właśnie pani Trevelyan, ponieważ Tilly dopiero niedawno przyjechała razem z nami

z Londynu. Miałem wielką ochotę posłuchać przynajmniej kilku i to pragnienie narastało wraz z upływem czasu, ale oczywiście nikt mnie nigdy nie oświecił. Udało mi się tylko dowiedzieć (było to dużo później, kiedy złąkniony informacji na ten i każdy inny związany ze światem dorosłych temat, na krótko i z marnymi efektami zająłem się podsłuchiowaniem), że w opowieściach o Lionelu de Winter niepoślednią rolę odgrywa łożo (zwłaszcza nieprawe). Co kocury miały wspólnego z łożem? I dlaczego łożo miało być nieprawe? Nie miałem pojęcia, co to wszystko znaczy.

Jeżeli zaś chodzi o pytania, którymi zasypywała mnie Megiera, to bez względu na to, jak na nie odpowiadałem, przy następnej wizycie wracaliśmy do nich znowu. Dziś wiem, że starsza pani de Winter próbowała w ten sposób ocenić moją odporność. Chciała sprawdzić, jak daleko może się posunąć, nim się zbuntuję.

Ja jednak nigdy się nie zbuntowałem - uprzejmość i lęk przed okazaniem braku szacunku, należnego osobie dorosłej, były we mnie tak głęboko zakorzenione, że nawet gdy Megiera doprowadzała mnie do łez, płakałem w tajemnicy. Myślę, że częściowo robiła to z przyzwyczajenia - w ten sam sposób zwracała się do wszystkich - a częściowo dlatego, iż w ten sposób zdobywała wiedzę, którą wykorzystywała w odpowiedniej chwili. W moim przypadku wykorzystała ją wiele lat później (było to podczas pierwszej wojny, w 1915 roku, i nadal na myśl o tym wydarzeniu czuję głębokie upokorzenie), ale do tego epizodu wrócę kiedy indziej.

Tak czy inaczej, Megiera była lepiej poinformowana, niż sądziłem, a niektóre z jej podejrzeń okazały się niezwykle trafne. Mój ojciec rzeczywiście był chory, ale przede mną starannie to ukrywano. W Kaszmirze złapał poważną infekcję przewodu pokarmowego, potem odzyskał siły w szpitalu w Delhi, lecz po paru tygodniach powtórnie zachorował i zmarł na miesiąc przed narodzinami mojej siostry Rose.

Przez tydzień nikt mi o tym nie mówił. Zdawałem sobie sprawę, że stało się coś złego, bo atmosfera w Sosnach nagle zaczęła przypominać tę, która panowała w Manderley. Służba szeptała po kątach, dorośli przerywali na mój widok rozmowy, ktoś trzaskał drzwiami, w nocy słyszałem pospieszne kroki w korytarzu, Tilly miała zaczerwienione oczy, twarz dziadka była niezwykle poważna i nie wolno mi było zaglądać do pokoju matki. Słyszałem, jak szło-

chała, ale powiedziano mi, że jest chora i dlatego nie może ze mną rozmawiać.

W końcu dziadek wziął mnie za rękę, zaprowadził na ten właśnie taras, gdzie teraz siedzę, i powiedział, co się stało. Stracił jedyne go syna, lecz wtedy, w dzieciństwie, egoistycznym żalu, nie przyszło mi do głowy, że z jego życia odszedł ktoś niezastąpiony. Dziś, gdy mam prawie tyle lat, ile on wtedy, i wiele gorzkich doświadczeń za sobą, doskonale rozumiem, na jak wielki wysiłek musiał się zdobyć, by zachować spokój. Kiedy skończył mówić, a ja płakać, ujął moją dłoń w obie swoje i bardzo łagodnym głosem zapytał, czy chciałbym zamieszkać w Sosnach na stałe, razem z matką i małym bratem lub siostrą, i czy pozwolę mu, by zaopiekował się mną po śmierci mojego ukochanego ojca.

Kiwnąłem głową i znowu zalałem się łzami. W takich to okolicznościach Sosny stały się moim domem, a słaba więź, łącząca mnie z tą częścią świata, zaczęła zyskiwać na sile. Znałem to miejsce takim, jakim było przed pojawieniem się Rebeki i takim, jakim stało się po jej odejściu. Maxima znałem od urodzenia. Pamiętam go jako niemowlę, kołysane w wózku przez dumną biedną Virginie. Przypominam sobie zaskoczenie, które ogarnęło mnie na wieść o tym, że małe dziecko nosić będzie imię Maximilian.

- Dam głowę, że wybrała je ta stara Megiera! - wykrzyknęła Tilly. - Już ona się nim zajmie! Biedna pani Virginia nie będzie miała nic do powiedzenia przy jego wychowaniu, wspomnicie jeszcze moje słowa!

Przepowiednia Tilly się spełniła. Dziś wiem, że biedna Virginia przeżyła kilka poronień, a kiedy wreszcie udało jej się wydać na świat spadkobiercę rodu, nie cieszyła się nim zbyt długo. Wydawała się słabnąć z dnia na dzień, była coraz bardziej smutna i milcząca, jej mizerna twarz zaś rozjaśniała się tylko na widok synka. Umarła, kiedy Maxim miał trzy lata. Zachował o matce parę nostalgicznych, na wpół zatartych wspomnień i zawsze starannie je pielęgnował (moja siostra Rose także odniosła takie wrażenie).

Maxim był uderzająco podobny do matki. Beatrice odziedziczyła cechy fizyczne de Winterów, natomiast w wąskiej twarzy i ciemnych, inteligentnych oczach Maxima nadal żyła Virginia i jej przodkowie z rodziny Grenville. Maxim przypominał matkę również z charakteru - jako małe dziecko był milczący, nieśmiały, wyraźnie

bal się ojca i czuł przepojony szacunkiem lęk wobec swej przerażającej babki. Chętnie szukał schronienia w świecie marzeń. Bardzo dobrze pamiętam małego Maxima z okresu, gdy mój dziadek uczył go w czasie letnich wakacji. Mimo niezaprzeczalnej inteligencji, Maxim nie był błyskotliwym uczniem, być może dlatego, że jego babka miała wykształcenie w głębokiej pogardzie i wciąż mu powtarzała, iż czytanie książek to strata czasu. W Manderley była wspaniała biblioteka, doskonale wyposażona przez co bardziej oświeconych przodków Maxima, ale herbarz rodów angielskich i historia hodowli koni w Anglii to jedyne książki, po jakie sięgała starsza pani de Winter.

Megiera chętnie sugerowała, że książki, uniwersytety i temu podobne są dobre dla takich jak ja, młodych ludzi, bez majątku czy posiadłości ziemskich, zmuszonych, by zarabiać na życie. Lecz przecież Maxim, mówiąc, ogarniając gestem swój okropny salon, będzie miał ten dom, pola, ogrody, farmy i morze. To było jego przeznaczenie. Należało więc tylko oddać go do tej samej szkoły, w której od niepamiętnych czasów uczyły się kolejne pokolenia de Winterów, a kiedy już pozostawi ten nieistotny epizod za sobą, wróci do domu, aby nauczyć się tego, co w jego życiu będzie najważniejsze - jak zarządzać Manderley.

Maxim przechodził to pranie mózgu dzień w dzień. Myślę, że dzięki mojemu dziadkowi (i w znacznie mniejszym stopniu mnie) zrozumiał, iż istnieje także inny świat. Zawsze miałem wrażenie, że Maxim z tęsknotą spoglądał na ten inny świat i może nawet pragnął go poznać i zbadać, lecz nie potrafił pozbyć się wpojonego mu przekonania, że jego życie będzie ograniczone parkanami wytyczającymi krańce Manderley.

Pewnego lata, kiedy po skończonej sesji na uniwersytecie przyjechałem do domu, zlitowałem się nad nim. Wyszedł z gabinetu dziadka blady jak prześcieradło, wykończony długą walką z łacińskimi czasownikami i kiedy zapytałem, dokąd się wybiera, odparł, że chyba wróci do domu. Wyglądał na zagubionego i przygnębionego, więc zabrałem go na łódkę i nauczyłem żeglować. Była to pierwsza z wielu naszych wypraw przez zatokę do Manderley.

Mówiłem już, że znałem Maxima od urodzenia, lecz tego lata pokonaliśmy dzielącą nas różnicę wieku i zostaliśmy przyjaciółmi. Maxim miał wtedy dziesięć czy jedenaste lat. Ponieważ byłem

sporo starszy, patrzył we mnie jak w obraz, a ja również szybko się do niego przywiązałem, zacząłem polecać mu różne książki i ogólnie rzecz biorąc, wziąłem go pod swoje skrzydła. Dziadek był zadowolony z naszej przyjaźni, gdyż sądził, że Maxim jest bardzo samotny, i tak rzeczywiście było, w każdym razie jeszcze przez parę lat.

W tym okresie zaczął chorować ojciec Maxima. Choroba ta przyjęła później dość dramatyczny i nieprzyjemny obrót, aż w końcu Lionel de Winter przestał opuszczać pokój, do Manderley prawie nie zapraszano gości, a kiedy Maxim wracał ze szkoły na wakacje, spędzał większość czasu sam. Nie mieszkałem już wtedy w Sosnach, ponieważ wstąpiłem do wojska. Moja siostra Rose, mniej więcej rówieśniczka Maxima, stała się jego powiernicą i przez krótki czas tuż przed pierwszą wojną była jego najbliższą przyjaciółką. Rose nadal utrzymuje, że Maxim zawsze czuł się bardziej osamotniony, niż podejrzewaliśmy.

Jakże bliskie wydają mi się teraz tamte lata! Historia życia znanych mi de Winterów splata się z moją własną, mój gabinet pełen jest dowodów naszej przyjaźni, listów, fotografii, zaproszeń, wszystkich tych drobnych rzeczy, z których każda snuje własną opowieść. Siedząc dziś rano na murku w ogrodzie, uświadomiłem sobie, że jeżeli nawet w moich zapiskach pojawią się pewne luki, to chyba uda mi się je uzupełnić, oczywiście zakładając, że pamięć mnie nie zawiedzie.

I gdzieś w tym wszystkim znajdowała się Rebeka, którą, jak zawsze sądziłem, zrozumieć można jedynie w kontekście rodziny de Winter i Manderley.

- Kim jesteś? - zapytałem ją kiedyś, parę miesięcy przed jej śmiercią. - Kim naprawdę jesteś, Rebeko?

- Jestem panią na Manderley - odpowiedziała z typowym dla niej, zagadkowym spojrzeniem. Była zima i powoli szliśmy ścieżką wzdłuż wybrzeża. Rebeka zatrzymała się na krawędzi zbrocza. Zawsze używała słów z rozwagą, bardzo ostrożnie. - Zupełnie jak w gotyckich romansach. - Uśmiechnęła się. - Nie sądzisz, że to do mnie doskonale pasuje? Powiedz Maxowi, że na moim nagrobku ma wyryć napis: „Tu leży Rebeka, pani na Manderley”, albo po prostu „Rebeka z Manderley”, to wystarczy. Chcę mieć prosty nagrobek z kornwalijskiego granitu, z wyraźnymi, głęboko kutymi litera-

mi. I chcę, aby pochowali mnie na cmentarzu przy kościele, z widokiem na morze. Nie pozwól, żeby wsadzili mnie do krypty de Winterów, dobrze?

- Coś jeszcze? - zapytałem i nie było w tym cienia ironii, rzeczywiście spodziewałem się czegoś jeszcze, ponieważ Rebeka była perfekcjonistką we wszystkim. Nie traktowałem jednak tej rozmowy całkowicie poważnie, chociaż teraz wiem, że należało. Rebeka lubiła się drażnić i nie zawsze mogłem się zorientować, kiedy mówiła poważnie. Była taka młoda, miała zaledwie trzydzieści lat. Ja miałem dwadzieścia lat więcej, więc jeśli należało planować jakiś pogrzeb, to raczej mój. - Kwiaty? - ciągnąłem. - Rodzaj trumny? Hymny? Czy mam nieść trumnę?

- Tak, bardzo bym chciała. A jeśli chodzi o resztę... - Odwróciła wzrok i zmarszczyła brwi. - Reszta jest nieważna, zależy mi jednak na kamieniu i na cmentarzu. Więc nie zapomnij o tym, proszę, i nie ustępuj, kiedy Max zrobi dziwną minę i powie, że to wulgarnie i nieodpowiednie...

- A jeżeli ustąpię? - odezwałem się z uśmiechem.

- Pożałujesz tego. Nienawidzę krypty i ludzi, którzy w niej leżą. Wrócę i będę cię straszyć, bo tam nigdy nie zaznam spokoju.

Co mogła mieć na myśli? Dlaczego miałyby nienawidzić zmarłych de Winterów? Przecież ich nie znała. Nawet ciała rodziców Maxima złożono tam na wiele lat przed jej ślubem i pojawieniem się w Manderley. Czy zapytałem, o co jej chodziło? Nie pamiętam. Jeżeli nawet, to nie udzieliła mi odpowiedzi.

Pięć miesięcy później już nie żyła. Po roku, kiedy morze wreszcie oddało jej zwłoki, została pochowana w krypcie de Winterów w małym, szarym saksońskim kościółku półtora kilometra od Manderley. Opisałem już to przerażające złożenie do grobowca - modlitwy, pospiesznie mamrotane przez proboszcza, żadnych kwiatów, żadnych hymnów. Jeden tak zwany żałobnik, Frank Crawley, czekał przy samochodzie, a trumnę odprowadzaliśmy tylko my dwaj, Maxim i ja. Pochowaliśmy ją wieczorem, gdy na zewnątrz szalała letnia burza. Niebo zawleczone było ciemnymi chmurami, tuż nad horyzontem świeciła dziwna, fioletowa poświata. Nie położono jej nawet na należnym jej miejscu, obok rodziców Maxima, Lionela i biednej Virginii. Maxim miał inny pomysł. Rebeka ukryta została w najbardziej mrocznym i odległym kącie nieszczęsnej krypty

w miejscu, gdzie nie było jeszcze żadnych innych trumien, oddzielonym od pozostałych przodków Maxima solidną kolumną i niskim łukiem.

Nie zapomniałem o swoim zobowiązaniu, ale w obliczu gniewu i uporu Maxima ustąpiłem. Była to chyba pierwsza z moich zdrad. A Rebeka rzeczywiście wróciła, aby mnie straszyć. Nie powinienem się temu dziwić - zawsze dotrzymywała słowa.

ROZDZIAŁ 5

Siedziałem na murze nad gładką płaszczyzną morza przez ponad pół godziny, rozmyślając o przeszłości. Wiedziałem, że jeżeli uważnie posłucham zmarłych, naprowadzą mnie na właściwy trop. Czuję się wypoczęty, gotów zająć się następnymi zadaniami, które sobie wyznaczyłem. Trochę zmarłem. Tu, w Kerrith, klimat jest wprawdzie niezwykle łagodny dzięki Golfstromowi, lecz wiosenne morskie bryzy me sprzyjają moim biednym stawom, a kwiecień bezlitośnie nasila wszystkie objawy reumatyzmu. Podniosłem się. Czas otworzyć przesyłkę, pomyślałem. Muszę też zadzwonić do Greya. Barker przeciągnął się i ziewnął (strasznie leniwy z niego pies), i razem ruszyliśmy ścieżką do domu. Z kuchni płynęły cudowne aromaty - Ellie piekła chleb.

Po drodze obejrzałem starannie przycięte róże, szukając śladów mszyc (jeżeli chce się mieć zdrowe krzewy, należy zacząć je spryskiwać wczesną wiosną, nigdy nie jest na to za wcześnie) i pogratulowałem sobie, że tak porządnie wyglądają, odkąd się nimi zająłem. Są to tak zwane stare róże, które podziwiają snobistyczni wielbicielowie ogrodów, zasadzone przez moją matkę w 1900 roku, dla uczczenia początku nowego wieku. Pochodzą ze słynnej różanej kolekcji Grenville'ow, z ogrodów otaczających ich rodzinną rezydencję St. Winnow's, która znajduje się trochę wyżej nad rzeką. Matka dostała je od jednej z trzech sióstr Grenville - nie od matki Maxima, biednej Virginii, która już wtedy nie żyła, i nie od ślicznej Isoldy, która złamała moje dziewięcioletnie serce, opuszczając okolicę i wychodząc za mąż (podobno fatalnie). Musiała więc to być Evangeline.

I moja matka, i żona kochały te róże, między innymi ze względu

na ich romantyczne nazwy, głównie francuskie. Wydaje mi się nawet, że niektóre z krzewów faktycznie przywieziono z Francji, gdzie Grenville'owie mieli jakichś krewnych. Honorine de Brabant, Duchesse d'Angoulême, Cuisses de Nymphé, nazwy, które w tłumaczeniu brzmią zwykle o wiele gorzej niż w oryginale. Cuisses de Nymphé, „Uda nimf”... Bezsensowna nazwa, myślałem kiedyś. Mimo moich protestów kobiety w ogóle nie przycinały róż i te w efekcie rozrosły się w wielkie, gęste i nieuporządkowane krzewy, rozprzestrzeniając się niemal na cały ogród. Przycinałem je ostrożnie, kiedy nikt nie widział. Miały potężne, ostre kolce i moim zdaniem absolutna wolność wcale im nie służyła.

W czerwcu, kiedy wyglądały najpiękniej (przez pozostałą część roku robiły doprawdy fatalne wrażenie), przybywały tu całe pielgrzymki ich wielbicieli. Rebeka ukryła kiedyś twarz w purpurowej róży (nie pamiętam jej nazwy) i powiedziała, że wprawdzie nie spodziewa się pójść do nieba, ale gdyby jakimś cudem tam się znalazła, to jest pewna, że poczuje właśnie ten zapach. Niebiański aromat, westchnęła. Jeśli zaś chodzi o barwę, to jest to kolor pewnego gatunku wina, dodała. Rzuciłem jej chłodne spojrzenie.

- Doprawdy? Jakiego?

Mój ton także był chłodny. Wtedy nie znałem jeszcze Rebeki zbyt dobrze - było to wkrótce po tym, jak wystąpiłem z armii, przeszedłem na wcześniejszą emeryturę i wróciłem z rodziną do Sosen z ostatniej placówki w Singapurze. Był czerwiec, więc Rebeka była żoną Maxima od czterech miesięcy i do tamtego dnia widziałem ją może ze dwa razy. Odnosiłem się do niej podejrzliwie, bez konkretnego powodu. Większość młodych kobiet traktowałem podejrzliwie, zwłaszcza te czarujące. Pamiętam, że pomyślałem wtedy, iż te zachwyty to albo egzaltacja, albo jakiś złośliwy żart (Rebeka lubiła się ze mną drażnić, o czym już pisałem, a kiedy nie wyczulem, że mnie podpuszcza, potrafiła zrobić ze mnie kompletnego głupca, toteż wcześniej nauczyłem się ostrożności).

Ona i Maxim przyjechali do Sosen wczesnym wieczorem, będąc w drodze na jakieś przyjęcie. Moja żona, która lubiła Rebeke, zapytała, czy nie chciałaby obejrzeć ogrodu, a kiedy Rebeka wyraziła taką chęć, prosiła mnie, abym pokazał jej róże. Maxim widział je tysiące razy, więc został w salonie, pogrążony w rozmowie z moją żoną. Propozycja nie przypadła mi do gustu, bo tego wieczoru nie by-

lem w nastroju do towarzyskich rozmówek. Tak więc w pachnącym chłodzie kroczyłem buntowniczo obok Rebeki, mordując romantyczne imiona róż akcentem, który z pewnością me miał nic wspólnego z francuskim. W obecności młodej żony Maxima z jakiegoś powodu czułem się niepewnie i sztywno. Uznałem ją za egzotyczną i dziwną. Zacząłem już powoli odkrywać, że Rebeka nie ma pojęcia o konwencjonalnych zasadach zachowania w towarzystwie i nigdy nie wiadomo, z czym może wyskoczyć.

Kiedy przystanąła, żeby pochylić się nad różami o wszystkich odcieniach, od purpury przez miękkie fiolety po najdelikatniejszy róż, kilka razy zerknąłem na nią spod oka. Nie znam się na damskiej modzie i nic mnie to nie obchodzi, ale nawet ja się zorientowałem, że suknia, jaką Rebeka ma na sobie, jest niezwykle kreacją. Później żona z westchnieniem poinformowała mnie, że to zakupione w Paryżu cudo zostało zaprojektowane przez samą Chanel i było ostatnim krzykiem mody. Suknię uszyto z jakiegoś ciężkiego, lejącego się materiału, chyba jedwabiu. Była bardzo, bardzo prosta. Szalenie elegancka, drogi Arturze, cierpliwie wyjaśniała moja żona. Nad wycięciem w łódkę widziałem niebieskawe dolinki tuż pod kośćmi obojczykowymi. Rebeka nosiła tego wieczoru słynny naszyjnik rodu de Winter, z leciutko różowych pereł, suknia także była różowa, ale me był to jakiś tam róż. Nigdy wcześniej me widziałem takiego delikatnego, najjaśniejszego, bardzo bladego różu, prawie barwy ciała. Wpatrywałem się w tę suknię dość długo, usiłując znaleźć określenie tego koloru, kiedy nagle przyszedł mi do głowy termin -Cuisses de Nymphe, „Uda nimf”...

Zaczerwieniłem się, oddaliłem o kilka kroków i próbując przyspieszyć oględziny róż, spojrzałem na zegarek. Lecz Rebeka me zamierzała się spieszyć. Powoli przechadzała się między krzewami, nachylała się nad niektórymi kwiatami, oglądając układ ich płatków i wdychając zapach. Wyglądała poważnie, dość zasadniczo i nieprawdopodobnie młodo. Uderzyło mnie, że mimo wyrafinowanie eleganckiej sukni i wzrostu - Rebeka była wysoka i wyjątkowo smukła - sprawiała wrażenie dziecka, bardzo pięknego i poważnego dziecka, przywiezionego z daleka do kraju, gdzie nikt nie zna jego zwyczajów i języka, i nie rozumie jego narodu.

Nagle ogarnęła mnie fala dziwnej czułości i pragnienie, aby chronić Rebeke przed wszelkim złem. Uczucia te zupełnie zbiły

mnie z tropu. Odwróciła się, aby na mnie spojrzeć, i uważnie popatrzyła mi w twarz. Miałem nieprzyjemne wrażenie, że czyta w moich myślach i właśnie dochodzi do wniosku, iż jestem nudziarzem i głupcem. Oczywiście nic nie wskazywało, aby rzeczywiście coś takiego przyszło jej do głowy, ale uznałem, że muszę się jakoś bronić. Chcąc zbić ją z tropu, zacząłem się zachowywać dosyć nerwowo i niecierpliwie. Rebeka zrobiła uwagę o różach i winie, ja zaś odpowiedziałem niezbyt uprzejmie. Podniosła głowę, wyprostowała się i lekko zmarszczyła brwi. Niezwykle, pełne tajemnic oczy spoczęły na mojej twarzy. Wyjaśniła mi, jaki gatunek wina miała na myśli (jej akcent, w przeciwieństwie do mojego, był absolutnie doskonały), powiedziała, że zna je dobrze, ponieważ było to ulubione wino jej ojca, potem zaś odeszła.

Był to jedyny wypadek, kiedy Rebeka wspomniała przy mnie o ojcu, lecz wtedy nie wiedziałem, że jest w tym coś wyjątkowego. Kiedy ona i Maxim odjechali, zirytowany i zaciekawiony zszedłem do swojej dobrze zaopatrzonej piwniczki, odszukałem butelkę wina, o którym mówiła, i zaniósłem ją na górę. Nalałem odrobinę do kieliszka i zbliżyłem do kwiatu róży: rzeczywiście, miała ten sam kolor, Rebeka się nie myliła. Jak wynika z mojego doświadczenia, tylko bardzo nieliczne kobiety są dokładne, a jeszcze mniej zna się na winie. Z tych właśnie powodów Rebeka bardzo mnie teraz zainteresowała.

- Sprawdził pan? - zapytała przy naszym następnym spotkaniu, podczas jakiegoś przyjęcia w ogrodach Manderley kilka tygodni później. - Czy miałam rację?

Było bardzo gorąco, i tym razem też włożyła na siebie niepowtarzalną kreację, tyle że mlecznobiałą. Jej twarz, ramiona i szyję pokrywała lekka opalenizna, co bardzo mnie zaskoczyło, ponieważ w tamtych czasach kobiety unikały słońca i wysoko ceniły białą skórę. Błada karnacja była atrybutem damy, jak mówiono. Ta moda miała się wkrótce zmienić, ale Rebeka nigdy nie przejmowała się dyktatami mody i po prostu robiła to, co chciała. Tamtego wieczoru nie nosiła także ani rękawiczek, ani kapelusza i ta „nagość” wywołała we mnie głębokie wzburzenie.

- Tak, sprawdziłem - odpowiedziałem. - Miała pani rację. Mogłem udać, że nie rozumiem jej pytań, ponieważ zadała je od razu, bez żadnego wyjaśnienia czy kontekstu, ale miałem dziwne

wrażenie, iż zdaję egzamin, i niespodziewanie zaczęło mi bardzo zależeć na pozytywnym wyniku.

- To dobrze. - Skinęła krótko głową, zostawiając mi pole do domysłów, czy znaczy to, że jest zadowolona z potwierdzenia swojej dokładności i spostrzegawczości, czy też dlatego, że zdecydowałem się to sprawdzić. Wzięła mnie pod rękę - suknia miała krótkie rękawy i prawie całe jej ramię było nagie. - Uznał pan, że jestem egzaltowana i pretensjonalna - ciągnęła. - Proszę nie zaprzeczać, nie warto. Miał pan prawo, aby tak pomyśleć - jeszcze mnie pan przecież nie zna.

Wyjąkałem coś w odpowiedzi. Nie pamiętam i nie chcę pamiętać, co to było, ale niewątpliwie zdobyłem się na jakiś pobłażliwy komplement poprzedzony zwrotem „moja droga”, który miał uczynić ze mnie w jej oczach sztywnego jak kołek, starego głupca. Miałem wtedy czterdzieści sześć lat, nie byłem tak znów dużo starszy od jej męża, lecz z jakiegoś powodu doszedłem do wniosku, że bezpieczniej będzie udawać sześćdziesięciosześcioletniego starca. Była to maska, którą co najmniej od dziesięciu lat wkładałem wtedy, gdy uznałem to za wygodne.

- Tak czy inaczej, cieszę się, że miałam rację - rzekła, ignorując moją odpowiedź. Chyba dobrze wiedziała, że ma mnie w garści. - Gdybym się pomyliła, od razu by mnie pan skreślił i wtedy nigdy nie zostalibyśmy przyjaciółmi. Byłoby mi przykro, bo chcę mieć przyjaciół, a proszę spojrzeć - poza panem nie ma tu innego kandydata...

Z rozbawionym spojrzeniem wskazała grupę innych gości, stojących na tarasie. Byli tam Maxim i jego siostra Beatrice, zauważyłem też Franka Crawleya, przyjaciela Maxima z okresu pierwszej wojny, obecnie zarządcę Manderley, kilka miejscowych starych panien, między innymi moje przyjaciółki, Elinor i Jocelyn Briggs, córki Evangeline, jednej z „trzech Gracji”. Manderley odwiedzili też tego dnia przedstawiciele najbardziej liczących się w hrabstwie rodzin, biskup oraz aż zbyt wielu starych sztywniaków w kapeluszach panama i garniturach bardzo podobnych do tego, jaki miałem na sobie. Można powiedzieć, że nastąpiła prawdziwa inwazja dawnych kumpli pułkownika Julyana, co trochę mnie przygnębiło.

Znałem wszystkich tych ludzi. Większość była potwornymi nudziarzami, więc by ukryć fatalny humor, skryłem się w altanie. Są-

dzę, że Rebeka wiedziała o tym. Co stało się później? Wróciła do gości, ponieważ niezależnie od tego, co mówiła, zawsze była bardzo uprzejma. Jej słowa pochlebiły mi, chociaż nie sądzę, aby taki miała zamiar. Po pewnym czasie rzeczywiście zostaliśmy przyjaciółmi, za co powinienem być wdzięczny chyba właśnie moim różom.

Poszukałem wzrokiem róży o niebiańskim zapachu - nie mogłem sobie przypomnieć, czy była to trzecia, czy czwarta od lewej. Tabliczki z nazwami dawno już zniknęły, a poza tym, za sprawą mojej niekonwencjonalnej techniki przycinania, róże wyglądały teraz zupełnie inaczej. Kiedyś były to wielkie, rozbuchane krzaczyska, przygięte do ziemi pod ciężarem kwiatów, dziś zostały z nich tylko drobne, sięgające kolan krzaczki. Lubię, kiedy kwiaty stoją w równych szeregach, jak żołnierze na musztrze, ale, naturalnie, zdaję sobie sprawę, że nie wszyscy podzielają moje upodobania.

Istniało pewne niebezpieczeństwo, że niemożność odnalezienia róży potraktuję jako zły omen, gdyż ostatnio prawie we wszystkim dopatruję się złych i dobrych znaków. Odkryłem, że na starość staję się przesądny. Przyłapuję się na obchodzeniu dookoła drabiny lub odstukiwaniu w niemalowane drewno jak jakiś przekłety dzieciociół. Z całą pewnością nie jest to dobry znak. Jeżeli rozmiękczenie mózgu (cóż to za nieprzyjemne określenie!) na początku daje o sobie znać właśnie w taki sposób, to mam poważne powody do obaw. Nie zamierzam ulegać tego rodzaju słabościom. Zdecydowanym krokiem podszedłem do francuskiego okna.

- Siad, Barker! - rzuciłem ostro, wskazując psu matę przed kominkiem.

Barker cztery razy obszedł pokój, podrapał się, obdarzył mnie przejmującym spojrzeniem i wreszcie, zamanifestowawszy niezależność umysłu, położył się i natychmiast zapadł w sen.

Sięgnąłem po telefon, żeby zadzwonić do Greya. Doszedłem do wniosku, że Terence Grey na pewno mi się przyda. Jego zainteresowanie Manderley wręcz predestynowało go do roli mojego asystenta, postanowiłem jednak, że nim zwrócę się do niego z prośbą o pomoc, sprawdzę, jak będzie się zachowywał w czasie dzisiejszego spaceru po lesie. Wtedy uświadomiłem sobie, że jeszcze me zaprosiłem go na wspomniany spacer. Zacząłem wybierać numer, gdy nagle zmieniłem decyzję, przypomniawszy sobie, że nie

otworzyłem dotąd otrzymanej rano przesyłki. Wziąłem do ręki kopertę i obejrzałem ją dokładnie. Nie łudziłem się, że wewnątrz znajduje się coś interesującego, lecz mimo woli poczułem miły dreszcz podniecenia. Gdybym mógł przeczuć, co skrywa szary papier, moja reakcja byłaby o wiele silniejsza.

W kopercie znajdował się niewielki notes w czarnej okładce, podobny do szkolnego zeszytu, chociaż nieco mniejszy. Posiadał pewną niezwykłą cechę - był wiązany na przytwierdzone do okładki skórzane rzemyki, teraz owinięte dookoła grzbietu i tworzące ozdobną kokardkę.

Nie mam pojęcia, dlaczego notes wydał mi się znajomy i dlaczego jego widok obudził we mnie niesprecyzowany, lecz wyraźny niepokój. Sprawdziłem, czy w kopercie nie ma nic więcej, rozwiązałem rzemyki i otworzyłem notes. Ku mojemu zdumieniu, ze środka wypadła stara pocztówka z sepiową fotografią Manderley, najwyraźniej wcześniej przyklejona do ostatniej kartki. Pocztówka była zupełnie czysta, a w kopercie nie znalazłem żadnego listu, który wyjaśniałby znaczenie przesyłki. Na kopercie me podano też nadawcy. Zmarszczyłem brwi. Bardzo dziwne, pomyślałem. Anonimowy prezent...

Większość stron w notesie, jeżeli nie wszystkie, była mezapisana. Mój niepokój wzrósł. Kto mógłby anonimowo przysłać mi pusty notes i po co?

Położyłem tajemniczy podarunek na biurku, aby dokładnie go przejrzeć. Ajednak me był zupełnie pusty - jedna strona, pierwsza, została ozdobiona małą czarno-białą fotografią.

Zdjęcie, trochę wypłowiałe i pożółkłe, przedstawiało dziecko, dziewczynkę. Wyglądała na siedem, może osiem lat, miała burzę wijących się, czarnychjak atrament włosów, wyjątkowo duże, piękne oczy oraz chyba lekko umalowane wargi, zbyt wyraźnie zarysowane i wydatne, aby były naturalnego koloru. Nie akceptuję malujących się kobiet, a zwłaszcza makijażu u małych dziewczynek z zadatkami na atrakcyjność. To dziecko mogło wprawdzie grać rolę w jakiejś wystawianej przez amatorów sztuce, albo może makijaż stanowił część przebrania na bal maskowy. Dopiero po chwili, oglądając fotografię przez szkło powiększające, zauważyłem, że do pleców dziewczynki przypięte były dziwaczne skrzydełka z gazy w kropki.

Wróżka? Chochlik? Aniołek? Nie sposób dociec, co właściwie miał przedstawiać kostium, lecz wyraz twarzy dziecka z pewnością nie był anielski. Nie mogłem odgadnąć, kiedy wykonano fotografię, lecz sądząc po stylu malowanego tła za plecami dziewczynki (najprawdopodobniej zawieszonego w studiu płótna obrazującego wyjątkowo bujne listowie oraz urny pogrzebowe), doszedłem do wniosku, że musi pochodzić co najmniej sprzed czterdziestu lat. Mała wróżka przywdziała skrzydełka koło 1910 lub 1912 roku, w każdym razie z pewnością przed pierwszą wojną.

Nie poznałem jej. Napiszę to jeszcze raz: nie poznałem jej. Teraz dostrzegam ewidentne podobieństwo tamtego dziecka do kobiety, którą znałem - jej włosy i oczy zwracały uwagę już wtedy. Ale powinienem był dostrzec je natychmiast, bo w końcu przez ostatnie dwadzieście pięć lat nie było dnia, bym o niej nie myślał. Tak czy inaczej, wtedy, zaskoczony i niepewny, nie zorientowałem się, że patrzę na nią. Zrozumiałem, co to za fotografia, dopiero kiedy odwróciłem kartkę i zobaczyłem dwa słowa, jedyne, jakie znajdowały się w pustym notesie. Napisano je czarnym atramentem, dziecinnym charakterem pisma, spiczastymi literami, z długim, węzowym zawijasem biegnącym od ostatniej litery i zajmującym prawie całą stronę. „Opowieść Rebeki”.

Byłem głęboko poruszony, wstrząśnięty. Kto chciał mnie teraz dręczyć i dlaczego? Wstyd mi, ale jednak się przyznam - w pierwszym momencie pomyślałem, że to sama Rebeka przysłała mi notes ze zdjęciem, że była to wiadomość zza grobu. Zakręciło mi się w głowie. Patrzyłem na słowa „Opowieść Rebeki” i czułem, że biurko się chwieje. Czy możliwe, aby napisała je własnoręcznie? Czy miałem przed sobą zarodek charakteru pisma, który później tak dobrze poznałem? Być może. Przyglądałem się poszczególnym literom i myślałem o tej małej trumnie, o dziecięcej trumience z mojego snu.

Byłem bardzo podniecony, a serce znowu rozpoczęło rozpaczliwy taniec. Gdy trochę się uspokoiłem, uważnie obejrzałem sepiową pocztówkę. Kiedyś była przyklejona do ostatniej strony, lecz ślady po kleju wyglądały na bardzo stare. Nigdy wcześniej nie widziałem takiego zdjęcia Manderley i jego obecność w notesie wydała mi

się zastanawiająca. O ile wiedziałem, w okresie dzieciństwa Rebeka nie miała me wspólnego z tą okolicą i me odwiedzała jej, dlaczego więc miałyby wkleić tę pocztówkę do notesu, którego używała jako dziewczynka?

Charakter pisma na szarej kopercie me był podobny do charakteru pisma Rebeki czy tego, którym napisano dwa słowa w notesie. Zauważyłem to, kiedy trochę otrząsnąłem się z szoku. Pieczętka na znaczku była zupełnie nieczytelna. Jeszcze raz obejrzałem grubą, sztywną kopertę. Nie było w niej nic nadzwyczajnego, identyczne koperty można kupić na terenie całego kraju, w każdym z tysiąca miejskich i wiejskich sklepów papierniczych. Sam miałem paczkę takich w szufladzie biurka. Usiłowałem odczytać przez lupę nazwę miejscowości, w której nadano przesyłkę, ale niewiele to dało. Jedna z liter przypominała „K”, chociaż niewykluczone, że było to „E”.

Wpatrywałem się w nią długą chwilę. Nagle w moim sercu obudziły się najrozmaitsze podejrzenia i nie zwlekając, zadzwoniłem do Terence'a Greya.

Nie wspomniałem mu ani słowem o lunchu, na który chciała zaprosić go Ellie. Niech uparty Terence (lub Terier, jak go czasami nazywałem) sam o siebie zadba. Darzyłem Greya w najlepszym razie mieszanymi uczuciami, a w tej chwili bynajmniej nie byłem do niego dobrze usposobiony. Czy Terence Grey mógł przysłać mi ten notes? A jeżeli tak, to dlaczego? Postanowiłem, że do końca dnia poznam odpowiedzi na te pytania.

- Czy coś się stało, pułkowniku Julyan? - zapytał, wysłuchawszy kilku moich uwag na temat pogody. - Mam nadzieję, że wszystko w porządku, choć sądząc po głosie, jest pan mocno wzburzony...

Zignorowałem pytanie i zgodnie z wcześniejszym planem zaproponowałem mu popołudniowy spacer. Nie powiedziałem ani słowa o tajemniczym notesie, dziecku ze skrzydełkami i swoim śnie. Oczywiście pan Specjalista od Zagadek bez wahania przystał na moją propozycję.

- Przyjdę do Sosen na lunch, pułkowniku - oświadczył. - Myślałem, że pan wie, bo Ellie dzwoniła do mnie wcześniej. Wobec tego zobaczymy się koło dwunastej trzydzieści. Bardzo się cieszę na nasze spotkanie, bo mam panu dużo do powiedzenia. Dziś rano zadzwonił Jack Favell z Londynu. Wreszcie zgodził się ze mną poroz-

mawiać. Och, a wczoraj odwiedziłem Fritha w tym domu opieki, o którym mi pan powiedział...

- Co pan zrobił? - zapytałem.

- Odwiedziłem Fritha w St. Winnow's. Jest bardzo słaby, ale myli się pan, sądząc, że ma galopującą sklerozę. Wręcz odwrotnie, ma doskonałą pamięć. Rozmawialiśmy przez dwie godziny i dał mi pewne fascynujące materiały.

Materiały? Odłożyłem słuchawkę. Dwa wstrząsy w ciągu pół godziny to trochę za dużo. Frith, którego wcześniej skreśliłem z listy „świadców”, musi liczyć sobie co najmniej sto dziewięćdziesiąt lat, i jest to bardzo łagodna ocena. Zawsze był apologetą rodziny de Winter i nigdy nie znosił Rebeki, którą uważał za intruza. Krótko mówiąc, niegdysiejszy lokaj z Manderley nie jest godnym zaufania świadkiem i nawet jeżeli nie padł ofiarą sklerozy, to śmiało można nazwać go snobem, wtrącałskim, ludzką skamieliną i niepoprawną fujarą.

Grey nie powinien z nim sam rozmawiać i fakt, że to zrobił, poważnie mnie zaniepokoił. Grey demonstrował te niezależne tendencje już wcześniej (w zeszłym tygodniu pojechał do Londynu, żeby dowiedzieć się czegoś o de Winterach i nadal nie wiem, dlaczego zdecydował się na taki krok, choć wielokrotnie go pytałem). Teraz okazało się, że umówił się na spotkanie z tym kłamcą Favellem i już rozmawiał z Frithem. Czasami odnoszę wrażenie, że Grey gra na własną rękę. Frith wie o mnie bardzo dużo, podobnie jak o rodzinie de Winter, i jeśli rozmawiali dwie godziny - dwie godziny, na miłość boską! - to kto wie, jakich bzdur ten stary głupiec mu nagadał.

Czyżby Grey był przebiegły i podstępny? To podejrzenie narodziło się w moim umyśle dość dawno temu. Ellie, oczywiście, w ogóle w to nie wierzy. Twierdzi, że czytam za dużo powieści kryminalnych, że robię się nienaturalnie podejrzliwy i wkrótce zacznę dopatrywać się niecznych intencji w jej poczynaniach. Ellie zawsze wychwala Greya pod niebiosa, zaznaczając, że jego główną zaletą jest nie jego męska uroda czy stan cywilny (wolny), lecz szacunek

i dobroć, jakie mi okazuje.

- Terence zmusza cię, żebyś wylazł ze swojej skorupy - oświadczyła niedawno. - Dobrze, że masz kogoś, z kim możesz porozmawiać o przeszłości, Manderley i tak dalej, zwłaszcza że Terence'a

bardzo to wszystko interesuje. Nie bądź takim zrzędą, tato. Sam mówisz, że Terence podnosi cię na duchu.

Ten refren usłyszałem dzisiaj rana kilka razy. Zauważyłem też, że Ellie się przebrała. Na cześć Teriera wyglądała teraz na dwadzieścia jeden lat, to jest o dziesięć lat młodziej niż wczoraj, i dziesięć razy ładniej. W jaki sposób kobiety przechodzą te transformacje? Ellie zupełnie wyjątkowo wybrała całkiem przyjemne rzeczy -nie spodnie (z uporem chodzi w spodniach!), lecz skromną spódnicę i prostą bluzkę, którą ozdobiła sznurem pereł, jakie oboje z żoną ofiarowaliśmy jej na dwudzieste pierwsze urodziny. Wyglądała niewinnie, troszkę figlarnie i ślicznie. Miękkie, brunatne włosy były świeżo umyte, skóra lśniła, a w łagodnych oczach czaił się błysk, który sprawił, że natychmiast zacząłem się o nią niepokoić. Chcę, żeby Ellie miała szczęśliwą przyszłość i nie mogę znieść myśli, że ktoś mógłby ją zranić.

Ellen, moja Ellie, jest teraz dla mnie wszystkim. Moja żona, Elizabeth, zmarła w czasie wojny, po wielu latach choroby. Samolot myśliwski, który pilotował mój syn, Jonathan, został zestrzelony dwa tygodnie przed zawieszeniem broni. Nigdy nie odnaleziono ani maszyny, ani lotników. Starsza córka, Lily, z którą niestety straciłem kontakt, umarła po porodzie pięć lat później, a dziecko, mój maleńki wnuczek, przeżyło ją tylko o dwa tygodnie. Nigdy nie mówię o tej serii wydarzeń rodem z greckiej tragedii i tutaj także nie wspomnę o nich więcej. Podkreślam jedynie oczywisty fakt -wszystkie moje nadzieje i plany koncentrują się teraz wyłącznie wokół Ellie. Tego rana, czekając na przyjście Greya, myślałem o mojej ukochanej córce dużo i intensywnie.

Nie bardzo wiedziałem, co ze sobą zrobić. Bez celu chodziłem po domu, po swoim gabinecie, po ogrodzie i wreszcie po kuchni, gdzie wyraźnie przeszkadzałem Ellie. Nie mogłem się uspokoić. Martwiłem się jej przyszłością, lecz równie wielki niepokój budziła we mnie fotografia tamtego dziecka ze skrzydłami. Czuję, że jestem stary, zgorzkniały i bezradny. Wszystkie wspaniałe postanowienia, powzięte ubiegłej nocy, wydawały mi się teraz coraz mniej możliwe do zrealizowania. Napisać prawdę? Ale co było prawdą? Może powinienem skupić się na teraźniejszości, nie na przeszłości...

Nagle uderzyła mnie pewna myśl - jeżeli zgodnie z wcześniejszym planem zdecyduję się na współpracę z Greyem, to z koniecz-

ności zacznie on częściej odwiedzał Sosny, a co za tym idzie, Ellie będzie go częściej spotykać. Mnie nie sprawi to zbyt wielkiej przyjemności, ale jej tak. Wiedziemy raczej samotne życie i moja córka rzadko ma okazję przebywać w towarzystwie ludzi w swoim wieku. Ten przejaw wspaniałomyślności natychmiast poprawił mi humor. Z wyprawy w okolice melancholijnej araukarii wróciłem dużo weselszy, sprężystym, prawie lekkim krokiem.

Kiedy wszedłem do domu, Terence Greyjuż tam był. Ellie, która przez cały ranek harowała w kuchni, przygotowując świeży chleb i zapiekankę z kurczaka, z niewzruszonym spokojem informowała go właśnie, że będzie musiał zjeść gulasz z resztek mięsa z całego tygodnia. Bardzo ucieszył mnie ten niewinny żart. Jaki ojciec, taka córka, powiedziałem sobie. Może rzeczywiście się starzeje, ale nie znaczy to, że coś jest ze mną nie tak. Walczyłem w czasie pierwszej wojny, a w czasie drugiej wróciłem do wojska i zająłem się łamaniem szyfrów. Nadal jestem sprytnym starym lisem, pomyślałem. Czuję, że poradzę sobie z Greyem, że zdołam popchnąć go we właściwym kierunku i zapanować nad wszystkimi jego niepożądanymi tendencjami, jakie mogą się ujawnić.

Nie miałem wątpliwości, że w krótkim czasie dowiem się, co powiedział mu stary Frith, i z tą pocieszającą myślą (między innymi) zaproponowałem Greyowi kieliszek okazji kupionej sherry. Była zupełnie niezła, może tylko odrobinę za słodka. Potem wziąłem go pod obleczone w szarą marynarkę ramię i zaprowadziłem do gabinetu na przyjacielską pogawędkę przed lunchem.

ROZDZIAŁ 6

- I jak tam stary Frith? - zapytałem, uznawszy, że nie ma co owijać w bawełnę. - Dowiedział się pan czegoś ciekawego? Nie za chłodno panu, Grey? Dziś rano było dosyć zimno, więc poprosiłem Ellie, by zapaliła tu w kominku. Dobra sherry? Mam nadzieję, że panu smakuje.

Ustawiłem się tyłem do ognia, który trzaskał przyjemnie. Grey jak zwykle przechadzał się po gabinecie, szukając dla siebie wygodnego miejsca. Patrzył na półki z książkami, które podobnie jak za życia mojego dziadka pokrywają wszystkie ściany od podłogi do sufitu. Nim zaczniesz ze mną rozmowę, lubi zrobić sobie krótki przegląd tytułów, i ten ranek nie był wyjątkiem. Co chwilę przystawał, z zainteresowaniem przyglądał się jakiejś książce, po czym przesuwał się dalej. Uśmiechnąłem się do siebie. Zauważyłem, że niektórzy goście lubią „czytać” półki z książkami i na podstawie ich zawartości wysnuwać wnioski co do charakteru właściciela, jego skłonności intelektualnych i tak dalej. Niewątpliwie Grey należy do tej grupy. Ponieważ ten nawyk bardzo mnie irytuje, od czasu jego ostatniej wizyty zmieniłem w kilku miejscach układ tomów na półkach. Przygotowałem w ten sposób mały test dla niego i teraz byłem bardzo ciekawy, czy zauważy zmiany.

Po lewej stronie od wejścia znajdują się starsze, oprawne w skórę tomy, które stanowiły główną część biblioteki mojego dziadka. Grey, przechodząc obok, obrzucił je przelotnym spojrzeniem. Dalej, blisko wielkiego okna we wnęce, mają swe miejsce działy poświęcone botanice, historii wojskowości oraz literaturze starożytnej Grecji i Rzymu, którą dziadek nauczył mnie kochać. Ellie często

odkurza dzieła klasyków, chociaż ostatnio sięgam po nie raczej rzadko. Dzięki dziadkowi tak dobrze pamiętam te utwory, że jeszcze dziś potrafię wyrecytować z pamięci obszerne fragmenty *Iliady* i czasami to robię. Jedyńm świadkiem moich występów jest Barker i wydaje mi się, że tak jest najlepiej.

Grey przystanął przy autorach starożytnych, lecz zaraz poszedł dalej, w róg gabinetu, gdzie stoją klasyczne dzieła literatury angielskiej, między innymi utwory Chaucera i Malory'ego, także mocno podniszczona *Le Morte d'Arthur* tego ostatniego, ulubiona lektura mojej matki, a w dzieciństwie i moja. Właśnie Malory'emu zawdzięczam swoje dwa imiona - Artur i (Boże, wolałbym o tym nie wspominać) Lancelot.

Grey poświęcił kilka chwil Camelotowi, potem zaś minął wszystkie najbardziej rzucające się w oczy przystanki: Szekspir, Milton, Dryden i Pope - ukochane zbiory poezji mojego syna, popadł w zamyślenie obok stojących na jednej z wyższych półek romantyków, przystanął przy Housmanie i skupił uwagę na powieściach. Tu, na ścianie naprzeciwko drzwi, mamy osiemnastowieczną prozę, od Sterne'a i niezrównanego Fieldinga poprzez Waltera Scotta, tę pretensjonalną Austen oraz przekłete siostry Brontë po ziemię obiecaną nieco późniejszego okresu, to znaczy Dickensa i Hardy'ego. Na wielki finał mamy też skrawki literatury rosyjskiej, niemieckiej i kilku błyskotliwych Francuzów, którzy moim zdaniem są niezrównani w sprawach seksu (nie muszę chyba mówić, że nigdy nie wypowiedziałem tej opinii na głos).

I wreszcie, na ścianie obok, przy której nie musimy się zatrzymywać (choć Grey właśnie tam przystanął), możemy znaleźć mieszankę różnych lektur, głównie tych, po jakie w danym okresie często sięgam. Stoją tu dzieła Tennysona, Conan Doyle'a (także Arthura!), Agathy Christie, *Dzieła zebrane Szekspira*, książka autorstwa mojego dziadka, zatytułowana *Historia parafii Manderley oraz Kerrith, wraz z opisem tras spacerowych*, klasyczne Wielkie procesy o morderstwo naszej epoki Bowmana, obie książki o „tajemnicy Manderley”, *Opowiadania przygodowe dla chłopców*, wydanie z 1890 roku oraz wszystkie tomy cyklu Marcela Prousta.

Ponieważ zmian dokonałem właśnie w tej ostatniej sekcji, z zaciekawieniem obserwowałem Greya. Zauważy czy nie? Grey obdarzony został przez naturę znakomitą pamięcią i niezwykłą spostrze-

gawczością. Dostrzegłem błysk rozbawienia w jego oczach. Wyjął jeden z tomów z półki (dobra robota, panie Grey, zdał pan egzamin!) i uśmiechnął się. Potem, zgodnie z moimi oczekiwaniami, powoli obszedł dookoła moje biurko.

Jak już mówiłem, panuje na nim spory bałagan, lecz przesyłkę, którą otrzymałem rano pocztą, położyłem na samym środku, żeby łatwo było ją zauważyć, osobno kopertę, a tuż obok zamknięty czarny notatnik, obwiązany czarnymi rzemykami. Nie spuszczałem oka z twarzy Greya. Nie było żadnej reakcji. Niestety, nie powiedziało mi to wiele, ponieważ: a) mógł mimo wszystko nie spostrzec notesu, b) jest naprawdę wyjątkowo opanowanym człowiekiem.

W końcu Grey zatrzymał się obok mnie i nachylił się, aby poklepać Barkera, za co został nagrodzony nieco cuchnącym liźnięciem. Barker niewątpliwie darzył w tym momencie Greya większą sympatią niż ja, ponieważ ja postanowiłem, że swoją opinię o młodym człowieku sformułuję później. Wszystko zależy od tego, jak Grey będzie się posługiwał sztucami w czasie lunchu, co powie o Forcie i jak zachowa się, gdy na popołudniowym spacerze pokażę mu Manderley. I rzeczywiście, przed końcem dnia wiedziałem już, co o mm myśleć, chociaż do ostatecznych wniosków doszedłem w zupełnie inny sposób, niż się spodziewałem, o czym wkrótce.

Grey ma świetny słuch, ale czasami potrafi udawać głuchego. To była właśnie jedna z tych okazji. Dziwnym zbiegiem okoliczności usłyszał moje pytanie o sherry, ale nie dotarło do niego pytanie o samopoczucie przedpotopowego Fritha. Podniósł kieliszek do światła, pociągnął mały łyk i zakrztusił się.

- Hmm... Niezwykły smak - powiedział, ocierając łzy. - Skąd pan to dostał, pułkowniku?

- Cieszę się, że panu smakuje - rzekłem. - Siostry Briggs namówiły mnie na ten zakup. Jakiś człowiek z Tregarron sprzedał im skrzynkę, która najprawdopodobniej wypadła za burtę czyjegoś kutra... - Znacząco trąciłem palcem czubek nosa. - Takie wyjaśnienie wydaje mi się jak najbardziej rozsądne, w każdym razie panny Briggs miały pewne wyrzuty sumienia i chętnie odsprzedały mi kilka butelek...

- Czarny rynek... - mruknął Grey. - No, no... Kolor tej sherry jest niepowtarzalny, a smak... Nie mogę znaleźć odpowiednich słów, aby go opisać...

Znowu nachylił się nad Barkerem i poklepał go po głowie, co wydało mi się zupełnie zbędne. Potem podszedł do okna i zauważył, że mamy wyjątkowo piękny dzień. Nie zamierzałem tego dłużej tolerować.

- Więc co Frith miał do powiedzenia? - zapytałem, tym razem bardziej zdecydowanym tonem. - Powinien był pan mi powiedzieć, że się do niego wybiera. Z przyjemnością bym panu towarzyszył. Nie widziałem Fritha od wielu lat, co najmniej od piętnastu... Mówił coś o Lionelu de Winter, ojcu Maxima? Był do niego bardzo przywiązany, a w ostatnim okresie jego choroby pomagał go pielęgnować. Był także obecny przy jego śmierci w 1914 roku...

- Chyba w 1915, pułkowniku.

- Tak. Tak, oczywiście. Frith miał później tendencję do snucia ponurych opowieści o ostatnich chwilach Lionela.

- Naprawdę? Raz czy dwa wspomniał o Lionelu de Winter, ale tylko przelotnie. Oczywiście, jest samotny, ale robi wrażenie dość pogodnego. Chociaż nie wstaje z wózka inwalidzkiego, wydaje się, że tryska energią. Całkiem żwawy staruszek. Pielęgniarki ciągle skaczą dookoła niego...

Akurat to mogłem sobie bez trudu wyobrazić. Frith, który kiedyś dowodził armią służących w Manderley, Frith, który z odległości stu kroków potrafił dostrzec maleńki pyłek... Zwrot „żwawy z niego staruszek” wprowadził mnie w dziwne przygnębienie. Pomyślałem, że mógł go użyć tylko ktoś naprawdę młody. Grey miał trzydzieści parę lat. Słowo „samotny” także mi się nie spodobało. Czy Grey uważa, że ja również jestem samotny? To byłoby nie do zniesienia. Przełknąłem duży łyk sherry. Faktycznie miała oryginalny smak, jakiś taki rybno-słodki. W pierwszej chwili trochę nieprzyjemny, ale można się było do tego przyzwyczaić. Postanowiłem nie rezygnować.

- Wspominał Rebeke? - ciągnąłem ze sztuczną nonszalancją. - Na pewno tak. Miał lekką obsesję na jej punkcie, prawdę mówiąc...

- Obsesję, pułkowniku?

- Po prostu nigdy jej nie lubił. Wydaje mi się, że mówiłem panu o tym. Można nawet zaryzykować twierdzenie, że jej nie znosił. Rebeka sprowadziła panią Danvers, która objęła stanowisko gospodyni, co bardzo nie spodobało się Frithowi. Danvers nie uważała się za stojącą niżej w hierarchii służby od Fritha i to także nie przypadło mu do gustu. Zawsze wydawało mi się jednak, że najbardziej

drażniło go to, iż pani Danvers wywiązywała się ze swych zadań bez zarzutu, była naprawdę idealną gospodynią. Mam nadzieję, że będzie pan o tym pamiętał, Grey. Zwłaszcza jeżeli zamierza pan spotkać się z tym przeklętym Jackiem Favellem, a nosi się pan z tym zamiarem, prawda?

- Tak. Favell zwodził mnie przez parę tygodni, ale w końcu zgodził się na spotkanie. Teraz doszedł do wniosku, że chce zobaczyć się ze mną jak najszybciej, więc jadę do Londynu w piątek rano.

- Cóż, liczę, że będzie pan pamiętał o moich radach. Favellowi nie można ufać, a dotyczy to zwłaszcza pana. Nakarmi pana stekiem kłamstw. Wszystkie jego wyznania należy przepuścić przez gęste sito. Ostrzegałem pana wiele razy, Grey - niech pan unika nieobiektywnych świadków!

- Rzeczywiście mnie pan ostrzegał, pułkowniku - odparł Grey. - Dobrze pamiętam tę radę. Słowo daję, że staram się o niej nie zapominać.

Mówił suchym, przesadnie spokojnym tonem, a jego zachowanie emanowało sarkazmem, chociaż nie mam pojęcia, dlaczego. Już zamierzałem go zaatakować, gdy Ellie, lekko zaróżowiona po kuchennych wysiłkach, wsunęła głowę do gabinetu i oświadczyła, że lunch gotowy.

- Ach, jesteś wreszcie, Ellie! - zawołałem. - Zastanawiałem się, gdzie się podziałaś. Pozwól, że naleję ci kieliszek sherry...

Przyznam od razu, że moja reakcja na pojawienie się Ellie była czymś w rodzaju zasłony dymnej. Doskonale wiedziałem, gdzie podziewała się Ellie - racjonowanie mięsa bardzo utrudnia życie, Ellie zaś zawsze upiera się, aby przygotować obfity i smaczny posiłek, kiedy mamy gości, choć ostatnio zdarza się to bardzo rzadko. Tak więc Ellie była w kuchni, z głową w piecyku lub rękoma w zlewie. Obierała, skrobała, obgotowywała, ubijała i mieszała, lecz ja nie lubię, aby obcy o tym wiedzieli. Ellie uważa, że zachowuję się zupełnie bezsensownie, ponieważ w dzisiejszych czasach prawie nikt nie ma kucharki, nie wspominając już o pokojówce. Twierdzi też, że uwielbia gotować i sprzątać, więc dlaczego miałbym to ukrywać? Na to pytanie nie potrafię udzielić innej odpowiedzi poza tą, że fakt, iż Ellie wykonuje tego rodzaju czynności, budzi we mnie uczucie głębokiego zażenowania, którego po prostu nie jestem w stanie przetrwać.

Może udałoby mi się to, gdybym należał do innego pokolenia. Gdybym nie miał świadomości, że domowe zajęcia Ellie zdradzają marny stan naszych finansów, świadczą o tym, iż moja emerytura jest niewysoka, skąd bierze się wzruszająca ostrożność w dokonywaniu inwestycji... Cóż, naga prawda jest taka, że nie powodzi nam się zbyt dobrze, ale wolałbym umrzeć, niż zwierzyć się z tego Greyowi czy komukolwiek innemu.

Oczy Ellie spoczęły na chwilę na twarzy Greya. Zaczerwieniła się. Ellie ma do mnie bardzo opiekuńczy stosunek, więc byłem przekonany, że szuka w jego twarzy śladów ironii.

- Chyba nie mam ochoty na sherry, tato - powiedziała. - Na pewno jest pyszna, ale...

- Zdecydowanie polecam sherry - wtrącił Grey i uśmiechnął się do Ellie.

Okazało się, że to wystarczy, aby zmieniła decyzję.

- Dobrze, dlaczego nie? - odparła, również z uśmiechem. - Pół kieliszka, nie więcej, żebym nie stała się zbyt gadatliwa...

Ta uwaga wydała się nam obu bardzo czarująca. Grey był wyraźnie rozbrojony i rozbawiony - znowu dostrzegłem w jego oczach ten wesoły błysk. Jego sarkazm zniknął bez śladu i Grey zaczął uprzejmie gawędzić z Ellie. Ignorując jego protesty, w nagrodę dolałem mu sherry. Mniej więcej dziesięć minut później Ellie oznajmiła, że zapiekanka nie może czekać ani chwili dłużej, a na przystawkę są krewetki w sosie - moje ulubione. Przeszliśmy więc do jadalni (nie zgodziłem się na jedzenie w kuchni) i zasiedliśmy do pięknie nakrytego stołu.

Okoliczności uświadomiły mi, jak śliskim klientem jest Grey. Już myślisz, że masz go na haczyku, gdy on jednym sprawnym ruchem wyślizguje się z ręki. Wydobyć od niego konkretną odpowiedź jest znacznie trudniej niż od kogokolwiek innego, oczywiście nie licząc mnie. Nie ulega wątpliwości, że Grey coś ukrywa. Ale co?

ROZDZIAŁ 7

Zaraz opowiem o lunchu i naszym spacerze po lesie wokół Manderley. Wydarzenia, jakie miały miejsce tego popołudnia, były dziwne, bardzo zastanawiające i pozostawiły mnie w stanie głębokiego wzburzenia. Chcę trochę się uspokoić, aby opisać je tak, jak należy. Tymczasem, zgodnie z moją wcześniejszą obietnicą, zajmę się równie ważną sprawą, a mianowicie samym Terenceem Greyem. Sądziłem, że Grey odegra drugorzędną rolę w mojej historii, widziałem go jako kogoś w rodzaju sekretarza i pomocnika, Watsona stojącego u boku Holmesa, którym oczywiście miałem być ja sam. Cóż, kiedy wydarzenia tego dnia zmusiły mnie do zmiany zdania. Uświadomiły mi, że Grey, czy mi się to podoba, czy nie, jest postacią, bez której moja wyprawa „w poszukiwaniu” Rebeki zakończy się klęską. Nie miałem zbytnej ochoty opowiadać tu o Terierze, dlatego ociągałem się i zwlekałem, ale teraz wreszcie muszę to zrobić.

Grey przybył do Kerrith sześć miesięcy temu, w okresie niezbyt dla mnie szczęśliwym. Leżałem w łóżku po kilku napadach zawrotów głowy i jednej niewyjaśnionej utracie przytomności. Nasz dobry doktor, typowy pesymista, oświadczył, że był to niewielki zawał. Nie zgodziłem się z tą diagnozą i nadal się z nią nie zgadzam, lecz naturalnie nikt mnie nie słuchał i zostałem skazany na dłuższy „odpoczynek”.

Przepisana mi iście końska kuracja składała się z ogromnych piguł, które naturalnie w żaden sposób nie wpłynęły na poprawę mojego samopoczucia. Miałem także dużo odpoczywać i nie denerwować się. Nigdy nie byłem dobrym pacjentem, a przyznam od razu,

że ten reżim uczynił mnie pacjentem trudnym. Byłem rozdrażniony i znudzony, stale się czymś denerwowałem, zacząłem mieć złe sny i wpadłem w przygnębienie. Sytuację pogarszała pogoda - była to jedna z najgorszych zim, jakie pamiętam - oraz opiekuńczość Ellie, którą ja postrzegałem jako nadopiekuńczość. Padało dzień w dzień, a ja siedziałem przy kominku, wspominałem Rebekeę i starałem się wymyślić, w jaki sposób mógłbym odpokutować grzechy przeszłości, czyli krótko mówiąc, byłem słaby i użalałem się nad sobą.

Sądzę, że bardzo utrudniałem wtedy życie Ellie, a właściwie jestem absolutnie pewny, iż tak właśnie było. Chciałbym móc z czystym sumieniem oświadczyć, że wiek i choroba uszlachetniły mój charakter, ale byłaby to oczywista nieprawda. Stałem się kimś, kogo nie lubiłem, a im bardziej nie lubiłem samego siebie, tym gorzej się zachowywałem. Ellie była na granicy rozpaczki. Wiem, że poprosiła o radę i pomoc moje stare przyjaciółki, siostry Briggs, córki lady Briggs, kiedyś Evangeline Grenville. Niezameżne siostry Briggs, Elinor i Jocelyn, są moimi wielkimi kumpelkami i głównymi informatorkami we wszystkich sprawach dotyczących okolicy. Otóż uknuły one pospiesznie spisek, dzięki któremu miałem odzyskać nieco pogody ducha i wyjść ze swojej skorupy. W rezultacie ich działań pewnego popołudnia, gdy na zewnątrz szalała grudniowa zawierucha, przedstawiono mi świeżo przybyłego do Kerrith Terence'a Greya.

Do mojego gabinetu wszedł wysoki, ciemnowłosy młody człowiek, którego cechował prawie niezauważalny ślad szkockiego akcentu, mocny, zdecydowany uścisk dłoni i zainteresowanie miejscową historią, o czym słyszałem już wcześniej. Siostry Briggs oświadczyły, że „nie mógł się doczekać, aby mnie poznać i posłuchać moich opowieści o Manderley”, dlatego właśnie „pragnęły mi go przedstawić”. Potraktowałem to oświadczenie z przymrużeniem oka. Zauważyłem, że kiedy Grey zwracał się do Ellie, wyraźnie się czerwieniła i z pewną irytacją uświadomiłem sobie, że siostry Briggs, niezmordowane swatki, również to dostrzegły. Zrodziło się we mnie podejrzenie, że tego młodego człowieka wprowadzono do naszego domu nie tylko z mojego powodu, zmierzyłem go więc surowym wzrokiem, nie pozwoliłem się oczarować i potraktowałem nieco chłodno.

Po wyjściu Greya Ellie i ja pokłóciliśmy się, co zdarza się bardzo rzadko. Niezbyt miło wyraziłem się na temat akcentu nowego znajomego, jego stroju, fryzury, zachowania przy stole i tak dalej. Użyłem nawet jakiegoś kwaśnego wyrażenia w rodzaju: „Chyba nie pochodzi z najlepszej rodziny” i dorzuciłem: „Dlaczego nie ostrzyże włosów jak należy?”. Ellie wpadła we wściekłość. Powiedziała, że jestem niepoprawnym snobem, że urodziłem się o sto lat za późno i że powinienem się wstydić. Potem popadła w zacięte milczenie, a następnego dnia rano dostałem na śniadanie przypalone grzanki. Zanim mi przebaczyła, przez cały tydzień jadłem średnio smaczne zapiekanki. Oczywiście natychmiast zacząłem dyskretnie wypytywać o rodzinę oraz status społeczny i majątkowy pana Greya.

Dowiedziałem się, że jego przybycie wzbudziło ogromne zainteresowanie w całym Kerrith. Początkowo było to wywołane atrakcyjnym wyglądem i miłym obejściem Greya, lecz wkrótce rozeszła się elektryzująca wiadomość, iż jest nieżonaty. Po ostatniej wojnie kawalerów w naszej okolicy można policzyć na palcach jednej ręki, a kawalerowie godni uwagi są jeszcze większą rzadkością. Niedługo po naszym pierwszym spotkaniu miałem okazję na własne oczy zobaczyć, jak potężną mieszanką czynników okazał się stan wolny Greya oraz jego fizyczna atrakcyjność.

Nim to się stało, odbyłem jeszcze kilka rozmów z Greyem. Pogoda poprawiła się i moje zdrowie także, przynajmniej w pewnym stopniu. W cieplejsze dni zacząłem wychodzić na krótkie spacery i w efekcie tego nakłoniono mnie do wygłoszenia prelekcji dla naszego Lokalnego Towarzystwa Historycznego. Namówiła mnie na to obecna sekretarz Towarzystwa, Majorie Lane, okropna kobieta o nowoczesnych poglądach, która przeprowadziła się tu z Londynu dziesięć minut temu, ale naturalnie uważa się za znawczynię tematów, o których nie ma najmniejszego pojęcia. Na ich liście znajduje się sprawa Manderley i Rebeki. Majorie Lane mieszka teraz w malutkim domku z widokiem na port, gdzie maluje obrzydliwe drobiazgi na sprzedaż i lepi garnki.

- Ten miły pan Grey przyjdzie na nasze spotkanie - oświadczyła, kiedy ściskając w rękę nasze kupony żywnościowe, wpadłem na nią u rzeźnika (właściciel odłożył kurczaka dla Ellie, oczywiście pod ladą). - Bardzo się już zaprzyjaźniliśmy i namówiłam go, żeby zapisał się do Towarzystwa. Potrzebna nam młoda krew, nieprawdaż,

pułkownika? Wiem, że pan Grey z wielką niecierpliwością czeka na pański wykład, podobnie jak my wszyscy. Czy już pan się zdecydował na temat? Pan Grey ma nadzieję, że będzie to „Manderley, jakie pamiętam” lub „Wspomnienia z Manderley”. Możemy spodziewać się czegoś w tym rodzaju? A może to jeszcze na razie tajemnica?

- Niewielki wybór, prawda? - odezwałem się, całkowicie ignorując jej pytania i wskazując powojenną obfitość towarów na wystawie - sznurek kiełbasek, okrawki baraniny i kilka obdartych ze skóry królików, których nie tknęłyby nawet Barker.

Okropna kobieta uśmiechnęła się w odpowiedzi chłodno i wyniośle.

- Jak widać - odparła z zupełnie zbytecznym naciskiem. - Ale pod ladą na pewno znajdzie się sporo smakowitych kąsków, w każdym razie tak słyszałam...

Nadszedł wieczór mojej prelekcji. Do siedziby Towarzystwa wyruszyłem wystrojony w tweedowy garnitur. Przez parę poprzednich dni zastanawiałem się, czy nie wygłosić wykładu o wielu istotnych związkach naszego regionu z królem Arturem i jego legendą, ale w końcu, tylko z rzadka odwołując się do notatek, przedstawiłem słuchaczom wyjątkowo interesującą, nawet fascynującą opowieść o starych szubienicach w okolicy naszego historycznego miasta. Terence Grey rzeczywiście zjawiał się na wykładzie i jego obecność wywołała prawdziwą sensację (tak, wcale nie przesadzam).

Spotkanie jak zwykle zakończyło się skromnym poczęstunkiem. Była kawa, kamienne ciasteczka (nazwa jak najbardziej uzasadniona) oraz bułeczki z parówkami. Ellie i ja staliśmy po jednej stronie, po drugiej pan Grey, otoczony liczną grupą starszawych wielbicielek z Majorie Lane na czele. Czy dyskutowali o miejscach, w których niegdyś stawiano szubienice i związanych z nimi interesujących faktach, którymi się z nimi podzieliłem? Skądże znowu, rozmowa dotyczyła małżeństwa, ponieważ ten temat był wspomnianym paniom najbliższy.

- Jak to się stało, że nie złowiono pana na wędkę już dawno temu, panie Grey? - zaświergotała Elinor Briggs.

Zaszedłem całą grupę od tyłu, gotowy pospieszyć Greyowi na ratunek, ponieważ, o czym dobrze wiem, Elinor nigdy nie rezygnuje. Wszystkie stare nietoperzyce wyszczerzyły zęby w zalotnych uśmiechach, ja także z zaciekawieniem czekałem na jego odpo-

wieść. Zazartuje? A może spławi je gładką, nic nieznaczącą uwagą? Nic z tych rzeczy. Grey spłonił się jak panienka i wyjąkał coś niewyraźnie, mocno defensywnym tonem. Czy te piekielne baby straciły zainteresowanie tematem? W żadnym razie. Kobiety są zawsze zachwycone, gdy zorientują się, że przystojny mężczyzna jest nieśmiały, więc Grey natychmiast i bez wielkiego trudu podbił serca całej żeńskiej populacji Kerrith.

Dziś, w parę miesięcy później, nadal nie znam odpowiedzi na zadane wtedy przez Elinor pytanie. Pozwolę sobie teraz przedstawić pokrótce biografię Greya. Pochodzi ze Szkocji, z terenów przygranicznych. Po ukończeniu szkoły średniej (nazwa kompletnie nic mi nie mówi) zdobył stypendium, dzięki któremu odbył studia w Cambridge (w mojej Alma Mater - ja studiowałem najpierw w Trinity, potem w Sandhurst, Grey zaś w jakimś innym college'u, chyba King's lub Caius). Napisał pracę magisterską na wydziale Historii, otrzymując jedną z najlepszych ocen (jeżeli w ogóle nie najlepszą). Przez pewien czas uczył historii, a w 1939 roku, na samym początku wojny, dostał powołanie, albo zgłosił się na ochotnika. Nie wiem, jak było dokładnie, ponieważ Grey niechętnie rozmawia na ten temat, a ja nigdy nie naciskam, dobrze znając potrzebę milczenia. Ostatnio w jego życiu miał miejsce jakiś osobisty kryzys, którego przyczyną prawie na pewno była kobieta. Niezależnie od tego, co między nimi zaszło, Grey uznał, że przyszedł czas na zmiany.

Wszystko wskazuje na to, że zrezygnował z pracy, przeciął więzi łączące go z poprzednim miejscem pobytu i przyjechał w poszukiwaniu zajęcia właśnie tutaj, chociaż może się to wydawać zabawne i mało prawdopodobne. Mimo że posiada bardzo wysokie kwalifikacje (zbyt wysokie), otrzymał okresową pracę na pół etatu jako bibliotekarz-archiwista w bibliotece materiałów archiwalnych naszego hrabstwa w Lanyon. Stanowisko to jest tak mało atrakcyjne i marnie płatne, że przez wiele miesięcy nie zgłaszał się nikt chętny. Grey pracuje więc obecnie w Lanyon, katalogując dokumentację posiadłości de Winterów, złożoną w archiwum po śmierci Maxima przez adwokatów działających z upoważnienia drugiej pani de Winter. Wynajmuje maleńki domek na obrzeżach Kerrith i większość czasu wolnego poświęca swoim „badaniom”. Zawsze mówi o nich w sposób bardzo powściągliwy i skromny, ja sędzę jednak, że pan

Grey coś ukrywa. Osobiście podejrzewam go o ambicje pisarskie i myślę, że efektem „badań” ma być książka. Żywię też pewne podejrzenia co do tematyki, ale o tym później. Nie wyprzedzajmy biegu wydarzeń.

Kiedy pierwszy raz przyszło mi to do głowy, znałem Greya od sześciu tygodni. W tym czasie zaczęliśmy się regularnie spotykać i mogę powiedzieć, że nabrałem do niego sympatii. Grey to znakomity słuchacz, bystry, wykształcony, odczytany, nieustępliwy i błyskotliwie inteligentny. Dużą przyjemność sprawiała mi myśl, że może Grey wykorzysta materiały, którymi dysponuję. Wyobrażałem sobie, że przymierza się do bardzo ogólnego w zarysie dzieła, czegoś w rodzaju *Historii parafii Kerrith i Manderley, z opisem tras spacerowych* pióra mojego dziadka.

Przekonany, że takie właśnie są jego intencje, otworzyłem się przed nim, lecz już wkrótce uświadomiłem sobie, że pole zainteresowań Greya znacznie się zawęża. Najpierw stawiał pytania dotyczące całego naszego regionu, potem posiadłości kilku starych okolicznych rodów, aż wreszcie skoncentrował się na jednym miejscu - Manderley. Nadal wydawało mi się, że jest on zwykłym mołem książkowym, ciekawym głównie tego, któredy w średniowieczu biegły granice między majątkami, i jeszcze nie obudziły się we mnie żadne podejrzenia. Pozwoliłem, aby wypytywał mnie o wszystko. Dziś czuję, że zapominając o ostrożności, popełniłem spory błąd.

Stopniowo zacząłem czynić rozmaite spostrzeżenia. Grey wcale nie interesował się granicami lokalnych majątków ani nawet wczesną historią rodziny de Winter, chociaż nie brak w niej barwnych epizodów - romansów, narodzin dzieci z nieprawego łoża, waśni i tym podobnych, zwłaszcza w osiemnastym wieku. Niestety, wszystkie moje opowieści o niegodziwych de Winterach, o występnej Caroline de Winter i jej podłym bracie, w ogóle nie ciekawiły Greya.

Kiedy to w końcu spostrzegłem - teraz złorzeczę sobie, że stało się to tak późno - natychmiast nabrałem czujności i ponownie zainteresowałem się panem Greyem. Kim tak naprawdę był Terence Grey, niedawno przybyły do Kerrith? Dlaczego objął nisko płatne stanowisko i dążył do zawarcia znajomości ze mną? Czy rzeczywiście kryła się za tym wyłącznie sympatia do mnie? Ogarnęły mnie wątpliwości co do motywów Greya i całej tej jego filantropii.

Siostry Briggs, Majorie Lane i inne panie szybko uzupełniły mój skromny zasób informacji na temat Greya. Okazało się, że miał bardzo smutne dzieciństwo. Osierocony jako mały chłopiec albo nawet niemowlę (żadna z pań nie była pewna, kiedy to się stało), kilka lat spędził w różnych sierocińcach. Potem zaadoptowała go kobieta, którą nazywał „ciocią May”, święta i dobra osoba, zamieszkała w pobliżu Peebles (a może Perth?). Ciocia May miała krewnych w naszej okolicy i wielokrotnie przywoziła tu chłopca na wakacje. Spędzali czas na plażach, chodzili drózkami wzdłuż wybrzeża i tak dalej, i tak dalej. W rezultacie Terence bardzo polubił nasze lasy i przywiązał się do Kerrith.

Po wojnie ciocia May zmarła, zostawiając Terence'owi niewielki spadek. Dzięki tej sumie zyskał pewien stopień niezależności i mógł wrócić do miejsc, które poznał w dzieciństwie. Teraz uzupełniał ze spadku wszystko, na co nie wystarczała marna pensja bibliotekarza--archiwisty, krążyły nawet plotki, że oszczędna ciocia May, Szkotka, zgromadziła na koncie wystarczającą kwotę, aby Grey mógł rozważyć zakup domu, który wynajmował. Siostry Briggs kładły szczególny nacisk na tę część historii Greya, zupełnie jakby sądziły, że jego sytuacja materialna i życiowa może mnie interesować.

- Oczywiście, zachęcałyśmy go, aby wynajął właśnie ten dom! — wykrzyknęła Jocelyn, młodsza siostra Briggs. - Pomyślałyśmy sobie, że będzie to jak najbardziej właściwe, prawda, Elinor? Bardzo przytulnie urządził sobie domek, a poza tym od Sosen dzieli go tylko dziesięciminutowy spacer. Czy mogłoby być lepiej i wygodniej?

- Lepiej i wygodniej dla kogo? - zapytałem zimno.

- Ależ dla wszystkich, mój drogi Arturze! - oświadczyła Jocelyn, czerwieniąc się.

- Chciałyśmy tylko powiedzieć, że byłoby cudownie, gdyby zamieszkał tu na stałe - wtrąciła Elinor, rzucając siostrze ostrzegawcze spojrzenie. - I byłoby to bardzo miłe dla ciebie, Arturze! Bardzo się zaprzyjaźniliście i macie tyle wspólnych zainteresowań... -Przerwała. - Aż trudno mi uwierzyć, że nigdy nie opowiadał ci o swoim dzieciństwie. Nigdy nie wspominał o cioci May? Dziwne! Obie z Jocelyn liczyłyśmy, że to ty uzupełnisz luki w naszych informacjach, że znasz całą tę historię...

Znałem całą tę historię, a raczej różne jej wersje, z niezliczonych

powieści. Pobrzmiwały w niej echa dickensowskich wątków, co nieco mnie irytowało. Czy uwierzyłem w ciocię May, żywo przypominającą Betsy Trotwood? Ponieważ nie jestem tak naiwny jak siostry Briggs, naturalnie nie uwierzyłem w nią do końca. Przyszło mi nawet do głowy, że być może istnieją ważne powody, dla których Terier oszczędził mi tych szczegółów. Myślę, że doskonale wiedział, iż nie zdoła mnie nabrać.

Właśnie wtedy obudziły się we mnie podejrzenia. Co ukrywał? Może jest dzieckiem z nieprawego łoża? Albo nawet jest żonaty, na Boga? Może gdzieś w Perth lub Peebles zostawił żonę z dzieckiem? Od tamtego dnia zacząłem zwracać uwagę, jakie pytania Grey mi zadaje i wszystko natychmiast stało się dla mnie jasne. Granice między lokalnymi posiadłościami w okresie średniowiecza? Jakże byłem ślepy! Grey interesował się rodziną de Winter, to prawda, ale przede wszystkim Rebeką!

Dlaczego? Od razu zadałem sobie to pytanie. Czyżby istniała między nimi jakaś osobista więź? Jeśli wierzyć w opowieści dotyczące wakacji, które Grey jakoby spędzał w naszej okolicy, należy założyć, że przyjeżdżał tu w drugiej połowie lat dwudziestych, kiedy Rebeka jeszcze żyła i była u szczytu towarzyskiego powodzenia. Niewykluczone, że bywał tu także później, kiedy już zniknęła lub wtedy, gdy sąd orzekł przyczynę jej śmierci. Szczegółowe opisy sprawy przedstawiała prasa na terenie całego kraju, a plotki kwitły. Może Grey i jego ciotka, którzy prawdopodobnie zatrzymywali się w jakimś skromnym hoteliku gdzieś w pobliżu, słyszeli te historie? Czy korzenie zainteresowania Greya sprawą Rebeki sięgają tamtych czasów? Pomyślałem, że to zupełnie możliwe. Może zbrodnia i kara były tymi aspektami życia, które go wtedy ciekawiły.

W końcu, znużony domysłami, zapytałem go o to wprost. Przedstawiłem mu swój scenariusz, lecz zaprzeczył. Dodał, że słyszał o Manderley, kiedy był chłopcem. Jakże mógłby nie słyszeć, skoro w co drugim sklepie sprzedawano widokówki przedstawiające dom i posiadłość? On i jego ciotka zwykle mieszkali nieco dalej w górę rzeki, wynajmowali tam małą domkę koło starego kościoła w Pelynt. Możliwe nawet, że zwiedzał kościół w Manderley i robił kalkomanie ze średniowiecznych grobowców de Winterów, ale on i ciocia May obracali się w bardzo skromnych kręgach, więc Grey nie mógł sobie przypomnieć żadnych rozmów o takich stojących

znacznie wyżej w hierarchii społecznej osobach jak Rebeka i Maxim de Winter. Jeśli zaś chodzi o proces i pożar w Manderley, to pamięta, że czytał o nich w jakiejś ogólnokrajowej gazecie, ale miał wtedy już siedemnaście lat i nie przyjeżdżał na wakacje do Pelynt.

Tu Grey przerwał, potem zaś, jakby zadowolony z naszkicowanego przez siebie portretu poważnego małego chłopca, historyka w powijakach, zmienił temat. Uwierzyłem w opowieść o zwiedzaniu kościoła w Manderley, ponieważ nawet obecnie nadal żywo interesuje się kościołami i grobowcami, i gotów jest przemierzyć wiele kilometrów, aby je obejrzeć. Konsekwentnie łączy się to z jego pasją do starych książek i dokumentów - potrafi spędzać całe dnie w archiwach, czytelnicach, bibliotekach i antykwariatach.

Jest człowiekiem, który uwielbia zdobywać dowody, tak w każdym razie początkowo myślałem, który znajduje radość w rekonstruowaniu przeszłości za pomocą rejestrów i ksiąg kościelnych, aktów urodzenia, ślubów i zgonów, testamentów, zakurzonych i zapomnianych listów, pamiętników, zapisków i dokumentów związanych z zarządzaniem majątkami. Rozumiałem, że dla takiego człowieka Manderley stanowi nie lada wyzwanie. Dlaczego? Ponieważ w historii Manderley są luki, duże luki, a Grey, historyk, od razu zwrócił na nie uwagę.

Podczas pożaru Manderley kompletnemu zniszczeniu uległo wszystko, co znajdowało się w domu. Pożar wybuchnął trzydzieści sześć godzin po wydaniu przez sąd werdyktu o przyczynie śmierci Rebeki, w nocy, i błyskawicznie ogarnął cały budynek. Przepadło wszystko - wspaniałe, cenne meble, z takim nakładem sił gromadzone przez Rebeke, portrety, które w dzieciństwie budziły we mnie prawdziwe przerażenie, oraz cały zbiór dokumentów rodziny de Winter.

Ocalały jednak, jak już mówiłem, dokumenty majątku, które w czasie pożaru były w biurze zarządcy, Franka Crawleya, pod jego troskliwą opieką. Niedawno zostały przekazane do tego właśnie archiwum, w którym pracuje Grey. Nie muszę chyba mówić, że Grey bardzo szybko się z nimi zapoznał. Jego fascynacja tymi zakurzonymi papierami początkowo nawet mnie bawiła. Wydawało mi się absurdalne, że zdrowy, silny, aktywny młody mężczyzna o niezwykle sprawnym umyśle postanawia zagrzebać się w detalach dotyczących powierzchni majątków, dzierzawionych farm, należności za dzier-

zawę oraz płodozmianów. Moje własne zainteresowanie historią ma znacznie bardziej romantyczny charakter. Lektura Malory'ego odcisnęła na mnie niezatarte piętno - uwielbiam historie miłosne, fatalne namiętności, bitwy i łowy. Niechętnie przyznaję się do swojej głupoty, ale jeszcze niedawno z poczuciem wyższości spoglądałem na Greya, zajmującego się nieważnymi, drobnymi sprawami. Im intensywniej pracował, im bardziej się starał, tym gorsze miałem o nim mniemanie.

Dziś widzę, że były to prace przygotowawcze i podejrzewam, iż Grey mógł znaleźć wśród dokumentów kilka prawdziwych klejnotów, czego naturalnie nikt nie potrafił przewidzieć. Grey już wtedy zdradzał duże zainteresowanie jedną z rodzin, które dzierżały farmy należące do de Winterów, rodziną o nazwisku Carminowe. Doskonale pamiętam tych ludzi z okresu dzieciństwa i trochę znam ich smutną historię. Trzech synów poległo w czasie pierwszej wojny, a ich ładna, wcześniej owdowiała matka sama wychowywała dwoje pozostałych dzieci, z których jedno - chłopiec, Ben - było od urodzenia niedorozwinięte.

To właśnie Grey przeszedł ich historię i właśnie on odkrył, że Ben Carminowe, który wałęsał się po plażach pod Manderley, nie żyje. Okazało się, że chłopak zmarł w domu opieki dla umysłowo chorych, znajdującym się na terenie naszego hrabstwa. Nie pamiętam już dokładnie, ale być może pierwsze podejrzenia obudziły się we mnie wtedy, gdy zaczął wypytywać mnie o tych lojalnych dzierżawców rodziny de Winter. Wkrótce stało się jasne, że nie są to podejrzenia bezpodstawne. Dokładnie przejrzawszy dokumenty w archiwum, Grey zainteresował się moimi zasobami. Doszedł do wniosku, że co prawda papiery w Manderley poszły z dymem, lecz przecież w moim gabinecie też można znaleźć niejedną ciekawą informację, nie wspominając o tym, co przechowuję w pamięci...

Wtedy Terier zaczął przesłuchiwać mnie na poważnie. Chciał wiedzieć jak najwięcej o Lionelu, biednej Virginii i Megierze. Pytał, jaki był Maxim w dzieciństwie, i bardzo podekscytowała go informacja, która wymknęła mi się zupełnie przypadkiem, że dawno, dawno temu, kiedy moja żarliwie wyznająca feminizm siostra Rose była młoda i piękna, przez krótki czas zanosilo się, iż ona i Maxim się pobiorą.

- Tuż przed pierwszą wojną? - zapytał ostro.

- Mniej więcej - odparłem, ponieważś gryząc się w język. -Prawdopodobnie nie było to nic poważnego. Ludzie często snują takie spekulacje, a Maxim, jak panu wiadomo, był dziedzicem wielkiego majątku. On i Rose, prawie w tym samym wieku, serdecznie się przyjaźnili, co było nawet trochę zaskakujące, jeśli mam być szczery...

- Dlaczego?

- Ponieważ Rose już wtedy większość czasu spędzała z nosem w książce, Maxim zaś bynajmniej nie zdradzał takich tendencji. Można powiedzieć, że prawie wszyscy de Winterowie byli filistynami i Maxim był, oczywiście, pod ich wpływem. Lubił czynnie spędzać czas, żeglował, jeździł konno. Nie wykluczam jednak, że Rose mogła się nim interesować - był przystojny, świetnie wychowany i już wtedy, jeszcze przed wojną, odrobinę melancholijny.

- I bardzo bogaty, prawda? Pewnego dnia miał odziedziczyć Manderley.

Zirykowałem się.

- Jest pan w dużym błędzie, jeżeli uważa pan, że dla mojej siostry miało to jakieś znaczenie - rzuciłem. - Nie zna pan Rose. Jako niemowlę była socjalistką, w wieku sześciu lat zaś sufrażystką. Jedyne, czego kiedykolwiek naprawdę chciała, to pojechać na studia do Cambridge i poświęcić resztę życia pisaniu nienadających się do czytania książek z mnóstwem przypisów. I dokładnie to zrobiła. Teraz ma tytuł naukowy i wszyscy zwracają się do niej per „dr Julyan”. Sądzę, że w niedalekiej przyszłości zostanie profesorem. Jest feministką, ekscentryczką, nienawidzi mężczyzn i często wprawia w zażenowanie całą rodzinę.

- Widzę, że zajmuje wyjątkowe miejsce w pana sercu - powiedział z uśmiechem Grey. - Bardzo chciałbym poznać pańską siostrę. Myśli pan, że zgodziłaby się ze mną porozmawiać?

- Na pewno nie - odparłem zdecydowanym tonem. - Po pierwsze, Rose wyjechała stąd wiele lat temu i teraz mieszka na terenie Girton College. Po drugie, trudno się z nią umówić, głównie dlatego, że zapomina o spotkaniach. Po trzecie, jest odludkiem...

- Odludkiem? Naprawdę? Wydawało mi się, że Ellie mówiła...

- Powiedzmy więc, że Rose jest wyjątkowo mało towarzyska -przerwałem mu pospiesznie. - Lepiej niech pan o tym zapomni, Grey. Zaraz, zaraz, o czym to mówiliśmy? Chyba trochę zboczyliśmy z tematu... Proszę mi przypomnieć...

- Mówiliśmy o Rebecce de Winter. Wspomniał pan o jej mężu, a przy okazji o typie interesujących go kobiet. Możliwe, że rzeczywiście odrobinę zboczyliśmy z tematu, ale jak zwykle okazało się to niezwykle pożyteczne...

Znowu ten sarkazm! Obrzuciłem go baczny spojrzeniem. Grey lubi podteksty, więc nigdy nie można być do końca pewnym, czy nie kpi. Jego twarz miała teraz całkowicie niewinny, obojętny wyraz. Złożył palce w ostry daszek i spojrzał na mnie znad mego.

- Mówiliśmy też o śmierci Rebeki, który to temat, jak pan wie, bardzo mnie interesuje. Tajemnicze życie, bardzo niewiele znanych faktów i równie tajemnicza śmierć. Zastanawiałem się, pułkownikowi Julyan, czy...

- Czas na moją drzemkę - oznajmiłem. - Porozmawiamy o tym innego dnia. Leżeć, Barker! Na miłość boską, co się dzieje z tym przeklętym psem? Przestańże piszczeć i dyszeć, do diabła! Leżeć, Barker, pan Grey wychodzi...

Porozmawialiśmy o tym innego dnia, a dokładniej - w ciągu kilku dni, w każdym razie Grey podejmował takie próby, a ja reagowałem na nie coraz bardziej niechętnie. Trudno, bardzo trudno jest przełamać dwudziestoletni nawyk milczenia. Sytuacja była tym trudniejsza, że doskonale wiedziałem, iż jestem chyba jedyną osobą z Kerrith i okolic, która nie chce rozmawiać o śmierci Rebeki. Wszyscy poza mną aż się do tego palili, nie wyłączając takich jak Majorie Lane, której ignorancja była totalna. Wszyscy starali się pomówić z Greyem i sączyli mu w uszy pochodzące z dziesiątej ręki plotki oraz własne śmieszne teorie. Nieusatysfakcjonowani snuciem niczym nieuzasadnionych spekulacji na temat pochodzenia Rebeki oraz okoliczności, w jakich poznała Maxima, i tak dalej (moja wiedza na te tematy jest nieporównanie większa), chętnie wracali do kwestii jej śmierci. W ciągu ostatnich dwudziestu lat robią to zresztą zawsze wtedy, gdy czują się znudzeni brydżem lub złą

pogodą-

Marjorie Lane i jej podobni z entuzjazmem przedstawili L.reyo-wi własne wariacje na temat historyjki rozpowszechnionej przez tego nieszczęsnego Evansa: że Rebeka miała romans (nie wiadomo z kim), że często spotykała się z kimś w domku na molo poniżej

Manderley, że została zamordowana (zaduszona, zasztyletowana, co wolicie) albo przez kochankę, albo, co bardziej prawdopodobne, przez męża, który zaskoczył niecną parę na gorącym uczynku. Jej ciało zabójca przeniósł następnie na jacht „Je Reviens”, który wyprowadził na morze i zatopił.

Marjorie Lane wzbogaciła tę opowieść o kilka elementów własnego autorstwa. Powiedziała Greyowi, a ten powtórzył to mnie, że jej zdaniem Maxim de Winter był oczywistym zbrojcem, homoseksualistą, który romansował z zarządcą Manderley, Frankiem Crawleyem, i zabił żonę, gdy ta zagroziła, że ujawni jego upodobania całemu światu w czasie procesu rozwodowego. Dowody, jakimi Marjorie Lane podparła tę tezę, były odrobinę niejasne, a najważniejsze wśród nich miejsce zajmował fakt, że Maxim i jego druga żona spali w osobnych łóżkach, o czym Marjorie dowiedziała się od najlepiej poinformowanej osoby, czyli byłej pokojówki z Manderley, która zmieniała im pościel.

Kiedy to usłyszałem, ogarnęło mnie oburzenie. Nie mogłem uwierzyć, że ta kobieta jest aż tak bezczelna i wulgarna, by uraczyć Greya podobnym stekiem bzdur.

- Niech pan porozmawia z siostrami Briggs - poradziłem. - One z pewnością nie wprowadzą pana w błąd. Bardzo dobrze znały Maxima i dokładnie wiedzą, co się wydarzyło.

Grey posłuchał. Siostry Briggs, jak można się było spodziewać, przedstawiły mu moją „wersję autoryzowaną”. Obie były bardzo przywiązane do Rebeki i me wahały się wystąpić w jej obronie. Wyjaśniły, że biedna Rebeka dowiedziała się od lekarza z Londynu, iż jest śmiertelnie chora, natychmiast wróciła do Manderley, wypłynęła nocą jachtem i położyła kres swemu życiu równie zdecydowanie i odważnie, jak zawsze postępowała. Dodały, że werdykt orzekający samobójczą śmierć był słuszny i całkowicie uzasadniony.

To oczywiste, że wersja ta powstała pod wpływem rozmów ze mną, lecz niestety, panny Briggs nigdy nie odznaczały się subtelnością. Powtarzałem im tysiące razy, że w świetle oświadczenia lekarza werdykt sądowy jest niepodważalny, ale one po prostu nie potrafią dostrzec, albo może zapamiętać, różnicy między „uzasadniony” a „niepodważalny”.

Nie oczekiwałem, że Grey, który dysponuje subtelnym intelek-

tem, bez zmruczenia oka przyjmie do wiadomości ich słowa. I rzeczywiście, nie przyjął.

- Dość niezwykły sposób popełnienia samobójstwa, prawda? -zauważył. - Przedziurawić dno własnego jachtu, a potem czekać w kabinie, aż pójdzie na dno? Dlaczego nie wzięła tabletek nasennych, dlaczego nie podcięła sobie żył w ciepłej kąpieli? Dlaczego nie skoczyła do morza z urwiska? Czego jak czego, ale odpowiednich urwisk w pobliżu nie brakuje. Nie rozumiem, jak ci sędziowie przysięgli mogli wydać taki werdykt, zwłaszcza że na początku nie wiedzieli nawet o jej chorobie, czy tak?

- Tak.

- Więc orzeczenie sądu jest tym bardziej bezsensowne. Czy podczas rozprawy w ogóle dopuszczano możliwość morderstwa?

- Tak, na początku. Koroner podniósł tę kwestię, bo musiał, nie było jednak żadnych dowodów na to, że Rebeka miała wrogów i że ktokolwiek mógł żywić wobec niej złe zamiary. Nie było też śladów przemocy...

- Przecież ciało leżało w wodzie przez ponad rok i było w stanie daleko posuniętego rozkładu, tak w każdym razie wynika z oświadczeń przedstawionych podczas procesu! Czy tak było, pułkowniku Julyan? Rozumiem, że był pan obecny przy wydobywaniu ciała?

- Tak, jako sędzia pokoju, urzędnik magistratu... Proszę posłuchać, wolałbym o tym nie rozmawiać, Grey. Te wspomnienia są dla mnie bolesne, nawet dziś, po tylu latach.

- Zdaję sobie z tego sprawę - odparł dużo łagodniejszym tonem, choć nadal nie spuszczał ze mnie badawczego spojrzenia. -Był pan jej przyjacielem i przyjacielem jej męża, ale... Proszę mi wybaczyć, lecz czegoś nadal tu nie rozumiem... Jest oczywiste, że orzeczenie tego lekarza z Londynu określiło przyczynę samobójstwa, ale wydaje mi się, iż wiele pytań dalej pozostało bez odpowiedzi. Rebeka nie zostawiła listu pożegnalnego i odebrała sobie życie w dość niezwykły sposób, łagodnie mówiąc. Czy miała wrogów? Odnoszę wrażenie, że chociaż ludzie właściwie nic nie wiedzą o jej małżeństwie i wcześniejszym życiu, z ogromną łatwością wydają sprzeczne osady: albo Rebeka zabiła się i była świętą, albo została zamordowana i była grzesznicą. Każda prosta analiza tej sprawy prowadzi do tego samego wniosku - jeżeli ją zabito, to dlatego, że

miała kochanka lub kochanków. Ale czy taka właśnie jest prawda? I gdzie dowody?

- Nie zamierzam prowadzić takich rozważań. Mówimy o kobiecie, którą darzyłem szczerym podziwem i...

- Więc z pewnością uważa pan, że miała pewne prawa - przerwał mi Grey. - A jednym z nich było prawo do uczciwego i dogłębnego zbadania przyczyny jej śmierci.

- Zrobiliśmy to.

- Z całym szacunkiem, pułkowniku, ale nie zgadzam się z panem. Jeżeli Rebeka de Winter została zamordowana, to morderca me poniósł kary. Natychmiast po śmierci zaczęto ją atakować, przypisując jej całą winę za to, co się stało. Była niewierną żoną i dlatego została zabita - tak brzmiał nieoficjalny wyrok, prawda? Czy nie uderza pana, że w tym przypadku sprawiedliwość pogwałcono dwukrotnie, zwłaszcza jeśli weźmiemy pod uwagę całkowity brak dowodów?

- Rebeka zginęła ponad dwadzieścia lat temu - odpowiedziałem po bardzo długiej chwili milczenia. - Nie może pan sobie wyobrazić, jaki ból sprawiają mi te kłamliwe historie o niej, ale nie jestem w stanie nic zrobić, abyje uciszyć. Teraz niczegojuż nie można dowieść. Rebeka nie żyje, Maxim de Winter także. Ja sam stoję już jedną nogą w grobie. A życie toczy się dalej, Grey, i świat się zmienia. Jest pan młody i nie znał pan nikogo z nich. Nie bardzo rozumiem, dlaczego ich los miałby być dla pana ważny...

- Prawda jest ważna - rzekł upartym tonem. - Ważna dla mnie i wydaje mi się, że także dla pana.

- Niech pan wraca do domu - mruknąłem. - Jest pan uparty jak osioł i zaczyna mnie to męczyć. Mam tego dosyć. Przypomina mi pan...

Przerwałem. Przypomina mi pan mojego syna, mogłem dodać, lecz tego nie zrobiłem. To prawda, że czasami Grey przypomina mi Jonathana. Zadaje takie same pytania, jakie zadawałby mój syn, gdyby żył, i najczęściej właśnie wtedy, gdy dostrzegam istniejące'między nimi podobieństwo (zdarza się, że jest to taki sam wyraz spojrzenia), czuję się najslabszy i mam ochotę ze wszystkiego mu się zwierzyć.

Myślałem o tej rozmowie w czasie lunchu. Od dnia, w którym ją odbyliśmy, minął już tydzień, lecz dopiero teraz uświadomiłem sobie, że zrobiła na mnie duże wrażenie. Ostatni problem, jaki poruszył Grey, był rzeczywiście bardzo ważny: czy prawda ma znaczenie? Oczywiście że tak, jeżeli człowiek chce bez obrzydzenia oglądać swoją twarz w lustrze. Ma ogromne znaczenie, jeśli zbliżamy się do granicy życia i pozostało nam już niewiele czasu, a tak właśnie sprawy się mają w moim przypadku.

W czasie lunchu starałem się bardzo uważnie słuchać i obserwować Greya. Usiłowałem go ocenić, ale w jaki sposób można ocenić człowieka? Przyznałem mu następujące noty: dziewięć na dziesięć możliwych za zachowanie przy stole (zupełnie nieźle, zważywszy na ciocię May i tę bliżej nieznaną szkołę średnią), siedem na dziesięć za garnitur (gotowy, ale świeżo wyprasowany i z doskonale dobranym krawatem), pięć na dziesięć za umiejętność konwersacji (podobnie jak większość Szkotów, Grey jest raczej małomówny) oraz dziesięć na dziesięć za cierpliwość - o Manderley wspomniał dopiero przy deserze.

Liczyłem, że ten system ocen coś mi powie, ale oczywiście nic z tego nie wyszło. Na wyżej wymienionych punktach polegałem przez całe życie, oceniając według nich ludzi, lecz teraz zawstydziłem się tego. Dotyczyły zupełnie trywialnych aspektów życia i wcale nie były wyznacznikami, którymi powinnienerh się kierować. Można powiedzieć, że uświadomiłem to sobie niejako w obliczu wieczności, wiedząc, iż w każdej chwili mogę stanąć przed Stwórcą. Tak czy inaczej, postanowiłem się szybko poprawić.

Znowu czułem się przygnębiony i popadłem w tak głębokie zamyślenie, że gdyby Ellie mnie zapytała, nie potrafiłbym odpowiedzieć, czy jem pieczone jabłka, czy pieczone kaktusy. Starałem się zdecydować, czy mogę zaufać temu młodemu człowiekowi, czy powinienem mu się zwierzyć, pozwolić, aby stał się moim Watsonem. Decyzja ta mogła zaważyć na tym, czy Grey odegra w przyszłości jakąś ważniejszą rolę w Sosnach... I wtedy nagle uświadomiłem sobie coś naprawdę bardzo istotnego - Terence Grey był moim sumieniem. To moje sumienie siedziało naprzeciwko mnie przy stole, to ono miało na sobie gotowy garnitur i jadło jabłka z sosem waniliowym...

Ta myśl zaskoczyła mnie tak dalece, że dopiero po chwili zwróciłem uwagę, iż Grey i Ellie rozmawiają o słynnych balach kostiu-

mowych, które Rebeka wydawała w Manderley. Ellie wspomniała o kostiumie, jaki Rebeka wybrała na ostatni bal, usłyszałem słowa „Caroline de Winter”, „portret pędzla Raeburna” i natychmiast oprzytomniałem. Dostrzegłem swoją szansę i pospiesznie wtrąciłem się do rozmowy.

- Przed tymi przyjęciami służba miała mnóstwo roboty - powiedziałem. - Frith często na to narzekał. A właśnie, Grey, o czym mówił Frith w czasie waszej wczorajszej pogawędki?

- Frith? Przesyła panu wyrazy szacunku, pułkowniku. Kilkakrotnie powtarzał, abym nie zapomniał ich panu przekazać.

- Wyrazy szacunku? - zapytałem, bacznie obserwując Greya. - Czy to wszystko, co ostatnio mi przesłał? Nie wspominał o żadnej innej przesyłce?

- Nie. - Rzucił mi zaskoczone spojrzenie. - O jakiej przesyłce, pułkowniku? Nie do końca rozumiem...

- Nic, nic - przerwałem mu. - Nieważne. Czas na naszą przechadzkę. - Wstałem. - Ellie, zostaw te talerze, na miłość boską, przecież nie musisz tego robić. Ktoś inny może się tym zająć. Kawę wypijemy później, bo szkoda takiego ładnego popołudnia. Barker! Gdzież się podział ten przekłety pies? Barker, do nogi...

W holu okutałem się w szalik, włożyłem palto, rękawiczki i kapelusz, wziąłem laskę, i trzymając Barkera na smyczy, wyszedłem na ganek, aby tam poczekać, aż Ellie wyprowadzi samochód z garażu. Zmierzyłem Greya badawczym spojrzeniem.

- Niech pan posłucha, Grey, muszę pana o coś zapytać - wykrztusiłem wreszcie. - Czy wysłał pan do mnie paczkę? Przyszła dziś rano, mniej więcej takiej wielkości, przesyłka w brązowej kopercie...

- Nie. - Lekko zmarszczył brwi. - Nadal nie rozumiem... Gdybym chciał panu coś pokazać, sam bym to przyniósł. A gdybym nawet wysłał, dołączyłbym do tego list...

- Oczywiście - wymamrotałem. - Pomyślałem sobie tylko, że może list wypadł albo... Nieważne, sam nie wiem... Niepotrzebnie o tym wspomniałem.

Pozwoliłem, aby Grey pomógł mi przejść ścieżką do samochodu. Czeka go jeszcze jeden test, pomyślałem. Wiele zależy od tego, jak się zachowa w Manderley. Tak czy inaczej, jego reakcja na moje pytanie mocno mnie zaskoczyła.

Kiedy powiedziałem, że muszę go o coś zapytać, wyraźnie się zdenerwował, lecz gdy zadałem pytanie i Grey odpowiedział przecząco, zorientowałem się, że jest ze mną absolutnie szczery. Poza napięciem dostrzegłem jednak coś jeszcze - ulgę.

Dlaczego poczuł ulgę? Ponieważ spodziewał się innego pytania. Oczekiwał, że chcę dowiedzieć się czegoś zupełnie innego...

I cokolwiek to było, perspektywa ta bardzo go zaniepokoiła. Po raz pierwszy widziałem go poruszonego i zdenerwowanego.

ROZDZIAŁ 8

Ellie podjechała naszym starym morrisem oxfordem pod frontową bramę i Grey pomógł mi ulokować się do środka. Biorąc pod uwagę mój reumatyzm i ogólnie me najlepszy stan zdrowia, był to nie lada wyczyn, ale w końcu jakoś nam się udało. Grey usiadł z tyłu, za Elhe, a Barker, usadowiwszy się za mną, od czasu do czasu lizał mnie w ucho i dyszał radośnie.

Dzień był naprawdę piękny, Ellie jak zwykle z impetem gnała przed siebie, więc humor szybko mi się poprawił. Podskakując na wybojach, zjechaliśmy z naszego niewielkiego wzgórza drogą do Kernth, minęliśmy kolorowe domki, przycupnięte w porcie, oraz nabrzeże, przy którym cumuje prom rozwożący ludzi do wiosek położonych w górze rzeki, między innymi do Pelynt, gdzie Grey jakoby spędza! w okresie dzieciństwa prawie wszystkie letnie miesiące.

Przemknęliśmy przez miasto, kierując się na wyraźnie widoczny po drugiej stronie zatoki cypel Manderley i mijając zatoczkę Golden Guinea, nad którą stoi wynajęty przez Greya domek. To podobno tam szmuglerzy ukrywali kiedyś swoje lupy, chociaż szczerze mówiąc, w naszej okolicy trudno znaleźć zatokę, która nie cieszyłaby się podobną opinią. Ellie sprawnie zakreśliła kierownicą, zupełnie jakby przygotowywała się do wyścigu Le Mans i brawurowo pokonała ostry zakręt. To tu krótko po ślubie z Rebeką Maxim rozbił swój najnowszy samochód (miał szczęście, że przeżył). Potem zaczął się długi podjazd pod górę. Droga wiała się wzdłuż wybrzeża i pięła ku gęsto zarośniętym plantacjom dębu, buku i szkockiej sosny, znajdującym się na granicy lasów Manderley.

Grey był wyjątkowo milczący, nawet jak na niego, Ellie skupiona na prowadzeniu, ja zaś jak zwykle unosiłem się na falach morza wspomnień. Piętnaście po trzeciej dotarliśmy do rozdroża. Stała tam kiedyś szubienica, o czym mówiłem na wykładzie dla członków Towarzystwa Historycznego, a dokonywane publicznie egzekucje dostarczały taniej i popularnej rozrywki mieszkańcom okolicznych miejscowości. Zaparkowaliśmy pod opuszczonym obecnie domkiem stróża posesji, a ja przystąpiłem do zwykłego rytuału, szukając kluczy do wysokiej bramy, które mogą kryć się w każdej z moich piętnastu tweedowych kieszeni, lecz nieodmiennie znajdują się w ostatniej.

Staram się nie mówić nikomu o tych kluczach i teraz wymogłem na Greyu obietnicę, że nie zdradzi sekretu. Klucz należał do mojego dziadka, który dostał go chyba od Megiery, umożliwiał mu wolny dostęp do lasów, będących ulubionym celem jego wypraw w poszukiwaniu ciekawych okazów motyli. W tamtych latach rzadko go używaliśmy, ponieważ w domku mieszkał stróż, który zawsze nas wpuszczał. Przypominam sobie, że później może dwa razy otwierałem nim bramę - Rebeka, znając moją miłość do lasów Manderley, powiedziała mi, że mogę przychodzić zawsze, kiedy mam ochotę. Po pożarze Manderley spodziewałem się, że ktoś zmieni zamek w bramie, ale nigdy się to nie stało, więc nadal mogę korzystać z klucza, gdy Ellie, Barker i ja chcemy uniknąć towarzystwa na spacerze. Jest to szczególnie ważne latem, bo wtedy nawet w Kerrith roi się od turystów, a ja szczególnie cenię sobie cudowne odosobnienie, jakie od wczesnych lat dzieciństwa zapewniają mi te ukochane lasy.

Gdzie podział się ten piekielny klucz? Nie było go w żadnej kieszeni spodni. Ellie westchnęła. Grey podszedł do bramy i spojrzął na rozciągający się za nią dziki, piękny Eden. Klucza nie było także w palcie ani w marynarce... Grey przyglądał się dużej tablicy, która od dwudziestu lat wisi nieco krzywo na jednym z metalowych prętów. Umieścili ją tu pracownicy agencji nieruchomości, odpowiedzialni za lasy i to, co pozostało z Manderley.

W latach dobrowolnego wygnania Maxima regularnie przesyłali raporty o stanie majątku za granicę, na jego ręce, a teraz, ponieważ oba małżeństwa mojego przyjaciela były bezdzietne, kontaktują się z przedstawicielami dalekiej gałęzi rodziny de Winter, którzy odzie-

dziczyli wszystko po jego śmierci. Nie znam spadkobierców Maxima, nigdy ich nie poznałem. Wiem tylko, że mieszkają gdzieś w Yorkshire i podobno większość czasu spędzają w swoich willach na południu Francji oraz w zamku w Szkocji. Zupełnie nie interesują się Manderley i, jeśli się nie mylę, nigdy tu nie byli. Prawdopodobnie wystarcza im, że regularnie otrzymują dochody z dzierżawionych farm, które nadal kwitną, a o zrujnowany dom nie dbają. Stosunek agentów nieruchomości wydaje się podobny - może zaglądają do Manderley raz lub dwa do roku, nigdy jednak nie podjęli żadnego wysiłku, aby uporządkować lasy, niegdyś piękne ogrody czy choćby sam dom, chociaż resztki dachu zupełnie się już zapadły i cały teren, jak często powtarzam Ellie, wymaga zabezpieczenia.

Tabliczka, której przyglądał się Grey, stanowiąca jedyny dowód bytności agentów nieruchomości w majątku, była mocno podniszczona, farba obłaziła z niej całymi płatami. Ledwo czytelne słowa głosiły: TEREN PRYWATNY - WSTĘP SUROWO WZBRONIONY.

Zerknąłem na nie pogardliwie - tego rodzaju ostrzeżenia w żadnym razie nie odnoszą się do mnie. Jako stary przyjaciel rodziny mam chyba prawo od czasu do czasu zajrzeć do Manderley. Maxim na pewno by sobie tego życzył, Rebeka również, więc nie mający zielonego pojęcia o naszych wzajemnych stosunkach agenci mogli iść sobie do diabła. Z tą myślą odnalazłem w końcu klucz, zagrzebany pod ciężkim pagórkim drobnych monet oraz kawałków nici w kieszeni płaszcza, o której zupełnie zapomniałem. Kiedy wyciągnąłem go z okrzykiem triumfu, Grey zmarszczył lekko brwi. Następnie nacisnął żelazną klamkę wysokiej furtki z kutego żelaza i... Proszę bardzo - brama wiodąca do Manderley otworzyła się ze skrzypieniem.

Grey wyglądał na mniej zaskoczonego tym zjawiskiem, niż można by się spodziewać, natomiast ja sam nie potrafiłem ukryć zdziwienia.

- Dobry Boże! - wymamrotałem. - A cóż to znowu? Ellie, nie sądzisz, że może to my...

- Na pewno nie, tato. Doskonale pamiętam, że ostatnim razem byliśmy tu tydzień temu, tego samego dnia, kiedy pan Grey wybrał się do Londynu, i starannie zamknęliśmy za sobą bramę. Klucz ciężko obracał się w zamku i musiałam ci pomóc, zapomniałeś?

Umilkła. Wpatrywała się w otwartą bramę i wijący się podjazd, a na jej twarzy malowało się zaniepokojenie. Muszę przyznać, że ja również czułem się nieswojo. W pierwszej chwili przyszło mi do głowy, że to jeden z agentów postanowił złożyć wizytę w Manderley w to piękne kwietniowe popołudnie, a jeżeli tak właśnie było, nie miałem najmniejszego zamiaru się z nim spotkać. Byłem wprawdzie całkowicie przekonany, że mam prawo tu przebywać, ale nie zamierzałem wyjaśniać tego jakiemuś aroganckiemu, wystrojonemu w tweedowy garnitur urzędasowi, który mógłby być moim wnukiem. Istniało spore prawdopodobieństwo, że ktoś taki w ogóle by nie wiedział, kim jestem, i nie okazałby zrozumienia dla mojej sytuacji i intencji... Zawahałem się, nagle pełen wątpliwości co do naszej wyprawy. Ciemna chmura przesłoniła słońce, cały krajobraz stał się dziwnie mroczny, mnie zaś ogarnął przesądny lęk, co ostatnio zdarzało mi się dość często. Patrząc w górę podjazdu, przypomniałem sobie swój sen: ujrzałem malutką trumienkę i usłyszałem cichy, natarczywy głos, który się z niej wydobywał... „Wypuść mnie. Nie mogę spać... Nie ma dla mnie spoczynku... Podnieś wieko! Muszę z tobą pomówić”.

Zadrzałem. Z gardła stojącego u mojej nogi Barkera wyrwało się żalosne skomlenie, włosy na karku psa zjeżyły się gwałtownie. Była to rocznica śmierci Rebeki i mój strach mógł okazać się uzasadniony. W tych lasach człowiekowi może zdarzyć się coś znacznie gorszego niż tylko spotkanie z anonimowym pracownikiem agencji nieruchomości. Wiedziałem, że lasy pełne są duchów. W przeszłości między drzewami nieraz widywałem dziadka i matkę, a jeśli ich postaci były projekcjami moich myśli, to ja byłem niewątpliwie smutniejszą od nich zjawą, ponieważ z całego serca pragnąłem ich spotkać. To były dobre duchy, w każdym razie tak o nich myślałem. Dziś, wpatrując się w zarośnięty, węższy niż kiedykolwiek przedtem podjazd, którego środek znaczył trawiasty grzbiet, zrozumiałem, że w przeszłości miałem wiele szczęścia. Istoty, których obecność wyczuwałem w mrocznej części lasu w tej chwili, nie były tak dobrotliwe i łagodne. Zetknięcie z nimi z pewnością mogło okazać się bardzo groźne.

Zamierzałem właśnie zaproponować, abyśmy wrócili do domu i przełożyli wycieczkę na inny dzień, kiedy Grey, pchnąwszy bramę, wszedł na teren posiadłości.

- Ktoś tędy niedawno przejeżdżał - zauważył. - Spójrzcie tylko, widać jeszcze ślady opon...

I wskazał błotnistą kałużę parę kroków dalej, gdzie warstwa żwiru, od dawna już nie przeczesywana gęstymi grabiami przez batalion ogrodników, była teraz bardzo płytka. Ellie podeszła bliżej.

- Może ktoś tu jest - odezwała się niepewnie. - Najlepiej będzie, jeżeli przyjedziemy innego dnia. Ale to dziwne... Nigdy przecież nikogo nie spotkaliśmy...

Przerwała. Nie miała siły protestować.

- Po co nam jakieś sceny... - ciągnęła ściszym głosem. - Szczerze mówiąc, znajdujemy się na terenie prywatnym, gdyby ktoś miał robić nam nieprzyjemności... Tata bardzo by się zdenerwował. Gdy tu przychodzimy, zawsze wpada w rozdrażnienie, ale nie mogę go powstrzymać. Upiera się przy tych spacerach, a już zawsze zjawia się tutaj w rocznicę śmierci Rebeki... No i bardzo zależało mu, żeby pokazać panu Manderley...

- Chyba nie ma się czym przejmować. - Grey spojrział na mnie przez ramię. - Te ślady mogą pochodzić sprzed kilku dni. Zresztą, nawet jeżeli kogoś spotkamy, jestem pewny, że sobie poradzimy. Nie robimy przecież nic złego. Biorę na siebie całą odpowiedzialność. Niepokoi mnie tylko odległość... Jak daleko jest stąd do domu?

- Bardzo daleko - odparła Ellie. - Ten podjazd ciągnie się bez końca. Zwykle robimy tylko krótki spacer. Ojciec bardzo lubi miejsce, z którego po raz pierwszy można usłyszeć szum morza. Zimą widać stamtąd dom. W zeszłym roku wjechaliśmy tu samochodem i przeszliśmy od domu do Szczęśliwej Doliny, w której Rebeka kazała zasadzić dzikie azalie. Z Doliny schodzi się wprost nad morze... Ale to było parę miesięcy temu, kiedy tata był silniejszy...

- Teraz powinniśmy zrobić to samo - oświadczył Grey. - Podjechać jak najbliżej domu, przejść się kawałek, jeżeli pani ojciec będzie czuł się na siłach, i wrócić do samochodu.

Zniżył głos i nachyliwszy się ku niej, dodał coś, czego nie usłyszałem. Niezależnie od tego, co to było, najwyraźniej przekonało moją córkę. Odwróciła się do mnie z wyrazem pogodnego zdecydowania na twarzy, co świadczyło, że spodziewała się, iż będę robił trudności.

Ale jej podejrzenia okazały się nieuzasadnione. W uszach nadal

brzmiała mi jej uwaga, jakobym stawał się rozdrażniony podczas wizyt w Manderley. Nie byłem też do końca pewien, czy widok wymieniających zwierzenia i spiskujących dla mojego dobra Ellie i Greya sprawia mi przyjemność, czy wręcz przeciwnie. Tak czy inaczej, bardzo chciałem zobaczyć dom, chociaż teraz, kiedy wreszcie się tu znalazłem, zrozumiałem, że nie będę w stanie dotrzeć do niego na własnych nogach.

Grey szeroko otworzył bramę i zamknął ją po naszym przejeździe, a potem ponownie zajął miejsce w samochodzie. Ellie ruszyła naprzód i wjechaliśmy w chłodny tunel drzew, których pnie wyrastały z głębokiego poszycia, szmaragdowozielonego od mchów, zajęczego szczawiu i liści pierwiosnków. Uspokoilem się, duchy zniknęły. Przeszłość wracała do mnie wielką, łagodną falą, coraz bliższa i lepiej widoczna, zupełnie jakbym z racji wieku wyposażony został w czarodziejską lornetkę. Muszę tylko poprawić ostrość widzenia, a dystans i dziesięciolecia natychmiast przestają istnieć, i oto mam przed sobą zbliżenie minionych chwil. Ta szczególna umiejętność towarzyszy mi teraz stale, każdego dnia obecna gdzieś na odległym horyzoncie teraźniejszości, i czasami żal mi ludzi takich jak Grey i Ellie, którzy są zbyt młodzi i krótkowzroczni, aby z niej korzystać.

Patrzyłem więc na samego siebie, ubranego w błękitne ubranko z marynarskim kołnierzem, biegnącego za motylem, którego nie mogłem dogonić. Patrzyłem, jak matka, dystyngowana, pogrążona w świecie marzeń i łagodna, w żałobie, której nigdy nie zdjęła, pochyla się, żeby obejrzeć kwiat dzikiego storczyka o płatkach koloru denaturatu, pociętych intensywnie pomarańczowymi żyłkami.

- Spójrz, Arturze... - przemówiła.

Nagle wyprostowała się i odwróciła, teraz już o osiemnaście lat starsza, aby powitać moją siostrę, która zbliżała się, śliczna i pełna uroku w różowej sukience, wywijając paczką książek, owiniętą paskiem, i śmiejąc się przez ramię do Maxima.

- Ludzie pytają mnie, dlaczego wyszłam za Maxa - powiedziała do mnie Rebeka, a kolejne lata migały za szybami jej nisko zawieszzonego samochodu, którego długą maskę zdobiły srebrzyste, szeroko rozpięte skrzydła.

Zahamowała ostro i zatrzymała się, tu, na tym podjeździe, na tym zakręcie, a może na następnym. Odwróciła się twarzą do mnie.

Włosy miała splątane od wiatru, skóra lśniła młodością i zdrowiem, oczy zaś, to rozświetlone słońcem, to pomroczyły od rzucanego przez rozkołysane gałęzie cienia, były pełne radości i tajemnic, i równie nieprzewidywalne jak kwiecień.

- Kiedy mnie o to pytają, zawsze kłamię jak z nut - ciągnęła. - Gardzę nimi za tę ciekawość. Mówię, że poślubiłam go z nudów w czasie deszczowego weekendu, albo dla pieniędzy. Uwielbiają to i mają o czym plotkować przez całą zimę, ale naprawdę wyszłam za niego dla tego miejsca. Posłuchaj. Słyszysz morze, prawda? Wystarczy przejść między tymi drzewami i już je widać. Ile kwiatów potrafisz dostrzec? Ile ptaków rozpoznasz? Sójka uwiła gniazdo niedaleko stąd, a jej jajka mają barwę nieba. Widziałam, jak kiedyś nad tamtymi drzewami unosił się jastrząb. Może szukał tego gniazda? Widzisz, to dlatego wyszłam za Maxa. Manderley należy do mnie, a ja należę do Manderley. Zrozumiałam to w chwili, kiedy ujrzałam je po raz pierwszy.

- Kiedy przyjechałaś z pierwszą wizytą do Manderley, byłaś już zaręczona z Maximem - rzekłam, rozpaczliwie usiłując trzymać się prozaicznych faktów, jak zwykle w defensywie, przerażony, że jeśli spojrzę jej w oczy, wszystkie zasady, którymi kierowałam się w życiu, rozsypią się w proch. - Byłaś jego narzeczoną, Maxim mi o tym powiedział. Znaczy to, że coś innego miało wpływ na twoją decyzję. Koloryzujesz, Rebeko.

- Mylisz się. Znam to miejsce od wielu lat, właściwie przez całe życie. Widziałam je, wyobrażałam je sobie. A teraz jest moje...

- Dzięki Maximowi.

- Myśl sobie, co chcesz, Arturze. Straszny dziś z ciebie detalista, wiesz? Męczy mnie to. Proszę bardzo... - Wyciągnęła nagie, brązowe ramię i otworzyła drzwi od strony pasażera. - Resztę drogi pokonasz pieszo. Kiedy przestaniesz przejmować się szczegółami, oczywiście, jeśli, przestaniesz, poczęstujemy cię herbatą. Nie, nie, wcale nie żartuję. Wsiadaj. Nie lubię ludzi, którzy pedantycznie dbają o detale i nie chcą ich ani w swoim samochodzie, ani w Manderley...

- Rebeko... - zacząłem.

Ellie nachyliła się ku mnie i poklepała mnie po dłoni.

- Zdrzemnąłeś się - powiedziała. - Popatrz, jesteśmy już prawie na miejscu...

Przetarłem oczy. Siedzący za mną Barker zapiszczał cicho. Zwir trzeszczał pod kołami, drzewa przerzedziły się i przed nami, w świetle kwietniowego słońca, przytulone do boku niewielkiego pagórka, stały potrzaskane ściany i gołe belki sufitów i poddasza Manderley. Opuściłem okno i wychyliłem się, podekscytowany tym widokiem. W oddali słońce lśniło na powierzchni morza, w powietrzu wyraźnie czuło się sól, siedzący na gałęzi krzewu kos zanosił się śpiewem, a fale przyływu szumiały coraz głośniejsze i głośniejsze.

Zaparkowaliśmy na zarośniętym chwastami podjeździe, w miejscu, gdzie w latach mojego dzieciństwa zatrzymywały się powozy, później zaś automobile, obok obficie zdobionego portyku. To właśnie tutaj dawno, dawno temu Frith dostojnie witał wchodzących po schodach gości. To tu powitał Rebeke, kiedy jako świeżo poślubiona żona Maxima po raz pierwszy przybyła do Manderley, zaraz po zakończeniu miodowego miesiąca. Wszyscy służący delegowani do prac poza domem, od głównego ogrodnika do najmłodszego stajennego, stali w szeregu przed domem, przyciskając do piersi czapki, w holu zaś czekała na nową panią służba domowa, w starannie wyczyszczonych i wyprasowanych uniformach, wykrochmalonych fartuchach, ze skromnie spuszczonej oczami.

- Wydaje mi się, że Frith próbował wprawić mnie w zakłopotanie - zauważyła Rebeka, rzucając mi rozbawione spojrzenie. - Wyszedł na spotkanie w roli stróża rodowej siedziby i tylko czekał, bym popełniła jakiś błąd. Prawie to zrobiłam, oczywiście po to, aby zobaczyć jego reakcję. Ale obiecałam Maxowi, że nie niżę się do żadnych sztuczek i dotrzymałam słowa. Był to doskonały występ - żałuj, że tego nie widziałeś.

- Ja natomiast słyszałem, że upuściłaś rękawiczki, więc Frith musiał się schylić i je podnieść - powiedziałem. - Nie zrobiłaś tego chyba celowo, co?

- Oczywiście że nie. Te rękawiczki były pierwszym prezentem, jaki dostałam od Maxa, były piękne, z najdelikatniejszego zamszu. Moja matka miała kiedyś podobne... Bałabym się je zniszczyć, za żadne skarby nie rzuciłabym ich specjalnie na ziemię, nie zrobiłabym tego nawet po to, by rozzłościć Fritha. Upuściłam zresztą tyl-

ko jedną, z wrażenia, kiedy zobaczyłam ten wielki portyk, przypominający wejście do starożytnego grobowca. To był wypadek, możesz mi wierzyć.

Spojrzałem teraz na ten portyk - jego podstawę przecinały głębokie pęknięcia, z których wyrastały gałązki wiciokrzewu i młodej wierzby, jedna z bocznych kolumn, poczerniała w ogniu, nadal stała prosto, lecz druga była niebezpiecznie przechylona. Schyliłem się, żeby spuścić Barkera ze smyczy. Pies natychmiast pobiegł za Greyem i Ellie, a ja powoli ruszyłem jego śladem.

Latem, kiedy krzewy i chwasty odzyskują siły po zimie, aby pnieć się z nową energią, bardzo trudno jest obejść całe Manderley, lecz na początku kwietnia, zwłaszcza po tak ciężkiej i długiej zimie jak minioną, można jeszcze śmiało podjąć taką próbę. Ściskając w rękę laskę i rozglądając się czujnie, aby nie wpaść w jakąś króliczą norę, poszedłem po niegdyś starannie strzyżonej trawie dookoła potężnego, obróconego w ruinę północnego skrzydła domu, w kierunku słynnego zachodniego wejścia, z którego roztaczał się wspaniały widok na ocean.

W środkowej części zachodniego skrzydła, niewątpliwie najpiękniejszym zakątku całego domu, Rebeka i Maxim urządzili swoje pokoje, ignorując tradycję, zgodnie z którą powinni zająć bardziej osłonięte od wiatrów sypialnie z oknami wychodzącymi na południe, od wieków przysługujące panu i pani Manderley. To tu, na parterze, znajdował się wielki salon, w którym po powrocie z Singapuru po raz pierwszy zobaczyłem Rebekę. Wbiegła prosto z ogrodu w białej sukni, zdumiewająco młoda i piękna. Było to trzy miesiące po ich ślubie. To tu, na pierwszym piętrze, w głębi korytarza, znajdował się pokój, którego nigdy nie widziałem, a z którego Rebeka uczyniła swoją sypialnię.

- Zawsze zasypiam tam bez trudu - powiedziała. - Oczywiście przy otwartych oknach, nawet w czasie burzy. Słyszę wtedy morze i czuję je. To mnie uspokaja.

Nie ma już ani salonu, ani sypialni Rebeki. Podobno pożar wybuchł właśnie w tej części domu, w każdym razie tak mi mówiono, i tu dokonał największego spustoszenia. Dotknąłem szerniałych kamieni, oparłem dłonie na rozsypujących się kamiennych filarkach, które stanowiły ramę okna. Zajrzałem do środka, starając się dostrzec coś znajomego wśród popalonych, popękanych belek, gru-

zów i porastających je chwastów. Próbowałem uporządkować to wszystko w wyobraźni, odtworzyć układ ścian, miejsce, w którym znajdował się kominek i drzwi wejściowe, lecz panujący wewnątrz chaos zmylił mnie i przygnębił.

Odwróciłem się i spojrzałem na to, co pozostało z trawnika. Tam, pod tamtym jesionem, siadywał kiedyś mały chłopiec w marynarskim ubranku. Pił herbatę z siostrami Grenville i zakochał się w ślicznej Isoldzie. Tam, nieco po prawej, obserwowałem kiedyś Rebeke, zrywającą kiście białego bzu. Szła teraz ku mnie, niosąc naręcze pachnących kwiatów... Przeszłość otaczała mnie ze wszystkich stron, widziałem ją, mogłem dotknąć, gdy tymczasem inni niczego nie dostrzegali... Przeniosłem spojrzenie na morze i niebo, i zorientowałem się, że widzę je przez Izy.

Poczułem, że jestem stary. Byłem słaby, ręce mi drżały. I wtedy Barker, który zawsze wyczuwa moje nastroje, wrócił i wtulił wilgotny, siwiejący pysk w nogawkę spodni. Od morza powiało słona-wą świeżością i odzyskałem siły. Przypomniałem sobie, że nie przybyłem tu dziś bez powodu. Co roku właśnie tego dnia odbywam może i głupią pielgrzymkę w celu... No właśnie, w jakim celu? Zęby odpokutować za grzechy? Okazać szacunek? Zal? Tak, tak, jestem przecież sentymentalnym starym głupcem. Ale w tym roku przyszedłem tu z jeszcze innego powodu, o czym niestety prawie zapomniałem.

- Chodź, Barker! - rzuciłem i ruszyłem przez wysoką trawę ku mojej córce i Terrence'owi Greyowi.

Znacznie mnie wyprzedzili i teraz przystanęli obok południowo-zachodniego narożnika, gdzie miał swój apartament Lionel de Winter. Ten kraniec domu uległ najmniejszemu zniszczeniu. Przypominająca wieżę część skrzydła, w której Lionel powoli dobiegł kresu swoich ostatnich, bolesnych lat, i w której w końcu umarł, nadal stała, chociaż dach dawno już się zapadł, a w gęstej plataninie pnączy, spowijającej mury, sowy miały swoje gniazda. Spojrzałem w okno pokoju Lionela i przez chwilę wydawało mi się, że widzę siebie samego, ubranego w mundur i młodszego o wiele, wiele lat.

Rok 1915: przyjechałem do Sosen na dwudniowy urlop, aby odwiedzić żonę i świeżo narodzonego synka. Wieczorem miałem już być znowu na pokładzie statku, a następnego dnia we Francji. Ist-

niało ogromne prawdopodobieństwo, że za parę dni, może za tydzień, może trochę później, będę martwy, podobnie jak wielu moich kolegów i przyjaciół. Tamtego dnia, tuż przed wyjazdem na front, zostałem jednak wezwany przez starszą panią de Winter. Miałem być jednym ze świadków sporządzenia nowej wersji testamentu jej syna Lionela. Na drugiego świadka wybrano Fritha, który niedługo potem awansował na kamerdynera. Dlaczego ja? Czy dlatego, że pani de Winter wiele lat temu zorientowała się, jak ustępliwy jestem wobec jej żelaznej woli, czy może dlatego, że prosta statystyka wskazywała, iż mam niewielkie szanse na przeżycie Lionela, a więc raczej nie zdążę nikomu zdradzić treści testamentu? Nie ulegało wątpliwości, że Lionel był zbyt chory, aby zrozumieć, jaki dokument podpisuje, chociaż jego matka utrzymywała, że wcale nie jest z nim tak źle. Zmarł wieczorem tego samego dnia, gdy tymczasem ja, wbrew statystyce, przeżyłem następne trzydzieści sześć lat. To, co wtedy zrobiłem, poważnie obciąża moje sumienie. Dopiero niedawno uświadomiłem sobie, że dwukrotnie pozwoliłem, aby de Winterowie posłużyli się mną niczym narzędziem.

Nigdy nie lubiłem tej części domu w Manderley. Beatrice przyprowadziła mnie tu kiedyś, gdy byłem małym chłopcem. Ostrzegła, że w tych korytarzach straszy, i że może dane nam będzie ujrzeć jakąś przerażającą zjawę - mężczyznę bez głowy lub złą do szpiku kości i przekłętą Karolinę de Winter. Na szczęście nie zobaczyliśmy ducha, ale bardzo się wtedy bałem i nigdy nie zdołałem całkowicie otrząsnąć się z tego dziecięcego lęku. Dziś także zbliżyłem się do wieży z prawdziwą niechęcią, a na widok czekającej na mnie Ellie poczułem ogromną ulgę. Greya nie było już u jej boku, szybkim krokiem oddalał się w kierunku morza. Przystanąłem.

- Nie uważasz, że w tym świetle Manderley wygląda wyjątkowo pięknie? - odezwała się Ellie, podchodząc do mnie. - Czasami wydaje mi się, że teraz dom jest nawet piękniejszy niż kiedykolwiek przedtem. Oczywiście, kiedyś był imponujący i wspaniały, ale dziś jest taki cichy i spokojny... To magiczne miejsce, tato. Pod wieżą zauważyłam lisią norę, lisica ma chyba młode. Słyszałam ich popiskiwanie. Za parę lat z domu nic nie zostanie. Przyroda weźmie go w posiadanie i przywróci Manderley ptakom, lisom, królikom i chomikom. W walce z murami zwycięży winorośl i powój.

- Może - powiedziałem. - Może. Barker, siad.

Ellie oparła rękę na moim ramieniu. Wiatr odgarnął miękkie włosy z jej twarzy, zaróżowił policzki. Przez chwilę milczeliśmy. Ellie patrzyła w kierunku lasów, które dopiero zaczynały się zielenić. Słońce przesiewało promienie między jeszcze nagimi gałęziami. Patrzyła na bladozielone kępki pierwiosnków i chłodny cień pod drzewami, gdzie wkrótce zakwitną zawilce, dzwoneczki i fiołki. W oddali morze przewracało z boku na bok, fale lśniły i wspinały się wysoko. Czułem zapach wiosny, czułem jej niepokój i siłę obietnic. Dostrzegłem też wiosnę w oczach mojej córki i jej piękno chwyciło mnie za serce, a jednocześnie przeraziło i przejęło bólem.

Ellie nieomylnie odbiera moje nastroje, więc bez trudu wyczuła i ten. Z westchnieniem otrząsnęła się z zamyślenia.

- Dobrze, że przynajmniej nikogo nie spotkaliśmy - zauważyła. Rozmarzenie zniknęło z jej głosu, zupełnie jakby doszła do wniosku, że dla mojego dobra powinna skoncentrować się na codziennych sprawach. - Bardzo się z tego cieszę. Ciekawe, czy wynajęli strażnika do patrolowania lasów... A może był tu ktoś, kto miał ocenić rozmiary zniszczeń, zaplanować usunięcie gruzów i zburzenie ledwo trzymającego się sklepienia? Dom jest naprawdę niebezpieczny, pracownicy agencji powinni byli już zająć się tym dawno temu. Myślę, że w końcu sami doszli do tego wniosku. Tak czy inaczej, na pewno ktoś tu był, tato, chyba zauważyłeś...

- Nie. Dlaczego tak myślisz?

- Popatrz. - Ellie wskazała ręką. - Tamta kępa jałowców jest prawie zupełnie zgnieciona, jakby ktoś ją podeptał, a okna w wieży Lionela odsłonięto. Jeszcze niedawno były zabite deskami, teraz zostały tylko ślady po gwoździach.

- Może deski odpadły w czasie jakiejś gwałtownej burzy albo wichury w zimie. Deski były zupełnie przegniłe.

- Nie, nie sędzę, aby stało się to w czasie burzy. Ktoś zrobił to obcęgami, przecież widać ślady na krawędzi framugi. I spójrz, cały kawał pnąca jest zdarty, a na parapecie widać ślady błota. Ktoś wszedł tędy do środka. Terry mówi, że to zapewne tylko dzieci, chłopcy, którzy rzucają sobie nawzajem wyzwania, udowadniając, jacy są odważni, wiesz, jak to jest... Powiedziałam mu, że dzieci nigdy tu nie przychodzą, ale...

Przerwała i zmarszczyła brwi. Podążyłem za jej wzrokiem i spojrzałem na okno, o którym mówiła. Rzeczywiście ktoś wspiął się

chyba na parapet i tą drogą dostał się do domu. Ellie miała rację, ja także nie wierzyłem, aby to były dzieci. Zgoda, ruiny i opuszczone domostwa stanowią wielką pokusę nie tylko dla dzieci, ale także dla innych poszukiwaczy samotności - namiętnych wędrowców czy zakochanych par - lecz Manderley jakoś nigdy nie przyciągało ciekawskich. Nigdy też nie padło ofiarą wandalii.

I Ellie, i ja świetnie wiedzieliśmy, co było przyczyną takiego stanu rzeczy. Otaczająca dom i pobliskie lasy aura nie była zbyt przyjazna. Manderley chroniły pradawne, potężne siły, których działanie czasami wyczuwałem, i przekroczenie granicy posiadłości przypominało wejście do sanktuarium. Podobne wrażenie odnosiłem czasami w przeszłości, kiedy zwiedzałem zrujnowane świątynie na Dalekim Wschodzie lub święte gaje w Grecji i we Włoszech. To, że nie wierzymy dziś w bóstwa, które w zamierzchłej przeszłości czczono w takich miejscach, nie znaczy, że nie wyczuwamy ich mocy. Zawsze uważałem, że tylko głupi, nierozsądny człowiek kpi sobie z dawnych bogów. Może to instynkt, może przesady, ale nie chciałbym znaleźć się w lasach Manderley sam, zwłaszcza po zmroku, i nigdy nie pozwoliłbym na to Ellie. Spojrzałem na wskazane przez Ellie okno, potem zaś przeniosłem wzrok na moją córkę. Terry... Nigdy dotąd nie używała tego imienia. Kiedy zaszła ta znacząca zmiana?

Od morza powiał lekki wiatr. Pomyślałem o zefirze z mojego dzieciństwa. Poczulem lekki dreszcz na plecach, odwróciłem się od okna. Znowu ogarnął mnie dziwny lęk, któremu ostatnio ulegałem coraz częściej. Z irytacją otrząsałem się z niego i gniewnym gestem wskazałem oddalającego się Greya.

- Dokąd on się wybiera? - zapytałem zrzędlwym tonem. - Strasznie mu się spieszy. Mógł chyba na mnie poczekać...

- Chce zobaczyć... Chce zobaczyć miejsce, gdzie jacht Rebeki poszedł na dno. I zatokę, i jej domek na pomoście... - Ellie zerknęła na mnie niespokojnie. - Uważa, że dla ciebie to za daleki spacer i nie chciał cię denerwować, więc pomyślał, że pójdzie tam szybko i zaraz wróci...

- Za daleki spacer? Za daleki?! - warknąłem. - To niecałe pół kilometra. Arogancki szczeniak! Kim on jest, by decydować, że to dla mnie za daleko?!

- Ależ, tato...

- Można by pomyśleć, że jestem jakimś beżytecznym, bezsilnym starcem, do cholery! Przecież to ja go tu przywiozłem, ja pokazałem mu Manderley! Nie ma prawa... Nie chciał mnie zdenerwować? Oczywiście, że jestem zdenerwowany! I to on mnie zdenerwował! Łazi tu, tam, wszędzie, jeździ do Londynu, a wszystko to nie wiadomo po co! Spotyka się z Frithem i nawet nie prosi o pozwolenie, czy choćby o radę. Kto mu powiedział, gdzie jest Frith? Ja. Pisze do Favella, umawia się z nim na spotkania, a teraz jeszcze i to! Spaceruje sobie po Manderley i zostawia cię samą! Szczeniak nie ma za grosz wychowania, straciłem już do niego cierpliwość! Za daleki spacer?! Ja mu jeszcze pokażę!

Rzeczywiście, tak to mniej więcej brzmiało. Gadałem dość długo, z każdą chwilą coraz bardziej oburzony, wściekły i zagubiony. I przez cały ten czas wiedziałem doskonale, że Grey ma rację - ta wyprawa naprawdę była dla mnie za daleka i zbyt męcząca. Wiedziałem również, że zejście na dół, do zatoki, kompletnie rozstroi mi nerwy. W końcu ostatni raz byłem tam dwadzieścia lat temu. Byłem świadomy, że Grey ma słuszość, lecz pozwoliłem sobie wpaść we wściekłość. W jednej chwili byłem pułkownikiem Julya-nem, mądrym, rozważnym staruszkim, w drugiej odgrywałem już rolę króla Leara. Świadomość tego, co się ze mną dzieje, wcale nie łagodziła bólu, który odczuwałem.

- Tato, uspokój się - wtrącała co jakiś czas Ellie. - Proszę, nie zachowuj się tak... Nie reagowałem.

- To śmieszne - powiedziała w końcu, wyraźnie zniecierpliwiona. - Dlaczego jesteś taki uparty? Dobrze wiesz, co się stało, kiedy ostatnim razem wybrałeś się w stronę zatoki! Dotarliśmy do Szczęśliwej Doliny i tam zabrakło ci sił. Och, na miłość boską, tyle razy cię ostrzegaliśmy - lekarz, ja, nawet twój własny organizm! Nie jesteś zdrowy, ten spacer doszczętnie cię wyczerpie, zbocze jest zbyt strome...

- Daj mi spokój, Ellie! - wykrzyknąłem. - Nie wsadzaj nosa w nie swoje sprawy! Odkąd to wydajesz mi polecenia?!

- Nie wydaje ci poleceń, tylko proszę! Proszę cię, żebyś mnie posłuchał, ten jeden, jedyny raz! Bądź rozsądny, tato!

- Puść mnie, zabierz tę rękę! I nie zacznij czasem popłakiwać, na Boga! Czerwone oczy i nos na pewno ci nie pomogą! Jeżeli chcesz

ładnie wyglądać dla swojego Terry'ego, a jestem przekonany, że bardzo ci na tym zależy, to nie tędy droga, możesz mi wierzyć!

- Tato, przestań! - Ellie puściła moje ramię i cofnęła się o krok. Przerazenie i uraza w jej oczach były tak wyraźnie widoczne, że

natychmiast znenawidziłem się za to, co jej zrobiłem, a to rozwścieczyło mnie jeszcze bardziej.

- Przygotowałaś dla niego lunch i przewracałaś oczami przy stole! Nie wyobrażaj sobie, że tego nie zauważyłem! Robisz z siebie idiotkę, Ellie! Aż przykro na to patrzeć, bo Grey wcale nie jest zainteresowany! Widzisz, uciekł przy pierwszej sposobności! Beczałaś jak owieczka, „tatuś to, tatuś tamto”, i nie wątpię, że zanudziłaś go na śmierć! Zresztą mnie także, do diabła! Zostaw mnie w spokoju i idź sobie pochlipać gdzie indziej!

Jaskrawy rumieniec zalał szyję Ellie i wypełził na policzki. Kiedy w końcu przemówiła, głos brzmiał okropnie, jakby brakowało jej tchu. Była bardzo rozgniewana.

- To obrzydliwe, co powiedziałeś, obrzydliwe! Ja wcale... Wcale nie... Jak możesz tak do mnie mówić, i to właśnie ty?! Świetnie pamiętam, jak wzdychałeś po kątach, godzinami wpatrywałeś się w okno i bez powodu irytowałeś się na wszystkich z wyjątkiem Rebeki! Mojej matce pękło przez to serce i ja także cierpiałam, nawet nie masz pojęcia, jak bardzo! Ja robię z siebie idiotkę? To ty robiłeś z siebie głupca, i to przez pięć długich lat. Dobrze, idź tam, skoro chcesz, nie mnie to już nie obchodzi! Biegnij na tę jej plażę, choćby na złamanie karku! Nie chciała cię tam wtedy i nie zechciałaby teraz. Może wreszcie zdołasz to zrozumieć, ty stary głupcze!

Odwróciła się i ukryła twarz w dłoniach. Widziałem, że drży na całym ciele. Zapadła straszna cisza, cisza, która wydawała się trwać bez końca. Staliśmy tam - ona, płacząca dziewczyna, którą kochałem z całego serca, i ja, uparty, przerażony stary głupiec. Łzy napłynęły mi do oczu, ale otarłem je gwałtownym ruchem. Patrzyłem na siebie z niedowierzaniem, wstydem i lękiem, lecz mimo to odwróciłem się bez słowa i siekąc końcem laski trawę, zostawiłem Ellie i ruszyłem w kierunku morza.

ROZDZIAŁ 9

Chciałbym móc napisać, że już po chwili wróciłem do niej, poprosiłem o przebaczenie i doprowadziłem do pogodzenia, ale wcale tego nie zrobiłem. Szedłem ku morzu, potykając się, wymachując laską i pokrzykując na biednego Barkera. Byłem zbyt wściekły, przestraszony i pełen niesmaku do siebie, żeby rozsądnie myśleć, a co dopiero działać. Wystawiłem więc twarz na podmuchy ożywczego wiatru i brnąłem dalej. Serce waliło w piersi jak oszalałe, każdy oddech powodował ból. Byłem ślepy, głuchy i nieprzytomny ze złości. Oskarżenia Ellie brzmiały mi jeszcze w uszach, w głowie szumiało i czułem się tak, jakbym znalazł się w polu rażenia pocisków wyrzucanych przez haubice.

To nieprawda, nieprawda, powtarzałem sobie, lecz w tle tych zapewnień pojawiały się teraz słowa i sceny z przeszłości. „Starszy mężczyzna często kompletnie traci głowę dla młodej kobiety, prawda, pułkowniku?”. Widziałem też bladą, mizerną twarz mojej żony, która nie chciała dłużej słuchać próśb, wyjaśnień i przysiąg. „Nie mów nic więcej, Arturze. Umieram i w ogóle mnie to już nie interesuje”.

Usiłowałem zagłuszyć te głosy. Nie były tym głosem, który pragnąłem usłyszeć, i dotyczyło to nawet, Boże dopomóż, mojej żony, która przez wszystkie lata naszego małżeństwa nigdy me powiedziała mi nic, co byłoby niesprawiedliwe czy nieuzasadnione.

- Idź sobie! - krzyknąłem na biednego Barkera, który ciągle biegał dookoła mnie i wpadał mi pod nogi.

Szedłem dalej, prawie nie wiedząc, gdzie jestem, zdyszany, spocony i ledwo żywy. Szedłem tak do chwili, aż natknąłem się na gęstą kępę złotego deszczu i zobaczyłem, że kwiaty się ruszają.

Zatrzymałem się, z trudem łapiąc oddech, i drżącą ręką otarłem pot z twarzy. Spojrzałem jeszcze raz i spostrzegłem, że poruszające się kwiaty to raczące się nektarem motyle, młode motyle, które za wcześnie, nierozsądnie za wcześnie wyzwoliły się z kokonów. Zrobiłem jeszcze jeden krok i znowu przystanąłem, bo nagle zakręciło mi się w głowie. Podo mną zbocze urywało się ostro. Wybrałem niewłaściwą ścieżkę - ta, którą schodzi się prosto do zatoki, zaczyna się nieco bardziej z lewej. Ale i stąd widziałem podobny do podkowy zarys brzegu zatoki, wypełnionej spienionymi falami, a także skały strzegące wejścia do niej, które dawno temu obaj z Maximem nazwaliśmy Scyllą i Charybdą.

Fale sięgały coraz dalej i dalej, zaczynał się przypływ. Nigdzie nie było widać Greya, o którym prawie zapomniałem, ale w dole podo mną znajdował się mały pomost, gdzie Maxim i ja cumowaliśmy naszą łódź, a później Rebeka swój jacht „Je Reviens”. I właśnie tam, po prawej stronie zatoczki, nadal nienaruszony mimo sztormów dwudziestu zim, stał domek, w którym Rebeka sypiała czasami, jeśli w nocy wypływała w morze, co bardzo lubiła robić. Domek, który urządziła bardzo prosto i skromnie. W czasie przypływu fale podchodziły prawie pod jego mury, a podczas sztormu piana rozpryskiwała się na szybach okien wychodzących na morze. Od strony lądu widziało się drzewa porastające ostre zbocze, natomiast Manderley było stąd niewidoczne.

W ciągu ostatnich sześciu miesięcy życia Rebeka spędziła tu bardzo dużo czasu. Czasami jakiś niepokój gnał ją do Londynu, gdzie zatrzymywała się w swoim mieszkaniu na brzegu Tamizy, lecz kiedy wracała z tych wypraw, najczęściej można było znaleźć ją właśnie tutaj. Niezależnie od tego, co ludzie mówią, a na temat domku na plaży i sposobu, w jaki go wykorzystywała, mówią wiele, uważam, że było to jej schronienie jedynym miejscem, w którym mogła zaznać spokoju.

Serce ścisnęło mi się boleśnie, kiedy na niego spojrzałem. Z mojego gardła wydobył się jakiś chrypliwy dźwięk, który w jednej chwili przywołał zaniepokojonego Barkera do mego boku. Wsparty na lasce, długo łapałem powietrze otwartymi ustami. Kiedy ziemia pod moimi stopami zaczęła się poruszać, a morze szumiało raz ciszej, raz głośniejsze, zupełnie jakby oddalało się i zbliżało wielkimi krokami, zamknąłem oczy. Zawroty głowy ustały i znowu byłem

w stanie skupić wzrok na roztaczającym się przede mną widoku. Oto kwadratowy domek, przycupnięty blisko ziemi, aby łatwiej znosił napór wichrów, z murami z kamienia, grubymi na ponad metr, z niskim dachem i małymi, głęboko osadzonymi oknami... Z jego komina sączył się dym, który w jasne noce, w świetle księżyca i gwiazd, widoczny był z daleka. W oknach paliło się światło i szyby wydawały się lśnić najprawdziwszym złotem. Czasami, gdy w nocy spacerowałem ścieżkami wzdłuż wybrzeża, co ogromnie lubiłem, zatrzymywałem się na jakimś wzniesieniu i spoglądałem w okna domku na plaży. Światło w oknach mówiło mi, że Rebeka jest u siebie. Ostatniej zimy spędzała tam prawie wszystkie noce.

Zadawałem sobie pytanie, dlaczego, skoro od jej wspaniałego domu dzielił ją zaledwie dwudziestominutowy spacer. Kilkaset metrów wyżej stał dom z trzydziestoma sypialniami, armią służby oraz wszelkimi wygodami i luksusami, dom, który sama odmieniła i uczyniła pięknym. Miękkie krzesła, fotele, kominki, pachnące sole do kąpieli, pościel z najcieńszego lnu... Ten dom podziwiano, kopiowano, obrzucano zazdrosnymi spojrzeniami, a każdy jego aspekt, od obrazów i mebli aż po takie drobiazgi, jak obszycie poduszki, sposób układania bukietów w wazonach i eksponowania bibelotów, był jej wyłącznym dziełem.

W ciągu pięciu lat Rebeka zorganizowała machinę zwaną Manderley z niedbałym wdziękiem, pod którym kryła się precyzja godna najlepszego generała. Jej uwaga skupiona była na wszystkim jednocześnie - na zaproszeniach, odbieraniu licznych grup gości ze stacji, zestawieniu dań, doborze osób przy stole, projektowaniu ogrodów. Zapisywała wszystko, co wydało jej się istotne, tak więc goście nigdy nie dostawali tych samych potraw dwa razy z rzędu, nawet jeżeli między jedną ich wizytą w Manderley a drugą minął rok. Pamiętała, komu przypadł do gustu ten pokój, a komu inny, sprawdzała, czy wszędzie stoją odpowiednie kwiaty, a ułożone w pokojach książki i czasopisma zawsze stanowiły odbicie zainteresowań i gustu osób, które miały w nich zamieszkać. Robiła to wszystko i jeszcze więcej tak dobrze i dyskretnie, że niektórzy goście nigdy się nie dowiedzieli, iż cieszą się owocami jej pracy i nie mogli się nachwalić idealnej służby w Manderley.

A jednak teraz unikała tego cudownego miejsca, które sama stworzyła. Oczywiście jak zwykle witała gości na formalnych przy-

jęciach, lecz kiedy dobiegały końca lub kiedy po prostu miała czas tylko dla siebie, przychodziła tutaj, do małego, parterowego kamiennego domku na brzegu morza. Chciałem, nie, raczej musiałem się dowiedzieć, co nią kierowało i pewnego wieczoru na początku kwietnia, mniej więcej na tydzień przed jej śmiercią, kiedy o zmierzchu dostrzegłem światło w oknach domku, zszedłem ze wzgórza, żeby poznać odpowiedź na pytanie.

Był z nią ostatni z jej psów, Jasper, ten, którego lubiła najbardziej. Albo Jasper, albo sama Rebeka musieli usłyszeć moje kroki na żwirze, w każdym razie tak mi się wydaje, bo moja wizyta wcale jej nie zaskoczyła i nie zdziwiła.

Zapukałem do drzwi i wszedłem. A tego popołudnia, stojąc nad urwiskiem, oparty na lasce, wszedłem tam jeszcze raz, i jeszcze,

i jeszcze - odtwarzałem tę chwilę w wyobraźni, usiłując odnaleźć we wspomnieniach jakiś szczegół, który wtedy umknął mojej uwadze. Niewielki pokój o bielonych wapnem ścianach był ciepły, pachniał drewnem i tureckimi papierosami, które Rebeka paliła teraz najczęściej. Na podłodze leżał czerwony chodnik, bardzo prosty, jeden z takich, jakie widuje się w okolicznych wiejskich domach. Na wąskim łóżku pod ścianą, które w ciągu dnia pełniło funkcję kanapy, drzemał zwinięty w kłębek na kocu w szkocką kratę Jasper. Nad łóżkiem znajdowała się półka z rzędem malutkich modeli łodzi i jachtów, wprowadzie dość prymitywnie wyrzeźbionych w drewnie, tym niemniej ślicznych. Na drugiej ścianie umieszczono drugą półkę, na książki i talerze, pod nią zaś ustawiono mały piecyk. Przy kominku, w którym wesoło trzaskał ogień, stał fotel o poprzeciera-nym tu i ówdzie obiciu, który wyglądał tak, jakby odsłużył swoje najlepsze lata w pokoju jakiejś pokojówki w Manderley.

Naprzeciwko łóżka-kanapy przy dużym stole siedziała Rebeka. Na jego blacie leżało mnóstwo książek, piór i kałamarzy, jaskrawo-różowa bibuła do osuszania papieru oraz popielniczka, na której brzegu spoczywał jeden z jej charakterystycznych, owalnych papierosów. Z boku Rebeka postawiła olejową lampę ze starannie wypolerowanego mosiądzu, która rzucała ciepły krąg światła w cichym wnętrzu i stwarzała wrażenie miłego spokoju. Patrzyłem uważnie, lecz teraz, po dwudziestu latach, widziałem dokładnie to samo, co wtedy: skromne, pełne uroku miejsce. Coś, może wesołe kolory, a może modele łodzi, nasunęło mi skojarzenie z pokojem dziecin-

nym. Domek na plaży miał w sobie kojącą pogodę, która, słusznie czy nie, przywodziła mi na myśl nasz pokój dziecienny w Sosnach, miejsce zabaw moich i Rose.

Rebeka siedziała przy tym zaimprovizowanym biurku, a światło lampy wydobywało z mroku jej twarz i włosy. Ubrana była w swój stary, lecz wygodny żeglarski strój - spodnie i gruby marynarski sweter. Włosy, które kiedyś były długie, ostatnio krótko ścięła, zgodnie z wymogami obowiązującej wtedy mody. Nowa tryzura w radykalny sposób odmieniła jej wygląd, a ja nie zdążyłem do niego przywyknąć, więc przy każdym naszym spotkaniu przeżywałem krótki moment całkowitego zaskoczenia. Krótkie włosy sprawiły, że wyglądała chłopięco, a jednocześnie bardzo kobieco i jeżeli to w ogóle możliwe, jeszcze dodały jej wdzięku i urody.

Kiedy wszedłem, podniosła wzrok, ale nie uśmiechnęła się i nie przywitała mnie. Spojrzałem na jej dłonie, szczupłe dłonie o długich palcach, jeszcze opalone po wielu wyprawach w morze, jakie odbyła poprzedniego lata. Siedziała bez ruchu, lecz jej ręce niespokojnie poruszały się na blacie, zajęte przesuwaniem bibuły, podnoszeniem i odkładaniem pióra. Były to piękne, pracowite, sprawne dłonie. Rebeka nigdy nie wkładała rękawiczek, kiedy pracowała w ogrodzie, jeździła konno czy żeglowała, i myślę, że głośnym śmiechem zareagowałaby na każdą uwagę o „dłoniach damy”. Teraz, po dwudziestu latach, które minęły od jej śmierci, znowu wpatrywałem się w te dłonie...

Na serdecznym palcu lewej ręki jak zwykle miała obrączkę i wąski pierścionek z brylantami. Zawsze je nosiła. Na prawej nie miała żadnych ozdób, a kciuk i palec wskazujący poplamione były atramentem.

Wyczułem, że jest zamyślona i zajęta, i że moja wizyta wypadła nie w porę. Nie zająłem jej dużo czasu, najwyżej dziesięć, może piętnaście minut, a tego popołudnia, gdy stałem na krawędzi urwiska, nasze spotkanie trwało jeszcze krócej. Wydawało mi się, że naprawdę tam jestem, ogrzany ciepłem bijącym od kominka, i długo rozglądałem się po pokoju. Ta wizja, czy raczej powrót do przeszłości, trwała parę minut, nie więcej. Teraz wydaje mi się, że chociaż byłem bardzo zmęczony i zdenerwowany, to jednak podświadomie wiedziałem, że szukam czegoś, o czym dawno temu zapomniałem, i że jeśli zdołam się skoncentrować, na pewno to zobaczę.

Tak więc uparcie ogarniałem wzrokiem cały pokój - wełniany koc w kratę, jasno płonący ogień, twarz i niespokojne ręce Rebeki. Nagle Barker zaskowyczał cicho i w końcu ujrzałem to, o co mi chodziło. Obok różowej bibuły, pod lewą dłonią Rebeki leżał zeszyt w czarnej oprawie, w którym zapewne pisała przed moim wejściem, bo w chwili, gdy stanąłem w progu, pospiesznie osuszyła kartkę i zamknęła go. Na moich oczach zawiązała na jego grzbiecie czarne rzemyki, odłożyła i wstała...

- Przeszkodziłem ci, widzę, że byłaś zajęta pisaniem. Co pisałaś, Rebeko?

- Dlaczego masz takie bystre oczka, babciu? Pisałam list, w każdym razie tak sądzę.

- Pisujesz listy w notesach?

- Och, ależ jesteś drobiazgowy! No dobrze, to była historia mojego życia. Mam dziś taki autobiograficzny nastrój. Napisałam kilkanaście stron, ale jutro na pewno je wyrwę i wyrzucę. A może jednak je zatrzymam, kto wie? Dla moich wnuków... Dla dzieci. Może przeczytają to pewnego deszczowego dnia, jeżeli nie będą miały żadnego ciekawszego zajęcia, prawda? Chciałabym, żeby mnie poznały...

- I tak będą cię znały, Rebeko.

- Chyba tak. Może...

Otworzyłem oczy i spojrzałem na morze i urwisko, które przestały się poruszać. Zawroty głowy i uczucie słabości minęły bez śladu. Serce nadal mnie bolało, ale mój umysł był zupełnie czysty -chciałbym to dobitnie podkreślić, zwłaszcza w świetle następných wydarzeń. Stałem tam i byłem absolutnie pewien, że dokładnie przypomniałem sobie tamtą rozmowę, wygląd domku i ton głosu Rebeki. Nie miałem też ani cienia wątpliwości co do notesu. Ten, który leżał na moim biurku w Sosnach, był identyczny i właśnie dlatego, kiedy pierwszy raz zobaczyłem go rano, wydał mi się znajomy. Identyczny, a jednak w zasadniczy sposób inny, bo ten, który otrzymałem pocztą, był pusty, natomiast tamten nie...

Gdzie był tamten notes? Spłonął w czasie pożaru, czy może został uratowany i przechowany w jakimś bezpiecznym miejscu? Moje myśli goniły jedna drugą w szaleńczym galopie.

Ktoś zawołał mnie, więc spojrzałem przez ramię i ujrzałem Ellie, biegnącą w moją stronę. Kiedy przeniosłem wzrok na zatokę, zoba-

czyłem Greya, który zmierzał w kierunku domku na plaży. Zatrzymał się, popatrzył na Ellie i na mnie, zawrócił i ruszył biegiem w naszym kierunku.

Jeszcze raz spojrzełem na domek. Dokładnie widziałem okno od strony lądu. Mimo swojego wieku mam dobry wzrok (to również chciałbym podkreślić), raczej z tendencją do dalekowzroczności niż krótkowzroczności, a okulary wkładam tylko do czytania lub pisania. Tak więc wyraźnie widziałem to okno, nie wydawało mi się wcale zamazane i bardzo wyraźnie ujrzałem w nim jakąś postać. Ten ktoś podniósł rękę, chwycił coś, chyba kawałek materiału, i zasłonił okno. Mogła to być resztką zasłony, kawałek płótna, cokolwiek, nie ulega jednak wątpliwości, że ktoś tam był i wcale nie chciał, aby jego obecność została zauważona. Jestem o tym całkowicie przekonany i nie mam zamiaru się wycofać, chociaż Grey i Ellie dość sceptycznie podchodzą do moich słów.

Właśnie to zobaczyłem i wiem, że gdybym zachował się rozsądniej, miałbym większą szansę przekonać moich towarzyszy, iż mówię prawdę. Lecz w moim sercu buchnął nagle płomień zupełnie szalonej nadziei. Ona żyje, pomyślałem. Pochowaliśmy kogoś innego, jakąś nieznaną kobietę. Rebeka żyje i teraz wreszcie postanowiła wrócić. Znowu usłyszałem ten głos z mojego snu: „Wypuść mnie, muszę z tobą pomówić...”.

- Rebeka - powiedziałem w chwili, gdy Ellie znalazła się tuż obok mnie.

Potem stało się coś dziwnego, właściwie nie wiem, co. Odkryłem, że leżę wyciągnięty na ziemi, z marynarką Greya pod głową. Kołnierzyk koszuli miałem rozpięty, szalik rozwiązany, palto luźno opadało. Grey klęczał, pochylony nade mną, a Ellie trzymała mnie za przegub dłoni.

- Ma bardzo słabe, nierównomierne tętno - rzekła załamującym się głosem.

- Spokojnie, Ellie - usłyszałem dziwny, zachrypnięty głos, niewątpliwie mój własny. - Nie przejmuj się tak, zaraz dojdę do siebie...

- O Boże! - jęknęła Ellie i zaczęła szlochać.

Zaprowadzili mnie do samochodu. Nieważne, jak. Cała operacja była długa, trudna i męcząca, i bez Terence'a Greya nie mielibyśmy najmniejszych szans na jej pozytywne zakończenie. Grey za-

chował się wspaniale, przyznaję to bez wahania. W podobnych sytuacjach na kobiety nie ma co liczyć, bo zwykle biegają tylko dookoła, nieprzytomne z przerażenia. Grey był spokojny. Pozwolił mi wydawać polecenia, a jego niezwykła fizyczna sprawność i siła okazały się wprost nieocenione. W końcu usadowili mnie jakoś na tylnym siedzeniu morrissa. Do tej chwili Grey zdołał już w tak znacznym stopniu zaskarbić sobie moje łaski, że z wielkim zadowoleniem powitałem fakt, iż zajął miejsce obok mnie. Podziękowałem mu. Niewykluczone nawet, że powiedziałem: „Dziękuję, Terry”.

Zaraz po powrocie do Sosen Ellie wezwała lekarza. Była tak stanowcza, że nie śmiałem się sprzeciwić. Tak czy inaczej, nie miałem siły, żeby z nią walczyć. Na szczęście tym razem nasz dobry doktor okazał się raczej optymistą niż pesymistą. Zbadał mnie, przeszedł do drugiego pokoju na krótką rozmowę z Ellie i Greyem, po czym wrócił z gotową diagnozą. Omdlenie. Po prostu zwykłe omdlenie. Przemęczyłem się i zemdlałem.

- Sam mogłem to panu powiedzieć - oświadczyłem znacznie pewniejszym niż przed chwilą głosem.

Oczywiście, nie oznaczało to wcale, że nic mi nie jest. Doktor kazał mi leżeć w łóżku i dobrze się sprawować. Nie chciało mi się nawet słuchać długiego kazania o odpoczynku, pigułkach jak dla konia i konieczności całkowitego spokoju. Wiedziałem jedno - było to tylko omdlenie. Nie kolejny atak serca, nie udar, a więc nic, co mogłoby w jakikolwiek sposób wpłynąć na moje zdolności umysłowe. Padłem ofiarą omdlenia, wywołanego gwałtownym wybuchem złości, niewybaczalnym zachowaniem wobec Ellie, zdenerwowaniem, przemęczeniem i... I być może widokiem tajemniczej postaci w oknie domku na plaży.

Oczywiście ani słowem nie wspomniałem o tym doktorowi, który nie należy do osób o bogatej wyobraźni. Na pewno pomyślałby, że tracę rozum.

- Uważaj na siebie, Arturze - powiedział, szykując się do wyjścia. - Postaraj się nie denerwować. Potraktuj to jako drugie ostrzeżenie i wyciągnij z niego właściwe wnioski, dobrze?

Postanowiłem posłuchać jego rady. Nie mam zamiaru żegnać się z tym światem właśnie teraz, kiedy jest tyle do zrobienia. Zabrałem się nawet do pracy. (Oczywiście upłynęło już nieco więcej czasu, niż wynikałoby z tego, co napisałem na początku swojej opowieści.

Jej spisywanie potrwało dłużej, niż się spodziewałem, zwłaszcza że ostatnio szybko się męczę. W chwili, gdy piszę te słowa, od tamtych wydarzeń upłynęła cała doba, ale w mojej pamięci są one nadal bardzo świeże).

Po pierwsze: przeprosiłem Ellie, pogodziłem się z nią i poprosiłem o wybaczenie. Ellie uczyniła to samo, lecz powiedziałem, że usłyszałem od niej wyłącznie prawdę, a za prawdę nie należy przeproszać. Po drugie: zdecydowałem się zaufać Terence'owi Greyowi i już zwróciłem się do niego o pomoc. Nigdy nie zapomnę, jaki dobry był dla mnie po tym nieszczęsnym omdleniu. Po trzecie: opisuję te wydarzenia ze względu na siebie i Greya, abyśmy wiedzieli, od czego zaczęły się nasze poszukiwania. Robię to także dlatego, bym mógł w każdej chwili przypomnieć sobie liczne wskazówki, jakie tu opisałem, oraz stan całej sprawy na początku.

Za jakieś dwa dni, kiedy odzyskam siły, Grey wpadnie się ze mną zobaczyć. Uzgodniliśmy już wstępny podział zadań. Okazuje się, że Grey na sporo „tropów” (chyba tak trzeba nazwać te wskazówki), które ujrzały światło dzienne podczas jego rozmów z Frithem i ostatniej wyprawy do Londynu. Zamierza przesunąć o parę dni spotkanie z Favellem i ustali datę dopiero wtedy, gdy będzie pewny, że wróciłem do zdrowia. Zapewnił mnie, że nie zapomni o uprzedzeniach Fritha i Favella, i w razie wątpliwości będzie się ze mną konsultował. W tym samym czasie ja otworzę

i przejrzę swoje prywatne archiwum, spróbuję przypomnieć sobie wszelkie ważne fakty i wydarzenia, i opowiem mu wszystko w czasie rozmowy lub pisemnie. Na razie, na wszelki wypadek (nikt przecież me wie, kiedy przyjdzie mi pożegnać się ze światem) zostawiam ten opis.

Aby podkreślić wagę naszej umowy, zawartej wieczorem, po powrocie z Manderley, uścisnęliśmy sobie dłonie i zwierzyliśmy się z paru rzeczy. Grey powiedział mi, co dokładnie odkrył wśród zakurzonych dokumentów posiadłości Manderley (nie było to dla mnie żadną niespodzianką - jak się spodziewałem, sprawa dotyczyła rodziny Carminowe), w Somerset House w Londynie i w Archiwum Państwowym (te informacje mocno mnie zaskoczyły). Ja ze swej strony z pewnym wzruszeniem pokazałem mu czarny notes, który anonimowy nadawca przesłał mi pocztą, wraz ze zdjęciem skrzydlatego dziecka. Tak, pokazałem mu „Opowieść Rebeki”... Na

koniec dałem mu klucz do bramy, chociaż przyszło mi to z wielkim trudem.

- Idź tam jutro - powiedziałem. - I pamiętaj, koniecznie zajrzyj do domku na plaży. Dam głowę, że ktoś tam był. I chyba wiem, kto...

- Na pewno pójdę - odparł spokojnie. - I to z samego rana. Proszę się nie niepokoić. Niech pan spróbuje o tym nie myśleć, przynajmniej na razie. Po tych lekach, które dał panu doktor, powinien pan zasnąć. Czas odpocząć, pułkowniku.

- Zaraz będę odpoczywał. Słuchaj, Grey, myślę, że ktoś jeszcze wpadł na ten sam trop co my. Nie mów o tym Ellie, dobrze? Ellie uzna, że wyobraziłem sobie to wszystko, że wszędzie dopatruję się spisku... Cóż, tym razem Ellie się myli. Słuchaj... Moim zdaniem notes przysłała mi ta sama osoba, która była w domku. Ktoś usiłuje narobić nam kłopotów, czuję to. A jeżeli mam rację, może to być tylko jedna z dwóch osób, nikt inny...

Podąłem mu dwa nazwiska.

- To zaskakujące, pułkowniku - rzekł Grey uprzejmie. - Bardzo sprytne. Nigdy bym na to nie wpadł. Ale teraz naprawdę nie powinien pan więcej rozmawiać. Ma pan za sobą wyczerpujący dzień i Ellie bardzo się o pana martwi. Obiecałem jej, że wejść tu najwyżej na pięć minut. Musi pan zasnąć...

Jego łagodność i wyraźne zaniepokojenie w oczach bardzo mnie wzruszyły. Wydaje mi się, że Grey nie lubi odsłaniać tej bardziej uczuciowej strony swojej osobowości, bo zaraz się pochylił, aby poprawić mi kołdrę i ukryć wyraz twarzy. (Nie wyjaśniłem jeszcze, że wtedy zostałem już zapakowany do łóżka, więc ta rozmowa odbywała się w mojej sypialni). Życzył mi dobrej nocy, odwrócił się i podszedł do drzwi.

- Jeszcze jedno, Grey - odezwałem się, kiedy je otworzył.

- Tak, pułkowniku?

- To bardzo ważne. Zawsze pamiętaj, że gdybyś chciał pomówić z kimś o tej sprawie, a nie mógłbyś skontaktować się ze mną, bo właśnie bym odpoczywał, drzemał lub coś w tym rodzaju, nie znajdziesz lepszego rozmówcy i słuchacza niż Ellie. Ellie ma dobre serce i dużo zdrowego rozsądku.

- Wiem o tym, pułkowniku - odparł cicho. - Zrozumiałem to od razu, kiedy ją poznałem.

Usatysfakcjonowała mnie i treść odpowiedzi, i spokojny, zdecydowany ton, jakim jej udzielił. W tej chwili wyzbyłem się wszelkich uprzedzeń co do Greya i wybaczyłem mu wszystko, co było ich przyczyną: jego malomówność i skłonność do działania na własną rękę, nieszczęsny, irytujący sceptycyzm, nawet tę szkołę średnią.

- Teraz twój ruch - mruknąłem.

Kiedy wyszedł, ułożyłem się na poduszkach, słuchając równomiernego oddechu leżącego przy moim łóżku Barkera i cichego szumu morza. Zapadłem w sen. W jednej chwili znalazłem się w lasach Manderley, a spośród drzew, ubrana w białą suknię ozdobioną malutką broszką z niebieskiej emalii w kształcie motyla, nadchodziła ku mnie Rebeka.

CZĘŚĆ II

Grey

13 kwietnia 1951

ROZDZIAŁ 10

13 kwietnia, czwartek. Godzina pierwsza w nocy - wiatr zmienił kierunek na południowo-zachodni, co oznacza deszcz, i dmucha mocno. Wróciłem za późno, żeby rozpaść ogień, więc w domu jest zimno jak w psiarni. Siedzę w trzech swetrach, ze szklaneczką whisky zakupionej w Londynie (oczywiście na czarnym rynku) w rękę. Wczoraj po południu pułkownik Julyan i Ellie wreszcie zabrali mnie na pierwszą oficjalną wyprawę do Manderley. Efekty tej wycieczki okazały się katastrofalne. W świetle tego, co się wydarzyło, nie mogę opuścić teraz Kerrith. Muszę wprowadzić zmiany w swoich planach i w związku z tym z Jackiem Favellem będę mógł umówić się dopiero na przyszły tydzień, najwcześniej na poniedziałek.

Było już po jedenastej, kiedy w końcu opuściłem Sosny. Zdenerwowany i rozstrojony, zdecydowałem się na długi samotny spacer w górę rzeki, z Kerrith w kierunku Pelynt, i z powrotem. Miałem nadzieję, że zmęczenie trochę mnie uspokoi, a przynajmniej pomoże spojrzeć na wydarzenia tego dnia z pewnej perspektywy. Niestety, nic z tego nie wyszło. Chciałbym uwierzyć Ellie, kiedy mówi, że lekarz już wcześniej ostrzegł ją, iż stan zdrowia ojca może pogorszyć się w każdej chwili. Chciałbym uwierzyć, że przyczyną ataku serca pułkownika była kłótnia z córką, ale jestem przekonany, że to moja wina. To ja jestem odpowiedzialny za to, co się stało.

Ostatnio zamięczałem go pytaniami, powinienem okazać więcej zdrowego rozsądku i się wycofać. Na dodatek wczoraj po południu postąpiłem bardzo egoistycznie, schodząc na brzeg zatoczki, ale nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że pułkownik zechce pójść w moje ślady. Do naszej rozmowy ubiegłego wieczoru nie zdawałem so-

bie sprawy, ile to miejsce dla niego znaczy. To za ledwie jeden przykład na to, jak ważne informacje ukrywa pułkownik. Nigdy nie powiedział mi, ile czasu Rebeka spędzała w domku na plaży bezpośrednio przed swoją śmiercią i nigdy nie wyjaśnił, że jego zdaniem miejsce to odgrywało rolę jej ostatniego schronienia. Żałuję, że nie dowiedziałem się o tym kilka miesięcy wcześniej. Biorąc pod uwagę wszystko, co wczoraj pułkownik powiedział mi i pokazał, będę musiał przemyśleć większość swoich tez.

Tak czy inaczej, powinienem był przewidzieć, że bardzo się zdenerwuje. Zdaje sobie sprawę, jak bardzo zależy mu na ochranianiu pamięci Rebeki, która przecież właśnie tam umarła. Zachowałem się głupio i bezmyślnie, idąc tam bez jego pozwolenia i błogosławieństwa. W jego oczach musiało to zakrawać na świętokradztwo.

Nie zdążyłem jeszcze dotrzeć do domku, kiedy usłyszałem krzyk Ellie. Nigdy dotąd nie schodziłem na plażę tą drogą - ścieżka jest tu bardzo zarośnięta, a zbocze podmyte w kilku miejscach. Słyszając głos Ellie, natychmiast się odwróciłem i zobaczyłem, jak pułkownik osuwa się na ziemię. Ellie pierwsza dotarła do ojca. Była zupełnie nieprzytomna z rozpaczy, myślała chyba, że pułkownik nie żyje. Przez chwilę i ja się tego obawiałem, zaraz jednak spostrzegłem, że pułkownik oddycha, chociaż bardzo płytko. Od razu wiedziałem, że to udar. Wargi mu zsiniały, a lewą stronę ciała poraził lekki paraliż. Zauważyłem też, że lewa część twarzy jest prawie nieruchoma, a kiedy się odezwał, słowa brzmiały bardzo niewyraźnie i zlewały się w jeden długi wyraz. Prawa ręka była w pełni władna - chwycił mnie za ramię ze zdumiewającą siłą, natomiast lewa wydawała się kompletnie bezwładna.

Musiałem podjąć decyzję, i to szybko. Co okaże się mniej ryzykowne: zostawić go z Ellie i wyruszyć po pomoc, czy spróbować go przenieść? Manderley jest właściwie odizolowane od świata. Ellie powiedziała mi, że najbliższy dom z telefonem znajduje się w pobliżu Czterech Dróg (mieszkała w nim kiedyś rodzina Carminowe), ale dzieliło nas od niego około pięciu kilometrów. Obawiałem się, że to zbyt daleko i pułkownik umrze w ramionach Ellie, która zostanie zupełnie sama nad morzem, rozpaczając nad ciałem ojca. Chciałem oszczędzić jej tego straszego przeżycia, więc postanowiłem zanieść chorego do samochodu.

Okazało się, że nie miałem z tym żadnych trudności. Pułkownik

jest wysokim mężczyzną (teraz bardzo się garbi, ale kiedyś musiał być mojego wzrostu) i sądząc po starych zdjęciach, które pokazywała mi Ellie, był mocno zbudowany, ale w ostatnim okresie przeraźliwie wychudł. Ubiera się w kilka warstw grubych, miękkich tweedów, więc dopiero kiedy go podniosłem, zorientowałem się, jaki jest lekki. Choć robi na ludziach spore wrażenie, między innymi dzięki swojej prezencji, w rzeczywistości jest żałośnie chudy i waży nie więcej niż kilkunastoletnie dziecko lub kobieta.

Po dotarciu do samochodu zdołaliśmy usadzić go na tylnym siedzeniu. Usiadłem obok niego, przerażony, że umrze, zanim dowieziemy go do Sosen, lecz Ellie nie chciała nawet słyszeć o tym, aby od razu pojechać do lekarza. Najbliższy szpital znajduje się w odległości kilkunastu kilometrów od Kerrith, lecz to nie był główny powód jej decyzji.

- Zabieram go do domu - powiedziała. - Wiem, że tego chce, i zamierzam spełnić jego życzenie.

Czułem, że ma rację, więc nie oponowałem. Siedziałem obok pułkownika, który odchylił głowę do tyłu i zamknął oczy. Jego pies, Barker, usadowił się przed nim i oparł łeb na siedzeniu. Mógłbym przysiąc, że przez całą drogę nawet na ułamek sekundy nie przestał wpatrywać się w pana. Niezwykle zwierzę.

Ellie jest dobrym i szybkim kierowcą. Pędziliśmy tym niekończącym się podjazdem i drogą z zakrętami, potem zaś wydarzyło się coś niesamowitego. Ledwo brama Manderley zamknęła się za nami i znaleźliśmy się na głównej drodze, staruszek odzyskał przytomność. Najpierw jego prawa ręka drgnęła i dłoń mocno zacisnęła się na moim ramieniu, później policzki zaczęły stopniowo odzyskiwać normalny kolor, wreszcie otworzył oczy i rozejrzał się dookoła. Zorientowałem się, że usiłuje coś powiedzieć, więc próbowałem go uspokoić, prosiłem, aby się nie męczył. Szczerze mówiąc, nie wiem, czy mnie usłyszał i zrozumiał.

Spojrzałem w jego jasnoniebieskie oczy i pomyślałem o wszystkich tych minionych miesiącach, w czasie których bawił się ze mną w kotka i myszkę. O wszystkich tych przypadkach, kiedy byłem na niego wściekły, kiedy przeklinałem go za upór, sarkazm, przebiegłość i rezerwę.

Teraz nie miało to najmniejszego znaczenia. Czy w tamtej chwili zastanawiałem się nad tym, że pułkownik jest jednym z najtrud-

niejszych, najbardziej skłonnych do manipulacji oraz uprzedzeń ludzi, z jakimi kiedykolwiek się zetknąłem? Nie. Lubiłem go, mogę nawet powiedzieć, że darzyłem go gorącą sympatią i z całego serca pragnąłem, aby przeżył. Intensywność tych uczuć mocno mnie zaskoczyła. Nigdy nie miałem ojca (Nicky twierdzi, że właśnie dlatego nie jestem zwykłym draniem, ale zimnym draniem), lecz w tej chwili pojąłem, jak to jest być synem. Ogarnęły mnie emocje tak silne, sprzeczne i niespodziewane, że musiałem odwrócić wzrok. Odniosłem wrażenie, że pułkownik, chociaż tak chory, doskonale wie, co się ze mną dzieje. Kilka razy szarpnął mnie za ramię i wreszcie zrozumiałem, co mówi - zwracał się do mnie imieniem swojego nieżyjącego syna.

- Dziękuję - powiedział. - Dziękuję, Jonathanie.

(Krótka przerwa - jedna z okiennic obluzowała się na wietrze, więc musiałem wstać i ją umocować). Wróćmy teraz do tego szczególnego popołudnia. Zanim opuściłem Sosny, zaszło coś jeszcze i wydaje mi się, że pułkownik Julyan dokładnie to zaplanował. Ze względu na Ellie udał, że wierzy w diagnozę o omdleniu, chociaż z całą pewnością wiedział, jak sprawy mają się naprawdę. Wiedział też, że następne godziny zadecydują o jego stanie i że być może nie dożyje ranka. Był bardzo, bardzo chory i słaby, ale mimo to nie zamierzał zasnąć, dopóki ze mną nie pomówi. Niezależnie od wszystkiego, nie chciał, abym opuścił jego dom, nie dopełniwszy rytuału, którego przebieg określał on sam.

Doktor podał mu taką porcję leków, że zwałoby to z nóg nawet potężnego wołu, lecz na pułkowniku nie zrobiło najmniejszego wrażenia, więcej, zachowywał się tak, jakby połknął garść tabletek o działaniu pobudzającym. Ellie i ja zdołaliśmy zaprowadzić go do sypialni i ułożyć w łóżku, ale wtedy pułkownik, który z każdą chwilą mówił coraz wyraźniej, kazał córce wyjść z pokoju. Ellie się zawahała. Lekarz powiedział, że staruszek nie może się denerwować, a ponieważ nic nie irytuje go bardziej niż odmowa spełnienia jego polecenia, po chwili wyszła.

- Usiądź tam, Grey - odezwał się, wskazując mi krzesło. - Siadaj i słuchaj.

Usiadłem. Zasłony były z jednej strony podwiązane, tak jak lubi,

okno uchylone. W kącie cicho potrzaskiwał starodawny gazowy piecyk. Barker, pies stanowiący skrzyżowanie niedźwiedzia z owcą, o sierści przypominającej zmechaony chodnik, siedział u moich stóp i wpatrywał się we mnie poważnym wzrokiem. Przez uchylone okno docierał bardzo cichy szum morza. Tam, w ciemności, po drugiej stronie zatoki, leżało Manderley, a dwa kilometry dalej mały, szary romański kościół i krypta, w której spoczywa Rebeka. Wiedziałem, że pułkownik ją kochał, odgadłem to bardzo szybko, na początku naszej znajomości, dostrzegłem to w jego oczach podczas drugiej czy trzeciej rozmowy. Jestem pewien, że ta miłość pozostała niewypowiedziana i nieodwzajemniona, a więc tym potężniejsza, ponieważ uczucia, których nie ujawniamy, wiem to z własnego doświadczenia, są najsilniejsze.

Patrzyłem na starego człowieka, który mógł nie przeżyć tej nocy. Miał na sobie flanelową piżamę w pasy, jego siwe włosy sterczały wokół głowy, tworząc dziwaczną aureolę, nos, z którego jest bardzo dumny (mówi, że jest to typowy nos Juljanów, jego zdaniem „orli”), sterczał z wychudzonej twarzy. Gęste brwi były mocno ściągnięte, przenikliwe, jasnoniebieskie oczy wpatrywały się we mnie

i mimo wszystko robił imponujące wrażenie. Zastanawiałem się, co zamierza, czy czekają mnie szczere wyznania, czy typowa dla niego mieszanka prawdy, uników i przemilczeń.

Minęła długa chwila, nim się odezwał. Kiedy tak czekałem, nagle nawiedziła mnie wizja mnie samego w odległej przyszłości, rozpaczliwie wierzącego, że w końcu ten niemożliwy starzec obdarzy mnie zaufaniem i zdecyduje się powiedzieć mi wszystko, albo prawie wszystko. Zrozumiałem, jak absurdalne są moje obawy, że pułkownik nie przeżyje nocy. Nie przeżyje nocy? Co za bzdura! Ten człowiek dysponował niezwykłą siłą woli, odpornością i uporem. Niewykluczone, że przez następnych dwadzieścia lat będzie dalej trzymał mnie w napięciu, pomyślałem. Obserwowałem go z pewnym rozbawieniem, lecz jednocześnie z szacunkiem, jaki należy się godnemu przeciwnikowi i, o dziwo, z głęboką, prawdziwą czułością. Wtedy pułkownik odchrząknął i zaczął mówić.

Część tego, co mi powiedział, była w całkowitej sprzeczności ze zdrowym rozsądkiem. Oczywiście nie uwierzyłem, że naprawdę zobaczył kogoś w oknie domku na plaży, chociaż upierał się, iż właśnie to jest powodem jego „omdlenia”. Mówił dalej, coraz silniej-

szym głosem, coraz wyraźniej i wreszcie zrozumiałem, do czego prowadzi. Znowu mnie nabrał. Podstępny stary żołnierz podszedł mnie i odciął mi odwrót. Sprawił, że go polubiłem, a potem zmusił do kapitulacji i wiem, że doskonale zdawał sobie z tego sprawę.

Najwyraźniej on także doszedł do wniosku, że czuje do mnie sympatię. Wszystko wskazywało na to, że tego dnia zdałem u niego egzamin z pozytywnym wynikiem (podejrzewam, że na egzamin ten składała się ocena mojego zachowania przy stole i w Zamku Duchów, czyli w Manderley). Pułkownik uwierzył, że uratowałem mu życie i poinformował mnie o tym, wykorzystując tę okazję do jeszcze bardziej bezwstydnego emocjonalnego szantażu. Oświadczył, że nadszedł czas, abyśmy zawarli poważne porozumienie, a sprawa była tym pilniejsza, że, jak to określił, w każdej chwili mógł zacząć wachać kwiatki od spodu. Mieliśmy zjednoczyć siły i zrezygnować z pojedynków. Krótko mówiąc, zdecydował się mówić szczerze, naturalnie jeżeli ja zrobię to samo.

Nie miałem cienia wątpliwości, że nie obędzie się bez warunków, ale to mi nie przeszkadzało. Od dawna byłem gotów powiedzieć mu prawie wszystko, co wiedziałem, i zrobiłbym to o wiele wcześniej, gdyby tylko mnie poprosił. Oczywiście, sytuacja stałaby się bardziej skomplikowana, jeżeli zaczęłyby zadawać mi pytania natury bardziej osobistej. Nie miałem ochoty na zwierzenia dotyczące przeszłości pana Terence'a Greya, cioci May i tak dalej. Na szczęście pułkownik nie zdradzał zainteresowania jakimkolwiek etapem mojego życia i ograniczył się do tematu Manderley, Rebeki oraz de Winterów.

Nie rozmawialiśmy długo. Nie chciałem, aby się zdenerwował, ponieważ wiedziałem, że powinien jak najszybciej zasnąć, lecz jednocześnie czułem, że nie spocznie, dopóki nie załatwi spraw, na których tak bardzo mu zależało.

Po blisko dwudziestu minutach wstałem, aby się pożegnać. Powiedziałem mu, że odłożę wyjazd do Londynu i spotkanie z Favel-lem do czasu, aż będę pewien, iż wraca do sił, co najmniej więc na trzy, cztery dni. Nie jestem przekonany, czy przyjął to do wiadomości, czy choćby usłyszał. Znowu próbował usiąść, a Barker zaczął nerwowo biegać dookoła łóżka. Okazało się, że przed moim wyjściem musimy dopełnić jeszcze jednej części rytuału. Pułkownik poprosił, żebym podał mu klucz leżący na komodzie i czarny notatnik, który wcześniej na jego prośbę przyniosła do pokoju Ellie.

Zrobiłem to i dopiero teraz czekało mnie prawdziwe zaskoczenie. Pułkownik przez cały dzień ekscytował się przesyłką w szarej kopercie, którą dostał tego ranka od anonimowego nadawcy. W kopercie znajdował się ten właśnie czarny notatnik, który najwyraźniej należał do Rebeki. Po raz pierwszy trzymałem w ręku coś, co stanowiło jej własność. Po wielu miesiącach poszukiwań uczucia, które teraz mnie ogarnęły, były wyjątkowo silne. Starłem się je ukryć, ale dłonie mi drżały. Na pierwszej stronie ujrzałem zdjęcie Rebeki jako dziecka, ubranej w dziwaczny kostium. Na ostatniej ktoś przykleił pocztówkę z widokiem Manderley, która trzymała się tylko na jednym rogu. Poza stroną tytułową i tymi dwiema, wszystkie pozostałe były puste.

Na stronie tytułowej znajdowały się dwa słowa - „Opowieść Rebeki” - napisane jej ręką, w każdym razie tak utrzymywał pułkownik. Dziecko na zdjęciu miało siedem, może osiem lat, lecz tytuł, czy motto napisał ktoś nieco starszy, powiedziałbym, że dziewczynka co najmniej dwunastoletnia. Zdawałem sobie, oczywiście sprawę, że poruszam się w sferze przypuszczeń. Z ostatniej litery słowa „opowieść” wyprowadzono długi, wijący się przez całą stronę i nieco dziecinny zakręt.

Czy Rebeka jako dziecko zamierzała spisać tu historię swego życia? Jeżeli tak, to porzuciła ten plan, ponieważ notatnik był pusty. Przejrzałem go dokładnie, na wypadek gdyby pułkownik czegoś nie zauważył, ale nie - nigdzie nie było ani słowa. Od razu przyszła mi na myśl ta scena z *Wieczoru Trzech Króli* Szekspira, gdzie księżę pyta Wiolę-Cesaria, co stało się z kobietą, której historię mu opowiadała. Wiola odpowiada: „Nic, panie. Nigdy nie wyznała swojej miłości...”. Nie pamiętam reszty cytatu.

Nic, panie. Trzymać w ręku jej notatnik, otrzymać tak dużo, lecz równocześnie tak mało... Było to wyjątkowo frustrujące. Przewracałem niezapisane stronicę, wmawiając sobie, że na pewno coś tu znajdę, jakieś słowo albo zdanie, ale nie znalazłem nic, kompletnie nic. Zdjęcie dziewczynki wykonał chyba zawodowy fotograf, najprawdopodobniej w studiu. Nawet w tak młodym wieku jej oczy były zupełnie niezwykle - poznałbym je wszędzie. Pocztówka z fotografią Manderley w sepiowym kolorze opatrzona była tylko nazwą domu i posiadłości oraz nazwiskiem fotografa z adresem jego studia w Plymouth. Pomyślałem, że posiadając te informacje, zdołam być

może dowiedzieć się czegoś więcej o tym zdjęciu. Na razie mogłem w przybliżeniu określić datę wykonania obu fotografii - między 1907 a 1915 rokiem. Rebeka jako dziecko i Manderley... Zacząłem się gorączkowo zastanawiać. Czy oznaczało to, że Rebeka znała Manderley, na długo zanim przyjechała tam jako żona Maxima? Czy korzenie jej związków z tym domem tkwiły w znacznie bardziej odległej przeszłości, niż sądziłem ja lub ktokolwiek inny?

Pułkownik nie pozwolił mi zabrać tego dowodu, nie chciał się z nim rozstać, namówiłem go jednak, aby pożyczył mi pocztówkę. Notatnik oddałem mu z wielkim wewnętrznym oporem, a wtedy pułkownik wcisnął mi do ręki słynny klucz do bram Manderley. Teraz ten skarb należał do mnie.

Szczerze mówiąc, klucz nie jest mi potrzebny. Na teren Manderley można wejść nie tylko głównym wejściem i, oczywiście bez wiedzy pułkownika, od dawna korzystałem z tych „tajemnych” przejść. Mimo to poczułem prawdziwe wzruszenie i dopiero wtedy zacząłem pojmować właściwy charakter rytuału, w którym obydwaj uczestniczyliśmy. Pułkownik może sobie udawać stereotypowego twardego żołnierza, lecz ja już dawno go przejrzałem. Artur Lancelot Julyan jest skrytym romantykiem. Wystarczy spojrzeć na tytuły książek w jego bibliotece, aby odkryć tę prawdę. Nigdy nie wyzwolił się spod wpływu ulubionego Malory'ego i teraz, niczym stary rycerz, wysyłał mnie, abym zakończył poszukiwanie, które sam rozpoczął. Teraz ja miałem znaleźć odpowiedź na pytanie, które, jak w końcu przyznał, dręczyło go od bardzo dawna: „Kim jesteś, Rebeko?”.

Czyżby świadomie naśladował *Śmierć Artura Malory'ego*, w której obowiązek poszukiwania Świętego Graala przechodzi z Lancelota na jego syna, Galahada? Niedawno ponownie przeczytałem Malory'ego, aby lepiej zrozumieć pułkownika, i doszedłem do wniosku, że nie jest to wykluczone. Wzruszyło mnie to i zasmuciło. Galahad był niewinny i czysty jak świeży śnieg, co niestety wyklucza mnie jako kandydata do jego roli, natomiast pułkownik bardziej przypomina Don Kichota niż Lancelota. Jeśli zaś chodzi o poszukiwanie... Czy pułkownikowi nigdy nie przyszło do głowy, że może wcale nie chciałby dowiedzieć się prawdy o Rebecce?

Staruszek gorąco wierzy w swoją Rebece. Dziś wieczorem robił wrażenie całkowicie pewnego, że zna większą część jej historii

(w co wątpię) i że jeśli uda nam się odkryć „tych parę strzępów” informacji, które nadal mu się wymykają, całkowicie zrehabilitujemy jej pamięć. Wreszcie zadamy kłam tym, którzy twierdzą, że była podstępna, niewierna i pozbawiona wszelkich zasad moralnych... Ale czy rzeczywiście? Miałem co do tego poważne wątpliwości, muszę jednak przyznać, że moja sytuacja w całej tej sprawie jest zupełnie inna - ja mogę zdobyć się na obiektywność, natomiast pułkownik nie. Niepokoiłem się jego stanem i w żadnym razie nie chciałem przekazać mu wiadomości, które by go zabolowały.

Oczywiście nie zwierzyłem mu się ze swoich rozterek. Miałem ochotę zadać mu tysiąc pytań, ale wiedziałem, że muszę z tym poczekać do chwili, kiedy będzie silniejszy. Pułkownik chyba się zmęczył i opadł na poduszki. Barker zwinął się w kłębek na dywaniku przed łóżkiem. Zszedłem na dół i przez parę godzin rozmawiałem z Ellie. Zjedliśmy razem kolację.

Później wybrałem się na długi spacer, żeby wszystko przemyśleć. Byłem podekscytowany tym, co pokazał mi pułkownik i bardzo zaniepokojony. Powoli zaczęło do mnie docierać, że nie da się po prostu przyjechać gdzieś, zadać parę pytań i wyjechać. Dzień po dniu byłem coraz bliżej wiru wydarzeń i coraz trudniej przychodziło mi tkwić na pozycji bezstronnego obserwatora i poszukiwacza prawdy. Znalazłem tu przyjaciół, chociaż nigdy nie przypuszczałem, że tak się stanie. Niemilo jest oszukiwać i wprowadzać w błąd osobę, której zadajemy pytania i od której oczekujemy odpowiedzi, nawet jeżeli jest nam obojętna, lecz okłamywanie osób, na których nam zależy, w moim przypadku przede wszystkim pułkownika, lecz także Ellie i sióstr Briggs, zasługuje na najwyższą pogardę. Stało się więc tak, że poczułem obrzydzenie i do roli, jaką tu odgrywam, i do siebie samego.

(Następna przerwa. Leje jak z cebra i wiatr się wzmaga. Obluzowana okiennica znowu tłucze się o ścianę - rano będę musiał porządnie ją umocować). Jestem zmęczony. Pójdę chyba spać i na dziś dam sobie z tym wszystkim spokój. Muszę spokojnie pomyśleć. Jakie jest znaczenie dwóch fotografii z czarnego notatnika? Czy to możliwe, że istnieje jeszcze inny notatnik Rebeki, jak utrzymuje pułkownik? A jeżeli tak, to jak go odnaleźć?

Czeka mnie mnóstwo zajęć. Chcę napisać kilka listów, ponieważ niestety nie mogę powiesić dotychczasowego życia na kołku, w każdym razie nie na zawsze. Jeśli chodzi o zadania związane z Rebeką i Manderley, to muszę, absolutnie muszę odszukać tę Danvers, chociaż najprawdopodobniej będzie to niezwykle trudne. Mam nadzieję, że Favell wie, gdzie ona się podziewa. Powinienem też jeszcze raz porozmawiać z Frithem, wyciągnąć z niego coś więcej na temat romansów Lionela de Wintera i jego śmierci. Muszę powtórnie napisać do Franka Crawleya, który w bardzo uprzejmy sposób odmawia współpracy, i potrzebny jest mi ktoś, kto w moim zastępstwie poszedłby tropem w Bretanii. Zastanawiam się, czy dobrze zrobiłem, wybierając do tej roli Nicky'ego. Nicky jest teraz w Paryżu, więc mógłby bez trudu pojechać do Bretanii, poza tym podejrzewam, że to zadanie z pewnością mu się spodoba.

Ponieważ muszę odłożyć wyjazd do Londynu, powinienem dobrze wykorzystać ten czas. Mógłbym spróbować jeszcze raz zaatakować siostry Briggs (doprowadziłem do tego, że jedzą mi z ręki) oraz Jamesa Tabb, byłego szkutnika, który przerobił dla Rebeki „Je Reviens”. Tabb, w przeciwieństwie do sióstr Briggs, nie dał się jeszcze oswoić i nie chce ze mną rozmawiać.

Przypomniałem sobie o obietnicy, danej pułkownikowi, i postanowiłem, że któregoś dnia pojadę do Manderley i przyjrzę się domkowi na plaży. Powinienem jednak zachowywać się dyskretnie. Zdążyłem już zrozumieć, że w Kerrith i okolicy człowiek znajduje się pod bezustanną obserwacją. Nigdy dotąd nic byłem w miejscowości, gdzie aż tyle osób byłoby w posiadaniu lornetek. Co najmniej jedna znajduje się w każdym domu i na każdej łodzi czy jachcie, można też przypuszczać, że każdy przygodny spacerowicz mają w torebce lub w kieszeni. Pod pretekstem obserwowania łodzi i ptaków nawet pozornie niewinne starsze panie przeistaczają się w bezwstydných szpiegów, nic więc dziwnego, że w Kerrith działa najsprawniejszy na świecie telegraf bez drutu.

Nie chcę, aby mój pobyt tutaj obudził czyjąś ciekawość, dlatego jeżeli zdecyduję się na wycieczkę do domku na plaży, postaram się pójść tam w odpowiedniej porze. Najlepszy będzie chyba niedzielny ranek, i to bardzo wczesny.

ROZDZIAŁ 11

16 kwietnia, niedziela. Nastawiłem budzik na 5 rano, ale obudziłem się pół godziny wcześniej, ponieważ źle spałem. W moim domku nie ma bieżącej wody, więc zwykle chodzę rano popływać w morzu poniżej Kerrith. Dziś postanowiłem zrobić to samo, a później wyruszyć do Manderley. Miałem czas i pomyślałem, że taki spacer rozjaśni mi w głowie i pomoże otrząsnąć się ze snów, które dręczyły mnie w nocy.

Zszedłem więc na plażę, chociaż było jeszcze zupełnie ciemno. Morze przede mną leżało czarne, nieruchome i lodowate. W czasie przyływu trzeba tu uważać na niebezpieczne prądy, zwłaszcza w pobliżu cypla Manderley. Nawet od strony Kerrith zdarzają się zdradzieckie wiry, ale dobrze wybrałem porę i nie spotkały mnie żadne nieprzyjemne niespodzianki. Dopłynąłem aż do boi, która wyznacza wejście do portu, wypelzłem z wody na płaskie głazy na końcu cypla i przez parę minut odpoczywałem. Dokładnie widziałem wąski język lądu, na którym znajdują się Sosny. W żadnym domu w Kerrith nie paliło się światło, lecz w wyraźnie odcinającym się od nieba ekscentrycznym domu z wieżyczkami, gdzie mieszkają pułkownik i Ellie, jedno okno było zupełnie jasne. Wiedziałem, że nie jest to pokój pułkownika, więc to Ellie musiała jeszcze czuwać.

Nie śpi, pomyślałem, chociaż pułkownik, wbrew przewidywaniom doktora, z każdym dniem wydaje się odzyskiwać siły. Każdego ranka zaglądałem do Sosen, aby się dowiedzieć, jak czuje się chory. Jest jeszcze zbyt osłabiony, aby prowadzić długie rozmowy, ale zaczął już kierować działaniami. Wydawanie mi poleceń sprawia mu tyle przyjemności, że jestem głęboko przekonany, iż wkrótce

w pełni dojdzie do siebie, chociaż taktownie nie wspominam o tym ani słowem.

Przez chwilę wpatrywałem się w okno Ellie, chcąc sprawdzić, czy światło zaraz zgaśnie. Nie zgasło. Przyszło mi do głowy, że może czyta i zacząłem się zastanawiać, co, ponieważ Ellie wcale nie jest taką nieskomplikowaną i prostoduszną osobą, jak mogłoby się wydawać na pierwszy rzut oka. Potem znowu ześlizgnąłem się do ciemnej, spokojnej wody. Zbliżał się czas odpływu. Dopłynąłem do swojej zatoczki i wróciłem do domu. Powietrze wydawało się o kilka stopni zimniej sze od wody.

W domu znajduje się wprawdzie cynowa balia, którą można postawić przed kominkiem, ale urządzenie to straciło dla mnie wszelki urok w chwili, gdy odkryłem, ile czajników gorącej wody trzeba, żeby napełnić ją do jednej czwartej głębokości. Nie ma żadnej miski, więc myję się i golę w zlewie w słabo oświetlonej spizarni. W pokoju, gdzie sypiam, jest materac z pierza, wiecznie wilgotny, oraz kuchenka na olej parafinowy, której i tak nie używam, bo nie umiem gotować. Krótko mówiąc, domek jest uroczy i romantyczny, i jak większość uroczych i romantycznych domków, ma mnóstwo minusów. Są jednak i plusy. Podoba mi się panujący tu spokój i izolacja, lubię wciąż zmieniające się morze, które widzę z okna, podobnie jak kiedyś widziałem je z okien domu May. Lubię też stać bez ruchu, tak jak dziś, i obserwować pierwszy brzask, który powoli wydobywa z ciemności lasy Manderley.

Włożyłem jakieś ciepłe rzeczy i solidne buty, ukryłem ten dziennik i swoje papiery w zwykłym miejscu, i ruszyłem w drogę. Pamiętając to, co tamtego wieczoru powiedział mi pułkownik Julyan, chciałem z bliska przyjrzeć się domkowi na plaży, lecz nie spodziewałem się żadnych niezwykłych odkryć. Oczywiście nie oczekiwałem także, że znajdę jakiegokolwiek ślady bytności tajemniczej osoby, którą jakoby widział w oknie pułkownik, byłem więc zupełnie nieprzygotowany na niespodzianki.

Ruszyłem ścieżką wzdłuż wybrzeża, wiodącą od zatoki do osady. Słońce dopiero wstawało, niebo było różowofioletowe i w ciszy wczesnego poranka wszystko dookoła wydawało mi się zdumiewająco piękne. Ta ścieżka, bardzo zarośnięta, stroma i miejscami niebezpieczna, nie jest zbyt popularna - jak dotąd nigdy nie spotkałem tu żywej duszy.

Po lewej stronie, na krawędzi urwiska, rozkwitały wielkie kępy różowego morskiego zawciągu, natomiast po prawej, od strony lądu, brzeg ścieżki porastały pierwiosnki, rozkrzewiona wyka i inne rośliny, których nie potrafię rozpoznać. Muszę poprosić pułkownika lub Ellie, aby powiedzieli mi, co to takiego. Tu i ówdzie zbocze opada naprawdę ostro, wprost ku skałom i szumiącej w dole wodzie. Klify są chyba podmywane, bo widać, że w kilku miejscach ziemia się osunęła i zdarza się nawet, że ścieżka zupełnie znika. Wtedy trzeba posuwać się w głąb lądu, nieprzetartym szlakiem. Kiedy pierwszy raz wybrałem się na taką wędrówkę w świetle księżyca, o mało nie spadłem na skały, niespodziewanie tracąc z oczu ścieżkę, lub stawiając nogę na czymś, co wydawało się solidnym gruntem, lecz pod stopą natychmiast osypywało się i zapadało z chrzęstem.

Teraz jednak dobrze znam tę drogę i wiem, że za dnia nie jest szczególnie niebezpieczna. W miarę jak się rozwidniało, a ja wspinałem się wyżej, coraz wyraźniej widziałem wyglądające stąd jak zabawki domy na obrzeżach Kerrith oraz całe miasteczko, skupione wokół kościoła z dzwonnicy. Spoglądając ku zachodowi, widziałem lśniący bezmiar oceanu. Byłem przekonany, że jest jeszcze za wcześnie, aby ktoś obserwował wybrzeże. Jediną oznaką, że Kerrith budzi się do życia, był niewielki turkusowo-szkarłatny kuter, niespiesznie wychodzący w morze z portu. Dziwne, pomyślałem. Zwykle łodzie i kutry nie opuszczają portu w niedziele, ponieważ mieszkańcy rygorystycznie „święcą dzień święty”, podobnie jak w mojej części Szkocji. Cofnąłem się głębiej i podniosłem lornetkę do oczu. Nie dostrzegłem żadnego błysku na pokładzie kutra. Kapitan znajdował się w sterówce i zupełnie nieświadomy mojego zainteresowania, wpatrywał się w horyzont, leniwie paląc fajkę.

W końcu dotarłem do kępy zarośli, gdzie ścieżka kompletnie znika. Kiedyś można było obejść nią cypel i zejść ku zatoczkom poniżej Manderley - oglądałem dawne mapy regionu, na których wyraźnie widać ten szlak. Niestety, klify ulegają erozji i jakieś dziesięć lat temu ziemia osunęła się znacznie i od tej pory przejście to jest prawie niemożliwe. Chciałbym spróbować tam kiedyś swoich sił, bo wiem, że byłaby to ekscytująca wspinaczka, ale nie podjąłbym takiego ryzyka bez lin i odpowiedniego sprzętu. Przy obecnym stanie klifu trzeba okrążyć krawędź urwiska szerokim łukiem,

idąc prawie niewidoczną ścieżką, biegnącą równoległe do muru posiadłości. W ten sposób po parokilometrowym przedzieraniu się przez błota i gęste zarośla dociera się do głównej drogi. W odległości mniej więcej jednego kilometra od klifu jest jednak miejsce, gdzie bez większego trudu można przejść przez mur na drugą stronę. Ma ono ten dodatkowy plus, że nawet przez lornetkę nie widać go z Kerrith.

Poszedłem tą ścieżką i po pewnym czasie znalazłem się w dobrze już teraz znanym mi lesie. W półcieniu panował przyjemny chłód. Pierwsze dzwonki dopiero rozkwitwały, a w powietrzu unosił się zapach zbutwiałych, wilgotnych liści i wiosny. Uważam, że przy świetle księżyca i o świcie jest to najpiękniejsze, pełne największego uroku miejsce w całym Manderley. Gdzieś wśród gałęzi odezwał się dziki gołąb, gil zaświergotał, informując wszystkich zainteresowanych, że znajduje się na swoim terytorium. Daleko między krzakami zobaczyłem lisa, wyruszającego na wczesne polowanie. Przystanąłem. Lis uniósł głowę, węszył przez chwilę, a potem bez śladu zaniepokojenia pomknął dalej i zniknął mi z oczu.

Chętnie spędzam tu wolny czas. Miejscowi twierdzą wprawdzie, że w tych lasach straszy, ale mnie nigdy nie spotkało tu nic niemiłego czy budzącego lęk. Kiedy przyjechałem do Kerrith, byłem w kiepskim stanie. Nadal nie mogłem się pogodzić ze śmiercią Julii i rozpaczą Nicky'ego oraz poczuciem winy, które nie opuszczało mnie podczas ostatnich miesięcy jej choroby. Przyjazd do Kerrith i rozpoczęcie wyprawy w przeszłość po długich latach ignorowania tego, co mnie gnębi, bynajmniej nie przyczyniło się do poprawy mojego samopoczucia, lecz uroda i spokój tutejszych krajobrazów przyniosły pewne ukojenie. Coś lub ktoś (myślę, że tym kimś jest pułkownik) pomaga mi powrócić do normalnego stanu. Powoli odzyskuję równowagę i zaczynam mieć nadzieję.

Wyszedłem z lasu nad tak zwaną Szczęśliwą Doliną, gdzie przetrwało jeszcze kilka krzaków azalii, zasadzonych przez Rebeke de Winter, chociaż większość już dawno zadławiły chwasty. Poczulem ich słodki, niezwykle mocny zapach i bez pośpiechu ruszyłem ścieżką w dół. Ciemny kształt Manderley został za moimi plecami. W połowie drogi przystanąłem i osłoniłem oczy dłonią. Słońce świeciło coraz mocniej, a bijący od morza blask prawie mnie oślepił. Po dłuższej chwili wpatrywania się w zatokę wreszcie dostrze-

głem zarys skał na brzegu, wyraźnie zaznaczonych na morskich mapach. Usiadłem na kamieniu i sięgnąłem po lornetkę, aby dokładnie się mu przyjrzeć.

Odkryłem, że w życiu Rebeki istnieje mnóstwo tajemnic, a okoliczności jej śmierci są nie mniej zagadkowe. Ten łańcuch skał odgrywa ważną rolę w całej tej historii, bo gdyby nie on, jacht i ciało Rebeki nigdy nie zostałyby odnalezione. Zdecydował o tym zupełny przypadek: ponad rok po zniknięciu pani na Manderley i przerobionego na jej potrzeby bretońskiego kutra niemiecki statek handlowy zmylił kurs, wpłynął do zatoki i utknął na tych właśnie skałach, które teraz obserwowałem przez lornetkę.

Załogę zabrano z pokładu, sprowadzono jednostkę ratunkową i jeden z nurków zszedł na dno, aby zbadać rozmiary uszkodzenia kadłuba. Wtedy natknął się na wrak dużej łodzi, a raczej jachtu. „Je Reviens” spoczywał w pobliżu skał, na piaszczystym dnie i wyglądał na nieuszkodzony. Gdy nurek zajrzał przez bulaj do środka, zobaczył leżące na podłodze kabiny ciało. Była to Rebeka. Chociaż zwłoki tak długo przebywały w wodzie, bez trudu je zidentyfikowano na podstawie obrączki i pierścionka z brylantami na serdecznym palcu prawej ręki. Ciało znajdowało się w stanie zaawansowanego rozkładu, lecz obrączka i pierścionek nie zsunęły się z palca, ponieważ dłonie Rebeki były mocno zaciśnięte.

Od jej zniknięcia minęło dokładnie piętnaście miesięcy. W tym czasie miały miejsce dwa wydarzenia, które bardzo mnie interesowały. Po pierwsze, Maxim de Winter zidentyfikował jako zwłoki żony ciało innej kobiety, wyrzucone na brzeg w górnej części wybrzeża (wyjaśniał później, że była to pomyłka), po drugie, niecały rok po śmierci Rebeki ożenił się powtórnie.

Lokalni obrońcy de Wintera podkreślali w rozmowach ze mną, że błędna identyfikacja ciała nastąpiła zaledwie kilka miesięcy po zaginięciu Rebeki, gdy Maxim znajdował się w stanie ogromnego napięcia, rozpacz i przygnębienia, czyli, krótko mówiąc, na krawędzi kompletnego załamania. W takich okolicznościach, jak mówią, łatwo o podobną pomyłkę. Twierdzą też, że w tym czasie bardzo niepokoił się o de Wintera i z ulgą przyjęli jego decyzję o wyjeździe za granicę. Wyprawa ta miała być odtworzeniem trasy podróży po-

ślubnej Rebeki i Maxima. Wzruszająca historia. Byłbym może gotów wziąć ją za dobrą monetę, gdyby de Winter nie znalazł sobie tak szybko nowej żony.

Drugi ożenek, zaledwie kilka miesięcy po nagłej, tragicznej śmierci młodej żony nawet dziś stałby się przyczyną zgorzenia i plotek, a dwadzieścia lat temu był oczywistym złamaniem zasad. Czy Maxim de Winter pragnął wywołać falę plotek? Jeżeli tak, to w pełni mu się to udało. A może po prostu nie dbał, co ludzie o nim powiedzą? Może tak bardzo zakochał się w tym „smutnym duchu”, jak nazwały jego drugą żonę siostry Briggs, że był gotów podeptać własną reputację? Niewykluczone, że tak właśnie było, bo poślubił ją w pośpiechu, parę tygodni po ich pierwszym spotkaniu w Monte Carlo.

Trudno mi to wszystko zrozumieć. De Winter miał wtedy czterdzieści dwa lata, jego przyszła żona była od niego dwa razy młodsza. Niełatwo wyobrazić go sobie jako impulsywnego młodzieńca, bo był przecież sześć lat starszy niż ja w tej chwili. Na pewno zdawał sobie sprawę, że jeżeli tak szybko ponownie wstąpi w związek małżeński i przywiezie żonę do Manderley, postawi ją w bardzo trudnej sytuacji. Możliwe, że miał w nosie swoją reputację, ale sądzę, że jeśli naprawdę kochał tę kobietę, to chyba chciał osłonić ją przed najmniejszym choćby cieniem skandalu.

Czy doprawdy nie mógł poczekać kilka miesięcy i wrócić z nią do Manderley w okolicznościach o wiele mniej dwuznacznych? Gdybym był na jego miejscu, postąpiłbym inaczej, a w każdym razie mam nadzieję, że tak bym zrobił. Z drugiej strony, kto wie? Czy zakochani zachowują się rozsądnie? Kiedyś byłem w tym stanie, jeszcze się z niego nie otrząsnąłem i nie mam ochoty powtórnie doświadczać takiego chaosu. Czy mogę uczciwie powiedzieć, że zachowywałem się poprawnie czy rozważnie? Nie, nie mogę. Wręcz przeciwnie.

Zmarszczyłem brwi. Ciekawe... Każdy aspekt tej historii wydaje się zagadkowy, a już w największym stopniu dotyczy to zachowania de Wintera. Niektórzy uważają, że nigdy nie kochał pierwszej żony i że z czasem zaczął ją nienawidzić, ale jeżeli rzeczywiście tak było, to dlaczego wyruszył w tę dziwną pielgrzymkę po jej śmierci, śladami podróży poślubnej? Inni mówią, że kochał Rebeke do szaleństwa, że miał obsesję na jej punkcie, ale czy można w to wierzyć,

skoro po kilkumiesięcznej żałobie ożenił się powtórnie? A jeśli ją zabił, jak wydaje się sądzić większość dziennikarzy, którzy zajmowali się tą sprawą, dlaczego później zachowywał się tak podejrzanie? Dlaczego zidentyfikował niewłaściwe zwłoki i złożył je w rodzinnej krypcie, a potem, kiedy już zyskał współczucie całego otoczenia, dobrowolnie zepsuł wszystko i spowodował wybuch plotek, żeniąc się powtórnie?

Jeżeli, jak wierzą jego oskarżyciele, był winny śmierci Rebeki, to tak szybkie zawarcie drugiego małżeństwa było najgłupszą rzeczą, jaką mógł zrobić, chociaż i tak chyba nie aż tak idiotyczną, jak pozostawienie ciała Rebeki na jachcie i zatopienie go blisko brzegu, tuż obok Manderley. Oglądałem plany domu i wiem, że z górnego piętra zachodniego skrzydła, gdzie oboje mieli pokoje, roztaczał się widok na tę właśnie połąć wody. Ze swoich okien Maxim de Winter widział miejsce, gdzie na dnie morza leżało ciało żony. Jeżeli weźmie się to pod uwagę, być może szczególnego znaczenia nabiera fakt, że po powrocie do Manderley z drugą żoną de Winter wolał zamieszkać w przeciwnym skrzydle.

Wpatrywałem się w ciemną linię tkwiących tuż pod wodą skał. Obok nich widać było jaśniejszą od reszty toni płyciznę, na której dnie znaleziono jacht Rebeki. Woda miała tam intensywnie niebieski kolor. Byłem absolutnie pewien, że Rebeka została zabita i z braku innego kandydata uznałem za mordercę jej męża. Wydaje mi się, że pułkownik Julyan również jest tego zdania. Dlaczego de Winter tak ryzykował, zatapiając jacht bardzo blisko brzegu? U wejścia do zatoki dno morza gwałtownie opada. „Je Reviens” mógłby leżeć tam na głębini i najprawdopodobniej nikt by go nigdy nie odnalazł. Czy zabójca wpadł w panikę, czy podświadomie pragnął, aby ciało Rebeki wydobyto z dna morza? Jeżeli de Winter naprawdę ją zabił, zrobił wszystko, aby później ściągnąć na siebie uwagę, zupełnie jakby chciał powiedzieć: „Tak, jestem winny. Zabiłem ją. Aresztujcie mnie”.

Pytania, wątpliwości... Siedząc nad zatoką, poczułem nagle, że odpowiedzi znajdę dopiero wtedy, gdy zrozumie Rebekę i lepiej ją poznam. Było to wyjątkowo trudne do zrealizowania, ponieważ, czy to przypadkiem, czy celowo, Rebeka zostawiła bardzo niewiele dowodów swego istnienia. Odnosiłem nawet wrażenie, jakby z chwilą jej śmierci ktoś do czysta wytarł zapisaną tabliczkę. Myśl

o tym wprawiła mnie w zniecierpliwienie. Schowałem lornetkę, wstałem i ruszyłem dalej, na brzeg zatoki. Idąc po piasku i żwirze, zmierzałem w stronę domku na plaży.

Myślałem o postępach, jakie zrobiłem, a także o ich braku. Poszukiwania utrudniał fakt, że wszystkie rodzinne dokumenty de Winterów, pochodzące z ostatniego okresu, spłonęły w czasie pożaru, ale pożar nie wyjaśniał całkowitego i doprawdy niezwykłego zniknięcia dokumentacji oficjalnej. Bardzo szybko i bez trudu zlokalizowałem świadectwo zgonu Rebeki, lecz ku memu zdumieniu nie udało mi się dotąd odnaleźć ani aktu jej małżeństwa, ani urodzenia. Za każdym razem, kiedy wydawało mi się, że jestem na tropie, wcześniej czy później wszelki ślad znikał. Nadal nie wiem, jak brzmiało panińskie nazwisko Rebeki. Niemożność odnalezienia zupełnie podstawowych dokumentów budzi we mnie rozmaite podejrzenia. W chwilach słabości, do których zaliczyć należy dzisiejszy ranek, zaczynam już wierzyć, że to zatarcie śladów było działaniem celowym, zmierzającym do utrudnienia czy nawet uniemożliwienia takiego dochodzenia jak moje.

Byłem już dość blisko domku. Ten kwadratowy, solidny budynek o grubych murach i małych oknach stanowi w pewnym sensie kwintesencję wszystkich wątpliwości i sprzeczności związanych ze sprawą Rebeki. Dla pułkownika i ludzi o podobnym nastawieniu było to schronienie, jakie w ostatnich miesiącach życia znalazła piękna i nieszczęśliwa kobieta, natomiast przeciwnicy Rebeki widzieli w nim miejsce schadzek z kochankiem lub kochankami, które było świadkiem bezwstydnego degradacji, a nawet perwersji. Nie ulega wątpliwości, że to drugie w szczególności sposób podniecało plotkarki z Kerrith.

Obrońcy pierwszej pani de Winter podtrzymywali opinię, że właśnie tutaj Rebeka postanowiła raczej umrzeć od razu, niż przez parę miesięcy konać w męczarniach. Jej przeciwnicy odpowiadali, że tu Rebeka dostała to, na co zasłużyła. Ich zdaniem, kiedy piękna kobieta popełnia zdradę, naraża się na wszelkie możliwe konsekwencje swego czynu, nawet na gwałtowną śmierć.

- Wie pan przecież, na co ona sobie pozwalała - powiedziała mi jedna z tych osób. - Sama się o to prosiła, nie sądzi pan?

Z kilku powodów, między innymi dlatego, że natura obdarzyła mnie dość sprawnie funkcjonującym umysłem, nie przyjmuję tego

rodzaju argumentów, lecz zdaję sobie sprawę, że zdecydowana większość mieszkańców miejscowości takich jak Kerrith raczej nie podziela moich poglądów na temat moralności i perwersji. Dlatego milczę. Gdybym zniechęcił do siebie wszystkich swoich rozmówców, nie udałoby mi się zdobyć żadnych istotnych informacji. Tak więc nadal jestem „tym sympatycznym panem Greyem”, nadal noszę tę niezwykle przydatną maskę... Byłem już bardzo blisko drzwi domku, kiedy nagle przystanąłem. W powietrzu unosił się słodki, znajomy zapach. Może nie jestem jednak tak zupełnie niewrażliwy na opowieści o duchach straszących w Manderley, jak sądziłem. Może dopiero teraz zacząłem sobie uświadamiać, że obsesyjne zainteresowanie zmarłą osobą jest formą wywoływania duchów... Tak czy inaczej, nagle stanąłem jak wryty.

Przed wejściem do domku znajduje się chodnik wybrukowany płytami z grubego kornwalijskiego granitu. Na samym środku tego chodnika leżał wieniec, a w każdym razie coś, co chyba miało pełnić jego funkcję. Nie było to jednak jedno z tych okropieństw, które zwykle kojarzą się nam z pogrzebami, ale raczej girlanda, jaką w dawnych czasach zdobiono szyje i głowy poetów, bohaterów i wodzów, tyle że ten wieniec spleciono nie z gałązek laurowych, lecz z azalii, niegdyś obficie kwitnących w Szczęśliwej Dolinie.

Te azalie, jak wytłumaczyły mi siostry Briggs, prawdziwe specjalistki w dziedzinie ogrodnictwa, miały wyjątkowo piękne i delikatne kwiaty oraz aromat. Powiedziały mi także, że Rebeka zawsze używała perfum o bardzo podobnym, prawie identycznym zapachu. Obu siostrą kojarzył się on z Rebeką do tego stopnia, że nie potrafiły przejść obok krzaka kwitnącej azalii i nie pomyśleć o przyjaciółce. Zwróciłem uwagę na ten zapach, kiedy przechodziłem obok azalii nadal rosnących w Szczęśliwej Dolinie - drobne, jasno-żółte kwiaty rzeczywiście wydzielają świeży i słodki aromat, właśnie taki, jaki teraz zatrzymał mnie w pół kroku. Poczulem go i dopiero sekundę później zauważyłem kwiaty.

Cienkie gałązki starannie spleciono w girlandę. Przykucnąłem i ostrożnie dotknąłem płatków azalii. W tej samej chwili zapach stał się silniejszy, bardziej intensywny. Tajemniczy ofiarodawca ułożył wieniec w cieniu, więc kwiaty wyglądały świeżo. Gdyby girlanda została tu złożona poprzedniego dnia, azalie już by zwiędły. Znaczyło to, że ktoś zostawił je niedawno, najwcześniej późnym wie-

czorem, choć bardziej prawdopodobne wydawało mi się, że zrobił to w nocy lub nawet rano.

Dochodziła siódma. Uświadomiłem sobie, że siedziałem wpatrzony w rafę dłużej, niż mi się wydawało. W ciągu ostatniej godziny nie zauważyłem nikogo w pobliżu domku, a nie ulegało wątpliwości, że musiałbym zobaczyć każdego, kto by się do niego zbliżał. Kim była osoba, która przyszła tutaj z tym szczególnym podarunkiem czy symbolem pamięci? Musiał to być ktoś, kto ją kochał. Ktoś, kto nadal myślał o niej, chociaż od jej śmierci minęło już dwadzieścia lat... Kto to mógł być?

Nagle ogarnął mnie dziwny niepokój. Uczucie to nasiliło się, gdy wstałem i ujrzałem, że zamek w drzwiach wejściowych został sforsowany. Drzwi były spaczone, wygięte z wilgoci, ale wystarczyło pociągnąć je dwa razy i już stanęły otworem.

Ktoś tu był. Kiedy moje oczy przywykły do półmroku, zobaczyłem ślady stóp na pokrytej grubą warstwą kurzu podłodze i dwa zasłonięte grubym płótnem okna. Podeszedłem do okna wychodzącego na zalesione zbocze i odsunąłem prowizoryczną zasłonę. A więc pułkownik rzeczywiście kogoś widział, wcale nie miał halucynacji. Ktoś był w domku, być może właśnie tego dnia, kiedy wszyscy troje przyjechaliśmy do Manderley. Czy ten ktoś obserwował, jak schodziłem nad brzeg zatoki? Czy słuchał moich kroków na żwirze? Zasłony na obu oknach zrobiono z suchego, nowego płótna. Podobnie jak dziwny wieniec przed wejściem, umieszczono je tu bardzo niedawno...

Rozejrzałem się dookoła z rosnącym zdziwieniem. Spodziewałem się zobaczyć zupełnie puste pomieszczenie, ale teraz, kiedy do środka wpadało więcej światła, zorientowałem się, że meble, które opisał pułkownik Julyan, nadal tu stoją. Zepchnięto je pod ściany, lecz kilka sprzętów można było z łatwością rozpoznać. Dostrzegłem duży stół i łóżko-kanapę z zardzewiałą metalową ramą, na której ustawiono kilka pokrytych pleśnią pudeł. Cały pokój cuchnął wilgocią, na ścianach pieniał się zielonkawy kożuch, jednak niektóre rzeczy Rebeki nadal tu były, co wydawało się po prostu niewiarygodne.

Poczułem podniecenie. To miejsce wcale nie zostało uprzątnięte, pomyślałem. Nie uprzątnięto go ani po śmierci Rebeki, ani po pożarze w Manderley, najprawdopodobniej nikt tu w ogóle nie zaglą-

dał. Maxim de Winter opuścił Manderley, wyjechał za granicę, służbę zwolniono... Nikt nie pomyślał o domku na plaży, nikt nie zakłócił panującej tu atmosfery...

Czy to możliwe? Wiedziałem, że odpowiedź brzmi: tak. Wszyscy moi rozmówcy twierdzili zgodnie, że de Winter wyjechał nagle, nie informując nikogo o swoich planach. Kiedy wybuchł pożar, który zniszczył Manderley, Maxim i jego druga żona wracali właśnie z Londynu. Spotkali się tam z lekarzem, który przedstawił dowód śmiertelnej choroby Rebeki. Jechali nocą i lunę nad Manderley dostrzegli z odległości kilku kilometrów, już nad ranem. Blask pożerającego wielki dom ognia rozświetlił zachodni horyzont. W tym czasie pożar, podsycany wiatrem od strony morza, pochłonął zachodnie skrzydło i rozprzestrzenił się na cały budynek. Jeśli wierzyć dziennikarzom, ryk płomieni słychać było aż w Kerrith. Kiedy de Winter i jego żona dotarli do Manderley, domu nie można już było uratować.

Wyobrażam sobie, jakim ciosem musiał być dla Maxima widok obróconego w zgliszcza i ruinę Manderley. De Winterowie mieszkali tu od czasów Wilhelma Zdobywcy, kolejne pokolenia zmieniały dom i przebudowywały go, przodkowie Maxima rodzili się tu, zawierali małżeństwa i umierali. I nagle, w ciągu jednej nocy, Manderley zniknęło z powierzchni ziemi. Wszystko wskazuje na to, że de Winter nie był w stanie tego znieść. Po dwóch dniach, w czasie których pozalał najważniejsze formalności, wyjechał wraz z żoną do Europy, gdzie pozostał na wiele lat. Zarządca majątku, Frank Crawley, zajął się resztą, lecz niedługo potem on także opuścił Manderley, zostawiając posiadłość pod opieką pracowników agencji nieruchomości.

- Tak więc nigdy nie pożegnałem się z panem de Winter - powiedział mi Frith. - Po tych wszystkich latach, które spędziłem na służbie w Manderley. Zabolalo mnie to, jakzeby inaczej. Miałem czternaście lat, kiedy zacząłem pracować dla de Winterów. Pamiętam dzień, w którym pan de Winter przyszedł na świat, pamiętam jego matkę i ojca, więc myślałem, że przed wyjazdem może zechce się ze mną zobaczyć. Nie żeby mi podziękować, co to, to nie, nie spodziewałem się żadnych podziękowań, bo przecież tylko wykonywałem swoje obowiązki, ale miałem nadzieję, że może się pożegna... Pan de Winter był bardzo uważny, taki obowiązkowy. Oczywi-

ście musiał być w wielkiej rozpacz... Nie powinienem o tym zapominać, a także o jego hojności. Nie mogę narzekać, zadbał o mnie, podobnie jak o wszystkich służących. Kiedy dowiedziałem się, że wyjechał - pan Crawley mi o tym powiedział - trochę liczyłem, że może napisze, ale nie napisał. Serce mu pękło, gdy stracił Mander-ley. Nie życzył sobie, żeby cokolwiek przypominało mu o domu, me mógłby tego znieść... Sądzę, że tak właśnie było, prawda, proszę pana?

Czy to prawda? Pomyślałem, że wyjaśnienie Fritha jest częściowo prawdziwe, nie potrafiłem jednak oprzeć się wrażeniu, że istnieją także inne powody dobrowolnego wygnania, na które skazał się Maxim. Ale wracamy do głównego wątku - faktem jest, że de Winter wyjechał w wielkim pośpiechu. Przekazanie pieczy nad majątkiem agencji nieruchomości także odbyło się szybko, w ciągu paru tygodni. Czytałem o tym w dokumentacji posiadłości. Zachowały się listy Franka Crawleya, wszystkie jego ustalenia, dotyczące ostatnich wypłat dla służby, warunków dalszego dzierżawienia farm i tak dalej. Frank Crawley był bardzo dokładny, lecz w swojej dokładności przeoczył to szczególne miejsce, musiał po prostu zapomnieć o domku Rebeki.

Czułem narastające podniecenie. Wiedziałem, że to absurdalne, ale nie potrafiłem stłumić nadziei. Kiedyś notes, który opisał w rozmowie ze mną pułkownik, znajdował się właśnie tutaj i Rebeka pisała w nim na jego oczach... Może przechowywała go tutaj przez ostatnie miesiące, może nadal był gdzieś, wśród tych pleśniejących śmieci...

Szukałem go, to chyba oczywiste. Przejrzałem wszystkie rzeczy, wszystkie pudła, szuflady, pojemniki, zajrzałem do wszystkich kątów, i to nie raz. Za głównym pokojem odkryłem małą komórkę, w której przechowywano sprzęt żeglarski. Podniosłem przegniły żagiel, odsunąłem na bok złamane wiosło, rozwinąłem zwój zapleśniałej, wilgotnej liny, rozgarnąłem grube, czepiające się palców pajęczyny. I nic. Nie znalazłem niczego, co mogłoby mi się przydać w moich poszukiwaniach.

No, choć może niezupełnie. Natknąłem się na opisane przez pułkownika ślady przeszłości: kawałek starego wełnianego koca w kratę, brudną poduszkę, z której wylaziło pierze, brudne filiżanki, szklanki i kieliszki; posklejane okładkami, zawilgocone książki;

podarte, prawie nieczytelne mapy żeglarskie; dwa modele statków w doskonałym stanie oraz resztki innych. W metalowej puszcze znalazłem herbatę, która zbryliła się w czarną, twardą grudkę, na stole dostrzegłem pióro ze złamaną stalówką, a z jednego pudła wydobyłem różowe gąbczaste okruchy, które kiedyś, co uświadomiłem sobie nieco później, były chyba bibułą do osuszania papieru. Znalazłem też duże, przerdzewiałe blaszane pudełko po herbatnikach. Było ciężkie, więc serce zabiło mi z radości, pomyślałem, że idealnie nadawało się do ukrycia listów i papierów. Skaleczyłem się w rękę, otwierając je, ale wewnątrz znajdowało się tylko parę książek, między innymi historia Manderley i Kerrith, spisana przez dziadka pułkownika. Kiedy stałem tam, ssąc rozcięty palec i ciężko dysząc, w końcu spłynęło na mnie otrzeźwienie.

Zawstydziłem się chciwości, z jaką zacząłem przeszukiwać dom. Byłem głupcem. Notesu wcale tutaj nie było, być może w ogóle nie istniał, w końcu tylko pułkownik twierdził, że go widział.

Nie myślałem, byłem dziwnie otumaniony. Domek na plaży to nie jakaś hermetycznie zamknięta kapsuła, nietknięta od czasu śmierci Rebeki. Pułkownik Julyan mówił, że biedny, niedorozwinięty Ben Carminowe często przychodził na tę plażę za życia Rebeki, a po jej zniknięciu nadal tu zaglądał. Podobno czasami drzemał w spiżarni, którą tak dokładnie przeszukałem, później zaś mógł przychodzić tu każdy, komu przyszła na to ochota. Budynek był niezabezpieczony i na pewno stanowił dogodne schronienie dla wielu osób. Przyszło mi do głowy, że prawdopodobnie i dziś korzystają z niego spragnieni samotności zakochani. Było tu wilgotno i zimno, ale co z tego? Nie ulegało wątpliwości, że ktoś tu bywał. Ktoś zostawił wieniec pod drzwiami. Ktoś był w środku, ktoś nawet zasłonił okna. Czy możliwe, że ktoś tu czegoś szukał, podobnie jak ja? Ale dlaczego? I kto to był?

Uzmysłowiłem sobie, że znalezienie odpowiedzi na te pytania jest równie mało prawdopodobne, jak znalezienie notesu. Sprzątnąłem porozkładane rzeczy, ustawiłem meble na dawnych miejscach, potem wyszedłem na słońce i świeże powietrze, zamykając za sobą wypaczone, napuchnięte od wilgoci drzwi. Zostawiłem wieniec tam, gdzie leżał, i brudny od stóp do głów, wściekły na siebie, że uległem dziwacznej fantazji, skierowałem się ku ścieżce.

To nie do wiary, ale spędziłem w domku ponad dwie godziny.

Było po dziewiątej. Wiedziałem, że droga powrotna zajmie mi prawie godzinę, a kiedy znajdę się na ścieżce na klifie, znowu będę w polu widzenia wszystkich możliwych „obserwatorów” z Kerrith. Musiałem jeszcze się umyć, przebrać i znowu przeistoczyć się w Terence'a Greya.

„Sympatyczny pan Grey” miał wpaść do Sosen, potem był zaproszony na niedzielny lunch do sióstr Briggs. W tej chwili szczerze nienawidziłem sympatycznego pana Greya i wcale nie miałem ochoty przybierać jego postaci. Pan Grey myślał o dalszym prowadzeniu śledztwa i, zupełnie wbrew zdrowemu rozsądkowi, właśnie jego obwiniałem za swoje zachowanie w domku na plaży. Czułem się jak łupieżca grobów i miałem serdecznie dosyć i pana Greya, i samego siebie. Po prostu nie mogłem się już doczekać, kiedy wreszcie opuścę Kerrith i wrócę do King's College albo do Londynu.

Mogę przecież zostawić to wszystko, pomyślałem, wspinając się stromą ścieżką. Nie muszę tego robić, jestem tu z własnej, nieprzymuszonej woli. W każdej chwili mogę przerwać całe to dochodzenie. Najprawdopodobniej i tak nigdy nie dowiem się prawdy o Rebecce, zresztą, co to jest prawda? Na podstawie własnych doświadczeń wiedziałem, że nigdy nie jest ona stałym zbiorem danych. Prawda nieustannie się zmienia. Jeżeli spojrzysz na nią z jednego okna, przybiera określony kształt, jeżeli z drugiego, widzisz coś zupełnie innego. Kim jesteś, Rebeko? Cóż za beznadziejnie naiwne pytanie! Pułkownik Julyan znalazł ją przez pięć lat, podobnie siostry Briggs i Frith, a jednak żadne z nich nie było w stanie udzielić na niejednoznacznej odpowiedzi, więc czegoż ja się spodziewam?

Na szczycie przystanąłem na chwilę. Słońce mocno grzało moją odkrytą głowę. Spojrzałem na zatokę i chłodną linię drzew. Nie poddam się, pomyślałem. Nie mogę się poddać. Ta sprawa ma dla mnie zbyt wielkie znaczenie.

Odwróciłem się w kierunku lasu i w tej samej chwili kątem oka dostrzegłem ostry błysk światła gdzieś z boku. Zatrzymałem się i jeszcze raz popatrzyłem na zatokę. U jej wejścia stał teraz na kotwicy kuter, na który zwróciłem uwagę już wcześniej. Cofnąłem się między drzewa i podniosłem lornetkę do oczu. Na pokładzie nie było nikogo, szyper tkwił w sterówce, zwrócony plecami do mnie, ze wzrokiem utkwionym w horyzont. Tak mi się w każdym razie wydawało.

Wróciłem do domu, umyłem się i ogoliłem. Przed wyruszeniem do Sosen zdażyłem jeszcze skończyć list do Nicky'ego, z którego wysłaniem tak długo zwlekałem. Proponowałem mu, aby wybrał się na krótką wycieczkę do Bretanii i przy okazji załatwił dla mnie kilka spraw. Było to nieskomplikowane zadanie dla kogoś o jego umiejętnościach - ja mówię po francusku całkiem dobrze, ale Nicky jest wręcz dwujęzyczny. Sformułowałem swoją prośbę bardzo ostrożnie i starannie, nie chciałem bowiem, żeby domyślił się prawdziwego powodu, który skłonił mnie do napisania tego listu. Nicky nie zna moich planów i gdyby dowiedział się o poszukiwaniach, na pewno poczułby się zaniepokojony. Dzieciństwo i cała przeszłość Nicky'ego są zupełnie inne niż moje, więc nigdy nie rozumiał tej strony mojego charakteru.

- Wiesz, kim jesteś - powiedziałem mu kiedyś w Cambridge, w moim pokoju w King's College. - Wiesz, kim jesteś, Nicky, a ja nie. Na tym polega różnica między nami.

- Jedna z różnic - odparł cicho. - Wcale nie najważniejsza.

Po drodze do Sosen wrzuciłem list do skrzynki. Wiedziałem, że listy zostaną wybrane dopiero następnego dnia, ale nie chciałem ryzykować, że się rozmyślę i w ogóle go nie wyślę. Nie mam czasu na włączkę po Bretanii, więc potrzebna mi pomoc Nicky'ego. Prośby o pomoc nigdy nie przychodzą mi łatwo, ale tym razem po wysłaniu listu poczułem się trochę lepiej.

ROZDZIAŁ 12

Wyruszyłem do Sosen w dość marnym nastroju. Wizyta w domku na plaży uświadomiła mi, na jak wielkie przeszkody mogę się natknąć podczas poszukiwania Rebeki. Musiałem sobie przypomnieć, że jednak poczyniłem pewne postępy, nawet jeśli okazały się one mniej znaczące, niż liczyłem.

Idąc pod górę do domu pułkownika, powtarzałem sobie, że muszę oduczyć się niewolniczego uzależnienia od faktów. Spędziłem za dużo lat w bibliotekach, nad książkami i dokumentami i być może dlatego nadal zbyt ogranicza mnie samodyscyplina i pewne nawyki. Instynktownie podchodzę do prowadzonego obecnie śledztwa w taki sposób, jakby była to część mojej pracy akademickiej lub rozdział następnej książki, gdy tymczasem perspektywa historyka nie zawsze bywa przydatna. Oczywiście jest niezwykle cenna, kiedy piszę o ludziach nieżyjących od ponad czterystu lat, lecz może okazać się zdradliwa, gdy mam do czynienia z niezbyt odległymi w czasie wydarzeniami i żyjącymi świadkami. Z pewnością potrafię odczytywać dokumenty historyczne, ale zdążyłem się już zorientować, że dużo gorzej radzę sobie w kontaktach z ludźmi.

Wydaje mi się, że dopiero teraz uczę się obserwować i słuchać. Często liczy się nie to, co ktoś mi powiedział, ale sposób, w jaki to zrobił. Niewątpliwie byłbym mniej podatny na te napady pesymizmu, gdybym mógł z kimś porozmawiać, omówić to wszystko przy drinku pod koniec dnia. Gdybym miał obok siebie któregoś z przyjaciół z Cambridge, albo gdyby May żyła, prawdopodobnie znacznie rzadziej popadałbym w przygnębienie. Ale cóż - jest jak jest. W Kerrith nie ma nikogo, komu mógłbym się zwierzyć ze swoich

problemów, więc czasami czuję się osamotniony i odcięty od znajomego świata.

Nie chodzi o to, że nie lubię samotności. W sierocińcu bardzo wcześnie nauczyłem się cenić luksus prywatności. Jeżeli każdy dzień spędzasz w licznym stadzie, jeżeli wszystko, co robisz, odbywa się publicznie, przy świadkach, którzy często otwarcie cię wyśmiewają, jeżeli kładziesz się spać z poczuciem zagrożenia i budzisz przerażony perspektywą kolejnego dnia, to samotność staje się najbardziej upragnioną rzeczą pod słońcem. Jeśli o mnie chodzi, zawsze tak było i prawdopodobnie zawsze już tak będzie - gdy przez dłuższy czas jestem otoczony ludźmi, zaczynam tęsknić za samotnością. Jest to efekt lat spędzonych w sierocińcu, jedna z blizn, jak powiedziała by Nicky. Nie podoba mi się to sformułowanie, ponieważ zakłada przewidywalność - blizna jest przecież widoczna, a poza tym w gruncie rzeczy nieszkodliwa, może nawet pozytywna, jako że przypomina o procesie gojenia się ran.

Istnieje jednak poważna różnica między życiem w pojedynkę a życiem w osamotnieniu. Odkryłem, że te dwa stany dzieli cały ocean znaczeń. Dzięki Bogu, nie jestem już dzieckiem ani ponurym i podejrzliwym młodym człowiekiem, który jakiś czas temu przyjechał na studia do King's College. Teraz potrzebuję przyjaciół i nawet potrafię się do tego przyznać. Zrobiłem tak wielkie postępy, że zdaniem Nicky'ego zaczynam zbliżać się do normalności, chociaż wciąż jeszcze muszę nad sobą pracować. Przyznaje, że teraz umiem rozmawiać z ludźmi tak, jakby byli ludźmi, a nie robotami, co jest ogromnym krokiem naprzód. Jeszcze parę lat i będę „emocjonalnie przystosowany”, utrzymuje Nicky.

Zbliżając się do Sosen, zastanawiałem się nad komentarzami Nicky'ego. Może gdybym był bardziej otwarty w rozmowach z pułkownikiem Julyanem, osiągnąłbym więcej i uniknąłbym kilku błędów, chociaż naturalnie nie jestem w stanie przekroczyć granic swojej „otwartości”. Postanowiłem, że dziś podejmę kolejny wysiłek. Lubię pułkownika i mam dużą ochotę z nim porozmawiać. Obiecał przejrzeć swoje słynne archiwum i poszukać w nim listów, które chciał mi pokazać.

Nie byłem pewien, czy to archiwum rzeczywiście zawiera coś przydatnego, czy jedynie góry zbieranych przez lata śmieci. Wiązałem z nim jednak pewne nadzieje, ponieważ wśród teczek, na któ-

re pułkownik pozwolił mi rzucić okiem, mogły znajdować się prawdziwe perełki, zwłaszcza jeżeli staruszkowi udało się odnaleźć zagubione „Wiadomości od Rebeki” oraz „Listy od Maxima”.

Chociaż zawarliśmy niepisane porozumienie, w wyniku czego zostałem współpracownikiem pułkownika, to jednak nie otrzymałem pozwolenia na samodzielne przeglądanie jakichkolwiek dokumentów. Pułkownik musi przejrzeć je sam, i to w samotności. Należy więc oczekiwać, że wszystko, co dostanę do wglądu, zostanie w pewnym stopniu ocenzurowane. Tak czy inaczej, pułkownik zaczyna mi ufać, więc może dzisiaj uda mi się osiągnąć przełom. Sama myśl o tym spowodowała, że poczułem się lepiej, lecz zaraz po wejściu do domu moje nadzieje legły w gruzach. Ellie przywitała mnie nowiną, że poprzedniego dnia starszy pan bardzo zmęczył się czytaniem i selekcjonowaniem starych listów, a tego ranka był mocno rozdrażniony i niespokojny, więc mimo protestów zapakowała go do łóżka, gdzie teraz spał snem sprawiedliwego.

Zmartwiła mnie wiadomość o złym samopoczuciu pułkownika, ale nie potrafiłem ukryć rozczarowania. Ellie, która jest wyjątkowo spostrzegawcza, natychmiast to zauważyła. Być może zabolęła ją, że myślę przede wszystkim o swoich sprawach, lecz nie dała tego po sobie poznać.

- Nie patrz na mnie tak żałośnie - powiedziała z uśmiechem. -Wiem, że chciałeś porozmawiać z ojcem, ale nic ci się nie stanie, jeżeli spędzisz ze mną pół godziny. Zaparzę kawę i możemy wypić ją na tarasie - dzień jest taki piękny... Nie uciekaj, proszę. Od dnia, kiedy pojechalismy do Manderley, nie miałam szansy zamienić z tobą choćby paru słów, a jest coś, o czym chciałam ci powiedzieć...

Zaparzyła kawę i kazała mi przynieść z kuchni kubeczki oraz tacę. Kuchnia w Sossnach jest bardzo przyjemnym pomieszczeniem. Wygląda tak, jakby nie zmieniono w niej nic od wielu, wielu lat, a już na pewno od czasów, gdy Ellie była dzieckiem. Bez trudu wyobraziłem ją sobie, siedzącą przy dużym stole z bratem i starszą siostrą, i ta wizja sprawiła, że polubiłem tę część starego domu jeszcze bardziej. Sam nigdy nie miałem prawdziwej rodziny, więc jestem pod tym względem nieco sentymentalny. Na blacie małego stolika przy oknie leżały gazety i książka, którą Ellie najwyraźniej czytała przed moim przyjściem. Chciałem zobaczyć, co to takiego, ale w tym celu musiałbym przesunąć gazety, dlatego zaczekałem, aż El-

lie odwróci się do mnie plecami. Właściwie nie jestem pewien, czego się spodziewałem, lecz chyba myślałem o jakiejś kobiecej powieści o małżeństwie i domu, a może, biorąc pod uwagę wpływ, jaki mogła wyrzucić na Ellie jej ciotka Rose, o czymś autorstwa Jane Austen lub którejsz z sióstr Bronte. Okazało się jednak, że Ellie czytała *Obcego* Camusa. Pospiesznie ukryłem książkę pod gazetami.

Wyszliśmy do ogrodu, na taras znajdujący się w drugim jego końcu. Kościelne dzwony wzywały wiernych na poranne nabożeństwo, lekka bryza od morza poruszała olinowaniem jachtów, stojących na kotwicy w zatoce pod nami, trącając napięte sznury i wydobywając z nich dziwne, rytmiczne ni to mruczenie, ni to podzwanianie. Widok portu, z odpoczywającymi na wodzie łodziami oraz odbijającym od pomostu promem, był jak zawsze ciekawy i kojący. W portach czas wydłuża się w nieskończoność. Ze wszystkich, jakie znam, włącznie z tym małym i odległym, który widać było z domu May i Edwina, najbardziej lubię ten w Kerrith. Kojarzy mi się z pierwszym poczuciem prawdziwej wolności i szczęścia z okresu dzieciństwa.

Ellie przeciągnęła się w słońcu jak kot, usiadła na murku, podciągnęła kolana pod brodę i utkwiała wzrok w morzu. Próbowałem uświadomić sobie, czy zmieniła się od czasu, gdy ją poznałem, czy też dopiero teraz uczę się na nią patrzeć. Dość długo była dla mnie jedynie córką pułkownika i minęło parę miesięcy, nim zauważyłem, że jest ładna, nawet bardzo atrakcyjna i pełna młodzieńczego, nieco chłopięcego uroku. Jest bardzo szczupła. Miękkie, brązowe włosy zaczesła do tyłu i związała. Miała na sobie bluzkę z krótkimi rękawami i wąskie spodnie. Zrzuciła buty i wtedy dostrzegłem, że stopy, podobnie jak ramiona i twarz, są opalone na złotawy brąz. Słońce dosłownie oślepiało, więc Ellie wyjęła z kieszeni spodni ciemne okulary i włożyła je. Wyglądała teraz zupełnie inaczej i nagle zdałem sobie sprawę, w jak wielkim stopniu polegam na odczytywaniu wyrazu jej oczu. Ellie ma niezwykle oczy, jasno-orzechowe, o bardzo łagodnym, otwartym spojrzeniu i kiedy ukryła je za ciemnymi szklami, zupełnie zbiła mnie z tropu. Pomyślałem, że nie mam pojęcia, kim jest ta nowa Ellie ani jak powinienem z nią rozmawiać.

Możliwe, że wyczuła te wątpliwości, ponieważ przejęła inicjatywę. Pragnąc mnie uspokoić, neutralnym tonem zaczęła opowiadać

o ojcu i jego stanie zdrowia. Uświadomiłem sobie, jak niewiele wiem o Ellie. Siostry Briggs mówiły mi, że była nieprzeciętnie inteligentnym dzieckiem, że najprawdopodobniej odziedziczyła intelekt po swojej ciotce Rose, że dostała stypendium ufundowane przez Girton College i wyjechałaby do Cambridge studiować literaturę, ale jej matka zachorowała, więc Ellie została w domu, aby ją pielęgnować. Teraz zajmowała się ojcem. Zacząłem się zastanawiać, czy miała żal do losu, czy żałowała, że w ten sposób poświęciła życie i zrezygnowała z własnych ambicji. W Ellie nie ma śladu goryczy. Jest szczerą, dobrą, bystrą, lojalną, spostrzegawczą i chwilami wręcz zadziwia inteligencją. Czy patrzyłbym na nią inaczej, gdyby skończyła studia w Cambridge? Wiedziałem, że właśnie tak by było, chociaż bardzo się tego wstydzilem. Teraz, gdy poznałem ją lepiej, zrozumiałem, że na początku jej nie doceniłem.

- Chcę ci coś powiedzieć - odezwała się po chwili milczenia. -Dotyczy to mojego ojca, ale nie jego stanu zdrowia, w każdym razie nie bezpośrednio. Chciałabym cię prosić, żebyś go nie osądzał.

Zaskoczyło mnie to. Gdyby Ellie wiedziała o mnie więcej, nigdy nie zwróciłaby się do mnie z taką prośbą. Nie mam prawa nikogo oceniać.

- Dlaczego uważasz, że zamierzam go osądzać? - zapytałem.

- Byłoby to w pewnym stopniu naturalne - rzekła. - Tutejsi ludzie już go osądzili, podobnie jak dziennikarze, i ojciec sporo z tego powodu wycierpiał. Nauczył się z tym żyć, ale ciebie naprawdę lubi. Na pewno zauważyłeś, że jest dumny. Nigdy nie zniżyłby się do tego, by bronić swojego postępowania czy postawy, więc chcę zrobić to za niego...

- Nie musisz, Ellie.

- Muszę. Chcę, żebyś zrozumiał całą tę sytuację. Ludzie oskarżają ojca o to, że krył Maxima de Wintera. Wiem, że ci o tym opowiadali, wiem też, że wcześniej czy później przeczytasz wszystkie te artykuły i beznadziejnie głupie książki. Ich autorzy twierdzą, że dochodzenie w sprawie śmierci Rebeki zostało celowo zaniedbane, że można było zrobić znacznie więcej. Nie wiem, co, i oni chyba także nie, ale to ich nie powstrzymuje. Mówią i piszą same głupstwa. Niektórzy rozgłaszali nawet, że ojciec sfałszował świadectwo lekarskie i sam wymyślił całą tę historię o śmiertelnej chorobie Rebeki. Co za bzdura! Gdyby nie mój ojciec, prowadzący dochodzenie ni

gdy nie wpadliby na trop tego lekarza z Londynu. Rebeka naprawdę była umierająca - mam nadzieję, że w to nie wątpisz. Doktor Baker przysłał pisemne potwierdzenie wyników badań, widziałam jego list.

- Nigdy nie miałem co do tego najmniejszych wątpliwości, Ellie - powiedziałem z lekkim wahaniem. Wiedziałem, że jest gotowa bronić ojca za wszelką cenę, a grunt, po którym się poruszałem, był dość grząski. Pułkownik z pewnością miał związane ręce, ale wcale nie uważał się za człowieka bez winy. Czy powinienem zaryzykować i przyprzeć Ellie do muru? Zdecydowałem, że mimo wszystko to zrobię. - Kilka razy zadawałem twojemu ojcu pewne pytanie -ciągnąłem. - Lecz właściwie nigdy mi na nie odpowiedział. Co myślał wtedy? W co wierzył, Ellie?

Rzuciła mi spojrzenie, które mogło być pogardliwe lub rozbawione - nie byłem w stanie określić jego wyrazu z powodu tych ciemnych szkieł. Pełnym zniecierpliwienia ruchem przerzuciła nogi przez murek i wyciągnęła z kieszeni paczkę papierosów. Nie wiedziałem, że pali, ale przecież prawie nigdy dotąd nie rozmawiałem tylko z nią. Zawsze towarzyszył nam pułkownik.

- W co wierzył? - powtórzyła, przypalając papierosa. Zerknęła na mnie jeszcze raz i teraz byłem już pewien, że jest trochę rozbawiona. - Oczywiście, zawsze trudno jest odgadnąć, co się kryje w ludzkim sercu... Ale ojciec wiedział, oczywiście, że wiedział, co naprawdę się stało. Nie na samym początku, bo wtedy wierzył, że Rebeka przypadkowo zginęła na morzu, zresztą wszyscy w to uwierzyli. Niczego nie podejrzewał, kiedy znaleziono ciało tamtej kobiety i Maxim zidentyfikował ją jako Rebekę. Wtedy wszyscy litowali się nad Maximem, mój ojciec także, a może przede wszystkim...

Przerwała na chwilę i zaciągnęła się dymem.

- Wszystko zmieniło się później, kiedy Maxim wyjechał za granicę i ożenił się po raz drugi. To wywołało potworny skandal. Moja matka była wstrząśnięta, podobnie jak siostry Briggs oraz wielu innych przyjaciół i znajomych de Winterów. Widzisz, wszyscy wierzyli, że Maxim kochał Rebekę, że ją uwielbiał. I nagle coś takiego... Rebeka jeszcze nie ostygła w grobie, jak ujęła to Elinor Briggs, a tu Maxim wraca z Francji z żoną, która mogłaby być jego córką... Zupełnie jak w *Hamlecie*. Pamiętasz tę scenę?

- „Mięsiwa upieczone na stypę nie przystoją weselnemu stołowi”?

- Właśnie. Ojciec próbował bronić Maxima. Oczywiście, on także był poruszony, należy przecież do starej gwardii i pewne zasady mają dla niego duże znaczenie, ale był lojalny wobec Maxima i krótko zbywał ludzi, którzy go krytykowali. Powiem ci, kiedy zaczął mieć wątpliwości - po odnalezieniu jachtu Rebeki. Ojciec był obecny przy podnoszeniu go z dna. Zeszli na brzeg zatoki o świcie i wyciągnęli „Je Reviens” na plażę nad tym małym zakolem w pobliżu starego doku Jamesa Tabba. Od tamtego czasu nikt tam nie zagląda. Wiesz, gdzie to jest?

- Tak. Kilka razy mijałem tę plażę.

- Zależało im, żeby wydobyć jacht w spokojnym, ustronnym miejscu... - Ellie spojrzała ku morzu, dym z jej papierosa poszybował w górę. - Ojciec asystował przy tym jako urzędnik magistracki, był też obecny miejscowy lekarz, doktor Phillips, komendant portu, inspektor policji i oczywiście Maxim. Odbyło się to bardzo oficjalnie. Musisz pamiętać, że wtedy wszyscy byli przekonani, że ciało Rebeki już odnaleziono, więc nikt nie miał zielonego pojęcia, czyje zwłoki znajdują się w kabinie jachtu. Nie wiedzieli nawet, czy jest to kobieta, czy mężczyzna. Kiedy ciało przeniesiono w końcu na brzeg i zidentyfikowano, Maxim próbował dotknąć obrączki i pierścionka, które Rebeka nadal miała na palcu. Ojciec powiedział mi o tym dopiero po wielu latach, ale wyczułam, że właśnie wtedy obudziły się w nim pierwsze wątpliwości. Może dostrzegł coś w oczach Maxima, nie wiem... Potem, już po przesłuchaniu świadków, bardzo się zaniepokoił...

- Z powodu zeznań Tabba? Dlatego że jacht celowo zatopiono?

- Oczywiście - odparła chłodno. - Całe dochodzenie było zwykłą farsą, a koroner piramidalnym głupcem. Ale nie chodziło tylko o to, ojca dręczyło coś innego, mniej namacalnego. Czy rozmawiał kiedyś z tobą o pogrzebie Rebeki?

Potrząsnąłem głową. Znacznie wcześniej zdałem sobie sprawę, że dla pułkownika Julyana jest to temat tabu.

- Ojciec i Maxim pokłócili się wtedy - rzekła Ellie. - Maxim upierał się, żeby pochować ją w krypcie de Winterów, a ojciec wiedział, że ona tego nie chciała. Niestety, Maxim nie chciał go słuchać. Postanowił załatwić to jak najszybciej, natychmiast po wydaniu ostatecznego werdyktu.

- A co z tamtą kobietą? Tą pierwszą? Przecież jej trumna została złożona w krypcie...

- Wiem. Musieli ją usunąć. Wydaje mi się, że stało się to jeszcze w trakcie dochodzenia. Najprawdopodobniej zajął się tym Frank Crawley, któremu zawsze przypadały w udziale trudne zadania. Otwarto kryptę w obecności policji i wyjęto trumnę przed południem, kiedy wszyscy dziennikarze byli w sądzie. De Winter nie życzył sobie, aby jakiegokolwiek szczegóły przedostały się do prasy. Nie wiem, co stało się z ciałem tamtej kobiety. Nikt się biedaczką nie interesował... - Ellie zamilkła i zmarszczyła brwi, nie odwracając wzroku od morza. - W jakimś stopniu rozumiem, dlaczego zrobili z tego taką tajemnicę - podjęła po chwili. - Czytałeś część artykułów. Ojciec cierpiał z powodu nagłośnienia sprawy Rebeki, a cóż dopiero mówić o Maximie... Więc nawet się nie dziwię, że starali się ograniczyć kontakty z dziennikarzami do minimum. Natomiast jeśli chodzi o pogrzeb Rebeki, nie potrafię pojąć, dlaczego zorganizowano go w takim nieprzyzwoitym pośpiechu. Była przecież żoną Maxima, w okolicy nie brakowało ludzi, którzy kochali ją i podziwiali, a jednak została pochowana jak żebraczka lub kryminalistka...

- Na pewno wywołało to sporo komentarzy?

- Wywołało to ogólne oburzenie - rzuciła Ellie. - Nikt w Kerrith nie wiedział, że pogrzeb ma się odbyć właśnie tego dnia, a my dowiedzieliśmy się wyłącznie dlatego, że ojciec miał w nim uczestniczyć. Doskonale pamiętam ten wieczór - mój brat przebywał wtedy w szkole z internatem, ale my trzy byliśmy w domu. Mama i moja siostra Lily były bardzo przygnębione. Lily uwielbiała Rebekę i przyjechała z Londynu specjalnie na jej pogrzeb, tymczasem nagle się okazało, że pogrzebu jako takiego w ogóle nie będzie, tylko ten pospieszny, dziwaczny pochówek... Kiedy ojciec wrócił do domu, miał twarz szarą jak popiół. Nigdy wcześniej nie widziałam go w takim stanie. Nie odezwał się do nas ani słowem, wszedł do gabinetu i zamknął za sobą drzwi. Jestem pewna, że wtedy już wierzył w winę Maxima, ale naturalnie nigdy ze mną o tym nie rozmawiał. Do tej pory nie chce mówić, co wydarzyło się w krypcie i bardzo się denerwuje, kiedy ktoś pyta go, dlaczego parę godzin po pogrzebie pojechał do Manderley. Nie ulega wątpliwości, że pomija pewne ważne szczegóły, a jest w tym naprawdę dobry co chyba zdą-

żyłeś już zauważyć... - Zawahała się i obrzuciła mnie krótkim spojrzeniem. - Mam nadzieję, że mu to wybaczysz. Ojciec serdecznie kochał Rebeke, a ponieważ jest staroświeckim dżentelmenem, zrobi wszystko, by ukryć wszelkie informacje, które mogą rzucać cień na jej pamięć.

Usłyszałem ton prośby w jej głosie i nie potrafiłem oprzeć się wzruszeniu.

- Nie zrobił nic, co wymagałoby wybaczenia - zacząłem. - Rozumiem jego motywację i szanuję ją. Oczywiście wściekam się, kiedy robi uniki albo po prostu nie odpowiada na pytania, ale podziwiam jego refleks i...

- Byłam pewna, że powiesz coś takiego - przerwała mi sucho. - Rozumiem też twój podziw dla sposobu, w jaki ojciec unika pewnych odpowiedzi. Sam jesteś w tym całkiem niezły. Czasami mam wrażenie, że dużo się od niego nauczyłeś. Jeszcze kawy?

Zdjęła okulary i z niewinnym uśmiechem napełniła mój kubek. Przez chwilę sądziłem, że udzieliłem niewłaściwej odpowiedzi albo że Ellie podejrzewa mnie o nieszczerłość. Dopiero teraz dotarło do mnie, że Ellie potrafi być bardzo intrygującą osobą.

Chyba jednak powiedziałem to, co należało, bo zaraz przeszła do opisu wydarzeń, które tamtego wieczoru miały miejsce w Manderley. Także takich, o których pułkownik Julyan nie wspomniał mi ani słowem.

Mniej więcej trzy godziny po pogrzebie wezwano go do Manderley, gdzie czekał już Maxim de Winter wraz ze swoją drugą żoną, usłużny Frank Crawley i bardzo pijany Jack Favell. Favell miał dla nich kilka niezwykle interesujących informacji. Po pierwsze, pokazał im list od Rebeki, którego nie przedstawił w trakcie przesłuchań, chociaż był obecny w sądzie. Ten list Rebeka własnoręcznie dostarczyła portierowi urzędującemu na parterze domu Favella tuż przed swoim ostatnim wyjazdem z Londynu. Po drugie, bez cienia wstydu czy choćby zażenowania oświadczył, że on i Rebeka byli kochankami, a co więcej, Rebeka zamierzała zostawić dla niego Maxima i na pewno by to zrobiła, gdyby nie zginęła. W całkowitym zaskoczeniu wpatrywałem się w Ellie.

- Jesteś tego pewna?

- Zupełnie. Kiedyś ojcu nie przyszłoby nawet do głowy, aby rozmawiać ze mną o tym, co zaszło tamtego wieczoru, ale od zawa-

łu bardzo się zmienił. Pewien wpływ miały też na to twoje pytania. Teraz stał się wobec mnie o wiele bardziej otwarty.

- Nadal czegoś tu nie rozumiem... Dlaczego twój ojciec był wtedy w Manderley? Dlaczego Maxim go tam wezwał? Chciał, żeby był świadkiem takiej sceny? Niemożliwe!

Ellie obrzuciła mnie krótkim spojrzeniem, które mogło wyrażać aprobatę, nie byłam jednak o tym do końca przekonana, bo znów włożyła ciemne okulary. Lekko wzruszyła ramionami.

- Teoretycznie masz rację - odparła. - Ale Maxim miał po temu ważny powód. Nietrzeźwy Favell pojawił się w Manderley raczej niespodziewanie i usiłował posłużyć się listem od Rebeki, aby wyciągnąć od Maxima pieniądze. Favell zawsze próbuje coś od kogoś wyłudzić; kiedy jutro się z nim spotkasz, sam zobaczysz, jaki z niego zły człowiek. Bo umówiłeś się z nim na jutro, prawda? - Na chwilę zawiesiła głos. - Nie zapomnij zapytać go o ten list. Najprawdopodobniej była to jej ostatnia próba nawiązania kontaktu z kimś z najbliższego otoczenia. Napisała, że musi mu o czymś powiedzieć i dlatego powinni się jak najszybciej spotkać, najlepiej tej samej nocy, w domku na plaży w Manderley. To bardzo dziwne, zwłaszcza jeżeli weźmie się pod uwagę, że Rebeka jakoby zamierzała wrócić do Manderley, wypłynąć jachtem na morze i popełnić samobójstwo, nie uważasz?

- Rzeczywiście dziwne. Czy Favell spełnił jej prośbę?

- Nie, najwyraźniej nie. Nie wiem, dlaczego, będziesz musiał sam go o to zapytać. Sęk jednak w tym, że ten list podważa werdykt o samobójstwie i na pewno właśnie z tego powodu Favell uznał, że może na nim niezłe zarobić. Założył, że Maxim zrobi wszystko, aby orzeczenie sądu nie zostało zakwestionowane, bo to oznaczałoby powtórne rozpatrzenie sprawy. I myślę, że miał rację, ale Maxim postanowił nie ustępować. Wezwał do Manderley ojca, nie tyle jako przyjaciela, ile urzędnika sądowego, i zażądał, aby Favell przedstawił swoje dowody i oskarżenia w jego obecności.

- I Favell pokazał ten list? Pułkownik go czytał?

- Oczywiście. Favell rzucał się, miotał i przechwalał swoim intymnym związkiem z Rebeką. Oskarżył też Maxima o zabójstwo. Powiedział, że Maxim był zazdrosny do szaleństwa, tym samym wskazując motyw morderstwa. - Ellie się zamyśliła. - Sytuacja stała się dość paskudna. Ojciec nie mógł uwierzyć, że Maxim pozwa-

la temu człowiekowi wygadywać takie rzeczy w Manderley, które było przecież domem Rebeki, i to zaledwie parę godzin po złożeniu jej ciała w krypcie. Potem wezwano panią Danvers, aby poświadczyła, że Rebeka zdradzała Maxima, wyobrażasz sobie, jak zareagował ojciec na wypytywanie służącej, czy Rebeka była dobrą żoną? Był wstrząśnięty, przerażony, wszystko to razem budziło w nim głębokie obrzydzenie, wiedział jednak, że musi wyjaśnić tę sprawę do końca. Dlatego zaproponował, aby sprawdzić, co Rebeka robiła w ostatnich godzinach życia. Sądził, że jeżeli uda im się dowiedzieć, dlaczego pojechała do Londynu, poznają odpowiedź na pytanie, o czym chciała poinformować Favella. Pani Danvers pokazała im notes Rebeki...

- Pani Danvers? - powtórzyłem ostro. - Dlaczego notes Rebeki miałyby znajdować się w rękach gospodyni?

- Nie wiem. - Ellie zmarszczyła brwi. - Nigdy się nad tym nie zastanawiałam. To był zwykły notatnik, w którym Rebeka zapisywała daty umówionych spotkań i tak dalej. Po jej śmierci wszystkimi rzeczami zajęła się pani Danvers. Pamiętam, jak siostra Maxima, Beatrice, powiedziała kiedyś mojej mamie, że pani Danvers się stara, by w pokojach Rebeki wszystko pozostało dokładnie tak, jak za jej życia. Danvers uwielbiała Rebę i mam wrażenie, że przez jakiś czas opiekowała się nią, gdy była dzieckiem. Mój ojciec chyba ci o tym opowiadał, prawda?

- Owszem, wspominał. Tak czy inaczej, wydaje mi się dziwne, że jej osobiste rzeczy... Mniejsza z tym. Mów dalej, Ellie.

- Sprawdzili więc wpisy z ostatniego dnia jej życia i właśnie wtedy odkryli, że miała umówioną wizytę lekarską. Mój ojciec był zdania, że koniecznie muszą porozmawiać z tym lekarzem. Był to specjalista chorób kobiecych, ginekolog.

Patrząc w ciemne szkła jej okularów, wyobraziłem sobie nagle scenę, której pułkownik nigdy mi nie opisał i którą znałem jedynie z relacji osób trzecich. Teraz, wolna od spowijających ją woalów plotek, zaczęła przybierać nowy kształt. Uświadomiłem sobie, że spoglądałem na tamte wydarzenia z niewłaściwej perspektywy. Widziane w odpowiedniej, logicznej kolejności, tworzyły zupełnie inny obraz. Oskarżenia o niewierność, umówiona wizyta u ginekologa...

- Rebeka i Maxim byli małżeństwem od pięciu lat - ciągnęła El-

lie. - Nie mieli dzieci, następny dziedzic rodu de Winter nie przychodził na świat, więc oczywiście ludzie zaczęli gadać... Kiedy więc ojciec odkrył, że Rebeka zwróciła się o poradę do lekarza z Londynu, nie do miejscowego doktora, i gdy się dowiedział, że był to ginekolog... Cóż, możesz sobie wyobrazić, co pomyślał.

- Ze Rebeka spodziewa się dziecka, tak?

- Tak. Gdyby okazało się to prawdą, wszystko by się zmieniło. Werdykt o samobójstwie zostałby unieważniony. Ale jacht Rebeci nie zatonął przypadkiem - ktoś celowo go zatopił. Pozostawiało to tylko jedną możliwość. Myślę, że w drodze do Londynu mój ojciec już widział, jak na szyi Maxima zaciska się pętla... - Ellie przerwała. - Nie chodziło zresztą tylko o to. Były także inne implikacje, i to bardzo poważne...

- Rozumiem. Rozumiem...

Wstałem i podszedłem do brzegu tarasu, obserwując zakotwiczone jachty. Dlaczego pułkownik Julyan nigdy mi o tym nie opowiedział? Ze słów Ellie wynikało, że jadąc do Londynu, pułkownik musiał brać pod uwagę możliwość, iż Maxim de Winter zabił nie tylko żonę, ale także jej nienarodzone dziecko. Pojawiało się prawdziwie tragiczne pytanie: czy Maxim zamordował Rebeke, wierząc, że jest ona w ciąży? Nie potrafiłem sobie na nie odpowiedzieć, i najprawdopodobniej tak samo rzecz się miała z pułkownikiem, ale wątpliwości te wywoływały w moim umyśle mroczne, ponure wizje. Gdzie to się stało? Na brzegu? Nie, nie na brzegu i nie na pokładzie jachtu. W domku na plaży, tam, gdzie dziś rano byłem. Nagle ogarnęła mnie irracjonalna pewność, że Rebeka zginęła właśnie w tym miejscu.

Ujrzałem tę scenę oczyma wyobraźni i przestałem współczuć Maximowi de Winter. Usiłowałem walczyć z tym uprzedzeniem, bo przecież nie miałem żadnego dowodu jego winy, ale nie byłem w stanie się go pozbyć.

Z pewnym roztargnieniem wysłuchałem ostatniej części opowieści Ellie, ponieważ właściwie już ją znałem. Zacząłem się zastanawiać, czy Rebeka wiedziała, jak poważnie jest chora, czy też ta wiadomość całkowicie ją zaskoczyła.

- Ojciec spędził tamtą noc w Londynie - mówiła Ellie, ja zaś zdałem sobie sprawę, że przez ostatnie parę minut w ogóle jej nie słuchałem. - Znajdował się w stanie ogromnego napięcia i usiłował

ukryć myśli. Zatrzymał się u Rose, w jej domu w St. John's Wood. Sądzę, że chciał omówić z nią ostatnie wydarzenia... - Ellie zwróciła ku mnie ciemne szkła okularów. - Rose miała wtedy dom w Londynie, właściwie nadal go ma. Pracuje tam teraz nad nową książką. Wzięła urlop z Cambridge. Ojciec mówił ci o tym? Z trudem wróciłem do rzeczywistości.

- Nie - powiedziałem. - Nie. Pułkownik usiłował trzymać mnie z daleka od Rose. Lubi udawać, że jego siostra jest odludkiem i nie wychyla nosa poza uczelnię. Oczywiście od początku zdawałem sobie sprawę, że wprowadza mnie w błąd. Twoja ciotka jest znaną osobistością w kręgach akademickich i...

Przerwałem.

- Ach, słusznie — odezwała się sucho Ellie. — Studiowałeś przecież w Cambridge, prawda? Zupełnie o tym zapomniałam...

Czułem, że wcale o tym nie zapomniała. Szybko zmieniłem temat. Byłem na siebie wściekły za tę wpadkę i nie chciałem dać się wciągnąć w rozmowę o Cambridge. Rozmawialiśmy jeszcze chwilę o pułkowniku, o sytuacji, w jakiej się wtedy znalazł, i jego decyzji o ostatecznym zakończeniu dochodzenia.

- Gdyby ta sprawa wydarzyła się w Szkocji, sąd nie wydałby werdyktu o samobójstwie z braku dowodów - zauważyłem. -Szkoda, że tu taka możliwość nie wchodziła w grę.

- Szkoda, prawda? - Ellie spojrzała na mnie zza ciemnych szkieł. - Dlaczego Szkocja ma odmienny system prawny? Żałuję, że nie znam Szkocji. Nigdy tam nie byłam, podobnie jak ojciec, więc oboje jesteśmy kompletnymi ignorantami w tej kwestii. Bez mapy nie potrafiłabym nawet opisać położenia tak ważnego miasta jak Perth.

Ton jej głosu brzmiał zupełnie niewinnie, ale nie byłem pewien, czy nie kpi ze mnie. Spojrzałem na zegarek i spostrzegłem, że punktualny Terence Grey tym razem spóźni się na lunch u sióstr Briggs.

Kiedy jednak ruszyliśmy w kierunku domu, odkryłem, że wcale nie mam ochoty opuszczać Sosen. Bardzo lubię obie starsze panie, ale nie miałem cienia wątpliwości, że wolałbym zostać z Ellie. Ostatnio tyle czasu spędzam na rozmowach z ludźmi, którzy mogliby być moimi rodzicami albo nawet dziadkami, że prawie zapomniałem, jak obcuje się z osobami należącymi do mojego pokole-

nia. Uświadomiłem sobie, że powinienem był już dawno zapytać Ellie o Rebeke. Ellie naprawdę jest wyjątkowo spostrzegawcza, a poza tym, rozmawiając z nią, nie musiałem stosować nieustannie uników.

- Kiedy wróciłaś do Sosen jako dziecko? - zapytałem, gdy okrążyliśmy dom, zmierzając w kierunku bocznej furtki, wychodzącej bezpośrednio na drogę.

- Miałam wtedy sześć lat. - Ellie zerwała kilka listków i roztarła je między palcami. - Nigdy wcześniej nie byłam w Anglii, wychowywałam się na Dalekim Wschodzie, najpierw na Malajach, potem w Singapurze. - Rzuciła mi rozbawione spojrzenie. - Wiem, że to cię nie interesuje, więc wracajmy do tematu. Rebeke poznałam jako sześciolatnia dziewczynka, a w chwili jej śmierci miałam jedenaście lat. Nie twierdzę, że ją znałam, byłam przecież dzieckiem, ale często ją widywałam. Ona nas odwiedzała, myjeździliśmy do Manderley. Och, te spotkania towarzyskie i bale! Chodziłam z rodzicami na niektóre przyjęcia w ogrodach Manderley, a mama opowiadała mi o proszonych obiadach i kolacjach, na których byli tylko dorośli. Mnóstwo ludzi przyjeżdżało do Manderley z Londynu -ambasadorowie, politycy, artyści... Matka czuła się w ich towarzystwie odrobinę nieswojo, uważała się za prowincjuszkę, chociaż wcale nią nie była. Więc jak już mówiłam, ciągle widywałam Rebeke...

- I?

- Byłam bystrą i ciekawą świata dziewczynką, i bardzo lubiłam ją obserwować. Fascynowała mnie.

- Dlaczego?

- Na początku z powodu urody. Ludzie zawsze mówią przede wszystkim o tym, że była piękna, dowcipna i czarująca, ale to takie puste słowa. Pozbawione znaczenia, nie sądzisz? Nie dają żadnego pojęcia, jaka była naprawdę, tworzą obraz głupiotkiej, frywolnej piękności. - Ellie ze zniecierpliwieniem machnęła ręką. - Zupełnie jakby Rebeka myślała tylko o przyjęciach, tymczasem to oczywista nieprawda. Świetnie pamiętam, kiedy wydawała się najszcześniejsza

- na swoim jachcie, w lesie, na spacerach z psami. Sama, zwykle sama... Dziwne, prawda? Zapamiętałam ją samą, nie w towarzystwie.

- Ellie zawahała się na chwilę. - Nie można jednak nie wspomnieć o tym, jak wyglądała. Nigdy nie widziałam nikogo tak pięknego.

Miała niezwykle, niezapomniane oczy, była pełna zniewalającego uroku. Oczarowywała ludzi, w każdym razie ja tak to odbierałam, a byłam tylko dzieckiem. Wyobraź sobie, co czuli mężczyźni. Patrzyli na nią jak na zjawisko; mówiła coś do nich, a oni gdyby wcale jej nie słuchali. To ją irytowało i nudziło.

- Nie lubiła być podziwiana? Większość kobiet za tym przepada.

- Naprawdę? - Ciemne szkła zwróciły się w moim kierunku. -Wobec tego Rebeka nie przypominała większości kobiet...

Była to reprimenda, subtelnie udzielona, niemniej surowa. Zaczerwieniłem się. Wspominałem już chyba, że Ellie potrafi zbić człowieka z tropu.

- Powiedziałas, że na początku fascynowała cię jej uroda. Na początku. A później?

- Chodziło mi o to, że jej uroda oślepiała ludzi i przez dłuższy czas nie byli w stanie dostrzec nic poza nią. Ze mną też tak było, ale kiedy w końcu zobaczyłam coś więcej, nadal byłam zafascynowana. - Zmarszczyła brwi. - Częściowo dlatego, że widziałam, jak bardzo podziwiają mój ojciec i chciałam zrozumieć, co jest tego przyczyną. Nie pragnęłam jej polubić, a jednak tak się stało. Rebeka rozmawiała z ludźmi w dość niezwykły, bardzo bezpośredni sposób. Wiesz, jak to jest - myślisz sobie różne rzeczy, ale nigdy nie wypowiadasz ich na głos. Tymczasem Rebeka mówiła to, co myślała. Nie sądzę, aby zdawała sobie sprawę, że zachowuje się w niekonwencjonalny sposób. Bywała bardzo dowcipna, błyskawicznie ripostowała, a kiedy jej rozmówcy byli pompatyczni i pretensjonalni, stawała się bezwzględna. Odnosiłam wrażenie, że jest smutna. Pod warstwą wesołości, bez troski i dowcipu krył się smutek. Nie chcę powiedzieć, że była nieszczęśliwa, lecz smutna. To nie to samo, prawda?

- Prawda - przytaknąłem, otwierając furtkę. - Smutek jest bardziej trwałym stanem, nieszczęście wydaje się przy nim tymczasowe, przemijające.

Ellie nie skomentowała moich słów, lecz sądzę, że doskonale je zrozumiała. Milczeliśmy. Wiatr szumiał cicho, podnosząc małe obłoczki pyłu z powierzchni drogi.

- Udało ci się odkryć, dlaczego była smutna? - zapytałem po chwili i natychmiast tego pożałowałem.

Chyba nie powinienem był ciągle wracać do tematu Rebeki. Mam skłonność do wykorzystywania ludzi jako źródła informacji i niektórzy mają mi to za złe. Spojrzałem na Ellie i nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że straciłem jakąś szansę.

- Nie. - Ellie szybko zerknęła na zegarek. - Mówiłam ci, że byłam za mała. Lily znała ją znacznie lepiej. Mieszkała wtedy w Londynie i studiowała w Akademii Slade. Chciała być malarką, ale przede wszystkim zależało jej na tym, by wyrwać się z Kerrith. Wcześniej z zapałem grała w golfa, tenisa, startowała w regatach -po prostu nie mogła się już doczekać, kiedy stąd ucieknie. Razem z kilkorgiem innych malarzy i malarek wynajmowała mieszkanie w Chelsea, na Tite Street, w pobliżu domu, w którym znajdowało się mieszkanie Rebeki. Miały wspólnych znajomych, malarzy, pisarzy, aktorów. Ale Lily już nie żyje...

Znowu zapadła cisza. Uświadomiłem sobie, że chciałbym zadać Ellie wiele pytań, i to me tylko dotyczących Rebeki. Zawahałem się.

- Jeszcze jedno - odezwałem się. - Czy twój ojciec pokazał ci notatnik, który przysłało mu pocztą?

- „Opowieść Rebeki”? Tak. - Ellie zamknęła furtkę. Ton jej głosu zmienił się, stał się bardziej zdecydowany. - Wybacz, muszę już wracać do domu...

- Oczywiście. Powiedz mi tylko, czy pamiętasz tę pocztówkę z widokiem Manderley? Chciałbym sprawdzić pochodzenie tego zdjęcia. Znam w Londynie kogoś, kto mógłby mi pomóc. Związek tej fotografii z „Opowieścią Rebeki” sugeruje mnóstwo możliwości...

- Może - odparła chłodno. - Ale na twoim miejscu nie wyciągałabym zbyt pochopnych wniosków. Pocztówka mogła zostać wklejona do notatnika zupełnie niedawno, na przykład przez osobę, która nadała przesyłkę.

- Nie zamierzam wyciągać pochopnych wniosków i wiem, że mogło tak być, ale ślady po kleju wyglądają na stare i... Ellie, czy ktoś kiedykolwiek wspominał w twojej obecności, że Rebeka mogła pochodzić z tej części Anglii? Albo że bywała tu jako dziecko?

- Tak jak ty? Nie. Nigdy o tym nie słyszałam.

Teraz byłem już pewien, że czymś ją uraziłem. A jednak postanowiłem brnąć dalej.

- Czy wiesz, gdzie się urodziła i wychowywała? Pamiętasz mo-

że jakieś wzmianki o jej dzieciństwie? O rodzinie? Kam byli jej rodzice?

- Nie mam pojęcia i nie sądzę, aby ktokolwiek ważył się zadawać jej takie pytania. Rebeka nienawidziła pytań, zwłaszcza osobistych. Mam nadzieję, że to rozumiesz. Teraz muszę już iść, naprawdę. Jeżeli chcesz zobaczyć się z tatą, wpadnij wieczorem. Na pewno miło mu będzie z tobą porozmawiać.

Podniosła rękę, odwróciła się i pobiegła w kierunku domu. Zdenerwowałem ją. Z żalem pomyślałem, że nie powiedziałem jej ani o wizycie w domku na plaży, ani o wieńcu z azalii. Ellie przedstawiła mi bardziej przemawiający do wyobraźni opis Rebeki niż ktokolwiek inny. Zdałem sobie sprawę, że jej refleksje mogły stać się dla mnie cenną inspiracją.

W gorącym słońcu zszedłem ze stromego wzgórza do domu sióstr Briggs. Po drodze wciąż się zastanawiałem, kto położył wieńiec pod drzwiami domku na plaży. Myślałem o domniemanych kochankach i wielbicielach pani Manderley. Potem moje myśli skupiły się na Ellie i otwartej książce, ukrytej pod gazetami na kuchennym stole. Prawie nie zauważyłem, kiedy przeszedłem kilometr

i znalazłem się przed domem sióstr Briggs. Drzwi otworzyły się i na progu stały Jocelyn i Elinor Briggs, witając mnie radosnymi okrzykami.

- Drogi panie Grey, jak to miło... Proszę wejść, bardzo prosimy... Był pan w Sosnach? Jak się czuje Artur? I kochana Ellie?

- Przed chwilą wróciliśmy z kościoła, ach, cóż za wspaniałe nabożeństwo! Pastor przyjął nasze zaproszenie na lunch. Pastorze, oto pan Grey, o którym tyle panu opowiadałyśmy... Tak, nasz nowy sąsiad, historyk, wybaczcie mi, panowie, ale muszę przypilnować czegoś w kuchni... Jocelyn, kochanie, zadbaj o panów!

- Oczywiście! Panie Grey, pastorze, może kieliszek naszej okazji sherry?

Zamarłem. Niczego nie podejrzewający pastor oświadczył, że z przyjemnością napije się sherry. Zorientowałem się, że w żaden sposób nie uniknę ani sherry, ani Terence'a Greya, więc z uśmiechem przyjąłem kieliszek i pozwoliłem, aby szary płaszcz Greya okrył mnie od stóp do głów.

ROZDZIAŁ 13

Siostry Briggs były bardzo zadowolone z porannego nabożeństwa. Czytanie na tę niedzielę brzmiało: „Rzuć chleb swój na wodę, ponieważ odnajdziesz go po wielu dniach”. Jocelyn i Elinor lubiły ten tekst, uważały, że jest bardzo głęboki i zasługuje na przemyślenia, i szczerze chwaliły kazanie, jakie wygłosił pastor.

Pamiętałem ten cytat z okresu dzieciństwa, i to aż zbyt dobrze. W sierocińcu w każdą niedzielę wleczono nas do kaplicy trzy razy, a sam pomysł rzucania chleba na wodę nie był dobrze przyjmowany. Cóż, my, sieroty, braliśmy wszystko dosłownie i zawsze byliśmy głodni. Oczywiście nie wspomniałem o tym ani słowem, a pastor przemilczał moją nieobecność na nabożeństwie, z czego wynioskowałem, że siostry Briggs udzieliły mu wyczerpujących informacji co do moich przekonań religijnych. Terence Grey, dzięki wpływowi ciotki May, jest zagorzałym prezbiterianinem, a najbliższy kościół tego wyznania znajduje się w odległości czterystu kilometrów.

Pastor, który mieszka w Kerrith tylko kilka miesięcy dłużej niż ja, ponieważ niedawno objął parafię, zrobił na mnie bardzo miłe wrażenie. Powiedział, że słyszał o moim zainteresowaniu kościołami i chciałby, abym któregoś dnia pozwolił mu oprowadzić się po świątyni w Manderley. Na grobowcach członków rodziny de Winter w bocznej nawie znajdują się piękne średniowieczne mosiężne zdobienia, powiedział, z dzwonnicy roztacza się wspaniały widok, na szczególną uwagę zaś zasługuje krypta, fascynująca jako zabytek architektury i znacznie starsza od samego kościoła. Terence Grey uprzejmie odpowiedział, że z chęcią wszystko obejrzy.

W tym momencie w kuchni nastąpił jakiś kryzys (wcześniej do-

szło do kilku innych, ale ten był niewątpliwie poważny) i siostry Briggs opuściły nas, wydając trwożne okrzyki. Pastor rzucił mi porozumiewawcze spojrzenie znad brzegu kieliszka.

- Dobry Boże... - powiedział. - Co to jest?

Wyjaśniłem mu, że kosztuje zakazanego owocu czarnego rynku, który pod względem smaku najbardziej przypomina olej parafinowy. Po krótkim namyśle uznał, że przepyszna sherry jest raczej podobna do kropli żółdkowych Jeyesa.

- Do kropli i syropu jednocześnie - dodał. - Gdzie dobre siostry znalazły ten przysmak?

- Znalazł go dla nas kochany pułkownik Julyan - oświadczyła Elinor, która właśnie w tej chwili, zaczerwieniona i nieco spocona, wyłoniła się z kuchni i usłyszała tylko ostatnią część wypowiedzi pastora. - Wydaje mi się, że kupił tę sherry od Roberta Lane'a, który kiedyś był lokajem w Manderley. Robert i jego żona prowadzą teraz bardzo podejrzany bar w Tregarron. Pani Lane jest z domu Manack, a wszyscy Manackowie, jak wiadomo, od niepamiętnych czasów parają się szmuglem... Miałyśmy więc pewne wątpliwości, bo niewykluczone, że i sherry pochodzi z nielegalnego źródła, a nie chcemy przecież mieć do czynienia z urzędem celnym, ale pułkownik nalegał i teraz mamy całą skrzynkę do wypicia! Proszę pozwolić, abym nalała panu jeszcze kieliszeczek, pastorze...

Była to wersja nieco odmienna od tej, jaką usłyszałem z ust pułkownika. Cudem udało mi się uniknąć następnego kieliszka. Zanim usiedliśmy przy stole, siostry Briggs zabawiały nas opowieściami o miejscowych szmuglerach i ich bardziej i mniej legendarnych przygodach. Potem przystąpiliśmy do trudnego zadania, jakim było krojenie pieczonego kurczaka (pastor) oraz podawanie warzyw (ja).

Jadalnia sióstr Briggs jest maleńka, zresztą cały ich domek zmieściłby się w jednym z dużych pokoi w Sosnach. Budynek kojarzy mi się ze ślicznym domkiem dla lalek, ma otynkowane na biało ściany i znajduje się tuż nad portem w Kerrith. Siostry przeprowadziły się tutaj mniej więcej dwadzieścia pięć lat temu. Dzieciństwo i młodość upłynęły im w St. Winnow House, pałacowej rezydencji w stylu królowej Anny, gdzie obecnie znajduje się dom starców. Wybierałem się tam jeszcze tego samego popołudnia, aby zobaczyć się z Frithem.

Ojciec Elinor i Jocelyn, sir Joshua Briggs, był magnatem okrętowym i chyba nie pochodził z tej części Anglii, natomiast ich matka, Evangeline, słynna piękność, nosiła nazwisko panięskie Grenville. Rodzona siostra Evangeline, Virginia, była matką Maxima de Winter. Po śmierci rodziców okazało się, że siostry muszą spłacić długi, których istnienia nawet nie podejrzewały, i wyłożyć sporą sumę na podatek od odziedziczonych majątku. W ten sposób nagle, dosłownie z dnia na dzień, musiały nauczyć się żyć w warunkach zupełnie innych niż te, do jakich przywykły.

Propozycja długoterminowej dzierżawy małego domku w Kerrith, z którą wystąpił Maxim de Winter (najwyraźniej na prośbę Rebeki), pojawiła się w ostatniej chwili, kiedy siostry Briggs z rezygnacją myślały już o opuszczeniu Kornwalii. Ponieważ nie mogły znieść myśli o rozstaniu z rodzinnymi pamiątkami, przewiozły wszystko, co się dało, do nowej siedziby. W rezultacie w jadalni o wymiarach cztery na trzy metry musiał się zmieścić duży mahoniowy stół z kompletem krzeseł z drugiej połowy dziewiętnastego wieku, potężny kredens z tego samego okresu oraz wielka szafa na wino. Na ścianach wisiały niezliczone obrazy, między innymi olejny portret młodej Evangeline Grenville naturalnej wielkości, dwie małe, wykonane pastelami podobizny jej sióstr, Virginii i Isoldy, a także kilka dużych scen marynistycznych z połowy ubiegłego wieku, pociemniałych i przebarwionych do tego stopnia, że przedstawionych na nich okrętów prawie nie było widać. Bardzo lubię i siostry Briggs, i ich domek, lecz kiedy tu przychodzę, zawsze muszę uważać, żeby nie obić sobie kolan o stłoczone wokół stołu krzesła

i pamiętać, że podobnie jak w Sosnach, należy przekonywająco udawać, że wierzy się w istnienie niewidzialnej kucharki lub kucharza oraz paru pokojówek.

Oczywiście żadna z sióstr nie umie gotować. Nie nauczono ich tej sztuki, bo przecież miały zrobić świetne partie i żyć w dobrobycie. Podejrzewam, że Elinor, starsza, wyższa i bystrzejsza, mając mniej więcej osiemnaście lat, przychylnym okiem zerką na Artura Julyana. Jocelyn, pulchniejsza, ładniejsza i bardziej naiwna, zaręczyła się we wczesnej młodości, lecz jej narzeczony zginął w okopach podczas pierwszej wojny. Teraz obie entuzjasmują się ogrodnictwem (śliczny, wspaniale zadbane ogród jest wielkości domu) i z poświęceniem zajmują się działalnością charytatywną. Okazały

mi wielką serdeczność i dobroć. Ich wspomnienia o Manderley sięgają równie daleko w przeszłość jak wspomnienia pułkownika, ale i równie trudno na nich polegać.

Jedząc kurczaka i bardzo rozgotowane warzywa, trzymaliśmy się neutralnych tematów. Pudding miał w sobie śliskie grudy i trochę dżemu z czarnych porzeczek, i dopiero przy tym średnio udanym deserze zacząłem rozmowę na temat Manderley. Siostry długo opowiadały o słynnych balach maskowych Rebeki i o różnych kostiumach, jakie wybierali goście i gospodarze. Bardzo mnie to interesowało. Dowiedziałem się, że Maxim de Winter nigdy się nie przebierał i witał zaproszonych przyjaciół w smokingu, pułkownik Julyan, który obawiał się ośmieszenia, co roku decydował się na ten sam kostium i występował jako Oliver Cromwell, Lord Protektor (biorąc pod uwagę jego uczucia do Rebeki, wydało mi się to całkiem à propos). Siostry zaszczycały bal jako Kleopatra, królowa Saby, Meduza, Neli Gwynn i wiele innych sławnych pań.

Wyraziłem jak najbardziej szczerzy żal, że nie dane mi było zobaczyć choćby jednego balu i zapytałem, czy pamiętają, w jakich kostiumach występowała Rebeka. Ku mojemu zdumieniu, bo zazwyczaj ich wspomnienia są mgliste i wydobywanie z nich konkretnych faktów przypomina rozplątywanie poszarpanego przez kota kłęбка wełny - pamiętały.

- Och, tak, doskonale pamiętam jej przebrania! - zawołała Jocelyn. - Zaraz, zaraz... Były cztery bale, prawda? Na pierwszym przywitała nas jako francuski arystokrata w drodze na gilotynę - wyglądała olśniewająco. Na trzecim była paziem królowej Elżbiety, przepięknym młodym galantem, prosto z renesansowej miniatury. Powiedziałam jej, że gdyby ujrzał ją Szekspir, na pewno napisałby sonet na jej cześć. Na drugim... Za kogo przebrała się w drugim roku, Elinor?

- Wszystko ci się poplątało, Jocelyn. Na trzecim balu była Wiolą-Cesariem z *Wieczoru Trzech Króli*, albo księciem Edwardem z *Ryszarda III*, już nie pamiętam, w każdym razie na pewno przebrała się za postać z którejś sztuki Szekspira. Na drugim witała nas jako bohaterka greckiej tragedii, chyba Medea... Nie, raczej Ifigenia... Nie mogę sobie przypomnieć. Miała na sobie togę...

- Chiton, kochanie. Toga to strój starożytnych Rzymian.

- Słusznie, chiton. We włosach nosiła wieniec z kwiatów...

Nie słuchałem zbyt uważnie, lecz teraz nagle skupiłem wzrok na twarzy Elinor.

- Wieniec z kwiatów? Jakich, panno Briggs?

- Chwileczkę, niech pomyślę... Tak, ależ oczywiście! Rebeka miała cudowne włosy, oczywiście zanim je obcięła. To był wieniec z róż, ponieważ w czasach Rebeki bale zawsze odbywały się w czerwcu. Suknia była biała, a jej włosy takie ciemne, prawie czarne... I do tego te piękne róże w kolorze czerwonego wina, o upojnym, naprawdę upojnym zapachu...

- A na ostatnim balu, na rok przed śmiercią, wystąpiła jako Karolina de Winter - wtrąciła Jocelyn. - Obie uważałyśmy, że nigdy nie wyglądała piękniej, ale już wtedy była za szczupła, prawda, Elinor? Naturalnie, nie wiedziałyśmy o jej chorobie, nikt nie wiedział. Zastanawialiśmy się nawet, czy się nie odchudza...

- To ty się zastanawiałaś, kochanie, bo wtedy byłaś dość pulchniutka, lecz Rebeka zawsze była smukła niczym brzoźka.

- Dziewczyna po prostu nie miała bioder. Bardzo jej tego zazdrościłam. Biodra mogą być potwornym nieszczęściem.

- Tak czy inaczej, skarbie, masz rację. Rzeczywiście, wydała nam się za szczupła, ale kostium był niezwykle udany. Przepiękny! Kazała go skopiować z tego sławnego portretu pędzla Raeburna, który wisiał nad schodami w Manderley. Każdy detal został dokładnie odtworzony, a podobieństwo było rzeczywiście zdumiewające. Niestety Maxim nie był zachwycony jej wyborem. Rebeka na pewno go nie uprzedziła i...

- Nie był zachwycony?! Elinor, kochanie, Maxim był wściekły przez cały wieczór! Kiedy powiedziałam mu, że Rebeka wygląda prześlicznie, odwarknął coś niewyraźnie. Kochany Maxim bywał czasami odrobinę humorzasty.

- Caroline de Winter niewątpliwie była wielką piękną, a poza tym praprababką Maxima, więc właściwie wybór Rebeki był dość naturalny, ale ona uwielbiała szokować... Odwołanie do Karoliny było dość śmiałym posunięciem...

- Śmiałym? - zainteresował się pastor. - Dlaczego? Wiedziałem, dlaczego i znałem historię Karoliny de Winter, więc

rozumiałem, czemu taki pomysł kostiumu siostry Briggs uważały za śmiały. Moim zdaniem był nawet zastanawiający.

- Och, Karolina miała fatalną reputację, podobnie jak jej brat

Ralph de Winter - wyjaśniła Jocelyn, porozumiewawczo zerkając na siostrę. - Zrobiła doskonałą partię, wydaje mi się, że poślubiła kiegoś znanego polityka ze stronnictwa wigów, prawda, Elinor? Jej brat popełnił samobójstwo, natomiast przed ślubem Karolina o nich dwojgu krążyły w okolicy, zresztą nie tylko w okolicy, naprawdę szokujące, skandaliczne opowieści...

- Na szczęście nie musimy o nich rozmawiać - pospiesznie przerwała jej Elinor. - Ani ja, ani Jocelyn nie pamiętamy szczegółów tych historii. Trzeba by zapytać Artura Julyana, który ma doskonałą pamięć do tych rodzinnych tajemnic.

Rzeczywiście. Już na początku naszej znajomości pułkownik opowiedział mi pieprzną historyjkę o Karolinie i Ralphie de Winter. Słynny portret Raeburna zamówił Ralph, znany galant i osławiony drań. Biała suknia, w której malarz sportretował jego wtedy jeszcze niezamężną siostrę, została specjalnie zaprojektowana po to, aby ukryć jej zmienioną figurę. Podobno grzeszna Karolina hojnie obdarzała swymi łaskami brata, i to od bardzo wczesnej młodości, a na krótko przed wstąpieniem w związek małżeński okazała podobną hojność przystojnemu koniuszemu z majątku rodziców. „Jak mam namalować twoją siostrę, panie?“, zapytał Rae-burn. Tu rodzinna tradycja podaje dwie wersje odpowiedzi. „Jako ładacznice i dziwkę, którą jest, panie, dlatego najlepiej będzie przedstawić ją na tle żrebnych klaczy“, brzmi pierwsza. „Jako moją najgłębszą miłość i przekleństwo, panie“, mówi druga, znacznie bardziej prowokacyjna.

Krótko mówiąc, ze strony Rebeki wybór tego kostiumu naprawdę był zaskakujący. Typowe dla pułkownika, że opowiedział mi starą część tej historii, całkowicie pomijając odniesienie współczesne, pomyślałem. Obserwowałem siostry Briggs, ciekawy, jak wybrną z tej pułapki, ponieważ nie do pomyślenia było, aby przy stole opowiedziały nam pikantne fragmenty tej historii. Zauważyłem, że Elinor kontynuowałyby temat z większą ochotą niż Jocelyn.

- Oczywiście te dawne opowieści najczęściej mocno mijają się z prawdą... - zaczęła Elinor.

- Och, Elinor, sama w to nie wierzysz! - zawołała Jocelyn. - Beatrice zawsze powtarzała, że Karolina de Winter przynosi pecha, i miała rację: Rebeka nosiła ten kostium i zginęła w tragiczny sposób, niech Bóg ma w opiece jej duszę, a druga żona Maxima ubra-

ła się dokładnie tak samo na jedyny bal kostiumowy, jaki wydała w Manderley. Nie byliśmy na nim, prawda, Elinor?

- Nie. Inni, bardziej skłonni do przebaczenia, przyjęli zaproszenie, ale my nie...

- Naturalnie Beatrice opowiedziała nam wszystko! Taka katastrofa! Najwyraźniej suknia miała być niespodzianką dla Maxima, więc nikt nie wiedział, co planuje pani de Winter i nikt nie zdołał jej ostrzec. Kiedy zeszła na dół... Och, aż trudno o tym mówić! Podobno przez jedną straszną chwilę wszyscy myśleli, że widzą ducha Rebeki. Maxim zrobił się błyśnięciem jak ściana... Pani de Winter musiała się przebrać w zwykłą suknię. Beatrice mówiła, że biedaczka nie mogła powstrzymać łez. Zdaje się, że Maxim zachował się dość bezwzględnie i mało brakowało, a pani domu w ogóle nie wzięłaby udziału w balu... Słyszałam, że uciekła do swojego pokoju i za nic nie chciała wyjść...

- Ta dziewczyna była zupełnie bez charakteru - oświadczyła Elinor. - Miała szare, mysie włosy, nie potrafiła się ubrać i zupełnie nie wiedziała, jak postępować z ludźmi.

- Właśnie! Ale wracając do Karoliny de Winter i nieszczęścia, które podobno przynosi - druga żona Maxima wybrała ten kostium, co pociągnęło za sobą kolejne katastrofy. Odnaleziono jacht Rebeki, rozpoczęło się dochodzenie i niedługo potem Manderley strawił ogień. Bardzo nas to wszystko niepokoiło. Czułam, że w świecie duchów nastąpiło zakłócenie spokoju, naprawdę to wyczuwałam. Ktoś z tamtej strony usiłował nawiązać z nami kontakt, byłam przekonana, że chce przekazać jakąś wiadomość... Chciałam nawet zorganizować seans spirytystyczny, ale Elinor mi nie pozwoliła.

- Jocelyn przeszła przez etap zainteresowania seansami - oświadczyła Elinor. - Także etap tarota... Na szczęście ma to już za sobą. Moim zdaniem nie należy zajmować się takimi sprawami. Jest to bardzo nierozsądne. Jestem pewna, że pan się ze mną zgodzi, pastorze.

- Całkowicie się zgadzam - przytaknął duchowny. - Nierozsądne i niebezpieczne.

Skarcona Jocelyn wbiła wzrok w stół, a Elinor natychmiast zmieniła temat. Musiałem zaczekać, aż wszyscy wróciliśmy do salonu na ciepłą lurę, która w Kerrith uchodzi za kawę, i dopiero wtedy zno-

wu wspomniałem o Manderley. Tym razem siostry zaczęły rozmawiać o ślubach. Obie po prostu to uwielbiają i zawsze, kiedy poruszają ten temat, uśmiechają się do mnie i kiwają głowami.

Ku mojej wielkiej uldze pastor skierował rozmowę na ceremonie chrztów, zaślubin i pogrzebów, które ostatnio odprawiał. Pomyślałem, że prawdopodobnie dojdzie do wniosku, iż jestem monotematycznym nudziarzem, ale nic mnie to nie obchodziło. Od razu nawiązałem do ślubu, który interesował mnie bardziej niż jakikolwiek inny - do wyjątkowo tajemniczego ślubu Rebeki z Maximem de Winter, i zapytałem, czy siostry w nim uczestniczyły. (Zadawałem im to pytanie już jakieś dziesięć razy, ale Elinor i Jocelyn zawsze wykręcały się od odpowiedzi).

- Och, nie mówiłyśmy panu o tym? - zdumiała się Jocelyn. - Nie było nas wtedy w Anglii, prawda, Elinor? Parę miesięcy wcześniej umarła nasza droga mama, więc byłyśmy bardzo przygnębione, poza tym właśnie wtedy okazało się, że trzeba będzie sprzedać St. Winnow's, i jeszcze ta kucharka... Pamiętasz ją, kochanie? Ciągle ostrzegała nas przed kłopotami... Był to dla nas bardzo ciężki okres, dlatego postanowiliśmy odwiedzić krewnych w Kenii. Wzięliśmy udział w safari i widzieliśmy lwy...

- Złożyłyśmy też wizytę naszym przyjacielom, którzy mieszkali w Szczęśliwej Dolinie!

- Właśnie. Nie było nas cztery miesiące, może nawet pięć, już nie pamiętam. Tak więc ominęły nas wszystkie radosne przeżycia w Manderley. Kiedy wróciliśmy, wybrałyśmy się oczywiście do Manderley - drogi Maxim i Rebeka byli już małżeństwem. Opowiedziałyśmy Rebecce o naszej podróży i właśnie stąd wziął się jej cudowny pomysł, aby nazwać najpiękniejsze miejsce w całym majątku Szczęśliwą Doliną. Szczęśliwa Dolina! Urocze, prawda? Pamiętasz, Elinor, jaka Rebeka była śliczna tamtego dnia? Niektórych całkowicie zbijała z tropu, ale my zawsze wspaniale czułyśmy się w jej towarzystwie, prawda, kochanie?

- Zbijała z tropu? Skądże znowu! Rebeka po prostu prowadziła rozmowę w bardzo bezpośredni sposób i to było raczej niezwykle...

Prowadziła rozmowę w bezpośredni sposób... Westchnąłem. Rozmowa nie zmierzała już w kierunku, jaki usiłowałem jej nadać, ale zdążyłem odkryć, że starszych ludzi nie należy zbyt mocno naciskać

ani poganiać, bo zwykle na najmniejszą oznakę zniecierpliwienia zamykają się w sobie i tracą chęć do zwierzeń.

Siostry Briggs nie były jedynymi osobami z sąsiedztwa, które nie wzięły udziału w sławnym ślubie. Pułkownik Julian również przegapił tę okazję, ponieważ w tym czasie był jeszcze na placówce wojskowej w Singapurze. Przepytalem już chyba wszystkich, którzy, przynajmniej teoretycznie, powinni być obecni na ślubie Rebeki i Maxima, ale bez powodzenia. Co jeszcze dziwniejsze, nie znalazłem żadnej wzmianki o uroczystości w gazetach, poza standardowym ogłoszeniem po fakcie w „Timesie”. Bardzo mnie to zaskoczyło, bo przecież pobrali się w czasach, kiedy śluby osób z towarzystwa przyciągały tłumy i były obowiązkowo opisywane w prasie.

Zapytałem siostry Briggs (inne osoby także), czy później widziały w Manderley jakieś zdjęcia ślubne młodej pary. Moja dociekliwość wprawiła je w zmieszanie i jakby lekki popłoch: widziały, nie widziały, może jednak widziały, chyba tak, chociaż nie, jednak nie, ale Rebeka szczegółowo opisała im swoją suknię z sześciometrowym trenem, i dlatego miały wrażenie, że ją widziały. Podjąłem ostatnią próbę, chociaż pastor był już wyraźnie znudzony, i zapytałem, czy pamiętają, gdzie odbył się ślub.

- Ktoś powiedział mi, że nie w Londynie - oświadczyłem (zgodnie z prawdą).

Mogłem wymienić kilkadziesiąt miejsc, w których ślub nie odbył się z całą pewnością.

- Och, nie, nie w Londynie - zgodziła się Elinor. - Gdyby odbył się w Londynie, Wyckhamowie, nasi bliscy krewni, na pewno zostaliby zaproszeni, prawda, Jocelyn? Drogi Maxim w żadnym razie by o nich nie zapomniał. Zaraz, zaraz... To śmieszne, że nie mogę sobie przypomnieć, ale w końcu było to tak dawno temu... Oczywiście organizacją uroczystości zajęła się rodzina Rebeki... Czyjej rodzice jeszcze żyli, Jocelyn?

- Rodzice Rebeki? Wydaje mi się, że nie, kochanie.

- Dałabym sobie rękę uciąć, że to było w zimie, bo pamiętam, kiedy wyjechałyśmy do Kenii. Dziwna pora roku jak na ślub... Zawsze uważałam, że panna młoda najpiękniej wygląda w czerwcu, na tle świeżych kwiatów i jasnej zieleni... Może pobrali się w lutym? Albo w marcu?

- Za granicą! - wykrzyknęła nagle Jocelyn.

Nerwowo podskoczyłem na krześle.

- Jestem przekonana, że wzięli ślub za granicą - ciągnęła. - Chyba we Włoszech... W jakimś bardzo romantycznym miejscu... Nie masz wrażenia, że ktoś mówił coś o kanałach, Elinor? Może było to w Wenecji?

- Nie, nie, nie pobrali się w Wenecji, ale pojechali do Włoch w podróż poślubną, jestem tego prawie pewna. Najpierw odwiedzili Francję... Czy Rebeka miała tam rodzinę? Wydaje mi się, że tak. Kiedyś wspominała o jakimś zamku w południowej części Francji. Byli też w Monte Carlo, które Maxim podobno szczerze znienawidził, nie wiem, dlaczego, a potem w Wenecji. Pamiętam, że Rebeka opowiadała mi o przejażdżkach gondolami...

- Ach, gondole... - westchnęła Jocelyn. - Zawsze chciałam popłynąć gondolą... Pragnęłam pojechać do Wenecji, ale nigdy mi się to nie udało...

- Słyszałam, że panują tam bardzo niehigieniczne warunki - zdecydowanym tonem oznajmiła Elinor. - Bardzo dobrze, że tam nie pojechałaś, kochanie.

Na pewno mogłem spróbować jeszcze raz. Mogłem zapytać o tę „rodzinę we Francji”, ale przegapiłem okazję, poza tym widziałem, że pastor majuz dosyć. Podałem się. Odpowiedziałem na kilka pytań na temat Szkocji, a kiedy dostrzegłem błysk religijnego zapału w oczach pastora, zapowiedź dłuższej dyskusji o prezbiterianizmie, przejmie się pożegnałem i opuściłem gościnny domek.

Siostry odprowadziły mnie do drzwi i w malutkim korytarzyku, obwieszonym starymi olejnymi obrazami, wymieniły porozumiewawcze spojrzenia. Lekko zaróżowione, wymogły na mnie obietnicę, że odwiedzę je zaraz po powrocie z Londynu.

- Planujemy kolację - powiedziała Jocelyn.

- Skromną kolację - uzupełniła Elinor. - Z droгим Arturem, jeżeli tylko będzie się czuł na siłach. I oczywiście z kochaną Ellie...

Uśmiechnęły się do siebie znacząco.

- Dziękuję za zaproszenie - odrzekłem. - Obiecuję, że wpadnę do pań najdalej za parę dni. I przywiozę z Londynu czekoladki...

- Drogi panie Grey! Czekoladki? W żadnym razie! Nie chcemy o tym słyszeć!

- Z nadzieniem śmietankowo-fiołkowym - oświadczyłem. - Przywiozę, mają panie na to moje słowo honoru.

Ellie powiedziała mi o ich słabości do takich czekoladek, które obok whisky, nadającej się do picia sherry, kawy ziarnistej i innych oczywistych składników normalnego, cywilizowanego życia, są niedostępne w Kerrith. Obie siostrzyczki załazy się krwawym rumieńcem. Nie mogłyby być bardziej zażenowane, gdybym w podstępny sposób odkiął ich skłonność do koronkowych majtasów.

Z domu sióstr, który, podobnie jak Sosny, znajduje się we wschodniej części Kerrith, pomaszerowałem w górę rzeki. Dom starców w St. Winnow's znajduje się półtora kilometra za miastem, w uroczym zakolu rzeki Kerr, tuż obok malutkiej rybackiej wioski o nazwie Pelynt.

Był to przyjemny spacer. Wąska droga wiła się wzdłuż rzeki, a że piękna pogoda wywabiła ludzi z domów, widziałem kilka jachtów

i łodzi, których załogi z pewnością przygotowywały się do Regat Kerrith, wielkiego wydarzenia w lokalnym kalendarzu. Minąłem mroczną, wąską zatoczkę, o której opowiadała mi Ellie, tu właśnie na brzeg wyciągnięto jacht Rebeki, i ostatecznie i ponad wszelką wątpliwość zidentyfikowano jej zwłoki. Chwilę później przystanąłem obok doku, czy raczej małej stoczni, należącej kiedyś do Jamesa Tabba, człowieka, który przerobił dla Rebeki bretońską łódź.

To właśnie Tabb, zeznając przed sądem, ujawnił, że jacht Rebeki został celowo zatopiony. To on się upierał, aby go dokładnie obejrzyć i odkrył, że ktoś otworzył kurki i wywiercił dziury w dnie. Jego słowa wywołały prawdziwą sensację, lecz uczciwość drogo go kosztowała. W atmosferze plotek i pogłosek, jaka od początku otaczała proces, James Tabb stracił klientów, w każdym razie tak poinformowały mnie siostry Briggs, jego zażarte obrończynie. Kilka lat po procesie Tabb zbankrutował. Jego rodzina zajmowała się szkutnictwem od czterech pokoleń, jednakże teraz dok stał pusty i zaniedbany.

Tabb nadal nie chciał ze mną rozmawiać. Gdy patrzyłem na wyblakłe litery na ścianie małego budynekczku, głoszące „James Tabb i Syn, szkutnicy”, wydawało mi się, że rozumiem jego upór. Wymieniony w nazwie firmy syn zginął w 1942 roku, broniąc ojczyzny przed niemiecką inwazją, James Tabb zaś prowadzi obecnie niewielki warsztat samochodowy na obrzeżach Kerrith i ledwo wiąże

koniec z końcem jako mechanik. Miał prawo czuć się rozgoryczony i nie palić się do rozmowy na temat rodziny de Winter oraz śmierci Rebeki.

Siedziba byłej firmy Tabb robiła uczciwe, porządne wrażenie, budynek miał prawdopodobnie około dwustu lat, może więcej. Pomyślałem o łodziach, które kiedyś budowano tu z miłością i zapałem, i nagle ogarnął mnie dziwny smutek. Przypomniałem sobie długi zawijas, jakim młoda Rebeka ozdobiła ostatnią literę wyrazu „opowieść” w tytule wypisanym na pierwszej stronie czarnego notatnika.

Dwadzieścia lat po śmierci Rebeki jej historia wcale nie dobiegła końca. Trwała nadal. Wspaniały dom leżał w gruzach. Mąż nie żył i jak mówili ludzie, zmarł pokonany, złamany przez przeszłość. Jej przyjaciel, Artur Julyan, zrezygnował z urzędu i przez wiele lat w milczeniu znosił plotki i obmowy. Frith żyje w fotelu na kółkach i opłakuje utracony świat. Ucierpiał nawet James Tabb, człowiek, który znalazł się na peryferiach świata Rebeki - stracił swoją stocznię i zawód, a ta strata, po dziesiątkach lat, podczas których kolejne pokolenia Tabbów ciężko pracowały i zdobywały cenne umiejętności, wydawała mi się nie mniej dotkliwa niż zniszczenie Manderley.

Stojąc przy doku, próbowałem przekonać samego siebie, że cała ta historia i jej reperkusje należą już do przeszłości, i że znalazłem się tutaj tylko po to, aby ujrzeć ich nieodwołalne zakończenie. Jeszcze parę lat i wszyscy ci, którzy znali Rebeke, wszystkie te naznaczone jej wpływem istnienia znikną bez śladu, pomyślałem.

Ale czy rzeczywiście tak było? Mimo wszystko miałem co do tego poważne wątpliwości. Widziałem, że śmierć Rebeki jest jak fala po potężnym wybuchu, która traci na sile, lecz nadal niszczy i odmienia. Dostrzegałem efekty działania tej fali na życie Ellie - gdy ojciec wycofał się do Sosen, odcinając się od złośliwych oskarżycieli z Kerrith, zmuszona była dzielić jego samotnię. Poza siostrami Briggs oboje widują naprawdę niewiele osób, więc Ellie, młoda, inteligentna, ładna kobieta jest w gruncie rzeczy ofiarą wydarzeń sprzed dwudziestu lat, podobnie jak jej ojciec. Na pewno Ellie gorąco zaprzeczyłaby słuszności mojej analizy, być może nawet by ją wyśmiała, ale czasami zastanawiałem się, czy nie pragnęła, by ktoś wyzwolił ją z wzniesionej przez pułkownika fortecy. Tylko kto mógłby to zrobić? A co z drugą panią de Winter, wdową po Maxi-

mie, która nadal była przecież stosunkowo młodą kobietą? Nie sądziłem, aby uważała, że ta historia już się skończyła. Po śmierci męża wyjechała na stałe do Kanady, lecz część jej bagażu stanowiła historia Rebeki. A i ja również znalazłem się w zasięgu tej fali. Nigdy nie sądziłem, że do tego stopnia zaangażuję się w swoje prywatne dochodzenie, wydawało mi się, że spędzę w Kerrith najwyżej trzy miesiące, znajdę odpowiedzi na dręczące mnie pytania, a potem wyjadę, zostawiając tę część życia za sobą.

Tymczasem minęło już sześć miesięcy, a ja nadal jestem w Kerrith i przeszłość wciąga mnie coraz głębiej. Czasami odnoszę wrażenie, że stanowią fragment jakiejś łamigłówki, to znów wydaje mi się, że sam wpisuję się w historię Rebeki, i myśl o tym bardzo mnie niepokoi...

Przyspieszyłem kroku i ruszyłem ścieżką prowadzącą na wzniesienie, na którym znajduje się St. Winnow's. Po chwili przekroczyłem bramę doskonale utrzymanego ogrodu. Dzień był bardzo ciepły i zgodnie z moimi oczekiwaniami Frith siedział w fotelu na osłoniętym od wiatru tarasie, z którego roztaczał się wspaniały widok na rzekę i morze. W oddali można było dostrzec Manderley, o czym Frith podczas mojej ostatniej wizyty przypominał mi mniej więcej co parę minut.

Sprawdziłem, czy przyniosłem ze sobą kopię świadectwa zgonu Lionela de Winter, chociaż świetnie wiedziałem, że mam ją w kieszeni, potem poszedłem na taras i usiadłem obok Fritha. Byłem przekonany, że ma bardzo mętne pojęcie, kim jestem, ale chyba mu to nie przeszkadzało. Pamiętał mnie z poprzedniej wizyty i robił wrażenie zadowolonego, że znowu mnie widzi.

ROZDZIAŁ 14

Zanim poznałem Fritha, pułkownik opisał mi go w bardzo niepocholebny sposób. Frith miał podobno co najmniej dziewięćdziesiąt pięć lat, był zdziecinniałym głupcem, uwielbiał wtykać nos w nie swoje sprawy, dawniej zaś, w czasach świetności Manderley, terroryzował pokojówki i jako bezwzględny oportunistą potrafił wykorzystać każdą nadarzącą się szansę, aby poprawić swoją pozycję.

- Jednego dnia był pucybutem, następnego kamerdynerem -oświadczył pułkownik. - Wnioski nasuwają się same.

Frith nigdy nie był pucybutem, nie był też zeskleroctiałym staruszkiem, pozostała część przedstawionej przez pułkownika charakterystyki też miała niewiele wspólnego z rzeczywistością, oczywiście z wyjątkiem bezwzględnego oportunisty. Urodził się w marcu 1867 roku (sprawdziłem) i teraz liczył sobie osiemdziesiąt pięć lat, chociaż utrzymywał, że ma dziewięćdziesiąt. Posiadał mnóstwo informacji o rodzinie de Winter, chlubił się swoją wyjątkową znajomością ich historii i z prawdziwą przyjemnością wielokrotnie sugerował, że zna de Winterów od podszewki.

Był sprytnym, drobnym, przygarbionym i zasuszonym starcem o zupełnie siwych, zawsze porządnie uczesanych włosach i marnie dopasowanych sztucznych zębach, które wprawiały go w stan nieustannej irytacji. Niewykluczone, że w odległej przeszłości miał słabość do ładnych dziewcząt - teraz usiłował zazdrośnie skupić na sobie uwagę pielęgniarek, przy czym wyraźnie preferował młodsze. Mam wrażenie, że nigdy nie dał się opanować tej słabości, bo nie ożenił się i nie miał dzieci. Dlaczego miałby się żenić, zapytał za-

czepnie, kiedy rozmawialiśmy po raz pierwszy. Dlaczego miałby pragnąć własnej rodziny? Miał przecież rodzinę - rodzinę de Winterów.

Renta, jaką otrzymuje z majątku Manderley, pokrywa koszty jego pobytu w domu opieki. Frith nie miewa żadnych gości, tak w każdym razie poinformowała mnie młoda, rudowłosa pielęgniarka, którą on wyraźnie faworyzuje. Podobno nigdy też nie zapomina o swojej pozycji społecznej. Tego popołudnia siedział z dala od innych pensjonariuszy i sędzę, że zwykle tak się zachowuje. W jednym końcu tarasu siedziała grupa kobiet, z których kilka zajęło się robótkami na drutach, w drugim skupieni dookoła radia mężczyźni słuchali komentarzy rozgrywek krykietowych. Frith odizolował się od obu grup i zajął najlepsze miejsce na całym tarasie, w cieniu rozpiętej płóciennej markizy. Stąd mógł obserwować płynące rzeką łodzie i mglisty zarys cypla Manderley, widoczny za Kerrith.

Zjadł dobry lunch, odbył przyjemną drzemkę i teraz był gotów do rozmowy o dawnych czasach, co zresztą bardzo lubił.

- Kiedy mówię o tym wszystkim, przeszłość wraca - powiedział, ściskając moje dłonie i ruchem głowy wskazując mi stojące obok krzesło. - Rzeczy, o których nie myślałem od wielu lat, teraz wydają mi się tak bliskie, jakby wydarzyły się wczoraj, proszę pana. Pan Lionel jako młody mężczyzna... I jego żona, biedaczka, z domu Grenville, Virginia Grenville, siostra panien Evangeline i Isoldy, niech Bóg obdarzy ich dusze wiecznym spokojem... Ach, wtedy wszystko było inaczej. Dostawałem jedno wolne popołudnie na miesiąc. A ile miałem roboty! Tutejsze pielęgniareczki narzekają na nadmiar obowiązków, lecz ja codziennie powtarzam im, że nawet nie wiedzą, co to znaczy nawał pracy. Powinny spróbować czyszczenia sreber w Manderley. Zdarzało się, że całymi dniami polerowałem noże, widelce, łyżki, koziołki, a potem jeszcze lichtarze, świeczniki, wazony... I wystarczyło, że w jakimś załamaniu została odrobina proszku do czyszczenia srebra, a człowiek miał kłopoty, o jakich tym dziewczynom nawet się nie śniło...

Z piersi Fritha wyrwało się świszczące westchnienie.

- A kiedy zacząłem usługiwać przy stole... - ciągnął. - Jedna maleńka plamka na rękawiczkach i nie miałem na co liczyć. Starsza pani de Winter, matka pana Lionela, widziała dosłownie każdy drobiazg, słowo daję. I zawsze wiedziała o wszystkim, co się działo

w domu. Pan Lionel nieraz coś przeskrobał... Wtedy brał mnie na stronę, mrugał znacząco i mówił: „Pamiętaj, żeby to zostało między nami, Frith, dobrze? Staruszka nie może się o tym dowiedzieć”. Ale ona zawsze się dowiadywała. Czasami miała mu za złe jego wybryki, a czasami nie. Z nią nigdy nie było wiadomo... A jeżeli pan Lionel posunął się za daleko - zdarzyło się to wiele razy, proszę mi wierzyć - szedł do niej jak w dym. To ona załatwiała wszystkie jego sprawy, znajdowała wyjście z kłopotów...

Słuchałem z uwagą, zwłaszcza jego ostatnich uwag. Na tym to właśnie polegało - Frith, podobnie jak siostry Briggs, nie dawał się naprowadzić na konkretny temat. Trzeba było czekać. Musiałem wysłuchać tysiąca detali na temat jego metod czyszczenia srebra, prania liberii lub przechowywania klaretu, nim w końcu zdecydował się podążyć w kierunku, na którym mi zależało.

W czasie ostatniej wizyty usiłowałem skłonić Fritha do rozmowy o dramatycznych wydarzeniach w Manderley, ale bez powodzenia. Prawie zupełnie nie pamiętał drugiej pani de Winter, wydawało się, że po prostu wymazał z pamięci jej krótkotrwałą obecność w Manderley. O Rebecce de Winter nie chciał mówić. Powiedział mi tylko, że całkowicie podbiła serca Maxima i jego babki, co bardzo go zaskoczyło, ponieważ spodziewał się, że starsza pani de Winter nie zaakceptuje żadnej młodej damy jako ewentualnej wybranki swojego wnuka.

- Uroda, inteligencja i dobre wychowanie - rzekł, rzucając mi krótkie spojrzenie spod zmarszczonych brwi. - Zdaniem starszej pani, narzeczona pana Maxima miała to wszystko. Kiedy ją zobaczyła, ze wszystkich sił parła do tego małżeństwa. Pan Maxim był przecież zakochany po uszy, mimo to jego babka nieustannie zachęcała go do związku z panną Rebeką, a że miała na niego duży wpływ - wie pan, ona go wychowała, ponieważ jego biedna matka umarła, gdy miał trzy latka, biedny chłopczyzna - nie było to bez znaczenia.

Nie udało mi się wydusić z Fritha ani słowa więcej. Upierał się, że nie ma nic do powiedzenia na temat pierwszej żony Maxima. Nie mógł sobie nic przypomnieć i okazał się całkowicie odporny na wszelkie sugestie. Wolał wracać do znacznie wcześniejszego okresu. Jak wiele starszych osób, najchętniej wspominał swoją młodość, lecz z równą przyjemnością rozmawiał o Lionelu de Winter.

Dziś ja także chciałem mówić o ojcu Maxima. Pewien temat dręczył mnie od rozmowy przy lunchu z siostrami Briggs - dlaczego Rebeka na ostatni bal maskowy wybrała taki kostium, i dlaczego jej mąż zareagował na to tak wielkim gniewem. Tą właśnie ścieżką pragnąłem podążać, a słowa Fritha dały mi po temu znakomitą okazję. Byłem bardzo zainteresowany przypadkami, kiedy to Lionel de Winter „posuwał się za daleko” i kiedy jego babka musiała „znajdować wyjście z kłopotów”. Pozwoliłem Frithowi pogadać chwilę o podbojach sercowych, jakich Lionel dokonywał w okolicy (miejscowi nadal dużo o nich mówią), a potem spróbowałem schwytać go na laso.

- Może opowiedziałby mi pan coś o rodzinie Carminowe, Frith? - zagadnąłem.

Ku mojej uldze Frith ani się nie spłoszył, ani nie zmienił tematu, lecz natychmiast wystartował prosto przed siebie, niczym spragniony galopu koń.

- Cóż, John Carminowe był jednym z dozorców - zaczął. - Tak samo jak wcześniej jego ojciec. Mieli bardzo przyjemny domek w pobliżu Czterech Dróg. Kiedyś sam miałem na niego ochotę, myślałem, że osiadę tam po przejściu na emeryturę. Bardzo by mi pasował...

- A pani Carminowe, Frith?

- Najpierw pracowała w Manderley jako pokojówka. Świetnie ją pamiętam. Była śliczną dziewczyną, wysoką, silną, no i bardzo pracowitą, nie da się temu zaprzeczyć. John Carminowe raz na nią spojrzął i już było po nim. Zaczęli wychodzić razem, a potem się pobrali. Ona miała wtedy najwyżej szesnaście lat. Później przyszły dzieci - trzech rosnących i mocnych jak niedźwiadki chłopaków. Najmłodsza dwójka urodziła się po dłuższej przerwie. Od początku było z nimi skaranie boskie. Dziewczynka była słabowita, a Ben Carminowe urodził się niedorozwinięty, co zupełnie zniszczyło jego matkę. Wszyscy jego bracia dostali pracę w Manderley, w stajniach i ogrodach. W tamtych czasach dla nikogo nie brakowało zajęcia. Ben chodził za nimi jak psiak, lecz państwu wcale się to nie podobało. Chłopak nie był urodziwy, a poza tym często podkradał się pod drzwi i podsłuchiwał. No i ciągle zaglądał do starego domku na plaży. Pan Lionel nie mógł na niego patrzeć. Wpadał we wściekłość, kiedy się na mego natknął, a raz nawet zagroził, że jeżeli znowu go

zobaczy, spierze go szpicrutą. I może rzeczywiście tak by było. Nie uwierzyłby pan, jaki pan Lionel bywał krewki...

Uwierzyłem bez trudu. Wydawało mi się, że rozumiem zmiany nastroju i wybuchy wściekłości, jakim ulegał Lionel de Winter. Ostatecznie w kieszeni miałem związany z nimi dowód.

- Dlaczego Lionel nie znosił widoku Bena? - zapytałem. - Chodziło o jego wygląd czy o coś więcej?

- Możliwe, że o coś więcej. - Ku mojemu zdziwieniu staruszek zachichotał chrypliwie. - Mówiłem już, że pani Carminowe niejednemu potrafiła zawrócić w głowie. Nawet jako wdowa... Czarne włosy, czarne oczy, czarna suknia... Kiedy John umarł, nie miała jeszcze trzydziestki. Mogła drugi raz wyjść za męża, zawsze tak uważałem, mogła wybierać i przebierać, ale nie chciała. A de Winterowie zajęli się nią jak własną krewną. Do śmierci zachowała swój domek - najpierw pilnował tego pan Lionel, potem, gdy umarł, jego matka. Sara, miała na imię Sara. Sara Carminowe. Leży na cmentarzu przy kościele w Manderley.

Wiedziałem o tym. Byłem na grobie Sary Carminowe i jej męża, a w dokumentacji majątku Manderley znalazłem potwierdzenie tego, jak troskliwie opiekowała się nią rodzina de Winterów. Po śmierci męża, a potem trzech starszych synów, którzy zginęli podczas pierwszej wojny, Sara Carminowe pozostała w swoim domu wraz z córką i cofniętym w rozwoju synem. Inni dzierżawcy w podobnej sytuacji byli zwykle usuwani i dom zajmowali bardziej produktywni pracownicy, ale zasada ta nie dotyczyła Sary Carminowe. Jeszcze w czasach Maxima de Winter nadal otrzymywała „rentę”, chociaż jej mąż nie żył już od ponad dwudziestu lat. De Winterowie chronili ją i dwoje jej najmłodszych dzieci. Ben został wysłany do domu dla psychicznie chorych dopiero po jej śmierci, czyli kilka lat po wyjeździe Maxima de Wintera z kraju. Teraz Ben także nie żył, nie wiedziałem tylko, co stało się z jego siostrą.

Spojrzałem na Fritha, który obserwował mnie spod oka z dziwnym uśmiechem na ustach. Usiłował poprawić sobie koc na kolanach, więc mu pomogłem. Dokładnie przyjrzałem się historii Sary Carminowe i niezwyklej łaskawości, jaką okazali jej właściciele Manderley, i odkryłem, że warto zestawić daty ważne w jej życiu oraz życiu de Winterów. Wyszła za męża, mając szesnaście lat, w 1893 roku, trzy lata po narodzinach Maxima de Winter. Pierwsze

troje dzieci - „rośli i mocni jak niedźwiadki chłopcy” - przyszło na świat w ciągu pierwszych pięciu lat małżeństwa, potem nastąpiła przerwa, dwoje najmłodszych zaś, dziewczynka i Ben, urodziło się w 1905 i 1906 roku. Nazwisko Carminowe nosili tylko ze względów formalnych, ponieważ John, mąż Sary, zmarł w 1904. Nie ulegało wątpliwości, że ktoś pocieszył piękną wdowę.

- Niech mi pan coś powie o najmłodszych dzieciach Sary, Frith - poprosiłem. - Kto był ich ojcem? Bo przecież nie John Carminowe, prawda?

Zapadła cisza. Frith nadal przyglądał mi się spod zmarszczonych brwi. Czulem, że zna odpowiedź na to pytanie, ale nie potrafiłem przewidzieć, co w nim zwycięży - pragnienie rozmowy czy nawyk dyskrecji.

- Byli słabowici - odezwał się po długiej przerwie. - Oboje ciągle słabowali, i chłopiec, i dziewczynka. Ben miał jakieś dziwne napady, od urodzenia był debilem, u dziewczynki zaś z głową wszystko było w porządku, ale nie była zdrowa. Podobno ciągle wszystko zwracała. Nie rosła, nie rozwijała się jak normalne dzieci, była chudziutka jak patyk. Miała ciemnoniebieskie oczy, Ben też miał błękitne, ale jaśniejsze...

- Niech pan posłucha, Frith... - zacząłem, postanawiając zaryzykować i mimo wszystko przycisnąć go trochę do muru. - Dziewczynka urodziła się dziesięć miesięcy po śmierci Johna Carminowe, Ben czternaście miesięcy po niej. Kto był ich ojcem? Lionel? Czy to dlatego de Winterowie tak troskliwie opiekowali się Sarą i jej rodziną? - Na chwilę zawiesiłem głos. - Czy dlatego dzieci były chorowite i nie do końca normalne, Frith?

- Bękart - rzucił Frith ostro. - Bękartęta, tak mówiła starsza pani de Winter. Musimy się nimi zaopiekować, Frith, mówiła, ale nie będziemy tego rozgłaszać. Pan Lionel był atrakcyjnym, przystojnym mężczyzną. Kobiety za nim przepadały, i to nie tylko tutaj, w naszej okolicy, o nie. Miał flamy w Londynie, nawet za granicą. I zawsze był bardzo hojny. Kiedy byłem jego służącym, prowadziliśmy mały notes, w którym zapisywałem ich urodziny i odpowiednio wcześniej przypominałem mu o takich okazjach. Pisaliśmy wtedy do jednego z londyńskich sklepów i zamawialiśmy jakiś prezent - klejnocik albo parę mięciutkich rękawiczek. Pan Lionel myślał o swoich paniach. Uwielbiał aktoreczki. - Frith znowu

zachichotał. - Miał do nich straszną słabość. Chyba dlatego, że aktorkom nie brak śmiałości. Podobało mu się to. A jego żona, biedna pani Virginia... Cóż, na pewno nie można nazwać ją śmiałą. W żadnym razie! Żona pana Lionela była prawdziwą damą, bez dwóch zdań...

Odwróciłem wzrok. W oddali morze wspinało się wysoko i ciężko opadało w dół. Rudowłosa pielęgniarka powoli zbliżała się od prowadzących na taras drzwi, popychając przed sobą wózek, na którym wiozła wielki dzban z herbatą oraz talerzykami z kanapkami i ciastkami. Wiedziałem, że kiedy dziewczyna dotrze do Fritha, nasza rozmowa dobiegnie końca. Doszedłem do wniosku, że przyszedł czas na inny zestaw pytań, ale starałem się zachować spokój.

- Lionel de Winter był chory, prawda? - odezwałem się. - Zaczął chorować wiele lat przed śmiercią. Opowie mi pan o tym?

- Jego nogi... - Frith ciężko westchnął. - Miał problemy z nogami. Najpierw na jego udach pojawiły się czerwone plamy, potem wrzody, które w ogóle nie chciały się goić. Przemywaliśmy je i bandażowaliśmy, ale było coraz gorzej i gorzej. Żona pana Lionela już nie żyła, a pan Maxim był jeszcze małym chłopcem i nic nie rozumiał. Tęsknił za matką. Pani Virginia zawsze przytulała go i sadzała sobie na kolanach, biedaczka bardzo go kochała, więc po jej śmierci malcowi brakowało czułości. Musiał się uczyć, jak to chłopcy, ale nawet gdy miał już sześć, siedem lat, widząc ojca, podbiegał do niego, obejmował go za kolana i prosił, żeby pan Lionel wziął go na ręce. Pan Lionel wpadał wtedy w złość, mówił, że chłopak jest za miękki i rozpieszczony. Czasami krzyczał na niego i w końcu panicz Maxim zaczął się go bać... Pan Lionel nie chciał być niedobry dla syna, proszę pana. Nie był złym człowiekiem, może mi pan wierzyć, po prostu bardzo cierpiał i czasami z trudem chodził. Próbował to ukryć, żeby ludzie nie gadali, no i nie mógł jeździć do Londynu...

Frith zaczął coś niewyraźnie mamrotać, co zdarzało mu się dość często. W końcu, kiedy wydawało się, że zapomniał o mojej obecności, znowu się odezwałem:

- Ale te wrzody na nogach po pewnym czasie się zagoiły, tak?

- Ma pan rację - odparł rozpromieniony Frith. - Po jakichś dwóch latach zupełnie się wygoiły, prawie z dnia na dzień. I wtedy pan Lionel wrócił do swoich nawyków, co miesiąc jeździł do Lon-

dynu, gdzie jak zwykle czarował panie. Wie pan, jak to jest - o bólu się zapomina. Kiedy artretyzm zaczyna mi dokuczać...

- Pamięta pan, kiedy znowu zachorował? - zapytałem, zerkając na rudowłosą pielęgniarkę w białym czepku i wykrochmalonym fartuchu, która właśnie podawała herbatę pensjonariuszkom z drugiej strony tarasu.

Pomyślałem, że w najlepszym razie mam pięć minut.

- Och, dużo później, kiedy panicz Maxim miał jedenaście lat, może więcej. Chłopiec słabo radził sobie z lekcjami, więc tamtego lata pomagał mu stary pastor, dziadek pułkownika Julyana, dobry starszy pan. Panicz Maxim bardzo go lubił. Właśnie wtedy u pana Lionela zaczęły się bóle głowy. I zęby, strasznie bolały go zęby. Lekarz dawał mu maść do wcierania w dziąsła, z rtęcią, od której jego zęby zrobiły się prawie czarne. Potem było już ciągle gorzej i pan Lionel stawał się coraz trudniejszy. Nawet w kontakcie ze mną... Czasami był spokojny jak jagnię, a chwilę później wpadał w złość, całkiem bez powodu...

Frith szarpnął koc i zwrócił wyblakłe oczy ku morzu. Jeżeli nawet katarakta nie pozwalała mu dojrzeć Manderley, na pewno widział je w wyobraźni, zorientowałem się jednak, że obrazy, które podsuwa mu teraz pamięć, sprawiają mu przykrość.

- Czasami trochę mu się poprawiało - ciągnął. - I na przykład przez parę miesięcy było całkiem dobrze. Frith, jestem zdrowy jak koń, mawiał wtedy, ale bóle głowy zawsze wracały. Były też inne objawy i myślę, że to wszystko razem go przerażało. W miarę upływu czasu powoli stawał się nieprzewidywalny. Nikt nie miał pojęcia, co robi. Jego matka miała tego dosyć, nie chciała, żeby ludzie w okolicy zaczęli plotkować. Zdarzało się, że podejmowała znajome panie herbatką i pan Lionel wchodził do salonu... Najpierw zachowywał się całkiem normalnie, ale nagle mówił coś takiego, że włosy stawały dęba...

Frith potrząsnął głową.

- Nie można było tak tego zostawić, więc starsza pani de Winter wezwała doktora z Londynu, który przepisał mu zastrzyki. Robili-śmyje panu Lionelowi, kiedy bolała go głowa. To była morfina. Początkowo mu pomagała, lecz później po zastrzykach zaczęły go męczyć okropne sny, po prostu straszne. Czasami krzyczał ze strachu. Przez ostatnie cztery lata w ogóle nie opuszczał swojego pokoju.

Miałem do niego klucz i nie pozwalałem, żeby służba gadała o panu Lionelu. Bardzo tego pilnowałem, zawsze. Pani de Winter wiedziała, że może na mnie polegać. Miała żelazną wolę, naprawdę. Bywała bliska załamania, ale nigdy nie dawała nic po sobie poznać. Gdy koniec był już bliski, wzięła mnie na stronę i powiedziała, że jest jeszcze jedna rzecz, ostatnia rzecz, jaką mogę zrobić dla pana Lionela. I tak w dniu jego śmierci byłem świadkiem spisania jego testamentu. Drugim świadkiem był pułkownik Julyan, wtedy jeszcze kapitan. Niedługo potem zostałem kamerdynerem i nie chciałem już nic więcej od życia...

Pielęgniarka obsłużyła ostatnią z kobiet i powoli ruszyła w naszą stronę. Słyszałem brzęk filizanek i Frith także go słyszał. Chciałem zadać mu jeszcze kilka pytań. Bardzo interesował mnie ten sporządzony w 1915 roku testament. Nachyliłem się ku staruszkowi.

- Dlaczego testament został spisany tak późno, Frith? Lionel był przecież poważnie chory, i to od dawna, więc chyba jednak sporządził wcześniej ostatnią wolę...

- Tak jest, proszę pana. Spisał testament dziewięć lub dziesięć lat wcześniej, podczas jednego ze swoich dobrych okresów. Zrobił to w tajemnicy przed matką, kazał mi nawet przysiąc, że będę milczał jak grób. Ale ona w końcu się dowiedziała, było to na krótko przed jego śmiercią, i powiem panu, że nie była zadowolona, o nie! Potem bez przerwy suszyła panu Lionelowi głowę, żeby zmienił testament. Nigdy nie dowiedziałem się, kto zdradził jej tę tajemnicę. Ja nic pisałem nikomu ani słowa, więc... Czy podają już podwieczorek, proszę pana?

- Nie, jeszcze nie - odparłem. - Dopiero za chwilę. Rudowłosa pielęgniarka przystanąła, aby porozmawiać ze starszą kobietą, również w pielęgniarskim stroju.

- Dlaczego matka Lionela nie zaakceptowała tego testamentu? -zapytałem zniżonym głosem. - Czy poczynił w nim jakieś zapisy, które jej się nie podobały? Dlaczego tak bardzo zależało jej, żeby spisał nowy?

- Nie pamiętam. - Frith nagle wyraźnie się zdenerwował. - To było bardzo dawno temu, w czasie pierwszej wojny. Panicz Maxim służył we Francji i w każdej chwili mógł zginąć. Kapitan Julyan był w mundurze, na urlopie... Nie lubiłem patrzeć na pana Lionela. Bardzo tego wtedy nie lubiłem. „Ta choroba zżera go jak jakiś po-

twór", powiedziała kiedyś jedna z pielęgniarek. Pielęgniarki stale się zmieniały, szybko odchodziły z Manderley. Nie mogły znieść jego zachowania i tego straszego smrodu... Gdzież jest ten podwieczorek? Chciałbym już dostać podwieczorek. Dziś jest niedziela, a w niedzielę zawsze pieką tu biszkopt, moje ulubione ciasto...

Starsza pielęgniarka oddalała się ku drzwiom. Ruda dziewczyna zwróciła się w naszą stronę. Postanowiłem podjąć ostatnią próbę i nie wspominać więcej bezpośrednio o Lionelu de Winter.

- Frith, pamięta pan, jak opowiadał mi pan o dwojgu najmłodszych dzieci Sary Carminowe? Co stało się z córką? Ben żył dość długo, ale co z dziewczynką? Nazywała się Lucy, prawda? Znalazłem akt jej chrztu w kancelarii kościelnej. Co stało się z Lucy Carminowe?

- Umarła. Wszyscy umarli. Wszyscy już nie żyją. - W podniesionym głosie Fritha zabrzmiała kłótniwa nuta. Zrozumiałem, że posunąłem się za daleko i przestraszyłem go. - Wszyscy już nie żyją, odeszli... Zostałem tylko ja. A teraz chcę dostać podwieczorek. Siostró, siostró, poproszę kawałek biszkoptu... - Usiłował odwrócić się w krzesło i szukał wzrokiem pielęgniarki, potem spojrzał na mnie, zły, zagubiony i zaczerwieniony. - Kim pan jest? - rzucił piskliwie. - Dlaczego z panem rozmawiam? Nie znam pana. Nigdy pana nie widziałem... Siostró, proszę kazać mu wyjść! Siostró...

- Spokojnie, spokojnie, panie Frith. - Ruda pielęgniarka pochyliła się nad staruszkiem.

Poklepała go po dłoni, wyprostowała się i zrobiła znaczącą minę. Powinienem odejść, ale o tym wiedziałem już wcześniej. Wstałem i pożegnałem się z Fiithem, chociaż nadal chyba mnie nie poznawał.

- Po co tak się pan denerwuje - mówiła pielęgniarka do Fritha, kiedy zmierzałem do wyjścia. - No, po co? Nie ma przecież powodu, prawda? Ten miły młody człowiek przyszedł specjalnie do pana, w odwiedziny. Proszę, panie Frith, tu jest pański biszkopt...

Zbiegłem po schodach do ogrodu i dopiero kiedy znalazłem się za zasłoną wielkich krzaków róż, z których słyneło St. Winnow's, wyjąłem z kieszeni akt zgonu Lionela de Winter i przeczytałem go raz jeszcze.

Słuchając słów Fritha, widziałem Manderley takim, jakim było. Obrazy te były myląco żywe, z czego świetnie zdawałem sobie spra-

wę. Wydawało mi się, że naprawdę patrzę na Lionela i jego matkę, ale czy rzeczywiście miałem ich przed sobą? Nie, nie mogłem polegać na iluzjach, wolałem opierać się na dokumentach, zwłaszcza na takich jak ten, który trzymałem w ręku. To był dowód wielkiej wagi, dowód, którego nic nie mogło podważyć.

Lionel de Winter zmarł w czerwcu 1915 roku. Przyczyną zgonu był paraliż ogólny, a raczej choroba, która znana jest jako syfilis.

Frith, być może nieświadomie, dokładnie opisał przed chwilą poszczególne stadia choroby, stopień pierwszy, drugi i trzeci. Implikacje choroby Lionela były ogromne. Syfilis jest okrutną, zakaźną chorobą - jeżeli zapada na nią mężczyzna, może zarazić żonę lub kochankę oraz dzieci.

Było jeszcze za wcześnie, aby udać się do Sosen, poza tym musiałem wszystko spokojnie przemyśleć. Nie po raz pierwszy od przybycia do Kerrith przeklinałem fakt, iż nie posiadam żadnego środka transportu. Wydawało mi się, że Terence Grey nie powinien mieć samochodu, lecz teraz bardzo żałowałem, że nie przyjechałem tu swoim fordem. Gdybym miał samochód, pojechałbym do kościoła w Manderley, by jeszcze raz zerknąć na nagrobki rodziny Carminowe, chociaż w gruncie rzeczy nie musiałem tego robić. Świetnie pamiętam, gdzie się znajdują i jakiej treści napisy na nich umieszczono. John Carminowe i jego żona, Sara, leżą w spokojnym zakątku cmentarza, pod gałęziami cisu, w miejscu, z którego widać morze. Groby ich trzech starszych synów znajdują się nie tutaj, lecz gdzieś we Francji, a ich imiona i nazwiska wyryto na płycie pomnika ku czci pochodzących z tej okolicy żołnierzy poległych na frontach pierwszej wojny światowej, który stoi na rynku w Kerrith. Chłopcy zginęli, mając siedemnaście, osiemnaście i dwadzieścia lat. Szczerze współczułem ich matce, która została w opustoszałym domu z dwójką młodszych dzieci. Sara Carminowe na pewno zadbała o pochówek nie tylko dla siebie, ale również dla syna i córki, ponieważ Ben, częsty i niechciany gość w Manderley, leżał obok niej. Nie znalazłem natomiast ani nagrobka Lucy Carminowe, ani aktu jej zgonu, czy choćby jakiegokolwiek zapisu dotyczącego jej śmierci.

Powoli ruszyłem ścieżką nad rzekę. Zamiast skręcić w kierunku

Kerrith, pod wpływem impulsu poszedłem w drugą stronę, ku Pelynt i rybackiemu domkowi, który May i Edwin wynajęli na tamto lato, kiedy tu przyjechaliśmy. Stał w pewnym oddaleniu od reszty wioski, nad samą wodą. Odniosłem wrażenie, że właściciele nie mieszkają w nim na stałe i chyba go wynajmują. Teraz stał pusty, okiennice były zamknięte, a mały ogród wyraźnie zaniedbany. Na chwilę usiadłem na schodach, grzejąc się w słońcu późnego popołudnia i próbując puszczać kaczki na wodzie, co zawsze mi się udawało, kiedy byłem chłopcem. Byłem zły na siebie. Wpadłem w najbardziej oczywistą pułapkę, w pułapkę, której unikać uczy się każdy student historii, a mianowicie, wobec braku odpowiednich faktów usiłowałem dopasować te, jakimi dysponowałem na poparcie własnej hipotezy.

Było możliwe, chociaż nie mogłem być tego pewien, że Lionel de Winter spłodził najmłodszą dwójkę dzieci Sary Carminowe. Sposób, w jaki Frith opowiadał o rodzinie Carminowe, umacniał mnie w tych przypuszczeniach. Oznaczałoby to, że Maxim de Winter miał co najmniej dwoje przyrodniego rodzeństwa, co najmniej, jeśli weźmie się pod uwagę romansowe skłonności ojca. Czy Maxim wiedział lub chociażby podejrzewał, że chłopiec uważany za wiejskiego przygłupa jest jego krewnym? Taka świadomość musiałaby być straszną rzeczą dla młodego człowieka, zwłaszcza że niedorozwój umysłowy Bena Carminowe mógł być przecież efektem choroby Lionela. Sam Maxim prawie na pewno przyszedł na świat przed zarażeniem Lionela, w każdym razie tak sądziłem, ale jeżeli wiedział, jaka była przyczyna śmierci ojca, a nie wyobrażałem sobie, aby mogło być inaczej, prawdopodobnie do końca żył w stanie przerażającej niepewności co do własnego stanu zdrowia. Takie obawy musiały kłaść się mrocznym cieniem na całym jego życiu, niewykluczone, że czuł się skażony i nieczysty.

A siostra Bena Carminowe? Dlaczego w ciągu ostatnich dni myśl o Lucy nie opuszczała mnie ani na chwilę? Znałem odpowiedź na to pytanie - głównym powodem tej obsesji był notes, który przesłano pułkownikowi, z widokiem Manderley w środku. Ta fotografia sugerowała jakiś związek między Rebeką-dzieckiem i rodziną de Winter, ja zaś poszedłem za tą sugestią z desperacją zrodzoną w czasie wielu miesięcy bezowocnych poszukiwań faktów dotyczących pochodzenia i przeszłości Rebeki.

Było to potwornie głupie. Równie głupie jak to, że podświadomie przejąłem się prowadzoną przy lunchu u sióstr Briggs rozmową o balowych kostiumach oraz kazirodczych praktykach, które jakoby uprawiali żyjący w XVIII wieku de Winterowie. Szukałem nieistniejącego ogniwa. Daty, wiek - niczego nie udało mi się dopasować. Zgodnie z aktem zgonu, Rebeka de Winter zmarła w 1931 roku, mając trzydzieści lat, musiała więc urodzić się w 1900 lub 1901, na początku tego przekłętego wieku. Lucy Car-minowe przyszła na świat w 1905 roku. Nie było najmniejszego podobieństwa między biednym, słabowitym dzieckiem, o którym mówił Frith, i Rebeką jako kobietą. Lucy Carminowe, smutny mały duszek, najprawdopodobniej umarła w niemowlęctwie. Doszedłem do wniosku, że jeżeli jeszcze raz przejrzę kościelne księgi, na pewno znajdę odpowiedni zapis. Jeśli nie, oznaczałoby to, że Lucy została adoptowana, podobnie jak ja. Doskonale wiedziałem, że w takim wypadku poznanie jej losów będzie bardzo trudne, może wręcz niemożliwe.

Zdawałem sobie sprawę, że stopniowo tracę zdolność obiektywnego i racjonalnego myślenia. Ulegałem wpływowi półprawd, ćwierćprawd, plotek, legend i czystej fikcji, które w takim miejscu jak Kerrith noszą miano historii. Potrzebny mi był porządny odpoczynek od Kerrith i duża dawka londyńskiego powietrza. Jutro pojedę do Londynu, pomyślałem. Rzuciłem ostatnie kamyki jak najdalej się dało i przyglądałem się, jak w miejscach, gdzie wpadły do wody, rozchodzą się koncentryczne kręgi.

Odwróciłem się i spojrzałem na dom, w którym May, Edwin i ja spędziliśmy pierwsze lato. Bardzo przeżywałem wtedy swoją sytuację. Pewien chłopak z sierocińca powiedział mi, że moim ojcem mógł być każdy facet z pięcioma szylingami w kieszeni, natomiast matka urodziła mnie wyłącznie dlatego, że nie zdołała się mnie pozbyć za pomocą dzinu i drutów do robótek ręcznych. Uwierzyłem mu i jeszcze dziś w jakimś stopniu nie uwolniłem się od tego przekonania, chociaż wiem, że jego wiedza o mojej rodzinie była żadna, czyli taka sama jak o jego własnej.

- Co za okropne kłamstwo! - powiedziała May, kiedy pewnego wieczoru zwierzyłem jej się ze wszystkiego w małym, przytulnym pokoju na poddaszu, który pełnił funkcję mojej sypialni. - Po prostu okropne! Dyrektorka sierocińca mówiła mi, że twoja matka

szlochała, gdy cię oddawała. Kimkolwiek była, na pewno cię kochała, tak jak ja cię Kocham.

Dzisiaj wiem, że to także nie była prawda - May nigdy nie odbyła rozmowy z dyrektorką sierocińca, dyrektorka nigdy nie spotkała się z moją matką. Tak czy inaczej, jakaś część mojego serca czy umysłu wierzy także i w tę historię. Długo stałem bez ruchu, wpatrując się w małe okno pod szczytem dachu. Przyszło mi do głowy, że ja, z dziedzictwem psychicznym i emocjonalnym typowym dla porzuconych dzieci, nie nadaję się do prowadzenia tego rodzaju śledztwa. Nic dziwnego, że tak zainteresowała mnie historia Bena i Lucy Carminowe. Nic dziwnego, że zacząłem wyciągać pochopne wnioski i gonić za cieniami - ten bakcyl stale krążył w mojej krwi. Zdobyłem wykształcenie historyczne, ale na moim akcie urodzenia w rubryce „rodzice” widnieje słowo: „nieznani”. Nieznani... Jestem obciążony fatalną słabością dziecka z nieprawego łóża - pragnę odkryć tożsamość oraz pochodzenie swoje i innych.

Otrząsnąłem się i szybkim krokiem ruszyłem w kierunku Kerrith. Zgodnie z sugestią Ellie wstąpiłem do Sosen. Pułkownik Ju-lyan, wypoczęty i silniejszy po całodniowym odpoczynku, w przeciwieństwie do mnie był w znakomitym humorze. Myślę, że zorientował się, iż coś jest nie w porządku, ponieważ odniósł się do mnie z dużą serdecznością i nie zasypał mnie gradem podchwytliwych pytań.

Dość długo siedziałem w gabinecie pułkownika z nim i jego łagodnym psem. Barker, bardzo wyczulony na nastroje swojego pana, teraz przeniósł odrobinę psiej czułości na moją skromną osobę. Usadził wielki zad na mojej stopie i od czasu do czasu lizał mi dłoń. Nie należy do najpiękniej pachnących psów, ale mimo wszystko te dowody sympatii trochę mnie pocieszyły. Przez chwilę rozmawialiśmy o Jacku Favellu, ponieważ pułkownik Julyan powiedział, że chce mnie przygotować na spotkanie z tym indywiduum. Potem wysłuchał ocenzonego opisu mojego dnia. Nie miałem ochoty dyskutować z nim na temat Fritha, ale opowiedziałem o wyprawie do domku na plaży i wieńcu z azalii, który tam znalazłem.

Te informacje wyraźnie go poruszyły i kilka razy wracał do sprawy wieńca. Wcześniej przyjął, że to właśnie osoba, którą dostrzegł w oknie domku, przysłała mu czarny notes, lecz teraz był zmuszony odrzucić ten pomysł.

- Niewykluczone, że zrobił to Favell - powiedział, potrząsając głową. - Nie wątpię, że nawet po dwudziestu latach chętnie wywołałby zamieszanie, i to za każdą cenę. Ale Favell nigdy nie położyłby wieńca przed domkiem na plaży. Nigdy. To po prostu niemożliwe.

Obaj zdawaliśmy sobie sprawę, że Favell jest jedną z niewielu osób, w których ręce mógł wpaść notes. Może dostał go od Rebeki lub od pani Danvers, zastanawiał się pułkownik. Ponieważ Favell utrzymywał, że był dla Rebeki kimś więcej niż tylko kuzynem, wbrew przekonaniu pułkownika nadal podejrzewałem go o podrzucenie wieńca. Taki gest mógł przecież wykonać właśnie kochanek. Nie rozumiałem, dlaczego pułkownik zdecydowanie odrzuca tę możliwość, ale on nie chciał o tym mówić.

- Niedługo sam go pan pozna i wszystko stanie się jasne - rzekł. - W każdym razie mówię panu, że to na pewno nie Favell.

Staruszek mocno się zdenerwował i w końcu wezwał „na konsultację” Ellie. Zdziwiło mnie to, gdyż nigdy wcześniej nie zwracał się do niej o radę, w każdym razie nie przy mnie. Powtórzył moją opowieść, której Ellie słuchała w pełnym skupieniu milczeniu. Potem poprosił ją o odpowiedź na następujące pytanie: czy Jack Favell mógł położyć wieniec pod domkiem Rebeki?

- Absolutnie nie - odparła.

Pułkownikowi w zupełności to wystarczyło. Z dumą spojrzał na Ellie, a potem na mnie. Nie wiedziałem, co o tym myśleć: Ellie spotkała Jacka Favella dokładnie raz, mając dziesięć lat, na przyjęciu w ogrodach Manderley, na które Favell, jak to określił jej ojciec, wdarł się podstępem. Czy to jednorazowe spotkanie mogło stać się podstawą do tej odpowiedzi, udzielonej bez najmniejszego wahania?

Ellie i pułkownik Julyan nalegali, żebym został na kolacji, ale odmówiłem. Chciałem opisać ten dzień, dopóki wydarzenia mam jeszcze w pamięci na świeżo, poza tym wiedziałem, że nie byłbym pogodnym towarzyszem przy stole. Podniosłem się z fotela i wtedy spotkała mnie niespodzianka. Pułkownik powiedział, że martwi się moją jutrzejszą podróżą (szczerze mówiąc, w ogóle tego nie zauważyłem). Który pociąg zamierzałem złapać? Jak chciałem dostać się na stację? Autobusem? Autobusy spóźniają się, nie można na nich polegać. Na szczęście jutro jest poniedziałek, a w poniedziałki do

Sosen przychodzi sprzątaczką z Kerrith, więc Ellie ma wolne przedpołudnie i odwiezie mnie na dworzec.

Wydaje mi się, że Ellie była równie zaskoczona tą propozycją jak ja, lecz pułkownik nie chciał słuchać sprzeciwów, zresztą tutejsze autobusy rzeczywiście się spóźniają... Nieco zmieszany, podziękowałem, poklepałem psa po grzbiecie i wyszedłem. Ellie podeszła ze mną do drzwi wyjściowych, a kiedy je otworzyła, otoczył mnie piękny, jasnioletowy zmierzch i podnosząca się znad morza mgiełka.

- Przyjadę po ciebie o siódmej - powiedziała.

Stała w progu, aja trwałem obok niej. Przez chwilę patrzyłem na nią tak, jak parę godzin wcześniej - widziałem w niej dziewczynę z bajki, osamotnioną księżniczkę uwięzioną w zaczarowanym, warownym zamku, czekającą na ratunek. Zerknąłem na ekstrawaganckie wieżyczki Sosen. Z oddali dobiegał przyciszony szum tal. Wiedziałem, że moje wrażenia są wytworem fantazji, ale wcale nie chciało mi się stąd odejść. Miałem to samo wrażenie, jakie nawiedziło mnie rano - że mógłbym jej coś powiedzieć albo że ona coś powie... To uczucie rozpląnęło się we mgle, nim zdążyłem je uchwycić.

- Wieniec z azalii... - odezwała się Ellie. - Istnieje możliwość, której żadne z nas nie wzięło pod uwagę. Czy przyszło ci do głowy, że mogła go zostawić kobieta?

Nie przyszło i sędzę, że Ellie to wiedziała. Podniosła rękę i cofnęła się do ciemnego holu. Bez pośpiechu wróciłem do domu.

W tej chwili, już z pewnej perspektywy, wydaje mi się, że sugestia Ellie od początku nie trafiła mi do przekonania, a fakt, iż sam nie wpadłem na ten pomysł, trochę mnie rozdrażnił. W ciągu dnia odkryłem mnóstwo białych plam i nie mam ochoty szukać następnych. Gdyby była tu May, na pewno poczęstowałaaby mnie wykładem o kobiecej intuicji, nie wiem jednak, jak bym to zniósł.

Jest już bardzo późno. Spakuję się teraz. Dzięki Bogu, nie muszę zabierać ze sobą wielu rzeczy, a już na pewno nie wezmę żadnego garnituru pana Greya. W Londynie czekają na mnie moje własne ubrania.

ROZDZIAŁ 15

17 kwietnia - poniedziałek. Pociąg z Lanyon przyjechał punktualnie, lecz podróż trwała bez końca i była bardzo męcząca. Przedziały dla niepalących były pełne, zająłem więc miejsce wśród palaczy, rodziców z wrzeszczącymi niemowlętami, naprzeciwko kobiety, która prawie przez całą drogę przeżuwała kanapki z żółtym serem i marynowanymi warzywami. Nie zdążyłem zjeść śniadania, więc już przed Exeter konałem z głodu, nie zaryzykowałem jednak wyprawy do wagonu restauracyjnego, ponieważ wiedziałem, że w pociągu znajduje się ta potworna Marjorie Lane, kobieta, której po prostu nie jestem w stanie znieść. Miałem nadzieję, że nie zauważyła mnie i Ellie w poczekalni na dworcu w Lanyon. Na dworcu Paddington, gdzie w końcu dotarliśmy po sześciu godzinach, ukryłem się za tragarzem, by w kolejce na postoju taksówek nie wpaść na największą plotkarę w Kerrith. Wystroiła się w czarny kostium, czarne buty na wysokich obcasach, czarne rękawiczki oraz straszny kapelusz ze straszną woalką i jeszcze straszniejszym szkarłatnym piórem.

- Pan Grey! - wykrzyknęła. - Tak mi się właśnie wydawało, że widziałam pana na dworcu w Lanyon! Pomachałam wam nawet, ale oboje z Ellie byliście tak zajęci rozmową... No, no! Muszę powiedzieć, że jest pan bardzo tajemniczy, po prostu czarny koń! Przyjechałam na jakieś dwa dni na zakupy. Może weźmiemy razem taksówkę? Dokąd pan zmierza?

Nie wątpię, że chętnie by się tego dowiedziała, ale nie miałem najmniejszego zamiaru zrobić jej tej przyjemności.

- Do baru Pottera - rzuciłem i szybkim krokiem oddaliłem się w stronę stacji metra.

Od Baker Street dzieliły mnie dwie stacje i krótki spacer przez Regent's Park. Po dwudziestu minutach byłem na miejscu, w dobrze znanym mi pokoju z widokiem na park. Wiśnie i czereśnie właśnie kwitły, a trawa usiana była białymi płatkami. Raj w mieście. Kiedy Nicky przyprowadził mnie tu pierwszy raz, żebym poznał jego rodziców, pomyślałem, że jest to jeden z najpiękniejszych domów, jakie widziałem. Było to przed wojną i od tej pory wiele okoliczności uległo poważnej zmianie, lecz ja nadal nie zmieniłem zdania. Sam widok domu bardzo poprawił mój nastrój. W przeciwieństwie do Nicky'ego, moje wspomnienia związane z domem Osmondów były wyłącznie szczęśliwe.

Powitała mnie pani Henderson, chyba zadowolona z mojego przybycia. Rodzina rzadko korzysta teraz z domu w Londynie, więc sędzę, że czuje się trochę osamotniona. Jak zwykle okazała mi dużo serdeczności, przygotowując łóżko w niewielkim pokoju na poddaszu, który od lat nazywa moim. Mimo protestów wyprała też i wyprasowała koszule, które nosiłem podczas ostatniego pobytu. Natychmiast zmierzyła krytycznym spojrzeniem również tę, którą miałem na sobie. Cóż, najwyraźniej nie odpowiadała ona standardom pani Henderson. Nie zdziwiło mnie to, bo w końcu sam ją prasowałem.

Zgodnie ze swoim zwyczajem oprowadziła mnie po domu i pokazała najnowszy cud techniki - telewizor, który specjalnie dla niej kupił ojciec Nicky'ego, nieodmiennie zainteresowany różnymi gadżetami. Odbiornik, potężna bestia w błyszczącej mahoniowej szafce, stoi w kącie salonu. Ekran jest dość spory, po przekątnej ma jakieś dwadzieścia cali. Pani Henderson niezwłocznie zademonstrowała jego działanie. Rozgrzewał się chwilę, podobnie jak odbiorniki radiowe, a potem na ekranie pojawiły się obrazy. Miałem wrażenie, jakbym oglądał własny sen lub wspomnienia.

Pocziwa kobieta zrobiła dla mnie pyszne kanapki. Pozwoliła zjeść je w kuchni, o który to przywilej musiałem stoczyć zażartą walkę, i usiadła po drugiej stronie stołu, aby uzupełnić moje braki informacyjne. Ma świeższe wiadomości od Nicky'ego niż ja i uważa, że wróci z Paryża dopiero za jakieś trzy miesiące. Jego matka popłynęła na Karaiby, podejrzewam, że ze swoim ostatnim wielbicielem, chociaż pani Henderson oczywiście nic na ten temat nie po-

wiedziała. Ojciec Nicky'ego nadal nie może odzyskać równowagi po śmierci Julii, chociaż od tragedii minął już ponad rok. Bardzo lubię sir Archiego i liczyłem, że zobaczę się z nim podczas pobytu w Londynie, pani Henderson powiedziała jednak, że ostatnio prawie nie opuszcza domu w Oxfordshire, chociaż kilkakrotnie zapowiadał swój przyjazd.

- Nigdy nie traktował Julii jak synowej. Dla niego zawsze była córką, której nie miał i którą kochał z całego serca. - Przerwała i spojrzała na mnie uważnie. - Biedny człowiek - dodała. - Nie potrafi się z nią rozstać, nawet teraz...

Nicky również nie jest w stanie tego zrobić i dlatego najprawdopodobniej zostanie w Paryżu znacznie dłużej niż trzy miesiące. I pani Henderson, i ja świetnie zdawaliśmy sobie z tego sprawę, lecz naturalnie nie wspomnieliśmy o tym ani słowem.

Jeszcze przez jakieś pół godziny dotrzymałem towarzystwa pani Henderson, ale czułem narastający niepokój. Z Jackiem Favel-lem umówiony byłem na szóstą trzydzieści w salonie samochodowym, który jego firma wynajmuje w Mayfair. Ustaliliśmy, że pójdziemy na drinka do „jednej z miejscowych pijalni”, jak określił to Favell, a później, oczywiście jeżeli nie poczuje do mnie antypatii, pozwoli zaprosić się na kolację.

Favella udało mi się odnaleźć bez większego trudu, ponieważ jego nazwisko i adres (ma mieszkanie w Maida Vale) znajdują się w książce telefonicznej, natomiast znacznie większym problemem okazało się namówienie go na spotkanie. Nie odpowiedział na mój pierwszy list i nie podnosił słuchawki, kiedy dzwoniłem. Wysłałem więc drugi list, na adres salonu samochodowego, i tym razem, po paru tygodniach, otrzymałem niezobowiązującą odpowiedź. Favell czaił się jak stary lis - nie wykluczał spotkania, ale nie chciał się też jednoznacznie umówić. W końcu, kiedy już zaczynałem sądzić, że nic z tego nie będzie, niespodziewanie zadzwonił do mnie i zaproponował spotkanie w najbliższym czasie.

Odezwał się w ubiegłą środę rano, czyli wtedy, kiedy pułkownik zabrał mnie do Manderley. Nie mam pojęcia, co spowodowało zmianę jego decyzji. Może go zaciekawiłem (już dawno odkryłem, jak potężną siłą bywa ciekawość), lecz sądzę raczej, że wywąchał szansę zarobienia gotówki. Tak czy inaczej, spotkanie, które tak długo odkładał, teraz nagle stało się dla niego niezwykle pilną sprawą.

pilną do tego stopnia, że kiedy zawiadomiłem go, iż musimy przesunąć ustalony termin, wyraźnie się zirytował.

Kilka dni wcześniej zarezerwowałem stolik we francuskiej restauracji w Soho, słynącej z dobrej kuchni i win. Nie zamierzałem przekupić Favella, postanowiłem więc, że jeżeli nie zechce mówić, będę musiał znaleźć jakiś inny sposób, aby go do tego nakłonić. Perspektywa spotkania z kuzynem Rebeki wprawiła mnie w lekkie zdenerwowanie i dlatego, zamiast beczynnie czekać dwie i pół godziny, zadzwoniłem do Simona Langa, który obecnie pracuje dla największej londyńskiej sieci antykwariatów specjalizujących się w handlu książkami i manuskryptami. Najpierw wymijająco odpowiedziałem na jego pytania dotyczące mojej sytuacji w King's College, co porabiam i dlaczego przez ostatnie sześć miesięcy nikt ze znajomych mnie nie widział, a dopiero potem otrzymałem wskazówkę, na której mi zależało.

- Jest taki facet w Compass Yard - powiedział Lang. - Tuż przy Charing Cross Road, wiesz, gdzie, prawda? Nazywa się Francis Browne, z „e” na końcu, jest bardzo wrażliwy na tym punkcie. Powołaj się na mnie. Handluje takimi rzeczami, ma tego towaru mnóstwo, wszystko pieczołowicie skatalogowane tematycznie i geograficznie. To najlepsze miejsce, jakie przychodzi mi do głowy. Skąd to nagle zainteresowanie takimi śmieciami? I tak mi nie powiesz, co? Trudno. Pozdrów ode mnie Nicky'ego, dobrze? A przy okazji -niedawno sprzedaliśmy egzemplarz jednej z twoich książek. Zaraz, zaraz, która to była... Chyba ta o Walsinghamie... Nie, o Sidneyach. Pięknie oprawione pierwsze wydanie, po prostu cudo. Tak świeżutka i dziewicza, że nasuwają się podejrzenia, iż nikt jej nie czytał. Strasznie mądra, mój drogi. Niezły z ciebie mól książkowy, skoro dogrzebałeś się tych wszystkich informacji. Dostaliśmy za nią całkiem przyjemną sumkę. Wiesz, jaka była cena rynkowa?

- Dwadzieścia - odpowiedziałem. - Może dwadzieścia jeden. Prawie cały nakład trafił do bibliotek.

Simon się roześmiał.

- To wszystko tłumaczy. Prawdziwa rzadkość, mój drogi, można nawet powiedzieć, że udało nam się dostać w ręce białego kruka. Nie ma to jak biały kruk.

Podziękowałem mu za radę, odłożyłem słuchawkę i dwadzieścia minut później stałem już pod antykwariatem Francisa Browne'a.

Sklep sąsiaduje z potężnym lejem po bombie i wygląda na brudny, zaniedbany i w najlepszym razie podejrzany. Zawahałem się, przewidując, że zmarnuję tu tylko czas, ale wszedłem do środka i wyciągnąłem z kieszeni pocztówkę z widokiem Manderley.

Francis Browne był w sklepie. Wyglądał jeszcze bardziej podejrzanie niż lokal - był wysokim, chudym mężczyzną o posępnej twarzy w wątpliwy sposób ozdobionej siwiejącą brodą. Nosił garnitur w tenisowe prążki, który swoje najlepsze lata miał już za sobą, oraz poplamiony krawat. Miał rozbiegane oczka, zupełnie jakby się obawiał, że lada chwila podsunę mu pod nos legitymację policyjną, mówił przyciszonym głosem i powtarzał, że dla „wymagających klientów ma zupełnie wyjątkowe egzemplarze pocztówek i zdjęć”, a jeżeli nie znajdę tego, o co mi chodzi, zaprasza do pokoju na tyłach antykwariatu. Z niedowierzaniem rozejrzałem się dookoła. Zupełnie nie rozumiałem, dlaczego ktokolwiek miałby kupować „towar” Francisa Browne'a, nie mówiąc już o kolekcjonowaniu tych zdjęć.

Nie szukałem żadnego konkretnego rodzaju pocztówek, ale gdyby tak było, nie wątpię, że prędzej czy później bym na nie natrafił. Sklep był duży, lecz z trudem się w nim poruszałem. Na półkach pod czterema ścianami stały setki pudełek, w których leżały tysiące pocztówek. Pudełka z pocztówkami stały też na podłodze i na parapetach. Widziałem setki ręcznie pisanych etykiet: LOTNICTWO -OKRES WCZESNY, LOTNICTWO - OKRES ŚREDNI, LOKOMOTYWY, RELIGIA - KOŚCIOŁY (A-C), JEZIORA - RÓŻNE, PRODUKCJE TEATRALNE - RÓŻNE, WIDOKÓWKI -MIDLANDS I ESSEX. Na półce po prawej stronie od wejścia znajdowało się pękate pudło z jednoznacznym napisem: PIEPRZNE.

Trochę to trwało, nim przekonałem Francisa Browne'a, że nie przyszedłem tu w celu dokonania interesujących zakupów, lecz aby zasięgnąć jego rady. Zgodnie z moimi obawami, powołanie się na Simona Langa okazało się całkowicie bezowocne.

- On? Ten ważniak? Nie rozmawiam z nim, mój chłopcze. Powiedz mu, żeby przypomniał sobie, dlaczego. Och, no, niech będzie, co tu masz? Ach, Manderley. Mam tu gdzieś kilka widokówek z Manderley. Zaraz, gdzie one mogą być? Wydaje mi się, że odłoży-

łem je osobno, bo niedawno ktoś je przeglądał. CERAMIKA? Nie. POSIADŁOŚCI ZIEMSKIE? Też nie. Jak nazywał się ten fotograf? John Stevenson, tak jest. Oczywiście, świetnie znam jego zdjęcia. Niektórzy wielbiele krajobrazów wysoko cenią prace Stevensona. Powinno tu gdzieś być pudło z fotografiami...

Zanurkował między pudłami, wyłonił się na powierzchnię, zanurkował znowu i tak kilkanaście razy. Spoglądał na karteczki z napisami, kręcił głową, spod stosów pudełek wydobywał zupełnie nowe. Kurz wirował w powietrzu i osiadał na starych warstwach. Musiałem się czymś zająć, zacząłem więc zaglądać do pudeł na stole pośrodku pomieszczenia. Przejrzałem JEZIORA - RÓŻNE, trafnie rozpoznając kilka zdjęć, zerknąłem na KOŚCIOŁY A-C, których zdecydowaną większość stanowiły fotografie wiktoriańskich obrzydliwości, potem zaś, nie potrafiąc wykrzesać z siebie choćby iskry zainteresowania LOKOMOTYWAMI, LOTNICTWEM czy ESSEXEM, zająłem do PRODUKCJI TEATRALNYCH.

Jak sugerował napis na pudle, wewnątrz kłębiło się pomieszanie z poplątaniem. Wszystkie pocztówki były czarno-białe, większość pochodziła co najmniej sprzed dwudziestu, trzydziestu lat. Ułożono je w porządku, którego nie byłem w stanie zrozumieć - Cole Porter znajdował się obok Lily Langtry, Ivor Novello przed Sarą Bernhardt, Henry Irving za Noelem Cowardem. Były tu bardzo znane postacie w wybitnych rolach, lecz także gęsty tłum zapomnianych i kompletnie nieznanymi wykonawców. Ciągle natykałem się na biuściaste piękności z okresu panowania króla Edwarda, wąsatych mężczyzn w absurdalnych kostiumach, kłownów i zabójców oraz niezliczone pary kochanków w sztucznych pozach.

Najlepiej reprezentowany był oczywiście Szekspir. Znalazłem młodego Johna Giełguda jako Ryszarda II i Donalda Wolfita jako króla Leara, zdjęcia z wystawionego na przełomie wieków *Hamleta* w Lyceum oraz nieco późniejszej inscenizacji tej samej sztuki w Alhambrze w Birmingham. Starzy rycerze teatru, o których nigdy nie słyszałem, zwracali się do zbrojnych zastępów przed bitwą pod Agincourt lub uwodzili Julię w scenie balkonowej, obejmowali swoje sceniczne małżonki, dusili je albo wręczali im zbrotzone krwią sztylety. Browne nadal rył wśród pudeł, zająłem się więc odgadywaniem tytułów sztuk na podstawie scenografii i kostiumów.

Byłem już przy dziesiątej pocztówce (wszystkie trafione), kiedy ją znalazłem.

Otello, Sen nocy letniej, Ryszard III... Przerwałem zabawę i przyjrzałem się jej z bliska. Ona? Czy to możliwe? Miałem przed sobą zdjęcie jednego z tych nieznanych rycerzy teatru, sir Franka McKendricka. Ubrany był w kostium Ryszarda III, z obowiązkowym potwornym garbem, mocno podmalowanymi brwiami i obrysowanymi czarną kredką oczami o morderczym spojrzeniu. Obok niego, dzierżąc w dłoni mały sztylet, stał w dumnej pozie jeden z książąt zamordowanych w Tower, tak mi się w każdym razie wydawało. Nie ulegało wątpliwości, że młodziutkiego księcia grała dziewczynka. Wcale mnie to nie zdziwiło. Na odwrocie pocztówki wydrukowano datę: „1909 rok”, a wiedziałem, że w tamtych czasach dziewczęta często obsadzano w takich rolach. Ten książę miał bardzo ciemne włosy, przykuwające uwagę oczy i był podobny do skrzydlatego dziecka z pocztówki włożonej do przysłanego pułkownikowi notesu.

Wyjąłem kartkę z pudełka, podszedłem do drzwi i obejrzałem ją w lepszym świetle. Podobieństwo wydało mi się znacznie mniej uderzające niż przed chwilą. Wróciłem do stołu i zacząłem pospiesznie przeglądać pozostałe pocztówki. Kiedy pierwszy raz zobaczyłem fotografię dziewczynki ze skrzydełkami, pułkownik powiedział, że ma ona na sobie kostium. Obaj przyjęliśmy, że jest to kostium uszyty na bal dla dzieci albo coś w tym rodzaju. Żadnemu z nas nie zaświtała w głowie myśl, że może to być kostium teatralny. Nagle przypomniałem sobie rozmowę z siostrami Briggs o balach kostiumowych w Manderley i kostiumach, w jakich pojawiała się Rebeka. „Wszystko ci się pomyliło, Jocelyn - to było coś z Szekspira...”, usłyszałem głos Elinor.

Znalazłem pocztówkę ze sceną ze *Snu nocy letniej*. Zdjęcie przedstawiało Oberona i Tytanię, lecz nie towarzyszyły im żadne wróżki.

- Mam! - zawołał Francis Browne, wyłaniając się zza regału. - Tak mi się wydawało, że gdzieś tu ją widziałem. Studio Johna Stevensona w Plymouth, specjalizujące się w zdjęciach krajobrazowych z Kornwalii i okolic. Wiejskie sceny, urocze zakątki, piękne posiadłości i rezydencje. Stevenson zdobył nawet pewną sławę jako fotograf rezydencji. Założył studio w 1913 roku, zamknął w stycz-

niu 1915 - prawdopodobnie zgłosił się na ochotnika do wojska. Ponownie otworzył je w 1920 i bardzo wcześnie zajął się fotografią barwną. Na podstawie tych informacji możemy określić, z jakiego okresu pochodzi ta pocztówka. To czarno-białe zdjęcie, więc moim zdaniem Stevenson zrobił je w 1913 lub 1914 roku. Smakowity kasek, chłopcze. Jeśli chcesz, uwolnię cię od niego. Mam mnóstwo pocztówek z widokami Manderley z lat dwudziestych, ale wszystkie są prawie identyczne, nic ciekawego. Tej nigdy nie widziałem. Nie chcesz jej sprzedać? No, cóż... Czy możesz mi służyć, skoro już tu jesteś?

- Chciałbym to kupić - oświadczyłem, podając mu kartkę ze sceną z *Ryszarda III*. - Może mi pan coś o tym powiedzieć?

- Słodki, prawda? - Francis Browne z podziwem spojrział na zdjęcie. - Cudowny garb, po prostu niezrównany. Ci aktorzy byli oczywiście potwornymi burakami, ale ja mam do nich pewną słabość. Kogo my tu mamy? Ach, nieśmiertelny sir Frank McKendrick. Wędrowna trupa aktorska, chłopcze. Nigdy nie dotarli na West End, lecz na prowincji radzili sobie całkiem nieźle. Szekspir, Szekspir i jeszcze raz Szekspir - tak wyglądał ich repertuar. Sir Frank grał Romea jeszcze jako pięćdziesięciolatek, wyobrazasz to sobie? Godne najwyższego podziwu. Rozkwit kariery zespołu przypada na lata 1890-1914. Znowu ta wojna... Teraz naturalnie nikt nie pamięta już sir Franka, ale wtedy był naprawdę popularny. Widzowie oklaskiwali go do bólu dłoni. Jego nazwisko znajdziesz we wszystkich opracowaniach poświęconych teatrowi przełomu wieków. Co takiego? Dziewczyna? To dziewczyna? A, tak... Rzeczywiście. Nie mam pojęcia, mój drogi. Ta pocztówka to też rzadkość. Zostały mi tylko dwie ze scenami z inscenizacji McKendricka, ta i jeszcze jedna, ze *Snu nocy letniej*, więc niestety nie mogę ci nic opuścić. Pół korony za obie, biorąc pod uwagę, że jesteś znajomym pana Ważniaka...

Kiedy zapłaciłem uprawiającemu politykę czystego zdzierstwa Francisowi Browne'owi i wreszcie opuściłem jego sklep, była już piąta piętnaście. Za późno na wizytę w księgarni lub bibliotece. Sir Frank McKendrick będzie musiał zaczekać do jutra, pomyślałem. Może to i dobrze. Za każdym razem, gdy spoglądałem na wyblakłe

zdjęcie nieszczęsnego księcia, jego podobieństwo do dziecka ze skrzydełkami wydawało mi się coraz mniejsze. Poza tym miałem nadzieję, że przy odrobinie szczęścia Jack Favell udzieli mi jasnych i wyczerpujących odpowiedzi na pytania o pochodzenie i przeszłość Rebeki. Sądziłem, że nie muszę puszczać się w pogoń za cieniami, zwłaszcza że ostatnio takie pogonie zdarzały mi się niepokojąco często.

Wróciłem do domu w Regent's Park, wykapałem się i przebrałem w jeden z garniturów, które nosiłem w Cambridge. Potem wziąłem taksówkę i poleciłem kierowcy, aby wysadził mnie na Park Lane, skąd pieszo udałem się do firmy Favella. W drodze dokonałem szybkiego przeglądu informacji o Favellu, tych, które zdobyłem sam, i udzielonych mi poprzedniego wieczoru przez pułkownika Julyana.

Favell, starszy od swojej kuzynki, oczywiście zakładając, że Rebeka rzeczywiście była jego kuzynką, teraz musiał mieć jakieś pięćdziesiąt pięć lat. Nie udało mi się natrafić na akt urodzenia, ale znałem jego wiek z wiadomości prasowych. Miał bardzo urozmaiconą karierę. Jako młody człowiek został wyrzucony z Marynarki Królewskiej, potem zamieszany był w parę wątpliwych transakcji biznesowych, a niedługo po zakończeniu śledztwa w sprawie śmierci Rebeki oskarżono go o fałszerstwo, oszustwa księgowe i prowadzenie kasyna bez odpowiedniej licencji, w rezultacie czego odsiedział trzy lata w więzieniu Strangeways.

Później zniknął i pojawił się na scenie dopiero trzy lata temu, kiedy jego firma wynajęła wspomniany już salon samochodowy. Firma nosiła nazwę Favell Johnston Ltd., a Favell odgrywał w niej podobno rolę wspólnika i jednego z dyrektorów. Favell Johnston Ltd. figurowała w aktualnym rejestrze firm, ale według informacji ujawnianych przez Izbę Skarbową nie przynosiła żadnych dochodów w skali rocznej. Kilka razy dzwoniłem do biura salonu, nie udało mi się jednak porozmawiać z drugim dyrektorem, Johnsto-nem. Podejrzewałem, że albo w ogóle nie istniał, albo był wspólnikiem wyłącznie nominalnym. Ciekawe, że mimo braku faktycznych dochodów, firma wynajmowała lokal na drogiej ulicy. Podczas ostatniego pobytu w Londynie przeszedłem się tędy i teraz zauważyłem, że nie sprzedano żadnego z wystawianych samochodów. Benzyna nie była już wprawdzie racjonowana, lecz miałem wraże-

nie, że popyt na tego rodzaju auta, piękne i kosztowne jeśli chodzi o utrzymanie, jest w dalszym ciągu bardzo ograniczony. Przystanąłem naprzeciwko wejścia. W ogromnym oknie wystawowym tkwiły: wyścigowy zielony jaguar, cudownie piękny bentley i nie mniej atrakcyjny hispano suiza. Przypomniałem sobie, że zdaniem pułkownika Julyana Favell był szantażystą, pijakiem i naciągaczem, przywołałem w myśli opinię, jaką wyraziła o nim Ellie, ale jednocześnie uświadomiłem sobie, że sam pułkownik zawsze powtarza, abym niezwykle ostrożnie traktował zeznania nieobiek-tywnych świadków. Podejrzewam, że jeśli chodzi o portret psychologiczny Favella, to nikt nie mógłby być mniej obiektywny niż Artur Lancelot Julian.

Pułkownik utrzymuje, że Favell początkowo w ogóle nie był zainteresowany odkryciem prawdy o śmierci kuzynki. Odezwał się dopiero po zakończeniu śledztwa. Zjawił się wtedy w Manderley

i wyciągnął z kieszeni list, który Rebeka zostawiła w jego domu w ostatnie popołudnie swego życia. Na kartce znajdował się adres jej mieszkania w Londynie.

- Można bez trudu zgadnąć, kiedy napisała tę kartkę - dodał pułkownik, rzucając mi ostre spojrzenie. - Z doktorem Bakerem umówiona była na drugą i wizyta nie trwała długo. Dozorca urzędujący na parterze kamienicy Favella powiedział, że zostawiła u niego kopertę tuż przed trzecią. Znaczy to, że zaraz po wyjściu od lekarza musiała wrócić do siebie, tam napisała list, który zostawiła, dowiedziawszy się, że Favella nie ma w domu, i natychmiast potem wyjechała z Londynu do Manderley. Podróż zajęła jej około sześciu godzin, więc sędzę, że do Manderley dotarła przed dziewiątą...

Słuchałem bardzo uważnie. Nie ulegało wątpliwości, że ten list był niezwykle ważny, a jednak człowiek, z którym za chwilę miałem się spotkać, ukrył jego istnienie przed sądem, aby posłużyć się nim w celu wyłudzenia pieniędzy od Maxima de Winter. Zaszantażowa-ny Maxim wezwał do Manderley pułkownika Julyana na świadka rozmowy z Favellem, tak powiedziała mi Ellie. Interpretacja faktów, przedstawiona przez pułkownika, okazała się bardzo interesująca.

- Kiedy przybyłem do Manderley, Favell był już pijany - rzekł pułkownik. - Zachowywał się obrzydliwie. Od razu zaczął wymachiwać mi tą kartką przed nosem i wysuwać rozmaite ohydne supozycje. Oświadczył, że miał romans z Rebeką, która zamierzała rzu-

cić męża i uciec z nim do Paryża. Maxim miał ją jakoby zabić w szale zazdrości... Potraktowałem to wszystko z przymrużeniem oka, może mi pan wierzyć. Po pierwsze, ten list niczego nie dowodził. Był krótki i chłodny. Rebeka prosiła Favella, żeby przyjechał do Manderley i jeszcze tego samego wieczoru spotkał się z nią w domku na plaży. Napisała, że ma mu coś do powiedzenia. Przyznaję, że brzmi to trochę podejrzenie, ale niech pan nie zapomina, iż nie mogła spotkać się z nim otwarcie w Manderley, ponieważ Maxim kilka miesięcy wcześniej zakazał Favellowi wstępu na teren posiadłości. List bynajmniej nie robił wrażenia ostatnich słów samobójczyni, a w dodatku kobiety zakochanej. Nie było tam ani jednego czułego czy chociażby serdecznego zwrotu. Wyglądało to na wezwanie, napisane w bardzo spokojnym, chłodnym tonie, może trochę apodyktycznym...

Pułkownik przerwał i zmierzył mnie krótkim spojrzeniem niebieskich oczu.

- Widzi pan, moim zdaniem Favell doskonale zdawał sobie sprawę, że ten list nie stanowi wystarczającego powodu do wznowienia śledztwa, nie mówiąc już o unieważnieniu werdyktu o śmierci samobójczej. Jeżeli chciał, aby jego oskarżenia potraktowano poważnie, musiał przedstawić motyw zbrodni. Sugestia, jakoby Rebeka była niewierną żoną, mogła spełnić to zadanie. Favell nie jest głupi, proszę o tym pamiętać podczas spotkania z tym draniem...

Zapytałem pułkownika, czy uwierzył w romans Rebeki i Favella. Wymagało to sporej odwagi i jeszcze niedawno pułkownik nieźle by mnie zrugął za taką bezczelność, teraz jednak był bardziej szczery i po chwili wahania udzielił mi odpowiedzi. Oświadczył, że nigdy nie wierzył, aby Rebeka nosiła się z zamiarem porzucenia męża dla kochanka. Uważał, że Favell improwizował, by podeprzeć czymś oskarżenia. Jeśli chodzi o niewierność Rebeki w ogóle, to z biegiem czasu przyjął do wiadomości, aczkolwiek niechętnie, że rzeczywiście szukała pocieszenia poza małżeństwem. Nie oznaczało to jednak, że zniżyła się do romansu z Favellem.

- Jeszcze raz wracam do tego ostatniego listu - rzekł. - Jest on ogromnie ważny. Rebeka nigdy nie napisałaby w ten sposób do kogoś, kogo kochała. Jestem tego absolutnie pewny. Dlaczego więc go napisała? Dlaczego zależało jej, aby tamtego wieczoru Favell zjawił się w domku na plaży? Czy zamierzała poinformować go o swojej

chorobie? Raczej nie, bo gdyby to było jej intencją, zostałaaby w Londynie i nie ściągała Favella do Manderley. Nie, musiał być jakiś inny powód. Niech pan spróbuje się dowiedzieć, co to było, a może sprawa ruszy z miejsca. To moje ostatnie słowo.

Sugestia pułkownika bardzo mnie zaintrygowała. Mówił ze mną szczerzej niż kiedykolwiek, ale nadal nie mówił wszystkiego. W jego słowach słyszałem głęboką niechęć do Favella. Rozumiałem, dlaczego zdecydowanie odrzuca możliwość, że Favell był kochankiem Rebeki, lecz nie byłem do końca przekonany, czy ma rację. Przypomniałem sobie, jak mylący i w gruncie rzeczy nieprawdziwy był opis Fritha, jaki przedstawił mi pułkownik. Może portret Favella także okaże się zafałszowany? Nie sposób przecież wykluczyć możliwości, że oskarżenia pod adresem Maxima, z jakimi wystąpił Favell, były uzasadnione... Postanawiając zachować otwarty umysł, zbliżyłem się do przeszklnych drzwi salonu i po raz pierwszy ujrzałem kuzyna Rebeki.

Favell ze skupieniem przeglądał się w przedniej szybie jaguara i poprawiał węzeł krawata. Na mój widok szybkim krokiem podszedł do drzwi i powitał mnie wesoło i z dużą pewnością siebie. Był wysokim, przystojnym mężczyzną, z rysem słabości i wiecznego niezadowolenia w okolicy ust. Miał jasne włosy, niebieskie oczy i na pierwszy rzut oka wyglądał dziesięć lat młodziej niż w rzeczywistości, ale już na drugi dziesięć lat starzej. Nosił stary, ale doskonale uszyty garnitur w czarno-białą kratkę, koszulę z przetartymi na brzegach mankietami i brązowe zamszowe buty, które przyprawiłyby pułkownika Julyana o atak apopleksji. Na przegubie prawej ręki miał rzucający się w oczy złoty zegarek w nie najlepszym guście. Ucisnęliśmy sobie dłonie i zmierzylimy się badawczym wzrokiem.

Bardzo szybko dowiedziałem się dwóch rzeczy o Jacku Favellu. Favell „nie miał nic przeciwko dobremu drinkowi” i sądzę, że ten stan dużego upodobania do alkoholu był nałogowy, a jego ulubioną „miejscową pijalnią” był bar w Dorchester.

ROZDZIAŁ 16

Było jeszcze stosunkowo wcześnie, więc do baru zaglądało niewiele osób. Przy jednym stoliku siedziała grupka amerykańskich biznesmenów, przy drugim dwie kobiety w eleganckich sukniach w stylu New Look omawiały ostatnie zakupy.

- Co za ulga, że nie ma już tych przeklętych kartek! - westchnęła jedna z nich, kiedy przechodziliśmy obok.

Pianista w smokingu grał jazgotliwą mieszankę najnowszych melodii. Nienawidzę takich miejsc. Favell poprowadził mnie między stolikami i krzesłami art deco, przystanął na chwilę, aby przejrzeć się w lustrze i podszedł do baru z miną właściciela lokalu.

- Nie ma dziś Waltera? - zagadnął barmana.

Barman zmierzył Favella nieco rozbawionym spojrzeniem i odparł, że Walter nie pracuje tu od co najmniej sześciu miesięcy. Favell zmarszczył brwi z nieukrywaną irytacją.

- To dziwne, bo obsługiwał mnie dwa dni temu - rzucił urażonym tonem. - Bardzo często tu zaglądam, ale pan jest chyba nowy... Co pan zamawia, Grey? Na pewno szkocką, co? Szkocka dla mojego szkockiego przyjaciela, dla mnie jedna whisky, tylko duża. Glen-fiddich. Nie ma? Więc niech będzie Glenmorangie. Bez lodu, stary? Ja poproszę z lodem. Woda? Też nie? Niech pan to schowa, ja stawiam, nie ma o czym mówić... No, skoro pan tak nalega... Twoje zdrowie, stary. Gdzie zaparkujemy?

Zaproponowałem, żebyśmy zaparkowali jak najdalej od pianisty. Favell bez zmrużenia oka popełnił przed chwilą kilka grzechów głównych. Nie znoszę, kiedy ktoś nazywa mnie „moim szkockim przyjacielem”, nie trawię też ludzi z południowej części Anglii, któ-

rzy dodają lód do zwykłej whisky. Poza tym facet nie potrafił nawet poprawnie wymówić nazwy „Glenmorangie”, co z pewnością nie wpłynęło na poprawę mojego nastroju. Spostrzegłem też, że schował portfel jeszcze szybciej, niż go wyjął. Okazało się zresztą w ciągu tego długiego wieczoru, że była to jedyna demonstracja, iż gotów jest partycypować w kosztach.

Usiedliśmy w odległym kącie sali. Favell wybrał krzesło naprzeciwko lustra, następnie przyglądał włosy, kilka razy obrócił sygnet na palcu, pochłonął połowę whisky na raz i zmierzył mnie bystrym spojrzeniem. Zauważyłem, że ręce lekko mu drżą, i uznałem, że jest to objaw i nerwowości, i alkoholizmu. Nie ulegało wątpliwości, że nie czuje się swobodnie, a ponieważ nie należał do ludzi, którzy dobrze sobie radzą ze swoją osobowością, stan ten objawiał się u niego zaczepnym stosunkiem do innych. Na początek zadał mi serię pytań dotyczących sposobu, w jaki nawiązałem z nim kontakt; dopiero później zrozumiałem, dlaczego tak go to interesowało.

Czy wysłałem do niego tylko jeden list? Wyjaśniłem, że wysłałem dwa, pierwszy na adres domowy, na który nie dostałem odpowiedzi, drugi do salonu samochodowego. Odniosłem wrażenie, że moje słowa znacznie go uspokoiły. Wymijającym tonem oświadczył, że chwilowo nie mieszka u siebie, nie podał jednak nowego adresu, a ja nie naciskałem. Po jeszcze kilku łykach whisky wyraźnie się rozluźnił, wyciągnął z kieszeni ciężką papierośnicę z herbem, zapalił papierosa i dmuchnął mi dymem prosto w twarz.

- Proszę mi wszystko jeszcze raz przypomnieć - polecił, nie spuszczać ze mnie wzroku. - Dlaczego interesuje pana historia Rebeki?

Byłem na to przygotowany. Od początku czułem, że Terence Grey, poważny młody bibliotekarz, nie wzbudzi sympatii Favella, chociaż w Kerrith sprawdził się doskonale. Wobec tego zamordowałem tamtego Greya i wykreowałem nowego - dziennikarza zajmującego się sprawami kryminalnymi, zwłaszcza takimi, które nie zostały do końca rozwiązane lub w których sąd wydał kontrowersyjne wyroki. Byłem pewny, że Favell rozmawiał już z wieloma dziennikarzami i teraz w charakterze przynęty podsunąłem mu możliwość publikacji artykułu prasowego, a może nawet książki, opisującej tajemnicę Manderley z nowego punktu widzenia. Zasugerowałem, że historia, którą Favell świetnie przecież zna, zawiera

same atrakcyjne elementy: piękna kobieta, słynna posiadłość, opętany zazdrością mąż, zagadkowa śmierć, plotki o skandalu, zdradzie i romansach.

- Jest tylko jedna rzecz - oznajmiłem. - O sprawie Manderley napisano bardzo dużo, ale postać Rebeki nadal pozostaje prawie zupełnie nieznana...

Favell słuchał bardzo uważnie, z błyskiem w wyblakłych oczach.

- To znaczy, że można z tego wydusić trochę forsy, tak? - zapytał. - Chcesz zarobić na historii Manderley, stary?

- Może - odpowiedziałem. - Na razie nie ma co mówić o pieniądzach, przed nami długa i wyboista droga. Potrzebne mi jakieś tło tej przekłetej zagadki. Sprawdziłem de Winterów, lecz na temat Rebeki mam naprawdę niewiele informacji. Muszę wiedzieć, kim była, jak to się stało, że wyszła za de Wintera, jaka była... Nie wątpię, że mógłby mi pan pomóc, podobno znał ją pan jako dziecko. Mówiono mi też, że potem też pozostaliście sobie bliscy i że był pan jednym z nielicznych ludzi, którzy ją rozumieli.

Favell obserwował mnie czujnie. Z pewnością nie był głupi. Powinienem uważać, żeby nie przesadzić z pochlebstwami. Nadal szacował wzrokiem mój garnitur, koszulę i spinki do mankietów. Prawie słyszałem, jak zębata kółka jego umysłu obracają się szybko, coraz szybciej... W stojącej przed nim szklaneczce zostało już tylko parę kropel alkoholu.

- Oczywiście jest jeszcze pani Danvers - powiedział z namysłem. - Gospodyni z Manderley. Była bardzo przywiązana do mojej kuzynki. Słyszał pan chyba o Danny? Może dowiedział się pan czegoś o niej, kiedy węszył pan w Kerrith?

- Jeszcze nie wpadłem na jej trop. Tak czy inaczej, przede wszystkim rzędzie chciałem porozmawiać z panem. Pani Danvers faktycznie mogłaby okazać się pomocna, ale musi być już staruszką, a poza tym to kobieta. Wolałbym poznać tę historię z punktu widzenia mężczyzny, szczególnie jeżeli ten mężczyzna był bliski Rebecy...

- Chyba ma pan słuszność. Łączyło nas szczere uczucie i bardzo intymne przeżycia. - Mrugnął do mnie i się roześmiał. - Papierosa, stary?

- Nie, dziękuję. Rzuciłem palenie w czasie wojny.

- Jak przeżyłeś wojnę? W jakich jednostkach służyłeś?

- W RAF-ie. Awansowałem do porucznika i to był koniec mojej

wojskowej kariery. Trochę polatałem, ale głównie siedziałem przy biurku i przepychałem papierzyska z miejsca na miejsce. Mogę zamówić panu drinka?

Przytaknął gorliwie. Byłem przekonany, że nie powinienem mówić mu o służbie w wywiadzie wojskowym, RAF wydawał się bezpieczną opcją. Favell na pewno nie został powołany ze względu na wiek, a wszystko wskazywało na to, że jest człowiekiem, który uwielbia poklepywać innych po ramieniu. Informacja, jaką mu podałem, najwyraźniej dobrze go do mnie nastawiła.

- Tylko porucznik lotnictwa, co? - Zaśmiał się. - Cóż, nie wszyscy możemy być bohaterami. Ja wygryzłem sobie wygodny stołek w Ministerstwie Zaopatrzenia, co dało mi mnóstwo możliwości... Miałem też wielu przyjaciół wśród Amerykanów, więc mogłem dostać wszystko, czego dusza zapagnie. Miło spędziłem tę wojnę, bez dwóch zdań. Czasami sądzę, że był to najlepszy okres w moim życiu...

Odniosłem wrażenie, że robię pewne postępy, w czym na pewno pomógł mi drugi drink. Favell nie stracił czujności, ale wyraźnie się rozluźnił. Pozwoliłem mu pogadać trochę o wojnie i początkowo nawet nie próbowałem ukierunkować naszej rozmowy. Odkryłem, że większość osób, z którymi przeprowadza się coś w rodzaju wywiadu, po prostu nie może się doczekać, by zasypać dziennikarza różnymi faktami. Chcą mówić i sądzą, że mają do powiedzenia coś zupełnie wyjątkowego. Zawsze warto też zidentyfikować, a następnie wykorzystać słabość rozmówcy, jego piętę achillesową. Czasami jest to zwykła próżność, kiedy indziej rozpaczliwa potrzeba usprawiedliwienia się lub najzwyczajniejsza w świecie gadatliwość. Jaki był słaby punkt Favella? Słuchając jego monologu, starałem się to określić.

Było oczywiste, że dużo pije. Teraz zaczynałem się zastanawiać, czy przypadkiem nie wychylił kilku głębszych jeszcze przed naszym spotkaniem. Widziałem, że jest próżny i pozytywnie reaguje na pochlebstwa, potrzebowałem jednak czegoś więcej i w końcu to dostrzegłem. Usłyszałem brzmiały w jego głosie ton pretensji do całego świata i wreszcie uświadomiłem sobie, jak należy do niego podejść. Zamówiłem kolejną whisky. Małą, ponieważ nie chciałem go upić, choć z drugiej strony zależało mi, żeby nie był zupełnie trzeźwy.

Zapytałem go o śmierć Rebeki i „zatuszowanie” całej sprawy przez sąd. To wystarczyło. Przez następnych dziesięć minut Favell oskarżał na zmianę Maxa (tak go nazywał) de Wintera i „tego starego snoba”, pułkownika Julyana, który pomógł przyjacielowi wymigać się od odpowiedzialności. Odniosłem wrażenie, że tego, co mówi, już dawno zdążył się nauczyć na pamięć.

- Max ją zabił - oświadczył. - Nic mnie nie obchodzi świadectwo tego lekarza. Nadal nie wierzę w jej samobójstwo i nigdy nie uwierzę. W porządku, Rebeka była chora, umierająca - właśnie dlatego chciała się wtedy ze mną zobaczyć, by powiedzieć mi o chorobie... - Zawahał się i stracił rozpęd. - Nie pojechałem do Mander-ley bo za późno odebrałem jej list. Byłem na przyjęciu, zupełnie szalonej zabawie, i wróciłem do domu dopiero o czwartej rano. Później uświadomiłem sobie, że miałem ogromne szczęście. Gdyby Max zastał nas wtedy razem, najprawdopodobniej zabiłby i mnie. Zazdrość zżerała go żywcem. Kiedy chodziło o Rebeke, tracił resztki zdrowego rozsądku.

Nagle zmienił temat, co bardzo mnie zaskoczyło, i zaczął przytaczać inne przykłady deprecjonowania jego osoby. Zorientowałem się, że pretensje i żale Favella tkwią w odległej przeszłości - oskarżał ojca, nauczycieli ze szkoły z internatem, do której wysłano go w Kenii, instruktorów z College'u Marynarki Królewskiej w Dartmouth, wyższych rangą podoficerów i oficerów ze statku, na którym służył jako podchorąży, oficerów z każdej jednostki, na której przyszło mu służyć, oficera przewodniczącego sądowi wojennemu, którego decyzja zmusiła go do opuszczenia szeregów Marynarki Królewskiej, tak zwanych przyjaciół, którzy odmówili mu pomocy, kiedy wrócił do cywila, i wielu innych, którzy jakoby go zawiedli. Zgodnie z moimi przewidywaniami, nawet nie wspomniał o treści wyroku sądu wojennego. Nic nie wskazywało też na to, aby wysuwane wobec wszystkich zarzuty zaniedbania i obojętności nie obejmowały jego kuzynki Rebeki.

Słuchałem go w prawdziwym skupieniu i wkrótce coś mnie uderzyło. Częściowo była to wzmianka o Kenii, ale nie tylko. Favell miał ogromny żal do całego świata i otóż jedyną osobą, którą najwyraźniej uwolnił od odpowiedzialności za swoje niepowodzenia, była matka. Powtarzał, że była najprawdziwszą świętą. Oszczędziała i odejmowała sobie chleb od ust, żeby opłacić jego wykształcenie

w Afryce. Odmawiała sobie wszystkiego, aby zebrać pieniądze na jego powrót do Anglii, kiedy miał siedemnaście lat. Pędziła straszne życie u boku rozrzuconego męża, potwornego snoba, który traktował ją lekceważąco i krzywdził przez całe dzieciństwo Favella. Cała jej miłość i nadzieja skupiły się na osobie syna, który teraz najwyraźniej czuł, że ją zawiódł.

- Nigdy nie odwdzieczyłem się jej za to, co dla mnie zrobiła - powiedział i jego oczy napełniły się łzami. - Opuściłem Kenię na początku 1915 roku i nigdy więcej nie zobaczyłem matki. Pisywałem do niej, oczywiście nie tak często, jak należało, ale po prostu nie lubiłem korespondować. Usiłowałem ukryć przed nią, jak bardzo nienawidziłem marynarki i jak mnie skrzywdzono... Niestety, dowiedziała się o tej farsie, jaką był sąd wojenny. Jakiś tak zwany przyjaciel napisał do niej o wszystkim. Gdybym wtedy wrócił do Kenii, mógłbym jej wszystko wyjaśnić, lecz ja zostałem na Dalekim Wschodzie. W tamtych czasach żyło się tam dobrze dosłownie za grosze. I dlatego nie było mnie przy niej, kiedy umarła w 1928 roku. To najgorszy rok mojego życia. Podliczyłem wtedy straty i zyski, i wróciłem do Anglii. Powiem ci, stary, że nie było to najlepsze posunięcie, co to, to nie. Ale po powrocie odnowiłem kontakty z Rebeką...

Zaciągnął się następnym papierosem i zaczął opowiadać, co się wydarzyło, kiedy ponownie pojawił się w Anglii. Co odkrył? Ze jego kuzyneczka, której nie widział przez ładnych parę lat, została panią na Manderley i żoną bardzo bogatego Maxa de Wintera.

- Kiedy się o tym dowiedziałem, nastrój od razu mi się poprawił, stary - oznajmił. - Ostatni raz rozmawialiśmy dziesięć lat wcześniej, a nie pisałem do niej od siedmiu. Mówiłem już, że nie mam szczególnego zamiłowania do korespondencji. Tak czy inaczej, Rebeka zawsze szczerze mnie lubiła. Kiedy byliśmy młodszy, przez pewien czas utrzymywaliśmy bardzo bliskie kontakty, więc wtedy, gdy wpadłem w drobne kłopoty finansowe, pomyślałem, że chyba chętnie mi pomoże. Miałem na oku przyjemne mieszkanie na Cadogan Square i postanowiłem działać. Ubrałem się porządnie i pojechałem do Manderley. Powiem ci, że nie spotkałem się tam ze szczególnie ciepłym przyjęciem. Mąż Rebeki okazał się zimną rybą, a i ona bardzo się zmieniła. I wcale nie chciała mi pomóc. Oświadczyła, że nie mogę zatrzymać się u nich na weekend, bo dom jest

pełen gości, a jeśli chodzi o finanse, to nie ma żadnych własnych pieniędzy. Powiedziała mi to prosto w oczy, kiedy za jeden z jej pierścionków mógłbym kupić mieszkanie i jeszcze żyć dostatnio przez parę miesięcy.

Przerwał. Jego twarz spochmurniała, jakby właśnie przypomniawszy sobie jakiś niepokojący szczegół. Zdusił papierosa i zapalił następnego. Zapytałem, czy coś się stało.

- Nie - odrzekł. - Pomyślałem tylko o czymś, to wszystko. Nic ważnego. O czym to mówiłem? Ach, tak... O tym, jak próbowałem namówić kuzyneczkę, żeby udzieliła mi wsparcia, a ona odmówiła... Nie było to miłe. Przy okazji dowiedziałem się, co o mnie myśli. Rebeka zawsze miała ostry język... - Zawahał się. - Chciałbym, żeby mnie pan dobrze zrozumiał - nie miałem jej tego za złe. Parę miesięcy później, kiedy wpakowałem się w naprawdę paskudną sytuację, przyszła mi z pomocą, oczywiście na własnych warunkach. Taka już była. Kupiła za moim pośrednictwem samochód, prawdziwe cacko, bentleya, który pędził jak wiatr, i zapłaciła za mego z górką. Świetnie wiedziała, że cena rynkowa jest znacznie niższa, ale postanowiła mi pomóc właśnie w taki sposób. Może myślała, że mniej urazi to moją dumę, nie wiem. Możliwe, że tak było... Rebeka potrafiła być dobra, bez dwóch zdań...

Przerwał i się zamyślił. Po chwili roześmiał się głośno.

- Z drugiej strony, całkiem możliwe, że chciała się wykupić. Nie zgadzała się, żebym przyjeżdżał do Manderley na przyjęcia, a ja wyłudziłem kilka zaproszeń, ponieważ znałem jej londyńskich przyjaciół, tych z kręgu bohemy. - Rzucił mi krótkie spojrzenie. - Nie mogłem przepuścić takich okazji, ale jej wcale się to nie podobało, o nie...

- Dlaczego? - zapytałem, chociaż dobrze rozumiałem, dlaczego Rebeka nie życzyła sobie, aby jej kuzyn pojawiał się na eleganckich przyjęciach w Manderley.

Favell przedstawił jednak zupełnie inne wyjaśnienie.

- Zbyt dobrze ją znałem, stary - mruknął. - I to od dawna, prawda? Mnie jednego nie zdołała oszukać. Słyszałem te wszystkie opowieści o miłości od pierwszego wejrzenia, o ich szczęściu, o idealnej parze, która wciąż przeżywała swój miodowy miesiąc, chociaż od ślubu minęły już trzy lata... Mnie nie nabrała. Wystarczyło, że raz wszedłem do tego domu, a natychmiast się zoriento-

wałem, że ani ona nie jest szczęśliwa, ani on. Kiedy zobaczyłem ich razem, wyczułem, że coś jest nie tak... Ze dzieje się coś złego...

Zmarszczył brwi i zapatrzył się w przestrzeń. Znowu odniosłem wrażenie, że prawie nie zdaje sobie sprawy z mojej obecności, zamknięty w klatce wspomnień. Otrząsnął się jednak zaraz i wzruszył ramionami.

- Nie jestem pewny, o co właściwie chodziło, stary. Bardzo zagadkowa sprawa, ale powiem ci jedno: ich małżeństwo było czysto formalnym związkiem. Jak nazywają to Francuzi? *Marriage blanc*, białe małżeństwo. Nie sypiali ze sobą. Zero seksu, mógłbym się założyć.

Nie powiedziałem ani słowa, ale niewykluczone, że podniosłem brwi albo w jakiś inny sposób okazałem niedowierzanie, ponieważ Favell od razu się zirytował. Uświadomiłem sobie, że mój rozmówca reaguje agresją, kiedy podaje się w wątpliwość jego zdanie.

- W porządku, możesz mi nie wierzyć, stary, w końcu co mnie to obchodzi, ale mówię ci, że mam rację. Och, nie wątpię, że wcześniej z nią sypiał, i to nawet przed ślubem, znając Rebekę. I nie wątpię, że chciał się z nią kochać, bo miał to wypisane na twarzy, gdy na nią patrzył. Ten facet konał z pożądania i miłości. Wcale mnie to nie dziwiło. Rebeka miała ogromny wpływ na mężczyzn i zaczęło się to dużo wcześniej, kiedy była bardzo młodą dziewczyną. Potrafiła złamać komuś serce jednym spojrzeniem, gdy miała czternaście lat, i świetnie wiedziała, że posiada taką władzę. Była urodzoną flirciarą, bezwstydną flirciarą. Upajała się podziwem mężczyzn, kusila ich, a potem dawała ostro po łapach. Patrzyłem na Maxa i miałem wrażenie, że widzę własne odbicie. Wiedziałem, co przeżywa...

Przerwał i chwilę milczał.

- Tak więc miałem dużo wspólnego z Maxem - podjął. - Kiedyś popełniłem błąd i powiedziałem mu o tym. Chyba nie powinienem był tego robić, ze względu na lojalność rodzinną i tak dalej... Ale widzisz, zachowanie Rebeki mocno mnie drażniło, a poza tym wypilem trochę za dużo, nie wytrzymałem i wyłożyłem mu kawę na ławę... Okazało się, że to dla niego żadna nowina. Szczerze mówiąc, byłem zaskoczony, że wiedział aż tyle, bo Rebeki z pewnością nie można nazwać osobą otwartą. Tak czy inaczej, właśnie wtedy Max oświadczył, że nie życzy sobie widzieć mnie więcej w Manderley. Wyrzucił mnie na zbity pysk, i tyle. Co tu gadać, nie było to przy-

jemne. Może byśmy się napili jeszcze kropelkę? Nie czuję się najlepiej. Miałem okropny tydzień, wszystko naraz zważyło mi się na głowę - problemy z pożyczką, księgowy na karku i jeszcze ten jaguar... Już myślałem, że go sprzedałem, a tu się okazało, że nic z tego... Chętnie wypiłbym jeszcze jedną szkocką...

Dostrzegłem wtedy coś w jego twarzy, w oczach, sam nie jestem pewien, co to było. Chyba próba wykonania uniku... Dałbym wiele, żeby się dowiedzieć, co powiedział de Winterowi, i czy była to prawda, wiedziałem jednak, że nie mam najmniejszych szans.

Udało mi się nakłonić go do podania kilku szczegółów - przypomniał sobie nazwiska przyjaciół Rebeki „z kręgu bohemy” i powiedział, co słyszał o pierwszym spotkaniu Rebeki i Maxima. O przyjaciółkach rzeczywiście sypnął informacjami, lecz o drugiej sprawie chyba nie wiedział zbyt wiele. Zaproponowałem, byśmy przenieśli się do restauracji w Soho. Kiedy wymieniłem jej nazwę, wyraźnie się zainteresował.

- Dobry pomysł - oświadczył. - Może poprawi mi to trochę humor. Przyda się wieczór spędzony poza domem. I chętnie zjem coś dobrego, zwłaszcza że ostatnio nie wychodzę tak często jak kiedyś. Moja pani krótko mnie trzyma. Spodziewam się, że wiesz, jak to jest, Grey? Jesteś żonaty?

- Nie - odparłem, wstając.

Rzucił ostatnie tęskne spojrzenie w kierunku baru i odsunął krzesło.

- A byłeś? - zainteresował się. - Nie? Ja także nie. Moim zdaniem człowiek powinien jak najdłużej trzymać się wolności. Ale one w pewnym momencie zawsze zaczynają stawiać warunki, zauważyłeś? Zwykle w porę dostrzegam sygnały i po prostu znikam, lecz tym razem sytuacja jest bardziej skomplikowana. Nigdy nie należy łączyć interesów i przyjemności, zapamiętaj to, stary. Powinienem był pomyśleć o tym wcześniej, ale musiałem wziąć pożyczkę na salon, brakowało mi gotówki, a moja mała Susie miała jej wtedy pod dostatkiem, no i tak to wyszło... Wdepnąłem po uszy i teraz nie bardzo umiem się uwolnić.

- Czyżby chciał pan powiedzieć, że pański partner, Johnston, to kobieta?

Wyszliśmy na Park Lane i przystanęliśmy przy krawężniku, czekając na taksówkę.

- Trafiony, zatopiony. - Favell mrugnął do mnie. - Dzieli ze mną łożę, stół i interesy, bez dwóch zdań. Na początku była sielanka, ale kobiety się zmieniają, prawda? Poznałem tę śliczną małą blondyneczkę, słodką, pospolitą, ale dobrą i łagodną, w każdym razie tak mi się wtedy wydawało, w dodatku z całkiem przyjemną sumką w kieszeni. Były kochaś zostawił jej właśnie kilka tysięcy w spadku. Mówiła, że szuka dobrej inwestycji i chce mi pomóc, a potem co? Okazało się, że jest twarda jak hartowana stal. Zależy jej na obrączce i już, nie ma dyskusji. Zaczęła dyktować warunki. Nie mogłem na to pozwolić... - Twarz mu spochmurniała. - A, do diabła z nią, mam jej już dosyć!

Przejeżdżająca powoli taksówka zahamowała i wsiedliśmy do środka. Podałem kierowcy adres. Favell siedział obok mnie zgarbiony, znowu przygnębiony, nagle pozbawiony wcześniejszej brawury. Nieruchomym wzrokiem wpatrywał się w okno, za którym szybko zapadał zmierzch.

Miałem kilka pomysłów, lecz uznałem, że lepiej będzie, jeżeli zacznę zadawać mu pytania dopiero w restauracji. Favell na krótko otrząsnął się z ponurego nastroju i zapytał, ile razy byłem w Kerrith, czy widziałem Manderley i czy „to przekłete domiszcze” jeszcze się nie rozsypało w proch. Udzieliłem mu odpowiedzi, ale miałem wrażenie, że w ogóle mnie nie słuchał. Zareagował tylko na wiadomość, że pułkownik Julyan jeszcze żyje.

- Myślałem, że już dawno kopnął w kalendarz - wymamrotał, obserwując mijające nas samochody. - Po śmierci Rebeki nieźle zalazłem mu za skórę. Nie widziałem powodu, dlaczego miałby bezkarnie chronić swojego kumpla i nie podobało mi się, jak się do mnie odnosił. Cholerny snob... Miałem pewne znajomości w Kerrith i puściłem w obieg parę informacji o wrednym staruchu. Dowiedziałem się potem, że zrezygnował z urzędu. Bardzo mnie to ucieszyło. Od tamtego czasu nie zaglądałem do Kerrith, nie mógłbym się do tego zmusić, szczerze mówiąc. Przez parę lat utrzymywałem kontakty z tamtejszymi znajomymi, ale później wszystko się skończyło... Na przykład Robert Lane, dawny lokaj z Manderley... Dobry kumpel. Lubił szkocką i rude kobiety. Spotkałeś go może? Cóż, straciłem tamtych ludzi z oczu, przestałem przyjeżdżać, potem zaczęła się wojna... Sam wiesz, jak to jest, stary...

Wiedziałem, a co ważniejsze, wierzyłem mu. Rozumiałem teraz,

co mieli na myśli pułkownik i Ellie. Nie sposób sobie wyobrazić, aby ten człowiek zostawił wieniec z azalii pod domkiem na plaży, byłem też przekonany, że to nie on przysłał pułkownikowi czarny notatnik. Nie ulegało wątpliwości, że Favell myśli wyłącznie o sobie i o własnych sprawach. Co mógłby osiągnąć, robiąc pułkownikowi ten dziwny prezent? Nie przychodziło mi też do głowy, w jaki sposób, biorąc pod uwagę to, co mi powiedział, notes Rebeki miałyby trafić w jego ręce. Pozostawała więc tylko jedna osoba, ta, która po śmierci Rebeki zatrzymała jej zapiski. Oczekałem chwilę i wróciłem do tematu pani Danvers.

Favell nie okazał zainteresowania. Wydawało mi się, że błądzi gdzieś myślami.

- Danny? Nie widziałem jej od... Zaraz, zaraz... Od ośmiu lat? Nie, od dziewięciu. Nie mam pojęcia, gdzie teraz mieszka, i wcale mnie to nie obchodzi. Rebeka zawsze potrafiła ją ustawić, ale Danny jest dziwną kobietą. Ma różne obsesje i węża w kieszeni. Nigdy mi nie pomogła, a widywała się ze mną wyłącznie dlatego, że chciała porozmawiać o Rebecce. Zawsze tylko o Rebecce... Rebeka to, Rebeka tamto... Nigdy nie rozumiała, co łączyło Reбекę i mnie, więc w końcu dałem sobie spokój. Po co miałbym się wysilać? Życie jest za krótkie. Podobno wróciła do Londynu, ale mogła zginąć w czasie bombardowań albo po prostu umrzeć ze starości. I z goryczy, która powoli ją zjadała. Spójrz, Grey...

Zbliżaliśmy się do Piccadilly Circus. Favell wskazywał rząd pięknych dziewiętnastowiecznych kamienic, z ziejącym w samym środku wielkim lejem po bombie. Teren został ogrodzony, widać jednak było rozłupane eksplozją, porośnięte mchem i chwastami mury. Na wysokości pierwszego piętra wisiał w powietrzu kominek. Na ceglach pozostały płyty tynku i cienkie paski tapet uparcie trzymających się ściany.

- Dlaczego nie oczyszczą tego miejsca i nie odbudują kamienicy? - warknął Favell. - Minęło już sześć lat, można by pomyśleć, że wojna skończyła się wczoraj. Tylko popatrz! Oto Londyn, oto wizytówka Anglii! Już sześć lat temu wygraliśmy tę cholerną wojnę, a tymczasem dalej nie można kupić dobrego jedzenia i przyzwoitych ubrań! Butelka szkockiej kosztuje majątek i ludzie zapomnieli, jak się bawić! Przecież to miasto wygląda jak pieprzona kostnica! Widzisz tę wyrwę po bombie? Kiedyś była tam restauracja, jedna

z najlepszych w Londynie. Francuska kuchnia, francuskie wino, kelnerzy - uwielbiałem ten lokal. La Pomme d'Or, „Złote jabłko”, tak się nazywała. Pierwsza restauracja, do której zostałem zaproszony po powrocie do Anglii. Zszedłem ze statku z Mombasy i byłem zielony jak wiosenny groszek. Miałem siedemnaście lat. Jack Devlin przywiózł mnie tutaj i ugościł wszystkim, o czym mogłem zamarzyć. Zamówił ostrygi, szampana, koniak... Rzygałem potem jak chory kot. Nie mogłem uwierzyć, jak tu było pięknie - białe obrusy, świece, błyszczące srebra... To tutaj po raz pierwszy ujrzałem Rebeke. Siedziała przy stole. Nie pamiętam, ile miała lat. Może czternaście, ale wyglądała na dwanaście. Nie mogłem oderwać od niej oczu. Milczała, przez cały wieczór nie odezwała się ani słowem. Ubrana była w czarną suknię, tak, w czarną, ponieważ okres żałoby po jej matce jeszcze się nie skończył. Czarna suknia, biała skóra i te wielkie ciemne oczy... Jezu Chryste... Powiedz kierowcy, żeby dodał gazu, co?

Taksówka przemknęła przez skrzyżowanie i Favell znowu bezwładnie opadł na miejsce. Czulem ogromne napięcie. Bałem się odezwać, żeby przypadkiem nie wycofał się z tego, co mi przed chwilą powiedział.

- Jack Devlin? - zapytałem w końcu.

Favell rzucił mi zniecierpliwione spojrzenie, zupełnie jakbym był niedorozwinięty.

- Jack Devlin, mój wuj. Noszę jego imię, ponieważ był ukochanym bratem matki.

Czekałem dalej. Czekałem na to sześć miesięcy, więc mogłem poczekać jeszcze chwilę. Skręciliśmy w lewo. Restaurację było już widać, światła Soho lśniły wesoło i Favell trochę się rozruszał. Spojrzał na mnie jeszcze raz i uśmiechnął się pod nosem.

- Och, rozumiem - powiedział. - Nie wiedziałeś o tym, tak? Jack Devlin był ojcem Rebeki. W każdym razie... cóż, z pewnością był mężem jej matki, więc może był jej ojcem, ale nie należy wyciągać z tego pochopnych wniosków, prawda, stary?

Nie, rzeczywiście nie należy, pomyślałem. Wysiedliśmy z taksówki. Wiedziałem, że portfel Favella więcej się już nie pojawi, i bez słowa zapłaciłem kierowcy.

ROZDZIAŁ 17

Restaurację wybrałem po dłuższym namyśle - nie mogłem przecież zabrać Favella do żadnego z lokali, które odwiedzałem z Ni-ckym i Julią, ponieważ ktoś mógłby mnie rozpoznać, chciałem też uniknąć hałaśliwych, modnych miejsc, gdzie uwaga mojego gościa mogłaby łatwo ulec rozproszeniu. Zdecydowałem się na Chez Vincent, restaurację, którą poznałem jeszcze przed wojną. Chez Vincent jest bezpretensjonalnym, miłym lokalem, jakich niewiele w Londynie. Podają tu świetne posiłki i bardzo dobre wina. Pięknie nakryte stoliki oddzielone są od siebie wysokimi drewnianymi ściankami, co stwarza doskonałe warunki do prywatnej rozmowy. W ten poniedziałkowy wieczór sala nie była zatłoczona. Szef zaprowadził nas do stolika w rogu i podał menu. Pierwsza reakcja Favella była mało entuzjastyczna.

- wygląda mi to na nieciekawą dziurę, stary - mruknął. - Słyszałem jednak, że dobrze dają tu jeść. Zamówię sobie aperitif, dobrze? Zawołaj kelnera..

Zamówiłem whisky z wodą. Favell w skupieniu przeglądał menu i pochłaniał whisky. Zanim zamówił najbardziej wystawne i najdroższe dania z całego jadłospisu, zapalił kolejnego papierosa i najwyraźniej doszedł do wniosku, że mimo wszystko nie jest tu tak źle. Otrząsnął się z ponurego nastroju i zauważył, że co prawda nie jest to „knajpa w Savoyu”, ale czasami małe i niepozorne restauracje bywają zaskakująco dobre. Potem utkwiał w mojej twarzy ostre spojrzenie wyblakłych oczu i dmuchnął dymem.

- Od czego mam zacząć, stary? - zapytał. - Od ojca Rebeki? Jej domniemanego ojca? Mogę opowiedzieć ci o mm to i owo. Wyda-

je mi się, że Jack Devlin miał pewne wątpliwości co do ojcostwa, łagodnie mówiąc, ale nie ujawniał ich. Nie chciał zranić Rebeki. Uwielbiał ją, kochał z całego serca. Do śmierci jej matki nigdy nie widział dziewczynki, lecz kiedy już zobaczył... Powiem krótko: Rebeka w sekundę owinęła go sobie wokół małego palca.

Po raz pierwszy w ciągu tego wieczoru poczułem pewien niepokój. Favell obserwował mnie z dziwnym, pełnym namysłu wyrazem twarzy, co sugerowało, że postanowił zrealizować własny plan. Może zamierzał zaproponować mi, abym w konkretny sposób podziękował za informacje, postanowiłem jednak, że zajmę się tym we właściwym momencie. Na razie milczałem. Zdażyłem się już zorientować, że Favell bardzo nie lubi, kiedy mu się przerywa. Pociągnął spory łyk whisky i, wyraźnie zadowolony, zaczął mówić.

- Jack Devlin był barwną postacią. Nazywali go „Czarnym Jackiem”. Był prawdziwym piratem, ryzykantem, zawsze gotowym spróbować czegoś nowego. Odziedziczyłem po nim tę cechę, sam także nigdy nie bałem się nowych możliwości. Tylko Jackowi szczęście bardziej sprzyjało niż mnie, miał przysłowiowe „irlandzkie szczęście” i dzięki temu zdobył majątek. Przy tym był człowiekiem pełnym uroku, czarował wszystkich, jak chciał. Kiedy go poznałem, miał jakieś trzydzieści siedem lat i był jednym z najprzystojniejszych mężczyzn, jakich widziałem. Nie był wysoko urodzony i nie udawał takiego. Blisko metr dziewięćdziesiąt wzrostu, czarne włosy, niebieskie oczy - kobiety nie mogły od niego wzroku oderwać. Gustował w tancerkach i świetnie znał się na koniach. - Favell zapalił następnego papierosa. - Jack Devlin miał bardzo mocną głowę, był hazardzistą i grał w karty tak dobrze, że lepiej było nie siadać z nim do pokera. Serca kobiet podbijał jednym spojrzeniem, żadna nie potrafiła mu się oprzeć. Ale też on był wobec nich prawdziwym dżentelmenem, zawsze uprzedzająco grzeczny i łagodny. Romantyczny awanturnik, oto, jak można go opisać. Panie leciały na to jak muchy na lep. Mówił z miękkim irlandzkim akcentem i kiedy opowiadał jakąś historię, człowiek słuchał jak zaczarowany...

wyobrażnia natychmiast podsunęła mi obraz tego uroczego Irlandczyka, pokerzysty i ryzykanta z upodobaniem do tancerek. Pomyślałem, że chyba należy potraktować ten portret z przymrużeniem oka, jak powiedziała by pułkownik, ale z drugiej strony nie

oczekiwałem przecież, że Favell okaże się świadkiem, na którego zdaniu można w pełni polegać. Spróbowałem skupić jego uwagę na faktach i wreszcie, wprawiony w dobry nastrój kolejną whisky, Favell przeszedł do konkretów.

Jack Devlin, najmłodszy z ośmiorga dzieci, dorastał w hrabstwie Cork. Jego ojciec stworzył prawie z niczego „bardzo przyjemny biznesik”. Zaczął od małego sklepu pasmanteryjnego, a skończył jako właściciel największego i najmodniejszego salonu z damską konfekcją w mieście. Zajmował się także sprzedażą tkanin, zwłaszcza sprowadzanych z zagranicy jedwabi i brokatów. I on, i jego żona mieli głowy do interesów, i byli dobrymi, pobożnymi katolikami. Z pięciorga dzieci, które dożyły wieku młodzieńczego, troje zaczęło pracować w rodzinnej firmie, natomiast dwoje najmłodszych, obdarzonych przez los wybitną urodą, poszło własną drogą. Córka, Brigid, matka Favella, wyszła za syna angielsko-irlandzkiej rodziny szlacheckiej, a najmłodszy Devlin, Jack, opuścił Irlandię, zawarł katastrofalne małżeństwo i zniknął rodzinie z oczu.

Favell był wyraźnie przewrażliwiony na punkcie swego pochodzenia, a każdy niepokój czy zażenowanie, jak zauważyłem już wcześniej, budziły w nim agresję.

- Tak więc moi dziadkowie ze strony matki parali się handlem -oświadczył, kiedy kelner przyniósł przekąski, dla mnie rybę, dla Favella grzyby w śmietanie na cieście. - Nie czuję się z tego powodu gorszy, bo niby dlaczego? Nie wiem, jak ty, stary, ale ja nie znoszę snobów, którzy patrzą na ciebie z góry tylko dlatego, że twój dziadek uczciwie pracował. Takim snobem był mój ojciec i Max de Winter także. Wydawałoby się, że wojna oduczyła ludzi takiego sposobu myślenia, ale nic z tego. Nieważne. Ja sam zawsze starałem się stawać w obronie słabszych, w pewnym sensie jestem chyba socjalistą...

Socjalista, który nazywał swoją przyjaciółkę „pospolitą kobietką”, pociągnął łyk zamówionego przeze mnie białego wina i wdał się w kolejną opowieść o krzywdach, jakie wyrządził mu świat i źli ludzie.

- Mój ojciec miał się za nie wiadomo kogo - ciągnął. - Był młodszym synem i bez przerwy przechwalał się rodzinną rezydencją i koneksjami Favellow. Rodzinna rezydencja była oczywiście jedną wielką ruiną, a wszystkie pieniądze odziedziczył jego starszy brat. Kiedy tatulek odkrył, że mimo znajomości ze szkoły i rodzin-

nych koneksji raczej nie poradzi sobie w życiu, bez wahania ożenił się z córką kupca i właściciela sklepu, która wniosła mu duży posag. Zawłókł moją biedną matkę do Kenii, bo tam można było kupić ziemię za grosze. Usiłował wkupić się w łaski lepszego towarzystwa, pisał do kumpli ze szkoły, myślał, że uda mu się zrobić pieniądze na plantacji kawy, i jak skończył? Jako marny urzędniczyna w jakimś biurze w Nairobi. I co, może Jack Devlin nie był od niego lepszy? Mój ojciec nie dorastał Jackowi do pięt! Przy tym Jack zbił majątek, i to kilka razy a mój ojciec po prostu nie mógł tego znieść. Lubił mówić, że może i zarabia mało, ale przynajmniej uczciwie...

- Czyżby insynuował, że Jack Devlin nie zarobił swoich pieniędzy w uczciwy sposób? Naprawdę tak było? Na czym pański wuj zrobił majątek? I gdzie?

Favell spojrział na mnie spod oka i uśmiechnął się.

- W Afryce Południowej. I niewykluczone, że rzeczywiście balansował na krawędzi uczciwości. Mówiłem ci, że był urodzonym ryzykantem. Ale zacznijmy od początku. Jako młody chłopak Jack przez dwa, może trzy lata pracował w firmie ojca -jeździł do Francji i szukał dostawców jedwabii. Myślę, że nieraz hulał sobie w Paryżu...

Favell przerwał i kawałkiem bułki wytarł talerz do czysta, zupełnie jakby od wielu dni nie jadł normalnego posiłku. Zastanowiłem się nad tym, co przed chwilą powiedział i przypomniałem sobie, że intuicja od początku podszeptowała mi, iż w historii Rebeki musiało istnieć jakieś ogniwo, łączące ją z Francją.

- Czy matkę Rebeki spotkał właśnie we Francji? - zapytałem.

- Dlaczego tak sądzisz, stary?

- Ktoś, nie pamiętam już kto, mówił mi, że Rebeka miała tam jakichś krewnych. Poza tym parę rzeczy wskazuje na jej związki z Francją - pływała na przerobionym bretońskim kutrze, chociaż mogła zamówić nowy jacht w Komwalii, łodzi nadała francuską nazwę, „Je Reviens"... I jeszcze coś - nie udało mi się odnaleźć jej aktu urodzenia, więc możliwe, że podobnie jak pan urodziła się za granicą...

- No, no, mamy tu detektywa-amatora. - Favell uśmiechnął się i zapalił papierosa. - Tak podejrzewałem... Natrafiłeś na jakieś inne ciekawostki, stary?

- Kilka interesujących spraw. - Pomyślałem o pocztówce z fotografią ze sztuki, wystawionej przez zespół McKendricka, i postanowiłem zaryzykować. - Wydaje mi się na przykład, że jako dziecko Rebeka miała coś wspólnego z teatrem. Jej matka mogła chyba być aktorką.

Favell podniósł brwi i wybuchnął śmiechem.

- Nieźle, nieźle - powiedział. - Jak to odkryłeś? Rebeka była bardzo dyskretna, jeśli chodzi o matkę. Max najprawdopodobniej wiedział i moim zdaniem ta jego jeźdźkowa babka również, bo ta zawsze wszystko wyniuchwała, ale nie sądzę, żeby rozpowiadali to na prawo i lewo w Manderley. Miejscowe towarzystwo na pewno nie przyjęłoby tego zbyt dobrze. Aktorka, też mi coś! W ich oczach aktorka niewiele różniła się od kobiety lekkich obyczajów. Żyli w atmosferze dziewiętnastego wieku i najpewniej nadal tak żyją. Nawet Max był pod pewnymi względami potwornie wiktoriański. Konserwatywny, pełen zahamowań... Była też kwestia jego ojca, Lionela, który podobno bardzo lubił aktorki. Nie żył od dawna, ale jego reputacja bynajmniej nie umarła razem z nim. Wystarczyło spędzić pięć minut w Kernth, żeby nasłuchać się o jego przygodach. Tak więc Rebeka nie chwaliła się profesją drogiej mamusi, bo nie zrobiłaby dobrego wrażenia na swoich wspaniałych przyjęciach... Ach, danie główne... I bordeaux... Szalejesz, stary, co? Aleja nie narzekam, wręcz przeciwnie... '

Milczeliśmy, czekając, aż kelnerzy nałożą nam potrawy na talerze. Favell dolał sobie wina i po chwili wrócił do opowiadania. Zrobił to chyba z przyjemnością, w każdym razie bez śladu niechęci, która pojawiła się później.

- O czym to mówiłem? Tak, o Paryżu. Jack Devlin spędzał sporo czasu w Paryżu, ale też dużo podróżował, odwiedzając dostawców na terenie całej Francji. Jeździł również do Włoch i Anglii, i właśnie podczas jednej z tych wypraw poznał piękną Isabel. Moja matka mawiała, że spotkał ją w poniedziałek, poślubił we wtorek, a opuścił w środę - miała na myśli, że Jack Devlin szybko podejmował decyzje i szybko działał. Był wtedy bardzo młodym człowiekiem, miał dwadzieścia trzy lata, czy coś koło tego, i naprawdę zakochał się od pierwszego wejrzenia. Wierzę w to, bo sam mi o tym powiedział i później powtórzył Rebecce. Poślubił więc piękną Isabel w jakimś małym francuskim kościółku, wysłał do mojej matki de-

peszę i szalał ze szczęścia, lecz niedługo potem coś się popsuło. Sześć miesięcy później matka dostała następny telegram, z którego wynikało, że piękna Isabel nadal przebywa we Francji, natomiast Jack nie. Opuścił żonę, dokonał błyskawicznego bilansu strat i zysków, postanowił zacząć wszystko od nowa i płynął do Afryki Południowej... - Zmierzył mnie chłodnym spojrzeniem. - I nie pytaj mnie, dlaczego. Nie potrafię odpowiedzieć na pytania, które masz na końcu języka, stary. Wydarzyło się to dawno temu, w 1900 roku, bo Jack wyjechał przed narodzinami Rebeki, ona zaś przyszła na świat w listopadzie 1900. Miałem wtedy trzy lata, więc znam tę historię z ust matki. Mówiła mi, że serce Jacka zostało złamane. Mogę do tego dodać tylko tyle, że nigdy się nie rozwiódł i nie ożenił powtórnie. Jak już wiesz, spotkałem wuja Jacka dopiero czternaście lat później, jako siedemnastoletni chłopak. O tym, że miał dziecko, dowiedziałem się już po przyjeździe do Anglii i wydaje mi się, że moja matka również nie miała o tym pojęcia. Istnieje pewne prawdopodobieństwo, że dla wuja Jacka również była to niespodzianka... Powiem ci szczerze, że ta myśl przyszła mi parę razy do głowy...

Favell miał rację. W mojej głowie kłębiło się mnóstwo pytań, ale postanowiłem poczekać. Favell zabrał się do jedzenia i jednocześnie opowiadał mi o karierze, jaką Jack Devlin zrobił w Afryce Południowej. Sypał barwnymi i chyba częściowo fikcyjnymi szczegółami.

Po kilku latach ciężkich zmagania Jack Devlin za sprawą przypadku zajął się czymś, co miało mu przynieść wielkie pieniądze.

- W jakimś zakazanym barze w Johannesburgu spotkał starego sitkarza - powiedział Favell z uśmiechem. - Sitkarza, to znaczy poszukiwacza złota, bo Jack tak ich nazywał. Staruszek miał pociąg do alkoholu i lubił karciecia, więc siedli do pokerka. Jack wygrał. Wygrał konia i strzelbę, a ponieważ stary nie miał już nic poza podartą koszulą na grzbiecie i równie znoszonymi portkami, w ostatnim rozdaniu wygrał także działkę w rejonie Modderfontein. Staruch kłął się na wszystkie świętości, że jest tam złoto... Potem uścisnęli sobie dłonie i Jack pozwolił staremu zatrzymać konia, ale wziął strzelbę i tytuł własności działki. I tak zbił fortunę, bo wzgórze koło Modderfontein rzeczywiście pocięte były żyłami złota. W każdym razie tak przedstawiał to Jack i może była to prawda. Jack zachował tę strzelbę na pamiątkę, albo może jakąś inną, kto wie... Tak

czy inaczej, na ścianie nad jego biurkiem w domu, który kupił w Berkshire, zawsze wisiała strzelba. Utrzymywał, że przynosiła mu szczęście. A szczęście trzymało się go do czasu powrotu do Anglii. Coś nie tak, stary?

- Nie, wszystko w porządku - odparłem.

- Nie wierzysz mi, co? - Spostrzegł moją reakcję i błędnie ją zinterpretował. Rzucił mi kpiące spojrzenie. - Nie mam ci tego za złe, nawet się specjalnie nie dziwię. Chodzi jednak o to, że Jack taki właśnie był i w taki sposób opowiadał o swoim życiu. Wszystko aż mieniło się barwami, taki miał styl. Może kłamał, ale co z tego? Nic, chłopie. Tak czy inaczej, zajął się wydobywaniem złota, zainwestował w kopalnie, także diamentów, i zrobił pieniądze, wielkie pieniądze. Nie twierdzę, że zawsze postępował uczciwie. Powiem ci nawet, że później Rebeka nieraz drażniła się z nim, mówiąc, iż dorobił się na handlu bronią. - Favell się uśmiechnął. - Może na handlu działami typu „Maxim”... Niewykluczone, że dlatego nazywała swojego męża „Max”. Nikt inny tak się do niego nie zwracał, oczywiście poza mną. Postanowiłem naśladować Rebeke, bo widziałem, że strasznie go to irytuje... Ratuje tę butelkę, stary. Nie? Nie chcesz? Wobec tego ja wypiję resztę. Gdzie jest toaleta? Na dole? Za chwilę wrócę...

Podniósł się i ruszył w kierunku schodów. Oparłem czoło na splecionych dłoniach. Rebeka mieszkała kiedyś w Berkshire, tak wynikało ze słów Favella... Nie spodziewałem się tego i dlatego byłem tak głęboko poruszony. Muszę skłonić go, żeby rozwinął temat domu w Berkshire, pomyślałem. Kiedy wrócił, spróbowałem to zrobić, ale właśnie wtedy, w chwili, gdy musiałem poznać pewne fakty, zaczęły się trudności.

Wcześniej Favell mówił chętnie i chyba nawet sprawiało mu to przyjemność. Wydaje mi się, że lubił opowiadać o Jacku Devlinie i być może te historyjki stanowiły jego stały repertuar, gdy jednak ponownie usiadł naprzeciwko mnie, natychmiast wyczułem, że jego nastrój uległ zmianie. Spostrzegłem, że wyglądał blado i był rozdrażniony.

- Chyba za dużo zjadłem - mruknął. - Za dużo, za tłusto... Odzwyczyłem się od takiego jedzenia, stary, i na tym polega problem.

Zamów mi jeszcze jedną whisky, dobrze? Dobry alkohol zawsze uspokaja mój żołądek.

Zamówiłem whisky, chociaż byłem zdania, że lepiej by zrobił, nie pijąc więcej, a także kawę dla siebie. Zaczekałem, aż trochę odżyje i ostrożnie zadałem mu parę pytań. Zależało mi, żeby dokładniej opowiedział o okresie, kiedy jako siedemnastoletni chłopak przyjechał do Anglii i poznał Rebekę. Chciałem, by opowiedział mi o domu w Berkshire. Był to niezwykle istotny moment w całej historii, gdyż właśnie wtedy przecięły się linie losu Rebeki i jej ojca, lecz Favell nagle stracił chęć do rozmowy. Na początku musiałem dosłownie wyciągać z niego każdą odpowiedź.

- Jack Devlin wrócił do Anglii latem 1914 roku, tuż przed wybuchem wojny - powiedział. - Nie wiem, dlaczego wyjechał z Afryki, może najzwyczajniej w świecie miał jej już dosyć. Zarobił duże pieniądze i był jeszcze młody, nie miał nawet czterdziestu lat. Nie, nie mam zielonego pojęcia, kiedy dokładnie umarła matka Rebeki. Wiem tylko, że nikt nie spodziewał się jej śmierci, bo przecież też była młoda. Musiało to być jakoś niedługo przed moim przyjazdem do Anglii w 1915, bo kiedy poznałem Rebekę, nosiła jeszcze żałobę, mówiłem ci o tym. Nic nie wiem o jej matce, do cholery. Nie interesowało mnie, co się z nią stało, nigdy jej nie widziałem. Interesowała mnie Rebeka, człowieku, nie jej mamusia.

- Zastanawiam się, czy Jack Devlin nie wrócił do Europy dlatego, że matka Rebeki zachorowała i umarła. W jaki sposób skontaktował się z Rebeką? I dlaczego się z nią skontaktował?

- Sądzę, że Danny napisała do niego o chorobie Isabel. Wytropiła go i ściągnęła do Anglii. Danny od zawsze czuwała nad Rebeką. Od wczesnej młodości była na służbie, wydaje mi się, że pracowała u jakiejś rodziny, którą matka Rebeki dość dobrze знаła. Danny była głęboko przywiązana do Isabel i do Rebeki, to wiem z całą pewnością. Nie pytaj mnie o szczegóły, bo po pierwsze, nie znam ich, a po drugie, nigdy mnie nie interesowały. Wiem też, że Jack Devlin wrócił do kraju, kupił ten wielki dom na skraju Berkshire Downs, strasznie nowobogacki, i zainwestował w konie. Wybudował ogromne stajnie i zatrudnił trenera. Chciał wyhodować zwycięzcę wyścigów w Derby, ale nigdy mu się to nie udało. Kiedy przyjechałem, mieszkali tam od paru miesięcy. Danny opiekowała się Rebeką, prowadziła dom i starała się zasłużyć na opinię niezastą-

pionier. Już wtedy była niezłą dziwaczką. Nigdy nie wyszła za mąż, więc tytuł „pani” przed jej nazwiskiem był fikcyjny, ale w tamtych czasach do gospodyń zawsze zwracano się per „pani”, Bóg jeden wie dlaczego...

Zmarszczył brwi i pociągnął whisky.

- Greenways - podjął po chwili, wpatrując się w przestrzeń. - Tak nazywała się posiadłość Jacka. Greenways. Znajdowała się koło wioski Hampton Coś tam, niedaleko Lambourn... Byłeś kiedyś w tamtych stronach, stary?

- Nie, ale znam je ze słyszenia. Miałem ciotkę, która spędziła dzieciństwo w okolicy Lambourn.

- To było ładne miejsce. Ciekaw jestem, czy dom jeszcze stoi? Niedawno myślałem, żeby pojechać tam i zobaczyć, jak to wszystko teraz wygląda... Piękna okolica, naprawdę piękna. Często przyglądałem się, jak Rebeka jeździła konno. Była wspaniałą amazonką, nie wiedziała, co to strach. Miała dopiero piętnaście lat, ale już wtedy w kostiumie do konnej jazdy i ze szpicrutą w ręku wyglądała olśniewająco...

Zawiesił głos i spojrzał na mnie z uśmiechem.

- Mówił pan, że w pewnym okresie byliście sobie-bardzo bliscy - odezwałem się. - Kiedy? Czy właśnie wtedy, po pana przyjeździe do Anglii?

- Tak mówiłem? - mruknął. - No, może i tak było... - Zawahał się i kiedy znowu zaczął mówić, w jego głosie brzmiała defensywna nuta. - Słuchaj, stary, byłem młodym chłopakiem, smarkaczem i nie miałem tych cholernych uprzedzeń, wręcz odwrotnie, mnóstwo planów i optymizmu. Chciałem wstąpić do Marynarki Królewskiej, zawsze tego pragnąłem. Matka nabiła mi głowę głupstwami o służbie i oficerskim honorze, więc nie mogłem się doczekać, kiedy zacznę szkolenie, a potem stanę na mostku kapitańskim i zacznę strzelać do Niemców... Taki byłem wtedy naiwny. Planowanie tego wszystkiego było fascynujące. Rebeka i ja wygłupialiśmy się godzinami, ćwicząc znaki, ucząc się alfabetu Morse'a... Świetna zabawa. Traktowałem ją jak młodszą siostrę, a ona podziwiała mnie i wyobrażała sobie, jak będę wyglądał w mundurze. Uważała mnie za bohatera. Była śmiesznym dzieciakiem, czasami trochę dziwnym, ale zawsze dobrze się rozumieliśmy. Śmialiśmy się z tych samych rzeczy i dobrze czuliśmy się w swoim towarzystwie.

- A potem? - zapytałem.

- Potem wuj Jack pociągnął za kilka sznurków i dostałem się do Dartmouth. Samo szkolenie nie było jeszcze takie złe - mogłem często przyjeżdżać do Greenways i widywać się z nią, ale w Dartmouth roilo się od snobów i nie czułem się tam zbyt dobrze. Nie lubiłem dyscypliny, a Rebeka nie potrafiła tego zrozumieć, co było doprawdy zabawne... Tak więc straciłem trochę w jej oczach. Raz czy dwa posprzeczałem się z wujem Jackiem, który zaczął nagle uważać, że mam zły wpływ na Rebeke. Potem wyruszyłem w pierwszy rejs i okazało się, że wcale nie było to spełnieniem moich marzeń. Znienawidziłem okręt, innych kadetów i oficerów. Była wojna, nie chcieli dać mi urlopu... - W głosie Favella zabrzmiała nuta znajomego rozzalenia i pretensji do całego świata. - Kiedy wreszcie przyjechałem do domu, Rebeka wcale nie witała mnie ze łzami w oczach. Przestała już być dzieckiem, szybko dorastała, była piękna i doskonale o tym wiedziała. Wuj Jack strasznie ją rozpuszczał. Chciał zrobić z niej prawdziwą damę i uważał, że nic nie jest dla niej za dobre. Wchodziła do salonu w tych swoich zdumiewających sukniach, z długimi czarnymi włosami, patrzyła na mnie pogardliwie, i ciągle próbowała mi dociąć... Drażniła mnie, więc powiedziałem jej, co o tym wszystkim myślę, i pokłóciliśmy się. Nic poważnego, ale później widywałem ją już znacznie rzadziej. Mam wrażenie, że nagadała o mnie różnych bzdur wujowi Jackowi... - Favell odwrócił wzrok. - Nie byłem tym zachwycony, lecz jakoś to przeżyłem.

Tym razem miałem całkowitą pewność, że nie mówi mi wszystkiego, co wie. Spróbowałem go nacisnąć, ale nic to nie dało. Odburknął mi tylko raz i drugi, więc musiałem zmienić taktykę.

- Czy kiedykolwiek rozmawiała z panem o swoim dzieciństwie i o matce?

- Kilka razy. Nie bardzo mnie to interesowało.

- Czy jej matka była Francuzką? Czy Rebeka mieszkała we Francji jako dziecko? Kiedy wróciły do Anglii?

- Isolda raczej na pewno nie była Francuzką, po prostu przebywała od jakiegoś czasu we Francji, kiedy Devlin ją poznał, w każdym razie tak mi się wydaje. A do Anglii wróciła z Rebeką, gdy ta była jeszcze zupełnie małym dzieckiem, pięcio- lub sześćioletnim. Nic więcej nie wiem.

- Czy matka Rebeki występowała na scenie jako Isabel Devlin?

- Możliwe. Widzisz, stary, Isabel z pewnością nie była aktorką klasy Sary Bernhardt. Była bardzo, bardzo ładna i podejrzewam, że bardzo, bardzo mało utalentowana. Rebeka ją uwielbiała, nie dała powiedzieć o niej złego słowa. W swojej sypialni w Greenways zrobiła malutki ołtarzyk ku czci mamusi, tryptyk ze zdjęć - mamusia w roli tak epizodycznej, że prawie niezauważalnej, mamusia w roli odrobinę większej i wreszcie wielka rola mamusi... Wiesz, jaka? Zagrała Desdemonę u boku jakiegoś podstarzałego, otyłego Otella w trzeciorzędym teatrze objazdowym. Jezu Chryste! - Favell z irytacją zdusił papierosa. - To było żałosne! Rebeka co wieczór stawiała świeże kwiaty przed tymi zdjęciami. Niewykluczone, że zapalała też świeczkę i odmawiała pod okiem mamusi wieczorny pacierz. Kiedy ją poznałem, była pod wieloma względami przerażająco dziecinna. Ale nic dziwnego - nigdy nie chodziła do szkoły, mamusia dawała jej lekcje, a szczerze mówiąc, mamusia nie była chyba kompetentną nauczycielką. Była aktorką, a w wolnym czasie dobrze wychowaną młodą darną. Umiała grać na pianinie, szyć i... I to chyba wszystko. Więc Rebeka była wtedy dość zabawnym stworzeniem. Znała na pamięć długie fragmenty sztuk Szekspira, całe akty, ale nie miała zielonego pojęcia o mnożeniu czy dzieleniu. Nigdy nie uczyła się podstawowych przedmiotów, takich jak geografia czy historia. Zmieniło się to dopiero z chwilą, kiedy wuj Jack zaczął zatrudniać guwernantki, które nie miały zresztą łatwego życia z Rebeką. Była upiornie uparta. Oczywiście mówiła po francusku równie dobrze jak po angielsku i miała niezwykle talent mimiczny. Potrafiła naśladować każdy akcent i głos. Sądzę, że był to efekt wielu lat, spędzonych za kulisami. Wuj Jack był tym wszystkim zachwycony. Moim zdaniem chwilami traktował Rebeke jak cyrkową małpkę, ale przecież mnie nikt nie pytał o zdanie... Po kolacji prawie zawsze prosił: „Beka, może powiedziałaś fragment jakiejś sztuki, żeby zrobić przyjemność swemu staremu ojcu?”. Staremu? Mój Boże, był mężczyzną w sile wieku! A ona naturalnie w jednej chwili zrywała się na nogi i zaczynała recytować. Słuchaliśmy tego godzinami. Nigdy nie lubiłem Szekspira, w ogóle nie rozumiem, o co mu chodzi, lecz wuj Jack go uwielbiał, zwłaszcza w wykonaniu Rebeki. Namówiła go, żeby przeczytał jakąś idiotyczną sztukę, tę, w której zmarła żona wraca jako posąg, a król odnajduje córkę...

- *Opowieść wigilijna?*

- Właśnie. Bardzo mu się podobała. „Moja zaginiona córka” -tak zaczął nazywać Rebeke, taką przedstawiał. „Oto Beka, moja zaginiona córka, moja...”. Jak nazywa się dziewczyna z tej sztuki?

- Perdita.

- Perdita. „Moja Perdita”, mówił. Robiło mi się niedobrze. Wuj Jack był czasami sentymentalnym głupcem...

- Czy Rebeka czuła się zażenowana?

- Zażenowana? Ona? Stary, nie wiesz, o czym mówisz! Rebeka nigdy nie była zażenowana! Miała w nosie opinie innych ludzi i nie znosiła krytycznych uwag pod adresem ojca. Kochała go tak samo jak matkę. Mówiłem ci, że była bardzo dziecinna. Przywiązywała się do jakiejś osoby, miejsca czy pomysłu i wtedy już nic nie mogło zmienić jej uczuć.

- Więc Rebeka i jej ojciec byli sobie bardzo bliscy. Czy tak było do końca? Czy Jack Devlin żył jeszcze, kiedy wychodziła za męża?

- Co? - Favell rzucił mi nieprzytomne spojrzenie. - Nie, oczywiście, że nie. Mówiłem ci przecież...

- Nie, o tym pan mi jeszcze nie mówił.

- Wobec tego powiem ci teraz, stary. Wuj Jack umarł młodo. Sześć lat po powrocie do Anglii zrzucił go jeden z jego ulubionych koni, wielka czarna bestia. Jack skręcił sobie kark. Było to w 1921 roku. Danny przysłała depezę, ale dowództwo nie dało mi urlopu, więc nawet nie byłem na pogrzebie... - Wbił wzrok w ścianę i szybko wychylił resztę whisky. - Nie wróciłem już do Greenways. Okazało się zresztą, że wuj Jack nie zostawił po sobie ani grosza. Am grosza, wyobrażasz sobie? Był zadłużony po uszy, w bankach, u Żydów, wszędzie. Stracił pieniądze na inwestycjach, na tych przeklętych koniach i wszystko, dosłownie wszystko - dom pełen służby, stajnie, stroje Rebeki - było na kredyt. Byłem wstrząśnięty. Oczywiście nie spodziewałem się jego śmierci i, jak ci mówiłem, nie byłem z nim wtedy w zbyt serdecznych stosunkach, lecz mimo wszystko... - Przerwał i odwrócił wzrok. - Rozumiesz, zakładałem, że... Myślałem, że coś po nim dostanę, jakąś przyjemną sumkę... Wiedziałem, że lwia część przypadnie Rebecce, bo Jack świata poza nią nie widział, ale sądziłem, że dla mnie też coś się znajdzie, przynajmniej tyle, żebym mógł wykupić się z tej cholernej Marynarki... Niestety, nie dostałem ani grosza i Rebeka także nie. Właśnie wte-

dy doszło między nami do... Do małego nieporozumienia. Napisałem do niej z pytaniem, czy wierzyciele pozwolili jej zatrzymać biżuterię. Było to zupełnie niewinne, słowo daję, że nie miałem nic złego na myśli. Tymczasem ona zareagowała bardzo ostro, obrzuciła mnie różnymi epitetami, a język miała naprawdę cięty. I tak skończyła się nasza piękna przyjaźń. Przez siedem lat nie zamieniliśmy z sobą ani słowa, więc nie pytaj mnie, co wtedy robiła, bo nie wiem. Kiedy wróciłem do Anglii, Rebeka była już w Manderley i obaj wiemy, co się z nią działo, prawda?

Favell zaczął bawić się papierośnicą. Jego twarz przybrała zamyślony wyraz. Zastanawiałem się, czy dobrze się czuje, ponieważ był bardzo blady, a na jego czole pojawiły się kropelki potu.

- Jaka była Rebeka... Pytałeś o to wcześniej - ciągnął. - Powiem ci, jaka była - niebezpieczna. Mnóstwo osób uważa naturalnie, że była piękna, czarująca i dowcipna, lecz ja znałem ją lepiej niż oni i możesz mi wierzyć, że ryzykownie było wchodzić jej w drogę. Bo wtedy się mściła. Wcześniej czy później, ale zawsze... i to bardzo przebiegle. - Zmarszczył brwi. - Dziwne, co? Zaczynasz mówić o przeszłości, wydaje ci się, że wiesz o niej wszystko i oto nagle uświadamiasz sobie, że jakieś wydarzenie może mieć zupełnie inne wyjaśnienie, niż myślałeś. Na przykład ten list, który zostawiła dla mnie w dniu swojej śmierci... Myślałem o tym przez cały wieczór

i wreszcie zaczynam rozumieć...

- Co takiego?

- Mówiłem ci, że gdyby Max przyłapał nas oboje w domku na plaży, na pewno zabiłby także i mnie. Nie mam co do tego cienia wątpliwości. Max był wtedy w fatalnym stanie, zupełnie rozchwiany, i nienawidził mnie z całego serca. Rebeka świetnie o tym wiedziała. Więc zastanów się: może chciała, żeby mnie zabił? Może postanowiła mnie wystawić? W ten sposób zginęlibyśmy wszyscy troje. Rebeka uniknęłaby paru miesięcy cierpień fizycznych, kuzyn Jack dostałby to, co jej zdaniem słusznie mu się należało, a Max trafiłby na szubienicę. Sprytnie, prawda? I mogło jej się to udać... -Zwrócił na mnie szeroko otwarte oczy. - Wyłącznie przypadek zdecydował, że odebrałem list za późno i nie pojechałem do Manderley. I przypadek sprawił, że Danny zachowała notes Rebeki, dzięki czemu dowiedzieliśmy się o tym lekarzu z Londynu, bo teraz jestem przekonany, iż Rebeka wcale nie chciała, żebyśmy wpadli na je-

go trop. Dobrze zatarła wszystkie ślady, nikomu nie powiedziała o chorobie. Tymczasem, jak na ironię, świadectwo lekarza uratowało Maxa. Dam głowę, że Rebeka wcale sobie tego nie życzyła. Pragnęła załatwić nas obu. Nie wiem, dlaczego wcześniej nie przyszło mi to do głowy, dlaczego dopiero po dwudziestu latach wpadłem na coś tak oczywistego...

Ta sugestia wydała mi się mało prawdopodobna. Pomyślałem, że Favell rozkleił się trochę pod wpływem alkoholu, zdawałem sobie jednak sprawę, że on wierzy w to, co mówi. Najdziwniejsze było to, że mówił bez żalu i goryczy, z podziwem i pewnym rozbawieniem.

- Czy istniały jakieś przyczyny, dla których Rebeka mogłaby pragnąć pańskiej śmierci? - odezwałem się, starając się, aby w moim głosie nie zabrzmiał sceptyzm.

- Może i tak - odparł, rzucając mi dziwne spojrzenie. - Mówiłem ci, że lepiej było nie wchodzić jej w drogę. Była mściwa.

- Więc wszedł jej pan w drogę? W jaki sposób? Myślałem, że byliście kochankami.

- Tak mówią w Kerrith, prawda?

- Wydawało mi się, że sam pan tak powiedział, w obecności kilkorga świadków, z których troje jeszcze żyje. Frank Crawley, pułkownik Julyan, druga żona Maxima de Winter... Było to w Manderley, wieczorem po pogrzebie pańskiej kuzynki.

Natychmiast zrozumiałem, że nie powinienem był tego mówić. Favell zmrużył oczy i spojrzał na mnie z rozbudzoną na nowo podejrzliwością.

- Najwyraźniej wszystko już wiesz, tak? Nie ma więc sensu, abym ci cokolwiek wyjaśniał, nawet gdybym miał na to ochotę, a nie mam. W każdym razie nie teraz. - Odsunął krzesło i rzucił serwetkę. - Poproś o rachunek. Szczerze mówiąc, mam już dosyć tego miejsca. Może zmienimy lokal, co? Za rogiem jest klub, w którym moglibyśmy napić się czegoś na dobranoc i przy kieliszku kontynuować rozmowę. Co ty na to?

Wcale nie ukrywałem, że ta propozycja nie wzbudziła we mnie zachwyty, lecz Favell tylko się uśmiechnął. Wyczuł, że to on rozdaje teraz karty.

- Jak chcesz, stary - powiedział. - Jeśli wolisz, możemy się pożegnać, a jeśli nie, to porozmawiamy sobie jeszcze, ale na moim terytorium. Poza tym chyba już odpracowałem tę kolacyjkę. Wiesz,

wydaje mi się, że trochę mnie nabierasz. Instynkt mi podpowiada, że ta sprawa interesuje cię z zupełnie innych względów, niż mówiłeś, dlatego muszę zadać ci ważne pytanie...

Była to ostatnia rzecz, na jaką miałem ochotę, ale Favell potrafił być potwornie uparty. Za żadne skarby świata nie chciał zostać w restauracji i stawiał sprawę ostro: albo rozmawiamy dalej w klubie, albo wcale. Zapłaciłem rachunek i wyszliśmy na ulicę.

Jego zachowanie budziło we mnie pewien niepokój. Zastanawiałem się, co wie na mój temat. Mówiłem sobie, że prawdopodobnie nic, stara się tylko wyrzucić na mnie presję i wyłudzić pieniądze, wkrótce przekonałem się jednak, iż nie miałem racji.

ROZDZIAŁ 18

Okazało się, że klub Favella znajduje się nie za rogiem, jak twierdził, nie przy najbliższej ulicy ani nawet następnej. Wreszcie zauważyliśmy prowadzące do piwnicy schody, nad którymi migotały neonowe widły i napis: Czerwony diabeł.

- To ten - oświadczył Favell. - Wiedziałem, że jest gdzieś niedaleko...

Zbiegł po stromych schodkach, nie zwracając najmniejszej uwagi na tabliczkę ze słowami: „Tylko dla członków”, zamienił parę słów z krępyim, potężnie zbudowanym mężczyzną w źle leżącym smokingu, który zatrzymał nas przy drzwiach, i z satysfakcją wkroczył do środka, jednak dopiero po tym, jak wręczyłem ochroniarzowi pięcioletni banknot. Weszliśmy do małej, mrocznej sali, gdzie na środku pianista akompaniował brunetce w sukni ze złotej lamy, śpiewającej do mikrofonu piosenkę Sinatry. Powietrze było gęste od papierosowego dymu, całe to miejsce cuchnęło marnym tytoniem, alkoholem i rozpaczą. Gośćmi klubu byli wyłącznie mężczyźni, hostessy, które nas obsługiwały, miały drapieżne twarze i spojrzenia, a jedynym dostępnym napojem był szampan, oczywiście po cenach trzykrotnie wyższych od ceny rynkowej.

Byłem bliski utraty cierpliwości. Nie lubię podejrzanych barów, a poza tym miałem dosyć gierki Favella i pełną świadomość, że jeżeli jedna z hostess przysiądzie się do nas, o czym marzył mój towarzysz, przez resztę wieczoru nic już z niego nie wydobędę. Favell zajął miejsce, pochmurny i wyraźnie urażony. Chciwie żłopał szampana i widziałem, że intensywnie się nad czymś zastanawia. Ponie-

waż miałem w tej sytuacji niewiele do stracenia, dałem sobie spokój z taktem i poprosiłem o wyjaśnienie paru uwag, które zrobił pod koniec kolacji. Favell nadał się i odmówił. Wobec tego zapytałem go o kilka innych spraw, a kiedy nie otrzymałem na nie żadnych sensownych odpowiedzi, zmieniłem taktykę i w końcu postawiłem pytanie, z którym nosiłem się od początku naszej rozmowy: czy Rebeka w okresie dzieciństwa lub wczesnej młodości mogła odwiedzić Manderley.

Zdawałem sobie sprawę, że posunąłem się za daleko, ale nic mnie to nie obchodziło. Favell zawrzał gniewem.

- Nie wiem - warknął. - O co ci właściwie chodzi, stary? W co grasz? Coś ci powiem, znam sporo dziennikarzy, wiem, jacy są i dam sobie rękę uciąć, że ty nie należysz do tej sfory. Już kiedy napisałeś, wyczułem, że to jakaś śliska sprawa, a gdy cię zobaczyłem, nabrałem całkowitej pewności. Nie szkodzi, pomyślałem sobie, przynajmniej zjem przyzwoitą kolację, ale teraz wyłóżmy karty na stół. Wpuściłeś mnie w maliny, stary, okłamałeś mnie. Mówisz, że napisałeś do mnie tylko dwa razy? Nie wydaje mi się, że to prawda. Chcesz wiedzieć, dlaczego zgodziłem się z tobą spotkać? Dlatego że przysłałeś mi to, stary. Przesyłka przyszła w ubiegłą środę, w szarej kopercie, mniej więcej takiej wielkości. Nie było w niej żadnego listu, ani słowa, żadnego ostrzeżenia...

Patrzyłem na niego w milczeniu. Miałem już wyjść, odsunąłem nawet krzesło od stołu, kiedy Favell wyjął małą kopertę z wewnętrznej kieszeni marynarki.

- Ta koperta znajdowała się w drugiej, znacznie większej - powiedział. - Nie miałem pojęcia, co to jest, dopóki jej nie otworzyłem, a wtedy o mało nie umarłem z wrażenia. Na pewno uważasz, że to był udany żart, po tych dwudziestu latach, ale nie, to nie jest zabawne... Nie wolno ruszać tak bolesnych spraw. Cokolwiek o mnie myślisz, wiedz, że nie jestem zły do szpiku kości i na swój sposób byłem bardzo przywiązany do Rebeki...

Otworzył kopertę, odwrócił ją i wyciągnął ku mnie otwartą dłoń. Leżała na niej mała obrączka wysadzana brylantami.

- To pierścionek Rebeki - ciągnął. - Wszędzie bym go poznał. Nosiła go zawsze, i jako dziecko, i jako kobieta. Kiedy wydobyto z jachtu jej zwłoki, nadal miała go na palcu, dzięki temu ją zidentyfikowano. Byłem pewny, że ten skurwysyn pochował ją razem

z pierścionkiem. Max zorganizował pogrzeb, ale oczywiście mnie nie zaprosił, nie powiedział mi nawet, kiedy się odbędzie, chociaż byłem jej jedynym krewnym i tego samego dnia siedziałem w sądzie w odległości trzech metrów od niego. Nie przypuszczałem, że był zdolny do takiej podłości... Jak mógł zdjąć go z jej palca, jak śmiał! Rebeka by chciała, żeby włożono ją do trumny z tym pierścionkiem, i Max doskonale o tym wiedział. Ale nie, zdjął go! A teraz, po dwudziestu latach, ty mi go przysłałeś! Dlaczego? Co cię wiąże z Rebeką? Kim jesteś? I skąd wzięłeś pierścionek?

Wpatrywałem się w małą złotą obrączkę z brylancikami i z całego serca pragnąłem jej dotknąć. Potem podniosłem wzrok i zobaczyłem, że Favell jest równie poruszony jak ja. Niezależnie od tego, kim był i co zrobił, nie miałem prawa go sądzić. Nie wiem, co czuł do Rebeki, prawdopodobnie była to dziwna mieszanka uczuć, lecz część jego serca należała do niej, nie miałem co do tego wątpliwości. Widziałem to w jego oczach.

Powiedziałem mu, że się myli. Nie wspomniałem o notatniku, który tego samego dnia ktoś przysłał pułkownikowi Julyanowi, lecz poza tym faktem, i jeszcze jednym, niczego przed nim nie ukrywałem. Oświadczyłem, że czytałem o tym pierścionku w raportach sądowych, ale nie ja byłem nadawcą przesyłki, która tak nim wstrząs-nęła, i nie miałem pojęcia, kto mógł nim być. Dałem mu słowo, że mówię prawdę.

Myślę, że mi uwierzył, lecz to jeszcze nasiliło jego niepokój. Obrzucił mnie niepewnym spojrzeniem, wrzucił pierścionek do koperty i wsunął ją do kieszeni. Wysączył z kieliszka ostatnie krople szampana i chwiejnie podniósł się od stołu. Miał zupełnie nieprzytomne oczy i przez chwilę bałem się, że zemdleje.

- Jestem przekonany, że uda się to jakoś wyjaśnić - powiedziałem, podtrzymując go za ramię. - Niech pan lepiej usiądzie. Proszę pomyśleć - pierścionek mogło zdjąć kilka osób: ludzie z zakładu pogrzebowego, patolog, ktoś z policji... Prawdopodobnie istnieje jakiś powód, dla którego przysłano go panu. Może...

Nagle zrozumiałem, że usiłuję przekonać nie Favella, lecz samego siebie. Favell wyraźnie chwiał się na nogach, wyglądał na poważnie chorego.

- Wiem, dlaczego go dostałem - rzekł łamiącym się głosem. - Wiem, kto go wysłał. Chryste, ona nie zna litości...

Próbowałem nakłonić go, żeby usiadł, ale strząsnął moją rękę z ramienia. Rozejrzał się dookoła i potarł twarz dłońmi.

- Jezu, co za piekielna mordownia! - jęknął. - Co za dziura! Ten cholerny goryl przy drzwiach i te dziewczyny... Spójrz tylko na te dziewczyny! Wszystkie wyglądają jak zmory... Co ja tutaj robię? Co się stało z moim życiem, na miłość boską?! Wyprowadź mnie stąd, proszę...

Pomogłem mu dotrzeć do drzwi, potem z trudem wdrapał się na schody. Może alkohol dopiero teraz zaczął naprawdę działać, a może już w restauracji był bardziej podпиты, niż sądziłem. Tak czy inaczej, ledwo trzymał się na nogach, a w świetle ulicznych latarni jego twarz miała upiorny, siny kolor. Uświadomiłem sobie, że prawie na pewno pił przed spotkaniem ze mną i że bezustannie wlewany do gardła alkohol miał pomóc mu w trzymaniu na uwierzy demonów przeszłości. Może cały wieczór stanowił część tego procesu...

- Weź to - wymamrotał, zaciskając dłoń na moim ramieniu i szukając czegoś w kieszeni. - Weź to, do cholery. Nie chcę tego, żałuję, że w ogóle pamiętam, co to jest. Zabierz go do Kerrith i wrzuć do morza, albo sprzedaj, jeśli wolisz. Nie obchodzi mnie, co z tym zrobisz. Ja tego nie chcę...

Wyjął małą kopertę z pierścionkiem i wcisnął mi ją do ręki. Starłem się odwieść go od tego, lecz nie zamierzał słuchać.

- Nie chcę, rozumiesz?! I bez tego przesładuje mnie pech! Bierz, albo wrzucę go do ścieku!

Odepchnął mnie i z kopertą w ręku pochylił się nad kratką ściekową. Jego twarz była śmiertelnie blada i zdeterminowana. Nie wątpiłem, że to zrobi, więc wziąłem od niego kopertę. Wyprostował się, zatoczył do tyłu i obrzucił dzikim wzrokiem ulicę.

- Złap mi taksówkę, dobrze? - zachrypiał. - Przeżyłem wstrząs i nie najlepiej się czuję. Nie powinienem był z tobą rozmawiać...

Zatrzymałem nadjeżdżającą taksówkę. Zaproponowałem, że z nim pojedę, ale odmówił. Nie nalegałem, ponieważ przyszło mi do głowy, że prawdopodobnie nie chce, żebym wiedział, dokąd jedzie. Kiedy taksówka zniknęła, spojrzałem na lśniący w świetle latarni pierścionek. Był bardzo mały - osoba, która go nosiła, musiała mieć wyjątkowo smukłe palce. Zdawałem sobie sprawę, że nie uda mi się go zatrzymać, chociaż szczerze tego pragnąłem. Kiedy

Favell wytrzeźwieje, na pewno zechce go odzyskać, pomyślałem. Postanowiłem, że następnego dnia zawiozę pierścionek do salonu samochodowego i tam zostawię.

Niespiesznym krokiem ruszyłem w kierunku Regent's Park. Miałem nadzieję, że świeże powietrze orzeźwi mnie i poprawi mi nastrój, ale tak się nie stało. Do domu dotarłem parę minut po jedenastej. Pani Henderson właśnie wybierała się na spoczynek. Powiedziała, że nikt do mnie nie dzwonił, co jeszcze bardziej mnie przygnębiło. Podałem Ellie tutejszy numer na wypadek, gdyby jej ojciec źle się poczuł, i oczywiście nie było żadnego innego powodu, by dzwoniła, ale mimo wszystko podświadomie liczyłem na jej telefon. Pomyślałem, że chętnie bym z nią porozmawiał. Szczerze mówiąc, chętnie porozmawiałbym z kimkolwiek.

Zaparzyłem kawę i usiadłem przy stole w kuchni. Czuję się dziwnie zagubiony i niespokojny. Tyle rzeczy wydarzyło się w tak krótkim czasie... W myśli jeszcze raz powtórzyłem oskarżenia Favella wobec Rebeki. Czy rzeczywiście mogło jej zależeć na jego śmierci? Ujrzałem bardzo młodą dziewczynę w czarnej sukni, siedzącą w milczeniu przy stole w restauracji. Wyobraziłem sobie mały ołtarzyk ze zdjęć jej nieżyjącej matki. Zobaczyłem dom zwany Greenways w małej wiosce w hrabstwie Berkshire, gdzieś w pobliżu Lambourn. Favell nie mógł sobie przypomnieć jej nazwy, Hampton Cośtam, powiedział. Ja jednak byłem przekonany, że wioska nazywała się Hampton Ferrars. A dlaczego tak uważałem? Ponieważ właśnie tam spędziła dzieciństwo i wiek dorastania moja przybrana matka, May.

Na razie nie potrafiłem zajrzeć do wnętrza Greenways ani wyobrazić sobie, co tam zaszło, lecz czułem, że w poplątanej historii, którą opowiedział mi Favell, kryje się jakaś tajemnica. Wyobraziłem sobie mieszkańców Greenways: dwoje spokrewnionych ze sobą młodych ludzi, właściwie dzieci, i nadal młodego, przystojnego i bez reszty zapatrzonego w córkę ojca. Wyjąłem z kieszeni mały pierścionek z brylantami, który Rebeka nosiła jako dziecko i jako dorosła kobieta, i położyłem sobie na dłoni. Tego rodzaju pierścionków zwykle nie nosiły ani dziewczynki, ani niezamężne kobiety. Kto podarował jej ten pierścionek i co symbolizował w jej

oczach ten wysadzany drogimi kamieniami krążek? Dlaczego Favell uważał, że pierścionek przynosił pecha? W tej historii brakowało jakiegoś ogniwa, wyraźnie to czułem. Favell ukrył przede mną coś bardzo ważnego, lecz choć bardzo uważnie i dokładnie przeglądałem w pamięci nakreślone przez niego wydarzenia, nie potrafiłem tego dostrzec. Dręczył mnie dziwny niepokój i przeczucie czegoś złego.

Postanowiłem pójść do swojego pokoju i opisać kończący się dzień. Zgasilem światło w kuchni i wszedłem do holu, kiedy nagle rozdzwonił się telefon na stoliku przy schodach. Drgnąłem nerwowo i szybko podniosłem słuchawkę, absolutnie przekonany, że może to być tylko Ellie, Ellie, która dzwoni, aby przekazać mi jakąś złą wiadomość. Było już po północy.

- Czy to Tom Galbraith? - odezwał się kobiecy głos.

- Tak, słucham - odpowiedziałem bez zastanowienia.

W słuchawce zapadła cisza, potem usłyszałem, jak ktoś przerwał połączenie. Stałem bez ruchu, opanowany przesadnym lękiem. Oprzytomniałem dopiero po chwili. Zmarli mogą manifestować swoją obecność na różne sposoby, ale na pewno nie za pomocą telefonu.

Nie mogłem przestać myśleć o tym telefonie. Nie poznałem głosu kobiety, wiedziałem tylko, że nie była to Ellie. Bardzo niewiele osób znało ten numer telefonu, a jeszcze mniej wiedziało, że tego dnia będzie można mnie tu zastać. Tak czy inaczej, ktoś wybrał doskonały moment, i tego wieczoru, kiedy straciłem wszelką pewność, kim jestem, postanowił potwierdzić moją tożsamość.

Było już bardzo późno, kiedy skończyłem opisywać spotkanie z Favellem, lecz pełen wydarzeń dzień rozstroił mnie do tego stopnia, że i tak długo nie mogłem zasnąć. Gdy w końcu udało mi się zapaść w sen, śniłem, że idę przez las w Manderley, tuż przede mną zaś, szybko i cicho, lekkim krokiem sunie kobieta, która z całą pewnością jest Rebeką. Wołałem ją po imieniu i próbowałem dogonić, ale bez skutku. Ciągle mnie wyprzedzała, nie mogłem się z nią zrównać. Nagle, kiedy już straciłem nadzieję, że ujrzę jej twarz, odwróciła się do mnie, podniosła rękę, na której serdecznym palcu błyszczał pierścionek z brylantami, i przywołała mnie krótkim ges-

tem. Wtedy obudziłem się i zobaczyłem, że jest już jasno. Z trudem zwlokłem się z łóżka. Była szósta. Czuję się fatalnie i nigdy nie byłem bliższy zaprzestania poszukiwań i odżegnania się od całej sprawy.

Pani Henderson jeszcze nie wstała, co wcale mnie nie martwiło. Nie miałem ochoty rozmawiać ani z nią, ani z nikim innym. Zrobiłem sobie kawę, wyszedłem z kubkiem do ogrodu za domem i usiadłem w miękkim świetle poranka, pod wiśnią, którą Nicky i Julia zasadzili w dniu swojego ślubu. Gałęzie drzewka uginały się pod ciężarem kwiatów, a przy najlżejszym podmuchu wiatru płatki rozsypywały się jak konfetti.

Powiedziałem sobie, że muszę podjąć decyzję - albo się poddać, albo iść dalej. Jednak niezależnie od tego, co postanowię, przede wszystkim muszę być uczciwy i nie wolno mi dłużej udawać, że prowadzę prywatne dochodzenie w duchu obiektywizmu. W głębi serca zawsze wierzyłem, że istnieje jakaś więź łącząca mnie z Rebeką, nawet jeżeli nie ma na to żadnych konkretnych dowodów, dlaczego więc po rozmowie z Favellem, która w pewien sposób utwierdziła mnie w pierwotnym przekonaniu, próbowałem się wycofać? Znałem odpowiedź na to pytanie - historia Favella pełna była tajemnic, których po prostu się bałem.

Świadomy, że nie mogę dłużej uciekać przed samym sobą, usiadłem pod ślubnym drzewkiem i ruszyłem korytarzem przeszłości, otwierając wszystkie zamknięte drzwi, także te najmocniej zatrzęsnięte, te, za którymi wiele lat temu zamknąłem wszystkie bolesne pytania, dotyczące mojego pochodzenia. Otworzyłem drzwi sierocińca, drzwi adopcji i drzwi oznaczone napisem: „Pelynt” i zobaczyłem lato, które spędziłem tam z Edwinem i May Galbraithami, krótko po tym, jak mnie adoptowali, kiedy miałem jedenaście lat. Oglądałem tygodnie tamtych pierwszych wakacji jak film i patrzyłem na siebie - małe, przerażone zwierzątko, rozdarte lękami i podejrzeniami. Wiedziałem, że jestem towarem uszkodzonym, marnej jakości i że wcześniej czy później na pewno zapakują mnie niczym zepsutą zabawkę i z niezadowoloną miną oddadzą tam, skąd mnie wzięli.

Czy zrobią to, jeżeli będę opryskliwy, nieuprzejmy i obojętny? Co się stanie, jeśli zmoczę łóżko? Albo zacznę kłąć? Albo ukradnę pieniądze z torebki May? Co będzie, kiedy Edwin odkryje, jaki jes-

tem głupi, a May się dowie, że notorycznie kłamię? Czy wtedy oddadzą mnie do sierocińca i wymienią na inne dziecko? W tym tygodniu czy w następnym? Jak bity pies kulilem się, szczyrzyłem zęby i gryzłem, z wielką determinacją usiłując sprowokować to, czego najbardziej się obawiałem. W gruncie rzeczy nie było w tym nic dziwnego, bo nawet kara była znacznie lepsza niż obojętność.

Ta taktyka nigdy mnie do tej pory nie zawiodła, lecz teraz okazała się zupełnie bezskuteczna. Choćbym nie wiadomo jak się starał, May nigdy nie podniosła na mnie głosu, a Edwin nigdy mnie nie uderzył. Raz, kiedy podniosłem ramię, żeby osłonić twarz przed spodziewanym ciosem, którego mi nie zadano, zorientowałem się, że wreszcie naprawdę ich zaszokowałem.

May i Edwin nauczyli mnie gry w „jutro”. Dopóki nie zabrali mnie do Pelynt, nie byłem w stanie pojąć, ile nadziei i obietnic kryje w sobie to słowo. Pod ich wpływem zacząłem odkrywać, że „ju-tro” oznacza coś, na co można czekać, i że istnieje więcej źródeł przyjemności, niż kiedykolwiek byłem sobie w stanie wyobrazić. Przyjemnie było pójść na plażę, wypłynąć łodzią w morze i pakować jedzenie na piknik. Przyjemnie było słuchać, jak Edwin lub May czytają mi na głos, zwiedzać zamek albo kościół, obserwować ptaki oraz rośliny i identyfikować je. Dziś wiem, że Edwin i May rozpaczliwie szukali czegoś, co wywołałoby u mnie pozytywną reakcję - kiedy zorientowali się, że lubię książki historyczne (choć czytałem fatalnie) i miejsca przesiąknięte atmosferą przeszłości, zachęcali mnie do pogłębiania tych zainteresowań. W ten sposób zaczęli mnie oswajać, lecz ja wiedziałem, że to nie potrwa długo. Czekałem więc i pewnego ranka (tu muszę otworzyć kolejne drzwi) May powiedziała, że zabierze mnie do romańskiego kościoła w Manderley i pokaże mi, jak kalkuje się mosiężne rzeźby.

Propozycja była dość niezwykła, bo, po pierwsze, mieliśmy jechać tam sami, bez Edwina, a po drugie, pogodny ton głosu May nie mógł zamaskować pewnego napięcia. Natychmiast obudziła się we mnie podejrzliwość. Zerknąłem na ich uśmiechnięte twarze i wyczułem zdradę. Nie chciałem jechać, a kiedy zaczęli nalegać, przejrzałem ich plan. Wcale nie zamierzali odwieźć mnie do sierocińca i wymienić na inne dziecko - chcieli po prostu porzucić mnie w jakimś obcym miejscu.

- Zostawisz mnie tam, tak? - odezwałem się do May, gdy jecha-

liśmy z Pelynt krętą drogą jej małym fordem. - Zaprowadzisz mnie gdzieś, zostawisz, wskoczysz do samochodu i odjedziesz.

- Och, Tom, jak możesz tak myśleć? - Westchnęła. - Oczywiście, że nie. Dlaczego miałabym zrobić coś, co nam obojgu sprawiłoby ból?

- Mnie by nie sprawiło - wymamrotałem. - Nic mnie to wszystko nie obchodzi. Chrzanię to. Mam was dosyć, cholera...

- Przykro mi, że muszę sprawić ci zawód - przerwała mi. - Nie pozbędziesz się mnie tak łatwo.

- Nudziarstwo! - warknąłem, kopiąc torbę, do której May zapakowała specjalny papier i czarny воск. - Nudny, głupi kościół! Nudne, głupie rzeźby! Nie chcę tam jechać! Nie chcę być z tobą! Wstrętna stara krowa! Niedobrze mi się robi, kiedy na ciebie patrzę! Zaraz się porzygam, cholera!

- Daj sobie szansę, Tom - powiedziała cicho. - I mnie także. Proszę...

Spojrzałem na nią szybko, zaskoczony brzmieniem jej głosu, i zobaczyłem, że płacze.

To mnie uciszyło. Gapiłem się na drogę i ogryzałem paznokcie. Miałem poczucie ogromniej władzy i świadomość, że źle ją wykorzystałem. Mogłem powtórzyć ten eksperyment, byłaby to najłatwiejsza rzecz pod słońcem. Mogłem doprowadzić May do płaczu, mogłem zadać jej wielki ból albo przestać. Wybór należał do mnie. Przez całą drogę zastanawiałem się nad nim. Posiadałem władzę ranienia innych, której nigdy dotąd nie miałem, byłem więc zagubiony, niepewny i przestraszony. I właśnie dlatego zapamiętałem ten poranek z najdrobniejszymi szczegółami.

Wokół malutkiego kościółka nie było żywej duszy. May i ja chodziliśmy między skąpanymi w jasnym słońcu grobami. Zeskrobu-jąc paznokciem gęsty mech, odczytywałem niektóre nazwiska i napisy, wyryte na nagrobkach: „Najukochańsza żona...”, „Najdroższa matka...”, „Mąż...”, „Ojciec...”. Nawet w takim miejscu lubiłem odkrywać rodzinne związki, których mnie pozbawiono. Potem ruszyliśmy nad rzekę. Woda sięgała wysoko i szybko płynęła. Rzuciłem patyk, prąd porwał go, a ja wyobrażałem sobie, jak zmierza do morza i zastanawiałem się, czy to, że mogę zranić May, oznacza, że nie jestem jej obojętny.

Później May zaprowadziła mnie do chłodnego, mrocznego koś-

ciola. W swojej niezmierzonej ignorancji doszedłem do wniosku, że nie jest to zbyt interesujące miejsce. Niechętnie wpatrywałem się w otynkowane na biało ściany i przysadziste, potężne kolumny. Na ołtarzu leżała niebiesko-złota narzuta, pod moimi stopami spali zmarli. Ukląkłem obok mosiężnej podobizny rycerza z rodu de Winter i zmierzyłem go pogardliwym spojrzeniem. Był w hełmie i pełnej zbroi, więc nie widziałem jego twarzy, osłonięte rękawicami dłonie skrzyżowane były na piersi, zakute w żelazo stopy spoczywały na grzbiecie małego pieska z kudłatym ogonem, a nad jego głową znajdowała się metalowa wstęga z łacińską inskrypcją. Nie znałem łaciny. May, która znała ją bardzo dobrze, powiedziała mi, że nazywał się Gilles de Winter i zginął, wracając z wyprawy krzyżowej w 1148 roku. Jego żona, Marguerite, która urodziła mu dziesięcioro dzieci, pochowana została u jego boku. Ze sporej gromadki ich potomstwa tylko czworo dożyło wieku dojrzałego.

May pokazała mi, co robić - jak ułożyć papier na taśmie i pocierać go czarnym woskiem. Kiedy niegrzecznym ruchem wyrwałem wosk z jej ręki, westchnęła i powiedziała, że pospaceruje trochę na zewnątrz. Zauważyłem, że zerknęła na zegarek i odgadłem, że coś przede mną ukrywa. Pewnie właśnie teraz odjedzie, zostawiając mnie samego.

Mało mnie to obchodzi, powiedziałem sobie. W pewnej chwili poprzez szelest papieru dobiegł mnie dźwięk zamykających się drzwi. Serce biło mi mocno i z uczuciem zimnego lęku czekałem na warkot włączonego silnika. Minuty mijały powoli i wreszcie pomyślałem, że może jednak May mnie nie okłamała. Pragnąłem wyjść na zewnątrz i sprawdzić, czy nadal spaceruje, ale nie potrafiłem przełknąć gorzkiej dumy. Wolałbym skonać, niż pokazać jej, że się niepokoiłem.

Mocniej potarłem papierem i zobaczyłem na nim najpierw stopy Gillesa, a potem całą jego postać. Oczywiście przez cały czas był pod papierem, doskonale o tym wiedziałem, ale mimo wszystko ogarnęło mnie takie uczucie, jakbym go stworzył, wyczarował z powietrza. Oto jego hełm i dłonie w rękawicach, oto piesek z kudłatym ogonem i sprytnym pyszczkiem... Gdybym wyteżył słuch, na pewno zza zasłony wieków dobiegłoby mnie jego szczekanie.

Byłem tak bardzo zaabsorbowany swoim zajęciem, że prawie zupełnie zapomniałem o May. Kiedy drzwi kościoła skrzypnęły cicho,

wróciłem do rzeczywistości i pomyślałem, że pewnie wraca po mnie, usłyszałem jednak kroki zbyt lekkie i szybkie jak na nią. Przysiadłem na piętach i podniosłem wzrok. W odległości kilku kroków ode mnie stała obca młoda kobieta. Była wysoka i szczupła, jedną rękę oparła na dębowej ławce i patrzyła na mnie.

- Jesteś Tom, prawda? - odezwała się. - Ależ ci to sprawnie poszło! Prawie skończyłeś i jak pięknie to zrobiłeś! Na dziedzińcu spotkałam May, która powiedziała, że cię tu znajdę. Jestem jej przyjaciółką. Jak się masz, Tom? - Podeszła bliżej, nachyliła się i wyciągnęła do mnie rękę. - Nazywam się Rebeka.

Spojrzałem na nią podejrzliwie, potem zaś, z wielką niechęcią, ująłem jej dłoń. Nie ufałem wtedy nikomu, a szczególnie obcym. Kobieta nie spuszczała ze mnie wzroku, ale i ja obserwowałem ją uważnie. Widziałem, jak obejmuje spojrzeniem moje włosy i twarz. Jej włosy, długie i rozpuszczone, były równie ciemne jak moje. Uznałem, że ma najdziwniejsze oczy, jakie kiedykolwiek widziałem. W panującym w kościele mroku nie potrafiłem zdecydować, czy są ciemnoniebieskie, ciemnozielone, czy ciemnofioletowe, i dopiero po dłuższej chwili doszedłem do wniosku, że mają barwę morza.

Ubrana była w strój żeglarski - luźny bawełniany sweter w biało-granatowe pasy, białe spodnie i espadryle. Jej dłoń była chłodna, a uścisk mocny, lecz gdy się wyprostowała, zauważyłem, że lekko drży. Wydało mi się dziwne, że podobnie jakja, jest bardzo zdenerwowana.

Usiadła obok mnie na zimnej posadzce, a ja po chwili milczenia wróciłem do woskowania. Pochyliłem głowę nad papierem i przyrzekłem sobie, że więcej na nią nie spojrzę. Wiedziałem, że już za parę sekund, może minut, zacznie mówić i zadawać pytania, jak to dorośli, czekałem więc, zapamiętałe pocierając woskiem wszystkie zagłębienia w rzeźbie. Kobieta o imieniu Rebeka nie odzywała się.

Po pewnym czasie jej bliskość i milczenie zaczęły mnie drażnić. Podniosłem głowę i odkryłem, że nadal przygląda mi się swoimi morskimi oczami. Zastanawiałem się, czy nie wyobraziłem jej sobie. Może była czarodziejką albo rzeczną nimfą? Edwin i May podarowali mi książkę z ilustracjami przedstawiającymi bogów i boginie. Czytali mi legendy o istotach, które wyskakiwały z fal, drzew lub nawet wiatru. Te stworzenia miały dziwne imiona, których nie

umiałem poprawnie napisać i wymówić, ale uczyłem się tego. Zefir. Nereida. Driada. Zamknąłem na chwilę oczy, przekonany, że kobieta zniknie, a gdy to nie podziałało, postanowiłem od razu odpowiedzieć na jej niezadane pytania.

- Mieszkam teraz w Szkocji - zacząłem, energicznie pocierając papier woskiem i zerkając na nią spod oka. - Jestem tu na wakacjach. Wcześniej byłem w sierocińcu. Zostałem adoptowany.

- Wiem - powiedziała. - Od May.

- Mam jedenaście lat - ciągnąłem. - To dużo jak na adoptowane dziecko. Zwykle ludzie biorą sobie małe dzieci, niemowlęta.

- O tym także wiem.

- Mam dwa nazwiska, to z sierocińca i nowe.

Pospiesznie sprawdziłem jej reakcję wzrokiem. May mówiła mi, że powinienem być dumny z tych wszystkich informacji, ponieważ oznaczały one, że jestem wyjątkowy i kochany, nie byłem jednak do końca przekonany, czy mogę jej wierzyć.

- Świetnie - rzekła spokojnie kobieta. - Wszyscy powinni od czasu do czasu zmieniać nazwisko, nie uważasz? Trzeba znaleźć takie, które rzeczywiście do ciebie pasuje, a wtedy można już przy nim zostać. A imię? Sądzisz, że twoje imię do ciebie pasuje, Tom?

Zamyśliłem się. Nigdy dotąd nie przyszło mi do głowy, że imiona i nazwiska można przymierzać jak rękawiczki.

- Chyba tak - powiedziałem ostrożnie.

- Mnie też się tak wydaje. To bardzo ładne imię. A w niedzielę i na specjalne okazje zawsze możesz używać jego pełnej wersji: Thomas.

Musiałem się uśmiechnąć, bo ona także się uśmiechnęła i jej twarz rozjaśniła się w zupełnie niezwykły sposób. Nachyliła się lekko i dotknęła mojego policzka czubkami palców. Urok, który na mnie rzuciła, miał taką moc, że nie szarpnąłem się do tyłu, lecz pozwoliłem, by jej dłoń została tam, gdzie była. Patrzyła na mnie uważnie.

- Mieszka pani tutaj? - zapytałem, kiedy w końcu cofnęła rękę. Roześmiała się.

- Tutaj, w kościele? Nie. W każdym razie, jeszcze nie. Zrobiła zabawną minę i jej spojrzenie spoczęło na moich rękach.

Paznokcie miałem poobgryzane, skórki pokaleczone. Zaciśnąłem je w pięści, żeby nie widziała, a szyję i twarz zalał mi krwawy rumieniec.

- Kiedyś też ogryzałam paznokcie - powiedziała rzeczowym tonem. - Moje ręce wyglądały okropnie, znacznie gorzej niż twoje. Mama orzekła, że jestem małą kanibalką, poszła do drogerii i kupiła coś, co nazywało się „gorzki aloes”, czy coś takiego, ale to w ogóle nie podziałało. Było za to takie ohydne, że ze złości ogryzałam paznokcie jeszcze mocniej...

Spojrzałem na jej ręce. Miała długie, szczupłe, opalone dłonie z krótko obciętych, błyszczącymi paznokciami o idealnym kształcie. Na serdecznym palcu lewej nosiła dwie obrączki, z których jedna lśniła jak słońce na wodzie.

- Powiem ci, co powinieneś zrobić - ciągnęła takim tonem, jakbyśmy byli w tym samym wieku i znali się od bardzo dawna. - Jeżeli chcesz je dalej ogryzać, to ogryzaj i nie przejmuj się, co pomyślą inni, ale jeśli chcesz przestać, posłuż się siłą woli. Kiedy pragniesz czegoś bardzo mocno, możesz przenosić góry. Możesz zrobić wszystko...

Zmierzyłem ją baczny spojrzeniem. Byłem pod dużym wrażeniem, gdyż nikt nigdy nie mówił mi o sile woli. W sierocińcu nacisk kładziono na wiarę i modlitwę. Dużo czasu spędzaliśmy w kaplicy. Co najmniej przez siedem lat modliłem się, żeby ktoś mnie adoptował, lecz teraz pomyślałem nagle, że zmianę losu zawdzięczam może sile woli, nie modlitwie.

- Wszystko? - zapytałem ostrożnie.

- Absolutnie wszystko - powiedziała. - Jako dziecko byłam bardzo niska i drobna, w ogóle nie rosłam, a chciałam być wysoka, więc użyłam siły woli i w ciągu sześciu miesięcy urosłam ponad dziesięć centymetrów, zupełnie jak roślina w doniczce. Nie było to trudne.

- Czy w ten sposób można nauczyć się na przykład dobrze czytać?

- Jasne. Mówiłam ci, że wszystko jest proste, kiedy na czymś naprawdę ci zależy.

Zmarszczyłem brwi. To, co mówiła, było bardzo zachęcające, ale czegoś mi tu brakowało... Może Boga? Spojrzałem przez ramię na niebiesko-złoty ołtarz, zerknąłem na Gillesa i jego psa, i wreszcie popatrzyłem na nią. Od razu wyczułem, że wcale nie jest taka pewna siebie, na jaką wygląda. Może kiedyś rzeczywiście wierzyła w siłę woli, lecz później chyba się przekonała, że jednak nie wszystko

można osiągnąć. W jej oczach kryło się dużo wątpliwości i smutku. Uśmiechnąłem się krzywo i wskazałem Gillesa de Winter.

- A co z nim? Założę się, że jego nie przywróciłaby pani do życia, żeby nie wiem co. On nie żyje, i tyle.

- O nie, bardzo się mylisz - powiedziała z westchnieniem, nie reagując na mój brak uprzejmości. - Zmarłych można przywrócić do życia, ale trzeba z tym bardzo uważać, Tom. Nie zawsze manifestują swoją obecność tak, jak oczekujemy, więc lepiej pozwolić im spoczywać w spokoju...

Mówiła poważnie, nie spuszczać morskich oczu z mojej twarzy. Nagle zrobiło mi się zimno i zadrzałem. Pomyślałem o wszystkich tych zmarłych pod posadzką kościoła i jej chyba to samo przyszło do głowy, bo kąci jej ust opadły, a oczy stały się bardzo smutne. W tej chwili kościelny zegar wybił jedenastą, czar prysł i dziwna przyjaciółka May zerwała się na równe nogi. Kiedyś również się podniosłem, znowu wyciągnęła do mnie rękę.

- Bardzo się cieszę, że cię poznałam, Tom - rzekła. - Powiedz May, żeby któregoś dnia przywiozła cię do mnie, dobrze? Mieszkam w Manderley, bardzo niedaleko stąd, May wie, gdzie to jest. Moglibyśmy popływać jachtem. To śliczny jacht, bezpieczny i mocny. Czy miałbyś na to ochotę?

Miałem na to ogromną ochotę i prawie natychmiast przekazałem May zaproszenie jej przyjaciółki. Lecz May, która z radością „przypadkiem spotkała” Rebeke, jak to określiła, zareagowała z dziwnym brakiem zdecydowania. Staliśmy w słońcu przed kościołem, patrząc, jak lśniący samochód znika za zakrętem drogi. Ostrożnie wziąłem May za rękę. Doszedłem do wniosku, że jednak nie chcę jej ranić, postanowiłem natomiast siłą woli skłonić ją, żeby mnie pokochała. I chyba podziałało, bo jej twarz zmarszczyła się dziwnie, jakoś tak miękko. Objęła mnie i mocno przytuliła do siebie.

- Kiedy moglibyśmy odwiedzić twoją przyjaciółkę i popływać jachtem? - zapytałem w drodze do domu.

Potem zadawałem jej to pytanie jeszcze wiele razy.

- Och, któregoś dnia... - odpowiadała May, rzucając krótkie spojrzenie Edwinowi.

Zawsze jednak zapominała, a kiedy jej o tym przypominałem, nie mieliśmy czasu albo planowaliśmy coś innego. Czuję, że nie mówi mi prawdy. Na własną rękę dowiedziałem się, że kobieta

o morskich oczach niedawno poślubiła Maxima de Winter, potomka tego samego Gillesa de Winter, którego nagrobną rzeźbę kalkowałem. Odkryłem też, że kiedy się poznały, May miała dwadzieścia lat, a Rebeka piętnaście i obie mieszkały niedaleko siebie w hrabstwie Berkshire.

May nie chciała powiedzieć mi nic więcej. Pewnego dnia Edwin wziął mnie na stronę i wyjaśnił, że moje pytania niepokoją i martwią May. Sądzi, że wolę jej przyjaciółkę niż ją, powiedział, i to bardzo ją boli.

- Daj jej trochę czasu, Tom - poprosił. - Wszyscy dopiero się poznajemy. May bardzo zależy na twoim szczęściu.

O dziwo, mnie także zależało na szczęściu May, dlatego więcej nie poruszaliśmy tego tematu. Wakacje dobiegły końca, wróciliśmy do Szkocji, nigdy nie odwiedziliśmy powtórnie Pelynt ani Kerrith

i nigdy już nie spotkałem Rebeki. Przez dość długi czas byłem nią jednak zafascynowany i często o niej myślałem. Okazało się, że dziwna przyjaciółka May miała rację - rzeczywiście udało mi się przestać ogryzać paznokcie, udało mi się nauczyć lepiej czytać i zmyśleć. Oczywiście siła woli nie działała zawsze. Pewnego dnia na pierwszej stronie gazety ujrzałem zdjęcie Rebeki. Jej jacht nie był chyba tak bezpieczny i mocny jak myślała, ponieważ zaginął na morzu, z Rebeką na pokładzie.

ROZDZIAŁ 19

Podjęcie tej decyzji dało mi nowe poczucie celu. Wróciłem do domu, aby postanowić, na co poświęcę ostatnie godziny pobytu w Londynie. Miałem już zarezerwowane miejsce w wieczornym pociągu, który powinien dojechać do Lanyon tuż po północy, miałem jednak przed sobą cały dzień. Próbowałem dodzwonić się do Favella, ale nie zgłaszał się pod żadnym ze swoich dwóch numerów. Prawdopodobnie leczył kaca.

Usiadłem w gabinecie sir Archiego i zaanektowałem jego biurko, zza którego roztacza się piękny widok na Regent's Park. Ojciec Nicky'ego jest już na emeryturze, lecz wcześniej był dystyngowanym urzędnikiem państwowym, człowiekiem o wypracowanych w ciągu wielu lat nawykach i logicznym, uporządkowanym umyśle, toteż na jego biurku znajdowały się wyłącznie rzeczy niezbędne do pracy. W rogu blatu stała ślubna fotografia Nicky'ego i Julii, ze mną jako družbą tuż za nimi. Nie chciałem, aby cokolwiek przypominało mi o urodzie Julii i szczęściu, jakim promieniał tamtego dnia mój przyjaciel, a także o własnych uczuciach, toteż odwróciłem zdjęcie do ściany i rozłożyłem na biurku swoje gazety, notatniki i wycinki prasowe.

W tej chwili najbardziej zależało mi na rozmowie z panią Danvers, kobietą, która znała Rebeke znacznie dłużej i lepiej niż Jack Favell i była blisko niej przez cały okres małżeństwa. Zakładałem, że Favell wie, gdzie mieszka pani Danvers i co się z nią dzieje, ponieważ jednak nie mógł mi pomóc, nie bardzo wyobrażałem sobie, jak ją odnaleźć. Już wcześniej, podejrzewając, że może nadal pracuje jako gospodyni lub opiekuje się osobą starszą, obdzwoniłem

wszystkie duże i większość mniejszych agencji, pośredniczących w zatrudnianiu służby domowej, wypytałem także o panią Danvers wszystkich dawnych służących z Manderley, którzy nadal mieszkali w okolicy Kerrith. Bez skutku - nikt nic nie wiedział.

Wokół pani Danvers narosło mnóstwo całkowicie lub częściowo fikcyjnych historii, podobnie jak wokół de Winterów i Rebeki. Kilka osób, które pracowały z nią lub bezpośrednio jej podlegały, w tym Frith, uważało, że miała coś wspólnego z pożarem w Manderley. Nie wypowiadali wprost oskarżenia o podpalenie, ale przypuszczali, że była w to zamieszana. Wszyscy zgodnie powtarzali, że nie widzieli jej ani o niej nie słyszeli od tamtej nocy, gdy Manderley stanęło w ogniu. Mówili, że dzień wcześniej pani Danvers spakowała rzeczy, oświadczyła, że wyjeżdża, i zniknęła.

Usiłując prześledzić historię Rebeki, raz po raz natykałem się na cień pani Danvers. Była ona prostą ścieżką, wiodącą do dzieciństwa Rebeki. Jeżeli istniały jakieś więzi łączące Rebeke z Manderley przed ślubem z Maximem, to pani Danvers na pewno o nich wiedziała. Towarzyszyła wszak Rebecce w kluczowym okresie jej życia, kiedy po śmierci matki dziewczynka zamieszkała w Greenways z ojcem i kuzynem, było więc bardzo prawdopodobne, że może posiadać jakieś informacje także na mój temat. W 1915 roku ktoś oddał mnie do sierocińca i, jeśli wierzyć temu, co Rebeka napisała w liście do May, uczynił to bez jej wiedzy.

Skoro jednak na razie nie miałem najmniejszych szans na skontaktowanie się z panią Danvers, co powinienem zrobić? Mogłem pójść drugim obiecującym tropem, czyli poszukać wiadomości o sir Franku McKendricku i jego wędrownym zespole teatralnym. Istniało duże prawdopodobieństwo, że Isabel Devlin występowała właśnie w teatrze McKendricka i że jej fotografia w roli Desdemony, którą Rebeka umieściła w swoim „ołtarzyku”, pochodziła ze spektaklu wystawianego przez ten zespół. Znajdź matkę, a znajdziesz i dziecko, pomyślałem sobie.

Zadzwoiłem do działu informacji w Bibliotece St. James, jednej z najlepszych w Londynie i mojego ulubionego miejsca poszukiwań twórczych. Miałem szczęście - McKendrick napisał autobiografię, która w tej chwili nie była wypożyczona, o niezwykle szekspirowskim tytule: *Przyływy i odpływy*. W głosie bibliotekarki, gdy mi to mówiła, pojawiła się nuta rozbawienia.

Dopiero po pewnej chwili udało mi się zidentyfikować cytaty -słowa „przyływy i odpływy”* wypowiedział Brutus do Kasjusza w sztuce *Juliusz Cezar*. Nie byłem wcale przekonany, czy rzeczywiście w życiu wszystkich ludzi pojawia się prąd, który ich zagarnia, porywa, wiedzie do fortuny i sławy, ale poczułem się nieco lepiej. Favell dalej nie podnosił słuchawki, zadzwoniłem więc do Sosen, aby zapytać o samopoczucie pułkownika. Dłuższą chwilę rozmawiałem z Ellie i przy okazji wspomniałem jej o tajemniczym telefonie, który odebrałem ubiegłej nocy. Tak jak przypuszczałem, Ellie potwierdziła, że nikomu nie dała podanego przeze mnie numeru.

Przeżyłem chwilę wahania, kiedy Ellie, mówiąc do mnie, używała imienia Greya. Nie było mi z tym ani dobrze, ani wygodnie. Sumienie uwierało mnie coraz bardziej. Kłamałem i zdawałem sobie sprawę, że powinienem jak najszybciej przestać. W pewnej chwili mało brakowało, a wszystko bym jej wyznał. Na szczęście zdołałem się powstrzymać. Jeżeli miałem już czynić wyznania, powinienem zrobić to, gdy się z nią spotkam, nie przez telefon.

Ellie powiedziała, że ojciec poprzedniego dnia skarżył się na zmęczenie, ale dziś wyglądał i czuł się lepiej. Nazajutrz, na prośbę lekarza, miał pojechać do szpitala na badania, rutynowe, jak mnie zapewniła. Większą część dnia miała spędzić u boku ojca, ale obiecała zadzwonić do mnie wieczorem. Z pewnym naciskiem powiedziała też, że pułkownik na pewno ucieszy się z mojego powrotu, bo najwyraźniej mu mnie brakuje.

Z trudem w to uwierzyłem, ale odparłem, że ja również za nim tęsknię. Chyba sprawiło jej to przyjemność, bo w głosie zabrzmiały pogodniejsze nuty. Uradowało mnie to i wyszedłem do biblioteki w znacznie lepszym humorze niż przed rozmową.

Piętnaście po dziesiątej przeglądałem katalog w poszukiwaniu autobiografii sir Franka, a pięć minut później krążyłem już między półkami.

Biblioteka St. James mieści się w starym gmachu i jej rozkład jest dość zagadkowy. Okazało się, że sekcja historii teatru znajduje się

*** W sprawach ludzi obowiązują przyływy i odpływy (William Szekspir Juliusz Cezar, przekł. Jerzy Sosito**

w odległym skrzydle, na najwyższym piętrze, gdzie dotrzeć można płataniną schodów, korytarzy i wąskich przejść. Podobnie jak inne części biblioteki, ta również była słabo oświetlona, ciasna i ponura. Wtargnąłem między regały oddalone od siebie ledwo o metr, ustawione parami na całej sali. Nie było tu okien, a podłoga i sufit wykonane były z grubej żelaznej kraty, słyszałem więc i wyczuwałem obecność innych gości czytelnicy nad sobą i poniżej.

Chodziłem między wąskimi półkami, zapalając lampki i oświetlając to tę, to inną sekcję. Autobiografii sir Franka McKendricka nie było tam, gdzie powinna się znajdować, pomyślałem więc, że ktoś odłożył ją na niewłaściwe miejsce, co czasami się zdarzało. Zacząłem sprawdzać książkę po książce. Znalazłem dwie czy trzy pozycje o historii sceny przełomu dziewiętnastego i dwudziestu wieku oraz o teatralnych zespołach wędrownych, wystawiających głównie sztuki szekspirowskie, ale zawarte w nich wzmianki o McKendricku były równie mało dokładne jak komentarz Francisa Browne'a. Żaden z autorów nie wspominał o wystawieniu *Otella* przez McKendricka, nigdzie nie wymieniano też innych aktorów z jego trupy. Ogarnęło mnie uczucie frustracji, przecież wiedziałem, że ta książka musi gdzieś tu być. Przez kratę w podłodze dobiegło mnie westchnienie i odgłos kroków na metalowych schodach za rogiem. Ktoś, kogo nie widziałem, oddalał się w kierunku wyjścia; po chwili usłyszałem, jak w dalszej części budynku zamykają się drzwi.

Trzy razy przeszedłem wzdłuż półek, na których umieszczono książki z działu historii teatru. Postanowiłem wrócić do głównego holu i poprosić o pomoc bibliotekarkę. W połowie drogi do schodów minąłem małe biurko, używane raczej do odkładania książek niż do czytania. Zauważyłem leżący na nim tom, którego wcześniej chyba tu nie było, a kiedy podniosłem go, okazało się, że jest to autobiografia McKendricka.

Nagle poczułem znajomy, słodkawy zapach. Drgnąłem i o mały włos nie upuściłem książki. Między kartkami spoczywała gałązka azalii, taka sama, z jakich spleciono wieniec złożony pod domkiem na plaży. Kwiaty były nieco zeschnięte i pogniecione, ale nadal mocno pachniały. Nie była to stara gałązka krzewu, zasuszona jakiś czas temu. Ktoś włożył ją tutaj bardzo niedawno. Odwróciłem się gwałtownie i rozejrzałem. Ktoś był tu przed chwilą, słyszałem przecież czyjeś kroki, lecz teraz sala była pusta.

Usiadłem przy biurku, włączyłem lampkę nad głową, ostrożnie wyjąłem gałązkę azalii i spojrzałem na kartki, między którymi leżała. Na prawej stronie widniało zdjęcie sir Franka McKendricka w egzotycznym kostiumie i z pomalowaną na czarno twarzą. Pochylał się nad łóżem, na którym leżała ładna młoda kobieta. Otello miał ją lada chwila udusić. Jej długie jasne włosy spływały falą po poduszce, usta były błagalnie otwarte. Pod fotografią znajdował się podpis: „Teatr Royal, Plymouth, wrzesień 1914 roku. Mój trzechsetny występ w roli Maura. Moją Desdemoną była panna Isabel Devlin. «Wspaniały popis sztuki aktorskiej», napisano w ((Plymouth Courier) «Sir Frank przeszedł samego siebie»”.

Zauważyłem, że na sąsiedniej stronie zaznaczono ołówkiem niektóre akapity. Zacząłem czytać.

Miałem nadzieję, że jak zwykle uda nam się spędzić trzy tygodnie w Plymouth, gdzie mamy lojalną, szczerze nam oddaną widownię. Chcieliśmy przedstawić składający się z dziewięciu sztuk repertuar, pierwszy wieczór pragnąc uczcić moim trzechsetnym występem w roli Otella. Ponieważ moja droga małżonka nie czuła się dobrze, rolę Desdemony objęła młodsza aktorka, panna Isabel Devlin, która już od paru lat stanowiła prawdziwą ozdobę naszego zespołu i w pełni zasługiwała na trudniejsze zadania. Panna Devlin zawsze prezentowała oryginalne podejście do ról i podpowiadała nam wielu intrygujących pomysłów związanych z ich wykonaniem. Większość z nich zmuszony byłem odrzucić, ponieważ wiem, że w przypadku sztuk Szekspira nie wolno ignorować wypróbowanych, wielokrotnie sprawdzonych sposobów.

Panna Devlin wyglądała uroczo i zaśpiewała piosenkę najładniejszym głosem. Sceny, w których wystąpiła ze mną i z Kasjem (granym przez pana Orlanda Stephensa, który niedługo potem opuścił nasz zespół), były doprawdy wzruszające. Przypominam sobie, że pierwszego wieczoru walka Desdemony o życie wydała mi się zbyt rozpaczliwa. Byłem nieco skonsternowany, obawiałem się nawet, czy moja peruka jest wystarczająco mocno przytwierdzona. Po spektaklu zamieniłem słowo z panną Devlin, uczulając ją, by nie starała się dodawać dramatyzmu tej scenie. Całkowicie nie zgadzałem się z jej przekonaniem, że Desdemoną może wyrwać się i zmagać z Otellem. Desdemoną jest łagodnym, pasywnym stworzeniem, a uwaga widowni w momencie tej przerażającej zbrodni musi koncentrować się na jej małżonku, o czym naturalnie przypominałem mojej partnerce.

Panna Devlin wzięła sobie radę do serca i od tej chwili jakoś jej gry uległa

znacznej poprawie. Krytycy potraktowali ją bardzo przychylnie, chociaż, jak słusznie zauważyła moja małżonka, głosowi panny Devlin brakuje siły i nie opanowała ona jeszcze sztuki projekcji, w której najwięksi aktorzy bez trudu osiągają mistrzostwo. Mimo tych niedostatków sztuka odniosła sukces, a mój występ nagrodzony został licznymi brawami i tradycyjnymi już wieńcami od wielbicieli i wielbicielek. Jestem pewny, że gdyby nie wybuch wojny, sprzedano by znacznie więcej miejsc, nasze wpływy zaś byłyby odpowiednio wyższe.

Zamiast post scriptum muszę tu ze smutkiem dodać, że rola Desdemony była ostatnią, jaką panna Devlin zagrała i w moim zespole, i w swoim życiu. Moja małżonka, która zawsze gorzej niż ja oceniała możliwości panny Devlin, od pewnego czasu niepokoiła się jej stanem zdrowia. Gdy sytuacja nie uległa zmianie na lepsze, zmuszeni byliśmy zrezygnować z jej usług. Niebawem dotarła do nas wiadomość, że panna Devlin zmarła, i to w wyjątkowo tragicznych okolicznościach. W pełni rozkwitu urody, o przepięknych złocistych włosach, z prawdziwie wiośniowym wejrzeniem, jeśli mogę tak powiedzieć, była bardzo piękną młodą kobietą i doskonale wychowaną, delikatną damą. Zona i ja nie mogliśmy być obecni na jej pogrzebie, lecz szczerze ją oplakaliśmy.

W tym miejscu należałoby również dodać, że we wspomnianym okresie do naszego małego „bractwa” należała córka panny Devlin, dziewczątka wręcz stworzone do ról szekspirowskich. Już jako dziecko zagrała psotnego, zabawnego Puka u boku Oberona (w tej roli wystąpiłem ja sam), potem zaś często grywała młodych chłopców. Zapamiętałem ją jako odważnego i dumnego, choć subtelnego księcia Edwarda w Ryszardzie III oraz syna Makolufa w Makbecie, którego żałobna śmierć wzbudziła żal w niejednym sercu. Zawsze miałem wrażenie, że czekają wielka przyszłość na scenie, lecz moja małżonka wątpiła, czy posiada dość samodyscypliny i odpowiedni temperament. Niestety, po śmierci jej matki nigdy już o niej nie usłyszeliśmy.

Po triumfalnym sezonie w Plymouth wyjechaliśmy do Bristolu, gdzie w dalszym ciągu prześladowały nas wspomniane wcześniej kłopoty finansowe. Obawialiśmy się nawet, czy nie trzeba będzie rozwiązać zespołu. Parę razy patrzyłem kłesce w twarz, ale nie poddawałem się. Moja małżonka i ja...

Przebiegłem wzrokiem tekst do końca strony, potem zaś szybko przejrzałem kilka następnych rozdziałów. Zerknąłem na po amatorsku sporządzony indeks i znalazłem w nim listę członków zespołu. Na stronie, którą właśnie przeczytałem, znajdowało się jedyne w książce odniesienie do Isabel Devlin, a jej córki w ogóle nie wy-

mieniono tu z imienia i nazwiska. A jednak nie miałem cienia wątpliwości, że znalazłem Rebeke, wszystko wskazywało na to, iż znalazł ją ktoś jeszcze...

Spojrzałem na gałązkę azalii i otworzyłem książkę na stronie tytułowej, gdzie pracownicy biblioteki odnotowywali daty wypożyczenia. Najwyraźniej zwietrzałe wspomnienia sir Franka nie cieszyły się wielkim powodzeniem. Książka prawie nie opuszczała swego miejsca na półce, ale w ciągu ostatnich dni ktoś z niej korzystał.

Usiadłem przy małym biurczku i oparłem głowę na dłoniach, usiłując zebrać myśli. Dokładnie tego samego dnia ktoś posłał notatnik Rebeki pułkownikowi Julianowi, a jej pierścionek Jackowi Favellowi. Ktoś był w domku na plaży i prawdopodobnie także w Manderley, pomyślałem, przypomniawszy sobie okno, z którego odbito część desek. Ktoś zostawił wieniec z azalii przed domkiem Rebeki, ktoś przeglądał autobiografię McKendricka i kolekcję widokówek z Manderley w antykwariacie Francisa Browne'a...

Kimkolwiek była ta osoba, celowo nie zacierała za sobą śladów. Kto mógł mieć dostęp do rzeczy Rebeki? Kogo mogła dotknąć ta straszna, ponura obsesja, oczywiście poza mną? Niewątpliwie był to ktoś, kto znał ją jako dziecko, kto przez całe lub prawie całe jej życie znajdował się blisko niej. Dopiero teraz zrozumiałem, że Ellie miała całkowitą rację i że najprawdopodobniej była to kobieta. Wyglądało na to, że znowu muszę zacząć szukać pani Danvers, tajemniczej pani Danvers, której nikt z dawnych znajomych nie widział od dwudziestu lat. Jeżeli to ona wysłała notatnik i jeżeli, zgodnie z przekonaniem pułkownika, istniał co najmniej drugi taki sam, wszystko wskazywało na to, że i on znajdował się w posiadaniu pani Danvers. Czy rzeczywiście nie miałem szans, by ją odnaleźć? Zostawiła za sobą ślad, najwyraźniej po to, aby można było do niej trafić.

Wobec tego dokąd prowadził ten ślad? Gdzie powinienem teraz się udać? Do Greenways? Miałem ochotę tam pojechać, chociaż czułem, że znajdę jedynie zamieszkały przez obcych ludzi dom. Skoro więc nie do Greenways, to dokąd? Jakże jeszcze miejsce kojarzyło się z Rebeką?

Siedziałem, zastanawiając się nad tym przez następne pięć minut, zanim dotarła do mnie oczywista od samego początku odpowiedź. Wyjąłem z kieszeni list, który Rebeka napisała do May wiele lat temu, list, który odmienił całe moje życie. Tite Street, 12c - londyń-

skie mieszkanie Rebeki, nad samą rzeką. Byłem tam już wcześniej, nawet kilka razy, ale nigdy nie udało mi się tam kogoś zastać. Teraz przyszedł chyba czas, żeby znów spróbować.

Złapałem taksówkę na St. James Square i w drodze do Chelsea powtórnie przeczytałem fragment autobiografii sir Franka Kendri-cka, dotyczący Rebeki i jej matki. Niektóre użyte przez niego sformułowania wydały mi się dziwne, ale niezależnie od tego lektura wspomnień starego aktora umożliwiła ustalenie pewnych dat, które, co natychmiast zauważyłem, odpowiadały ocenie pocztówki z widokiem Manderley, jaką usłyszałem od Francis Browne'a.

We wrześniu 1914 roku Rebeka i jej matka przebywały w Plymouth, które, nawiasem mówiąc, jest jedynym większym miastem położonym w pobliżu Kerrith i Manderley. Dziś dojazd samochodem z Kerrith do Plymouth zajmuje niewiele ponad godzinę. Kiedy w pierwszych miesiącach 1915 roku Jack Favell przybył z Kenii do Anglii, Rebeka była w żałobie. Oznaczało to, że w ciągu sześciu, może siedmiu miesięcy w jej życiu zaszła ogromna zmiana: Isabel Devlin umarła, dziewczynką zajęła się pani Danvers, potem zaś Rebeka zamieszkała z ojcem w Greenways.

Zastanawiałem się, co było przyczyną śmierci Isabel. Z opisu sir Franka wynikało, że jej choroba trwała dość długo. Może cierpiała na jakąś śmiertelną wówczas chorobę, na przykład gruźlicę. Pomyślałem, że nie powinienem mieć trudności z ustaleniem daty i przyczyny zgonu, pod warunkiem że nazwisko „Devlin” było jedynym, jakiego Isabel używała. Jeżeli tak było, na pewno uda mi się odnaleźć jej akt zgonu w archiwum Somerset House, lecz nawet gdybym nie zdążył zrobić tego do wieczora, zawsze mogłem poprosić o przysługę któregoś z przyjaciół, choćby Simona Langa.

W tej chwili, biorąc pod uwagę sekwencję wydarzeń, doszedłem do wniosku, że zły stan zdrowia Isabel w pełni wyjaśniał powrót Jacka Devlina z Afryki. Nie byłem natomiast pewny, czy Favell ma rację, utrzymując, że to pani Danvers odnalazła Devlina. Nie ulegało wątpliwości, że była w jakiś sposób zaangażowana w ówczesne zdarzenia, lecz nic nie potwierdzało, że właśnie ona skontaktowała się z ojcem Rebeki. Skoro Devlin nigdy nie rozwiódł się z żoną, nie można było wykluczyć, że po rozstaniu korespondowali ze sobą.

Natomiast jeśli chodzi o powód ich rozstania... Cóż, tu mogłem zastanawiać się jedynie nad insynuacjami Favella i owymi sześcioma miesiącami, które jakoby spędzili razem, jako zakochane w sobie młode małżeństwo. Czy po prostu nie pasowali do siebie, czy też Devlin dowiedział się o żonie czegoś tak niemożliwego do zaakceptowania, że nie był w stanie dalej z nią żyć? Może odkrył, że miała romans lub że wychodząc za niego, spodziewała się dziecka innego mężczyzny, kto wie...

Taksówka zatrzymała się na rogu Tite Street i Embankment. Zapłaciłem i powoli ruszyłem w górę ulicy, w kierunku wysokiego domu z czerwonej cegły, w stylu holenderskim, gdzie Rebeka miała kiedyś mieszkanie. Budynek stał przy południowym krańcu ulicy, niedaleko kamienicy, w której przed laty znajdowało się studio Whistlera. Wiele z tych domów było własnością malarzy i dom Rebeki, podobnie jak kilka innych w tym zakątku, miał na ostatnim piętrze wielkie, łukowate okno, zapewniające odpowiedni dostęp światła. Przystanąłem na chodniku po przeciwnej stronie i spojrzałem w górę.

Słońce załśniło na szkle okna, z którego na pewno widać było Tamizę. Rebeka mieszkała w Londynie w miejscu, które od brzegu rzeki dzielił najwyżej dwuminutowy spacer. Nagle przyszło mi do głowy, że gdyby po otrzymaniu diagnozy rzeczywiście postanowiła popełnić samobójstwo, nie musiała wracać do Manderley, mogła dokonać tego tutaj, na końcu ulicy. Przecież ze swojego okna widziała niebezpieczne wody Tamizy.

Przeszedłem na drugą stronę ulicy i jeszcze raz obejrzałem karteczki przy dzwonekach. 12a - oficyna z zamkniętymi okiennicami, chyba niezamieszкана, 12b - mieszkanie na parterze i wreszcie 12c - pierwsze piętro. Na karteczkach nie było nazwisk.

Bez większej nadziei nacisnąłem dzwonek 12c i uzbroiłem się w cierpliwość. Przypomniałem sobie, że zapytałem Ellie o to mieszkanie, kiedy odwoziła mnie na dworzec w Lanyon. Uprzytomniłem sobie, że było to zaledwie wczoraj rano, chociaż wydawało mi się, że od naszego ostatniego spotkania upłynął miesiąc. Ellie była przekonana, że Rebeka mieszkała przy Tite Street przez kilka lat przed ślubem, a potem korzystała z tego mieszkania tylko od czasu do czasu, lecz pułkownik utrzymywał, iż w ciągu ostatnich sześciu miesięcy swego życia bywała tu dosyć często.

Znowu nacisnąłem dzwonek. Ellie powiedziała mi także, że nie wie, co stało się z mieszkaniem po śmierci Rebeki. Siostra Ellie, Lily, przez parę następnych lat mieszkała niedaleko stąd i nigdy nie słyszała, aby ponownie je wynająto.

- Może Rebeka przekazała umowę najmu komuś innemu - rzekła Ellie. - Ktoś na pewno się tam wprowadził. No i ktoś musiał spakować rzeczy Rebeki...

- Kto? - zapytałem i natychmiast sobie uświadomiłem, że znam odpowiedź na własne pytanie.

Pani Danvers... Zawsze pani Danvers. Po raz trzeci nacisnąłem dzwonek, lecz teraz nie zdjęłem z niego palca. Dzwonek dźwięczał gdzieś w głębi domu i nagle, nareszcie, usłyszałem, że coś się tam dzieje. Trzasnęły drzwi, zabrzmiały kroki, które wyraźnie zbliżały się do wejścia. Drzwi otworzyły się gwałtownie i w progu stała młoda kobieta w wieku około dwudziestu pięciu lat. Od stóp do głów ubrana w artystyczną czerń, nie kryła złego humoru.

- Proszę przestać hałasować, dobrze? - rzuciła ostro. - Może pan sobie dzwonić choćby cały dzień, ale i tak nikt stamtąd nie wyjdzie...

Przerwała i zmierzyła mnie uważnym spojrzeniem. Wyraz jej twarzy uległ naglej i zupełnie dla mnie niespodziewanej zmianie. Uśmiechnęła się, zaczerwieniła, przeprosiła za „gwałtowną reakcję”, wyjaśniła, że zajmuje mieszkanie 12b, na parterze, i wyraziła przyjazne zainteresowanie moją sprawą. Kiedy odkryła, że usiłuję dowiedzieć się czegoś o mieszkaniu 12c i osobie, która je wynajmuje, jej zachęcający do flirtu uśmiech nieco przygasł, a w głosie pojawiła się nuta niepokoju.

- O mój Boże! - wykrzyknęła. - Wie pan coś o niej? Proszę wejść, bo to długa historia. Napije się pan kawy?

Wciągnęła mnie do dużego holu z białą-czarną posadzką i szeroką, piękną klatką schodową. Zerknęła w kierunku schodów, przyłożyła palec do ust i wprowadziła mnie do swojego mieszkania. Może mam uczciwą twarz, może dziewczyna była otwarta i ufna, a może po prostu chciała zwierzyć się ze swoich kłopotów mężczyźnie, na którego silne ramię mogłaby w razie czego liczyć (kiedy zaczęła swoją opowieść, to ostatecznie wyjaśnienie wydało mi się najbardziej prawdopodobne) - niezależnie jednak od tego, co nią kierowało, dwie minuty później siedziałem już w salonie.

Okazało się, że nazywa się Selina Fox-Hamilton. Wprowadziła się do mieszkania na parterze w styczniu ubiegłego roku i zamierzała wyprowadzić się jak najszybciej, kiedy tylko nadarzy się możliwość. Pracowała w galerii sztuki przy Cork Street, a dziś była w domu w ciągu dnia wyłącznie z powodu kaca. Usadziła mnie na zapadającej się sofie, przedstawiła swoim trzem kotom i zaczęła mówić. Na początku zastrzegła, że nie należy do osób przesadnie nerwowych i nigdy nie wierzyła w duchy, ale po wprowadzeniu się do tego mieszkania zmieniła zdanie.

- Chce pan się dowiedzieć czegoś o tym mieszkaniu na górze, tak? - zapytała. - Czy stoi puste? Nie, raczej nie... Mieszkanie jest wynajęte, chociaż osoba, która je zajmuje, wydaje się dziwna. Bardzo dziwna...

- No, dobrze - ciągnęła Selina Fox-Hamilton, siadając naprzeciwko mnie i zapalając papierosa. - Oto moja historia. Kiedy się wprowadziłam, byłam naprawdę bardzo zadowolona, bo cena jest wyjątkowo niska, dom piękny, mieszkanie także, i koty dobrze się tu czują. W agencji nieruchomości powiedzieli mi, że oficyna jest niezamieszkała, a na pierwszym piętrze mieszka jakaś kobieta, ale rzadko bywa w domu, więc nie będzie mi przeszkadzać. Byłam w siódmym niebie, lecz po pewnym czasie zaczęłam zauważać drobne, chociaż moim zdaniem dziwne rzeczy. Kiedy wracałam do domu po przyjęciach, czyli bardzo późno, na górze paliły się lampy, nigdy jednak nikogo nie słyszałam i nie widziałam. Nikt stamtąd nie wychodził i nikt nie wchodził. I jeszcze coś - ani razu nie zauważyłam, by osoba, która tam mieszka, dostała jakiś list czy przesyłkę. Musi pan przyznać, że to nie jest do końca normalne. Tak czy inaczej, zapytałam ludzi, których znam z widzenia i którzy mieszkają przy Tite Street od zawsze, czy wiedzą coś o tym mieszkaniu. Opowiedzieli mi wszystko. Należało do bardzo pięknej kobiety, która umarła młodo, w zagadkowych okolicznościach, mniej więcej dwadzieścia lat temu. Utonęła. Niektórzy utrzymywali, że popełniła samobójstwo, inni, że została zamordowana przez męża. Mieszkała w przepięknym, wspaniałym domu w zachodniej części kraju i ten dom spłonął dzień po jej pogrzebie... Gdy wysłuchałam tego wszystkiego, zapytali mnie, czy ją widziałam. Trochę się zdenerwo-

wałam. Odpowiedziałam, że nie, nikogo nie widziałam. Wtedy okazało się, że oni widzieli tę kobietę, i to niedawno. Ktoś z nich dostrzegł ją, jak stała na brzegu rzeki i wpatrywała się w fale, kilka kroków stąd, przy końcu ulicy. Ktoś inny widział ją wychodzącą z domu późnym wieczorem. Jedna z kobiet chciała wiedzieć, czy już słyszałam, jak przesuwa meble - podobno zdarza się to zwykle w środku nocy i właśnie dlatego oplata za wynajęcie jest taka niska. Nikt nie wytrzymuje tu dłużej niż kilkanaście miesięcy. Te dziwne rzeczy dzieją się od jej pogrzebu, dokładnie od pożaru. Ci znajomi powiedzieli mi też, że od końca wojny jestem już siódmą osobą, która tu zamieszkała. Oczywiście na krótko...

Selina spojrzała na mnie okrągłymi oczami. Zapytałem ją, czy wierzy w te historie.

- Nie wiem, dlaczego mieliby zmyślać i okłamywać mnie - odparła. - Muszę jednak przyznać, że przez pierwsze trzy miesiące, a właśnie pod koniec trzeciego miesiąca pobytu tutaj rozmawiałam z tymi ludźmi, naprawdę nikogo nie widziałam i nic nie słyszałam, więc postanowiłam zapomnieć o tych strachach. Potem zauważałam, że moje koty jakoś dziwnie się zachowują. Chowają się, czasami nie chcą nawet wyrzeć do holu i nigdy, ale to nigdy nie zbliżają się do schodów. I wreszcie któreś nocy usłyszałam hałas. Były to dokładnie opisywane dźwięki przez tamtych ludzi, jakby ktoś ciągnął potwornie ciężki przedmiot po podłodze. Od tej pory słyszałam je prawie każdej nocy, zawsze bardzo późno, koło drugiej, trzeciej, nawet czwartej w nocy...

- Pamięta pani, kiedy to się zaczęło?

- Oczywiście. 12 kwietnia zeszłego roku - zapisałam tę datę w swoim dzienniku.

12 kwietnia przypadała rocznica śmierci Rebeki. Pomyślałam, że lepiej nie mówić o tym Selinie, która właśnie zapaliła papierosa i ciągnęła opowieść. Hałasy trwały ponad tydzień, a potem na górze zapanowała cisza. Spokój utrzymywał się przez parę miesięcy i Selina powiedziała sobie, że „duchy” przestały straszyć. I wtedy, w listopadzie ubiegłego roku, przeżyła wstrząsające spotkanie. Wróciła do domu po południu, ale wcześniej niż zwykle. Było już ciemno, ulice Londynu od paru dni spowijała gęsta mgła. Selina otworzyła drzwi, sięgnęła do kontaktu i wtedy ujrzała jakąś postać na schodach.

- Widziałam ją, chociaż niezbyt wyraźnie - oświadczyła. - Na

ganku paliło się światło, frontowe drzwi były szeroko otwarte i do środka wpływała mgła. Na schody padało pasmo światła i ona przeszła przez nie, lekko, jakby je przeniknęła. Byłam tak zaskoczona, że wyrwał mi się cichy okrzyk. W końcu natrafiłam dłonią na kontakt, światło się zapaliło, ale jej już nie było. - Selina przerwała na chwilę. - Nie twierdzę, że to był duch, nie, ale wtedy porządnie się przestraszyłam. „Kto tu jest?“, zapytałam, czy może: „Co pani tu robi?“. Nie odpowiedziała. Dobięgl mnie tylko odgłos zamykanych drzwi, i to wszystko. Nigdy więcej jej nie widziałam... i wcale nie mam ochoty na powtórkę tego miłego doświadczenia.

Nie było to jednak jej ostatnie spotkanie z lokatorką mieszkania na piątze. Zdarzyło się to jeszcze dwa razy, oba bardzo dziwne i na szczęście nie bezpośrednio.

Parę miesięcy po pojawieniu się kobiecej postaci na schodach znowu zaczęły się hałasy. Kiedy zażalenia składane w agencji wynajmu nic przyniosły żadnego skutku, Selina napisała krótki list, bardzo uprzejmy, co dwukrotnie podkreśliła, poszła na górę i wsunęła kopertę pod drzwi 12c. Wieczorem, gdy wróciła do domu, znalazła na swojej wycieraczce kopertę, bez nazwiska czy chociażby numeru mieszkania. Wewnątrz znajdował się jej własny list, podarty na setki kawałeczków.

- Przestraszyłam się - przyznała z westchnieniem. - To przecież nie jest normalne zachowanie, prawda? Od tej pory omijam schody z daleka, staram się nie wchodzić jej w drogę i niecierpliwie czekam, kiedy się stąd wyniosę. Muszę znaleźć inne mieszkanie, po prostu muszę. Nie chcę być sama w tym domu z duchem albo wariatką.

Zadałem Selinie kilka pytań. Czy dowiedziała się, jak nazywa się lokatorka mieszkania 12c? Nie, ponieważ w agencji odmówiono jej takiej informacji. Czy mogłaby opisać kobietę, którą widziała na schodach? Selina odpowiedziała, że kobieta używała perfum o delikatnym, świeżym zapachu, który przywodził na myśl pierwsze wiosenne kwiaty. Zapamiętała ten aromat, bo bardzo jej się podobał. Kobieta była wysoka, ubrana w czern i miała osłonięte czymś włosy, nic więcej nie mogła powiedzieć, widziała ją przecież tylko przez sekundę. Zapewniłem Selinę, że duchy nie drą listów na drobne kawałeczki, lecz nie sądzę, aby ją to pocieszyło. Potem poprosiłem o kopertę i wyszedłem do holu. Selina za żadne skarby świata nie chciała mi towarzyszyć, została na progu mieszkania, a ja udałem się na górę.

Klatka schodowa była naprawdę piękna, szeroka, z gustownie zdobioną balustradą. Stałem przed ciężkimi czarnymi drzwiami na piętrze i chwilę nasłuchiwałem. Powietrze przesiąknięte tu było lekkim zapachem spalenizny. Do koperty, którą dała mi Selina, włożyłem znaną z autobiografii McKendricka gałązkę azalii i zakleiłem ją. Na odwrocie napisałem swoje imię i nazwisko, Terence Grey oraz adres i numer telefonu w Kerrith. Spojrzałem na drzwi i przypomniałem sobie, że według znajomych Seliny dziwne hałasy w mieszkaniu zaczęły się w noc po pogrzebie Rebeki, w noc, podczas której spłonęło Manderley. Tej samej nocy zniknęła pani Danvers...

Postanowiłem zaryzykować, chociaż szanse na powodzenie były niewielkie.

- Pani Danvers? - odezwałem się przyciszonym głosem. - Jest pani tam? Chciałbym z panią pomówić. Chciałbym porozmawiać o Rebecce...

Cisza. Lekko zapukałem w futrynę. Nic. Z dołu dobiegło ciche westchnienie Seliny. Echo powtórzyło je na klatce schodowej, nadając mu dziwny, niesamowity pogłos.

- Pani Danvers? - powtórzyłem.

Tym razem usłyszałem jakiś dźwięk. Był delikatny i lekki, zupełnie jakby skraj długiej spódnicy otarł się o dywan. Niewykluczone, że tylko go sobie wyobraziłem. Wsunąłem kopertę pod drzwi, odczekałem parę minut i wróciłem do holu. Wymieniliśmy z Seliną numery telefonów, po czym, nie bez pewnego trudu, opuściłem mieszkanie Seliny. Przeszedłem na drugą stronę ulicy i stanąłem na chodniku dokładnie naprzeciwko wysokiego, dużego okna w mieszkaniu Rebeki. Słońce złoćło szyby. Jeżeli nawet ktoś stałby przy oknie, nie mógłbym go dostrzec z powodu kąta padania światła, za to ja byłem doskonale widoczny. Pozwoliłem dość długo na siebie patrzeć, oczywiście zakładając, że w ogóle ktoś tam był. Miałem wrażenie, jakbym był obserwowany. Było to głęboko niepokojące, dziwne uczucie.

Uczucie to trwało długo, do końca dnia nie zdołałem się z niego otrząsnąć. Resztę pobytu w Londynie spędziłem na nieefektywnych, frustrujących działaniach. Selina podała mi nazwiska malarzy, którzy

opowiedzieli jej historię o duchu, oraz nazwę i telefon agencji nieruchomości, wynajmującej mieszkania w domu przy Tite Street. Pracownicy agencji odmówili mi wszelkich informacji, natomiast malarzy nie było w domu. Zmarnowałem jeszcze trochę czasu na Tite Street, wpytując mieszkańców sąsiednich domów, czy nie wiedzą czegoś o lokatorce mieszkania 12c, ale wszyscy przeprowadzili się tu stosunkowo niedawno i nie umieli odpowiedzieć na moje pytania. Następne dwie godziny straciłem w ratuszu Chelsea, przeglądając listę wyborców. Odkryłem, że figuruje na niej wyłącznie Seli-na, a pod numerem 12c nie wpisano żadnego nazwiska.

Po zakończeniu tych nieudanych poszukiwań, zjedzeniu wyjątkowo niesmacznej kanapki w małej kafejce i powrocie z zatłoczonej King's Road na Sloane Square pozostało mi już tylko parę godzin w Londynie. Powoli zbliżał się wieczór i nie mogłem się już doczekać, kiedy wyjadę z upalnego, cuchnącego spalinami wielkiego miasta i wrócę do czystego powietrza i spokoju w Kerrith.

Metrem dotarłem do centrum i przystąpiłem do zadań praktycznych. Poszedłem do Fortnum & Mason i zgodnie z obietnicą kupiłem czekoladki z fiołkowo-śmietankowym nadzieniem dla sióstr Briggs. Potem wpadłem do księgarni Hatchards, gdzie wybrałem dwie książki na prezent dla pułkownika Julyana. Na wystawie zobaczyłem moją książkę o Walsinghamie i zorganizowanej przez niego siatce elżbietańskich szpiegów, i pod wpływem impulsu kupiłem egzemplarz dla Ellie. Jeżeli powiem jej i jej ojcu, kim naprawdę jestem, podaruję jej to opracowanie, pomyślałem. W pierwszej chwili wydawało mi się to doskonałym pomysłem, lecz zaraz pożałowałem swojej decyzji. Książkę adresowałem przede wszystkim dla naukowców. Mnie samemu wydawała się bardzo interesująca, ale tak naprawdę była usiana przypisami, sucha i specjalistyczna. Czy właśnie w taki sposób chciałem jej przedstawić Toma Galbraitha? Z pewnością wyda jej się nudny jak flaki z olejem, lecz musiałem też brać pod uwagę możliwość, że już go za takiego uznała.

Przed powrotem do Regents Park pozostała mi jeszcze tylko jedna rzecz do zrobienia - musiałem zobaczyć się z Jackiem Favellem, oddać mu pierścionek Rebeki i, jeśli będzie trzeźwy, zadać mu parę pytań. Ruszyłem w górę Bond Street i dotarłem do Mayfair. Na ulicach było mnóstwo ludzi, słońce i ciepło tworzyły doskonale wy-

czuwalną atmosferę beztroski i wesołej wiosennej gorączki. Jakaś roześmiana para przeszła obok mnie, trzymając się za ręce, niania w fartuchu pchała przed sobą wózek z dzieckiem, a dwie młode dziewczyny przystały na chwilę, aby uśmiechnąć się do malucha. Zatrzymałem się na rogu. W powietrzu czułem tę pełną obietnic aurę, jaka na wiosnę zwykle ogarnia duże miasta. Wydawało się, że chodniki błyszczą, a uliczny hałas cichnie i mruży jakąś melodię. Nie potrafiłem pozbyć się uczucia kompletnego osamotnienia. Pomyślałem, że zagrzebując się w przeszłości, odizolowałem się od normalnego życia i stałem się prawdziwym więźniem biblioteki i archiwów, człowiekiem, którego egzystencja sprowadza się do poszukiwania prawdy w książkach i dokumentach.

Dotarłem na miejsce i z zaskoczeniem odkryłem, że salon samochodowy Favella jest pusty i zamknięty na głucho. Nacisnąłem dzwonek, ale nikt nie odpowiedział. Jeden ze stojących wczoraj na wystawie samochodów, piękny bentley, zniknął - być może Favell zabrał klienta na jazdę próbną. Przez pół godziny kręciłem się w pobliżu, a potem udałem się w drogę powrotną do Regent's Park. Postanowiłem, że zadzwonię do Favella zaraz po przyjeździe do Kerrith. Idąc, obracałem w palcach wysadzany brylantami pierścionek Rebeki.

Resztę czasu spożytkowałem na napisanie listów i odbycie paru rozmów telefonicznych. Jeszcze raz napisałem do Franka Crawleya, chociaż spodziewałem się, że i ten list, trzeci, spotka się z uprzejmą, lecz odmowną odpowiedzią. Zadzwoniłem do Simona Langa i poprosiłem, aby uzyskał dla mnie pewną informację w archiwach Somerset House, a potem do przyjaciół i znajomych z King's College, gdzie zamierzałem wrócić jesienią. Zatelefonowałem także do swojego wydawcy, obiecałem, że wkrótce umówię się z nim na lunch, i wyjaśniłem, iż ukończenie mojej nowej książki o Raleighu zajmie więcej czasu, niż sądziłem. Ponieważ jest on wyjątkowo spokojnym człowiekiem, wiadomość ta wcale nie wyprowadziła go z równowagi. Wreszcie spakowałem się, pożegnałem z panią Henderson (nikt do mnie nie dzwonił) i pojechałem na dworzec. Z całego serca pragnąłem jak najszybciej znaleźć się w Kerrith, wybrać się na spacer nad morze, a przede wszystkim opowiedzieć Ellie i jej ojcu o postę-

pach, jakie poczyniłem. Miałem nadzieję, że pułkownik też będzie miał dla mnie jakieś informacje.

O szóstej byłem na dworcu Paddington, a o szóstej trzydzieści pociąg powoli ruszył. Tym razem miałem dla siebie cały przedział, co mnie bardzo uradowało. Rzuciłem torbę na półkę, przebiegłem wzrokiem pierwszą stronę kupionego na stacji „Evening Standard” i odrzuciłem gazetę na sąsiednie siedzenie. Wbiłem wzrok w okno, patrząc na uciekające do tyłu przedmieścia. Słuchając stukotu kół, wróciłem myślami do wydarzeń ostatnich dwóch dni, do tego, co mi powiedziano i czego nie powiedziano. Wiedziałem, że to, co zostało zatajone, było może nawet ważniejsze od informacji, jakie udało mi się zebrać.

Byliśmy już dość daleko od miasta, a za oknem szybko zapadał zmierzch, kiedy znowu sięgnąłem po autobiografię sir Franka McKendricka i, coraz bardziej zirytowany jego ozdobnym stylem, zacząłem przeglądać kolejne rozdziały. Zanim się zorientowałem, co przegapiłem tego ranka, na dworze zrobiło się już zupełnie ciemno. Informacja, na której mi zależało, znajdowała się na stronie poprzedzającej tę, od której zacząłem lekturę, i na pewno łatwo było ją przeoczyć.

Zgodnie z ustalonym kilka lat temu zwyczajem, moja żona i ja oraz kilkoro innych członków zespołu zamieszkaliśmy u Millicent Danvers, która prowadzi znakomity pensjonat St. Agnes na Marine Parade, tuż nad zatoką. Millicent Danvers owdowiała jakiś czas temu i wyraźnie posuwa się w latach, a córka, która wcześniej bardzo jej pomagała, jest obecnie na służbie, lecz standard obsługi, do jakiego nas tu przyzwyczajono, nie obniżył się ani trochę. W pensjonacie panuje wzorowy ład i porządek - pragnęlibyśmy, aby podobnie wyglądały wszystkie nasze kwatery! Z przyjemnością porozmawialiśmy z właścicielką o dawnych czasach i prosiliśmy, żeby pozdrowiła od nas córkę. Na szczęście Edith Danvers pracuje w pobliżu, tak więc mogła być obecna na przedstawieniu Otella. Danny, jak ją nazywamy, od najwcześniejszej młodości obserwuje pracę zespołu, zawsze w pełni docenia nasze wysiłki i ma wśród nas wielu przyjaciół. Po spektaklu powiedziała nam, że za żadne skarby świata nie zrezygnowałaby z takiej duchowej uczty, a scena śmierci Desdemony po prostu zmroziła jej krew w żyłach.

Edith Danvers... Przez cały czas była tutaj, na kartkach tej książki. Wreszcie zrozumiałem, skąd się wzięła. Właśnie od tego okresu datowała się jej znajomość z Isabel Devlin i Rebeką. Zabrałem autobiografię sir Franka do wagonu restauracyjnego i czytałem ją w czasie kolacji, okazało się jednak, że była to jedyna wzmianka o przyszłej opiekunce Rebeki. Pani Danvers na krótką chwilę spojrzała na mnie z mroków przeszłości i natychmiast znowu się w nich ukryła.

Wróciłem do przedziału i utkwilem wzrok w oknie, wpatrując się w przemykającą za szybą ciemność i moje własne blade odbicie. Zamknąłem oczy, ale chociaż poprzedniej nocy przespałem najwyżej godzinę lub dwie i byłem ledwo żywy ze zmęczenia, nie mogłem zasnąć. Kilka razy zapadałem w niespokojną, czujną drzemkę, stan między jawą i snem, w którym na wpół śniłem, na wpół wyobrażałem sobie, że wchodzę po bardzo długich schodach, a na ich szczycie czekają na mnie czarne, wiecznie zamknięte drzwi.

W końcu musiałem jednak zasnąć, bo gdy oprzytomniałem, jeszcze bardziej zmęczony niż wcześniej, właśnie mijaliśmy Tamar i zaraz pognaliśmy przez najeżoną cieniami drzew ciemność, oddzielającą tę rzekę od Manderley. Próbując skupić uwagę na czymś przyjemniejszym, sięgnąłem po gazetę.

Krótką notatką zajmowała lewy dolny róg drugiej strony: Jack Favell, jeden z dyrektorów salonu sprzedaży samochodów w May-fair, we wczesnych godzinach rannych zginął w wypadku drogowym. Do katastrofy doszło w cieszącym się szczególnie złą sławą „czarnym punkcie” na szosie przecinającej Berkshire, między Lam-bourn a wioską Hampton Ferrars. Bentley, którym jechał Favell, uderzył w mur i natychmiast wybuchnął. Dwaj świadkowie wypadku, stajenni, którzy właśnie wyprowadzali konie na wybieg, poświadczyli, że samochód jechał zdecydowanie za szybko, a kierowca nawet nie próbował wyhamować na zakręcie. Dochodzenie prowadzi miejscowa policja.

Pociąg szarpnął, zwolnił i znowu przyspieszył. Byłem wstrząśnięty, ogarnęło mnie poczucie winy. Wyjąłem z kieszeni pierścioneł, który dał mi Favell. Przypomniałem sobie naszą rozmowę i nagle uświadomiłem sobie, że śmierć nadała jej inne, nowe akcenty. Usłyszałem wzruszenie w głosie Favella, kiedy opisywał Greenways i swoje wyprawy na łąki, podczas których obserwował jeżdżącą konno Rebekę.

Czyjego śmierć była przypadkowa? A może chciał umrzeć, i to w okolicznościach do złudzenia przypominających śmierć Maxima de Winter? Obaj zginęli w katastrofach samochodowych... Czy pędząc w kierunku muru, o który za chwilę mieli się roztrzaskać, szukali Rebeki, czy raczej uciekali przed nią? Staralem się wyobrazić sobie, jak Favell spędził godziny między rozstaniem ze mną a chwilą, kiedy o świcie wszedł do samochodu. Zastanawiałem się, czy wytrzeźwiał, czy pił dalej, usiłując znaleźć w alkoholu ochronę przed ścigającymi go demonami. Musiał być znacznie bardziej zdesperowany, niż podejrzewałem, a ja powinienem był uważniej go słuchać i obserwować. Spojrzałem na pierścionek Rebeki, który zdaniem Favella przynosił pecha, i pomyślałem o tamtym dniu, kiedy widziałem go na jej palcu. Poczulem dotknięcie śmierci, lekkie muśnięcie jej ciemnych skrzydeł. Śmierć miała oczy koloru morza i przyglądała mi się w skupieniu. „Mieszka pani tutaj? Gdzie, tu, w tym kościele? Nie, w każdym razie jeszcze nie...”.

Za oknem przemykała ciemność. Daleko, na horyzoncie, zalśniły światła, moje odbicie poruszyło się na szybie. Parę minut po północy hamulce zapiszczały przeraźliwie i pociąg zaczął zwalniać. Zaraz potem wjechaliśmy na stację w Lanyon. Na postoju czekała samotna taksówka. Z trudem udało mi się namówić kierowcę, aby zawiózł mnie przez wrzosowiska do mojego domku. Kiedy dotarliśmy na miejsce, wysiadłem i długą chwilę stałem przed drzwiami, śledząc wzrokiem niknące w oddali tylne światła samochodu. Niebo było zachmurzone, czarne morze szemrało cicho, ocierając się o piasek na plaży. Wiatr się wzmagął, zaczęło padać. W gęstej ciemności daremnie szukałem zarysu przyłodka Manderley.

Wszedłem do domu i zapaliłem naftową lampę, której płomień migotał niepewnie. Duchy, które przez cały dzień otaczały mnie ciasnym kręgiem, zbliżyły się jeszcze bardziej, jakby zamierzały na stałe rozgościć się w kątach pokoju. Znowu wyjąłem pierścionek Rebeki i patrzyłem na migające w świetle przejrzyste kamienie. W głowie zaświtała mi myśl, że może rzeczywiście przynosi nie-szczęście... Oczywiście, natychmiast powiedziałem sobie, że nie wierzę ani w pecha, ani w duchy, ale zrobiłem to bez przekonania. Wiatr wzdychał za oknem, a obluźwana okiennica z tyłu domu rozpaczliwie tłukła o ścianę.

Jutro znowu przystąpię do poszukiwań i pójdę śladami, które

zdołałem odkryć, ale szczerze mówiąc, nie bardzo wyobrażałem sobie, w jaki sposób mógłbym poczynić jakiegokolwiek postępy, pozbawiony pomocy Favella. Może pułkownik Julyan znajdzie nowe informacje w swoim archiwum, lecz ta perspektywa wydała mi się bardzo mało prawdopodobna. Nie ulegało wątpliwości, że nie mogę odkładać w nieskończoność prywatnych i zawodowych spraw. Moja praca w lokalnym archiwum skończyła się dwa tygodnie wcześniej, następnego dnia miałem zabrać rzeczy z biura. Nie żałowałem tego, bo zyskałem więcej czasu, ale wraz z zakończeniem pracy straciłem pretekst do dalszego przebywania w Kerrith. Zrozumiałem, że wkrótce może nadejść dzień, kiedy będę musiał zrezygnować z prywatnego dochodzenia i przyjąć do wiadomości, iż przeszłość pochłonięła Rebeke, i nigdy jej nie odnajdę.

Powoli zaczęła ogarniać mnie znajoma melancholia, podstępna i nieustępliwa jak mgła podnosząca się nad morzem. Słuchałem mamrotania fal na brzegu i uderzeń kropli deszczu o dach. Nagle wydało mi się, że spoza tych dźwięków i zawodzenia wiatru dobiega zupełnie inny odgłos, odgłos kroków na wysypanej żwirem ścieżce i cichy szcęk metalu, jaki przy otwieraniu i zamykaniu wydawała furтка. Zgasilem lampę, odczekałem chwilę, aż moje oczy przywykną do ciemności, i wyszedłem na ganek.

Uważnie rozejrzałem się dookoła. Padał coraz większy deszcz, więc widziałem niewiele. Furтка huśtała się tam i z powrotem, popychana wiatrem. Na pewno otworzył ją gwałtowny podmuch wiatru, pomyślałem. Dziwne tylko, że nigdy dotąd się to nie zdarzyło... Spokojnie podszedłem do ogrodzenia i starannie zamknąłem furtkę. Spojrzałem w kierunku brzegu. Jakiś jasny kształt o rozmytych konturach poruszył się wśród skał i wtedy strach ścisnął mi serce jak potężna pięść. Wróciła po pierścioneł, przemknęło mi przez głowę.

Na szczęście natychmiast odzyskałem równowagę i wróciłem do domu, powtarzając sobie, że była to tylko zwodnicza gra światła.

ROZDZIAŁ 20

19 kwietnia, środa. Rano, przed wyjściem do biblioteki, zadzwoniłem do Ellie. Wybierała się właśnie z pułkownikiem do szpitala, więc rozmawialiśmy krótko. Odniosłem wrażenie, że coś ją dręczy, ale z uporem powtarzała, że wszystko jest w jak najlepszym porządku. Może jej głos brzmi dziwnie dlatego, powiedziała, że spieszy się, aby przygotować ojca, który nie jest w najlepszym nastroju, bo nienawidzi szpitali, zresztą ona też spała wyjątkowo źle.

Ja także spałem marnie. Przez większą część nocy nękały mnie sny o Manderley. Nie przeczuwałem bynajmniej, że dzisiejszy dzień będzie obfitował w zupełnie niezwykle wydarzenia, i obudziłem się przygnębiony i zmęczony. Deszcz nadal padał, na niebie wisiały ciężkie, ciemne chmury, a zachodni wiatr, który jeszcze wzmógł się w nocy, jęczał żałośnie. Morze, tak spokojne przez cały ubiegły tydzień, teraz wydawało się wściekle wzburzone. Fale z hukiem biły o skały i biała piana kłębiła się w tym miejscu, gdzie poprzedniej nocy dostrzegłem (albo tylko sobie wyobraziłem) mglisty kształt.

Jeremy Bodmmck, archiwista, z którym pracowałem przez minione pół roku, jak zwykle podwiózł mnie swoim małym samochodem. Jeremy mieszka niedaleko sióstr Briggs, od czterdziestu lat pracuje w archiwum i jest sympatycznym, okrągłutkim starym kawalerem. Prawie zawsze tryska doskonałym humorem i pogodą ducha, ale dziś i on był przygnębiony i dziwnie melancholijny.

- Co za smutny dzień, Terence - powiedział, gdy sadowiłem się na miejscu dla pasażera. - Bardzo smutny. Bez ciebie biblioteka nie będzie już tym samym miejscem. Praca, jaką wykonałeś przy katalogowaniu dokumentacji posiadłości de Winterów, twoja pomoc

przy urządzaniu ekspozycji... Bezcenne, po prostu bezcenne! Gdyby tylko rada znalazła środki na pełny etat... Oczywiście nigdy tego nie zrobią, przecież wiesz, że to zwykli filistrzy, jeden w drugiego. Nie rozumieją, jak ważne jest gromadzenie dokumentów dotyczących naszego regionu, nie interesują się historią, ciągle obcinają mi budżet... Mówiłem im, że...

Przestałem słuchać, nie z braku szacunku, lecz dlatego, że doskonale znałem tę litanię. Pan Bodinnick od lat toczy heroiczną walkę ze skąpcami z rady hrabstwa i uwielbia rozwodzić się nad swoimi pomysłami, których celem jest przechytrzenie wyżej wspomnianych filistrów, nad swoimi jakże częstymi klęskami i znacznie rzadszymi zwycięstwami. Zatrudnienie mnie niewątpliwie uważał za swój triumf, chociaż z góry wiadomo było, że po zakończeniu katalogowania dokumentacji Manderley będzie musiał się ze mną pożegnać.

Przyjęto mnie do pracy na sześć miesięcy, w czasie których miałem służyć panu Bodinnickowi pomocą przy porządkowaniu dokumentów archiwalnych oraz urządzaniu planowanych przez niego wystaw. Do tej pory udało mu się zorganizować dwie, obie na temat kopalni cynku, tak licznych kiedyś w tej okolicy, a także produkcji naczyń fajansowych i porcelanowych. Ekspozycje były doskonale przygotowane pod względem merytorycznym i wizualnym, ale ponieważ istnienie biblioteki i archiwum utrzymywane jest tu w tajemnicy, gości zjawiało się niewiele. Bodinnick zaczął od razu planować trzecią, tym razem na temat niegdyś mocno zakorzenionej w okolicy tradycji ściągania statków na mielizny i brania łupów oraz szmuglowania najróżniejszych towarów. Liczył chyba, że w ten chytry sposób uda mu się wymóc na radzie przedłużenie mojego kontraktu na czas nieokreślony. Niestety, członkowie rady przejrżeli jego plany i przedłużyli mi umowę tylko o dwa tygodnie. Pan Bodinnick ciężko przeżył tę klęskę. Przez całą drogę do Lan-yon wylewał żale i pretensje, a kiedy dotarliśmy do biblioteki, zwierzył mi się z najgłębiej skrywanych trosk. Z czego zamierzam się teraz utrzymywać, zapytał, zdejmując okulary i zabierając się do polerowania szkieł, co u niego zawsze było oznaką ogromnego zaniepokojenia. Obrzucił mnie łagodnym spojrzeniem krótkowidza i przyznał, że ktoś powiedział mu, iż noszę się z zamiarem kupienia domku, który w tej chwili wynajmuję.

Ciekawe, kim jest ten bystry informator, pomyślałem. Marjorie Lane? Któraś z sióstr Briggs? Pułkownik Julyan? Rzeźnik, piekarz, aptekarz, mleczarz? Ponuro patrzyłem przez okno rja smagane deszczem i wiatrem ulice. Na liście podejrzanych mogłem umieścić wszystkich członków lokalnego Towarzystwa Historycznego, wszystkich ich krewnych, przyjaciół i znajomych, krótko mówiąc, wszystkie zamieszkałe w promieniu piętnastu kilometrów osoby, posiadające niezbędne cechy i sprzęt - długie nosy, nadmierną ciekawość i lornetki.

Okazało się, że zamierzam nie tylko zamieszkać w okolicy, ale także „się ustatkować”, a to ostatnie określenie w tych stronach może oznaczać tylko jedno. Taka perspektywa jeszcze mocniej zaniepokoiła pana Bodinnicka, jako że „ustatkowanie się” pociągało za sobą wzięcie na siebie określonych obowiązków. Mój szef był przekonany, że z łatwością zarobię na własne utrzymanie, ale łożenie na „inne osoby” jest już poważniejszą sprawą, powiedział, starannie polerując okulary. Kiedy nie dałem pociągnąć się za język, westchnął bezradnie i chyba doszedł do wniosku, że przedstawia stan małżeński w zbyt ciemnych barwach, ponieważ zaraz zaczął wychwalać go pod niebiosa.

Wyznał, że wprawdzie sam nigdy się nie ustatkował, ale małżeństwo ma naturalnie wiele dobrych stron. Pracowicie czyszcząc idealnie czyste szkła, opowiadał o radościach domowego życia, których nigdy nie zaznał, o wygrzanych przy kominku kapciach, obiedzie w piecyku, kojącej obecności bratniej duszy... Gdy wreszcie skupił się na chwalebnej historii szacownego rodu Julyanów, w olśnieniu ujrzałem oczami wyobraźni twarz mojej przyszłej małżonki. Delikatnie usiłowałem przekonać go, że Ellie i ja jesteśmy tylko przyjaciółmi, ale oczywiście nie uwierzył mi. Podałem się więc, ponieważ zabrakło mi energii i zapału, aby pozbawić go miłych złudzeń.

Zdołałem uspokoić go też co do mojej sytuacji finansowej, wspominając o jakże przydatnym w takich razach „spadku po cioci May”. Nie miałem żadnych wyrzutów sumienia, bo po pierwsze, nie jest to całkowita nieprawda, a po drugie, uratowałem się w ten sposób przed następnymi pytaniami i dociekaniem. Pan Bodinnick zabrał się do przeglądania poczty, wśród której znalazł list od kanadyjskiego biura adwokackiego, działającego w imieniu drugiej pani

de Winter. To zupełnie odwróciło jego uwagę od moich spraw. Lektura listu sprawiła mu wielką przyjemność i uznał, że jest to bardzo uprzejmy gest ze strony pełnomocników wdowy po Maximie.

- Och, po prostu uprzedzająco uprzejmy - entuzjasmował się. -Czarujący gest, Terence.

Potem podał mi napisany na firmowym papierze list, brzmiący jak następuje:

Szanowny Panie,

Sądzymy, że katalogowanie dokumentów posiadłości rodziny de Winter zostało już zakończone. Nasza klientka, pani de Winter, za naszym pośrednictwem przekazuje Panu podziękowania oraz wyraża nadzieję, że dokumentacja stanie się cenną częścią nadzorowanych przez Pana zbiorów archiwalnych.

Z wyrazami szacunku...

Podpis złożył jeden ze wspólników adwokackiego biura w Toronto, które od początku do końca zajmowało się tą sprawą. Ton listu nie wydał mi się szczególnie uprzejmy ani miły. Po przeczytaniu odłożyłem go do teczki zawierającej całą korespondencję z kanadyjskimi prawnikami pani de Winter.

Gdy przystępowałem do poszukiwań, napisałem do pani de Winter na adres tegoż biura adwokackiego i poprosiłem ją o pomoc. Po miesiącu otrzymałem liczącą dokładnie trzy linijki odpowiedź: pani de Winter nie miała nic do przekazania we wspomnianej sprawie, a jej pełnomocnicy byliby zobowiązani, gdybym ich więcej nie niepokoił. Nie zaskoczyło mnie to. Podejrzywałem, że druga żona Maxima zapewne zna prawdę o śmierci Rebeki, a skoro jej zmarły mąż przypuszczalnie nie był czysty jak łąza, nie będzie chciała udzielić mi żadnych informacji. Teraz, odkładając teczkę, pomyślałem, że może powinienem był napisać raz jeszcze. Niestety, nie mogłem się do tego zmusić, a myśl, że nie jestem pozbawiony skrupułów w wystarczającym stopniu, aby sprostać zadaniom, jakie przed sobą postawiłem, przygnębiła mnie jeszcze bardziej.

Skończyłem pakować rzeczy i na prośbę pana Bodinnicka przejrzałem zdjęcia, które zbierał na następną wystawę. Ponieważ myślałem byłem zupełnie gdzie indziej, jednym uchem słuchałem jego

opowieści o obecnych działaniach szmuglerskich i zainteresowałem się dopiero wtedy, gdy wspomniał, że największe sukcesy w tej dziedzinie odnoszą w okolicy były lokaj z Manderley, Robert Lane oraz jego żona, Nancy Lane z domu Manack, przedstawicielka rodziny, która od wielu pokoleń para się szmuglem.

Bodinnick chciał wiedzieć, czy zwróciłem uwagę na kuter Manacków. Trudno było go nie zauważyć, gdyż pomalowany był w szkarłatno-turkusowe pasy. Jego szyprem był jeden z pięciu braci Nancy. Podobno ostatnio urząd celny poważnie utrudnia życie Manackom, dokładnie przeczesując okolicę w poszukiwaniu ukrytych towarów. W rezultacie Manackowie z coraz większym trudem znajdują bezpieczne zatoczki i jaskinie. Bodinnick westchnął ciężko. Chyba trochę żałował, że ciesząc się szacunkiem miejscowy przemysł skazany jest na klęskę w walce z oficjalnymi instytucjami.

Już wcześniej przyszło mi do głowy, że domek na plaży w Manderley i nawet ruiny wielkiego domu mogą być niezwykle użyteczną kryjówką dla szmuglerów, natomiast teraz postanowiłem sprawdzić tę możliwość. Przed wyjściem poprosiłem pana Bodinnicka, aby pomógł mi ustalić nazwisko obecnych właścicieli pewnego domu przy Marine Parade w Plymouth.

Mój były szef bardzo lubi wszelkie takie historie, toteż natychmiast się ożywił. Zaczął grzebać między mapami, gazetami i wykazami ulic, a w końcu zadzwonił do starego przyjaciela, który pracuje w miejskim archiwum w Plymouth. Okazało się, że ulica Marine Parade już nie istnieje. Podobnie jak spora część miasta, Marine Parade oraz pensjonat St. Agnes zostały obrócone w kupę gruzów przez bombowce Luftwaffe.

Spodziewałem się czegoś podobnego. Istniała wprawdzie niewielka szansa, że pani Danvers zamieszkała w domu po rodzicach, ale była ona nikła.

Nadal lało jak z cebra. Przebiegłem przez rynek Lanyon, kierując się ku przystankowi autobusowemu i po raz setny przeklinając decyzję o pozostawieniu samochodu w Cambridge. Spojrzałem na rozkład jazdy, który, jak wynika z moich doświadczeń, jest czystą fikcją. Teoretycznie autobus do Kerrith powinien zjawić się na przystanku za dwadzieścia minut, ale równie dobrze mógł odjechać

przed dwudziestoma minutami. Przystanek znajdował się dokładnie naprzeciwko budynku sądu, w którym wydano werdykt o przyczynie śmierci Rebeki. Stałem tam, skulony i przemoknięty, i myślałem o raportach sądowych, które przeczytałem, oraz o roli, jaką podczas sprawy odegrała druga żona Maxima.

Wszystko przebiegało spokojnie i bez zakłóceń, dopóki James Tabb nie zeznał, że jacht Rebeki został celowo zatopiony. Zaraz potem, gdy sąd poprosił Maxima de Winter o powtórne złożenie wyjaśnień i przesłuchanie przyjęło nie najlepszy dla niego obrót, druga pani de Winter z niesłychanym wyczuciem czasu odwróciła uwagę zebranych od męża. Zemdlała. Moment, który wybrała na to małe przedstawienie, tak wygodny dla Maxima, sprawił, że zacząłem się zastanawiać, czy druga pani de Winter nie wiedziała przypadkiem o śmierci Rebeki więcej, niż utrzymywała. Czy w pewnym sensie była współniczką Maxima, oczywiście współniczką po fakcie, czy też nieśmiałym niewiniątkiem, w której to roli zapamiętali ją mieszkańcy Kerrith?

Pomyślałem, że wobec tak negatywnej reakcji jej kanadyjskich prawników nie mam właściwie żadnej możliwości, aby poznać prawdę. Spojrzałem w głąb ulicy, w stronę, z której powinien nadjechać autobus, i w tej samej chwili zauważyłem machającą do mnie starszą kobietę. Była to Jocelyn Briggs, którą przyjaciel podwiózł do Lanyon. Jocelyn chciała kupić sobie nowy kapelusz, ale sądząc po sporej liczbie paczuszek i toreb, uległa także kilku innym pokusom.

- Och, panie Grey! - wykrzyknęła. - Jest pan doszczętnie przemoczony! Dobrze się pan czuje? Wygląda pan na strasznie przygnębionego! Co za okropny dzień... Właśnie zamierzałam napić się kawy - może przyłączy się pan do mnie? Potem moglibyśmy podzucić pana do Kerrith...

Już miałem odmówić, kiedy odkryłem, że przyjacielem z samochodem jest nie kto inny, jak James Tabb, i pospiesznie przystałem na miłą propozycję. Jocelyn zaprowadziła mnie do słynnej w okolicy herbaciarni Niebieski Czajnik. Sądzę, że byłem pierwszym mężczyzną, który w ciągu ostatnich paru dziesięcioleci przekroczył jej próg, ponieważ moje pojawienie się u boku Jocelyn Briggs wywołało głośny szumek wśród innych pań, do mojej towarzyszki wiekiem zbliżonych. Widząc ich zainteresowanie, Jocelyn zaróżowiła się i filuternie zamrugała powiekami.

Pierwsza sala była pełna, więc wskazano nam wolny stolik w znacznie spokojniejszym niewielkim pomieszczeniu na tyłach. Na stole leżał koronkowy obrus, w oknach wisiały koronkowe zasłony, porcelana malowana była w pączki róż, a w tle brzmiały ciche głosy przyjemnie rozplotkowanych starszych dam. Niewiele młodsza od nich kelnerka w białym czepku i mocno wykrochmalonym białym fartuszku z falbankami podała nam rożki z dżemem i domowe herbatniki. Muszę przyznać, że nigdy bym nie podejrzewał, iż właśnie tu, w tej świątyni kobiecości, gdzie czułem się bardzo nieswojo i obco, Jocelyn Briggs podzieli się ze mną informacją, która mogła wszystko zmienić.

Nigdy dotąd nie spotkałem żadnej z siostr Briggs samej, więc dopiero teraz spostrzegłem, że Jocelyn jest dużo bardziej otwarta i rozmowna, kiedy w pobliżu nie ma Elinor. Wydaje mi się, że Jocelyn ma czulsze serce niż jej siostra. Zawsze uważałem, że jest pełna ciepła i zrozumienia dla innych, a dziś dostrzegłem w niej jeszcze inną cechę, a może wyczułem ją, ponieważ byłem w marnym nastroju - otóż Jocelyn emanuje uczuciami macierzyńskimi i wielką dobrocią. Szybko nalala nam kawy i podsunęła talerz z ciasteczkami.

- A teraz proszę mi powiedzieć, co pana martwi, mój drogi - rzekła, nie spuszczać z mojej twarzy łagodnych i nieco wyblakłych niebieskich oczu. - Mam wrażenie, że jest pan smutny i ciągle zamyślony. Niepokoi się pan o pułkownika? A może o naszą drogą Ellie? Jestem pewna, że Artur szybko wróci do zdrowia, ten człowiek ma niezwykłą siłę woli. Ellie mówiła nam, że chcą mu zrobić tylko rutynowe badania...

Przerwała, a ja zrozumiałem, że wyjaśnienia Ellie wcale jej nie przekonały.

- To smutne - ciągnęła Jocelyn łagodnym głosem. - Ellie zawsze była taka silna, ojciec ma w niej prawdziwą podporę. Nie brak jej temperamentu, w dzieciństwie ciągle płała figle, ale jest zupełnie pozbawiona egoizmu. Tymczasem pułkownik wcale nie ma łatwego charakteru... Naturalnie, martwi się o jej przyszłość, wszyscy się martwimy... Co będzie, kiedy drogi Artur umrze? Musimy być realistami - wcześniej czy później wszyscy przecież umrzemy... - Westchnęła cicho i pokręciła głową. - Ale co zrobi Ellie, gdy ojciec odejdzie? Nie może zostać sama w tym wielkim domu, nawet gdy-

by było ją na to stać. Tak więc Sosny trzeba będzie sprzedać... Na pewno wybudują tam osiedle bungalowów... Mam nadzieję, kochanie, powiedziałam niedawno do Elinor, że nie dożyję tej chwili. -Z uśmiechem poklepała mnie po dłoni. - Cóż, należy tylko wierzyć, że nie nastąpi to w najbliższej przyszłości. A teraz proszę opowiedzieć mi o wizycie w Londynie. Czy właśnie ona tak zajmowała pańskie myśli? Czy wszystko się udało?

Zawahałem się i z jakiegoś powodu, może pod wpływem jej łagodności i współczucia, mojej sympatii do niej albo tego dziwnego, przesiąkniętego duchem kobiecości otoczenia, powiedziałem, po co pojechałem do Londynu. Mówiłem o moich poszukiwaniach szczerzej niż kiedykolwiek, nie ukrywając, do jakiego stopnia byłem nimi pochłonięty i jak bardzo frustrował mnie brak rzeczywistych postępów. Naturalnie nie powiedziałem wszystkiego, ale i tak było to bardzo dużo. Jocelyn słuchała uważnie, w skupieniu wpatrując się w moją twarz, i ani razu mi nie przerwała.

Gdy w końcu umilkłem, westchnęła ciężko.

- Rozumiem - rzekła. - Elinor i ja zawsze czułyśmy, że ma to dla pana wielkie znaczenie. Trudno jest wskrzeszać zmarłych, starać się ich zrozumieć i ujrzeć takimi, jakimi byli, prawda? Elinor i ja odkryłyśmy to już dawno temu, kiedy próbowałyśmy dowiedzieć się czegoś o naszych krewnych. Ale cóż, rodziny zwykle ukrywają prawdę i robią to bardzo umiejętnie. Wymyślają mity i legendy, których słuchamy w dzieciństwie, wierzymy w nie, a później... No, właśnie...

Odwróciła wzrok i umilkła. Zastanawiałem się, o jakich krewnych myślała. Wskrzeszanie zmarłych... Czy właśnie taki cel sobie wytyczyłem?

- Widzi pan, nawet gdyby udało się panu odnaleźć panią Dan-vers, to i tak wcale nie jestem przekonana, czy zdołałaby panu pomóc - podjęła po chwili. - To prawda, że mogła zatrzymać część rzeczy kochanej Rebeki, ale... Cóż, Edith Danvers zawsze była dziwną kobietą... Często powtarzałam Elinor, że przypominała mi wampirzycę. Nigdy nie miała własnego życia i całą energię czerpała z Rebeki. Nie chciała rozmawiać o nikim i niczym innym, wyłącznie o Rebecce, a kiedy już zaczynała o niej mówić, wyczuwało się w niej dziwne podniecenie, zupełnie jakby była pod wpływem alkoholu. Można powiedzieć, że tylko wtedy budziła się do życia.

Edith Danvers już jako młoda dziewczyna nie była zupełnie normalną osobą...

Jocelyn zawiesiła głos. Wpatrywałem się w nią bez słowa. Nigdy wcześniej ani ona, ani jej siostra nie dały mi do zrozumienia, że znały panią Danvers przed jej przybyciem do Manderley po ślubie Rebeki.

- Jako młoda dziewczyna? - powtórzyłem.

- Tak. Najpierw przyszła na służbę do nas. Była pokojówką mojej mamy, kiedy Elinor i ja byłyśmy jeszcze dziewczynkami i mieszkaliśmy w St. Winnows. Służyła u nas tylko parę miesięcy - mama nie była z niej zadowolona, a reszta służby nie darzyła jej sympatią. Edith była wtedy oczywiście, bardzo młoda, miała piętnaście, najwyżej szesnaście lat, mniej więcej tyle, co Elinor. Wydaje mi się, że przyszła do nas na próbę. Mama przyjęła ją z uprzejmości i sympatii, bo zawsze lubiła jej matkę...

- Jej matkę? Millicent Denvers?

- Och, tak, mama doskonale ją знаła. Millicent była na służbie u moich dziadków, rodziców mamy. Pensjonat w Plymouth zaczęła prowadzić dopiero później, już po ślubie, a wyszła za mąż w wieku trzydziestu paru lat. Wcześniej była niańką i opiekowała się naszą mamą... Może pan pamięta, że mama była najstarszą z trzech sióstr Grenville. Evangeline, nasza mama, biedna Virginia, która poślubiła Lionela de Winter i umarła młodo, oraz najmłodsza, Isolda... Uważano je za wielkie piękności, słynęły z urody w całej okolicy. Sargent namalował ich portret, któremu później nadał tytuł: *Trzy Gracje*. Obraz wisiał w Manderley. Maxim po prostu go uwielbiał, bo był to jedyny portret jego matki, Rebeka także bardzo go lubiła... Niestety, spłonął podczas pożaru... -Jocelyn potrząsnęła głową. - Szkoda, naprawdę wielka szkoda... Ale wracając do rzeczy - Millicent wychowała trzy siostry Grenville i mama była do niej bardzo przywiązana. Po ślubie Millicent pozostały w kontakcie, mama zawsze interesowała się sprawami swojej niani, również po jej zamążpójściu... Dlatego zgodziła się przyjąć Edith, lecz nic z tego nie wyszło, jak już mówiłam. Edith okazała się dumna, trudna i ostra. Jeszcze jedną filiżankę kawy, panie Grey? Może herbatniczka? Nawet nie spróbował pan ciasteczek, a są naprawdę wyśmienite...

Rzuciła mi szczere, otwarte spojrzenie. Dziwne, ale nawet przez chwilę nie pomyślałem, że te zwierzenia są przypadkowe.

- Dlaczego nie powiedziała mi pani o tym wcześniej, panno Briggs? - zapytałem.

- Nigdy nie pytał pan o panią Danvers - odparła spokojnie. - I nigdy nie wyjaśnił nam pan, czego właściwie dotyczą pańskie poszukiwania, a Elinor i ja nie chcieliśmy się wtrącać. Dlatego aż do tej chwili nie pojmowałam, jakie to dla pana ważne i z jakiego powodu. Teraz widzę to wszystko znacznie wyraźniej... Tak czy inaczej, w niczym to panu nie pomoże. Moje wspomnienia nie pomogą panu wpaść na trop pani Danvers... - Jocelyn zmarszczyła brwi. - Chciałabym jednak jeszcze coś dodać... Jeżeli uda się panu odszukać panią Danvers, proszę nie traktować wszystkiego, co powie, z pełną wiarą. Może się mylę, ale moim zdaniem ona nigdy nie rozumiała Rebeki. Z jej słów wynikało, że Rebeka była twardą, nieugiętą i okrutną istotą, taką, która nigdy nie pozwoli, aby coś stało jej na drodze do celu. To z pewnością nie jest cała prawda. Naturalnie, Rebeka była osobą pełną determinacji, o wręcz niezwykłej sile woli, lecz ja zawsze miałam wrażenie, że drogo ją to kosztowało. W jej życiu nie brakowało smutnych, tragicznych przeżyć. Nigdy o nich nie mówiła, ale można było wyczuć, że nie jest szczęśliwa. - Jocelyn spojrzała mi prosto w oczy. - Często zastanawiałam się, czy zdawała sobie sprawę, że nie może mieć dzieci, czy też dowiedziała się tego dopiero pod koniec, od tego lekarza z Londynu...

Znieruchomiałem. Ta wiadomość spadła na mnie jak grom z jasnego nieba, byłem na nią zupełnie nieprzygotowany. Próbowałem ukryć swoją reakcję, jednak niełatwo jest zamaskować głęboki wstrząs. W oczach Jocelyn Briggs dostrzegłem współczucie i chyba żal.

- Ach, nie wiedział pan o tym - rzekła cicho. - Tak mi się wydawało. Myślałam, że może Artur panu powiedział, ale najwyraźniej nie zrobił tego. Widzi pan, biedna Rebeka nie mogła mieć dzieci i nie miało to nic wspólnego z chorobą, jaka ją dotknęła. To był... Och, to był jakiś problem ginekologiczny, zniekształcenie macicy czy coś takiego... Więc nawet gdyby nie zachorowała na raka i żyła dalej, nigdy nie urodziłyby dziecka. Z tym lekarzem z Londynu widziała się dwa razy. W czasie pierwszej wizyty zrobiono jej badania, a podczas drugiej, w siedem dni później, ginekolog powiedział, że jest śmiertelnie chora i że w żadnym razie nie mogłaby zajść w ciążę. Oczywiście nigdy nie dowiemy się, czy już o tym wiedziała lub

coś podejrzewała, biedactwo... - Jocelyn wykonała drobny, niespokojny gest. - Mam nadzieję, że pan rozumie - nie ma co do tego najmniejszych wątpliwości. Artur może pokazać panu zaświadczenia, które wypisał ten lekarz. Wiem, że czasami wyrażam się bardzo niejasno, ale tym razem naprawdę nie płaczę żadnych szczegółów. Obawiam się, że po prostu nie ma tu miejsca na niedomówienia. Elinor i ja widziałyśmy te zaświadczenia...

Jej policzki pokrył mocny rumieniec. Z pewnością wiele ją kosztowała rozmowa na taki temat z mężczyzną. Tylko z jednego powodu mogła zdecydować się na tak wielką szczerość, i to właśnie teraz - najwyraźniej mnie przejrzała. Wie, że jestem adoptowanym dzieckiem, pomyślałem. Dziś opuściłem gardę, a ona zobaczyła tę żalną wieżę nadziei i przypuszczeń, którą zbudowałem, i doszła do wniosku, że musi ją zburzyć. Uczyniła to z wielkim taktem i delikatnością, ale i tak nie zdołałem ukryć bólu, który mi zadała.

W jej twarzy dostrzegłem odbicie mojego cierpienia. Nie jestem pewny, co zrobiłem, ponieważ zupełnie nie pamiętam tamtych chwil. Chyba wstałem i powiedziałem, że natychmiast muszę załatwić coś niezwykle ważnego. Myślałem tylko o tym, aby jak najszybciej uciec i schronić się w jakimś bezpiecznym miejscu. Oczy Jocelyn pełne były żalu i niepokoju.

- Och, panie Grey... Terence, proszę zaczekać. Bardzo proszę... Chyba nie powinnam była tego wszystkiego mówić. Czułam, że muszę to wyjaśnić, bo uświadomiłam sobie, że pan wierzy... Och, Boże, co ja zrobiłam?! Elinor będzie na mnie wściekła... Widzi pan, jest pan bardzo podobny do Rebeki... Inni może tego nie zauważają, nawet Elinor nie zwróciła uwagi, ale ja dostrzegłam to natychmiast, kiedy pana poznałam. Ma pan jej oczy i... Więc kiedy dzisiaj zobaczyłam pana na przystanku autobusowym, smutnego i zamyślnego, podobieństwo wydało mi się tak ogromne, że aż serce zabiło mi mocniej... Ale to niemożliwe, po prostu niemożliwe... Pomyślałam sobie, że powinien pan o tym wiedzieć. To niemożliwe...

Nie pamiętam, co powiedziałem, jakiej wymówki użyłem. Chyba wymyśliłem na poczekaniu jakieś spotkanie, o którym zapomniałem, jakiś kulawy pretekst, który nie zwiódłby ani Jocelyn, ani nikogo innego. Jocelyn nie zamierzała jednak protestować.

- Oczywiście, oczywiście - rzekła, wstając. - Proszę tylko, aby zajrzał pan do nas dziś wieczorem, albo może jutro... Wyjaśnię Eli-

nor, co zrobiłam, ale wydaje mi się, że musimy porozmawiać... Och, tak mi przykro... Proszę mi wybaczyć...

Wzięła mnie za rękę i nachyliła się ku mnie, a wtedy ujrzałem, że jest bliska łez. Wyrwałem się i chwiejnym krokiem ruszyłem przez większą salę ku drzwiom, ściągając na siebie spojrzenia obecnych. Wypadłem na zewnątrz, w ulewę, i szybkim krokiem poszedłem przed siebie, nie zważając na to, w jakim kierunku idę, pełen nienawiści do samego siebie za swoją upartą głupotę. Powtarzałem w duchu, że mogła przecież zajść jakaś pomyłka, ale wiedziałem, że to nieprawda. W oczach Jocelyn widziałem absolutną pewność. Nigdy dotąd nie zdawałem sobie sprawy, jak gorąco pragnąłem, by się okazało, że Rebeka była moją matką. Zrozumiałem to dopiero w chwili, gdy Jocelyn powiedziała mi, że to niemożliwe...

Lanyon zniknęło za kurtyną deszczu i mgły. Przeciąłem rynek i poszedłem dalej. W ogóle nie dostrzegłem autobusu do Kerrith, kierowca o mało mnie nie potrącił. Wsiadłem i zająłem miejsce przy oknie. Zupełnie nie pamiętam drogi powrotnej do Kerrith. Oprzytomniałem dopiero pod domem. Przystanąłem i długo wpatrywałem się w morze. Czarne od wodorostów fale z furją wpadały na brzeg, niosąc ze sobą morskie rośliny, muszle i żyjątka.

Przeziąknięte solą powietrze drażniło mi skórę i oczy. Odwróciłem się i wszedłem na ganek, chcąc jak najszybciej ukryć się przed resztą świata. Klucz zazgrzytał w zamku. Otworzyłem drzwi, wiatr szarpnął nimi mocno i właśnie wtedy rozdzwonił się telefon.

Podniosłem słuchawkę. Był to Simon Lang, zadowolony z siebie i chętny do dłuższej rozmowy po wizycie w archiwum Somerset House, gdzie sprawdzał dla mnie informacje dotyczące okoliczności śmierci Isabel Devlin.

Powiedział, że znalazł jej akt zgonu szybko i bez kłopotu. Cały ten proces sprawdzania danych jest fascynujący, oświadczył z entuzjazmem. Te miliony szczegółów związanych z narodzinami, ślubami i zgonami setek tysięcy ludzi, tylko czekające na to, aby ktoś po nie sięgnął... Simon złapał bakcyła. Oświadczył, że gdyby miał trochę więcej czasu, przejrzałby akta swoich dziadków, pradziadków i może nawet prapradziadków...

- Daj spokój, Simon - przerwałem mu. - Mów, co znalazłeś, na miłość boską.
- Dobrze, dobrze, co się z tobą dzieje? Nie musisz tak warczeć,

człowieku. Nie zapominaj, że wyświadczyłem ci uprzejmość. Masz pod ręką pióro, Tom?

Sięgnąłem po pióro i notatnik, i zacząłem pisać.

Isabel Honor Devlin zmarła 6 lutego 1915 roku, mając czterdzieści dwa lata. Oryginał aktu zgonu znajdował się w urzędzie rejestracyjnym okręgu Lambourn w hrabstwie Berkshire. Umarła na terenie posiadłości o nazwie Greenways, w wiosce Hampton Ferrars. Zgon zgłosiła Edith Denvers, gospodyni. W rubryce „pozycja społeczna lub profesja” Isabel określono jako „małżonkę Jacka Sherida-na Devlina, dżentelmena”, ani słowem nie wspominając, że była aktorką. Prawdziwym zaskoczeniem była jednak dla mnie przyczyna jej śmierci, potwierdzona przez lekarza z Lambourn. Isabel Devlin bynajmniej nie umarła na jakąś wyniszczającą chorobę, na przykład gruźlicę. Teraz zrozumiałem, dlaczego sir Frank McKendrick pisał o jej ostatnich miesiącach w tak dwuznaczny, wymijający sposób - Isabel padła ofiarą zakażenia krwi po porodzie.

- Zanim zapytasz, od razu powiem, że dziecko chyba przeżyło -ciągnął Simon Lang. - Bardzo zaangażowałem się w tę sprawę, jakoś tak mimo woli... Nie natrafiłem na żaden akt zgonu niemowlęcia o nazwisku Devlin, wystawiony w 1915 lub 1916 roku. Sprawdziłem to bardzo dokładnie. Nie ma też żadnych zgonów noworodków w okresie dziewięciu miesięcy przed i po śmierci Isabel...

- Zajrzałeś do aktów urodzenia?

- Naturalnie. Mam łeb na karku, naprawdę. Nie tak inteligentny jak twój, ale ujdzie. Sprawdziłem wszystkie akty urodzenia, wystawione w Lambourn w grudniu, styczniu i lutym. Miejscowi byli chyba mało płodni, bo dzieci urodziło się wtedy zaledwie kilkoro. I nie znalazłem ani jednego malucha o nazwisku Devlin. Zaraz, zaraz, to dziwne, pomyślałem. Znikające dziecko. Sprawdziłem jeszcze raz i znowu nic. Już miałem się poddać, kiedy nagle - bingo! Wydaje mi się, że go znalazłem, Tom!

- Znalazłeś go? To chłopiec?

- Tak. W akcie urodzenia wpisano, że przyszedł na świat 1 lutego 1915 roku, czyli pięć dni przed śmiercią Isabel. Wszystko się zgadza, jeśli weźmiemy pod uwagę zakażenie. Dziecko z nieprawego łoża, ojciec nieznany, matka także, zarejestrowane dwa dni po śmierci Isabel, 8 lutego. Jakiś urzędnik z domu dla sierot, gdzie go widać oddano, nadał mu imię i nazwisko „Terence Grey”. Porzuc-

ne dziecko, rozumiesz? Sugerowałyoby to, że Isabel nie miała czystego sumienia i ojcem chłopca wcale nie był Jack Devlin, dżentelmen... Tak czy inaczej, myślę, że Terence Grey to syn Isabel. W tej okolicy było to w tamtym okresie jedyne dziecko z nieprawego łoża, jakie zarejestrowano. Kupiłem kopie obu aktów i jutro ci je wyślę. A teraz pochwal mnie, mój drogi.

Powiedziałem, że świetnie się spisał, podziękowałem, pożegnałem się, odłożyłem słuchawkę i wbiłem wzrok w szalejące za oknem ciemne morze.

Teraz interwencja Rebeki, która odmieniła moje życie, stała się całkowicie zrozumiała, podobnie jak moje podobieństwo do niej, o którym nikt mi wcześniej nie powiedział. Sięgnąłem po książkę sir Franka McKendricka i z gorączkowym pośpiechem ponownie przeczytałem jego komentarz, usiłując przypomnieć sobie najważniejsze fragmenty rozmowy z Favellem. Co wiedziałem o Isabel Devlin? Była matką Rebeki. We Francji poślubiła Jacka Devlina, który następnie ją porzucił. Została aktorką. Wierzyła, że Desdemona powinna walczyć z Otellem, gdy ten próbuje ją zabić. Miała słodki, lecz słaby głos i nie potrafiła się nim odpowiednio posługiwać. Miała też „piękne, złociste włosy” i w oczach sentymentalnego sir Franka była urodzoną damą. Umarła po porodzie na początku krwawej, okrutnej wojny, zostawiając córkę, która ustawiła w swoim pokoju smutny ołtarzyk, aby uczcić jej pamięć...

Te strzępy informacji wydały mi się nieznośne - sugerowały bardzo dużo, ale mówiły za mało. Pomyślałem, że nie wytrzymam w domu ani sekundy dłużej i wyszedłem na deszcz, chcąc zagłuszyć myśli hukiem morza i szumem wiatru. Ruszyłem w kierunku małego kościoła w Manderley. Tam spotkałem córkę Isabel. Tam pochowano córkę Isabel, która była moją siostrą lub siostrą przyrodnią.

Comentarz był pusty. Mijając ociekające deszczem nagrobki, poszedłem nad rzekę, w miejsce, gdzie wiele lat temu stałem obok May. Wezbrana woda, brunatna od błota, rwała w kierunku oceanu. Spojrzałem na groby rodziny Carminowe, proste, granitowe pomniki, mające przypominać czarnooką, piękną Sarę i jej biednego syna, Bena. Teraz byłem już prawie pewny, że najmłodsze dzieci Sa-

ry Carminowe są tylko duchami na peryferiach historii Rebeki. Deszcz mocno uderzał o nagrobne kamienie. Zawróciłem do kościoła, pchnąłem ciężkie dębowe drzwi i wszedłem do środka. Od lat mojego dzieciństwa nic się tu nie zmieniło - znalazłem się w miejscu, gdzie dwadzieścia pięć lat było kroplą w spokojnym morzu wieków. Ołtarz nadal świecił złotem i błękitem, zmarli nadal spoczywali pod moimi stopami. Miałem uczucie, że czekali na mnie.

Przeszedłem między dębowymi ławkami i kiedy spojrzałem w blade, lśniące oblicze Gillesa de Winter, znowu byłem dzieckiem. Wszystkie mury obronne, które wzniosłem w ciągu tych lat, w jednej chwili obróciły się w gruzy. Położyłem dłoń na głowie zimnego małego pieska u stóp Gillesa, a gdy podniosłem wzrok, ujrzałem wpatrzone we mnie oczy koloru morza. Pomyślałem o wszystkich rzeczach, jakie mogłem powiedzieć Rebecce tamtego dnia, gdybym chociaż przeczuł, kim dla mnie była, i wymruczałem je teraz, dwadzieścia pięć lat później, kiedy nie mogła mnie już usłyszeć.

Zapewniła mnie, że siła woli naprawdę działa, więc siłą woli próbowałem przywołać moją siostrę ze świata zmarłych, nie dbając, że ostrzegła mnie przed tym. Dałbym wszystko, by znalazła się przy mnie, wróciła z tego zakątka zaświatów, w którym przebywała. Zrobiłbym wszystko, żeby ją znowu ujrzeć. Obiecałem sobie, że tym razem zatrzymam ją, nie pozwolę, aby mi się wymknęła, niczym smutna Eurydyka. Raz po raz powtarzałem w myśli jej imię i nagle poczułem jakieś drgnienie, jakiś ruch. Zimne powietrze wydawało się naładowane elektrycznością, czułem, że wokół mnie coś się dzieje i zrozumiałem, że Rebeka jest blisko. Jej cień przemknął obok mnie, parząc mnie gorącym podmuchem. Podniosłem się i wyszedłem z kościoła. Rozejrzałem się po pustym cmentarzyku. Deszcz oślepił mnie, ale wiedziałem, że Rebeka kroczy tuż przede mną. Ruszyłem przed siebie wąską ścieżką, prowadzącą do Manderley.

Byłem zupełnie mokry. Jakaś cząstka świadomości uparcie sygnalizowała, że to, co robię, jest szaleństwem, ale zatkałem uszy na jej głos i szedłem dalej, wystawiając twarz na deszcz i wiatr. Otarłem oczy i zagłębiłem się w lasy Manderley, przedzierając się między mokrymi krzewami. Potem długo stałem w cieniu murów zrujnowanego domu, zszedłem nad zatokę i patrzyłem na domek

na plaży. W powietrzu czułem zapach kwiatów i soli. Morze było wielkie i puste. Zrobiłem krok do przodu, wyczułem, jak ziemia osuwa mi się spod stóp i z mocno bijącym sercem w ostatniej chwili cofnąłem się znad krawędzi. Fale biły o brzeg. Ból dzieciństwa powoli rozluźniał uścisk. Rybitwy krążyły nad płatami białej piany. Patrzyłem na lśniące, śliskie wzgórki wodorostów i czułem jak coś, lub ktoś koi i uspokaja moje myśli.

Znajomą ścieżką, biegnącą wzdłuż klifu, zawróciłem ku Kerrith. Powoli zacząłem schodzić nad moją zatoczkę. Zmierzchało się. Z prawej strony, nisko nad morzem, wschodził blade księżyc w pełni. Nagle stanąłem jak wryty, usiłując przeniknąć wzrokiem płachty deszczu. Przed moim domkiem stała kobieta, zwrócona plecami do mnie. Była wysoka i smukła. Otworzyła furtkę i ruszyła w kierunku ganku. Nie miałem cienia wątpliwości, że to Rebeka. Zacząłem biec. Miara mojego zamroczenia niech będzie to, że nawet gdy zobaczyłem zaparkowany tuż za domem znajomy samochód, nie przyjąłem do wiadomości, co to oznacza. Przy furtce zwolniłem kroku, szedłem tak sztywno i powoli, jak we śnie. Kobieta odwróciła się i spostrzegłem, że mam przed sobą Ellie, nie Rebeke.

Przestraszyłem ją nie mniej niż ona mnie. Z cichym okrzykiem cofnęła się o krok i zaskoczonym spojrzeniem ogarnęła moje mokre włosy i ociekające wodą ubranie.

- Och, wystraszyłeś mnie - powiedziała. - Wiatr tak wyje, że nie słyszałam kroków. Jesteś zupełnie przemoczony, nie poznałam cię... Mogę wejść? Tylko na chwilę, muszę zaraz jechać...

Otworzyłem drzwi, drżącymi rękami zapaliłem lampę. Ellie stała w progu. Nie patrzyła na mnie.

- Coś jest nie tak - rzuciłem, podkręcając płomień. - Co się stało, Ellie? Coś z ojcem? Nic mu nie jest?

- Mam nadzieję - odparła. - Jeszcze nie zrobili wszystkich badań. Cały ranek trzymali nas w szpitalu i teraz mówią, że chyba ma arytmie. Arytmie, tak to się chyba nazywa... Więc chcą zatrzymać go do jutra. Wróciłam do Sosen po piżamę i parę innych rzeczy, i zaraz wracam do szpitala. Pozwolili mi przy nim zostać, bo się uparłam. Powiedziałam, że muszę przy nim być. Podobno to wbrew regułom, ale co mnie to w końcu obchodzi... Jeżeli jeszcze raz usłyszę słowo „reguły”, to chyba zrobię coś strasznego. Zacznę krzyczeć, rzucę czymś, sama nie wiem...

Pochyliła głowę i z jej gardła wyrwał się cichy dźwięk. Mówiła tak spokojnie, tak normalnym tonem, że dopiero po chwili zrozumiałem, że płacze.

- Ellie, przestań... - odezwałem się. - Nie płacz, proszę... Zbliżyłem się do niej, a kiedy nie podniosła głowy, objąłem ją.

- Pojadę z tobą - powiedziałem. - Pozwól mi...

- Nie. - Odepchnęła mnie. - Chcę być z nim sama. Zadzwoń do mnie jutro. Przed południem powinniśmy wrócić do domu. Wtedy porozmawiamy. Chwileczkę... Przyjechałam tu, żeby coś ci dać...

Wsunęła rękę pod mokry płaszcz i wyjęła szarą kopertę, taką samą jak ta, w którą zapakowany był pierwszy notatnik Rebeki.

- Listonosz przyniósł to dziś rano, tuż przed naszym wyjazdem do szpitala - rzekła. - Nie pokazałam tego ojcu, nie chciałam, żeby się denerwował. Całe to grzebanie w przeszłości, rozmyślanie o tym, co zrobił, a czego nie zrobił, po prostu go zamecza. - Podała mi kopertę. - Proszę, weź. Na pewno chętnie to przeczytasz.

i nie mów mu, że ci to dałam, w ogóle o tym nie wspominaj, przynajmniej do czasu, gdy będzie silniejszy...

- Mam to przeczytać? - zapytałem.

Chyba usłyszała nadzieję w moim głosie, bo przez jej twarz przemknął dziwny wyraz.

- Tak, przeczytać - rzuciła ostro. - Tym razem masz do czynienia z prawdziwym dokumentem. To coś dla ciebie, prawda? Tym się przecież zajmujesz - czytasz dokumenty, rekonstruujesz przeszłość z drobnych kawałków i potem piszesz o tym książki...

Zapadła cisza. Ellie odwróciła się do mnie tyłem, więc nie widziałem jej twarzy.

- Wiesz, kim jestem, Ellie? - przemówiłem wreszcie. - Od jak dawna?

- Och, na miłość boską, masz mnie za idiotkę?! - wybuchnęła. - Jeśli chcesz skutecznie kłamać, nie mieszaj kłamstw z prawdą. Dużo lepiej jest kłamać od początku do końca, w każdym razie ja tak uważam... — Uchyliła drzwi i utkwiała wzrok w przejrzystej zasłonie deszczu. - Po co mówiłeś, jaki uniwersytet skończyłeś, w którym college'u w Cambridge byłeś, przecież wiesz, że moja ciotka Rose jest tam dziekanem... Takie informacje można bez trudu sprawdzić...

- Może myślałem, że nikomu nie będzie zależało na tym, aby je

sprawdzać - powiedziałem, odwracając głowę. - Dlaczego kogoś miałyby to interesować?

- Mnie interesowało. Chciałam wiedzieć, kim jesteś. Mam taką drobną słabość - lubię wiedzieć, kim są moi tak zwani przyjaciele. Interesuje mnie to zwłaszcza wtedy, gdy godzinami przesiadują z moim ojcem. Czekalam wiele tygodni, powtarzałam sobie, że w końcu sam nam powiesz, że wszystko mi wyjaśnisz... Ale nie, nic z tego. Myślałam, że powiesz coś tamtego dnia, kiedy odwoziłam cię na dworzec w Lanyon... Gdy nie wydusiłeś z siebie ani słowa, zaraz po twoim odjeździe zadzwoniłam do Rose. Poprosiłam ją, żeby popytała o ciebie wśród znajomych. Dokładnie cię opisałam. To bardzo pomogło, bo rzucasz się w oczy. Nie należysz do osób, które wtapiają się w tłum, wiesz? Prodziekan King's College jest starym przyjacielem Rose. Dwa telefony i już miała cię jak na widelcu...

- Teraz już wszystko rozumiem - powiedziałem, mierząc ją chłodnym spojrzeniem. - Jeden telefon do jej przyjaciela prodziekana i drugi do mnie, do Londynu. To była Rose, tak? Sprawdziła mnie. Mówiłaś chyba, że nikomu nie dałaś mojego numeru...

- Skłamałam. Dlaczego nie? Ty kłamałeś przez cały czas. Postarałeś się, żeby ojciec cię polubił i obdarzył zaufaniem, ale oszukiwałeś jego i mnie. To takie wstrętne... Nie rozumiem tego. Posłużyłeś się fałszywym nazwiskiem...

- Nie fałszywym - powiedziałem i nagle się zawahałem. -W każdym razie nie do końca... Ellie, pozwól mi jechać do szpitala. Chcę z tobą porozmawiać, wszystko ci wytłumaczyć. Mało brakowało, a zrobiłbym to wczoraj, kiedy do ciebie zadzwoniłem...

- Akurat, wczoraj! Jakie to wygodne! Nie mam czasu na wyjaśnienia, muszę wracać do szpitala. Poza tym wiem, że nie możesz się już doczekać, kiedy otworzysz tę kopertę.

- Nie jedź jeszcze. Spójrz, kupiłem to wczoraj dla ciebie... Wziąłem z biurka swoją książkę o Walsinghamie i podałem Ellie.

Przyglądała się jej w milczeniu, nie podnosząc głowy.

- Kupiłeś ją dla mnie? Wczoraj? Nie kłamiesz?

- Nie kłamię, Ellie.

Spojrzała na mnie i nagle ujrzałem, jak zmienia się wyraz jej twarzy. Patrzyłem w jej łagodne, piękne oczy, widziałem kroplę wody, która spłynęła po włosach i pobiegła w dół skroni.

- Dlaczego wczoraj? Dlaczego nie wcześniej?

- Bez żadnego szczególnego powodu. Chyba miałem już po prostu dosyć kłamstw i uników. Nie musisz tego czytać, na pewno umarłabyś z nudów. Jest w niej mnóstwo przypisów i...

- Och, nie obawiam się przypisów - powiedziała.

Jej spojrzenie stało się nagle ciepłe, na twarzy pojawił się cień uśmiechu. Zrobiła krok w stronę drzwi, odwróciła się i pocałowała mnie, szybko i impulsywnie.

- Masz słone usta - mruknęła. - Byłeś na plaży. Ociekasz wodą, panie Grey, Galbraith, Tom, czy jak ci tam...

Zacząłem coś mówić i sięgnąłem po jej dłoń, ale wyrwała się i podeszła do drzwi.

- Strasznie tu zimno - rzekła. - Jeżeli nie będziesz uważał, zaziębisz się na śmierć. Posłuchaj dobrej rady i przebierz się w suche rzeczy, zanim zaczniesz czytać. Mógłbyś też rozpaścić ogień w kominku...

Stałem na schodach i obserwowałem, jak biegnie ścieżką. Kiedy dotarła do furtki, ściana deszczu prawie zupełnie ją przesłoniła. Wyglądała jak duch. Pomyślałem o tym niespodziewanym pocałunku i szybko doszedłem do wniosku, że najlepiej zrobię, jeśli o nim zapomnę. Wróciłem do domu, zamknąłem za sobą drzwi i uważnie obejrzałem kopertę, którą mi dała. Zaadresowana była tym samym charakterem pisma, co pierwsza zagadkowa przesyłka, jaką otrzymał pułkownik. Uświadomiłem sobie, że druga nadeszła dokładnie tydzień po pierwszej. Zauważyłem, że koperta jest otwarta - Ellie sprawdziła, co zawiera.

Wewnątrz był czarny notatnik, taki sam jak tamten. Ręce mi drżały. Powoli rozwiązałem rzemyki. Większość stron zapisano czarnym atramentem, charakterystycznym pochyłym charakterem pisma. Kartki pachniały solą, litery były tu i ówdzie lekko rozmazane, jakby spadły na nie łzy albo krople morskiej wody.

Zmusiłem się do zamknięcia notatnika i postąpiłem zgodnie z radą Ellie. W domu panowała wilgoć i chłód, a po wyjściu Ellie było tu chyba jeszcze zimniej. Przebrałem się w suche rzeczy i rozpałiłem ogień, potem zaciągnąłem zasłony, odgradzając się od ulewy i wichru, wyregulowałem płomień lampy i usiadłem przy biurku. Ogień migotał ciepło, płomienie trzaskały i połyskiwały zielenią, pożerając sól, którą nasycone były kawałki zbieranego na plaży

drewna. Kto przysłał ten notatnik i dlaczego? Którą z wielu Rebek znajdę na tych stronicach?

Pomyślałem o historii, którą opowiedział mi pułkownik, o spotkaniu z Rebeką w domku na plaży, tuż przed jej śmiercią. Czy w tym notatniku wtedy pisała? Czy to była historia jej życia, którą, jak powiedziała, zaczęła wtedy spisywać dla swoich dzieci? Uświadomiłem sobie, że jeżeli pułkownik dobrze zapamiętał jej słowa, to właśnie w tym wspomnieniu zawiera się odpowiedź na wątpliwości Jocelyn Briggs - Rebeka nie mogła wiedzieć, że jest bezpłodna.

Pomyślałem o domku na plaży i ujrzałem go oczyma wyobraźni - czerwony chodnik, jasny ogień w kominku, rzeźbione stateczki na półce, atmosfera bezpieczeństwa i spokoju rodem z krainy dzieciństwa... Przypomniałem sobie, jak Rebeka wtrącała się w moje życie, całkowicie je odmieniając. Nie miałem cienia wątpliwości, że gdyby nie wyciągnęła mnie z anonimowego, pełnego cierpienia dzieciństwa, byłbym dziś kimś zupełnie innym.

Na zewnątrz morze z upartym okrucieństwem wciąż chłostało piaszczysty brzeg. Z mieszanymi uczuciami otworzyłem czarny notatnik i zacząłem czytać.

CZĘŚĆ III

Rebeka

kwiecień 1931

ROZDZIAŁ 21

Taki zimny, jasny, promienny dzień - wspaniałe morze, zielone jak szkło butelki, fale ścierające muszle na pył na plaży, wysokie, czyste niebo... Tyle radości. Myślałam dziś o tobie, myślałam o tobie przez cały dzień, kochanie.

Max wyjechał - kota nie ma - więc byłam wolna i z samego rana uciekłam od nich wszystkich. Oczywiście, wcześniej zeszłam na śniadanie do mauzoleum. Jajka, których odbicie widziałam w lustrze, spływające krwią cynaderki na srebrnych półmiskach i Frith, z brzękiem przesuwanym nakrycia na stole... Rano nie jestem w stanie nic przełknąć. Wypiłam tylko odrobinę kawy, zjadłam suchą grzanekę, a potem poszłam do gabinetu, aby uporządkować swoje życie - listy, jadłospisy, umówione spotkania... Jestem bardzo systematyczna i porządna, kochanie, moja przyszłość przypomina alfabet - mające nastąpić wydarzenia wkładam do odpowiednich przegródek. O dziesiątej Jasper i ja wybraliśmy się na spacer po lesie, w czasie którego towarzyszyły nam tylko rybitwy. Azalie zaczynają już wypuszczać świeże listki.

Zeszliśmy na brzeg. Rzucaliśmy Jasperowi patyki, a on gonił za nimi, wpadał między fale, wracał i wytrząsał z sierści niezmierzone bogactwa - krople brylantów wielkie jak kamyki i błyszczące jak te, które zamknęto w moim pierścionku. Pewnego dnia przyniosę cię tutaj, kochanie. Pokażę ci skarby tej zatoki, skalę z niebiesko-brązowymi mulami, podobnymi do paznokci syrenek, miejsce, gdzie zbieram drewno do kominka, półkę skalną, na której co roku w kwietniu biała arktyczna mewa składa jedno jedyne białe jajo, i kałuże tak głębokie, że można się w nich utopić.

Widziałam dziś w nich twoje odbicie, kochanie. Wodorosty były twoimi włosami, muszelki - mocno zamkniętymi oczami, rozgwiazda - twoją zaciskającą się i otwierającą rączką. Przyływ kołysał cię łagodnie, morze śpiewało, twoje kosteczki stawały się twarde jak koral. Ruszasz się zwinnie jak rybka, kochanie. Porusz się, skarbie. Pospiesz się i przyjdź już na świat. Chcę nosić cię na rękach i pokazać ci Manderley. Pewnego dnia wszystko to będzie należało do ciebie.

Nigdy nie widziałam miejsca, w którym byłoby tyle duchów. Tutaj dosłownie się od nich roi. Czujesz ich obecność? Ja tak. Wydaje mi się, że duchy mają wielką słabość do morza. Chyba przyciągają je odgłosy, westchnienia i szepty fal, szum odpływu i przyływu. Dzisiaj była tu moja matka. Tańczyła boso na skraju plaży, odrzucając do tyłu włosy, które naprawdę miały barwę złota, ciemnego starego złota, i kiedy je rozpuściła, sięgały do pasa. Widziałam też ojca - stał przy tamtych skałach, mroczny, wysoki i zamyślony, ciemno ubrany, ze smutnym spojrzeniem. Oboje mają swoje miejsce w mojej krwi - jedno jasne, drugie ciemne, i mają je też w twojej, moje najdroższe kochanie.

Możemy być również swoimi własnymi duchami, możemy straszyć siebie samych, wiesz? Dzisiaj przyszedł tu więc także inne Rebeki. Władcza, wyniosła Rebeka nigdy nie przychodzi na plażę, trzyma się domu, owinięta w jedwabie i futra. Urodziła się pewnego dnia w domu zwanym St. Agnes i od tej pory czule się nią opiekuję, a kiedy jest mi potrzebna, wzywam ją na pomoc. Zdarza się jednak, że pojawia się z własnej woli i wtedy trochę mnie przeraża. Lepiej z nią uważać, bo chociaż jest czarująca, potrafi zaleźć za skórę. Ma sztylety w oczach i sypie iskrami z czubków palców, przyczają się jak wąż i stale łąkną krwi. Nazwałam ją madame Medea.

Była dzisiaj w domu. Przypuszczam, że knuła jakąś zemstę, bo zemsta jest przecież jej drugą naturą. Towarzyszyła jej dziewczynka, którą kiedyś byłam, ta, która ujrzała Manderley i zrozumiała, że wreszcie wróciła do domu.

Przyjrzałam się tej biednej dziewczyninie i przypomniałam sobie, jak to było, gdy przyjechałam tu po raz pierwszy. Wybiegłam wtedy z domu na poszukiwanie morza. Był jasny, pogodny dzień,

a morze wydawało się idealnie przejrzyste i spokojne. To miejsce należy do mnie, pomyślałam. Mam do niego prawo i zdobędę je, wszystko jedno jakim kosztem. Byłam wtedy niepozorna, bo jeszcze nie nauczyłam się posługiwać siłą woli. Byłam mała, chuda jak patyk i obgryzałam paznokcie. Miałam prawie czternaście lat, ale wyglądałam na dziesięć. Nie byłam atrakcyjna, o nie! Moja matka była gdzie indziej i przygotowywała się na śmierć, lecz nikt mi o tym nie powiedział. Ojca znałam tylko z imienia, nie dopłynął jeszcze do brzegu mojego życia, więc byłam całkiem sama, ani ładna, ani mądra, ani ustosunkowana... Po prostu mało interesujące dziecko, z głową nabitą sztukami Szekspira i teatrem. Tamtego gorącego jesiennego dnia stałam na środku ścieżki i pragnęłam czegoś tak mocno, że aż serce mnie bolało i brakowało mi tchu.

I nagle zza zakrętu wyłonił się Max. Słyszałam o nim, lecz nigdy wcześniej go nie widziałam. Jeszcze tego samego dnia miał wyjechać na front, na wojnę i dlatego ubrany był w mundur. Jego ojciec umierał w pokoju na wieży, w domu panował rozgardiasz, pokojówki biegały tam i z powrotem, a babka Maxa wydawała rozkazy i strzelała pytaniami we wszystkich kierunkach.

- Niedługo zaczniesz brakować mężczyznom do pracy - powiedziała przy mnie. - Jak mam prowadzić dom bez lokajów i służących?

Słońce lśniło w guzikach i sprzączkach munduru Maxa, buty błyszczały jak kasztany. U pasa miał rewolwer w pochwie, jego oczy były brązowe, twarz przystojna i przyciągająca uwagę. Syn i spadkobierca. Zmierzyłam go uważnym spojrzeniem. Aha, już wiem, co zrobię, pomyślałam sobie.

Mam ci tyle do powiedzenia, mój mały skarbie.

Te duchy trochę mnie zirytowały, zwłaszcza chudziutka, niepozorna dziewczynka, bo dobrze wiem, co się z nią stało. Poczułam się też bardzo zmęczona i słaba. Ostatnio dość często mi się to zdarza. Potrzeba strasznie dużo energii, żeby wyhodować w sobie dziecko, wszystkie te nerwy, ścięgna, mięśnie i kosteczki. Przyszłam więc do mojego domku na plaży i położyłam się, patrząc, jak powoli zapada zmierzch. Tak bardzo chciałam poczuć, jak się przeciągasz, zginasz paluszki lub kopiesz... To już czwarty miesiąc, a ty w ogóle się nie poruszasz... Trochę mnie to niepokoi.

Usiłowałam coś zjeść. Widzę, że jestem za chuda, co na pewno nie jest dla ciebie dobre. Muszę cię przecież karmić! Przełknęłam parę łyków herbaty i kawałek herbatnika, udało mi się nie zwymiotować i nabrałam trochę sił. Rozpaliłam ogień i teraz płomienie w kominku lśnią niebieskimi, żółtymi i zielonymi blaskami. Jest przyływ i jęzory morskiej piany liżą zachodnie okno. Zaciągnęłam zasłony i zapaliłam lampę, żeby było ci ciepło i przytulnie. Na podłodze leży czerwony chodnik, a przy kominku śpi mój pies, Jasper. Na półce stoją drewniane okręciki, które dla ciebie wyrzeźbiłam. Ściany domku mają prawie półtora metra grubości, więc nic nam nie grozi, nawet gdybyśmy znaleźli się w oku cyklonu. Czuję się teraz o wiele lepiej i jestem zupełnie zadowolona. Wszystko, czego potrzebują, znajduje się w tym pokoju i we mnie, moje kochanie.

Za parę dni pojedę do Londynu, do lekarza. Powinna była zrobić to wcześniej, ale jestem przesadna. Wydawało mi się, że to zbyt piękne, aby było prawdziwe, i jeżeli umówię się na wizytę lekarską, natychmiast znowu zacznę krwawić. Dlatego odczekałam całe trzy miesiące i teraz nie muszę rozmawiać z lekarzem, żeby uzyskać potwierdzenie twojej obecności. Czuję cię pod sercem, lecz chcę mieć pewność, że mój skarb będzie zdrowy i silny. Dziś po południu znad morza nadpłynęła chmura dziwnego smutku i melancholii. Ogarnęła mnie ze wszystkich stron i nie mogłam przestać myśleć o matce, która umarła, wydając na świat mojego malutkiego przyrodniego brata. Parę lat temu widziałam go w tutejszym kościele. Biedny, nerwowy chłopiec o moich oczach i sposobie trzymania głowy, który natychmiast przywodzi na myśl naszą matkę... Nie zdążyła poznać swojego dziecka, a on nie zdążył poznać matki. Nagle zrobiło mi się zimno. A gdyby coś takiego spotkało także nas?

Jestem zdrowa i silna, i jeszcze cztery miesiące temu nie wiedziałam, co znaczy złe samopoczucie, ale mimo wszystko matki nie są nieśmiertelne. Bogowie, a czasami mężowie, zaczynają zazdrościć im ich radości, i gaszą je jak świece, bo tak im się podoba. Uciszą nas, odbierają nam głos... To niestety prawda, takie rzeczy ciągle się zdarzają, kochanie.

Nie chcę, żeby moje dziecko dorastało beze mnie. Chcę być przy tobie, osłaniać cię i chronić. Nie pozwolę, aby ludzie, którzy mnie nie kochali i nie rozumieli, mówili ci kłamstwa na mój temat. Chcę, żeby moje maleństwo wiedziało, kim jestem, więc powiem ci teraz,

gdzie zawsze możesz mnie znaleźć. Jestem równie nieustępliwa jak duch ojca Hamleta, który bez przerwy szepce o zemście. Słuchaj -zawsze będę tutaj, w Manderley i mam w nosie pierwsze, drugie i trzecie pianie kogutów! Zapewniam cię, że nie pozwolę, aby moja wolność ograniczała się do godzin między północą i świtem, o nie!

Przysięgam, że jeśli przyjdiesz nad morze, poczujesz moją obecność. Nasłuchuj w korytarzach, na zakrętach schodów, a usłyszysz bicie mojego serca. Moja krew przywróciła urodę temu domowi, odnowiłam go dla mojej matki, dla mnie i dla ciebie. Ilekroć znajdziesz się wśród jego ścian, będę przy tobie. A teraz, na wszelki wypadek, gdyby zawistnym bogom przyszło coś głupiego do głowy, czytaj uważnie. Oto jestem ja, kochanie. Oto twoje dziedzictwo, oto nasza historia.

Urodziłam się w domu nad morzem, nie tak wielkim i wspaniałym jak Manderley, lecz szarym, kwadratowym i dosyć zwyczajnym. Stał na skalistym wybrzeżu, tak blisko morza, że dzień i noc słysząc w nim było piosenkę fal, kołysankę Lorelei.

Pierwsza rzecz, jaką pamiętam z najwcześniejszego dzieciństwa, to wypełniony ciepłym światłem lampy kwadratowy pokój. Moja matka, Isolda, trzymała mnie na rękach i kołysała, a morze śpiewało. Pamiętam także, jak uciekłam matce i poczołgałam się po piasku w kierunku wody. Woda była żywa i chciałam znaleźć się w niej, w jej objęciach. Wyciągnęłam ręce do zielonej, przejrzystej jak szkło fali i na szczęście w chwili, kiedy załamała się nade mną, mama złapała mnie za pięty i pociągnęła do siebie.

Nauczyła mnie słów *ta mer* i *ma mère* (morze i matka, jeżeli nie znasz francuskiego). Wydawało mi się, że brzmią identycznie, więc długo, bardzo długo wierzyłam, iż mam dwie matki - mamę i morze. Obie były piękne i silne, i miały zawsze nade mną czuwać. Czy nadal w to wierzę? Może tak...

Nasz dom znajdował się w Bretanii, blisko kościoła i niecały kilometr od rozsypującego się w gruzy zamku, w którym mieszkali dalsi kuzyni mamy. Malutka, rybacka wioska nazywała się St. Croigne Dulac i była bardzo zwyczajna, ale krążyło o niej wiele romantycznych opowieści. Niektórzy ludzie mówili, że właśnie

w St. Croigne Dulac stał pałac ojca Lancelota, który, jak na pewno wiesz, był królem Bretanii. Mama mawiała, że mieszkamy w „odległej krainie”, lecz tak naprawdę Bretania leży dość blisko Manderley. Kiedy z St. Croigne sprowadzono moją łódź, „Je Reviens”, droga morzem zajęła niecałe dwa dni. Jeśli ze szczytu tutejszych klifów spojrzysz daleko w prawo, stojąc bokiem do morza, niewykluczone, że zobaczysz miejsce, w którym przyszłam na świat. To łatwe, kiedyś nauczę cię tak patrzeć, aby widzieć jak najdalej.

Mieszkałyśmy tam w odosobnieniu, matka i ja, przez siedem lat. Całym sercem kochałam nasz dom i St. Croigne, i dziś także ciągle o nich śnię. W moich snach w St. Croigne zawsze jest lato, świt budzi mnie łagodnie i nie czuję nic poza radością oczekiwania na długi, piękny dzień, który mam przed sobą. I mogę robić, co mi się podoba... Matka lubiła odpoczywać i marzyć, czytała książki, pisała listy, czasami dawała mi lekcje. Nauczyła mnie czytać i potem często czytywałyśmy razem wiersze. Czasami grała na pianinie - miałyśmy duże pianino, które mama sprowadziła z Anglii. Było za wielkie do naszego saloniku, wilgotne, słone powietrze z pewnością mu nie służyło i kiedyś doprowadziło mamę do łez, bo koniecznie trzeba je było nastroić, a w promieniu kilkudziesięciu kilometrów nie było nikogo, kto wiedziałby, jak je uleczyć.

Całe lato biegałam boso. Rano wypijałam w kuchni czarkę kawy z mlekiem i zjadałam kawałek chleba z masłem w towarzystwie mojej przyjaciółki Marie-Hélène, która dla nas gotowała, potem zaś wybiegałam z domu prosto na plażę. Pływałam jak ryba, łowiłam krewetki w skalnych rozpadlinach i bawiłam się z wiejskimi dziećmi. W niedziele chodziłam na mszę do kościoła. Znałam wszystkie stacje Męki Pańskiej i Maman dała mi różaniec z koralowymi paciorkami, ale moja wiara w Boga była równie chwiejna jak jej. Kiedyś poszłam do księdza, łagodnego staruszka, z którym byłam w wielkiej przyjaźni, i powiedziałam mu, że chciałabym przyjąć pierwszą komunię, żeby mieć biały welon i suknię z falbankami, tak jak starsze dziewczynki. Roześmiał się głośno i nazwał mnie *une vraie petite païenne* - „prawdziwą małą poganką”.

Często obserwowałam rybaków, przybijających do brzegu z połowem: wielkimi koszami fioletowych makreli, dużymi krabami o czujnych, czarnych oczkach i tajemniczymi granatowymi homarami z drżącymi antenkami. Marie-Hélène pokazała mi, jak opra-

wiać ryby i ściągać z nich łuskę, jak wrzucać homary do rondla pełnego wrzątku, jak gotować małże i parzyć inne skorupiaki. Nauczyłam się, że jedzenie jest przyjemnością i sztuką, ale zanim zasiądzie się do stołu, trzeba zadać śmierć, niejednokrotnie w okrutny sposób. Niektóre przepisy, przekazane mi przez Marie-Hélène, nadal wykorzystujemy w Manderley i wtedy angielscy przyjaciele Maxa mówią: „Och, Rebeko, jakie to pyszne, jakie oryginalne, gdzie znalazłaś taką świetną kucharkę?”. Uśmiecham się i odpowiadam: „To pani Danvers zajmuje się wszystkim, to ona czuwa nad przygotowaniem posiłków...”. W zasadzie mówię prawdę, lecz to ja nauczyłam ją gotować, wiele lat temu, kiedy mieszkaliśmy w domu zwanym Greenways. Wkrótce opowiem ci o Greenways... Czasami, kiedy mam ochotę drażnić się z Maxem, który wiecznie się trzęsie, że wyjawię komuś swoją przeszłość, mówię: „Och, mam przyjaciół we Francji (albo krewnych) i to jeden z ich przepisów...”.

Tak czy inaczej, Maman rzeczywiście miała krewnych we Francji i raz w tygodniu składałyśmy im obowiązkową wizytę. Do nich należał dom, w którym mieszkaliśmy, i Maman mawiała, odrzucając do tyłu falę złotych włosów, że nie wolno nam zapominać, ile im zawdzięczamy. Przyjęli ją, kiedy opuściła Anglię, i dzięki nim miałyśmy dach nad głową.

- Zachowuj się najlepiej jak potrafisz, Beka - mówiła przed wizytą. - I nie kręć się, a już na pewno nie ziewaj, kiedy Luc-Gérard zacznie snuć swoje opowieści.

Kuzyn Luc był nudny jak flaki z olejem, nie da się ująć tego inaczej. Nie był taki znowu stary, mógł mieć najwyżej czterdzieści pięć lat, aleja uważałam go za stojącego nad grobem starca. Tkwił w tym rozpadającym się zamczysku z pięcioma psami i matką, hrabiną, która zawsze ubierała się na czarno i była głęboko religijna. Służba podawała składający się z sześciu dań lunch na starej porcelanie z Sèvres. Kiedy na drugie danie był pieczony kurczak, lokaj wnosił jego maleńki ptasi mózdzek, biały, wielkości ziarnka grochu, na osobnym talerzyku. Kuzyn Luc połykał ten specjalny przysmak, zarezerwowany dla pana domu, oblizywał wargi i zaczynał opowiadać swoje nudne historie. Jego matka patrzyła z góry na moją i rozdelała swoją łaskawą dobroć niczym chudą zupkę. Miliony razy tłumaczyła Maman, jak smutna i trudna jest nasza sytuacja, i mówiła jej, że rozmawiała o niej z księdzem i że stale się za nas modli...

Była starą hipokrytką. Moim zdaniem miałyśmy tylko jeden problem, a był nim brak pieniędzy. Myśl o tym, że jest nam ciężko, podtrzymywała hrabinę przy życiu przez cały następny tydzień, połowę życiowej energii i werwy czerpała z obmyślenia nowych sposobów, dzięki którym „kochana Isolda” mogłaby coś zaoszczędzić.

- Koniec z jedwabnymi sukniami - powiedziała kiedyś Maman po wizycie w zamku. - Cóż to za potwór! Koniec z sukniami, wstążkami, książkami... Jak uważasz, Beka, może powinnam jeszcze przestać kręcić włosy, co? Jeżeli mam dostać się do nieba, muszę być tak brzydka i nudna jak ona...

Lecz Maman nie zawsze mówiła o oszczędzaniu z taką buntowniczą ironią. Czasami, kiedy czek z Anglii nie przychodził (nigdy nie byłam pewna, kto przysyłał czeki - Maman utrzymywała, że to jej najstarsza siostra, Evangeline, ale nie zawsze w to wierzyłam), następował kryzys. Maman przychodziła do kuchni i ciężko wzdychała. Mówiła Marie-Hélène, że musimy obciąć koszty utrzymania.

- Może gdybyśmy nie zawsze jadły zupę... - zaczynała niepewnie. - Albo owoce... Czy mogłabyś kupować mniej owoców, Marie-Hélène? Są chyba bardzo drogie...

Marie-Hélène wznosiła oczy do nieba i nie zwracała najmniejszej uwagi na słowa Maman, która po prostu nie wiedziała, że owoce dostajemy w prezencie od ojca Marie-Hélène, a brak zupy stanowiłby obrazę dla poczucia przyzwoitości naszej kucharki. Normalny posiłek bez zupy? Nigdy w życiu. Tak więc nadal dostawałyśmy zupę, melony i śmietankę, i czarne czereśnie, i brązowe wiejskie jaja, i zielononiebieskie homary, które śpiewały, konając w garnku z wrzącą wodą, a policzki Maman pokrywał lekki rumieniec, uśmiechała się i zapominała o oszczędzaniu. Potem przychodził następny czek i wybawiał nas z kłopotów...

Następny czek albo następny prezent, ponieważ dostawałyśmy także prezenty, i to regularnie. Ktoś wiedział, że mama uwielbia ładne ubrania i przedmioty, że ma fatalną słabość do „ślicznych drobiazgów”, jak je nazywała. Ten ktoś doskonale znał jej gust. Dostawała od niego malutkie, zgrabne rękawiczki z mięciutkiego brązowego zamszu i jedwabne wstążki wyszywane w różyczki... Kiedyś dostała trzewiczki z szarej skórki, z perłowymi guziczkami, po prostu przepiękne, i jakby na nią szyte.

Ten ktoś przysłał też szal z cienkiej kaszmirowej wełny i haftowaną halebzkę, a także malutką, bogato obszytą koronką chusteczkę z wyhaftowanym białą nicią imieniem „Isolda” w jednym rogu. Przysyłał jedwabne kwiaty do przybrania kapelusza, a raz nawet piękny złoty wisior ze sprytnie ukrytym zamkiem i starannie zwiniętym lokiem włosów w środku. Tajemniczy ktoś był też nadawcą listów z angielskimi znaczkami, które Maman przechowywała zamknięte w podróżnym biureczku, listy, nad którymi czasami wzdychała. Kiedyś przysłał fotografię potężnego, szarego i pięknego domu. Maman pokazała mi ją i powiedziała, że ten dom nazywa się Man-derley. Pokochałam go od pierwszego wejrzenia, wszystkie te małe okienka, poddasze i wieżyczki... To był pałac z moich snów. Wymyślałam o nim najrozmaitsze historie i zapełniałam go bohaterkami. Maman często wyjmowała to zdjęcie i wpatrywała się w nie ze smutkiem. Jej druga siostra, Virginia, była kiedyś panią na Manderley ale biedna Virginia już nie żyła.

- Jesteśmy banitkami, Beka - mawiała Maman. - Ty i ja... Zostałam wygnana, kochanie, taka jest prawda...

Nie przywiązywałam do tego wagi. Wiedziałam, że zły nastrój minie, a nawet jeżeli byłśmy banitkami, to co z tego? Moim zdaniem wygnano nas do raj. I był to raj wyłącznie dla kobiet, nie było w nim miejsca dla takich nadętych nudziarzy, jak kuzyn Luc. Mogłyśmy w nim przebywać tylko my dwie, ja i moja piękna matka, i Marie-Hélène, i jeszcze jej kuzynka i córka, które przychodziły, aby sprzątać, prac, szorować i prasować, rozwieszały pościel na słońcu, żeby wybielała, i z podziwem wpatrywały się w koronki, hafty i monogram „I.D.”, wyszyty na koszulach nocnych i bieliźnie Maman.

My, kobiety, kochamy Dom - tę prawdę poznałam bardzo wcześnie. Dom to nie budynek, ale świątynia, a ja uwielbiałam wszystkie rytuały, jakie w niej odprawiano. Marie-Hélène wkładała całe serce w wyznawanie religii Domu, poprzeczkę stawiała bardzo wysoko i nie tolerowała żadnych niedociągnięć ani odstępstw. Podział zajęć na określone dni był święty i niezmienny - w czwartek kupowała na targu mięso, warzywa, owoce i inne produkty, w piątek ryby, w poniedziałek robiła pranie, w niedzielę chodziła na mszę. Kadzidło i ubijanie śmietany oraz masła, psalmy i pikowanie kołder, hymny i zagniatanie ciasta... Na kolana! Niezależnie od tego, czy

szorowałyśmy podłogę, czy modliłyśmy się, nasze zajęcia były uświęcone.

- Wszystko trzeba robić z nabożeństwem, moja mała - mówiła Marie-Hélène, zdyszana i spocona, lecz dumna z rezultatów naszej pracy. - Z nabożeństwem, kochanie... Praca jest jak modlitwa.

Jeszcze dziś brzmią mi w uszach te słowa, potrafię odmawiać je jak różaniec. Żelazka, grzejące się na fajerkach przed prasowaniem falbanek zdobiących bluzki Maman, niebieskie woreczki z krochmalem, szelest prześcieradeł, schnących na wietrze, mycie kuchennego stołu, mieszanie wosku z terpentyną do polerowania mebli, mycie okien (szkło musi piszczeć pod gazetą), wietrzenie puchowych materaców, poduszek i kołder, układanie drewna na opał w zgrabny stos... Wystarczy, że na chwilę zamknę oczy i już mogę wywołać z pamięci te miłe obrazy. Zgodnie z religią Marie-Hélène pyłek kurzu to śmiertelny grzech, a ponieważ jej zasady poznałam jako mała dziewczynka, zawsze będę je chętnie i szczerze wyznawać.

Zupełnie nie zdawałam sobie sprawy, że w naszym życiu czegoś brakuje, że nie ma w nim pewnego elementu, który powinien być obecny w świecie każdego dziecka. Miałam prawie siedem lat, kiedy pewnego dnia na plaży jeden z wiejskich chłopców, wysoki i chudy wyrostek, który łąził za mną i ciągle się gapił, i me miał pojęcia, że Maman jest „damą młodą i tragiczną”, rzucił we mnie kamieniem, zarechotał i wrzasnął: „Gdzie jest twój ojciec, dziewczynko, gdzie twój ojciec?”.

Powiedziałam mu, że mój ojciec nie żyje. Powtórzyłam to, co mówiła mi Maman - że statek, którym płynął, zatonał w drodze do Afryki Południowej. A ponieważ Maman już wtedy, zanim zaczęłyśmy wieść cygańskie życie i przyłączyłyśmy się do zespołu sir Franka McKendricka, czytała mi Szekspira, od siebie dodałam, że ojciec spoczywa na dnie morza w pobliżu Przylądka, obmywany zielonymi jak szkło falami Atlantyku, perły są jego oczami, a kości ma z koralu.

Chłopak najpierw ryczał ze śmiechu, a potem pociągnął mnie za włosy, pocałował w usta i rozdarł mi sukienkę. Powiedział, że jestem niegodziwa i dumna, i że moje oczy doprowadzają go do szaleństwa. Ze pójde do piekła i tam wrzucą mnie do specjalnego kotła dla bękartów. Ugryzłam go w rękę tak mocno, że aż krew mu

poszła. Uderzył mnie wtedy w twarz, z całej siły. Zakreśliło mi się w głowie i upadłam na piasek, a on runął na mnie, zacisnął rękę na moim gardle, żebym nie mogła krzyczeć, kręcił się, rzucał i szarpał mi ubranie gorącymi rękami.

Kiedy było już po wszystkim, rozplakał się, powiedział, że jestem grzesznicą i błagał, żebym mu przebaczyła. Wtedy po raz pierwszy zrozumiałam, jakimi głupcami są mężczyźni. Ulegają pokusie, a potem mają wyrzuty sumienia i pokornie czołgają się u naszych stóp. Nienawidziłam tego chłopca, z jego spojrzeniami i westchnieniami, z jego ręką na mojej szyi... Gdybym była silniejsza, powaliłabym go wtedy na ziemię i chyba zabiła, ale on był ode mnie dwa razy starszy i większy, więc tylko podrapałam mu twarz i przeklełam. Właśnie wtedy narodziła się we mnie inna Rebeka. Powiedziałam mu, że ciąży na nim klątwa i że pewnego dnia mój martwy ojciec podniesie się z dna morza i zabierze go do krainy zmarłych.

Odszedł skulony i potem już zawsze mnie unikał, a trzy miesiące później utonął. W czasie sztormu wypadł za burtę kutra swojego ojca i zaplątał się w sieć. Podziękowałam ojcu, po którym odziedziczyłam czarne włosy, jak mówiła matka, i który tak szybko mnie pomścił. Ludzie w wiosce zaczęli wtedy gadać. Byli przesądni i powiedzieli Marie-Hélène, że mam złe oczy i potrafię rzucić urok. Kuzyn Luc szalał z wściekłości, hrabina załamywała nad nami ręce, a Maman chodziła smutna i roztargniona.

Niedługo potem wróciliśmy do Anglii. Niewykluczone, że stało się tak z powodu tego chłopaka i plotek, ale równie możliwe, iż Maman podjęła taką decyzję, ponieważ czekki i piękne prezenty przestały przychodzić. Najwyraźniej coś się stało, ale Maman nie chciała mi wyjaśnić, co. Była dumna i nie lubiła takich pytań.

- Co nas to obchodzi, Beka! - powiedziała, przytulając mnie do siebie i wierzchem dłoni pospiesznie ocierając zaczerwienione policzki. - Poradzimy sobie. Mam jeszcze przyjaciół. Nie zamierzam się dłużej ukrywać, to upokarzające. Wrócimy i pokażę ci Anglię, co ty na to? Zobaczysz, że damy sobie radę i podbijemy świat, kochanie!

Kiedyś opowiedziałam tę historię Maxowi, w każdym razie jej część. Max miał bardzo oczywiste wyobrażenia na temat ślubu, ale

ja chciałam wyjść za mąż w miejscu, które znałam i kochałam, więc zmusiłam go, żeby wrócił ze mną do St. Croigne Dulac. Myślałam, że weźmiemy ślub w małym szarym kościółku nad morzem, że stary ksiądz, który nazwał mnie „małą poganką”, zwiąże nasze dłonie stulą, Marie-Hélène przygotuje weselną ucztę, a nudny kuzyn Luc wzniesie toast, i że moje szczęście przynajmniej na krótko zatruje życie jego matce, tej starej wiedźmie...

Cały czas miałam te obrazy przed oczami, ale wtedy nie umiałam jeszcze planować, "wystarczyło tylko parę minut spędzonych w St. Croigne, żeby zrozumieć, że były to mrzonki. Ksiądz nie żył, hrabina także, Marie-Hélène owdowiała i wyprowadziła się, kuzyn Luc kompletnie sfiksował i stał się odludkiem, natomiast lokalne władze zaczęły robić najróżniejsze głupie trudności - ja nie byłam tak naprawdę katoliczką, Max był protestantem, więc kościół w ogóle nie wchodził w grę i mogliśmy wziąć tylko cywilny ślub w merostwie...

Oczywiście byłam zła, ale w gruncie rzeczy nie bardzo mnie to obeszło, "wszystkie ceremonie są pozbawione znaczenia. Jeśli o mnie chodzi, ślub mógłby nam dać kapłan wudu, ale Max... Ach, z Maxem to zupełnie inna sprawa. Miał trochę odwagi, żeby rzucić wszystkim wyzwanie, lecz nie dosyć, poza tym w St. Croigne Dulac narodziły się jego pierwsze wątpliwości.

Zaprowadziłam go do wioski, przedstawiłam rybakom i rodzinie Marie-Hélène. Chyba zapomnieli o moich złych oczach, bo przyjęli nas z otwartym sercem i ramionami. Co na to Max? Cofał się, kręcił nosem, był sztywny i trzymał się na dystans. Max zna niemiecki, ja francuski i oto cała różnica między nami, kochanie moje. Okrył się tą swoją potworną aryjską angielskością jak peleryną, a wszyscy jego dobrze urodzeni przodkowie wrócili z zaświatów, aby udzielić mu surowej reprimendy. Co on właściwie robi w tej bretońskiej wiosce, pytali. Czy nie podejmuje czasem pochopnej decyzji? Czy nie popełnia oto błędu, którego będzie przez całe życie żałował? Przecież może się jeszcze wycofać...

Widzisz, Max kocha dzikość, ona go bardzo kusi, ale jeśli podchodzi zbyt blisko, przeraża go. Woli wtedy wrócić do krykieta, herbatki o czwartej trzydzieści po południu, zasad, reguł i ołtarzyka, przy którym oddaje się cześć konwenansom. Ja nie mam do tego cierpliwości, mierzi mnie to i dławi. Tak czy inaczej, wyczułam

wtedy, że zbliża się ryzykowny moment. Zgodziliśmy się na ślub w merostwie, lecz Max uczynił to nadzwyczaj niechętnie.

- Kochanie, co ludzie powiedzą? - zapytał. - Może jednak wrócilibyśmy do Anglii? Moglibyśmy wziąć ślub w Manderley. Nikogo by to nie zdziwiło - twoi rodzice nie żyją, więc moja babka wszystkim by się zajęła. Nie wolałabyś ślubu w kościele, w pięknej sukni? Zastanów się, skarbie, nie róbmy nic pochopnie... Wiesz, jaka jest moja pozycja i czego ludzie ode mnie oczekują...

Ujrzałam wielki niepokój w jego oczach i nagle zrozumiałam: najmniejsza zwłoka i Max zdezerteruje, ucieknie, rzuci mnie, opuści, tak jak moja matka i później ojciec... Nie mogłam na to pozwolić. Przysięgał, że mnie kocha i nie wątpiałam w to. Całym sercem kochałam Manderley, więc musiałam działać bardzo szybko.

W dzień przed wyznaczoną datą ślubu w merostwie zabrałam Maxa na plażę. Było mroczne, pochmurne popołudnie. Max nadal miał wątpliwości i nie był zadowolony z mojej, no, powiedzmy, że naszej decyzji. Postanowiłam pokazać mu, kim jestem, bardzo chciałam to zrobić, byłam zdeterminowana, może to przez tą przedślubną treść, sama me wiem... Krótko mówiąc, pokazałam mu swój świat - niebezpieczne morze, rozpadliny wśród skał, biały jak wyschnięta na kość piasek, ojca-mściciela i złotowłosą matkę, która tańczyła na skraju fal, zamszowe rękawiczki, złoty wisior, religię Domu i pianino, które nie chciało grać sonaty Mozarta, ponieważ wymagało nastrojenia.

Myślę, że zrozumiał. Tak mi się wydaje. Powiedział, że jestem jego najdroższym skarbem, tak właśnie mnie nazwał. Patrzył na mnie smutnymi, ciemnymi oczami, zapominając o zimnie i wietrze, mówił, że jestem jego Panią z Morza, a kiedy mgła podkradła się blisko, przygarnął mnie do siebie, pogładził futro z fok, w które byłam otulona, i pocałował. Oświadczył, że następnego dnia pójdziemy do merostwa, skoro tego chcę. I tak jesteśmy już mężem i żoną, lecz teraz rozumie, dlaczego chcę wziąć ślub tutaj, dlaczego ma to dla mnie takie wielkie znaczenie.

- Zrobię wszystko, o co poprosisz - powiedział. - Teraz i zawsze, dopóki będę żył. Weź mnie za rękę, Rebeko. Przysięgam, że dotrzymam słowa.

Chwyciłam jego dłoń. Fale spokojnie obmywały brzeg i wtedy -och, co za straszny błąd! - z mojej pamięci wypełzło tamto wspo-

mnienie. Opowiedziałam mu o tym chłopaku, jak ze mnie drwił i jakie okropne rzeczy mi mówił, jak ugryzłam go w rękę i jak przewrócił mnie na ziemię. Opowiedziałam mu wszystko, o plamach na mojej sukience i rybim odorze, i jak tamten błagał, dyszał i jęczał...

Pragnęłam, żeby zrozumiał, ale nic z tego nie wyszło. Wyraz jego twarzy zaczął się zmieniać. Najpierw dostrzegłam malujące się na niej wątpliwości, potem ten paskudny, sztywny niesmak i wreszcie - rodzące się na moich oczach niechętnie podniecenie, coraz większe i większe. Wiesz co, kochanie? Max wyglądał wtedy dokładnie tak samo jak tamten chłopak, identycznie! Byłam wstrząśnięta. Wiem, że nigdy, nigdy mu tego nie wybaczę.

Oczywiście, zaraz odzyskał równowagę, sięgnął do zapasów dobrego wychowania i przygalopował na ratunek o wiele lat za późno, w chwili, kiedy nie potrzebowałam już, aby ktokolwiek mnie ratował. Wydobył na powierzchnię wszystkie konwenanse swojej klasy i powiedział, że to przerażające, iż coś takiego przydarzyło się dziecku, i że szczerze podziwia moją odwagę, bo większość kobiet zataiłaby to przeżycie. Poczułam do niego pogardę, kiedy usłyszałam te banały. Myślał chyba, że się wstydzę, ale jeśli tak, to bardzo się mylił. Dlaczego miałabym się tego wstydzić? A jednak zmilczałam. Otoczył mnie ramionami i obiecał, że teraz już nigdy nic mi się nie stanie, bo on będzie nade mną czuwał. Nie trafiło mi to do przekonania, ponieważ jestem dużo twardsza od Maxa i sama potrafię się bronić. Naprawdę potrafię, mówię ci. Lepiej ze mną nie zadzierać - tamten chłopak zginął, prawda?

Powiedziałam mu to, ale naturalnie nie uwierzył. Całował moje oczy i usta, i gdyby nie było tak zimno, chyba położyłby się ze mną na piasku. Nie mógł jednak tego zrobić, więc zabrał mnie do naszego hoteliku, przyszedł do mojego pokoju i popchnął mnie na łóżko. Drżał na całym ciele. Widziałam, że dręczy go myśl o tym chłopcu, że jest gotów zrobić wszystko, żeby pozbyć się obrazów, jakie mu niebacznie podsunęłam, lecz jednocześnie, co bardzo dziwne, sam chciał nim być...

Tyle rozkoszy... Byliśmy pijani rozkoszą. Maxowi wróciła odwaga. Wyplątaliśmy się z wilgotnej pościeli, ubraliśmy się i poszliśmy do merostwa z dwoma przygodnymi świadkami. O dziesiątej rano wzięliśmy ślub. Moja bielizna była przesiąknięta sokami naszej miłości, białe cieplarniane róże miały ostre kolce i pokłuły mnie...

Max zlizął krew z moich palców. Potem wypiliśmy parę kieliszków czerwonego wina w hotelu i wróciliśmy do łóżka. Morze szumiało głośno przez całą noc, a Max nie był wtedy taki sztywny, o nie...

- Nikt nie musi wiedzieć - powiedział pogodnie następnego dnia rano. -Jeżeli ktoś zapyta o nasz ślub, skłamiemy. To będzie nasza tajemnica, kochanie.

Przytaknęłam. Ja również byłam bardzo szczęśliwa. Owinęłam się wilgotnym prześcieradłem i odrzuciłam do tyłu włosy.

- Oto moja ślubna suknia - rzekłam. - Miała sześciometrowy tren, który niosło sześć drujen i dwóch paziów. Chór śpiewał przepięknie, w zamku odbyło się wspaniałe przyjęcie przy świecach. Kiedy kroiliśmy biały weselny tort, nóż błyszczał. Mój kuzyn wzniósł toast, a Max wygłosił elegancką mowę po francusku. Powiedział...

Przerwałam. Max siedział nieruchomo i uważnie mnie obserwował.

- Mówiłeś, że to będzie nasza tajemnica, że wszystkich okłamiemy... - zaczęłam.

Pochyliłam się i pocałowałam go. Na serdecznym palcu prawej dłoni miałam teraz dwie obrączki, nową, ślubną oraz tę pierwszą, z brylantami. Pomyślałam, że może to go rozzłościło. Odwrócił się ode mnie.

- Wiem, ale nie zdawałem sobie sprawy, jak doskonale umiesz kłamać - odparł i obrzucił mnie dziwnym, nieodgadnionym spojrzeniem. - To wszystko wcale się nie zdarzyło, a jednak sprawiłaś, że przez chwilę to widziałem...

Kłopoty. Od razu je wyczułam, zresztą już wcześniej wiedziałam, że teraz, kiedy w jego umyśle zakiełkowały wątpliwości, nie uniknę pytań. Czy powiedziałam mu całą prawdę? Kto jeszcze, poza tym chłopakiem na plaży? Kiedy, gdzie i jak często? Wierz mi, kochanie, takie pytania w małżeństwie, zresztą w każdym związku dwojga ludzi, to straszliwy błąd. Nie należy ich zadawać i nie wolno na nie odpowiadać, zwłaszcza szczerze i zgodnie z prawdą. Zazdrość nie jest normalnym stanem umysłu. Po pytaniach przychodzi czas na oskarżenia, a w przypadku Maxa nie musiałam na to długo czekać, wystarczyły trzy dni. Urządził mi prawdziwe przesłuchanie nad brzegiem urwiska, gdzieś niedaleko Monte Carlo, zadawał pytanie za pytaniem, a w dole, sto metrów pod nami szalało morze, którego nie było w stanie okiełznać nawet to bogate, kapiące złotem wybrzeże.

Prawda i kłamstwo to bliźnięta, śmierć i pożądanie żyją obok siebie. Ja zawsze o tym wiedziałam, lecz dla Maxa to odkrycie było niewyobrażalnie bolesne. Widziałam jego pobladłą twarz, cierpienie w oczach i zrozumiałam, że dla niego nie ma już odwrotu znad krawędzi. Zepchnij mnie, pomyślałam, i w tej samej chwili zdałam sobie sprawę, że on naprawdę rozważa taką możliwość, że z trudem opiera się pokusie.

Umysł mężczyzny jest dla nas wielką zagadką. Czy w ich sposobie myślenia kryje się jakakolwiek logika? A jeżeli tak, to jaka? Dlaczego robią wszystko odwrotnie niż my? Dlaczego rozpaczliwie czepiają się jakichś szalonych, niemożliwych do zrealizowania pomysłów i potem wściekają się, ponieważ świat, a w moim przypadku - kobieta, nie potrafi i nie chce się do nich dostosować?

Wydaje mi się, że odpowiedziałam na jego pytania ostrożnie i rozważnie. Wspomniałam o kilku z moich kochanków - w końcu miałam wtedy dwadzieścia pięć lat. Max nie był prawnikiem, więc niby dlaczego miałby mi wyrzucać, że nie byłam dziewicą? Zataiłam tylko jedną sprawę - nie powiedziałam mu, kim była Maman. Zawsze nazywałam ją „Isabel”, imieniem, które wpisano w jej akcie zgonu. I jakimś cudem ominęłam kwestię ojca (nie ma sensu zaprzeczać, że istnieją tu pewne znaki zapytania, aleja naprawdę wierzę, iż moim ojcem był czarnowłosy Devlin). Ocenzuowałam opowieści o Greenways i kuzynie Jacku. Byłam wściekła, więc możliwe, że wymknęło mi się parę interesujących faktów, lecz na pewno nie było to nic ważnego. Prawie na pewno... Tak czy inaczej, nie miało to żadnego znaczenia, ponieważ błąd popełniłam wcześniej, opowiadając mu o tym chłopaku na plaży. To była straszna pomyłka, nie mam co do tego cienia wątpliwości. Wydaje mi się, że nasza walka na śmierć i życie zaczęła się właśnie wtedy, mój skarbie.

Max nigdy nie zdołał zapomnieć o tym chłopcu, a upływający czas odmienił jego wizerunek - teraz tamten nie jest już najgorszym wrogiem czy bestią, lecz najbliższym towarzyszem mojego męża. Max wypomina mi go podczas każdej naszej kłótni i zawsze mówi, że mu go żal.

Twierdzi, że to nie była wina chłopaka, tylko moja. Ze w moich żyłach płynie skażona krew, i że na pewno doprowadziłam go do tego, może nieświadomie, a może świadomie.

Nie zaprzeczam i nie oburzam się, bo po co? Niech Max myśli

sobie, co chce. Jego oskarżenia sprawiają, że wszystko się we mnie gotuje, ale nigdy nie pozwolę, aby wyprowadził mnie z równowagi. Nie zamierzam sprzeczać się z nim na ten temat. Nie przekonam go, bo już dawno zdecydował, że wina leży po mojej stronie. W oczach Maxa ten biedny chłopczyzna naprawdę jest towarzyszem jego własnej niedoli. On nie zaplątał się w sieć rybacką, on się zaplątał w sieć moich podstępnych i perfidnych zabiegów. Sęk w tym, że już jako dziecko byłam zła, nienaturalnie rozbudzona seksualnie i zdeprawowana. Angielski dżentelmen w pełni zgadza się z francuskimi chłopami, którzy uważali, że mam złe oczy i potrafię rzucić urok. Niech Bóg dopomoże każdemu mężczyźnie, który przypadkiem znajdzie się na mojej drodze, napisano w ewangelii według Maxa. Jestem kobietą fatalną, niszczycielskim żywiołem, jego własną Dalilą i Jezabel (to chyba oczywiste).

Max uważa, że tamten chłopak był moją pierwszą ofiarą. Sam zamierza zostać ostatnią, w każdym razie tak mi się czasem wydaje, kiedy widzę godny Otella błysk w jego oku, a ostatnio dostrzegam go coraz częściej...

Tydzień temu starannie naoliwił stary rewolwer. Prawdopodobnie wydaje mu się, że jeśli zabije mnie, tę wściekłą sukę, zrobi wszystkim przysługę. Chciałby mnie uciszyć, ale jeśli myśli, że osiągnie ten cel za pomocą kuli, grubo się myli.

Niezależnie od tego, co zrobi, nigdy mnie nie uciszy. Będę dalej szeptać w jego głowie, sercu i trzewiach. Nigdy nie przestanie mnie słyszeć. To zresztą bez znaczenia, bo teraz nie może mnie zabić, choćby najbardziej tego pragnął. Jestem w ciąży.

Czy wiesz, że nawet na morderczyniach nie wykonuje się wyroku śmierci, jeżeli oczekują dziecka? Tradycja i prawo nakazują, aby darować im życie. Jestem pewna, że Max zrezygnuje ze swoich planów, bo przecież niczego nie pragnie bardziej niż dziedzica. Jest tak zdesperowany, że czasami pozwala wywabić się ze swego mnisiego łóża w garderobie. Szczotkuje mi wtedy włosy, tulimy się do siebie i myślimy o tym, że mogło być inaczej i kiedyś było inaczej... Nie zawsze go nienawidzę i on też nie zawsze mnie nienawidzi. Kiedy widzimy ten błysk rozpoznania w swoich oczach, ogień wybucha w jednej chwili i płoniemy w nim, płoniemy jak suche drewno na podpałkę...

Ostatni raz zdarzyło się to rok temu. Teraz mam krótko obcięte

włosy, jak zakonnica... Czasami tracę poczucie czasu, chyba ze zmęczenia. A może to wina melancholii, która pojawia się wraz z przyływem...

Zastanawiam się nad czymś: gdybym dała Maxowi dziedzica, gdybym jakimś cudem obdarowała go spadkobiercą, czy wtedy za-supłany węzeł naszej przeszłości rozwiązałby się sam, raz na zawsze?

Prawdopodobnie nie. Chyba nie... Och, kochanie, jestem strasznie zmęczona. Mam zawroty głowy i jest mi niedobrze. Nie pozwolę się uciszyć - chcę mówić i chcę, żeby zmarli przemówili przeze mnie, ale wymaga to ogromnej siły woli.

Może trochę się zdrzemnę, a potem będę pisać dalej. Zaczęło padać. Chwileczkę, wydaje mi się, że coś słyszę...

Muszę przerwać, ale wkrótce opowiem ci, jak nauczyłam się grać, jak pojechałam do Manderley i jak po raz pierwszy spotkałam Maxa, syna i spadkobiercę, w mundurze, tuż przed wyjazdem na front.

Teraz szybko zamknę ten mały czarny notatnik i schowam go. Znowu mnie szpiegują. Ktoś nadchodzi. Jasper warczy i słyszę kroki na ścieżce.

ROZDZIAŁ 22

Mój gość już sobie poszedł. Kiedy usłyszałam kroki, pomyślałam, że to może Max wrócił wcześniej i ma nadzieję przyłapać mnie na gorącym uczynku. Potem przyszło mi do głowy, że to raczej szalony Ben Carminowe, który często włóczy się po plaży. Max mówi, że Ben szuka swojej małej siostrzyczki, która utopiła się w jednym z oczek wodnych między skałami. Nie daje się przepędzić, podchodzi pod domek i podgląda mnie przez okna. Zagroziłam mu, że jeżeli znowu go zobaczę, każę go wysłać do przytułku. Przypomina mi tego bretońskiego chłopaka. Nienawidzę go.

Na szczęście nie był to ani Max, ani Ben, lecz Artur Julyan, drogi pułkownik, który zjawia się na moich balach kostiumowych przebrany za Cromwella, Lorda Protektora. Walczył z wyrzutami sumienia podczas długiego spaceru wzdłuż wybrzeża i postanowił zajrzeć do domku, ponieważ zobaczył światło w oknie. Artur Julyan jest moim jedynym przyjacielem w tej części świata. Zawsze staram się postępować z nim łagodnie i ostrożnie, i dziś również tak było. Widziałam, że wystarczy jeden drobny gest, jedna uwaga, a załamie się i wyzna, co do mnie czuje. Darzę go zbyt wielką sympatią, żeby podjąć takie ryzyko (oboje żałowalibyśmy później takiego wyznania), więc byłam chłodna i odległa. Może i mam w sobie złą krew, ale nigdy nie flirtowałam z Arturem Julyanem, nie zwodziłam go i nie zachęcałam. Nigdy! Bardzo go lubię - kieruje się honorem, jest samotny, staroświecki i uparty. Przykro mi, że uczucie, które do mnie żywi, sprawia mu ból.

Podejrzewam, że poza babką Maxa jest jedyną osobą z sąsiedztwa, która wie, kim jestem. Nikt inny nigdy nie skojarzył chudego,

mizernego dziecka, które w 1914 roku na krótko pojawiło się w okolicy, z żoną Maxa. Przeistoczyłam samą siebie, więc jak mogłabym przypominać tamtą niepozorną dziewczynkę... Ale Artur Julyan mnie poznał, jestem tego pewna. Zostałam mu przedstawiona w 1914 roku, a dziesięć lat później los ponownie postawił go na mojej drodze. Właśnie wrócił wtedy z Singapuru, a ja byłam młodą żoną, trzy miesiące po ślubie. Wbiegłam prosto z ogrodu do dużego salonu, gdzie czekał, aby złożyć mi wyrazy szacunku. Miałam na sobie białą sukienkę, do której przypięłam małą niebieską broszkę w kształcie motyla - prezent od Maman. Uścisnął mi rękę i zauważyłam, że spojrzał na broszkę. Dam głowę, że wtedy przypomniał mi siebie, a jeżeli nawet nie mnie, to mój talizman.

Tak czy inaczej, nigdy nie wspomniał o tym ani słowem, i bardzo go za to szanuję. Życie nauczyło mnie, że prawdziwa dyskrecja jest najrzadszym z darów. Kiedyś serdecznie podziękuję Arturowi Julyanowi.

Nie został długo, ale też niewiele stracił. Kiedy wyszedł, przespałam się trochę i teraz czuję się znacznie lepiej. Zamknęłam drzwi przed wiatrem i deszczem, i zamierzam pisać dalej. Oto reszta twojego dziedzictwa, kochanie.

Jak już mówiłam, w ciągu pierwszych siedmiu lat ani razu nie wytknęłam nosa poza St. Croigne Dulac, a przez siedem następnych ciągle podróżowałam. Właśnie w tym okresie nauczyłam się grać i ta sztuka okazała się niezwykle użyteczna. Jeździliśmy po całej Anglii, tam i z powrotem, w górę i w dół, najczęściej pociągami, dawaliśmy dziewięć przedstawień tygodniowo, potem pakowaliśmy się i w niedzielę wyruszaliśmy do następnego miasta.

- Zupełnie jak Cyganie, Beka - mówiła Maman, kpiąc z dezaprobaty swojej siostry Evangeline. - Ale trudno - nie będę zebrać o łaskę, a jeść musimy. Powiedziałam Evangeline, że gram w sztukach Szekspira, nie tańczę przecież na scenie w jakimś lokalu...

Potrafisz to sobie wyobrazić, kochanie? Życie wśród tych sztuk, sześć wieczorów w tygodniu plus trzy poranki - krótki kurs morderstwa, zdrady, podstępu, zemsty, przeklętej miłości, czarów, białej magii i małżeństwa... W czasie podróży przekraczaliśmy granice czasu i przestrzeni. W poniedziałek byliśmy w Ilirii, we wtorek

w lesie pod Atenami, w środę na polu bitwy, w czwartek na ponurych wrzosowiskach, w piątek w Wenecji, w sobotę w moim ukochanym miejscu, na zaczarowanej wyspie Kalibana... Cóż to była za edukacja! Żadna szkoła ani guwernantka nie zapewniłaby mi lepszej, skarbie!

Niektóre wieczory spędzałam na scenie, ponieważ szef naszego zespołu, sir Frank McKendrick, od początku zagonił mnie do grania ról młodych chłopców. W pozostałe siadałam w kącie za kulisami, wsłuchiwałam się w te uskrzydłone słowa i uczyłam się ich na pamięć. Jeszcze dziś potrafię wyrecytować długie fragmenty scen i nie przeczę, że nadal rozpalają one mój umysł i wyobraźnię. W każdym słowie Szekspira umiem odnaleźć ukryte znaczenie, a pod nim inne i jeszcze inne... Słowa jego sztuk rozbrzmiewają zmiennym echem. Max chciałby założyć wędzidło każdemu słowu, okiełznać je. „Miłość” ma znaczyć to i to, „nienawiść” to i to... Nie zgadzam się z nim - słowa powinny zabierać nas w podróż. Moja podróż zaczęła się i skończyła w tym samym miejscu - w Plymouth, przy ulicy Marine Parade, w domu zwanym St. Agnes.

Kiedy przybyliśmy do Anglii, Maman straciła odwagę, chociaż wcześniej była podekscytowana i snuła rozmaite plany.

- To moje pożegnanie z młodością - powiedziała, zamykając kwadratowy szary dom na bretońskiej plaży.

Patrzyła na skaliste wybrzeże, jej oczy błyszczały buntowniczo, ale kiedy wypłynęliśmy z St. Mało, coś się zepsuło. Od chwili gdy dotarliśmy na drugą stronę kanału La Manche, nękały nas różne kłopoty. Nikt nie czekał na nas w porcie, więc zgodnie z wcześniejszym planem pojechaliśmy do hotelu w Portsmouth, ale nie było tu listów, które Maman spodziewała się odebrać.

Nadal nie wiem, kto miał po nas przyjechać. Może siostra, a może tajemniczy wielbiciel, który ostatnio z dużym opóźnieniem przysyłał czek i ładne podarunki. Zostałyśmy na lodzie, lecz Maman próbowała sobie z tego żartować.

- Jesteśmy jak nieodebrana na czas paczka, Beka - oświadczyła, rozglądając się po ponurym małym pokoju, który nam przydzielono. - Ale nie damy się zgnębić. Zaraz każę rozpalić ogień, przynieść kolację i trochę wina. Za chwilę będzie tu całkiem przytulnie, kochanie, zobaczysz...

Maman była osobą o ogromnym uroku, miłym stylu bycia

i wielkiej determinacji. Całe szczęście, że taka właśnie była, jeżeli weźmie się pod uwagę, co czekało nas w ciągu następnych siedmiu lat. Tak więc kelner przyniósł kolację i butelkę wina - Maman wypila dwa kieliszki na wzmocnienie, ja jeden, z dodatkiem wody. Potem wysypałyśmy wszystko z portmonetek i podliczyłyśmy nasze aktywa, wyszło nam, że jeżeli będziemy żyły oszczędnie, pieniędzy wystarczy na siedem dni.

- Na cały tydzień, Beka! - wykrzyknęła. - Jesteśmy bogate, skarbie!

Położyła mnie do łóżka i otuliła koldrą, ale nie mogłam zasnąć. Maman nie spała do późnej nocy. Spacerowała po pokoju, w końcu wyjęła podróżne biurczko i zabrała się do pisania listów. Rano poszłyśmy na pocztę, żeby je wysłać i od tej chwili czekałyśmy na ratunek.

Nadszedł po pięciu dniach i chyba w innej postaci, niż oczekiwała. Nasz gość zjawił się o jedenastej przed południem, a jego przybycie obwieściła flejtuchowata hotelowa pokojówka. Maman spała - znowu położyła się o świcie, bo pisała listy i chodziła od okna do drzwi i z powrotem - więc sama zesłam na dół, żeby zobaczyć naszego dobroczyńcę. Byłam bardzo ciekawa, czy czeka tam siostra Maman, Evangeline, czy tajemniczy wielbiciel, którego wtedy wyobrażałam sobie jako wysokiego, ciemnowłosego, bogatego i sympatycznego dżentelmena, może z wąsami...

Nie była to jednak ani Evangeline, ani wielbiciel od zamszowych rękawiczek. W holu stała wysoka, chuda młoda kobieta, od stóp do głów ubrana w czerń, w czarnym kapeluszu wbitym na czarne włosy i o oczach tak błyszczących jak czarne dżety, którymi obszyty był jej żakiet.

Kiedy podeszłam bliżej i spojrzała na mnie, wydała mi się bardzo dziwna. Miała bardzo bladą cerę i stała nieruchomo, lecz mimo to odniosłam wrażenie, że kłębi się w niej ogromna energia. Pomyślałam, że jej serce musi tykać jak zbyt mocno nakręcony zegarek, którego mechanizm nieco już zardzewiał.

Spojrzała więc na mnie, a ja odpowiedziałam jej równie uważnym spojrzeniem. Jej żółtobiała skóra do złudzenia przypominała zastygły wosk, ale kiedy tak mi się przyglądała, w jej twarzy zaszła zmiana. Od chudej szyi podpełzł ku zapadniętym policzkom lekki rumieniec. Poruszyła palcami w tanich rękawiczkach. Na czarnej pończosze, widocznej poniżej rąbka wąskiej, długiej spódnicy, wid-

niała starannie zacerowana dziura. Jestem biedna, mówiły rękawiczki i cera. Jestem dumna, mówiły wąskie, mocno zaciśnięte wargi. A oczy... Co mówiły oczy? Miałam wrażenie, że kryje się w nich tęsknota. Poczułam się tak, jakby wyciągnęła macki i przyssała się do mojej skóry...

Gdy się odezwała, okazało się, że jej głos jest nie mniej dziwny niż wygląd. Nie rozpoznawałam wtedy różnych odmian akcentu, dopiero później odkryłam, że starała się przytłumić dość wyraźny akcent z zachodniej części Anglii i mówić jak osoba z klasy wyższej. Dziwny, trzeszczący głos, pozbawiony emocji, które mimo wszystko czaiły się pod powierzchnią każdego słowa, był prawie zupełnie pozbawiony intonacji, podobnie jak głosy ludzi głuchych. Miałam wielką ochotę, by powiedzieć coś w taki sposób, ale postanowiłam zrobić to później.

- Rebeka Devlin! - rzekła, za mocno ściskając moją rękę. - Rebeka Devlin... Proszę pozwolić, że się panience przyjrzę... Biedne dziecko. Ma panienka bardzo ciemne włosy... Przyjechałam od razu. Powie panienka mamie, że tu jestem? Ze Millicent wysłała mnie natychmiast po odebraniu listu. Proszę jej powiedzieć...

- Kim pani jest? - przerwałam jej wyniośle.

Nie podobało mi się, że nazwała mnie „biednym dzieckiem”. Jakim prawem sobie na to pozwala?

Mogła poczuć się urażona moim tonem, ale zareagowała zupełnie inaczej. Rzuciła mi pełne uwielbienia spojrzenie, jakby była zachwycona, że wskazano jej właściwe miejsce. W czarnych oczach dostrzegłam uniżoną, psią wierność i błysk podziwu. Od tamtej pory milion razy czułam na sobie takie fanatyczne spojrzenia. Nienawidzę ich, ale nauczyłam się z nimi żyć.

- Zupełnie jak mama panienki! - zawołała. - Teraz widzę już podobieństwo! Nazywam się Edith Danvers. Moja matka była nianią panienki Isoldy. Czy panienka Isolda nic nie mówiła?

Obserwowałam ją uważnie. Maman rzadko opowiadała o swojej przeszłości, nie miałam jednak zamiaru informować o tym tej kobiety.

- Panienki mama na pewno mnie pamięta - ciągnęła. - Proszę jej tylko powiedzieć, że Danny jest na dole. W St. Agnes czeka na was obie pokój, a jeżeli panienka Isolda pozwoli, z radością spakuję wasze rzeczy...

Poszłam na górę, obudziłam Maman i przekazałam jej tę wiadomość. Na dźwięk imienia „Danny” przewróciła oczami i zrobiła jedną ze swoich zabawnych min.

- O Boże... - jęknęła. - Ta kobieta czepia się człowieka jak powój. Jej matka jest cudowną osobą, była moją nianią i bardzo się do niej przywiązałam, ale ta córeczka... Cóż, nie ma co narzekać. Zejdę do holu i wezmę byka za rogi. Rzuć mi sukienkę, kochanie... Nie, nie tę starą, muszę dbać o pozory... Tamtą jedwabną, dobrze?

Zasznurowałam Maman gorset i zapięłam suknię, pomogłam ułożyć włosy. Parę sekund później wyglądała po prostu wspaniale. Umiała być znakomitą aktorką, chociaż obawiam się, że nie na scenie... Kiedy grała przed widownią, zawsze była trochę sztywna i nienaturalna, natomiast poza sceną potrafiła wykrzesać z siebie mnóstwo talentu. Była wtedy dowcipna, pogodna, czarująca i absolutnie naturalna. Spłynęła po schodach z godnością udzielnej księżnej i serdecznie powitała czekającą na nią na dole woskową figurę. Nikt by się nie domyślił, że wcale nie była zachwycona jej widokiem. I nikt, ale to nikt by nie zgadł, że została nam już tylko jedna samotna gwinea... Dziwaczna Danny rozplynęła się w obecności Maman jak lód na słońcu. Błada twarz się rozpromieniła, oczy zwilgotniały, a głos raz czy dwa załamał się ze wzruszenia. Biedna ofiara feudali-zmu! Było mi jej naprawdę żal.

- Och, panno Isoldo... - westchnęła. - Nie mogę uwierzyć, minęło tyle czasu... Matka powiedziała, że jeżeli mogłybyśmy w czymkolwiek pomóc...

- Kochana Millicent! - rzekła Maman. - Wprost nie mogę się doczekać, kiedy ją zobaczę. Mogłabyś spakować nasze rzeczy, Danny? Pamiętam, że nikt nie robił tego lepiej od ciebie... Jak najszybciej, bo zimno mi się robi na myśl o jeszcze jednej nocy w tym okropnym miejscu...

- Oczywiście, proszę pani - odparła Danny służbiście.

Jej pojawienie się w naszym życiu zdecydowało o tym, jak potoczyło się następne siedem lat.

Danny triumfalnie zawiozła nas do St. Agnes, które okazało się nie kościołem, jak sobie wyobrażałam, ale bardzo czystym, świetnie zorganizowanym pensjonatem.

- Wszystko aż łśni - mawiała Millicent. - I tak powinno być...

Dom stał wysoko nad zatoką w Plymouth, z okien można było obserwować okręty wojenne. Wszystkie krzesła pokrywały ozdobne pokrowce, na wszystkich parapetach tkwiły mosiężne doniczki z aspidistrami, a posiłki były bardzo angielskie. Kiedy przyjechałyśmy, Millicent Danvers podała nam gorący mlecz ze śledzi na grzankach i przedstawiła nam swego męża, „pana D.”, starannie ubranego starszaka ze sztucznymi zębami, nękanego jakąś bliżej nieokreśloną dolegliwością, którego po krótkiej chwili wyprowadziła z pokoju. Edith nalala świeżo zaparzoną herbatę. Widziałam, że wstydzi się śledziowego mleczu, sztucznych zębów ojca i fartucha matki. Gdy zauważyła, że Millicent zapomniała podać serwetki, zaczerwieniła się i natychmiast je przyniosła. Przełknęłam kęs grzanki ze śledziową ikrą i pomyślałam, że jeżeli zostaniemy tu dłużej, wyschnę na patyk. Maman była bardzo wesoła, czarująca i dzielna, lecz ja nauczyłam się już rozpoznawać niebezpieczne sygnały. Wiedziałam, że wkrótce nastąpi kryzys, i rzeczywiście. Dzień później, kiedy początkowa euforia ustąpiła, Maman wpadła w przygnębienie.

Każdego dnia po południu, przez cały tydzień, wkładała najlepszą suknię w gołęzim kolorze, najładniejszy kapelusz i te śliczne zamszowe rękawiczki. Szczypała się w policzki, żeby się zarumieniły, długo i starannie poprawiała woalkę i z bardzo zdeterminowaną miną wyruszała z domu na jakieś tajemnicze wizyty.

Edith Danvers wróciła do stojącego w pobliżu domu, gdzie była na służbie, więc większość czasu spędzałam z Millicent. Była miła i serdeczna. Opowiadała mi o lokatorach pensjonatu, dwóch urzędnikach, jednym komiwojażerze i regularnie zatrzymujących się u niej wędrownych aktorach. Dała mi do powąchania wodę lawendową i uroniła dwie krople tych eleganckich perfum na przeguby dłoni. Nie przyznałam się do tego, ale pomyślałam wtedy, że woda lawendowa pachnie jak kocie futro. Pozwoliła mi pomagać sobie w kuchni i wyjaśniła, że warzywa zawsze gotuje przez godzinę w wodzie z odrobiną sody - taki był jej sekret. Stawałam na drewnianym stołku przy zlewie i polewałam rozpuszczonym mydłem zatłuszczone naczynia. Codziennie pomagałam jej też czyścić i skrobać wielkie góry warzyw. Millicent umiała mi czas różnymi historiami i wywoływała z mroku bardzo interesujące wydarzenia i postacie. Co prawda nigdy nie wspomniała ani słowem o moim

ciemnowłosym, nieżyjącym ojcu, ale za to chętnie mówiła o mojej angielskiej rodzinie.

Maman była najmłodszą z trzech ślicznych sióstr, dużo młodszą od dwóch starszych. Millicent powiedziała zagadkowo, że była niespodziewanym prezentem od losu. Najstarsza siostra, Evangeline, już dawno temu została lady Briggs, mieszkała w pięknym domu zwanym St. Winnows, niedaleko Plymouth, i miała dwie uroczę córki, Elinor oraz Jocelyn. Jej mąż był bogaty jak Krezus, ale wywoził się z dużo gorszej rodziny niż Evangeline. Millicent powtarzała, że korzenie „naszej” gałęzi rodu Grenville sięgają początków brytyjskiego królestwa, natomiast sir Joshua nie bardzo miał się czym chwalić. Podobno sir Joshua był raczej trudnym człowiekiem o wąskich horyzontach, ale cóż... Miał wielki majątek i jako młodzieniec był przystojny, więc kiedy panna Evangeline oznajmiła, że zamierza go poślubić, nikt specjalnie nie protestował. Panna Evangeline, podobnie jak większość kobiet z rodu Grenville, była bardzo zdecydowana, żeby nie powiedzieć - uparta...

Drugą siostrą, która zmarła parę lat wcześniej, była kochana, dobra biedna Virginia z opowiadań Maman. Virginia świetnie wyszła za mąż - udało jej się pójść do ołtarza z najlepszą partią w okolicy, właścicielem Manderley, panem Lionelem de Winter. Potem okazało się, że mogła jednak trafić lepiej, bo pan Lionel nie był przykładnym małżonkiem. Biedna panna Virginia, niech Bóg ma w opiece jej duszę, urodziła dwoje dzieci, najpierw córkę, Beatrice, potem chłopca, Maximiliana, syna i dziedzica. Niestety, nie było jej dane ujrzeć go dorosłym, ponieważ gdy miał trzy lata, zapadła na ciężką gorączkę.

- I po tygodniu już nie żyła! - oznajmiła Millicent. - Dlatego paniczka Maximiliana wychowywała babka. Panna Virginia nigdy nie była zbyt zdrowa, nawet jako dziecko, biedactwo. Zawsze bardzo nerwowa, taka wrażliwa... Mówiłam, że nie będzie jej dobrze w Manderley. Wielkie, ponure domisko, wszędzie przeciągi, za blisko morza... W czasie burzy na pewno można tam oszaleć, panienko.

- Widziałam fotografię Manderley - powiedziałam. - Ktoś przysłał ją Maman. Wydaje mi się, że to piękne miejsce.

Millicent upuściła nóż, którym siekała kapustę, i schyliła się, żeby go podnieść.

- Może i tak - rzekła niepewnie, dziwnie zmieszana. - Na swój sposób może i jest niebrzydkie... Każdy ma inny gust...

- Może Maman właśnie tam dziś pojechała - ciągnęłam spokojnie, chociaż dosłownie płonęłam z ciekawości, a przecież wiedziałam, że Maman nic mi nie powie. - Może wybrała się tam z wizytą, przecież wróciła po ośmiu latach nieobecności, prawda, Millicent?

Millicent była zdania, że Maman nie pojechała do Manderley. Jej siostra nie żyła, więc widok tego domu mógł obudzić w Maman tylko smutne wspomnienia. Millicent kilka razy powtórzyła, że Maman na pewno nie wybrała się do Manderley, lecz ja wcale jej nie uwierzyłam.

- Pojechałeś do Manderley, Maman? - zapytałam, kiedy w końcu wróciła do domu.

Byłyśmy w naszej sypialni w St. Agnes, z krucyfiksem na ścianie, nad przypominającym czarny grobowiec kominkiem. Zaraz po powrocie Maman rzuciła się na łóżko i leżała bez ruchu, blada i wyczerpana, ale gdy zadałam jej to pytanie, zerwała się na równe nogi i zaczęła spacerować po pokoju.

- Nie, skądże! - rzuciła. - Dlaczego miałabym tam jechać? Kto podsunął ci taki pomysł? Kto nabija ci głowę takimi nonsensami, Beka? Na miłość boską, wydaje ci się, że mam za mało zmartwień?!

- Nikt nie nabija mi niczym głowy. Millicent opowiadała mi o twojej siostrze Virginii, to wszystko. Zastanawiałam się, czy...

- Nie zastanawiaj się, dobrze? - powiedziała bardzo ostro. - Biedna Virginia nie żyje. Nienawidzę tego domu i ich wszystkich - Lionela de Winter i jego okropnej matki, która bez przerwy jeździła biednej Virginii po głowie! Nigdy mnie nie lubiła! Robiła co mogła, żeby utrudnić mi życie! Stara ropucha! Arogancka, wścibska wiedźma! Nie odwiedziłabym jej, nawet gdyby leżała na łożu śmierci. Powinna była umrzeć dawno, dawno temu, och, z całego serca żałuję, że nie umarła! Wszystko mogło ułożyć się zupełnie inaczej. Lionel i ja byliśmy kiedyś przyjaciółmi. Byłam wtedy młodą dziewczyną, biedna Virginia ciągle chorowała, a on miał tyle kłopotów na głowie... Gdyby nie jego matka, nadal byśmy się przyjaźnili...

- Przecież mówiłaś, że go nienawidzisz.

- Ale moglibyśmy żyć w przyjaźni, prawda? Przestań mnie przesłuchiwać, Beka! Tak czy inaczej, Lionel jest poważnie chory... Och, co ja mam robić? Co się z nami stanie? Nie możemy tu zostać, nie mam pieniędzy, żeby zapłacić Millicent! Żyjemy z łaski mojej niań-

ki, na miłość boską! Evangeline nie może pomóc lub nie chce. Mówi, że nie powinnam była wracać. Własna siostra traktuje mnie jak wyrzutka! To nie do zniesienia! Nie mam pojęcia, co robić...

Zalała się łzami, znowu padła na łóżko i odwróciła się do ściany z krucyfiksem. Zemdlilo mnie z przerażenia, nigdy nie widziałam jej w takim stanie. Ja również nie wiedziałam, co robić, ale przyszło mi do głowy, że dobrze by było, gdybym poznała prawdę, więc przyniosłam jej herbatę i lekarstwo na ból głowy, a potem usiadłam i gładziłam ją po włosach, dopóki nie usnęła. Powiem ci teraz, kochanie, co zrobiłam, gdy byłam już pewna, że śpi mocno. Na palcach podeszłam do komody, znalazłam małą srebrną kluczyk, który trzymała w szkatułce z biżuterią, i otworzyłam nim szufladę podróżnego biurka.

Wyjęłam listy od tajemniczego wielbiciela, związane haftowaną w różyczki wstążką, i przeczytałam je wszystkie. Najpierw pisał co tydzień, co dwa, co miesiąc, a potem przerwy między listami zaczęły wydłużać się coraz bardziej. Kiedy skończyłam cztery lata, Maman dostawała mniej więcej jeden list na trzy miesiące, później jeden na pół roku. Ostatni list, poplamiony łzami, przyszedł prawie rok temu.

Na szczęście listy były raczej krótkie i łatwe do odczytania, ponieważ ich autor miał duży, trochę dziecinny charakter pisma. Nie rozumiałam wszystkich słów i niektóre rzeczy, które pragnął zrobić, jak pisał, budziły moje zdumienie. Czytając jego wyznania, czułam, jak drobne dreszcze przebiegają mi po ciele.

Powiem ci, co odkryłam, kochanie. Tajemniczym wielbicielem Maman był Lionel de Winter, mąż jej zmarłej siostry i mój wuj. Zaczął pisać do Maman bardzo dawno temu, zanim się urodziłam. Pisał do niej, kiedy mój ojciec jeszcze żył, wiele miesięcy przed jego zgubną w skutkach podróżą. Nie podobało mi się, że nazywał mężatkę, żonę innego mężczyzny „słodkim kochaniem”, o nie. Gdyby ojciec o tym wiedział, na pewno by go zabił, pomyślałam.

Zastanawiałam się, czy Maman zauważyła, jak z biegiem czasu zmieniał się ton jego listów, i czy cierpiała z tego powodu. Najpierw była „słodkim kochaniem”, potem „kochaną dziewczynką” Lionela, wreszcie „drogą Isoldą”. Najpierw „oddalby pół życia, żeby ją zobaczyć”, potem „bardzo chciałby się z nią spotkać”, wreszcie obiecywał, że „postara się coś wymyślić”, oczywiście jeśli okoliczności na

to pozwolą, a na razie „przyśle jej coś ładnego, tak ładnego jak ona sama”, żeby poprawić jej humor.

W ostatnich listach wyraźnie pobrzmiwała nuta niezadowolenia. Lionel miał dosyć narzekania. Czyjego mała Isolda nie wie, że mężczyźni nie znoszą kobiet, które ciągle narzekają, pytał. Przecież to wszystko nie jego wina. Tak, rozumie, że jej sytuacja jest trudna i że czasami może czuć się samotna, ale w gruncie rzeczy powinna być zadowolona, że mieszka w wygodnym, miłym domu we Francji. Gdyby wróciła do Anglii, znowu zaczęłyby się plotki, zwłaszcza gdy przywiezie ze sobą dziecko. Ludzie wysnuli by z tego zupełnie niewłaściwe wnioski, on byłby skompromitowany, a Isolda nie miałaby wstępu do żadnego przyzwoitego domu. Bardzo prosi, aby natychmiast zapomniała o tym szalonym pomysle.

Ukradłam ostatni list Lionela, żeby mieć czym podsycać nienawiść, i dobrze, że to zrobiłam, ponieważ po śmierci Maman ktoś (najprawdopodobniej Danny) zniszczył wszystkie pozostałe. Znam na pamięć te tanie, żalosalne wymówki. Oto próbka, kochanie. Oto cały Lionel de Winter, człowiek o zajęczym sercu... Oto fragment listu ojca mojego męża do mojej matki:

Skarbie, będę z tobą szczery - wiesz, że zawsze darzyłem cię ciepłymi uczuciami i to się nigdy nie zmieni. Jesteś kochaną, dobrą dziewczyną, ale jesteś też bardzo uparta... Nigdy nie ukrywałem przed tobą, jak wygląda moja sytuacja, nie możesz temu zaprzeczyć. Dobrze wiesz, Isoldo, że nie ja zadzierzgnąłem ten węzeł. Mówisz, że byłaś jeszcze dzieckiem, że zakochałaś się, ale jeśli spojrzymy wstecz, może przypomnisz sobie, że fakt zdrady niepokoił raczej mnie niż ciebie. To ja miałem wyrzuty sumienia, moja droga. Pamiętasz tamten dzień w domku na plaży?

Mam wrażenie, że nie dostrzegasz problemów, jakie mnie wtedy dręczyły - chora, wiecznie narzekająca żona, dokuczliwa matka, samotność i nuda. Byłem w fatalnym nastroju, więc nic dziwnego, że dałem się porwać twojej młodości, wesołości i współczuciu. Każdy mężczyzna ma określone potrzeby i kiedy nie zostają one spełnione, pojawia się pewne niebezpieczeństwo. Moim zdaniem, trudno winić za to mężczyznę.

Obiecałem, że wszystkim się zajmę i dotrzymam słowa, ale twoje oskarżenia wcale mi w tym nie pomagają, prawdę mówiąc. Nie zostałaś „pogrzebana żywcem”, jak to ujmujesz, Isoldo, wręcz odwrotnie, żyjesz w komfortowych warunkach, o ile wiem. Nie zapominaj, że to twoja rodzina posta-

nowila rozdzielić nas po śmierci Virginii. To oni wywieźli cię do Francji -moja matka i ja nie mieliśmy z tym nic wspólnego. Naprawdę nie wiem, dlaczego sądzisz, że „maczaliśmy w tym palce”, jak piszesz. Potem pośpiesznie, pod wpływem impulsu i wbrew moim radom zawarłaś małżeństwo, które okazało się zwykłym mezaliansem. Bardzo mnie to zabolalo. Nie mam wobec ciebie żadnych zobowiązań, moja droga, nie mówiąc już o twoim dziecku, a biorąc pod uwagę stanowisko twojej rodziny, wydaje mi się, że powinnaś docenić życzliwość, jaką okazuję ci jako przyjaciel i szwagier.

Pisałem już, że ostatnio nie czuję się dobrze. Od paru miesięcy skarżę się na bóle i bardzo mnie to przygnębia. Musiałem sporządzić testament, co samo w sobie jest wystarczająco ponure, i w miarę moich skromnych możliwości zrobiłem też zapis dla ciebie. Zajęło mi to kilka dni i nie było łatwe. Cały majątek i zdecydowanie za dużo pieniędzy zablokowanych w funduszach, ale zrobiłem dla ciebie, co w mojej mocy. Sądzę, że powinnaś być mi za to wdzięczna, tymczasem ty narzekasz i grozisz, a wszystko dlatego, że nie jestem w stanie przepłynąć przez Kanał, żeby cię odwiedzić. Zastanów się nad tym, Isoldo.

Tak więc gdyby coś się ze mną stało, będziesz miała zabezpieczoną przyszłość. Nie zapomniałem o tobie, widzisz? Tylko nie wspominaj o tym w listach, na miłość boską! Są w tym domu pewne osoby (wiesz, kogo mam na myśli), które chętnie czytują cudzą korespondencję. Sądzę, Isoldo, że byłoby lepiej, gdybyś nie pisała tak często. Twoje listy są bardzo długie, skarbie, a ich pisanie na pewno cię nie uspokaja, zwłaszcza gdy ja nie mogę odpowiadać na nie tak szybko, jak bym chciał. Mam tysiąc spraw nagłowie, kochanie. Prawie cały ubiegły tydzień spędziłem w biurze, porządkując dokumenty związane z prowadzeniem Północnej Farmy i usiłując rozwikłać kłopoty rodziny Carminowe, bo wdowa znowu robi trudności. Widzisz więc, że nie brakuje mi zajęć. Chciałbym, żebyś to sobie uświadomiła, przynajmniej czasami.

Ale głowa do góry. Uśmiechnij się, moja dziewczynko. Posyłam mojej niegrzecznej Isoldzie śliczne rękawiczki, co ty na to? Frith zapakuje je i wkrótce powinnaś dostać przesyłkę.

Jakże nienawidziłam tego człowieka, z jego tanimi słówkami i obietnicami, ukrytymi groźbami i wzgardliwą pobłażliwością. Cała moja przeszłość stanęła nagle pod znakiem zapytania. Może Maman wcale nie płakała z powodu nienastrojonego pianina, pomyślałam, ale z powodu podobnego listu... Powąchałam papier - cuchnął fałszem.

Poczułam, jak gdzieś w głębi, pod sercem, rodzi się wielki gniew.

Miałam ochotę chwycić wszystkie te bzdurne drobiazgi, które jej przysyłał, i poszarpać na drobne kawałki. Chciałam podrzeć rękawiczki i zmiażdżyć obcasem złoty wisior z pasmem włosów w środku. Wyjęłam wisior ze szkatułki, otworzyłam go i spojrzałam na ja-snorudy lok. Teraz wiedziałam już, że są to włosy Lionela de Winter. Brzydziłam się jego włosami i nim samym. Okłamał Maman i zawiódł ją. Ale ja nie zamierzałam pozwolić, aby uszło mu to na sucho... Postanowiłam, że pomszczę Maman i dobrze wiedziałam, jak poradzić sobie z wujem Lionelem.

Nie dałam ponieść się wściekłości, o nie, przez cały czas byłam zimna jak ostrze noża. Wsunęłam te podłe listy do kopert i odłożyłam je do szuflady biureczka, potem wrzuciłam do szkatułki kluczyk i wisior. Nie zapomniałam o niczym. Dopiero kiedy byłam pewna, że wszystko leży na swoim miejscu, przywołałam na pomoc ojca, dokładnie tak samo jak wtedy, w Bretanii. Napęczniała jego siłą oraz swoją własną wściekłością i nienawiścią, przeklełam Lionela de Winter, jego dom i wszystkich jego potomków, do ostatniego pokolenia.

Nie przyszło mi do głowy, że może przeklinam samą siebie. Byłam wtedy kompletnym niewiniątkiem, kochanie. Wiedziałam, czym jest miłość, ale nie miałam pojęcia o seksie i temu podobnych rzeczach. Zaczęłam się zastanawiać dopiero parę lat później, kiedy matka powierzyła mi część swoich sekretów.

- Miałam wtedy szesnaście lat - powiedziała. - Byłam dużym dzieckiem, Beka... Mój wielbiciel był żonaty, aleja świata poza nim nie widziałam. Wierzyłam mu, ufałam, potrafił owinać mnie sobie wokół małego palca...

W moim sercu obudził się mały robak wątpliwości, lecz teraz jego podszepty już mnie nie niepokoją, i ciebie też nie powinny. Wszelkie wątpliwości rozwiąły się z chwilą, gdy mój ojciec, Jack Devlin, powrócił ze świata zmarłych. Weszłam do salonu w Green-ways, spojrzałam na niego i już wszystko wiedziałam. Mam jego włosy, jego krew i jego irlandzkie szczęście, więc ta klątwa nie mogła dotknąć ani mnie, ani ciebie, moje kochanie.

Dotknęła natomiast Lionela. Z satysfakcją donoszę ci, że umierał tak, jak sobie zasłużył - powoli i w potwornych bólach.

Patrząc wstecz, zdaję sobie sprawę, że tamtego dnia skończyło się moje dzieciństwo. Musiałam szybko dorosnąć, nie miałam innego wyjścia, wyjęłam wodze z ręki Maman, ponieważ nie była w stanie ich utrzymać. Obawiałam się, że celem jej popołudniowych wizyt jest znalezienie jakiegokolwiek schronienia, powiedzmy sobie jasno - przytułku. Byłam pewna, że zwróciła się do Evangeline i miałam rację, jak się później okazało. Bałam się, że w chwili rozpaczy i załamania pojedzie do Manderley, a na to nie mogłam pozwolić. Maman miała w sobie tyle odwagi i siły, nie chciałam, by jej duma została upokorzona. Musiałyśmy po prostu zdobyć lub zarobić jakieś pieniądze.

Pytałam wszystkich, jak kobiety zarabiają pieniądze. Zadałam to pytanie staremu panu D., któremu Millicent pozwalała teraz wychodzić z jego pokoju częściej niż na początku. Pan D. pracował jako stolarz w stoczni w Plymouth. Siadywał w ogródku na tyłach St. Agnes i wycinał dla mnie z drewna małe stateczki, bardzo podobne do tych, które wyrzeźbiłam dla ciebie, kochanie. Miał zręczne, sprawne ręce, był łagodny i bardzo spokojny. Umierał na rozedmę płuc i niestety nie potrafił mi pomóc. Powiedział, że większość mężczyzn ma jakiś zawód, ale z kobietami jest inaczej, a z dobrze urodzonymi damami - jeszcze gorzej...

Millicent niepewnym głosem podsuwała rozmaite sugestie, pewnego dnia zaś, kiedy na herbatę wpadła Danny wspomniała, że w niektórych salonach, gdzie sprzedaje się na przykład suknie, panie obsługujące klientki wyglądają na bardzo dobrze wychowane. Danny rzuciła serwetkę na stół i zrobiła się zupełnie czerwona.

- Nie mów bzdur, mamó - rzuciła. - Po co opowiadasz takie rzeczy, i to przy dziecku? Co się z tobą dzieje?

Wyobrażasz sobie, co to był za świat? Dom wariatów, w którym kobieta traciła pozycję społeczną tylko dlatego, że pracowała! Niestety nie można powiedzieć, aby od tamtego czasu bardzo wiele się zmieniło. To idiotyczne! Gardzę takimi zasadami. Są z gruntu złe, niegodziwe, bo robią z kobiet niewolnice albo podłe intrygantki. Wiele lat później, kiedy po śmierci ojca zostały mi tylko długi i legion wierzycieli, poszukałam pracy i zaczęłam zarabiać. Nie obchodziło mnie, co ktoś powie czy pomyśli - gdybym musiała, szorowałabym podłogi. Tyle że moja sytuacja była jednak zupełnie inna. Wychowały mnie plaże Bretanii i Marie-Hélène, więc byłam prak-

tyczną, rzeczową i twardą osobką, a poza tym miałam świadomość, że zawsze znajdę ratunek w religii Domu.

Maman miała pecha - urodziła się jako dama i tak też ją wychowano. I to uczyniło z niej kalekę, możesz mi wierzyć.

Pieniądze, pieniądze, pieniądze. Przez cały miesiąc myślałam tylko o pieniądzach. Millicent powtarzała mi, żebym się nie martwiła, że pracuję za dwie pokojówki, obieram warzywa i zabawiam pana D., aleja wiedziałam, że to nieprawda. Millicent miała złote serce. Pieniądze, pieniądze, pieniądze... Wieczorem szłam spać i śniłam o sakiewkach pełnych złotych monet.

Pewnego dnia zeszałam na dół i ujrzałam naszego wybawcę. Przyjechali aktorzy. Sir Frank (wtedy nie miał jeszcze tytułu szlacheckiego, dostał go później) był wysokim, imponującym dżentelmenem. Farbował siwiejące włosy, a kiedy się odezwał, było go słyhać z odległości kilkuset metrów. Jego żoną była przysadzista, tłusta ropucha, którą znienawidziłam od pierwszego wejrzenia, o żółtych, zawistnych oczkach.

Sir Frank lubił przypominać wszystkim (mniej więcej co dwie minuty), że skończył Oxford i miał zostać duchownym, lecz Wielki Bard powołał go do innej służby. Zaraz po studiach przeszedł kurs czeladniczy u największego z wielkich - Henry'ego Irvinga.

- Kim pan jest dziś rano, panie McKendrick? - pytałam przy śniadaniu.

- Hamletem, panno Rebeko - odpowiadał z uśmiechem i pańskim gestem.

Dziś jestem Hamletem albo Brutusem, Ryszardem III albo Makbetem... Tak powinno wyglądać życie, kochanie. Człowiek powinien być wolny jak ptak, aby każdego ranka mógł decydować, kim będzie. Po śniadaniu sir Frank robił próbę, która nigdy nie trwała zbyt długo. Wszyscy członkowie jego zespołu grali w tych sztukach od tak dawna, że nie było roli, której nie znaliby na pamięć.

Sir Frank McKendrick miał bardzo miękkie serce. Niektórzy widzieli tylko jego próżność, ale nie ja. Wyczułam w nim dobroć i słabość do pięknych dam, a już szczególnie pięknych dam w opresji. McKendrick był snobem, więc panięskie nazwisko Maman (Millicent nie omieszkała poinformować go, że Maman była panną Gren-

ville) podziało jak balsam na jego serce. Zauważyłam to wszystko, kiedy przedstawiał się Maman. Młoda, piękna wdowa z dobrej rodziny, której przyszło żyć w tak ciężkich czasach... Nie był w stanie się temu oprzeć. Z galanterią pochylał się nad jej dłonią. Potworna żona zmierzyła Maman podejrzliwym spojrzeniem, więc natychmiast zrozumiałam, że będziemy musiały jakoś ją wymanewrować, lecz to mogło okazać się stosunkowo mało skomplikowane. Poszłam na górę i rozpakowałam nasze książki. Nim minął tydzień, Maman czytała poemat *Pani z Shalott* przed wdzięcznym audytorium w salonie Millicent. wystarczyło jedno spojrzenie na sir Lancelota i pani z Shalott zaczęła umierać:

*Frunęła sieć i poleciała daleko, Lustro zakotyssało się tam i z powrotem,
»Spełnia się klątwa rzucona na mnie»,*

Wykrzyknęła pani z Shalott.

Uwielbiam ten wiersz! Maman czytała go doskonale, łagodnym, melodyjnym głosem, który uwiódł i oczarował nas wszystkich. Potem musiałam już tylko wytłumaczyć panu McKendrickowi, że znalazłyśmy się w chwilowych tarapatach finansowych (dobrze znał ten problem) i musimy jakoś z nich wybrnąć. Zabrałam go na poranny spacer po Marine Parade, zachwyciłam recytacją kwestii Puka i zasugerowałam, że w gruncie rzeczy zyska dwie aktorki za gażę dla jednej. Przypomniałam mu, że potrzebuje kogoś do drugo-i trzecioplanowych ról kobiecych, wzięłam go za rękę i powiedziałam, iż musimy zawiązać spisek. Po pierwsze, jego żona może robić pewne trudności...

- To prawda, niestety - rzekł, kiwając głową.

Po drugie, Maman na pewno odrzuci taką propozycję. Scena? Nigdy się na to nie zgodzi, chyba że umiejętnie manipulując, zachęcimy ją do przyjęcia oferty. Jeżeli wzbudzi się w niej pewność, że to jedynie tymczasowe zajęcie, jeżeli kostiumy do ról będą ładne, a my zdołamy jej wmówić, że bez jej pomocy pan McKendrick będzie musiał odwołać spektakl, to kto wie...

- No, no... — McKendrick przystanął i spojrzał na mnie uważnie. - Czapki z głów, młoda damo. - Zdjął kapelusz i ukłonił się teatralnie. - Prawdziwy z ciebie Jago, słowo daję, Ryszard III w ko-

lebbe... I w dodatku całkiem niezły Puk, panienko. - Zrobił kilka kroków, udając brak zdecydowania, podniósł dłoń do czoła, popatrzył na zatokę ponurym wzrokiem ducha ojca Hamleta i odwrócił się do mnie ze stanowczym wyrazem twarzy, godnym Fortynbrasa. Z trudem powstrzymałam się od oklasków.

- Dobiliśmy targu, panienko - powiedział, potrząsając moją ręką. - Zawieramy układ, czy tak? Twoja mama będzie prawdziwą ozdobą naszego małego zespołu. Ma klasę, urok, wszystko, co trzeba. Panią McKendrick zajmę się sam, ty skoncentruj uwagę na mamie. Podzielimy się na dwie grupy i odniesiemy zwycięstwo. Tydzień wystarczy?

- Trzy dni - odparłam, myśląc o pieniądzach.

- Ach, porywczą młodości! - rzekł pogodnie.

Poradziliśmy sobie doskonale, Frank McKendrick i ja. Załatwiliśmy sprawę w ciągu dwóch i pół dnia. Maman zmieniła imię na „Isabel”, żeby rodzina nie musiała się jej wstydzić. Podczas tego pierwszego tygodnia zagrałam w teatrze Plymouth Royal dwóch przeklętych przez los chłopców (przekleci przez los chłopcy stali się moją specjalnością), natomiast Maman wystąpiła w roli służącej lady Makbet i została dublerką aktorki grającej Hermionę, ofiarę zazdrości. W Dunsinane Maman nosiła suknię z niebieskiego aksamitu, a z pierwszej gaży kupiła mi broszkę z błękitnej emalii w kształcie motyla, jedną z moich dwóch najcenniejszych rzeczy. Pewnego dnia obie będą należały do ciebie, kochanie.

Maman potrafiła być bardzo beztroska i impulsywna. Wiem, że w swoim nowym świecie czuła się jak ryba w wodzie, chociaż nigdy nie przyznała się do tego nikomu poza mną. Kilka lat później, szykując się do ostatniego występu w roli Desdemony nadal mówiła wszystkim, że oczywiście jest to tylko tymczasowe zajęcie...

Twierdziła, że za każdym zakrętem czeka na nią lepsza przyszłość. Nieprawda. Za ostatnim zakrętem czyhała na nią śmierć. Pociesza mnie tylko to, że w wielkim zamieszaniu, które zawsze poprzedza śmierć, nie zdążyła sobie tego uświadomić.

ROZDZIAŁ 23

Nadeszła fala upałów, kochanie.

Prawie nie ma wiatru, a niebo już od tygodnia jest bezchmurne. Nie mogłam pisać - wrócił Max, dom napelnił się gośćmi i ani razu nie udało mi się uciec. Kiedy miałam wolną godzinę i wybierałam się do domku, Max chodził za mną krok w krok, śledząc zazdrosnym spojrzeniem. Przez cały tydzień był tak spięty, że prawie iskrzył. Przyczyną tego był prawdopodobnie mój jednodniowy wyjazd do Londynu. Nienawidzi, kiedy wyjeżdżam i kiedy jestem w domu, po prostu nie sposób mu dogodzić! Byłam w Londynie pięć dni temu, ponieważ wreszcie umówiłam się na wizytę lekarską, ale na razie nie chciałam jeszcze nic mówić Maxowi, więc oczywiście doszedł do swoich zwykłych wniosków. Przenocowałam w moim mieszkaniu nad rzeką, cichutka i cnotliwa jak zakonnica, lecz w oczach Maxa to mieszkanie jest siedliskiem nierządu i wszelkiego rodzaju występku.

Lekarz nazywa się Baker i podobno jest najlepszym specem od chorób kobiecych w Londynie. Ma gabinet w Bloomsbury, tuż za British Museum. Nie mogłam się doczekać tej wizyty i przyszłam o wiele za wcześnie, więc zajrzałam do muzeum, żeby czas szybciej minął. Kiedy wkroczyłam do wielkiej sali z marmurową posadzką, echo zaczęło powtarzać stukot moich wysokich obcasów i w pierwszej chwili pomyślałam, że ktoś za mną idzie. Przyglądając się kamiennym zdobywcom i malowanym faraonom, zagubiłam się w dzikim labiryncie korytarzy. W końcu znalazłam się w sali śmierci, otoczona przez białe mumie. Ktoś mówił mi kiedyś, że Egipcjanie wyjmowali serce z ciała zmarłego, owijali je jak paczuszkę, po

czym kładli u stóp z mumifikowanych zwłok. Mumie patrzyły na mnie z niewzruszonym spokojem...

Usiadłam w poczekalni doktora Bakera, gdzie jedyną rzeczą do czytania była biblia Maxa, czasopismo „Polowanie”. Dziesięć razy przebiegłam wzrokiem ten sam artykuł i nie zrozumiałam ani słowa. Wreszcie zostałam zaproszona do gabinetu, w którym panowała bardzo poważna atmosfera. Pióro doktora cicho skrzypiało, a moje serce tłukło się jak ptak w klatce, szybko, bardzo szybko. Byłam taka podniecona...

Umówiłam się na wizytę jako „pani Danvers”. Wiem, że to głupie, ale nie mogłam pozbyć się obaw, iż Max dowie się o wszystkim, jeśli posłużę się własnym nazwiskiem. Za każdym razem, gdy doktor Baker zwracał się do mnie, zerkałam przez ramię za siebie, przekonana, że stoi tam Danny. Nie myślałam zbyt jasno i przytomnie, kochanie. Mój umysł przyćmiła radość, chciałam zapamiętać każdy szczegół, każdą najdrobniejszą rzecz, bo to był przecież punkt zwrotny w moim życiu, to była twoja godzina.

Wszystko przebiegało trochę inaczej, niż oczekiwałam. Wydaje mi się, że lekarze naznaczeni są piętnem ostrożności, a ten okazał się uosobieniem powagi i rozwagi. Ostrożnie, powoli - najpierw pytania, potem badanie, które trwało bez końca. I bolało. Matko Boska, broń mnie od takich doświadczeń...

Słuchał bicia twojego serca i wtedy miałam ochotę wyrwać mu stetoskop z ręki, żeby też usłyszeć.

- Kiedy moje dziecko zacznie się poruszać? - zapytałam. - Dlaczego ciągle mam mdłości? Dlaczego jeszcze się nie poruszyło?

Spojrzał na wiszący na ścianie kalendarz, zwinął gumowe rękawiczki i spokojnie oświadczył, że nie powinnam się niecierpliwić. Po pierwsze, wiele zależy od dokładnej daty poczęcia, a po drugie, żeby zyskać całkowitą pewność, chce, żebym poddała się prześwietleniu.

W pierwszej chwili odmówiłam. Czytałam przecież, że promienie Roentgena są niebezpieczne i szkodzą małym dzieciom. Ustąpiłam dopiero wtedy, kiedy zapewnił mnie, że w tym wypadku nie ma żadnego ryzyka i dzięki prześwietleniu za tydzień, podczas następnej wizyty, będzie mógł odpowiedzieć na wszystkie pytania.

Założyli mi ołowiany ślimak na szyję, żeby osłonić piersi, i wymierzili oko przysadzistego robota prosto w brzuch.

- Mój Boże, pani Danvers, jakąż pani ma wspaniałą, smukłą figurę! - Pielęgniarka westchnęła i wyszła z pokoju, a wtedy robot spokojnie uderzył we mnie swymi promieniami.

Zapytałam ją, jak długo kobiety skarżą się na mdłości i kiedy wreszcie przybiore na wadze, i będę mogła oprzeć dłonie na twojej krągłości. Niecierpliwie czekam na majestatyczną ociążałość macierzyństwa. Chcę być spokojna, nieruchawa i mleczna...

Odpowiedziała, że każda kobieta przechodzi ciążę inaczej, a kiedy jest tak szczupła i wąska w biodrach jak ja, zmiany w sylwetce można dostrzec dopiero w piątym, albo nawet szóstym miesiącu.

- Niech się pani tym nie przejmuj - dodała.

Myślę, że odgadła, jaka jestem niespokojna i zniecierpliwiona, i użaliła się nade mną. Sama miała szerokie biodra, wprost stworzone do rodzenia (w przeciwieństwie do moich), więc trochę zachciało mi się śmiać. Ale jej intencje były jak najlepsze, a w moim wzburzeniu i tak wydała mi się aniołem.

Zostawiłam im próbkę pełną ciemnoczerwonej krwi, żeby mieli na czym praktykować swoje czarodziejskie sztuczki, umówiłam się na następną wizytę za siedem dni (teraz zostały już tylko dwa, kochanie) i wyszłam na pachnącą wiosną ulicę, wysadzoną drzewami, które dopiero zaczynały pokrywać się młodziutkimi lis—ć—mi. Poszłam, co tam, prawie pobiegłam do przypominającego pałac sklepu z rzeczami dla niemowląt przy Bond Street i wydałam fortunę na wyprawkę. Kupiłam ci koszulki nocne ze wstążeczkami, szal tak delikatny i cienki, że można przeciągnąć go przez obrączkę, czapeczki, kapelusiki, buciki, srebrną grzechotkę z koralem i, żeby wykazać się odrobiną zmysłu praktycznego, dwa tuziny pieluszek z wysokogatunkowej tetry. Była to najwspanialsza, najprzyjemniejsza rozrzutność, na jaką sobie kiedykolwiek pozwoliłam. Byłam pijana radością po tych zakupach. W sklepie zapakowali mi to wszystko w białe pudła, które przywiozłam do mieszkania nad rzeką i z rozkoszą rozpakowywałam przez całe popołudnie. Zrobiłam też listę imion, ale jeszcze nie zdecydowałam, jakie ci nadam. Na razie żyję w przekonaniu, że noszę w sobie dziewczynkę-chłopca. Jak chcesz się nazywać, moje najdroższe kochanie? Sądzę, że domyślę się tego, gdy wezmę cię na ręce.

Teraz zamierzam wprowadzić w życie zalecenia lekarza i pielęgniarki, i niczym się nie przejmować. Zajrzałam do notesu, odszy-

frowałam niektóre znaki i doszłam do wniosku, że mogłam cię począć kilka tygodni później, niż myślałam, co zresztą sugerował doktor Baker. A więc to dlatego jeszcze nie kopiesz... Cóż, muszę uzbroić się w cierpliwość i jeszcze trochę poczekać.

Sądziłam, że poczęłam cię w moim mieszkaniu nad rzeką, ale teraz widzę, że mogło się to stać tutaj, w domku na plaży, pewnej zimowej nocy, gdy czułam się potwornie samotna. Księżyc przypominał biały, pulchny krążek, a niebo wyglądało jak bezmiar wszystkiego, co ponure.

Mimo to cieszę się, że dałam ci życie tu, gdzie czuję się naprawdę sobą. Tamten mężczyzna był odpowiedni, lepszy niż ten londyński kandydat. Chciał czegoś od życia, dążył do jakiegoś celu. Kochał się ze mną przy kominku. Zaraz, zaraz... Co jeszcze pamiętam? Miał ciemne włosy i myślące oczy, był poetą, Irlandczykiem z pochodzenia. Oczywiście nie jest dla mnie ważny, żaden z nich nigdy nie był. Są tylko klejem, białą miarką czegoś użytecznego, niczym więcej. Nie obawiaj się, nie będzie sobie rościł żadnych praw. Przed pójściem do łóżka każdego z nich uprzedzam, że to tylko ten jeden raz, nie mają co liczyć na więcej, i oni świetnie wiedzą, iż mówię poważnie.

I jeszcze jedno - był trochę podobny do Maxa, zresztą jak oni wszyscy. Zawsze byłam pod tym względem bardzo ostrożna, ponieważ wcale nie zależy mi na upokorzeniu męża. Widzisz, kochanie, ludzie będą cię uważać za dziecko Maxa, nie może być inaczej. Nie dopuszczę, aby ktokolwiek plotkował o tobie i podawał w wątpliwość ojcowstwo Maxa. Tak czy inaczej, wielu jego przodków było dziećmi z nieprawego łoża, więc jakie to ma znaczenie? Każdy ogrodnik ci powie, że hybrydy roślin są zdrowsze i na ogół lepsze od rasowych rodziców.

Poza tym... Nie mam ochoty o tym myśleć, ale gdybym jednak była córką Lionela de Winter... Jestem pewna, że tak nie jest, ale za żadne skarby świata nie chciałabym, żeby moje dziecko miało podwójną dawkę błękitnej krwi de Winterów. No i kochany, staroświecki i sztywny Max zemdlałby na samą myśl o kazirodztwie... Przyznasz więc chyba, że w gruncie rzeczy zrobiłam mu przysługę. Liczy się też, że w ten sposób uniknęliśmy klątwy, którą rzuciłam w St. Agnes - lepiej zawsze dmuchać na zimne! Czy zresztą miałam wybór? To, co przeżyłam, doprowadziłoby większość kobiet do za-

łamania. Poślubiłam górę lodową, współżyłam z wiecznym chłodem. Jeżeli w moim sercu tkwią lodowe drzazgi, to winić za to mogę wyłącznie de Winterów i ich nienaturalną błękitną krew. Moje małżeństwo przypomina Arktykę.

Oto moje motto, kochanie: „Prawe pochodzenie ma tylko jedno źródło, a jest nim miłość”. Kocham Manderley i kocham ciebie. To ja uczyniłam Manderley tym, czym teraz jest. Wzięłam je w swoje ręce i nadałam mu znamię doskonałej urody. Ja otworzyłam okna i wpuściłam do środka życie. Nie pozwolę, aby ktokolwiek to lekceważył. Pamiętaj, twoje prawa zostały ci przekazane z linii żeńskiej, jesteś moim spadkobiercą i ja zapewnię ci dziedzictwo.

Nie myśl o całych wiekach patriarchy, zapomnij o wszystkich tych napuszonych ojcach i synach, kochanie - ich panowanie ma się ku końcowi. Słyszysz te szepty? To rewolucja! Bunt wisi w powietrzu, kobiety tego rodzaju czekały wystarczająco długo i teraz szykują powstanie! Ja jestem panią na Manderley, to moje królestwo, ja tu panuję i wie o tym każda cegła, każde źdźbło trawy. Objęłam je w posiadanie w imieniu wszystkich kobiet, które tu pracowały i rodziły dzieci; wszystkich, które zrezygnowały z własnych nazwisk i osobowości, zostały uznane jedynie za ozdoby salonów, które relegowano do galerii portretów, do krótkiego przypisu w rodzinnej historii... W imieniu kobiet, które zmarły wiele lat temu, które odeszły niedawno, które leżą w krypcie de Winterów i mówią przeze mnie swoim głosem... W imieniu Virginii i mojej matki, i w swoim własnym, bo nie jestem tylko marnym dodatkiem do męża... W imieniu długiej, długiej linii wydziedziczonych i pozbawionych praw... Daję życie, więc Manderley należy do mnie.

Nie obawiaj się, jestem dobrze uzbrojona, gotowa do bitwy, jakiej prawdopodobnie nie uniknę. Tkwią we mnie zadawnione krzywdy, brak szacunku i lekceważenie pomogły mi wykuć broń, którą są gniew i przebiegłość. Żaden mężczyzna nie podporządkuje mi siebie, przygniatając mi dłonią kark. Niektórzy nadal twierdzą, że kobiety są słabszą płcią, aleja mam na ten temat odmienne zdanie, mój skarbie!

Jestem jak czysta stal, zahartowana, ukuta w dowolny kształt. Nic i nikt nie stanie mi na drodze. W zeszłym roku podjęłam decyzję: jeśli mąż nie da mi dziecka, postaram się o nie bez niego. W tym roku postanowiłam: jeżeli mąż spróbuje mnie porzucić, zabiję go.

Dlatego lepiej, żeby mąż Max bardzo uważał. Chcesz mieć dziedzica, czy nie, zapytam go. I nie strasz mnie rozwodem, Max, powiem (nie sądzę, aby mi tym groził, za bardzo obawia się skandalu, jaki mogłyby wywołać moje wyznania). Na twoim miejscu przestałabym też oliwić ten rewolwer, Max, powiem. Nie zapominaj, że to ja noszę przy pasku klucze do pokoju, w którym trzymamy broń palną. Dobrze się nad tym wszystkim zastanów, mój mężu, i pamiętaj, że śmierć można zadać na wiele, wiele sposobów. Wypadek na polowaniu albo przy czyszczeniu broni? Upadek z urwiska? Utonięcie? Nie spodziewaj się po mnie kobiecej łagodności i litości, Max, i strzeż się, bo niezależnie od tego, co się zdarzy, moje dziecko odziedziczy Manderley.

Gniew jest jak paliwo, kochanie, kiedyś wspomnisz moje słowa. To czysty acetylen, wysokooktanowa benzyna, a także część spadku, jaki ci przeznaczyłam. Źródło tak wielkiej energii, że czasami aż drzę od niej na całym ciele...

Teraz jestem już spokojniejsza, bo poszłam z Jasperem na spacer do Kerrith. W zeszłym tygodniu James Tabb wyprowadził „Je Reviens” z suchego doku, a dziś poprosiłam go, żeby jak najszybciej przygotował dla mnie jacht. Powiedział, że zajmie mu to dwadzieścia cztery godziny. Ponieważ zawsze dotrzymuje słowa (w przeciwieństwie do zdecydowanej większości mężczyzn), oznacza to, że jutro będę mogła zabrać cię na małą wycieczkę. Oby tylko pogoda wytrzymała - jutro wieczorem będzie wysoki, wspaniały przyływ i bardzo bym chciała pokazać ci morze w świetle księżyca. Będzie to twoja pierwsza morska wyprawa.

Tymczasem wszyscy goście wyjechali i dziś Max jest, jak zwykle, w biurze razem z Frankiem Crawleyem. Wracając z Kerrith, minęłam budynek, w którym znajduje się biuro. Z wewnątrz dobiegł mnie szmer ich głosów. Ciekawe, o czym rozmawiali - o dzierżawcach, orce, wielkości działek?

W tym miejscu muszę ci coś wyznać: zła Rebeka, która czasami się we mnie budzi, bawiła się kiedyś Frankiem. Byłam wtedy wściekła na Maxa. Odrzucenie sprawiło, że poczułam się paskudna i wstrętna, kiedyś zobaczysz, jak to jest. Pewnego ranka obudziłam się w wielkim łóżu w Manderley, sama jak palec, odsunęłam zasło-

ny, posłuchałam chwilę morza i pomyślałam, że ja mu jeszcze pokażę. Poza tym byłam trochę ciekawa, czy zarządca Manderley jest świętym, czy też eunuchem...

Okazało się, że ani jednym, ani drugim. Jest biedakiem o duszy największego nudziarza świata. Wszystko skończyło się na dwóch tygodniach westchnień i dwóch bilecikach w stylu kilkunastoletniego chłopca. Frank traktuje jednak siebie samego tak poważnie, że poszedł do Maxa, wyznał mu grzechy i złożył rezygnację. Jakie grzechy, na miłość boską? Co za pycha! Nie muszę ci chyba mówić, że natychmiast otrzymał przebaczenie i jego rezygnacja wylądowała w koszu na śmieci. Wyśmiałam go, a on nigdy mi tego nie darował.

Gdy przechodziłam dziś koło biura, nagle w głowie zaświtała mi pewna myśl - może Frank i Max nie rozmawiają o orce i użyźnianiu, lecz planują moje gwałtowne zejście. Wcale by mnie to nie zdziwiło. W ciągu ubiegłego roku podejrzenia Maxa bardzo się nasiliły, podsycane frustracją i moimi wyjazdami do Londynu. Miłość i nienawiść tworzą tak mocną mieszaninę, że Max mógł uwierzyć, iż pragnie mojej śmierci, lecz ma w sobie zbyt dużo dobroci, aby sam ważył się na zabójstwo. Potrzebowałby kogoś, kto podkreśliłby jego odwagę, chociaż szczerze mówiąc, nie wyobrażam sobie, by mógł to być Frank Crawley, ponieważ nie należy on do szczególnie zdecydowanych osób. Ja mogłabym przywieść Maxa do morderstwa, wiem, że potrafiłabym tego dokonać i w przeszłości parę razy o mały włos nie uległam tej pokusie, gdy wydawało mi się, iż nawet śmierć byłaby lepszym współmałżonkiem niż Max.

Ale gdyby tak spotkał mnie jakiś wypadek? Wtedy ktoś taki jak Frank mógłby zapewnić Maxowi odpowiednie alibi. Nie obyłoby się bez pytań - sędzią magistrackim jest mój dobry przyjaciel Artur Julyan, który z pewnością obstawalby przy szczegółowym śledztwie. I wtedy Frank być może pomógłby Maxowi ukryć prawdę. Niewykluczone, że właśnie w tej chwili planują, jak to zrobić, pomyślałam.

Podkraǳłam się do okna i nastawiłam uszu. Nie słyszałam ani słowa i nagle zrobiło mi się słabo z przerażenia. Poczułam się kompletnie zagubiona. Jak to się stało, zadałam sobie pytanie. W jaki sposób Max i ja znaleźliśmy się na bezdrożu? Kto ułożył nasze gwiazdy w znak nienawiści? Czy nie możemy zmienić tego układu?

Wierzyłam, że w końcu przywyknę do nienawiści, ale nic z tego.

Dzisiaj nienawiść zraniła mnie jak ostry sztylet. Staralam się otoczyć pancerzem siły, lecz siła mnie zawodzi, nawet teraz. Miałam wrażenie, że macicę przekłuwają skurcze bólu, że znowu zaczęłam krwawić i kawałki łożyska wyciekają ze mną wraz ze strumieniem krwi.

Jestem już w domku nad morzem, kochanie, na swoim własnym terytorium. Nie krwawię, ból istniał tylko w mojej wyobraźni. Czuję się silniejsza i spokojniejsza. Niech sobie spiskują, nic mnie to nie obchodzi. Bracia oficerowie są zbyt ograniczeni i honorowi, aby podjąć jakieś działania, a kiedy powiem im o tobie, nie ośmielą się mnie tknąć. Skrzywdzić nie narodzone dziecko?! Za taki czyn każdy mężczyzna zostałby przeklęty na wieki. Noszę w sobie dziecko, jestem świętym naczyniem, najświętszym ze świętych...

To magia, prawda? Nic i nikt nie może mi teraz zaszkodzić, moje kochanie.

W domku panuje przyjemny chłód, chociaż jest właśnie południe. Te grube mury chronią nas przed wszelkimi wybrykami pogody. Otworzyłam okno od strony morza, żebyśmy słyszeli szum fal i czuli świeży, słonawy wiatr. Jasper żuje patyk. Przygotowałam wszystkie buteleczki z atramentem, czysty papier i ulubione pióro - dziś przesunę film o siedem lat do przodu. Chcę opowiedzieć ci o najgorszym lecie mojego życia.

Było to bardzo upalne lato, jedno z najgorętszych, jakie pamiętam. Na początku sierpnia wybuchła wojna. Podróżowaliśmy przez całą Anglię, od miasta do miasta, od teatru do teatru. Rok wcześniej sir Frank otrzymał tytuł szlachecki, ale to nie przysporzyło nam widzów. Sir Frank postarzał się, kilkoro dobrych aktorów odeszło. Piękno sztuk było oczywiście wieczne, lecz nasze występy straciły wszelki blask, kochanie. Tego lata Maman otrzymała prawdziwe, mówione role i była z tego powodu naprawdę zadowolona, chociaż nasze wpływy okazały się tak niskie, że trzeba było obniżyć gáže.

Kiedy wreszcie dotarliśmy do Plymouth, wojna trwała już miesiąc, ale wszyscy nadal twierdzili, że na pewno skończy się przed Bożym Narodzeniem. Chociaż bardzo niewielu widzów z wyprzedzeniem zarezerwowało miejsca, optymizm sir Franka nadal był

ogromny. Upierał się, abyśmy przygotowali dodatkowe spektakle *Henryka V*, ponieważ jego zdaniem treść tej sztuki podnosiła ducha patriotyzmu. Niestety, nawet sir Frank, zachęcający Anglików do zwycięstwa nad przeważającymi siłami Francuzów pod Agincourt nie zdołał przyciągnąć tłumów.

- Będziemy walczyć dalej - oświadczył sir Frank. - W sobotę wieczorem damy *Otella*. Mój trzechsetny występ w roli wielkiego Maura, panienko - to ich skusi, możesz mi wierzyć...

Sir Frank miał głowę na karku i mimo swojej naiwności dobrze wiedział, co podoba się widzom. Zdawał sobie sprawę, że jego pięćdziesięcioletnia, mało urodziwa żona w roli Julii czy Rosalindy nie jest wielką atrakcją. Od pewnego czasu w *Henryku I* francuską księżniczkę Katarzynę grała Maman, i jak dotąd była to jej największa rola. Otrzymała ją zresztą tylko dzięki znajomości francuskiego, którą nie mogła się poszczycić nawet pani McKendrick. Sir Frank zupełnie niespodziewanie zdecydował, że podczas sobotniego spektaklu *Otella* Maman zostanie awansowana do roli Desdemony. Zanim powiadomił o tym żonę, obwieścił to na plakatach i kiedy ujrzałam wyraz żółtych, pełnych zazdrości oczu pani McKendrick, wiedziałam, że czekają nas kłopoty.

- Niedysponowana?! - syknęła do szwaczki. - Boli mnie gardło, moja droga, ale to nie ja jestem niedysponowana. Będziesz musiała popuścić w szwach tę suknię z zielonej tafty, Klaro, jeżeli nasza wielka dama mają włożyć...

Maman przez całe lato miała wyjątkowo marny nastrój, była zdenerwowana i niespokojna. Nie miała apetytu, a jednak rzeczywiście przytyła - szwaczka poszerzyła już w talii i biuście jej brokatową suknię do roli księżniczki Katarzyny. Szybko wpadała w irytację, kilka razy pokłóciła się z panią McKendrick i zrugowała naszego najnowszego rekruta, przystojnego Orlanda Stephensa, który miał grać Kasja. Nie chciała mi powiedzieć, co jej dolega. Moje ciało zaczęło się zmieniać i Maman bardzo się to nie podobało. Wyprosiła mnie nawet ze swojej garderoby i teraz Klara musiała pomagać mi obwiązywać piersi bandażami, gdy grałam chłopców.

- Kiedy pierwszy raz puścisz farbę, przyjdź do mnie - powiedziała Klara, cmokając mnie w policzek. - Pokażę ci, co robić, kochaniutka. Rośniesz tak szybko, że z pewnością stanie się to już wkrótce...

Nie miałam pojęcia, o co chodzi z tym puszczeniem farby, a Maman nie chciała mi powiedzieć, ale czułam, że to coś ważnego. Nienawidziłam tych bandaży i moich pączkujących piersi. Pragnęłam je obciąć. Przypominały złośliwe narośle i wiedziałam, że jeżeli nie przestaną rosnąć, moje dni w roli przeklętych przez los księżąt będą policzone. I co wtedy zrobić? Kochałam moich nieszczęsnych chłopców, stale pracowałam nad różnymi szczegółami ich ostatnich chwil i wszyscy mówili, że umieram po mistrzowsku.

Gdy Maman się dowiedziała, że ma grać Desdemonę, jej nastrój poprawił się w jednej chwili. Obudziła się jako zupełnie inna osoba, powiedziała, że czuje się jak nowo narodzona. Chmury zniknęły, pokazało się słońce, oczy Maman znowu zabłyśły i wróciła jej odwaga, którą tak w niej podziwiałam. Ja także zapomniałam o swoich bandażach i wszystkich innych egoistycznych troskach. Cierpliwie przysłuchiwałam się jej recytacji, wiele razy ćwiczyłyśmy *Pieśń o wierzbie* w niebieskawym zmroku wrześnieowych wieczorów, nad zatoką.

- Desdemona przeczuwa swoją śmierć, prawda? - powiedziałam.

Maman zmarszczyła brwi i utkwiała spojrzenie w szarym, jesiennym morzu.

- To możliwe, Beka. Chyba masz rację, kochanie.

Wiele razy przyglądałam się, jak umiera. Kładła się na wypchanym końskim włosiem szezlongu w salonie Millicent i usiłowałyśmy wyobrazić sobie męża-zabójcę oraz sposób, w jaki zadaje śmierć Desdemonie. Szekspir nie mówi tego jednoznacznie, zastanawiałyśmy się więc, czyją dusi, czy dławi. Maman opowiadała się za dławieniem.

- Jak wyglądam lepiej, Beka? - pytała. - Z głową pod tym kątem, czy inaczej?

I te dziwne monologi, które wygłasza Desdemona właściwie już po śmierci, kiedy widzowie są przekonani, że nie żyje, że została uciszona na zawsze... Te monologi były prawdziwą obsesją Maman. Czuła, że najpierw powinna lekko poruszyć ręką, a dopiero potem nagle wstać i przemówić. Uważała, że widownię należy zaskoczyć, przykuć jej uwagę.

- Wydam gwałtowny okrzyk - powiedziała. - Moja Desdemona nie będzie umierać spokojnie, o nie. Wszystkie aktorki źle ją inter-

pretują, Beka. Jestem pewna, że walczyłyby o życie. To jest kobieta, która sprzeciwiła się ojcu i uciekła z Maurem, nie jakaś gaska. Desdemona ma w sobie mnóstwo odwagi, jest pełna energii i właśnie za to kochają Otello...

Słuchałam jej i ogarniał mnie wielki smutek. Zgadzałam się ze wszystkim, co mówiła i nie miałam serca powiedzieć, że to się nie uda. Sir Frank nigdy nie pozwoli na taką interpretację roli Desdemony i choćby Maman walczyła ze wszystkich sił, i tak zepchnie ją w niewidzialną, niegodną śmierć, zasłoni przed oczyma widzów i jeśli zechce, przerwie jej w połowie zdania, zatykając usta poduszką... Słaby głos Maman nie dotrze poza pierwsze trzy rzędy, więc sytuacja jest po prostu beznadziejna, pomyślałam. Sir Frank zagłuszy ją swoim grzmiącym, doskonale ustawionym męskim głosem.

Tak więc z krwawiącym sercem patrzyłam, jak Maman umiera, raz, drugi i trzeci. Stojący na kominku zegar tykał, tykał, tykał... Maman zostało już tylko pięć miesięcy życia, lecz żadna z nas tego nie przeczuła. Kominek z czarnego marmuru i czarny marmurowy grobowiec... Żadne próby nie mogą przygotować nas na to, czym naprawdę jest śmierć. Kiedy nadeszła ostatnia chwila Maman, gdy przekroczyła ten próg, i drzwi zatrzasnęły się przede mną... Och, dobry Boże, to było straszne. Zabrakło cudownych, godnych zapamiętania słów, czułego pożegnania i pełnych miłości gestów - był chaos, przerażenie i wstręt. Śmierć przychodzi tak szybko... Mnie zamieniła w glaz. Nie byłam w stanie się ruszać, myśleć, mówić... Danny zamknęła jej powieki i przykryła ją prześcieradłem.

- Nie rób tego - odezwałam się w końcu. - Kto płacze, Danny? Słyszę płacz dziecka...

- Cicho, cicho, nie ma żadnego dziecka - odparła Danny. - Skąd ci to przyszło do głowy? To ty płaczesz, kochanie... Posiedź z nią chwilę, potem zabiorę cię na dół. Ktoś tam na ciebie czeka... Specjalny gość...

Był to mój ojciec, skarbie, Jack Devlin, który właśnie wrócił z zaświatów. Ale zaraz, chwileczkę, znacznie wyprzedziłam przecież kolejność wydarzeń, a obiecałam, że opowiem ci wszystko.

Wyobraź sobie ciemny, ponury tunel, przez który musisz przejść. Budzi się w tobie przerażenie, odraza, bunt, rozpacz... Tak właśnie

czułam się na początku tej drogi, chociaż na szczęście wtedy nie wiedziałam, że potrwa ona ni mniej, ni więcej, tylko pięć miesięcy. Na jednym jej końcu była moja matka, St. Agnes i oświetlony gazowymi lampami teatr, na drugim ojciec i położony zbyt daleko od morza dom, zwany Greenways. W tle pulsował straszny rytm wojny, którą mieliśmy wygrać do Bożego Narodzenia, ale tak się nie stało. Wszystkie kobiety z naszego zespołu zaczęły robić na drutach i bezustannie dziergały muffki oraz skarpety, wszyscy mężczyźni zaś w wieku poborowym rozmawia o możliwych posunięciach taktycznych i dowódcach.

Tamtego wieczoru, podczas pierwszego spektaklu *Otella* Maman umarła, walcząc i wydając dzikie okrzyki. Wydaje mi się, że sir Frank nigdy jej tego nie wybaczył. Danny i ja siedziałyśmy obok siebie na widowni. Kiedy Desdemona umarła, po policzkach Danny popłynęły łzy - dzięki nim zapomniałam o wielu rzeczach, jakie zrobiła później. Trzymałam ją za rękę, ponieważ okropnie bałam się o Maman, bolał mnie brzuch i głowa, i mdliło mnie ze zdenerwowania. W czasie drugiej przerwy odkryłam, że krwawię. Czy to właśnie było „puszczanie farby”? Wytarłam krew i wróciłam na swoje miejsce. Zastanawiałam się, czy nie wykrwawię się na śmierć i jak długo może to potrwać. Kto umrze pierwszy, ja czy Desdemona?

W następnym tygodniu wystawialiśmy *Henryka IV*. Orlando Stephens grał Hotspura - moim zdaniem była to jego życiowa rola. Orlando był pełnym fantazji, bardzo miłym głupcem o gorącej głowie, miał tysiąc pomysłów na minutę, w tym oczywiście ani jednego sensownego. Maman i ja siedziałyśmy na widowni, a potem poszłyśmy do niego za kulisy. Jeszcze w kostiumie, stojąc w drzwiach garderoby, Orlando oświadczył, że tego popołudnia zaciągnął się do wojska. Maman gwałtownie pobladła, usta jej zsiniały, spod przymkniętych powiek błysnęły białka i nieprzytomna osunęła się na podłogę. Orlando starał się napoić ją koniakiem, a ja pobiegłam po sole trzeźwiące. Gdy wróciłam, tulił ją w ramionach, nazywał swoją „najdroższą” i obiecywał, że będzie codziennie pisał... Dotrzymał słowa, tyle że po niecałych dwóch miesiącach listy przestały przychodzić - Orlando zginął w pierwszej bitwie pod Ypres, w połowie listopada.

Co mogła oznaczać tamta scena? Byłam wtedy strasznie naiwna i dziecinna, kochanie, i zupełnie nie wiedziałam, skąd się biorą

dzieci. Wielu *rzeczy* dopiero zaczynałam się domyślać i właściwie nic nie rozumiałam. Teraz, gdy sama jestem w ciąży, tak jak Maman wtedy, zadaję sobie pytanie: czy młodszy od niej o dwadzieścia lat Orlando był ojcem dziecka, którego istnienia nawet nie podejrzewałam?

To możliwe, chociaż pojawiają się także i inne rozwiązania. Sir Frank zawsze miał słabość do Maman, która w końcu naprawdę niespodziewanie zaczęła otrzymywać bardziej znaczące role... Od czasu do czasu swój podziw i uwielbienie okazywali też Maman inni mężczyźni. Reagowała na ich komplementy, nie ukrywała, że sprawiają jej przyjemność. Maman była uparta, robiła to, na co miała ochotę, była wrażliwa na męski urok i bez wahania szła w kierunku, który wskazywało jej serce.

Kocham ją za tę wielkoduszność, ale muszę przyznać, że nie była dobrym sędzią charakterów i zbyt łatwo ufała ludziom. Najmilsza Maman! W chwili śmierci była bardziej niewinna i otwarta niż ja w wieku kilkunastu lat. Cóż, wiele nauczyłam się pewnego dnia na plaży w Bretanii i od tamtej pory zawsze wiedziałam, że mężczyźni są moimi wrogami.

Kiedy Orlando wyjechał, Maman straciła siłę do życia. Dwa razy zemdląca za kulisami i czułam, że ani moje zabiegi, ani galanteria sir Franka nie uchronią jej przed spojrzeniem zazdrosnych, żółtych kocich oczu jego żony. Kryzys nastąpił, gdy występy w Plymouth dobiegły końca i zespół szykował się do wyjazdu do Bristolu. Zażenowany sir Frank wyjaśnił, że wobec stale malejących wpływów czuje się zmuszony do poczynienia pewnych oszczędności, a biorąc pod uwagę nie najlepszy stan zdrowia Maman oraz moją nieszczęsną tendencję do rośnięcia...

- Droga pani, niestety musimy się rozstać - powiedział, przestępując z nogi na nogę we frontowym salonie St. Agnes. - Wiem, ile zawdzięczam pani i panience, więc jeżeli pani pozwoli...

Tu niepewnie sięgnął do kieszeni surduta.

- Nie pozwolę! - wykrzyknęła Maman, której policzki w jednej chwili zalał krwawy rumieniec. - Frank, jesteś dobrym, szlachetnym człowiekiem, ale nie mogę tego przyjąć.

Nie miałyśmy ani pensa w kieszeni i oczywiście żadnych oszczędności. Wysłałam z sir Frankiem na korytarz, a kiedy ucałował mnie w oba policzki, zginając swą potężną postać, po raz ostat-

ni nazwał mnie „panieneczką” i poprosił, żebym pisała, bez cienia skrupułów przyjełam od niego czek. Na cienkim pasku papieru sir Frank z fantazją skreślił słowa: „Wypłacić dziesięć gwinei pani Isabel Devlin”.

Okazało się, że czek był bez pokrycia, sir Frank zaś nigdy nie odpowiedział na moje listy, ale nie mam mu tego za złe. Był drobnym oszustem, lecz także romantycznym bohaterem, a takich nie ma zbyt wielu, kochanie. Jakoś poradziłyśmy sobie bez tych pieniędzy. Zostałyśmy w St. Agnes. Maman i Millicent przez tydzień szeptały do siebie za przymkniętymi drzwiami, lekarze przychodzili prawie codziennie, Maman szlochała w swoją koronkową chusteczkę, a ja nadal nie wiedziałam, co się dzieje.

Spacerowałam po Marine Parade, przyglądałam się okrętom wojennym i rozmawiałam z rybitwami. Nie mogłam nic pomóc, ponieważ wszystkie moje propozycje były odrzucane.

- Jesteś jeszcze dzieckiem, kochanie i mama nie chce, żebyś się martwiła - powtarzała Millicent.

Nie wierzyłam jej. Nie byłam już dzieckiem, kobietajeszcze nie. Nie mogłam dłużej grać przeklętych chłopców... Nie miałam żadnej funkcji, rodzaju ani osobowości - inni podejmowali za mnie decyzje i załatwiali ważne sprawy. Maman i Millicent naradzały się, zbierały siły, a ja tkwiłam w pustej krainie nicości i niemożności.

Po paru dniach zjawiała się Danny i przejęła ster. Widziałam, że czerpie z tego mnóstwo przyjemności. Kłopoty zawsze przyciągają Danny jak magnes kawałki metalu. Niespodziewanie zrezygnowała z pracy, wróciła do St. Agnes i zaczęła wszystkimi komenderować, mną także. Powiedziała, że Maman jest poważnie chora. Lekarze orzekli, że to efekt przepracowania i bezustannego napięcia, spowodowanego troską o moją przyszłość. Musi porządnie wypocząć, ale rekonwalescencja potrwa kilka miesięcy. Danny zdoła może umieścić ją w pewnym pensjonacie i wtedy pojechałaby razem z Maman, nie mogłaby przecież zostawić jej samej... A tymczasem znalazły dla mnie bardzo miłe miejsce, co za radość... Oczywiście na krótko, na parę miesięcy, do chwili, kiedy Maman wróci do sił, zamieszkać z siostrą Maman, Evangeline, w jej pięknym domu, St. Winnow's...

Okazało się, że poprzedniego dnia, podczas gdy ja byłam na zakupach z Millicent, Evangeline odwiedziła Maman. Teraz wszystko

było już omówione - moja ciotka miała opłacić pobyt Maman w pensjonacie. Tymczasem mnie czekało mnóstwo wspaniałych przeżyć, zapewniła Danny. St. Winnow's to cudowny dom, będę obracać się w najlepszych kręgach i niewątpliwie dużo nauczę się od dwóch doskonale wychowanych młodych dam, moich kuzynek Elinor i Jocelyn.

Stek kłamstw, pomyślałam. Danny starannie unikała mojego wzroku. Spojrzałam na aspidistrę w mosiężnej doniczce i z całej siły wbiłam w dłoń ogryzione paznokcie. Moja ciotka? Moje kuzynki? Przez czternaście lat udawały, że nic nie wiedzą o moim istnieniu, a Evangeline traktowała Maman jak czarną owcę w rodzinie. Wiedziałam, co kryje się za tym kłamstwem - chciały wysłać mnie jak najdalej, żebym nie odkryła strasznej prawdy. W głowie zaświtała mi myśl, że Maman jest umierająca.

Zostawiłam Danny w salonie i pędem rzuciłam się na górę, do nowego pokoju, w którym umieszczono Maman. Leżała w łóżku, pod jej pięknymi oczami malowały się niebieskie cienie, na szyi miała ten swój złoty wisior, w ręku *Poezje zebrane* Tennysona. Położyłam się obok niej, a ona przytuliła mnie z całej siły, gładząc moje czarne włosy, odziedziczone po Devlinach. Obie płakałyśmy.

- Córeczko, kocham cię całym sercem - powiedziała. - Przecież wiesz o tym, Beka. Nikt poza tobą się dla mnie nie liczy i nigdy bym cię nie okłamała, nigdy. Przysięgam ci, że nie umieram. Nie jestem nawet poważnie chora, muszę tylko trochę odpocząć. Za parę miesięcy znowu będziemy razem, przysięgam, że tak będzie...

A więc stało się. Pojechałam do St. Winnow's. W domu ciotki Evangeline przedstawiano mnie jako kuzynkę, jedną z wielu krewnych ze strony Grenville'ow. Zakamuflowano mnie poprzez niedomówienia i niejasności, natomiast moją matkę zamknięto za murem milczenia. O Maman nie wolno było wspominać, jej imię mogła wymieniać tylko Evangeline, i to jedynie wtedy, gdy była ze mną sama. Jestem przekonana, że Evangeline nigdy nie zdecydowałaby się mnie przyjąć, gdyby sztywny sir Joshua nie wybrał się właśnie w kilkumiesięczną podróż, w czasie której wizytował zagraniczne stocznie. Umieszczono mnie w zimnym pokoju na poddaszu i zabroniono rozmawiać ze służbą. Wszyscy w tym domu byli na wpół martwi, konali na anemię. Miałam siedzieć, pić herbatę, szyć, pracować nad swoim zachowaniem, starać się poprawić wy-

mowę i sposób myślenia. Nie wolno mi było nosić rozpuszczonych włosów, wychodzić na dwór bez rękawiczek, kapelusza i parasolki, spacerować samotnie, chyba że po ogrodzie, biegać, podnosić głosu i odzywać się bez zachęty.

Zaczęłam umierać w środku, kochanie. Moje serce wysychało. Danny dwa razy w tygodniu przysyłała długie listy - Maman była zbyt słaba, by pisać. Przy życiu trzymał mnie jedynie gniew.

Oczywiście, nikt mnie źle nie traktował. Trzymali mnie w klatce i regularnie karmili, ale nie dawali ani odrobiny czerwonego mięsa. Wsuwali ręce przez pręty, głaskali mi futerko i głośno rozmawiali o moich dziwnych zwyczajach oraz wyglądzie. Byłam bardzo egzotycznym stworzeniem, złym psem, więc starali się zachować daleko posuniętą ostrożność. Kto spłodził tę małą suczkę? Jej pochodzenie wydaje się co najmniej wątpliwe... Może ugryźć rękę, która ją gładzi i karmi, kto wie... Patrzcie, jak szczerzy ostre ząbki, jak warczy! Ostrożnie, ostrożnie, nie należy jej wypuszczać, bo nie wiadomo, jak się zachowa...

Idioci! Gdybym chciała, w ciągu paru dni nauczyłabym się naśladować ich sposób bycia, w ciągu jednego dnia opanowałabym ich akcent i gestykulację. Poznanie ich języka nie przedstawiało dla mnie najmniejszego problemu. Kiedy Evangeline zrozumiała to, nabrała śmiałości i zaczęła od czasu do czasu wypuszczać mnie z klatki.

Najpierw Elinor, moja starsza i bystrzejsza kuzynka, wyprowadziła mnie na smyczy. Elinor nie mieszkała wtedy w St. Winnow's, ponieważ odbywała szkolenie dla pielęgniarek ochotniczek w szpitalu w Exeter. Podczas jednej ze swych nielicznych wizyt w domu zabrała mnie do Kerrith, a kiedy okazało się, że nie skompromitowałam jej ani w sklepach, ani na ulicy, wzięła mnie ze sobą do domu o nazwie Sosny, rezydencji jej przyjaciół, starej panijulian i jej syna, Artura, który był w wojsku.

- To bardzo miły człowiek - powiedziała Elinor, szybkim krokiem idąc pod górę.
- Dostał dwa dni urlopu i przyjechał zobaczyć się z żoną, która oczekuje ich pierwszego dziecka. Muszę zapytać, jak się czuje.

Nie zobaczyłam przy tej okazji żony Artura Julyana - musiała być w bardzo zaawansowanej ciąży i pewnie nie wychodziła już na spotkanie gości. Kapitan Julyan okazał się bardzo przystojnym męż-

czyzną. Był wysoki, szczupły, zamyślony, o inteligentnych niebieskich oczach. Od razu go polubiłam. Wypiliśmy herbatę w ogrodzie, między palmą i araukarią. Elinor była chłodna, nawet nieco szorstka, ale ja szybko zwęszyłam, że kapitan Julyan zajmował wyjątkowe miejsce w jej sercu. Jeżeli jednak rzeczywiście kiedyś wiązała z nim jakieś nadzieje, bardzo starała się to ukryć. Zachowywałam się doskonale - nie odzywałam się niepytana, nie machałam nogami i byłam prawie niewidzialna.

Moja tożsamość znowu została w dziwny sposób zamazana. Tu także nikt nie wymieniał imienia Maman... Spojrzałam na rabaty pięknych różanych krzewów przy domu. Niektóre jeszcze kwitły, czerwone jak krew, duże jak rączka niemowlęcia. Stara pani Julyan powiedziała, że to potomkinie słynnych róż, hodowanych przez panie z rodu Grenville. Elinor pospiesznie zmieniła temat.

Kapitan Julyan był bardzo uprzejmy. Przyglądał mi się uważnie i pochwalił moją niebieską broszkę w kształcie motyla. Wtedy nie wytrzymałam i oświadczyłam, że dostałam ją od Maman.

Zanim się pożegnałyśmy, kapitan Julyan zaprosił mnie do gabinetu swego dziadka. Niezwykły pokój - wszystkie ściany od podłogi do sufitu zabudowane były półkami pełnymi książek. Pokazał mi kolekcję motyli, które zbierał jako chłopiec i odkryliśmy, że jeden z nich jest uderzająco podobny do mojej broszki. Schwycił go w lasach Manderley, kiedy miał siedem lat. Był to modraszek, nie tak rzadki i imponujący jak pawik czy niedźwiedziówka, niemniej jeden z jego ulubionych okazów, intensywnie błękitny i delikatny. Biedne motyle! Zabijają je chloroformem, a potem przebijają porośnięte futerkiem serca szpilką... W tym gabinecie było chyba kilka tysięcy motyli w specjalnych gablotkach, tyle motyli, co książek, kochanie.

Kapitan Julyan zapakował mojego motyla do małego pudełka i wręczył mi je. Lubiłam do niego zaglądać, ale zgubił się gdzieś parę miesięcy później, kiedy Danny wezwała mnie i musiałam jechać do matki, do domu zwanego Greenways. A może przestał mi się podobać i wyrzuciłam go? Sama już nie pamiętam...

- Dobra z ciebie dziewczynka, Rebeko - powiedziała Elinor, szybko schodząc ze wzgórza. - Kiedy chcesz, potrafisz się bardzo grzecznie zachowywać...

- Potrafię grać - rzuciłam pogardliwie. - To chyba oczywiste.

Siedem lat grałam w sztukach Szekspira, więc herbatka w Sosnach to dla mnie żadna trudność...

- Też tak sędzę - odrzekła spokojnie.

Wtedy zdałam sobie sprawę, że Elinor wcale nie jest głupia. Ile mogła mieć lat? Dwadzieścia pięć, może trochę więcej.

- Wszyscy grają jakieś role - ciągnęła. - Nie jesteś wyjątkiem. W szpitalu dowiedziałam się, że dotyczy to także pielęgniarek, które muszą się uczyć, jak ukrywać prawdę. - Zmarszczyła brwi i westchnęła. - No, nieważne... Chodźmy do domu, moja droga.

Tak wyglądało moje pierwsze wyjście, mój pierwszy kontakt z nowym światem. Powtórkę zaryzykowano dopiero po paru tygodniach. Elinor wróciła do szpitala. Jej młodsza siostra, Jocelyn, rozmawiała ze mną czasami, ale nie zdarzało się to zbyt często. Pulchna, ładniutka Jocelyn była zakochana - wzdychała do narzeczonego, który walczył gdzieś we Francji. Codziennie pisywała do niego listy i mniej więcej raz na tydzień zabierała mnie ze sobą na pocztę. Przed wrzuceniem listu do skrzynki zawsze całowała kopertę na szczęście. Była bardzo łagodna i słodka, ale bardzo sentymentalna i romantyczna, co wcale mi się nie podobało. Moja dociekliwość budziła w niej niepokój, nawet lęk.

- Pamiętasz moją Maman? - dopytywałam się. - Znałaś ją, kiedy byłaś małą?

Jocelyn czerwieniła się i patrzyła na mnie okrągłymi, niebieskimi oczami. Mówiła, że nie pamięta Maman i że nie wolno jej o niej rozmawiać, ponieważ ojciec, sir Joshua, nie życzy sobie tego.

- Dlaczego?! - krzyknęłam, tupiąc ze złości. - Dlaczego sobie tego nie życzy?! Maman jest z domu Grenville. Korzenie naszej rodziny sięgają początków historii Anglii, a historia rodziny twojego ojca to nic specjalnego...

- Tata nigdy nie zaaprobował jej małżeństwa - wykrztusiła Jocelyn. - A ty nie powinnaś tak o nim mówić. To bardzo nieuprzejme i niewłaściwe zachowanie, zwłaszcza że mama okazuje ci tyle dobroci...

- Mam w nosie twoją matkę! - wrzasnęłam, strzelając palcami przed nosem Jocelyn. - Do cholery z twoim ojcem! Mam nadzieję, że jego statek pójdzie na dno, a jego zjedzą robaki! Zobaczysz, że tak będzie!

Jocelyn uciekła. Po paru dniach wyjechała do przyjaciół, nato-

miast ja wróciłam do klatki. Codziennie rano brałam lekcje posłuszeństwa u ciotki Evangeline. Nie można bezkarnie lekceważyć autorytetu pana domu, a jeśli chodzi o przeklinanie, to już szczyt wszystkiego... Nie myśl tylko, że Evangeline ukarała mnie laniem, czy coś takiego. Nie, nic z tych rzeczy. Evangeline nie była ani złą, ani głupią kobietą. Próbowwała podejść do mnie rozsądnie i spokojnie. W ciepłe jesienne dni siedziałyśmy razem na werandzie, Evangeline haftowała i wyszywała, a ja zwijałam wełnę w kłębki i układałam jedwabne nici kolorami. Pod nami wiła się rzeka Kerr. Wpatrywałam się w jej zakola, słyszałam głos Maman, czytającej Tenny-sona i wyobrażałam sobie, że Kerr płynie wprost do Camelot.

- Staram się pomóc - mówiła Evangeline, a jej igła mknęła raz w tę, raz w drugą stronę, lśniąc srebrzyście (nić musi być odpowiednio napięta, tłumaczyła mi). - Ale Isolda zawsze była taka uparta! Nigdy nie chciała słuchać głosu rozsądku, zawsze chodziła tam, gdzie nie należy, Rebeko.

Czy Manderley było miejscem, gdzie nie należało chodzić? Zapytałam Evangeline, dlaczego Maman została wygnana do Francji.

- Boże święty, wcale nie została wygnana! Co za słowo! Po prostu rodzina doszła do wniosku, że Isolda mogłaby spędzić trochę czasu za granicą, że byłoby to dla niej korzystne. Twoja matka jest bardzo wrażliwa, a śmierć naszej siostry Virginii zupełnie wytrąciła ją z równowagi. Isolda o mały włos się nie rozchorowała, przez długi czas nie mogła do siebie dojść. Więc wyjechała do Francji i niedługo potem wyszła tam za męż... Podaj mi ten brązowy jedwab, dobrze, kochanie? Będę teraz haftować kwiat, widzisz? Muszę zmienić kolor...

Podalam jej jedwab.

- Czy Maman umrze? - zapytałam.

- Nie, nie, skądże znowu! - powiedziała Evangeline, szybko wstając i obejmując mnie mocno. - Nie wolno ci tak myśleć. Za parę miesięcy wyzdrowieje i...

- Za ile miesięcy?

- Zaraz po Nowym Roku, najpóźniej w lutym. Przecież to już niedługo, prawda, kochanie?

Niedługo? To cała wieczność, pomyślałam. Jeszcze trzy miesiące w klatce! Do lutego wyschnę tu na wiór z tęsknoty! Zresztą i tak nie dowierzałam Evangeline. Danny napisała, że jeszcze nie mogę

przyjechać z wizytą. Jeżeli wszystko pójdzie dobrze, Maman wkrótce wyjedzie do pensjonatu dla rekonwalescentów w Berkshire. Wiedziałam, co to oznacza - kiedy już ją tam zawiozą i brama za nią się zatrzaśnie, nigdy więcej jej nie zobaczę. Dołączy do mojego ojca w podziemnym świecie, Jack Devlin odzyska swoją żonę. Otoczy ją ramionami i Maman nigdy nie uwolni się z jego objęć. Czasami mi się to śniło... Mój ojciec, mój ojciec... Myślę, że to właśnie wtedy zaczęłam się go bać.

Czy Evangeline wyczytała te myśli z mojej twarzy? Może, ponieważ dokładała coraz więcej starań, żeby dostarczyć mi jakiejś rozrywki. Przyniosła mi stare lalki Jocelyn, grała dla mnie na fortepianie (był to wspaniały Steinway, który bynajmniej nie wymagał strojenia), podsuwała mi głupie książki dla dziewczynek, gdy ja tęskniłam za mięsem i winem Szekspira... Wynajdywała zgadywanki i obrazki do wyklejania, nauczyła mnie grać w bezika i brydża, a pewnego dnia, gdy najwyraźniej zabrakło jej pomysłów, podarowała mi kilka grubych, czarnych notatników z wiązanymi na grzbiecie rzemykami i powiedziała, że moja matka właśnie w takich zapisywała różne historyjki, kiedy była dzieckiem, a jestem taką oryginalną dziewczynką o żywej wyobraźni, zupełnie jak ona, więc może miałabym ochotę zacząć pisać dziennik albo jakieś opowiadania...

Te malutkie, podobne do trumienek notatniki od razu przyciągnęły moją uwagę. Po południu, kiedy Evangeline przyjmowała gości w salonie, usiadłam przy biurku w dawnym pokoju szkolnym. Wybrałam pióro ze stalówką i zanurzyłam je w czarnym atramencie. Przyszło mi do głowy, że mogłabym spisać historię Maman i moją, a kiedy Maman wyzdrowieje, ofiarować jej w prezencie.

Nie zrobiłam zbyt wiele, kochanie. Wkleiłam do notatnika swoją fotografię ze skrzydłami, zrobioną podczas próby *Snu nocy letniej* - byłam z niej bardzo dumna, ponieważ Maman zrobiła ją specjalnie dla mnie, a także pocztówkę ze zdjęciem Manderley, którą kupiłam tamtego upalnego dnia, kiedy Elinor wyprowadziła mnie na smyczy. Na pierwszej stronie napisałam słowa: „Opowieść Rebeki” i ozdobiłam „ć” wielkim, wymyślnym zakrętasem, podobnym do tłustego węża. Ten wąż miał w sobie ogromną siłę, ogromną moc -był pytonem, anakondą...

Co jeszcze? Chciałam podarować Maman naszą przeszłość: nadmorską idyllę i wszystkie cudowne chwile mojego dzieciństwa, że-

by dzięki nim znowu była zupełnie zdrowa. Chciałam napisać o Bretanii i naszym kwadratowym domu, o szumie fal i grzechu, jakim może być drobina kurzu. Czułam, że jeżeli będę pisała regularnie i dokładnie, Maman odzyska siły. Byłam tego absolutnie pewna, ale coś mnie dławilo, nie pozwalało pisać. Głowę miałam rozpaloną, w ustach sucho, kartki papieru rozpływały mi się w oczach w szarawą smugę. Tęskniłam za Maman, bałam się o nią, lecz nie byłam w stanie napisać ani słowa.

W końcu notatnik pozostał pusty, a właściwie zapełniony historią, którą tylko ja mogłam odczytać. Zawiązałam rzemyki i schowałam go. To moja porażka spowodowała śmierć Maman, myślałam później. Może to ja byłam za nią odpowiedzialna...

Nadal mam ten notatnik. Teraz leży na stole, tuż obok mnie. Wyjęłam go dziś po południu, żeby do niego zajrzeć. Co za odmiana! Wtedy nie mogłam zacząć pisać, teraz nie mogę przestać. Czuję ogromny przymus pisania, tyle chcę ci powiedzieć, kochanie. Wspomnienia płyną ku mnie ze wszystkich stron. Nie mogę nadażyć z przelewaniem słów na papier - moja historia pożera mnie żywcem.

Czy moja matka choć na chwilę pokazała ci swoją piękną, uśmiechniętą twarz? Mam nadzieję, że tak. Bardzo bym chciała, żeby nie była dla ciebie kimś obcym. Słyszysz jej głos? Ja słyszę go bardzo wyraźnie. Są jeszcze inne duchy, które należałoby wskrzesić,

i inne ważne momenty tej opowieści. Nie zostało zbyt wiele wolnych stron, ale może się na nich zmieszczę. Opowiem ci jeszcze, jak po raz pierwszy zjawiłam się w Manderley, jak Jack Devlin wrócił z zaświatów i jak zdobyłam męża. To jest dopiero bajka, i to w stylu braci Grimm! Teraz jest już późno, kochanie, morze robi się srebrzyste.

Muszę wrócić do domu na kolację - od czasu do czasu trzeba spełniać ten obowiązek. Jutro będę pisała dalej, skarbie, oczywiście, jeśli Max mi nie przeszkodzi. Pojutrze muszę bardzo wcześnie wyjechać do Londynu, żeby zdążyć do doktora Bakera, ale jutro chciałabym zabrać cię na krótki rejs. I obiecuję, że po powrocie dokończę swoją historię.

ROZDZIAŁ 24

Szczęśliwie wróciliśmy z twojej pierwszej wyprawy morskiej. Warunki były wspaniałe, więc mogłam pokazać ci naszą zatokę, niebieski brylant w koronie Manderley.

Dokładnie widać było dwie skały, wiele lat temu, gdy Max był jeszcze dzieckiem, nazwane Scyllą i Charybdą. Przepłynęliśmy między nimi, wydostaliśmy się na pełne morze i tam ocean zakochał się w tobie po raz pierwszy. To upajające uczucie, prawda? Poczuć ten puls, tę potęgę... Muszę ci jednak powiedzieć, że dzisiaj morze było wyjątkowo spokojne, jak na to wybrzeże. Te fale nie zawsze są tak posłuszne, a kiedy wiatr zmienia kierunek, bardzo szybko przybierają na sile.

Co za noc! Świat w monochromatycznej tonacji - wysrebrzone morze, białosrebrny księżyc w pełni, woda tak przejrzysta, że widać postrzępioną linię rafy, bardzo zdradliwe miejsce przy gorszej pogodzie. Widząc je, zawsze wracam myślami do tamtych odległych wieczorów, kiedy siedząc za kulisami, słuchałam słów Oberona: „Znam taki brzeg...”. Doskonale wiem, że powinnam unikać tych mielizn, ale czasami przyciągają mnie jak magnes. Jeżeli w naszej zatoce żyją syreny - a ja wiem, że tak - to chyba właśnie tam czekają, aby dla mnie śpiewać.

Dziś wieczorem wyraźnie słyszałam ich głosy. Przy świetle księżyca brzmiały słodko, przyzywająco, czysto. Chyba byłam zmęczona, bo nagle zapragnęłam położyć się i zasnąć. Chciałam pogrążyć się w zapomnieniu, odpocząć na tym piaszczystym dnie, zwinąć się w kłębek pod skałami. Nie musiałyby już walczyć, pomyślałam. O, wietrze, spętaj łańcuchem moje ręce i połóż mnie na dnie...

Powinnam ci powiedzieć, że już wcześniej miałam taką pokusę, w ciągu minionych lat nieraz stawałam na tej ścieżce. Słyszałam już te syrenie głosy, kiedy byłam dzieckiem, na plaży w Bretanii. Syreny potrafią przetrwać wszystko i przystosować się do każdego warunków. Odkryłam, że są bardzo przebiegłe.

Oczywiście, najbardziej sprzyja im morze, ale mogą zamieszkać prawie wszędzie - na pokładzie wielkiego liniowca, na najwyższym piętrze wieżowca, w ostrzach brzytwy i noży, w gazowych piecykach i w broni palnej; wciskają się do buteleczki z pigułkami, szybko mnożą się na poszarpanej krawędzi stłuczonego szkła. Po śmierci Maman śpiewały do mnie z brzytwy, a w dniu moich dwudziestych pierwszych urodzin, gdy ojciec skrzył sobie kark, cały dom przesiąknięty był ich zapachem. Podałam się wtedy - odkręciłam butelkę, w której było ich całe mnóstwo, i osuszyłam ją w zamkniętym pokoju w Greenways. Przełknęłam mleczny żel ich trujących obietnic i byłam pewna, że to je usatysfakcjonuje, ale ktoś wszedł mi w drogę. Strażniczka Danny kazała wyłamać drzwi i zawiozła mnie do szpitala, gdzie zrobiono mi płukanie żołądka. W gruncie rzeczy byłam z tego zadowolona, a niedługo potem zaczęłam polować na Maxa. Śmierć można zadać na wiele sposobów, jak już pisałam.

W zeszłym roku, zaraz po tym, jak obciąłam sobie włosy, wypłynęłam w morze i znowu prawie uległam syrenim wołaniom. Było to ostatnie kuszenie i miało ono miejsce przed twoim pojawieniem się, więc się nie obawiaj - dobrze wiem, jak zabójczo zimne są te fale. Teraz zatkałam już uszy na ich głosy, podobnie jak Odyseusz, i zasłoniłam sobie oczy, żeby nie widzieć ich przyzywających dłoni. Przynajmniej, że nie dołączę do moich sióstr, które mieszkają obok rafy. Nie teraz, kiedy mam na pokładzie tak cenny ładunek, kochanie.

Jesteśmy już w porcie - wszystko w porządku. „Je Reviens” kołysze się na kotwicy w doku. Ten jacht zamówiłam u najstarszego syna Marie-Hélène i to on wypisał na burcie jego nazwę. Szczęśliwa nazwa dla szczęśliwego jachtu - wszyscy, którzy wchodzi na jego pokład, mają zagwarantowany szczęśliwy powrót do domu. Zapasowe żagle są zwinięte, olinowanie porządnie naciągnięte, mo-

siężne wykończenia lśnią jak złoto, pokład jest gładki jak zamsz... „Je Reviens” jest gotowy do wyjścia w morze. Można na nim popłynąć wszędzie, choćby na Nową Zelandię.

Ja też jestem gotowa. Danny spakowała walizkę, nastawiłam budzik, na wypadek gdybym zasnęła. O piątej wyruszam do Londynu. Po przyjeździe wybiorę się do fryzjera, bo chciałabym jutro wyglądać jak najlepiej. Potem zjem lunch w klubie. Mój doktor Baker cieszy się taką popularnością, że może się ze mną zobaczyć dopiero o drugiej. To bardzo frustrujące! Wiele bym dała, żeby zobaczył się z nami o świcie. Niewykluczone, że wyjadę stąd nawet przed wschodem słońca, bo przecież to długa podróż... Już nie mogę się doczekać rozmowy z doktorem Bakerem. I trochę się niepokoję, bo bardzo nie chciałabym natknąć się przed wyjazdem na Maxa, który jest wściekły z powodu mojej wyprawy.

Chcę ciągnąć naszą historię, ale najpierw muszę ci opowiedzieć, co się stało, kiedy wczoraj wieczorem poinformowałam Maxa o swoich planach. Spodziewałam się kłopotów, ale to, co się wydarzyło, było naprawdę bardzo dziwne, kochanie. Skończyłam pisać

i odłożyłam notatniki na miejsce. Domek jest wilgotny, więc najlepiej chować ważne rzeczy w szczelnie zamkniętych pojemnikach -ja wkładam swoje zapiski do starej puszeki po herbatnikach. Potem zamknęłam drzwi i poszłam ścieżką pod górę. Było koło szóstej trzydzieści. Światło miało perłową barwę, niebo różowy odcień, ze smugami fioletowej purpury. Kiedy dotarłam na szczyt urwiska, poczułam ciężki i słodki zapach azalii, wilgotnych od wieczornej rosy. Manderley leżało przede mną w całej krasie. W takim świetle wygląda miło i pogodnie, ale w rzeczywistości ten dom jest pełen różnych nastrojów, również mrocznych, które zmieniają się równie szybko jak pogoda. Ja bardzo to lubię, lecz wiele osób, w tym także Max, jest przeciwnego zdania.

Wczoraj wieczorem w oknach płonął blask zachodzącego słońca i wydawało się, że zachodnia fasada po prostu stoi w ogniu. Zdjęłam pantofle i ruszyłam boso w kierunku domu, rozgarniając stopami chłodną, wilgotną trawę. Drozd, który uwił gniazdo w krzaku bzu, śpiewał głośno, a siedzący wśród gałęzi jodły kos melodyjnymi trelami wyrażał zachwyt nad pięknem wieczoru. Znalazłam się w nieruchomym, stałym punkcie wirującego świata, zawieszona w czasie, bez przeszłości, która mogłaby mnie zasmucać, i bez przy-

szłości, której mogłabym się obawiać. Czułam twój ciężar w łonie i szum leniwie przelewającego się za plecami morza. Nigdy w życiu nie doznałam większej radości, kochanie.

Weszłam do domu, który był równie piękny jak wieczór. Na stole pysznił się wazon pełen kiści białego bzu, w kominku płonął ogień, powietrze pachniało kwiatami i aromatycznym dymem, i wszystko tkwiło na właściwym miejscu. Manderley było ciche i piękne. Przypomniałam sobie, jakim hermetycznym, paskudnym miejscem wydało mi się Manderley, kiedy ujrzałam je pierwszy raz. Wojskowe koszary byłyby chyba bardziej przytulne. W pokojach zalegało stare, zatechłe powietrze, którym nie dało się oddychać. Teraz dom odzyskał prawdziwą tożsamość, stał się schronieniem. Przeszłam przez hol, gdzie chłodne kamienne płyty pieściły moje stopy, a grube ściany były jasne jak alabaster. Dębowe schody zachwycały gładkością, poręcz była idealnie dopasowana do mojej dłoni. Wiedziałam, że wykonałam kawał dobrej roboty i Marie-Hélène byłaby ze mnie dumna.

Poszłam na górę, do swojej sypialni. Danny przygotowała kąpiel i z przyjemnością zanurzyłam się w delikatnie pachnącej wodzie. Potem starannie wyszczotkowała mi włosy. Włożyłam suknię z jedwabiu w kolorze morza, szyję omotałam sznurem pereł, rozstałam kilka kropel perfum na przegubach dłoni i szyi, a na środkowy palec prawej dłoni wsunęłam stary pierścionek ze szmaragdem, który Max podarował mi podczas miodowego miesiąca. Jadłam dziś bardzo mało, ale wymiotowałam tylko dwa razy, co wydaje mi się pocieszające. Czułam się czysta, odświeżona i spokojna. Przechodząc galerią, pozdrowiłam patrzące na mnie z portretów kobiety tego domu: Karolinę de Winter, najbardziej udęconą z nich wszystkich, i trzy gracje, siostry Grenville -Evangeline, Virginie oraz Isoldę.

Postanowiłam, że przy kolacji powiem Maxowi o swoim wyjeździe do Londynu. Wolałam zrobić to w obecności służby. Widzisz, kochanie, napełniam ten dom gośćmi, którzy całymi dniami pochłaniają moją uwagę, lecz wcześniej czy później przychodzi wieczór, kiedy zostajemy sami. Zdaję sobie sprawę, że Max obawia się takich chwil. Zasiadamy wtedy przy stole, odgrywając spektakl przeznaczony dla oczu służby, ale w gruncie rzeczy jesteśmy dwojgiem rozbitków, skazanych na życie wśród ruin i gruzów.

Boże, jakież zimna jest ta jadalnia, gdy jesteśmy w niej tylko we dwoje! Oczywiście staram się zadbać, żeby było tu w miarę przytulnie, każę wcześniej rozpalać ogień w kominku i w pierwszej chwili pokój sprawia wrażenie dość ciepłego. Wino jest dobre, jedzenie doskonałe... Potem spoglądam przez całą długość stołu na Maxa, omijając wzrokiem wazon z kwiatami i błyszczące srebra. Patrzę na jego wykrochmaloną białą koszulę i w jego oczy, słucham rozmów, które usiłujemy prowadzić ze względu na służbę, i krew zaczyna mi zamarać w żyłach. Ze wszystkich stron otacza mnie lód, ściska i dławi, płuca wypełniają się soplami... Myślę, że nawet na Syberii byłoby o wiele cieplej.

Wczoraj wieczorem moja niebieskozielona suknia połyskiwała w blasku świec, a pierścionek ze szmaragdem co chwilę zsuwał mi się z palca, ponieważ zrobił się za duży. Widziałam, jak nasze blade odbicia poruszają się na wypolerowanym blacie mahoniowego stołu. Między nami stała piramida ciemnych owoców. Byłam podekscytowana, oczy mi błyszczały. Jestem za szczupła, ale wiem, że kiedy tak siedziałam tam, konając z zimna, wyglądałam pięknie, i jestem pewna, iż Max również zwrócił na to uwagę.

- Znowu jedziesz do Londynu? - zdziwił się chłodno. - Przecież byłaś tam niecały tydzień temu.

- Dokładnie tydzień temu - odparłam.

Czyżbym musiała teraz czekać na jego pozwolenie, pomyślałam.

- Przenocujesz w swoim mieszkaniu? - zapytał, ponieważ Frith i drugi służący stali w cieniu koło drzwi.

Obrzucił mnie zimnym spojrzeniem. Nie był spokojny, ale głos miał całkowicie opanowany i neutralny.

- Nie lubię, kiedy dwa razy w ciągu jednego dnia pokonujesz tak długą trasę, kochanie - rzekł. - To za duży wysiłek, będziesz zupełnie wyczerpana. W takim stanie łatwo o wypadek.

- Jakoś nigdy dotąd nie zjechałam do rowu - powiedziałam.

- Ale kiedyś może ci się to zdarzyć - odparł.

Czułe słówka ze względu na obecność służby - to zawsze doprowadza mnie do wściekłości i Max doskonale o tym wie. Kiedy wreszcie zostaliśmy sami (Bóg jeden wie, że w Manderley o to niełatwo), powiedziałam mu, że jeżeli chce wygnać mnie do londyńskiego mieszkania, na jedną noc, jeden tydzień czy może na zawsze, to powinien mieć dość cywilnej odwagi, aby poinformować mnie

o tym przy służbie. W cztery oczy mówi mi to dość często, więc dlaczego nie chce dopuścić do sekretu innych? Dlaczego nie mielibyśmy obwieścić tego całemu światu, zapytałam.

Nie odpowiedział, ale wyczułam, że moje słowa trafiają w mur wściekłości i cierpienia. Byliśmy w bibliotece, jego pełnej książek jaskini. Ten pokój pachnie wszystkim, za czym przepadają mężczyźni - skórą, papierosami, starymi gazetami, starym koniakiem

i starą nienawiścią. Max zabarykadował się za gazetą, co jest jego nową metodą. Od pewnego czasu muszę się ciężko napracować, żeby zmusić go do reakcji. Teraz Max boi się reagować tak ostro jak dawniej. Oboje wiemy, dlaczego - gniew to pewna droga, wściekłość szeroko otwiera drzwi, za którymi nawet dziś czai się seks.

Usiadłam w skórzanym fotelu naprzeciwko niego i zapaliłam papierosa, potem drugiego. Mój własny gniew dziwnie szybko wyparował. Znowu miałam uczucie, że wykrwawiam się na śmierć, byłam słaba, zmęczona i nękały mnie mdłości. W czasie kolacji przełknęłam zaledwie kilka kęsów i bardzo mnie to przygnębiło. Moje myśli obracały się boleśnie i powoli, niczym na kole tortur. Najpierw śniadanie, potem lunch, teraz kolacja... Nikt mnie nie uprzedził, że poranne mdłości mogą trwać cały dzień...

Nie chcę cię zagłodzić, kochanie. Zegar tykał rytmicznie, gazeta szeleściła. Miałam dziwne uczucie, że umarłam, przestałam istnieć i Max po prostu nie może mnie zobaczyć.

Rozejrzałam się po pokoju. Długie półki książek o hodowli rasowych stworzeń, koni i ludzi... Długie półki innych słów i autorytetów, naturalnie głównie płci męskiej. Boże, są ich tu tysiące, pomyślałam z przerażeniem. Jak natarczywie domagają się mojej uwagi... Biblioteka jest jedynym pokojem, którego nie tknęłam. Zostawiłam tu wszystko jak było, ponieważ czułam, że właśnie tego chce Max, jest więc prosty, zwyczajny i trochę zaniedbany. Wbiłam wzrok w ciemny turecki dywan i próbowałam odczytać powtarzający się na nim motyw. Co mi mówił? Czy w ciężkich zasłonach i meblach po dziadach kryje się jakieś przesłanie? Co szepcze powietrze w tym pokoju?

Mam dobre oko, więc wiem, że nie zmieniono tu nic od dnia stworzenia. W tym fotelu siadywała przede mną biedna Virginia, babka Maxa, zanim namówiłam ją, żeby przeniosła się do dworku w ogrodzie, być może jego prababka i praprababka. Wszystkie żony

de Winterów przychodziły tu, aby zamienić słowo ze swoimi mężami... I kiedy o tym myślałam, nagle zdarzyło się coś bardzo dziwnego - w pokoju pojawił się nowy duch i przystanął nieśmiało, jakby chciał ukryć się za niebieskimi zasłonami.

Duch nijaki, cichy, lecz uparty i najwyraźniej zdecydowany na wszystko. W pasywności i bezwoli drzemie ogromna siła, którą poczułam w chwili, gdy ta dziewczyna podkraśla się bliżej do mojego fotela. Max w ogóle nie zauważył jej obecności, natomiast ja aż wychyliłam się z fotela, żeby jej się lepiej przyjrzeć. Błada, pozbawiona energii szara myszka... Słodka jak miód, niewinna jak dziecko, bez śladu makijażu i perfum, z prostymi włosami i oczami, które wydały mi się sprytne i przebiegłe, ale może niepotrzebnie się do niej uprzedziłam... Poczułam zapach rywalizacji i naśladownictwa jednocześnie, i muszę powiedzieć, że to dziewczątka wcale nie wzbudziło mojej sympatii...

Głaskała psa, a w kieszeni miała moją chusteczkę. Ubrana była w tweedową spódnicę i szary bliźniak z miękkiej wełny, otaczała ją aura łagodnej desperacji. Nie było w niej choćby cienia ognia, szyku, energii... Kto to jest, na miłość boską?, pomyślałam. I jak śmiała tu wejść?

Jak się nazywa? W odpowiedzi przyłożyła palec do ust, więc najwyraźniej nie miała imienia. Doszłam do wniosku, że to Max doprowadził do materializacji tego anonimowego zera - może duszek był jego wizją idealnej żony, kobiety wiecznie uległej i łagodnej, doskonałej, wzorowej pani de Winter.

To podejrzenie bardzo mnie rozgniewało. Jak to możliwe? Czyżbym od samego początku aż tak bardzo nie pasowała do jego marzeń? Kiedyś ofiarowałam Maxowi dar niepokoju i wzburzenia, włożyłam mu do ręki błyskawicę - takie podarunki są prawdziwą rzadkością. Czy już o tym zapomniał? Jeżeli tak, to zdradził samego siebie i był mężczyzną mniejszego formatu, niż sądziłam. Okazał się małoduszny...

Krew uderzyła mi do głowy, byłam tak wściekła, że mogłabym go zabić. To niemożliwe, powiedziałam sobie, po prostu niemożliwe. Wiem, co między nami zaszło. Nikt i nic nie może tego odmienić czy wymazać, te słowa wycięte są w naszych sercach... Czas zatrzymał się w miejscu, podłoga zadrzała, ściany pokoju zaczęły zbliżać się do siebie... Wstałam. Było mi słabo ze złości i pogardy. Usły-

szalał dziwny dźwięk, zupełnie jakby jakieś potężne, wielkie dłonie tasowały karty, dziesiątki talii kart...

wydałam chyba cichy okrzyk sprzeciwu, bo Max podniósł wzrok, szybko wstał i zrobił krok w moim kierunku. I wtedy wydarzyło się coś absolutnie zdumiewającego - to nie Max objął mnie i przytulił, ale ta cicha dziewczyna-duch o dużych, pełnych tęsknoty oczach. Stała między mną i Maxem i chwyciła mnie za ramię, jakby chciała się na mnie wesprzeć i zaczerpnąć ode mnie sił. Zrozumiałam, że to ja ją przywołałam, że może zostać moją sojuszniczką. Pocałowałam ją w policzek jak przyjaciółkę, a potem w usta jak kochankę. Jej blade policzki okryły rumieniec. Był to tak głęboki, szokujący pocałunek, że obie zadrzałyśmy. Dziewczyna westchnęła i rozwiła się w powietrzu. Zniknęła równie szybko, jak się pojawiła, a mój ślepy mąż nic nie zauważył...

I jak to wytłumaczysz? Jak myślisz, kim była? Nawet jak na Manderley wywołanie tak dwuznacznego ducha było bardzo niezwykle.

Ciągle myślę o tym duchu i doszłam do wniosku, że stało się to niejako za twoją sprawą. Tkwisz we mnie bardzo głęboko i mocno, kochanie, i fakt twojego istnienia odmienił wszystko. Zawsze miałam intuicję i potrafiłam z niej korzystać, ale teraz te zdolności zostały udoskonalone. Moja nowa moc jest naprawdę niesamowita -widzę nieskończoność, zyskałam nowy sposób postrzegania. Widzę też wszystkie aspekty przeszłości, których dawniej nie zauważałam...

Tak więc, uzbrojona w nowe umiejętności, będę pisać dalej. Muszę opowiedzieć ci, jak zawitałam do Manderley, najpierw jako kilkunastoletnia dziewczyna, potem jako narzeczona.

Był 5 listopada 1914 roku. Tego dnia pierwszy raz zobaczyłam Manderley. W tym samym tygodniu przypadały moje urodziny i Dzień Guya Fawkesa. Miałam nadzieję, że z okazji urodzin może wolno mi będzie odwiedzić Maman, ale nic z tego nie wyszło. Evangeline zabrała mnie natomiast do Manderley. W drodze minęły wielki stos drewna ułożonego na przedmieściu Kerrith - wieczorem mieszkańcy zamierzali tu dokonać spalenia kukły spiskowca. Ciotka powiedziała mi o wycieczce do Manderley poprzedniego dnia wieczorem, zupełnie niespodziewanie i bez ostrzeżenia. By-

lam bardzo zaskoczona. To prawda, że ostatnio dwa czy trzy razy wyprowadzała mnie na dłuższe spacerzy, ale żeby do Manderley? Wydało mi się to naprawdę dziwne.

Przygotowania trwały dobrą godzinę. Rozebrano mnie, wyszorowano do czysta, nieposłuszne włosy przygładzono, zapleciono w dwa warkocze i upięto z tyłu głowy niczym martwe, przekłute szpilkami węże. Potem pokojówka włożyła mi kapelusz, obejrzała obgryzione paznokcie, westchnęła nad nimi i ukryła moje palce w obcisłych rękawiczkach. Byłam otulona wieloma warstwami skromności i przyzwoitości - koszulką, gorsecikiem i wykrochmalonymi halkami. Stopy zostały na siłę wciśnięte w trzewiki, z których zdążyłam już wyrosnąć, a na koniec spotkała mnie ostateczna obelga - ponieważ żadna z moich sukienek nie wydała się Evangeline wystarczająco dobra, kazała mi włożyć starą suknię Jocelyn, koloru zaschniętej krwi, z pelerynką. Wyglądałam ohydnie!

Evangelina przyjrzała mi się uważnie, z umiarkowaną aprobata. Podobało jej się chyba wszystko poza moją twarzą, bo nagle ujęła podbródek dłonią i podniosła go lekko. Długo, bardzo długo badała wzrokiem moje oczy i wargi, wreszcie westchnęła, zmarszczyła brwi i pokręciła głową. Widziałam, że jest zmartwiona i zaniepokojona. Czy coś było nie tak z moimi ustami? Porywczy Orlando powiedział kiedyś, trochę drażniąc się z Maman, że zasługują na pocałunki, co wprowadziło Maman w fatalny humor na resztę dnia. Czy nie wolno mieć zasługujących na pocałunki ust? A moje oczy?

- Co z moimi oczami? - zapytałam. - Nie podobają ci się? Nic na to nie poradzę, z takimi się urodziłam...

- Nie, dziecko, nie o to chodzi - odparła Evangelina, wyraźnie przygnębiona. - Martwi mnie ich wyraz, nic więcej. Twoje oczy mają niezwykły kolor, rzęsy masz długie i gęste... Na pewno nie zdajesz sobie z tego sprawy, Rebeko, ale ich spojrzenie jest... Nieskromne, chyba tak należałoby to ująć. Młoda dama nie wpatruje się w nikogo uporczywie, a jeżeli czuje do kogoś niechęć i pogardę, stara się to ukryć...

- Mam patrzeć na swoje buty? Nie mam nic przeciwko temu, jeśli tak wolisz...

Evangelina powiedziała, że bym nie była małą impertynentką i wyszłyśmy na podjazd przed domem, gdzie czekał automobil

z szoferem w uniformie. Pojechaliśmy pnącą się pod górę drogą, później w dół, minęliśmy wysoką żelazną bramę i pomknęliśmy szeroką aleją z moich marzeń. Nadal było bardzo ciepło, prawie upalnie, i zanosilo się na burzę. Jesień 1914 roku była długa i łagodna. Liście na drzewach w Manderley usychały i powoli opadały. Ogrodnicy zgarniali je w wielkie złociste pagórki i palili. Żwir trzeszczał pod kołami, powietrze pachniało dymem. Kiedy zwolniliśmy na zakręcie, z oddali dobiegł mnie szum morza. Duch dobrej cioci Virginii pojawił się na chwilę, żeby mnie powitać. Gdy Evangeline odwróciła głowę, szybko wyjęłam z kieszeni emaliowaną broszkę w kształcie motyla i przypięłam ją na przodzie sukienki, niczym emblemat.

Weszliśmy do wielkiego grobowca od strony północnej, gdzie ponad dziesięć lat później, gdy przybyłam do Manderley jako świeżo poślubiona żona Maxa, upuściłam rękawiczkę, zmuszając Fritha, aby schylił się i ją podniósł. Była to moja prywatna zemsta za tamte rękawiczki z brązowego zamszu, które sam pakował i wysyłał, żeby poprawić nastrój Maman, zemsta za prezent od tamtego łajdaka. Gdy przyjechałam do Manderley z Evangeline, Frith nie był jeszcze kamerdynerem. Na nasze powitanie wyszedł jakiś inny cerber i przekroczyliśmy próg domu zmarłych. Wewnątrz panował mrok, prawie zupełna ciemność, a powietrze było wilgotne od potu kilku wieków tajemnic i sekretów. Witajcie w Hadesie, pomyślałam wtedy.

Zobaczyłam salon, kochanie. Nie mój salon, nie godne podziwu dzieło mojej wyobraźni i uporu, lecz pomieszczenie o zamkniętych oknach i do połowy zasuniętych paskudnych zasłonach z falbanami i jedwabnymi sznurami, bardziej przydatnymi jako stryczek. W kominku dogasał marny ogieniek, boazeria ukryta była pod ogromnymi, częściowo zjedzonymi przez mole gobelinami, tu i ówdzie stały wstrętne, przysadziste krzesła i fotele o ponurych obiciach oraz setki drobnych pułapek - malutkie stoliczki na giętych nóżkach, pufy, taborety i Bóg jeden wie, co jeszcze. Przejście przez ten pokój przypominało wędrówkę po labiryncie. Jeden energiczny ruch spódnicą mojej śmiesznej sukienki i nastąpiłaby katastrofa, porcelanowe figurynki i fotografie w ramach posypałyby się na podłogę jak grad. Wszędzie, dosłownie wszędzie wisiały bądź stały podobizny członków rodziny de Winter. Wiedziałam, że wśród nich musi

być także fotografia Lionela - och, jakąż radość sprawiłoby mi zrzucenie jej na podłogę!

Z fotela gdzieś w głębi salonu podniosła się i ruszyła ku nam babka Maxa, wścibska, arogancka stara wiedźma z opowiadań Maman. Nie miałam najmniejszego zamiaru unikać jej spojrzenia. Podniosłam oczy i zmierzyłam ją wzrokiem godnym Meduzy.

Powiem ci coś, kochanie - zdarzyła się wtedy najdziwniejsza rzecz pod słońcem: wystarczyła ta jedna chwila, żebym polubiła ją z całego serca. Od razu, natychmiast. Chyba to zasługa mojej intuicji, że zawsze bardzo szybko wyczuwam, czy ktoś będzie moim przyjacielem, czy wrogiem. Przesadą byłoby twierdzenie, że stara pani de Winter sprawiała wrażenie osoby zasługującej na absolutne zaufanie, ale z całą pewnością miała silną osobowość, energię i odwagę. Ta kobieta nie bała się być nieuprzejmą. Zorientowałam się, że wcale nie ma ochoty na rozmowę z Evangeline, i rzeczywiście, poświęciła jej najwyżej pięć minut. Potem przywołała pokojówkę i poleciła zaprowadzić ciotkę na górę, gdzie, jak powiedziała, odpoczywa jej wnuczka Beatrice ze swoim nowo narodzonym dzieckiem i nie może się już doczekać odwiedzin Evangeline.

- No, dobrze - mruknęła stara bestia, odwracając się do mnie w chwili, gdy drzwi zamknęły się za Evangeline. - Wiesz, dlaczego tu jesteś, dziecko? Bo chciałam cię zobaczyć. I przyjrzeć ci się.

Przyjrzała się mojej twarzy z jeszcze większą uwagą, niż to kiedyś zrobiła Evangeline.

- No, no, no - rzuciła, nie wypuszczając mojego podbródka z mocnej dłoni. - Potrafisz walczyć, to dobrze. Bardzo dobrze. Nie znoszę kobiet, które lubią, kiedy się po nich depcze. Kobiety są silniejszą płcią. Jeżeli jeszcze tego nie wiesz, teraz zapamiętaj to sobie raz na zawsze. Ja rządę domem - myślę, że już ci o tym mówiono. Inaczej to miejsce już dawno obróciłoby się w gruzy. Mój syn do niczego się nie nadaje, to słaby człowiek, z mózgiem wielkości ziarnka grochu. Jest umierający - czy ciotka Evangeline mówiła ci o tym?

- Nie - odparłam spokojnie, chociaż ta wiadomość napełniła mnie radością.

Spojrzałam na nią śmiało. Wysoka, mocno zbudowana, przystojna, o aroganckich błękitnych oczach. Stara gorgona - gdyby jej pozwolić, schrupałaby człowieka na śniadanie i zażądała dokładki. Ile miała lat? Sześćdziesiąt? Siedemdziesiąt? Evangeline mówiła mi, że

owdowiała w młodym wieku. Nietrudno było w to uwierzyć, teraz widziałam, że ta kobieta każdym mężczyzną wytarłaby podłogę i po tygodniu wyrzuciła go jak zużytą ścierkę, wyprostowałam ramiona i uśmiechnęłam się do niej.

- Pani syn zapisał mojej matce jakieś pieniądze w testamencie -rzuciłam. - Więc jeśli rzeczywiście umiera, powinna mu pani kazać, by zmienił zapis. Maman nie chce jego pieniędzy i ja też nie. Nie tkniemy ich. Gardzimy nimi.

- Naprawdę? Nie owijasz prawdy w bawełnę, co, panienko? Najwyraźniej Isolda zmieniła melodię... Skąd wiesz o testamencie mojego syna?

- Przeczytałam o nim w liście, który wykrałam. Odrzuciła głowę do tyłu i wybuchnęła śmiechem.

- Doskonale. Zawsze należy być dobrze poinformowaną, niezależnie od kosztów, jakie to pociąga - oto moje motto. Nie jesteś wysoka. Ile masz lat?

- Za dwa dni skończę czternaście.

- Ach, tak...

Zmarszczyła brwi i z zastanowieniem przyglądała mi się długą chwilę. Dziś wiem, że usiłowała przeniknąć, czy nie jestem bękartem Lionela, ale nie mogę również wykluczyć, iż rozważała możliwość przygotowania mnie do jakiejś przyszłej roli. Babka Maxa była do tego zdolna.

Jestem niemal pewna, że doszła do wniosku, iż jestem owocem lędźwi Lionela, ponieważ po paru minutach jej twarz się wypogodziła. Odwróciła się i z najbliższego stolika wzięła fotografię w srebrnej ramce. Uśmiechnęła się dziwnie.

- Oto mój syn - oświadczyła. - Powiedz mi, co o nim myślisz.

Nie wywarł na mnie dobrego wrażenia, kochanie. Z ulgą spostrzegłam, że fotografia Lionela niczym nie różniła się od wizerunku, jaki stworzyłam sobie na podstawie jego listów. Wyglądał jak utuczony paw. Uśmiezek pełen zadowolenia z siebie, blade, wilcze oczy, przeredzone, jasne loczki, obfite wąsy, brzuch nie do końca zasłonięty drogą kamizelką. Uwodziciel cudzych żon, nie miałam co do tego cienia wątpliwości. Zaczerwieniłam się aż po korzonki czarnych włosów, odziedziczonych po Devlinach. Ten człowiek nie zasługiwał na to, aby Maman w ogóle na niego spojrziała. Jak ona mogła?!

- Nie wpuściłabym go za próg - oświadczyłam. - Robi wrażenie łotra i bandyty, chociaż nie istnieje nauka, pozwalająca ocenić charakter na podstawie rysów.

- Tak uważasz? - zapytała. - Raczej nie, dziecko. Nie jest łotrem, tylko słabeuszem, człowiekiem, który zawsze sobie pobłażał. Rozczarował mnie, ale jest moim synem, więc wybaczam mu i robię dla niego, co w mojej mocy. Sprzątam bałagan, który po sobie zostawia - moim zdaniem na tym polega główne zadanie matek. Lionel jest moim jedynym dzieckiem. Jako chłopiec był bardzo wymagający, a ja niczego nie potrafiłam mu odmówić...

Na jej twarzy pojawił się wyraz dziwnego zagubienia. Zapatrzyła się w przestrzeń i milczała długo, zapominając o moim istnieniu.

- No, opowiedz mi trochę o sobie - przemówiła, otrząsając się z zamyślenia tak gwałtownie, że prawie podskoczyłam ze strachu. -Widzę twoją matkę w twojej twarzy, w linii ust. Isolda zawsze kierowała się własnym widzimisię. Podobało mi się to. Była zupełnie inna niż Virginia. Moim zdaniem Lionel wybrał niewłaściwą siostrę, ale cóż, Isolda była od niego o wiele młodsza i po prostu ją przeoczył. Mówiłam mu, żeby poczekał kilka lat, aż dorośnie, lecz nie chciał słuchać. Virginia była taka słodka i ustepliwa... Nigdy nie bądź ustepliwa, panienko, bo ta cecha oznacza powolną śmierć. Kim jest twój ojciec? Dużo o nim słyszałam! Jesteś do niego podobna, prawda?

- Moim ojcem jest Jack Sheridan Devlin - oznajmiłam szybko, z wielką dumą. - Irlandczyk i awanturnik. Podbił serce mojej matki. Poznali się w poniedziałek, a pobrali we wtorek, tak mówi Maman. Mam jego włosy, oczy i temperament. Ale on już nie żyje. Jego statek zatonął w drodze do Afryki Południowej. Płynął tam, żeby zbić dla nas majątek.

- Rozumiem... - powiedziała. - Rozumiem...

Rzuciła mi naprawdę zagadkowe spojrzenie, kochanie! Do dziś nie mam pojęcia, co mogło oznaczać. Wyglądała na zbitą z tropu, znowu się zamyśliła. Stara bestia miała jednak serce, które chyba trochę zmiękło na mój widok. Wtedy wcale mi się to nie podobało. Nie życzyłam sobie, żeby ktokolwiek litował się nade mną.

Spojrzała w okno, przez które do pokoju usiłowały wedrzeć się promienie słońca i w ciągu sekundy znowu była sobą.

- Nie będę cię dzisiaj dłużej męczyła pytaniami, moja droga - rzekła. - Cieszę się, że cię poznałam. Pozdrów ode mnie mamę, kiedy ją zobaczysz, dobrze? - Na chwilę wbiła wzrok w broszkę-motyła. - Kto kazał ci włożyć ten okropny kapelusz?

- Evangeline.

- Zdejmij go, dziecko. Wyjdź na dwór i pobiegaj sobie trochę, wiem, że młodzi ludzie lubią takie rozrywki. Przewietrz płuca. Widzisz tamte stopnie? Idź tamtędy, tylko trzymaj się ścieżki. Mój wnuk Maxim poszedł tam na spacer. Dzisiaj wieczorem wyjeżdża do swojego regimentu. Cały dom stoi na głowie, bo część służących powołano do wojska... Biegnij i przedstaw mu się. Masz ochotę zobaczyć morze?

- Tak.

- Więc idź i wróć za trzy kwadranse. Chcę porozmawiać z Evangeline.

Wysłałam przez francuskie okno, które mi wskazała, minęłam rabatki, równe i uporządkowane niczym szeregi żołnierzy, zbiegłam po schodach i kilkoma krokami pokonałam trawnik. Zerwałam z głowy okropny kapelusz i popędziłam przed siebie najszybciej, jak mogłam, napełniając płuca wielkimi haustami słonawego powietrza. Żałowałam, że stara wiedźma rozmawiała ze mną o ojcu i matce i że Lionel-zdrajca jeszcze nie skonał... Wiedziałam, że jeżeli pobiegnę jeszcze szybciej, wiatr osuszy mi policzki z łez i zatrze po nich wszelkie ślady...

Kiedy dopadłam szczytu pagórka, przystanąłam na sekundę, drżąc na całym ciele. Zgniotłam kapelusz w dużą kulę i rzuciłam ją wysoko. Wiatr porwał kapelusz, zakreślił nim kilka razy i cisnął go do potężnej kałuży wśród skał.

Ruszyłam dalej, już bez pośpiechu. Łzy przestały płynąć i wtedy pierwszy raz ujrzałam naszą zatokę w całej krasie. Woda pieniała się przy brzegu, fiołkowa i zielononiebieska, słońce lśniło na falach, które obmywały plażę i cofały się, raz po raz, czyste jak szczerza obietnica. Skłębiony w moim sercu ból odtajał i rozluźnił uścisk. Spojrzałam przez ramię na długi, trochę jakby koci kształt przyczajonego pod lasem Manderley, przeniosłam wzrok na morze i już wiedziałam, że wreszcie dotarłam do domu. To miejsce należało do mnie od samego początku mówiałam jego językiem, a ono świetnie mnie rozumiało.

Czy byłam w stanie sprawić, aby stało się moją własnością? Czy zdołam wyrwać je z rąk de Winterów? To dopiero byłaby prawdziwa zemsta za wszystkie niesprawiedliwości, jakie spotkały Maman, najcudowniejszy prezent dla niej. Ale jak to osiągnąć? Ściągnęłam brwi, rozważając dotychczasowe zwycięstwa i strategię. Odkąd Frank McKendrick podczas spaceru na Marinę Paradę w Plymouth nazwał mnie „Ryszardem III w kolebce”, garbaty król stał się moim ukochanym bohaterem historycznym, a nawet mistrzem, i w tej właśnie chwili ogarnął mnie nastrój godny władcy, którego pragnęłam naśladować. Przypomniałam sobie scenę, w której Ryszard mówi, że nawet gdyby korona była zupełnie poza zasięgiem jego rąk, i tak zerwałby ją jak owoc z drzewa.

Dokładnie wtedy, co do sekundy, kochanie, abym nie miała żadnych wątpliwości, że tak chciał los, ujrzałam przed sobą wysokiego mężczyznę w mundurze. Wcześniej stał w cieniu, pod ścianą domku na plaży, lecz teraz wyszedł na słońce. Syn i spadkobierca, pomyślałam. Było z nim dwoje dzieci - wysoki, niezgrabny, biednie ubrany chłopiec i malutka, chuda dziewczynka, która obiema rękami przytrzymywała rogi fartuszka, obciążonego jakimś ładunkiem. Znajdowali się zbyt daleko ode mnie, żebym mogła zobaczyć, co niosła.

Wydaje mi się, że dziedzic Manderley usiłował pozbyć się dzieci, w każdym razie tak to wyglądało. Wskazał im linię drzew, kończącą się tuż nad domkiem, i coś im tłumaczył. Chłopiec stał ze spuszczoną głową, kopiąc kamyczki i przestępując z nogi na nogę, chudziutka dziewczynka puściła rogi fartucha, z którego wysypały się muszelki. Potem oboje wzięli się za ręce i pobiegli w kierunku drzew, a syn i spadkobierca założył ręce do tyłu i ze wzrokiem wbitym w ziemię zawrócił ku ścieżce.

Obserwowałam, jak wspina się pod górę. Spodobały mi się jego ciemne włosy, skórzana kabura na biodrze, lśniące buty, mosiężne guziki i sprzączki. Syn i spadkobierca... Ach, oto sposób, pomyślałam.

Zobaczył mnie dopiero na samym szczycie. Był zamyślony i niezbyt zadowolony że ktoś go szpieguje. Przedstawiłam mu się - powiedziałam, że nazywam się Rebeka i przyjechałam z lady Briggs. On także się przedstawił, uściśnął mi rękę, ale nie wzbudziłam jego zainteresowania, szczerze mówiąc, chyba w ogóle nie słuchał, co

mówię. Myślał o czym innym. Może o obciążonym moją klątwą ojcu, który umierał w wieży, a może o wojnie, która podobno miała zakończyć się przed Bożym Narodzeniem?

I nie bardzo wiedział, co zrobić - pójść dalej i zostawić mnie tutaj, czy zostać na chwilę i zamienić ze mną kilka słów, jak każe uprzejmość. Koniec końców wybrał kompromisowe rozwiązanie: stanął obok mnie, w odległości kilku metrów, utkwiał wzrok w morzu i milczał.

- Co to za dzieci? - odezwałam się po chwili.

- Te na plaży? Nazywają się Carminowe, Ben i Lucy Carmi-nowe. Ich matka dzierżawi od nas dom. Są nieszkodliwe, ale ciągle kręcą się tutaj. Mój ojciec nie jest z tego zadowolony.

- A pan? - zapytałam. - Panu to przeszkadza? Przecież to tylko plaża...

- Prawda, ale ta plaża należy do nas. - Rzucił mi krótkie spojrzenie. - Zatoka stanowi własność prywatną.

- Tylko plaża, czy morze też? Nie wierzę, żeby ktokolwiek mógł być właścicielem morza. To by było świętokradztwo.

- Całkiem możliwe - powiedział z westchnieniem. Wyjął papierosa i zapalił. - Rzeczywiście, to śmieszne. Równie dobrze mógłbym wymyślić sobie, że należy do nas kawałek nieba. No, ale zatoka naprawdę jest częścią naszego majątku. Zawsze tak było.

Znowu umilkł. Patrzyłam na niego uważnie. W jego oczach byłam tylko przeciętną, nudną dziewczynką w brzydkiej sukience, dodatkiem do Evangeline. Sądziłam nawet, że w ogóle mnie nie widzi, ale w gruncie rzeczy całkiem mi to odpowiadało. Jeżeli byłam dla niego niewidzialna, to mogłam przyglądać mu się do woli. Miał wrażliwą twarz o regularnych rysach i ładne dłonie. Nie wiem, dlaczego, ale szczególnie zainteresował mnie rewolwer.

- Jest naładowany? - zapytałam po chwili milczenia, w czasie której na pewno zapomniał o moim istnieniu.

Drgnął.

- Słucham? Ach, mój rewolwer? Nie.

- Mogę go obejrzeć?

- Raczej nie. Broń jest niebezpieczna, to nie zabawka dla małych dziewczynek.

- Nigdy nie widziałam rewolweru... Nawet go nie dotknę, daję słowo.

Chyba trochę go rozbawiłam. Znowu westchnął i w końcu z rezygnacją odpiął kaburę, i wyjął rewolwer. Pokazał mi, jak działa, włożył jeden nabój i zakręcił magazynkiem. Słońce zaśniło w metalu. Utkwiłam w broni pożądliwe spojrzenie. Rewolwer był smukły, wydawało mi się, że idealnie zmieściłby się w mojej dłoni.

- Kiedy będzie go pan używał? - zapytałam. - Zabije pan z niego jakichś Niemców?

- Bardzo wątpię - odparł sucho. - Jeśli dobrze rozumiem, mam wygramolić się z okopu na czele żołnierzy i poprowadzić ich przez ziemię niczyją prosto na niemieckie pozycje. Musimy przedostać się przez zasieki z drutu kolczastego i leże po pociskach. Potem Niemcy ostrzelają nas z karabinów maszynowych, my odpowiemy ogniem, a ja mam strzelać z tego rewolweru. W przeciwieństwie do broni maszynowej, ma krótki zasięg i magazynek na sześć naboji, więc uczciwie rzecz biorąc, jestem bez szans. Spodziewam się, że przed upływem roku zginę. Odbyłem czterotygodniowe szkolenie, ale nadal nie mam pojęcia o walce.

- I co? Nauczy się pan zabijać?

- Na pewno, jeżeli tylko pożyję wystarczająco długo...

Zastanawiałam się, czy nie powiedzieć mu, że chociaż jest przeklęty jak jego ojciec, to jednak nie zginie. Nie może zginąć, ponieważ mam wobec niego pewne plany, pomyślałam. Doszłam do wniosku, że i tak mi nie uwierzy, więc dałam sobie spokój. Włożył rewolwer do kabury (wyobraź sobie, że był to ten sam, na którego czyszczeniu przyłapałam go niedawno). Nigdy się nie dowiedziałam, czy zabił z niego jakichś Niemców. Max nie chce rozmawiać o wojnie, a ja nie naciskam. Więc nie wiem - może jest specem od zabijania, a może nie...

- Muszę już iść - odezwałam się po chwili milczenia. Zostawiłam go przy ścieżce, wpatzonego w ciągnącą się przez

całą długość zatoki rafę. Zanim oddaliłam się o dwadzieścia metrów, już o mnie zapomniał. Nie byłam wtedy atrakcyjną osobą, chociaż później udało mi się to osiągnąć. Wróciłam biegiem do domu, gdzie Evangeline i stara wiedźma siedziały w salonie, pogrążone w poważnej rozmowie.

Nie widziałam potem babki Maxa przez wiele lat. Kiedy drugi raz przekroczyłam próg jej gawry, byłam wysoką, zupełnie odmienioną dwudziestopięcioletnią młodą kobietą i narzeczoną Maxa.

- Jesteś dziewczynką z motylkiem, prawda? - powiedziała, kiedy po kolacji przeszliśmy do salonu.

Cały wieczór nie spuszczała ze mnie błękitnych, drapieźnych oczu. Max i Frank Crawley, który usiadł z nami do stołu, zostali w jadalni, aby wypić kieliszek portu. Najwyraźniej właśnie tak wyglądał rytuał, oto babcia oceniała przyszłą małżonkę. Następnego dnia, podczas większego towarzyskiego spotkania, moją wartość miała oszacować siostra Maxa, Beatrice, ale oczywiście jej zdanie liczyło się w mniejszym stopniu.

Babcia zmierzyła mnie uważnym spojrzeniem, od stóp do głów. Przyjrzała się sukni, którą kupił dla mnie Max. Czerwony aksamit miał odcień zaręczynowych rubinów, kolor krwi i płonącego serca. Suknia była wspaniała.

- Świetna robota, moja droga - rzekła. - Brawo, w pierwszej chwili nawet ja cię nie poznałam. Zupełnie zniknęłaś nam wszystkim z oczu, nikt nie miał pojęcia, co się z tobą stało. No i proszę, oto jesteś! Mała waleczna dziewczynka... Twoich oczu nie można zapomnieć. Powiedz mi - długo polowałeś na Maxima?

- Wcale na niego nie polowałam, gardzę takimi metodami. Zresztą, wcale nie musiałam...

- Wierzę. - Rzuciła mi ostre spojrzenie. - Odkąd Maxim skończył pięć lat, powtarzam mu, że dobra żona musi posiadać trzy cechy: urodę, inteligencję i odpowiednie pochodzenie. Masz wielką urodę, dziecko, i to bardzo niebezpieczną urodę. Inteligencję -niewątpliwie, już przy naszym pierwszym spotkaniu wiedziałam, że ci jej nie brak. Pochodzenie? Cóż, dobrze pamiętam Isoldę, nie zapomniałam też irlandzkiego awanturnika... Każdy stary ród potrzebuje od czasu do czasu świeżej krwi. Twoje pochodzenie jest dość nietypowe, ale w gruncie rzeczy zupełnie niezłe. - Ściągnęła brwi, zamyśliła się i zaczęła wybijać palcami marszowy rytm na poręczy fotela. - Oczywiście mogłabym bez trudu doprowadzić do zerwania tych zaręczyn, chyba zdajesz sobie z tego sprawę? Zrobiłam to już kiedyś, gdy Maxim zadurzył się w jakiejś nieodpowiedniej dziewczynie i teraz też by mi się udało. Niepokoi cię to?

- Nie - odparłam spokojnie, siadając obok niej.

Mogła mieć siedemdziesiąt parę, może osiemdziesiąt lat. Nadal była wspaniałą, imponującą gorgoną, ale przygarbiła się i wyraźnie

postarzała. Była chyba zmęczona. Miałam nad nią przewagę młodości, a także i tę, że Max był we mnie do szaleństwa zakochany.

Nie przestawał o mnie myśleć, zaczynał za mną tęsknić w chwili, gdy wychodziłam z pokoju. Zawsze lubiłam słowo „wieczność”, a Max stale posługiwał się zwrotami „na wieki” i „na zawsze”. Powtarzał, że jestem jedyną kobietą, jaką kiedykolwiek kochał, jedyną, jaką mógłby obdarzyć miłością. Mówił, że pragnie mnie i potrzebuje, zawsze będzie mnie bronił. Chciał być ze mną dzień i noc. Noc i dzień chciał być we mnie. Czasami nie czekał, aż się rozbierzemy. Pospiesz się, kochanie, szeptał. Dotykał mnie pod spódnicą i kiedy poczuł, jaka jestem wilgotna, jęczał cicho. Szybko, szybko, powtarzał. Śnił o moich małych piersiach i białej, białej skórze. Zanurzał twarz w moich długich włosach i sam ich zapach sprawiał, że twardniał. Mówił, że tonie w moich oczach, że umrze, jeżeli za niego nie wyjdę, a ja umrę, jeśli mu odmówię. Mówił te wszystkie piękne rzeczy, uderzające do głowy jak wino... Były prawdą wtedy i nigdy nie przestały nią być. Są niezmiennie i nieuniknione jak przyływ i odpływ.

Uzbrojona w tę świadomość, wiedząc, że czas pokonuje nawet najbardziej nieugięte kobiety i trochę współczując z tego powodu pani de Winter, starałam się być dla niej łagodna.

- Jeżeli próbuje pani nas rozdzielić, przegra pani - oświadczyłam. - Jestem godną pani przeciwniczką. Ale pani raczej nie podejmie takiej próby. Nie może pani przecież bez końca rządzić Man-derley, potrzebuje pani sojuszniczki i następczyni. Nie czuje pani ulgi na myśl, że wreszcie trafiła pani na właściwą osobę?

Odrzuciła do tyłu głowę i roześmiała się, dokładnie tak, jak zapamiętałam.

- Jesteś bardzo bezpośrednia, nie zapomniałam o tym. Mówisz szczerze i prosto z mostu, moja droga, chociaż oczywiście nawet twoja otwartość ma granice. Czy Maxim wie, że jesteś córką Isoldy? Czy w ogóle ktoś o tym wie?

- Nie. Jestem dzieckiem Isabel, córką aktorki.

- Zgadza się, moje dziecko - rzekła. - Jesteś urodzoną aktorką, najlepiej świadczy o tym spektakl, jaki odegrałaś przy stole. Nie martw się, zachowam to w tajemnicy, jeśli tak wolisz. A co z twoim ojcem? Maxim nie ma do niego żadnych zastrzeżeń? Mój wnuk potrafi być bardzo drobiazgowy i trochę małoduszny, więc pomyślałam, że może...

- Moją siłę odziedziczyłam po ojcu - przerwałam jej. - I Max o tym wie.

Spojrzałam jej prosto w oczy. Czy powinnam powiedzieć jej, że ojciec powstał z martwych po śmierci Maman i wrócił w zaświaty w dniu moich dwudziestych pierwszych urodzin? Chyba nie. Nie pamiętała nawet, jak się nazywał, więc po co miałabym to robić...

Znowu popadła w głębokie zamyślenie, wędrowała wzrokiem po pokoju.

- Jak poznałaś Maxima? - zapytała po chwili. - Dość nagle pojawiłaś się na scenie. Pomogłaś trochę losowi, moja droga? Ja zawsze to robiłam. Za mężczyzną trzeba decydować, pamiętaj o tym.

Nie widziałam powodu, żeby kłamać, więc opowiedziałam jej, jak to było, ubarwiając historię paroma szczegółami, chociaż naturalnie nie wszystkimi... Byłam w Nowym Jorku z jednym z wielbicieli, którzy kręcili się koło mnie po śmierci ojca. Ten był wyjątkowo uparty i natrętny. Mieliśmy wkrótce wyruszyć w głąb Stanów, chciał mnie przedstawić swojej nudnej, starej, patrycjuszowskiej rodzinie, kiedy ktoś ze znajomych powiedział mi, że płynącym do Anglii wielkim liniowcem wraca doskonała partia, właściciel legendarnego Manderley, Maxim de Winter.

Następnego dnia rano sprzedałam naszyjnik, który wspomniany wielbiciel kupił mi tydzień wcześniej (miałam trochę pieniędzy, ale nie dosyć na bilet w pierwszej klasie, a naszyjnika i tak nie lubiłam - lodowate kamienie dławiły mnie bezlitośnie). Potem poszłam do biura linii oceanicznych, wykupiłam ostatni apartament i tego samego dnia wieczorem opuściłam Nowy Jork. Nawet nie pożegnałam się z wielbicielem, ponieważ zaczął mnie już nudzić. Znalazłszy się na pokładzie, nie podjęłam zupełnie żadnych starań w celu przywabienia dziedzica Manderley, nie postarałam się też, żeby posadzono mnie przy jego stole. Wiedziałam, że nie muszę uciekać się do takich sztuczek. Po śmierci ojca byłam w fatalnym stanie, ale w ciągu następnych paru lat zdołałam odzyskać względną równowagę ducha. Odrodziłam się za zielonym parawanem w szpitalu, po płukaniu żołądka, o czym już pisałam, później zaś uczyniłam z siebie kobietę-broń, pożegnałam Bekę i zostałam Rebeką.

Mniej więcej w tym samym czasie Max odziedziczył majątek. Nie był żonaty i wiedziałam, że czeka na mnie. Od lat śledziłam jego życie towarzyskie, zbierając plotki z modnych magazynów i opo-

wiadane przez przyjaciół anegdotki. Kilka razy dosłownie o mały włos nie spotkaliśmy się na przyjęciach u wspólnych znajomych. Czasami mówiono mi, że Max zjawił się zaraz po moim wyjściu, albo odwrotnie - ja przychodziłam tuż po jego wyjściu. Nie martwiło mnie to. Sama stałam się dość sławną osobą, więc nie wątpiłam, że wcześniej czy później, tu czy tam, na pewno się spotkamy i tym razem Max nie omieszka mnie zauważyć. To było po prostu nieuniknione.

Ostatecznie spotkaliśmy się na tym liniowcu, dwa dni po wypłynięciu z Nowego Jorku. Szalał sztorm i większość pasażerów schroniła się w kabinach. Stałam na pokładzie, oparta o reling i wpatrywałam się w szare, zimne i potężne cielsko Atlantyku. Wiatr zawodził rozpaczliwie i bezustannie, więc nie usłyszałam jego kroków. Wyglądał podobnie jak za pierwszym razem, chociaż bez munduru oraz rewolweru trochę mniej interesująco. Miał trzydzieści parę lat i ludzie zaczęli się już dziwić, że nadal jest kawalerem.

- Mam nadzieję, że nie zamierza pani wyskoczyć za burtę - zauważył.

Zorientowałam się, że mówi poważnie, nie żartuje, więc odpowiedziałam tak, jak na to zasługiwał - całkowicie szczerze.

- Nie tym razem.

Przed wyjściem na pokład nie włożyłam ani kapelusza, ani rękawiczek. Spojrzał na moją twarz, potem na zaciśnięte na relingu ręce i spostrzegłam, że zwrócił uwagę na wąską, wysadzaną brylantami obrączkę na serdecznym palcu prawej dłoni. Wyraz twarzy natychmiast mu się zmienił. Był tak wyraźnie przygnębiony, że musiałam go ratować.

Wyjaśniłam mu, że mój ojciec ofiarował mi ten pierścionek, zrobiony z brylantów, które przywiózł z Afryki Południowej. Nie dodałam, że włożył mi go na palec w dniu, kiedy spotkaliśmy się pierwszy raz, jako symbol łączącej nas więzi, zaraz potem, jak zeszałam do holu z sypialni Maman, gdzie służąca zdążyła już zasłonić lustra prześcieradłami. Powiedziałam natomiast, że ojciec nie żyje, a ja noszę pierścionek ze względu na pamięć o nim.

- Na tym palcu? - zapytał, lekko marszcząc brwi.

- Tylko na ten pasuje - odpowiedziałam zgodnie z prawdą. Max mówił potem, że właśnie w tamtej chwili opanowała go ambicja, aby zastąpić ten pierścionek swoją obrączką ślubną...

- I co było dalej, moja droga? - zaciekała się stara wiedźma.

Nie odpowiedziałam. W końcu to nie była jej sprawa, prawda?

Max i ja do końca rejsu nie rozstaliśmy się już ani na chwilę. Tamtego wieczoru razem zjedliśmy kolację w prawie zupełnie pustej jadalni. Pianista grał zgiełkliwe, ostre jazzowe melodie, statek się kołysał, wspinał na grzbiety fal i zapadał w wodne doliny. Podobno był wyposażony w najnowsze urządzenia stabilizujące, ale wydaje mi się, że w czasie tego rejsu wszystkie odmówiły posłuszeństwa.

Powiedziałam Maxowi, że me zamierzam nazywać go „Maximem”. Forma ta kojarzy mi się albo z działem artyleryjskim, albo z maksymą - zasadą postępowania wyrażoną w jednym zdaniu, i żadnego z tych znaczeń nie określiłabym mianem szczególnie atrakcyjnego. Wolę małą broń, najchętniej posługuję się mieszczącymi się w dłoni rewolwerami, a jeśli chodzi o zasady, to gardzę nimi, zwłaszcza tymi, które narzucają określony sposób zachowania. Max przyszedł do mojej kabiny tamtej pierwszej nocy, co w jego przypadku z pewnością nie było typowym postępowaniem w stosunku do kobiet, i rozmawialiśmy do świtu, w ogóle się nie dotykając, o wschodzie słońca zaś wyszliśmy na spacer po mokrym pokładzie.

Wystarczyło, że raz spojrzeliśmy sobie w oczy i już wszystko było jasne. Zaręczyny, ślub i tak dalej wydawały się tylko mało istotnymi drobiazgami. Kochany Max... Podejrzewam, że był samotny, szukał czegoś i nie mógł tego znaleźć. W powojennym nowym świecie wcale nie czuł się dobrze i swobodnie. Ja nie narzekałam na szybkie tempo życia, ale dla Maxa było ono nie do przyjęcia. Bardzo się martwił, że źle go zrozumie i pomyśle, iż traktuje nasz związek jak wakacyjny romans. Z trudem opierał się pokusie, lecz bał się, że mogłabym uznać go za uwodziciela...

- Moje uczucie jest szczere - powiedział, stojąc na środku salonu, podobny do małego chłopca zagubionego na ulicach wielkiego miasta. - Chcę, żebyś o tym wiedziała.

Zapewniłam go, że wiem, co czuje. Gdybym mu na to pozwoliła, zmarnowałby pół nocy na swoje jakże angielskie rozważania i wyrazy moralnego niepokoju, ale na szczęście nie miałam do tego cierpliwości. Ubrana byłam w awangardową suknię czarodziejki, suknię Szeherazady, dopasowaną jak druga skóra, z długim zam-

kiem błyskawicznym wzdłuż linii kręgosłupa. Namówiłam go, żeby ją rozpiął. Ześliznęła mi się po biodrach i utworzyła czerwoną kałużę wokół stóp. Zdawałam sobie sprawę, że to ważne wydarzenie i byłam trochę zdenerwowana, ale tylko trochę. Zrobiłam krok nad czerwoną tkaniną, słysząc, jak silniki statku nieubłaganie pchają go naprzód i... Tego, co stało się wtedy, gdy mu uległam, nigdy nie wyjawię żywej duszy, nawet tobie, kochanie.

Max i ja stopiliśmy się w jedno, dzieliliśmy się odwagą i wrażliwością. Chyba byłam trochę ślepa, bo nie zauważyłam, że Max jest bardzo zaborczy. Dla mnie małżeństwo nie miało nic wspólnego z posiadaniem i prawem własności, więc nawet nie przyszło mi do głowy, że Max może myśleć inaczej. Gdybym wyczuła, że tak jest, powiedziałabym mu, że sam pomysł posiadania kogoś jest świętokradczy i zwyczajnie głupi. Wiedziałam, że pozwoliłam Maxowi zaznać przyjemności, które wcześniej tylko sobie wyobrażał. Dałam mu *carte blanche* w świecie zmysłów, lecz zapewniłam także wolny dostęp do swego serca i umysłu, co jego zdaniem było o wiele rzadsze.

W rezultacie obydwójce byliśmy sobą całkowicie oczarowani, a w takim stanie nie powinno się podejmować żadnych decyzji. Staralam się być uczciwa - kazałam mu poczekać, aż będzie zupełnie pewny, czego chce, lecz w gruncie rzeczy przed wpływaniem do portu w Southampton obiecałam mu, że zostanę panią de Winter. Do tego celu zmierzałam od jedenastu lat. Zawsze chciałam przyjąć to nazwisko, zastąpić nim własne i zawsze czułam, że będzie do mnie pasowało. Rebeka de Winter... Rebeka de Winter, żadna bzdurna pani Maximilianowa.

Nie zamierzałam brukać tych wspomnień, opowiadając je gorgo-nie, więc szybko odwiodłam ją od prawdy, w czym jestem naprawdę dobra. Istnieje tysiące sposobów, prostych i bardziej skomplikowanych - pewnego dnia nauczę cię, jak się nimi posługiwać. Słuchała w skupieniu, a na jej twarzy pojawił się wyraz, który zapamiętałam z naszego pierwszego spotkania. Myślę, że niepokoiła się o Maxa, i nie bez powodu, jak się okazało, ale również o mnie, co wydało mi się doprawdy szczególne. W jej starych oczach dostrzegłam dziwną troskę i współczucie. Nie mogłam pojąć, dlaczego lituje się nade mną i boi się o mnie.

— Czemu pani tak na mnie patrzy? - zapytałam.

- Bo nie jestem taka twarda, jak mówią, a ty nie jesteś taka nieczuła, jak udajesz
- odparła, z westchnieniem potrząsając głową.

Nie zamierzałam, bynajmniej, zastanawiać się nad jej słowami. Nie dość, że się starzeje, to jeszcze robi się sentymentalna, pomyślałam. Niedobrze. Nie jestem nieczuła? Błąd, babciu, błąd. Cała jestem z granitu.

- Czy na pewno tego właśnie chcesz? - odezwała się na koniec. - Jesteś o tym przekonana? Manderley stawia żonom wysokie wymagania. Żąda poświęceń...

Powiedziała to w taki sposób, że na chwilę zrobiło mi się zimno. Może chodziło jej o poświęcenia w ogólnie przyjętym znaczeniu tego słowa, ale wcale nie dałabym sobie ręki uciąć, czy rzeczywiście to miała na myśli. Nie mogłam odgadnąć, czy myśli o zmarłym synu, a może o minionych albo przyszłych poświęceniach. Nagle wyobraziłam sobie młode żony panów na Manderley, postępujące w procesji do ołtarza przodków; tam, namaszczone, cierpliwe i pogodzone z losem, przygotowywały się do złożenia ofiary z samych siebie. Jaka rolę odgrywali w tej ceremonii ich zimni jak lód małżonkowie? Przeszywali żony sztyletem? Dusili je? A może tylko poślubiali...

Uśmiechnęłam się. Jak ogólnie wiadomo, na ofiary najlepiej nadają się dziewice, a ja dziewicą nie byłam. Miałam do dyspozycji mroczniejsze moce, chroniła mnie siła woli, znacznie lepsza broń niż dziewicza czystość. Ta ostatnia nie na wiele się przydawała, w każdym razie nie w historiach, które czytałam. Manderley nie kryło dla mnie żadnych niebezpieczeństw, naprawdę tak było.

Powiedziałam pani de Winter, że tego właśnie chcę i na tym zależy mi bardziej niż na życiu. Udzieliła mi błogosławieństwa, co było przydatne, chociaż wcale nie konieczne. Max był we mnie tak namiętnie zakochany, że nie pozwoliłby, aby wygnała mnie z domu i na pewno stawiłby jej czoło. W każdym razie tak zapewniał, bo nie musiał radzić sobie z taką sytuacją, a kiedy teraz wspominam mu o tym, od razu wpada w gniew. Mężczyźni to bardzo dziwne stworzenia! Mówię prawdę, lecz Max traktuje to jako zamach na swoją męskość.

Tak więc młoda narzeczona spotkała się z akceptacją i serdecznym przyjęciem, trzy miesiące zaś po spotkaniu na pokładzie liniowca oboje udaliśmy się do wioski, w której przyszłam na świat,

St. Croigne Deluc w Bretanii. Był luty, staliśmy na plaży, a niebo płakało słonymi łzami. Max gładził moje focze futro i całował oczy. Rano poszliśmy do merostwa i cieszyliśmy się sobą bez końca. Każdej nocy śniłam o swoim domu jak o tajemniczym kochanku.

Kiedy wróciłam, aby objąć Manderley w posiadanie, była wiosna, tak jak teraz. Drzewa i krzewy, zwłaszcza bzy, wyglądały jak ślubne bukiety, ziemia budziła się do życia po zimie, las pachniał bogactwem i płodnością. Mimo trudności, jakie pojawiły się podczas naszego miodowego miesiąca, przekroczyłam próg swego domu z wiosennym optymizmem i kazałam służbie otworzyć wszystkie okna, jedno po drugim. To była pierwsza rzecz, jaką zrobiłam...

Do środka wpadło słońce, świeże powietrze. Byłam pewna, że noszę w sobie nasze dziecko, kochanie, lecz okazało się, iż bardzo się myliłam.

Moje kochanie, mój najmilszy skarbie, jest już strasznie późno. Czuję się bardzo podekscytowana, ale muszę się niedługo położyć, dla dobra nas obojga. Między jednym akapitem i drugim ogarnęła mnie fala wielkiego niepokoju, zaczęły mnie nękać wątpliwości i obawy. Wiem jednak, że rano znikną bez śladu, bo najbardziej niebezpieczne są godziny zaraz po północy.

Wysłałam, żeby odetchnąć świeżym powietrzem. Na dworze jest tak cicho, tak spokojnie. Księżyc już zachodzi, ukryty za wielkim masywnym cielskim domu, ale światło gwiazd jest dzisiaj bardzo intensywne. Jest ich tyle, że można by pomyśleć, iż jakiś hojny bóg rozsiał ich srebrzyste nasiona po całym niebie.

Mam wrażenie, że mój ojciec jest dzisiaj bardzo blisko. Nawet fale wydają się go opłakiwać... Wiem, że prawie o nim nie pisałam... Trudno jest zawrzeć życie w notatniku, o wiele trudniej, niż się spodziewałam. Mam jednak nadzieję, że widzisz go na peryferiach mojej historii, jak krąży, zataczając koła o coraz mniejszej średnicy, głodny stary wilk, który co jakiś czas przystaje, podnosi pysk i wyje do księżyca. Zrobiłam z niego legendę, w mojej wyobraźni nadal jest olbrzymem, a blask padający z jego latarni morskiej rozświetla moje dzieciństwo. Ale kim był naprawdę?

Wrócił do Anglii i kupił dom maklera giełdowego - nic fascynującego, nie sądzisz? Nigdy nie wyjaśnił, o co pokłócił się z Maman

ani dlaczego popłynął do Afryki Południowej. Powiedział mi tylko, że zawsze był z nią w kontakcie i na swój sposób otaczał ją opieką, kiedy tylko dowiedział się o jej chorobie, ale ile było w tym prawdy? Nigdy nie widziałam żadnych listów od niego, a Maman nie była chora, była w ciąży, chociaż odkryłam to dopiero dziesięć lat później.

Byłam otoczona kłamstwami! Wszyscy mnie okłamywali - Maman zawsze mówiła, że ojciec nie żyje, Danny utrzymywała, że Maman zmarła na jakąś złośliwą gorączkę, zabrali mojego małego braciszka i do dziś nie wiem, czy to ojciec zmusił Danny do pozbycia się nowo narodzonego dziecka Maman, czy też ona zrobiła to z własnej inicjatywy. Niedługo po moim ślubie Danny w końcu wyznała prawdę. Czy stało się to wtedy, kiedy zorientowałam się, że nie jestem w ciąży? Możliwe. Chyba wówczas płakałam, zapomniałam już, jak to było. Tak czy inaczej, opowiedziała mi o moim młodszym bracie...

Utrzymywała, że sama wpadła na pomysł, aby oddać go do sierocińca, lecz ja nie jestem tego do końca pewna. Wyczuwam w tym rękę Devlina. Wiem, że tamtego dnia, kiedy przyjechałam do Greenways, a Maman umarła, dziecko było jeszcze w jakimś odległym pokoju tego ohydneho domu i to właśnie jego płacz słyszałam, siedząc przy jej łóżku...

Danny popełniła błąd - ja nie płakałam, nie byłam w stanie płakać. Żyłam jak w transie i jeszcze przez parę tygodni zachowywałam się jak lunaticzka.

Jack Devlin był twardym człowiekiem. Chciał być pewny, czy mała suczka nie jest przypadkiem kundlem. Wygnałby mnie z domu jak mojego brata, bez żadnych skrupułów, gdyby nie to, że byłam do niego tak podobna. Skóra zdarta z Devlina - jego oczy, jego czarne włosy, jego skóra, jego krew... Zamknęłam za sobą drzwi pokoju Maman i zeszłam do holu, a tam czekał on, mój ojciec, który wrócił z zaświatów. Spojrzał mi w oczy i pomyślałam, że jest powietrzem, że przejdę przez niego i nic nie poczuję. Podeszłam do niego krokiem katatonicznym - przytrzymał mnie na odległość wyciągniętych ramion, dokładnie przyjrzał się mojej twarzy. Był próżny, niewiarygodnie próżny, interesowało go tylko własne odbicie, chciał zobaczyć we mnie samego siebie, a kiedy to się stało, wyraz jego twarzy w ułamku sekundy całkowicie się zmienił. Otoczył mnie ramionami, wsunął mi swój pierścionek na palec...

Och, kochanie, nie chcę o nim pisać, nie chcę! Przez pewien czas darzyłam go uwielbieniem, a on odpłacał mi tym samym. Można powiedzieć, że całował ślady moich stóp, to było najprawdziwsze bałwochwalstwo. Pierścionek z brylantami na serdecznym palcu prawej dłoni, drogie suknie - dostawałam wszystko, o czym zamarzyłam.

- Zrobię z ciebie wielką damę, Beka - mawiał.

Do diabła z nim! Nigdy nie pozwoliłam, aby ktoś coś ze mnie zrobił. Ani on, ani Max - żaden z nich. Ojciec próbował mnie oswoić. Sprowadzał dla mnie guwernantki, kupował piękną biżuterię i stroje, chciał, bym tańczyła, jak on zagra... Nigdy nie ufaj mężczyznom, kiedy przynoszą dary, kochanie, ponieważ zawsze trzeba za nie zapłacić, wierz mi, a ceną jest wolność.

W Greenways byłam stale i zazdrośnie strzeżona - tylko tyle ci powiem. Byłam księżniczką tatusia, królową wdowca. Trzymał mnie zamkniętą w wieży, lecz był taki dobry, taki serdeczny, że upłynęły całe lata, nim uświadomiłam sobie, że zabrał klucz i nigdy mi go nie oddał. Najpierw wygonił kuzyna Jacka. Niewielka strata, prawdę mówiąc, bo Jack jest podłą, marną namiastką mężczyzny, szpiegiem o wulgarnym umyśle i te słabości pewnego dnia staną się jego zgubą, zobaczysz.

Kuzyn Jack był synem ukochanej siostry ojca i przez pewien czas mieszkał z nami w Greenways. Musiał wyjechać, kiedy o jeden raz za dużo spojrział na mnie w pewien szczególny sposób. Pocałunek w schowku pod schodami, pieszczoty, od których robiło mi się niedobrze... Podrapałam go po twarzy jak wściekła kotka i gdy ojciec zobaczył ślady moich pazurów, kuzyn Jack był skończony. Przyjęłam to z radością, chociaż później się okazało, że takiego demona jak on nigdy nie można się zupełnie pozbyć. Po moim ślubie zaczął pojawiać się w Manderley, oczywiście nieproszony, a że nie potrafi przebaczać i nadal obwinia mnie za swoje liczne porażki, które są jego własnym dziełem, opowiada Maxowi kłamstwa na mój temat, kłamstwa, które bolą i psują krew.

Któregoś dnia zapłacę mu za to. Kara go nie minie - od wielu miesięcy umiejętnie podsycam gniew Maxa, więc zemszczę się na nim w ten sam sposób. Wiecznie ugania się za pieniędzmi, dlatego jedną ręką podam mu czek, a drugą wymierzę karę. Ojciec byłby zadowolony. Wyrzucił Jacka z Greenways bez najmniejszych wy-

rzutów sumienia, ale w tym miejscu należy dodać, że wcześniej czy później przegania! wszystkich mężczyzn, którzy pojawiali się w naszym domu.

- Nie życzę sobie, żeby się tutaj kręcili! - krzyczał. - Nie pozwolę im węszyć dookoła ciebie, Beka, rozumiesz?!

Miałam przyjaciółkę, May, łagodną, inteligentną dziewczynę, naturalną i szczerą. Mieszkała w pobliskim dworze i wolno mi było się z nią spotykać, lecz May miała trzech braci i mojemu tatusiowi szybko przestało się to podobać. May zawsze okazywała mi mnóstwo serca. Wiele lat później zdołałam się jej odwdziaczyć za to, przynajmniej trochę, ale o tym opowiem ci następnym razem, kochanie. Ojciec lubił May, ale gdy tylko jej bracia byli w domu na urlopie, gdy szłam z nimi na spacer, rozmawiałam lub wybierałam się na konną przejażdżkę, patrzył na mnie zazdrosnym wzrokiem, z wygłodniałym wyrazem twarzy. Potem dąsał się, gniewał i pił.

- Powiedz, że kochasz swojego starego ojca, Beka - mawiał.

I niezależnie od tego, co powiedziałam czy zrobiłam, żeby okazać mu miłość, nigdy nie był zadowolony, nigdy nie miał dosyć zapewnień.

Stary Lear... Twardy stary garbus... Nad biurkiem powiesił rewolwer i trofea myśliwskie, które przywiózł z buszu: głowę gazeli, skórę lwicy...

- Niech piekło pochłonie tego wypychacza - powiedział kiedyś, gdy wspierałam się na palce, żeby pogłaskać potężne głowy zwierząt. - Nazywał się Kaffir. Spójrz, jak zmarnował tę skórę, Beka...

Spojrzałam. Ojciec był doskonałym strzelcem, mówił, że sływał z tego. Wielki biały myśliwy, szalony chłopiec z kolonii... Rzeczywiście potrafił zabijać, bo otwór po kuli był maleńki. Cóż z tego, skoro został źle zaszyty - z nie zamkniętej nicią rany sypały się trociny.

Co robiłam przez te siedem lat, kiedy z nim mieszkałam? Nic specjalnego, kochanie, a w każdym razie nic, o czym powinnam ci opowiedzieć. Nauczył mnie grać w karty - do dziś przy zielonym stoliku wstępuje we mnie szatan, więc lepiej nie siadaj ze mną do pokera, bo ogram cię do ostatniej koszuli. Nie spocznę, póki nie wygram, i nie cofnę się przed oszustwem.

Dużo mówił mi o kopalniach. Powiem ci coś ciekawego, o czym sama nie miałam pojęcia, dopóki mi tego nie wyjawiał: w kopalniach

czyha ukryte niebezpieczeństwo. Nie chodzi tylko o to, że ludzie muszą pracować głęboko we wnętrzu ziemi, leżąc i czołgając się w niskim szybie, tak ciasnym i wąskim, że nie mogą nawet dźwignąć się na kolana. I nie o to, że laski dynamitu eksplodują przy wstrząsach, a konstrukcja podtrzymująca strop jest zwykle niestabilna. Sęk w tym, że wbrew moim wyobrażeniom nie jest tam zimno, lecz gorąco, piekielnie gorąco, więc bakterie mnożą się jak króliki. We wszystkich kopalniach złota aż roi się od bakterii, które dostają się do ust, kiedy oblizujesz wargi, rozwijają się w gardle i stamtąd trafiają do jamy brzusznej. Wciskają się do płuc, zalegają w komorach serca i dojrzewają w aorcie. Jeżeli skaleczysz się tam na dole, natychmiast dochodzi do infekcji i rana ropieje, paskudzi się całymi miesiącami, nawet latami. Ojciec mówił, że czasami nigdy nie goi się do końca, niezależnie od tego, jak bardzo dbasz o higienę, jak często zmieniasz opatrunki i połykasz lekarstwa... Ciekawe, prawda? Oto wiadomość dla ciebie, przesłanie w butelce. Wrzuć ją do morza, a zobaczysz, gdzie wypłynie na brzeg, tato.

Nie chcę już więcej o nim pisać. Jest zbyt wielki jak na moje pióro, nie mieści się na kartce papieru. Nie zawsze był hochsztaplerem. Jak pokazał mi Frank McKendrick, jednego dnia można być Prosperem, następnego Markiem Antoniuszem; można zacząć dzień jako Miranda i - hokus-pokus - zakończyć go jako lady Makbet lub Kleopatra. Wszystko jest płynne... Mój ojciec miał lwie serce, walczył do końca, a zabiły go długo ukrywane długi i wierzyciele, kochanie, chociaż ktoś może próbować wmówić ci coś innego.

Nie potrafił powiedzieć mi prawdy. Nie mógł stawić czoła hańbie i wstydomi, dlatego poszedł na poddasze, zamknął drzwi, przerzucił sznur przez belkę i skręcił sobie kark. Zrobił to tego dnia, którego otrzymał ostateczne wezwania do spłaty długów. Odtąd nie obchodzę urodzin. Nie chcę. Nie mogłabym. Ledwo się budzę, a już zalewa mnie fala dzikiego smutku. Mam wrażenie, że nie jest to dzień moich urodzin, lecz święto śmierci.

Dosyć, moje najdroższe kochanie. Dosyć, dosyć. Dotarłam do ostatniej strony czarnego notatnika. Nie chciałam kończyć opowia-

dania tak smutnym akordem, wydawało mi się, że już dawno przecięłam wszystkie więzi, łączące mnie z przeszłością.

Zapomnijmy o duchach. Od dziś będziemy używać wyłącznie czasu przyszłego. Chcę ci powiedzieć... Chciałabym ci uświadomić, jak bardzo cię kocham, całym sercem, bez końca... Jaką radość czerpię z twojego istnienia, z tego, że czuję, jak rośniesz, że mogę myśleć o tobie i planować dla ciebie najbliższą przyszłość.

Kiedy przyjdiesz na świat, moje maleństwo, będzie późne lato, najpiękniejsza pora roku w Manderley. Często ładna pogoda utrzymuje się tutaj bardzo długo, do końca października, czasami nawet do połowy listopada. Dopiero potem zrywają się zachodnie wiatry, zapowiadające nadejście jesieni. Urodzisz się w moim pokoju w Manderley, tym z widokiem na morze. Będziesz słyszeć jego szum. *La mer, ma mère...* Pamiętasz? Będę cię karmić, opiekować się tobą i zawsze nad tobą czuwać.

Wykorzeń i wyrzuć wszystko, co we mnie złe. Chcę być najlepszą z matek, wychować cię w atmosferze miłości i poczuciu bezpieczeństwa. I jestem absolutnie pewna, że Max także cię pokocha, wystarczy, że raz na ciebie spojrzy. Będzie uważał cię za dziecko, które odmieniło jego życie, tak jak moje. Tak będzie, to nieuniknione, zaprzęgam teraz do pracy swoją siłę woli... Kto wie, co się stanie? Może nadejdzie czas pogodzenia? Spokoju? Wszystko jest możliwe, wszystko, moje najdroższe kochanie. Pomyśl o tych długich latach, które spędzimy razem.

Jest druga w nocy. Za trzy godziny będziemy już w drodze do Londynu. Zaraz po powrocie zacznę pisać na nowej stronie w nowym notatniku i wypełnię wszystkie luki w mojej historii. Opowiem ci dużo więcej o ojcu i o Maxie, przetłumaczę szyfrowane znaki mojego małżeństwa i oczywiście opiszę, co przydarzyło się nam w wielkim mieście, co powie nasz poważny doktor, i tak dalej.

Nagle poczułam się bardzo zmęczona. Jasper jest niespokojny, nie może znaleźć sobie miejsca. Patrzy na mnie takimi smutnymi oczami... Chyba wie, że rano wyjeżdżam, bo zawsze potrafi to wyczuć.

Rozsunęłam zasłony, żeby pierwsze światło poranka postawiło mnie na nogi. Nastawiłam budzik - słyszysz, jak tyka? Położę się teraz, mój najmilszy skarbie.

CZĘŚĆ IV

Ellie

Maj 1951 roku

ROZDZIAŁ 25

Nadeszła fala upałów, kochanie, powtórzyłam dzisiaj w myślach. Siedziałam w ogrodzie, między naszą palmą i araukarią.

Pisałam list do Toma Galbraitha, co okazało się bardzo trudne. Nie potrafiłam ułożyć słów na papierze, tak jak chciałam. Wiedziałam, że muszę opowiedzieć mu o tym, co wydarzyło się wczoraj i chyba miałam też ochotę powiedzieć kilka innych rzeczy. Nie umiem ukrywać uczuć i w myślach nadal nazywam go „panem Greyem”. Po godzinie ogryzania obsadki napisałam jedynie nagłówek - Drogi Tomie - i jeden króciutki akapit.

Dziś rano ponownie przeczytałam niektóre fragmenty notatnika Rebeki i kiedy nie wiedziałam, co pisać, do głowy przychodziły mi jej słowa. Oczywiście, nie zapisywałam ich. Tak czy inaczej, rzeczywiście nadeszła fala upałów i od pięciu tygodni dzień w dzień świeci słońce, ale niestety nie mogłam użyć słowa „kochanie”, zresztą Tom i tak od razu rozpoznałby cytat. Zna ten przypominający czarną trumienkę notatnik na pamięć, podobnie jak ja.

Wyniosłam stolik do ogrodu, żeby przy nim pisać i usiadłam dokładnie w tym miejscu, gdzie czternastoletnia Rebeka w 1914 roku piła herbatę z moim ojcem, Elinor (miała wtedy dwadzieścia siedem lat) i moją łagodną, dobrą babcią, której nie znałam, ponieważ zmarła przed moim narodzeniem. Po obu stronach kwitły słynne róże pań z rodu Grenville. Ojciec stale je przycina, ale nawet te jego karne metody nie są w stanie przytłumić ich wrodzonej energii. W tajemnicy przed nim podlewam je czasami odżywką i teraz odwdzięczają mi się za to - krzewy aż uginają się pod ciężarem cudownych, wielkich kwiatów we wszystkich odcieniach, od najja-

śniejszego, niebieskawego różu po winną czerwień i lawendowy fiolet. Mam wrażenie, że siedzę w samym środku olbrzymiego kosza z różami, a to przecież nie jest miejsce, w którym można się smuć.

Zaraziłam się tą melancholią od Rebeki. Wyłynęła z zapisanych przez nią stron, kiedy czytałam je pierwszy raz. Od tego czasu minęło już sześć tygodni i nadal nie mogę się jej pozbyć. Wypędzam ją z siebie na godzinę lub dwie, lecz zawsze wraca jak przyływ. Nie mogę przestać myśleć o tym, co napisała Rebeka i mam wrażenie, że ona w ten sposób mnie prześladowuje, tak jak zawsze prześladowała mojego ojca. Ciągle zadaję sobie te same pytania, niektóre poważne, inne zupełnie trywialne. Najbardziej dręczy mnie jedno: czy Rebeka podejrzewała, że nosi w sobie nie dziecko, lecz śmierć... ^

Dziś rano, gdy przeczytałam ten wypocony akapit, który napisałam, do głowy przyszło mi parę innych pytań. Przyjrzałam się swojemu charakterowi pisma, bardzo porządnemu i o wiele łatwiejszemu do odczytania niż pismo Rebeki. Nie podobało mi się, że jest takie równe i czytelne. Jeśli skończę ten list i wyślę, Tom Galbraith pospiesznie przebiegnie go wzrokiem i zainteresuje go tylko jeden fragment, ten o mojej planowanej wizycie w Londynie, ponieważ to dotyczy Rebeki. Nie wątpię, że bardzo uważnie przeczyta raport z Tite Street, ale o całej reszcie natychmiast zapomni. Nie zasługujący na wielką uwagę list od nie zasługującej na uwagę kobiety, córki pułkownika, nudnej, obowiązkowej dziewczyny, która płacze się gdzieś na peryferiach całej tej historii... Mam po dziurki w nosie roli dobrej córki, niewidzialnej i niemej!

Zgniotłam list w kulkę, zaniósłam go do kuchni, wrzuciłam do pieca i spaliłam. W jaki sposób można nauczyć się robić na innych niezapomniane wrażenie? Nie mam pojęcia.

Rebeka wytyczyła sobie taki cel i osiągnęła go. W 1914 roku, kiedy poznała Maxima podczas swojej pierwszej wizyty w Manderley, też była niewidzialna i niewarta zapamiętania, lecz kiedy drugi raz spotkała go na pokładzie płynącego do Anglii liniowca, była już inną osobą. Niestety nie zostawiła żadnych wskazówek, w jaki sposób dokonała tej cudownej przemiany. Zatrzasnęłam drzwiczki piecyka. W kuchni panował potworny upał i zaduch. Prawdopodobnie transformacja w stylu Rebeki jest łatwiejsza, gdy posiada się urodę.

W Sosnach było tak przeraźliwie cicho! Ojciec poszedł na górę, żeby zgodnie z zaleceniami lekarza odbyć popołudniową drzemkę. Doktor Latimer, kardiolog, do którego skierowano go po tych wyczerpujących badaniach w szpitalu w Lanyon, przepisał mu nowe leki. Ciocia Rose, która tuż przed Wielkanocą przyjechała do nas na bliżej nieokreślony czas, siedziała przy otwartym francuskim oknie w gabinecie taty, zajęta poprawianiem odbitek szcztokowych swojej najnowszej książki, poważnej analizy tragedii jakobińskich. Dziś pracowała nad rozdziałem o sztukach Webstera i Tournera oraz o związku erotyki i śmierci. Morderstwa to dla Rose chleb powszedni - przy śniadaniu, nad jajkami na miękko, toczyłyśmy pogodną w tonie rozmowę o kazirodczej namiętności i pocałunkach, którymi jeden z bohaterów obsypuje pokrytą trucizną trupa czaszkę. Teksty, jakimi zajmuje się Rose, są tak przesycone fajerwerkami śmierci, że właściwie nic już jej nie zadziwi ani nie szokuje. Przez cały czas, gdy ja pociłam się nad tym nieszczęsnym listem, ona pokrywała całe strony maleńkimi hieroglifami i zamieniała przecinki na średniki.

Nie mogłam dłużej wytrzymać bezczynności, a że już zdecydowałam, dokąd muszę pójść, podeszłam do okna i przystanąłam w odległości metra od Rose. Mniej więcej po pięciu minutach wreszcie mnie zauważyła.

- Zabieram Barkera na spacer, Rose - powiedziałam. - Powinien więcej biegać, bo tyje i robi się leniwy. Wrócę przed podwieczorkiem...

- Krótko mówiąc, wybierasz się do Manderley - rzekła Rose, nie podnosząc wzroku. - Nie martw się, nie powiem Arturowi, dokąd poszłaś. Co takiego piszesz, Ellie? Przed chwilą spaliłaś piątą kartkę papieru. Jeżeli dalej tak będzie, pan Galbraith zdąży wrócić z Bretanii, zanim ty zakończysz swoje wynurzenia, a wtedy nie będziesz już miała żadnej wymówki, aby napisać do niego list i stracisz okazję...

- Nieprawda - mruknęłam. - Jeżeli nie napiszę do niego do Bretanii, zawsze mogę napisać do Cambridge. Po przyjeździe z Francji Tom wraca do King's College, nie zostaje w Kerrith. Mówiłam ci przecież, że nie przedłużył umowy najmu domku. A to, co piszę, to żadne wynurzenia.

- Rzeczywiście, mówiłaś mi - przytaknęła Rose, która ma abso-

lutnie niezawodną pamięć. - I bardzo dobrze, że wraca do Cambridge. Nie może przecież w nieskończoność ciągnąć tych poszukiwań. Powinien oddzielić ten rozdział grubą czarną kreską i zacząć normalnie żyć. To samo dotyczy ciebie, Ellie.

- Serdeczne dzięki, Rose.

- No, no — powiedziała ciotka, po raz pierwszy podnosząc wzrok znad tekstu. - Zdaję sobie sprawę, że nie jest ci łatwo, ale zamartwianie się o ojca nic nie da, natomiast zadręczanie się tęsknotą za panem Galbraithem czy jakimkolwiek innym mężczyzną jest zwyczajnie bezproduktywne...

- Nie zadręczam się tęsknotą, do cholery.

- Doprawdy? Z moich obserwacji wynika, że dzieje się z tobą coś złego. Nie jesteś sobą, znajdujesz się w jakimś dziwnym stanie ducha. Idź już na ten spacer, na miłość boską. Nie mogę się skupić, kiedy stoisz mi nad głową, wzdychasz i wpatrujesz się w morze. Po prostu usychasz, Ellie, a mnie bardzo to denerwuje.

Zagwizdałam na Barkera, pomogłam mu wgramolić się na tylne siedzenie samochodu i ruszyliśmy. Nie pofatygowałam się nawet, żeby udzielić Rose jakiejś odpowiedzi. Ciotka jest przerażająco bystra, więc najprawdopodobniej w ciągu paru sekund rozbiłaby moje argumenty w drobny pył. Ale profesor Rose, wbrew pozorom, lepiej radzi sobie z analizą tekstów literackich niż z rzeczywistymi sytuacjami. Nigdy nie wyszła za mąż, nie urodziła dzieci, nie jestem nawet pewna, czy kiedykolwiek była zakochana. To są jednak ograniczenia, nie da się ukryć.

Kiedyś Rose była moją nauczycielką i mistrzynią, ale teraz mam nową nauczycielkę, powiedziałam sobie, dociskając gaz, aby jak najszybciej pokonać zakręt w pobliżu domku Toma Galbraitha. Idź nad morze, tam mnie usłyszysz, pomyślałam, pędząc ku lasom Manderley. Zaparkowałam pod bramą koło rozdroży Four Turnings i ruszyłam z Barkerem aleją w chłodnym, błękitnym cieniu drzew. Powoli zbliżaliśmy się do ciemnego ciała zrujnowanego domu, lecz w ostatnich tygodniach chwasty tak się tu rozpleniły, że trudno było przejść. Mimo wszystko usłyszałam bicie serca Rebeki w ruinach, jak obiecała nieistniejącemu dziecku. Przez chwilę poczułam się tak, jakbym to ja była tym dzieckiem, dziewczynką-chłopcem, do którego adresowana była jej opowieść (to wrażenie męczy mnie od chwili, gdy pierwszy raz przeczytałam czarny notatnik) i bez wahania zawróciłam w kierunku miejsca, gdzie na pewno mogłam ją znaleźć.

Wyczułam jej obecność, jeszcze zanim zobaczyłam brzeg i domek na plaży. W pewnej chwili zaczęłam płakać, a Barker podbiegł do mnie i w geście pocieszenia przycisnął wilgotny nos do mojej nogi. Ta łagodna, milcząca i serdeczna troskliwość zupełnie mnie rozstroiła. Ogarnęło mnie przerażenie, fala złych przeczuc rzuciła mnie na kolana, dosłownie zakrztusiłam się płaczem, lękiem o ojca i o przyszłość, w której go zabraknie. W tym wszystkim był też strach przed staropanieństwem i pogarda dla samej siebie. Objęłam Barkera za szyję i pocałowałam go w nos. Odeгнаłam demony, wytarłam oczy i westchnęłam ciężko. Potem podniosłam się i ruszyłam dalej, mijając kwitnące krzewy janowca, nad którymi unosiła się chmura motyli. Dotarłam na szczyt urwiska, spojrzałam na morze o barwie lapis lazuli i pobiegłam w dół, na plażę. Ja także na swój własny sposób szukałam Rebeki, chociaż robiłam to zupełnie inaczej niż ojciec i Tom Galbraith. Czułam, że jeśli ją znajdę, wszystkie mocno zasupłane węzły mojej przeszłości i przyszłości same się rozwiążą.

Rebeka miała rację - morze rzeczywiście przyciąga duchy. Barker i ja siedzieliśmy chwilę na skałach i wiem, że pies czuł ich bliskość, podobnie jak ja. Widziałam te, które ożywiła w swoim notatniku Rebeka, ale także moje własne. Mam teraz tyle lat, ile ona w chwili- li śmierci, lecz gdzieś w pobliżu, na tym cyplu, czekała Ellie, jaką kiedyś byłam: dwudziestoletnia, odważna, niewinna i łatwowierna. Cóż to za niebezpieczna mieszanka...

Pielęgnowałam w chorobie matkę, a gdy umarła, zostałam sama w domu, w środku wojny. Ojciec wyjechał, aby pracować nad kodami i szyframi w jakimś tajemniczym miejscu, „siłą zaprzęgnięty do roboty”, jak lubi mówić, chociaż ja sądzę, że raczej przyjęty po długich zabiegach i staraniach. Zatrudniono go do dość nudnych, zwyczajnych zajęć - błyskotliwi bohaterowie, którzy dokonywali prawdziwych odkryć w dziedzinie szyfrów, byli o wiele młodszy i znacznie mniej zardzewiali.

Miałam trzy lata wolności. Ten niezwykły w moim życiu okres skończył się w 1945 roku, kiedy ojciec wrócił do Kerrith, nagle po-

starzały i załamany śmiercią matki oraz mojego brata Jonathana, ukochanego syna, który zginął pod koniec wojny. Wiedziałam, że nie mogę go zostawić, i myśl o wyjeździe z Sosen nigdy nie przyszła mi nawet do głowy. Decyzję podjęłam w ciągu paru sekund i nigdy tego nie żałowałam. Mieszkańcy Kerrith ciągle mówią, jaka to jestem obowiązkowa i ile poświęciłam dla rodziców. Poświęcenie to bardzo zimne, zniechęcające słowo, jak zauważyła Rebeka, w moim przypadku po prostu nie ma ono zastosowania. Kocham ojca, więc nie poświęcam się dla niego, chociaż ludzie nigdy nie dają temu wiary, choćbym powtarzała to nie wiem jak często.

A tamte trzy lata wolności? W jaki sposób je wykorzystałam? Łapczywie - to określenie nasunęło mi się dziś po południu. Usiłowałam przypomnieć sobie tamten okres, ale szczegóły już mi umknęły. Wstąpiłam do ochotniczej służby kobiet, nosiłam mundur i miałam swoją wojnę: nauczyłam się pisać na maszynie i salutować, wozilałam oficerów dżipami i odbywałam ćwiczenia. I zakochałam się w oficerze amerykańskiej marynarki wojennej, stacjonującym w Plymouth. Kochałam się po raz pierwszy, właśnie z nim, wysoko na urwisku, tam gdzie pojawiają się czasami moje duchy, zwabione zapachem kwitnącego janowca.

Mój ukochany przyjechał do Anglii prosto z błękitnych wzgórz Wirginii, która wydawała mi się nie mniej egzotycznym miejscem niż Timbaktu czy Islamabad. Podarował mi nylonowe pończochy, swoje serce (w każdym razie tak mówił) i ładny pierścionek, który nosiłam zawieszony na sznureczku na szyi, ponieważ on uważał, że powinniśmy zachować nasze zaręczyny w tajemnicy, jako „nieoficjalnie formalne”. Posłuchałam go i dobrze się stało, bo okazało się, że wśród błękitnych wzgórz Wirginii czekała na niego żona z dwójką dzieci, co jakoś wyleciało mu z głowy. Pod koniec wojny napisał do mnie i wyjaśnił swoją sytuację. Zarzekał się, że wcale nie kłamał, mówiąc mi te wszystkie rzeczy, i że naprawdę bardzo mu na mnie zależało, wyrażał też nadzieję, że nie będę źle o nim myśleć.

Nie myślę o nim źle i nigdy nie myślałam. Bo niby dlaczego? Jestem zadowolona, że to przeżyłam. Przez sześć miesięcy żyłam pełnią życia, a to przecież piękny podarunek.

Parę lat temu Barker i ja pogrzebaliśmy jego pierścionek w lasach Manderley. Zdecydowałam się na rytualne oczyszczenie, więc spaliliśmy listy na stosie, niewielkim, ponieważ listów było zaledwie

kilka. Już to, że było ich tak mało, powinno wcześniej wzbudzić we mnie podejrzenia, po prostu byłam bardzo naiwna. Wykreśl to z pamięci i żyj dalej, powiedziałam sobie wtedy, i postanowiłam być ostrożniejsza na przyszłość, jeżeli znowu pojawi się jakaś pokusa. Pokusa kazała na siebie czekać pięć lat - moim zdaniem dość długo. W końcu stanęła na mojej drodze, przybierając postać wysokiego, niepokojąco przystojnego, małomównego Szkota, który nie był tym, za kogo się podawał. Człowieka, dla którego jestem powietrzem, niewidzialną Ellie. Jak stać się osobą godną zapamiętania, zapytałam tego popołudnia morze i skały na plaży. Niestety Rebeka okazała się równie przekorna po śmierci jak za życia i nie udzieliła mi żadnej odpowiedzi.

Wstałam i przeskoczyłam przez skałki na piasek. Z Barkerem u nogi ruszyłam w kierunku domku na plaży, który od początku był celem mojej wyprawy. Czułam się o wiele spokojniejsza. Powietrze zastygło, bez śladu wiatru, morze kolebało się leniwe i jakby gęste. W pobliżu mielizny, gdzie Rebeka usłyszała głosy syren, woda była przejrzysta jak kryształ. Wysoko nad nami pokrzykiwały mewy i rybitwy. Najwięcej ptaków unosiło się nad północną częścią plaży, tam gdzie w jednym z oczek wodnych między skałami utopiła się Lucy Carminowe, mała siostrzyczka Bena.

Przystanąłam i osłaniając oczy przed słońcem, próbowałam określić, w którym dokładnie miejscu to się stało. Dziś wiem, że Tom Galbraith w czasie swego śledztwa starał się dowiedzieć czegoś o biednej małej Lucy. Wiele dni poświęcił na to, aby zbadać, jak potoczyły się jej losy, czy żyje, czy umarła... Co za strata czasu, pomyślałam, ulegając znajomemu zniecierpliwieniu i frustracji.

Gdyby zapytał kogokolwiek z okolicznych farmerów lub rybaków, o wiele wcześniej poznałby historię Lucy, chociaż gwoli sprawiedliwości należy przyznać, że miejscowi bez entuzjazmu odnoszą się do wścibskich obcych. Tom także od chwili przybycia do Kerrith również traktowany był z pewną podejrzliwością i to było niejako zrozumiałe, nie wiedziałam natomiast, że Kerrith aż trzęsło się od plotek na temat jego skłonności do wieczornych spacerów i częstotliwości wypraw do Manderley. Dowiedziałam się o tym dopiero w tym tygodniu, natknąwszy się na okropną Marjorie Lane, która nie mogła się doczekać, kiedy wreszcie zdoła wsadzić mi szpilę z powodu wyjazdu Toma z Kerrith.

- Rozumiem, że to bardzo smutna dla ciebie wiadomość, Ellie -zaświergotała. - Cóż, wszyscy mieliśmy nadzieję, że zakończy się to inaczej... No, trudno. Czy jest ci bardzo przykro?

Powiedziała mi, że bracia Manack, potomkowie wielu pokoleń lokalnych „uczciwych” szmuglerów, byli mocno zaniepokojeni zachowaniem Toma i że albo oni, albo mąż ich siostry, Robert Lane, rozpuścili pogłoskę, jakoby Tom Galbraith był tajnym agentem Urzędu Cei i Akcyzy. Po części wyjaśnia to, dlaczego Tom napotkał w Kerrith mur milczenia, ja jednak sądzę, że przyczyniły się do tego także i inne problemy, których twórcą był on sam. Jeśli ktoś chce, aby ludzie przyjęli go z otwartymi ramionami, nie powinien podchodzić do nich tak nieufnie i ostrożnie. Ciekawe, dlaczego Tom tego nie dostrzega...

Gdyby zapytał, i tata, i ja mogliśmy opowiedzieć mu krótką historię Lucy. Plotka głosiła, że Lucy i Ben byli nieślubnymi dziećmi Lionela de Winter, trudno jednak potwierdzić, czy było tak rzeczywiście. Gdyby wierzyć plotkom, nieszczęsny Lionel musiałby być ojcem połowy mieszkańców Kerrith. Lucy od urodzenia cierpiała na jakąś tajemniczą dolegliwość - prawie nie rosła i zawsze wyglądała jak mały szkielecik. Kiedy miała siedem lat, matka wysłała ją do ciotki mieszkającej w głębi lądu, podobno dla zdrowia, lecz Lucy ciągle uciekała i wracała do Kerrith w poszukiwaniu brata. Utonęła, mając dziewięć lat, parę miesięcy po pierwszej wizycie Rebeki w Manderley.

Kiedy poślizgnęła się i upadła, razem z bratem bezprawnie znajdowała się na terenie posiadłości de Winterów i zbierała muszelki. Lucy uwielbiała muszle - poza jej mizernym wyglądem jest to wszystko, co wydało się innym uderzającą cechą tego biednego dziecka. Pochowano ją na cmentarzu obok kościoła w Manderley. Jej mały kamień nagrobny zarósł mchem i napis jest prawie nieczytelny. Zaprowadziłam tam Toma przed jego wyjazdem do Bretanii, ale gdyby zapytał o Lucy mogłam przecież zrobić to znacznie wcześniej. Pomogłabym mu rozwiązać tę część zagadki, a także kilka innych. Mam wrażenie, że raczej nie przysłużyło mu się to, iż tak długo trzymał mnie na dystans, nadal nie rozumiem, dlaczego. Czy tak trudno było mi zaufać? A może sądził, że nie może wierzyć moim opiniom?

Winę za to ponosi chyba płęć. Tom Galbraith niechętnie rozma-

wia z kobietami - wydaje mu się, że kierują się irracjonalnymi impulsami i intuicją, a w jego oczach intuicja po prostu się nie liczy. Nie słuchał mnie i chyba trochę lekceważąco podszedł do tego, co powiedziały mu Elinor i Jocelyn. Nie jestem nawet pewna, czy naprawdę słuchał głosu Rebeki. Ta ślepa męska arogancja budzi we mnie głęboką niechęć. Pod tym względem Tom Galbraith, z całą swoją wiedzą i wykształceniem, jest zwykłym głupcem. Nie dostrzega oczywistej prawdy, że to kobiety są plotkarkami, wizjonerkami, bajarkami, ale też przede wszystkim świadkami wielu ważnych wydarzeń. Któregoś dnia powiem mu: uważaj, mój drogi Tomie, bo sekrety i tajemnice tkwią w pamięci kobiet, nie mężczyzn.

Dotarłam do domku na plaży. Obok wyżwirowanej ścieżki zauważyłam ślady po ognisku - ktoś palił tu kawałki drewna i nadgniętego materiału. Czubkiem buta poruszyłam kupkę popiołu i powietrze natychmiast wypełnił zapach spalenizny. Barker ułożył się w cieniu pod murem, rzucając mi pełne wdzięczności spojrzenie. Pchnęłam drzwi domku i weszłam do środka. Okna zasłonięte były kawałkami płótna, więc panował półmrok i przyjemny chłód. Byłam przekonana, że lada chwila dokonam ważnego odkrycia, miałam przecucie, że tajemnica Rebeki zostanie wreszcie wyjaśniona, podobnie jak wczoraj, gdy odebrałam telefon z Tite Street.

Tom powiedział mi, że parę tygodni temu przeszukał domek, ale od jego ostatniej wizyty zaszły pewne zmiany. Wydaje mi się, że bracia Manack przeszmyglowali trochę za dużo nienadającej się do picia sherry, ponieważ pracownicy Urzędu Cei i Akcyzy przeprowadzili rewizje w wielu miejscach, gdzie nielegalnie magazynowano alkohol, między innymi właśnie tutaj. Nic nie znaleźli (Manackowie najprawdopodobniej zdążyli usunąć obciążające ich dowody), lecz złożyli zażalenie u właścicieli agencji nieruchomości, zajmujących się Manderley, i polecieli im, aby „zabezpieczyli” domek na plaży. Tak więc można powiedzieć, że przyszłam tu w ostatniej chwili. Kiedy wzrok przyzwyczał się do półmroku, od razu zauważyłam, że ktoś uprzątnął już i wywiózł część sprzętów, lecz prace porządkowe nie zostały zakończone i niektóre rzeczy Rebeki jeszcze tu były.

Przegniłe meble, które znałam z opisu Toma Galbraitha, zniknęły - być może spalono je koło ścieżki. Drzwi prowadzące do komórki na tyłach domku wyrwano z zawiasów, a małe pomieszcze-

nie było chyba zupełnie puste, w każdym razie na pewno wyniesiono z niego liny i żagle, które widział Tom. Zajrzałam do środka, żałując, że nie zabrałam latarki. Grube pajęczyny musnęły twarz jak delikatne dłonie.

Cofnęłam się do głównego pokoju, gdzie kiedyś Rebeka siedziała za biurkiem, pisząc w swoim notatniku. W kominku czerniała kupka popiołu i sadzy, w powietrzu wyczuwało się wilgoć i swąd. Serce waliło mi mocno i szybko. Nie miałam wątpliwości, że stoję dokładnie w tym miejscu, gdzie zginęła Rebeka, i miałam uczucie, że teraz już wiem, co wydarzyło się tu tamtej kwietniowej nocy w 1931 roku.

Rebeka zmusiła Maxima, żeby ją zabił. Wybrała morderstwo jako sposób popełnienia samobójstwa - byłam tego absolutnie pewna, zupełnie jakby wzięła mnie za rękę, usiadła obok na sofie i wszystko mi opowiedziała. W notatniku napisała, że mogłaby skłonić go do morderstwa. Wierzę jej. Miała ostry jak brzytwa język, więc mogę sobie łatwo wyobrazić, jak tego dokonała, wzbudzając w nim wściekłość i pożądanie. Czy pocałował ją, zanim zabił? Czy wmówiła mu, że zadając jej śmierć, zdobędzie ją raz na zawsze? Jakże przypominało to sceny z jej ukochanego Szekspira... Może nie powinnam była dziś rano rozmawiać z Rose o tych przesiąkniętych grozą, krwawych dramatach. Sama Rebeka zauważyła, że niebezpiecznie jest mieć głowę pełną sztuk Wielkiego Barda, ale nie da się zaprzeczyć, że zawartych w nich jest wiele życiowych nauk, zwłaszcza jeżeli ktoś odwołuje się do tak niewielkiego zasobu doświadczenia jak moje. Zamknęłam oczy i nagle przez przesiąknięte zapachem ogniska powietrze napłynął ku mnie mroczny, ostateczny dotyk. Zadrżałam lekko.

Byłam pewna, że chciała także śmierci Maxima. Nigdy nie pozwoliłaby mu uciec w przyszłość, w której nie było dla niej miejsca. Czy mogłaby spokojnie myśleć, że Maxim będzie żył dalej, ożeni się po raz drugi i spłodzi dziedzica Manderley z inną, nie bezpłodną kobietą? Nigdy. Chciała, żeby zawisł na szubienicy za morderstwo, sam się zabił lub umarł z rozpacz i tęsknoty. Pragnęła pociągnąć go za sobą i oczywiście to jej się udało. Teraz nikt już nie mógł odziedziczyć Manderley, które stało się wypaloną skorupą, pozbawioną dachu ruiną. Maxim nigdy nie spłodził dziecka i rzeczywiście się zabił, po wielu latach spędzonych na wygnaniu z drugą żoną. Jego

śmierć nie była dziełem przypadku. Czy straszyla go i w końcu zaszczuła na śmierć, czy też rozbił się w samochodzie dlatego, że kusila go i przywoływała, a on czuł, iż musi się z nią połączyć?

Otworzyłam oczy. Nie mam aż tak wyostrzonej zdolności postrzegania pozazmysłowego jak Rebeka, ale lektura jej notatnika jednak zmieniła mój sposób patrzenia na świat. Jak ją zabił? Udusił, zadławił, zasztyletował czy może zastrzelił z rewolweru, który zachował po służbie w wojsku podczas pierwszej wojny? Jak go do tego doprowadziła? Czy szeptała mu do ucha o swoich kochankach, czy może powiedziała, że nosi dziecko innego mężczyzny? Dla właściciela Manderley, bezpośredniego dziedzica rodowej siedziby w linii męskiej, byłaby to ostateczna obelga, ale czy Maxim mógł ją zabić, będąc świadomym jej stanu? Oznaczałoby to, że popełnił najpoważniejszy z grzechów śmiertelnych. Rebeka ma rację - jeżeli jakiś czyn może prawdziwie i do końca zhańbić mężczyznę, to jest nim właśnie pozbawienie życia ciężarnej kobiety.

Morze szumiało tuż za ścianą domku. Przygniatała mnie atmosfera zła, dusiłam się. Nadzieja dokonania jakiegoś ważnego odkrycia zaczęła blednąć. Nie znajdę jednoznacznych odpowiedzi na dręczące mnie pytania, powiedziałam sobie. Mogę tylko mieć teorie, którymi z nikim nie powinnam się dzielić, a zwłaszcza z ojcem, który widzi w Rebecce ofiarę. Może dlatego, że taka wizja kobiety, którą kochał, pozwala mu usprawiedliwić jej zasługujące na potępienie postęпки. Moje przypuszczenia rozdrażniłyby też Toma Galbraitha, który na pewno by je wyśmiał.

Tom wierzy, że Rebeka zabiła się sama, że zastrzeliła się z rewolweru Maxima. Uważa, że upozorowała morderstwo, aby obarczyć go winą i zwabiła Jacka Favella, który miał znaleźć jej zwłoki i wezwać policję. Ale Favell w ogóle się nie zjawił. Zdaniem Toma martwą Rebeke znalazł Maxim, który przeraził się i usiłował pozbyć się ciała, zatapiając jacht zbyt blisko brzegu. Jest to marna teoria. Albo Tom nie słucha Rebeci, czytając jej historię (o czym już mówiłam), albo celowo przeinacza prawdę. Teraz Tom stale wspomina o konieczności „weryfikacji” notatnika, zaczął także mówić o „rozbieżnościach i niezgodnościach”. To właśnie one, rzeczywiste lub wyobrażone, kazały Tomowi i jego przyjacielowi z Cambridge pojechać do Bretanii.

Stałam na środku mrocznego pokoju. Wyrzuciłam Galbraitha

i mojego ojca ze świadomości, nie chciałam myśleć o ich błędnych interpretacjach słów Rebeki. Co mężczyźni mogą wiedzieć o prowadzeniu domu oraz rodzeniu i wychowywaniu dzieci? Interesowała mnie nie zewnętrzna, lecz wewnętrzna prawda czynów Rebeki. Słyszałam jej głos tak wyraźnie, jakby jego źródło znajdowało się we mnie. Jeżeli otworzę teraz usta, Rebeka przemówi przeze mnie, pomyślałam. Z całego serca pragnęłam, aby tak się stało. Chciałam, żeby Rebeka wiedziała, iż mimo wszystko ma tu spadkobierczynię - głosy wszystkich kobiet, które słyszała, mówiły teraz do mnie. Ja, Ellie, zostałam jej następczynią i dziś chciała mi przekazać coś niezwykle ważnego.

Gdzie był jej ostatni notatnik? Nie wątpiłam, że istnieje. Przekonanie to rosło we mnie od chwili, gdy na ostatniej stronie przeczytałam obietnicę, jaką złożyła nieistniejącemu dziecku. Wiedziałam, że Rebeka nie pozostawiłaby swojej historii bez zakończenia. Nie pozwoliłaby się uciszyć, na pewno nie wtedy... Musiałam znaleźć jej trzeci notatnik z ostatnimi słowami, ostatnią częścią historii.

Nadal miałam nadzieję, że może odzyskam go w Londynie, lecz równie dobrze mógł być gdzie indziej, na przykład tutaj. Może przez wszystkie te lata tkwił gdzieś, starannie ukryty? To wyjaśniałoby, dlaczego nieznaną osobą przysłała nam tylko dwa pierwsze. Rozejrzałam się dookoła. Tom Galbraith dokładnie przeszukał domek, lecz ja wiedziałam, że Tom ulega czasami dziwnemu zaślepieniu i zaczęłam podejrzewać, iż może szukał w niewłaściwy sposób i w niewłaściwym miejscu. Czułam, że mógłby nie zauważyć notatnika, nawet gdyby ktoś położył mu go przed samym nosem.

Tom nie wierzy w istnienie trzeciego notatnika. Uważa, że Rebeka dotarła do końca swojej historii i treść ostatniej strony wcale nie musi świadczyć o tym, iż zamierzała ją kontynuować. W jego mniemaniu po rozmowie z doktorem Bakerem miała już tylko jeden cel - umrzeć - i osiągnęła go w ciągu kilkunastu następnych godzin.

Myli się. Instynkt podpowiada mi, że to nieprawda. Długo wpatrywałam się w porzucone, zniszczone rzeczy, które jeszcze zostały w pokoju. Nadal były tu półki, o których mówił Tom, pełne brudnych, potrzaskanych naczyń. Na ścianie wisiało popękane lustro, odbijając moją twarz w drobnych fragmentach. Na podłodze leżał jeden z drewnianych stateczków, które wyrzeźbiła Rebeka - inne

prawdopodobnie spłonęły w ognisku. Podniosłam go i schowałam do kieszeni.

W kącie stał zardzewiały grzejnik na olej parafinowy, czajnik bez pokrywki i zapleśniałe tekturowe pudło, pełne kawałków materiału zbyt wilgotnego, by dało się je spalić. Sięgnęłam do środka i znalazłam pustą buteleczkę po atramencie, fragment pióra, złamany ołówek... Ogarnął mnie trudny do opisania smutek. Tyle odwagi, siły, energii i woli walki, pomyślałam, i wszystko to na nic. Zostały tylko te śmieci...

Właśnie wtedy zauważyłam, że między pudłem i ścianą coś utkwilo. Była to kwadratowa metalowa puszka, z resztkami farby na powierzchni w miejscach, których jeszcze nie przeżarła rdza. Przyglądałam jej się i nagle usłyszałam głos Rebeki: ważne rzeczy najlepiej schować w jakimś zwyczajnym, codziennym miejscu...

Z progu dobiegło mnie ciche skomlenie. Barker patrzył na mnie smutnymi, niespokojnymi oczyma. Podniosłam puszkę po herbatnikach, która okazała się dosyć ciężka, i otworzyłam ją. Wewnątrz znajdowały się cztery książki: egzemplarz *Dzieł zebranych* Tennyso-na z podartym grzbietem, kieszonkowe wydanie *Otella* i trochę większe *Ryszarda III* oraz dobrze mi znany przewodnik pióra mojego pradziadka, *Historia parafii Kerrith i Manderley, z trasami spacerów*.

Ukradłam te książki i mały drewniany okręcik. Zrobiłam to bez cienia wyrzutów sumienia. Doskonale wiedziałam, że ratuję je przed ostatecznym unicestwieniem w ogniu. Przywiozłam je do Sosen i teraz leżą na moim biurku w sypialni. Przeglądałam je i oglądałam przez parę godzin, ponieważ wydaje mi się, że zostały mi wskazane. Ile tajemnic zawierają i skrywają! Teraz ja także mam swoje talizmany.

Dwa małe wydania sztuk Szekspira oprawne w czerwoną skórę muszą pochodzić z czasów McKendricka. Teksty pokreślone są ołówkiem, zaznaczono w nich wejścia i zejścia ze sceny odtwórców poszczególnych ról.

Na tytułowej stronie Tennysona widniała spłowiała, wypisana starannym, równym charakterem dedykacja: „Dla JSD, mojego ukochanego męża, od jego Isoldy. 25 lipca 1900 roku”. W tym czasie matka Rebeki była w szóstym miesiącu ciąży. Devlin musiał zostawić

ofiarowany przez nią prezent, kiedy wyruszał do Afryki Południowej.

Przewodnik pradziadka także opatrzony był dedykacją, lecz tę napisał mój ojciec: „Dla Rebeki, z nadzieją, że to Cię zainteresuje i z najserdeczniejszymi urodzinowymi życzeniami, od „Cromwella” alias Artura Julyana! 7 listopada 1929 roku”.

Zrobiło mi się rozpaczliwie smutno, kiedy zdałam sobie sprawę, że ten zadziorny wykrzyknik w rzeczywistości pełnił funkcję maski. Biedny tata. Książka nie była czytana - jej kartki napuchły od wilgoci, lecz grzbiet wydawał się idealnie gładki. W środku znalazłam kawałek papieru ozdobionego znakiem wodnym Manderley, z wypisanymi charakterem pisma Rebeki w dwóch kolumnach, imionami męskimi i kobiecymi. Z wielkim podnieceniem uświadomiłam sobie, że jest to lista, którą Rebeka sporządziła w swoim londyńskim mieszkaniu, po powrocie z wyprawy do sklepu z dziecięcymi rzeczami.

Po jednej i drugiej stronie imiona napisane były w porządku alfabetycznym, tak jak się spodziewałam. Wśród imion dla dziewczynki Rebeka umieściła również moje - Ellen.

Jest już późno i słyszę, jak morze wzdycha w oddali. Sposób myślenia Rebeki jest zaraźliwy, więc potraktuję obecność mojego imienia na tej kartce jako znak, który miałam nadzieję otrzymać. Nie będę więcej łamać sobie głowy nad listem do Toma Galbraitha - po co, skoro i tak będzie sztuczny i nieszczeły.

Nie, zrobię natomiast co innego: mój ojciec opisał początek tych wydarzeń, a ja przedstawię swoją wersję ich zakończenia.

Jak ją nazwę? Oczywiście kusi mnie, aby nadać jej tytuł: „Opowieść Ellie”, ale wymyślę inny. Tak bezpośrednie odwołanie do „Opowieści Rebeki” byłoby świętokradztwem.

ROZDZIAŁ 26

Zacznę od początku - od deszczu. Rose zawsze twierdzi, że kiedy czytamy, dochodzi do reakcji chemicznej między słowami na stronie, które nigdy nie są obojętne, i stanem umysłu czytelnika, który niestety może być obojętny. Wiele zależy właśnie od stanu umysłu, mówi Rose, a stan mojego, gdy pierwszy raz czytałam notatnik Rebeki, był chłonny, nastawiony na odbiór.

W czasie ulewy przekazałam nieczytany notatnik w ręce Toma Galbraitha i w ulewie wróciłam do szpitala, wioząc piżamę ojca i przybory do golenia. Kiedy kardiolog, doktor Latimer, skończył badać ojca, oświadczył, że chciałby go zatrzymać, nie do następnego popołudnia, jak pierwotnie zapowiedział, ale na cały tydzień badań i obserwacji. Gdy jechałam do domu, dalej lało jak z cebra. Byłam niespokojna i przestraszona. Włączyłam przednie światła, wycieraczki pracowały na najwyższych obrotach, lecz przednia szyba dosłownie ociekała wodą. Wysiłając wzrok, wpatrywałam się w drogę, widziałam jednak tylko trzy metry asfaltowej nawierzchni, a dalej gęstą mgłą lśniących w blasku reflektorów kropel.

Z trudem posuwałam się do przodu i prawie nie mogłam myśleć. Cały tydzień, siedem dni - co to mogło oznaczać? Czy poważny doktor Latimer zamierzał wziąć mnie na bok i wyjaśnić, że ojciec jest śmiertelnie chory? Wszyscy jesteśmy śmiertelnie chorzy, od dnia urodzenia, pytanie tylko, kiedy dla każdego z nas nastąpi koniec choroby, jaką jest życie. Czy ojcu został rok, miesiąc, parę tygodni, godzin, minut? Otworzyłam drzwi pustego, rozbrzmiewającego echem samotności domu. Deszcz bił w dach i spływał po wzgórzu, zalewał okna i zasłaniał morze gęstą kurtyną.

Barker i ja siedzieliśmy przy kuchni; w myśli raz po raz powtarzałam sobie, że telefon nie zadzwoni, na pewno nie zadzwoni. Rose mówi, że w czasie długich lotów zawsze stara się nie zasypiać, aby siłą woli utrzymać samolot w powietrzu. Nigdy nie podróżowałam samolotem, ale tamtego wieczoru dokładnie zrozumiałam, co ma na myśli - czuwając przez całą noc, zmusiłam telefon do milczenia. Doktor Latimer nie zadzwonił, żeby powiedzieć mi, że ojciec umiera. Zupełnie zapomniałam o Tomie i notatniku. Wczesnie rano, znowu w ulewnym deszczu, pojechałam do szpitala.

- Czy coś się stało? Czy z ojcem wszystko w porządku? - zapytałam ubraną w wykrochmalony fartuch siostrę oddziałową.

Odparła, że ojciec czuje się dobrze i że wszystko jest w jak najlepszym porządku, ale myliła się. Takie miejsca jak szpitale czy domy opieki zmieniają ludzi, zwłaszcza starszych, w przerażającym tempie. Kiedy zobaczyłam, co stało się z ojcem w ciągu tej jednej nocy, ogarnął mnie gniew i litość. Ubrali go w szpitalny szlafrok, o wiele za mały, i w jakiś tajemniczy sposób udało im się sprawić, że skurczył się i zmałał. Mężczyzna, którego zawsze podziwiałam, filar mojego dzieciństwa, stał się osłabionym, chorym na serce pacjentem, którego od innych chorych na oddziale różnił jedynie charakter objawów schorzenia. Potworna anonimowość szpitali wyciągała już po niego swe ręce.

Przytroczyli do niego całą ścianę pomrukujących, bzyczących monitorów. Leżał bezradnie, z drucikami i kablami przyczepionymi do na wpół obnażonej piersi. Dla mnie nadal był całym światem, lecz jego świat skulił się do rozmiarów metalowego łóżka umieszczonego między dwiema kwiecistymi zasłonami. Dostrzegłam w jego oczach lęk i żal, lecz trwało to tylko sekundę, bo zaraz potem udało mu się ukryć te uczucia. W milczeniu popatrzyliśmy sobie w oczy przez chwilę, lecz wszystko, co powinniśmy byli sobie powiedzieć, zostało powiedziane.

- Ach, Ellie - rzekł, kładąc dłoń na mojej ręce. - Moja najdroższa Ellie...

Zanim w końcu stracili cierpliwość i wygonili mnie, spędziłam w szpitalu paskudny ranek. Siedziałam w poczekalni dla gości, oświetlonej zimnym, niebieskosinym blaskiem jarzeniówek i czekałam, aż skończą badania. Pod ścianą sali ustawiono żółty stół za-

rzezuony starymi czasopismami dla kobiet, pełnymi przepisów kucharskich i opisów ściągów szydełkowych, porad krawieckich i lekarskich -jak wykroić i uszyć sukienkę, i jak złagodzić ból dziąseł ząbkującego niemowlęcia. Ponieważ w ogóle nie myślałam o tym, co czytam, równie dobrze mogły być napisane sanskrytem. Próbowałam przypomnieć sobie różne ważne wydarzenia z życia ojca, ponieważ wydawało mi się, że tylko w ten sposób go nie stracę, lecz przeszłość nie chciała przybrać regularnego kształtu i dać się uporządkować. Wszystko mi się poplątało - rzeczy istotne i trywialne, wcześniejsze i późniejsze.

Pamięć podsuwała mi wyrwane z kontekstu fragmenty. Widziałam sceny z życia małżeńskiego rodziców, tapetę w pasy w domu, który wynajmowaliśmy w Singapurze, medale i odznaczenia, które ojciec przechowuje w szufladzie biurka, moją matkę, młodą i silną, potem umierającą, deklamującego wiersze brata i ojca w chwili, gdy powiedział mi, że poezja jest dobra dla mięczaków i homoseksualistów... Ujrzałam też siebie, zjeżdżającą ze wzgórza do Kerrith na pierwszym, upragnionym rowerze, moją siostrę Lily tańczącą w kuchni w Sosnach w rytm głośno nastawionego bluesa z gramofonu, Barkera jako tłustego szczeniaka, ogryzającego parę butów... Słyszałam ryk silnika samochodu Rebeki, gdy pędziła nim pod górę, do Sosen, i pełne gorczy, gniewne głosy za zamkniętymi drzwiami... Zobaczyłam twarz ojca, gdy przeczytał telegram o śmierci Jonathana i wykonany szydełkiem łańcuszek na sakiewce na tytoń, którą z wielkim przejęciem zrobiłam dla ojca, mając osiem lat...

Czy to było życie? Moje serce ścisnął ból. Byłam winna ojcu coś więcej niż tę zbieraninę odprysków, szczególnie teraz, kiedy szpital

i śmierć już pracowały nad wymazaniem jego tożsamości. Byłam wściekła na siebie i na doktora Latimera, gdy wreszcie przyszedł, aby ze mną porozmawiać.

Doktor Latimer niedawno przeniósł się tu z jakiegoś wielkiego szpitala klinicznego w Londynie i jest młodszy, niż przypuszczałam, koło czterdziestki. Wysoki, niewiele niższy od Toma Galbraitha, i chyba dość przystojny. Ma ciemne włosy, szare oczy o bardzo spokojnym, aż zbijającym z tropu spojrzeniu i pełen rezerwy sposób bycia. Myślę, że uprzedziłam się do niego, ponieważ nie podobało mi się, iż lekceważąc wolę ojca, nalegał, aby został w szpitalu. Oczy-

wiście, siostra oddziałowa wychwalała go pod niebiosa, tłumacząc mi, jaki doskonały z niego kardiochirurg, znany i szanowany w kręgach lekarskich, lecz ja widziałam, jak pielęgniarki z zachwytem kręcą się koło niego i doszłam do wniosku, że musi być arogancki i zarozumiały.

Ale zmieniłam zdanie. Latimer jest bardzo inteligentnym i byстрыm człowiekiem, więc prawdopodobnie wyczuł moją niechęć i możliwe nawet, że starał się ją pokonać. Z pewnością poświęcił mi dużo więcej czasu, niż oczekiwałam, cierpliwie wyjaśniając, czemu służyć miała seria badań i okres obserwacji. Był spokojny, wyrozumiały i pełen umiarkowanego optymizmu, chociaż naturalnie nie stronił od typowych dla lekarzy „jeżeli”. Ku mojemu zdziwieniu chciał się dowiedzieć czegoś i o mnie - ile mam lat i tak dalej. Zadał mi także wiele dość szczegółowych pytań dotyczących naszego codziennego życia w Sosnach, o wiele więcej, niż wydawało mi się konieczne.

- Prowadzimy bardzo spokojne, unormowane życie - powiedziałam. - Rzadko przyjmujemy zaproszenia, a ojciec nie lubi gości. Staram się podawać posiłki o stałych porach, po południu zwykle chodzimy na krótki spacer. Ojciec ma skłonność do rozmyślenia o przeszłości i to go czasami rozstraja, więc usiłuję dostarczać mu jakichś rozrywek - grywamy w karty, czytam mu...

Latimer obserwował mnie uważnie. Zdawałam sobie sprawę, że to, co mówię, na pewno go nudzi, zresztą ja sama także musiałam wydać mu się wyjątkowo nieciekawa, ale to nie miało dla mnie najmniejszego znaczenia. Zarumieniłam się.

- Kto wybiera książki do czytania na głos? - zapytał z lekkim uśmiechem.

W jego spokojnym, szarym spojrzeniu dostrzegłam współczucie, może nawet troskę, więc pospiesznie skłamałam.

- Ja - odparłam.

Nie mogłabym znieść jego litości.

To dziwne, ale lekarze doskonale nadają się na śledczych. Dzieje się tak chyba dlatego, że przypisujemy im i dajemy specjalną władzę, podobnie jak kapłanom, ponieważ ze wszystkich sił pragniemy wierzyć w ich mądrość oraz intuicję. Przyłapałam się na tym, że mówię Latimerowi rzeczy, o których nigdy z nikim nie rozmawiałam - o długich miesiącach niespokojnych nocy, krzyku

w ciemności i powtarzających się koszmarach sennych, dręczących mojego ojca.

- Rozumiem - powiedział i zapisał coś na bloczku papieru, który trzymał w ręku.

Później, gdy rozmawialiśmy na zupełnie inny temat, zapytał, czy ojca „nie prześladowuje jakaś myśl”. Ten zwrot uderzył mnie jako niezwykle trafny, chociaż z jakiegoś powodu nie mogę sobie przypomnieć, co mu odpowiedziałam.

Latimer oznajmił, że ojciec musi jak najwięcej odpoczywać i pozwolił mi przyjeżdżać jedynie na wyznaczoną w regulaminie godzinę popołudniowych odwiedzin. Wróciłam więc do Sosen, nadal w ulewnym deszczu, który padał przez resztę owych nieszczęsnych siedmiu dni. Była to przerwa w moim życiu, okres w niczym niepodobny do innych. Czułam, że znajduję się w stanie zawieszenia i właśnie w takim dziwnym nastroju zastał mnie Tom Galbraith, kiedy pierwszego dnia po południu zjawił się w Sosnach. Był blady jak prześcieradło, a pod kompletnie przemoczonym prochowcem trzymał podobny do czarnej trumienki notatnik Rebeki.

Chciał, żebym go przeczytała, ale najpierw musiał wyjaśnić mi, kim naprawdę jest i na czym polega jego związek z opisanymi przez Rebeke wydarzeniami. Było to dla niego boleśnie trudne. Może obciąża go dziedzictwo lat spędzonych w sierocińcu, lecz Tom zawsze zachowuje się tak, jakby obawiał się bliskości, przyjaźni i zaufania, ponieważ gdyby nawet podjął ryzyko i okazał, że ich potrzebuje, spotkałby się z odrzuceniem. Chyba z tego powodu, albo może z innych, o których nic nie wiem, obawia się zdradzić, kim jest, zupełnie jakby taka wiedza mogła dać komuś władzę nad jego życiem.

Tak więc naprawdę niewiarygodnie ciężko było mu powiedzieć mi, dlaczego tu przyjechał. Kiedy zaczął mówić o notatniku i o tym, czego dowiedział się o swoim pochodzeniu, ton jego głosu stał się chłodny i obojętny - uznał widać, że to najlepsza ochrona przed emocjami.

Jego wyznanie bardzo mnie zaskoczyło i jednocześnie ucieszyło, ale okazało się, że podchodzimy do tej sprawy w odmienny sposób. Myślałam, że dla kogoś, kto ma za sobą takie przeżycia jak Tom, długie lata samotności i niepewności, ten notatnik musi być cu-

downym, niezwykle cennym darem. Nadal zresztą sędzę, że gdybym była na jego miejscu i nie wiedziała dosłownie nic o swojej matce, z największą radością odnalazłabym ją w Isoldzie, z jej pięknymi włosami, uporem, zdecydowaniem, odwagą i radością życia, która kazała jej tańczyć boso na brzegu morza. Uszcześliwiłaby mnie również świadomość, że jestem blisko spokrewniona z Rebeką, nawet jeżeli ta więź byłaby nieco innej natury, niż się spodziewałam. Wydawało mi się, że da to Tomowi poczucie przynależności i tożsamości - teraz miał już rodzinę i historię, z których mógł czerpać większą pewność siebie.

- To znaczy, że jesteś kuzynem Elinor i Jocelyn - rzekłam z podnieceniem. - Co za niezwykła sytuacja! Będą zachwycone! Staniesz się dla nich dzieckiem, którego nigdy nie miały. Kiedy im powiesz? A może już powiedziałaś?

- Nie. Nie zrobiłem tego i nie wiem, czy zrobię, w każdym razie jeszcze nie teraz. Jest mnóstwo spraw, które muszę spokojnie przemyśleć...

Powstrzymałam się od odpowiedzi. Oczywiście wtedy nie czytałam jeszcze notatnika, me mogłam więc wiedzieć, jak głęboki niepokój może budzić, zwłaszcza w Tomie. W zapiskach Rebeki istnieją ciemne obszary. Kiedy spojrzałam w twarz Toma, zaczęłam zdawać sobie sprawę, że wkraczam na obcy teren i w gruncie rzeczy nie mam pojęcia, co Tom czuje. Pochodziłam z normalnego, zwyczajnego świata, on natomiast z przerażająco nienormalnego. W moich myślach dominowała śmierć, w jego - narodziny. Jak mogłam pokonać dzielące nas różnice?

Odbyliśmy dziwną rozmowę w zastanawiająco odrealnionej aurze. Siedzieliśmy w kuchni, aleja nie byłam właściwie pewna, gdzie jesteśmy i w jakim roku żyjemy. Miałam wrażenie, że zostaliśmy wessani przez wir przeszłości i osuwamy się, mijając kolejne dekady. Patrząc w udręczoną twarz Toma, czułam się tak, jakbyśmy stali na krawędzi urwiska i lada chwila mieli runąć w dół. Potrafiłam myśleć tylko o tym (i to niezbyt jasno), że Tom potrzebuje miłości, że miłość jest jedyną drogą, która może doprowadzić go do bezpiecznej przystani. Mało brakowało, a wyznałabym mu, co do niego czuję, tak bardzo byłam zdesperowana i poruszona. Dzięki Bogu, że tego nie zrobiłam.

W ostatniej chwili ugryzłam się w język. Tom odsunął krzesło

i wstał. Ja także się podniosłam. Deszcz dzwonił o szyby, łapy Barkera gwałtownie drgały w jakimś niespokojnym śnie. Bałam się o ojca, bałam się o Toma i byłam zła na siebie za to, że jestem taka zwyczajna i zbędna. Sądzę, że zobaczył w moich oczach targające mną sprzeczności i ogarnął go niepokój, więc objął mnie łagodnie

i delikatnie. Nie wiem, jak to się stało, ale nagle odkryłam, że całuję go gwałtownie i gorączkowo. Wydawało mi się, że tylko w ten sposób zdołam do niego dotrzeć. Pocałowałam go już kiedyś, gdy przywiozłam mu notatnik, ale tamten pocałunek był pospieszny i neutralny, natomiast ten nie.

Nie mam wielkiego doświadczenia, jeżeli chodzi o pocałunki, ale umiem rozpoznać smak desperacji. Tym razem Tom odwzajemnił pieśczość i pocałunek trwał długo. I nagle się zakończył. Tom oderwał się ode mnie z dziwnym, chyba zażenowanym wyrazem twarzy i wkrótce wyszedł. Od tamtego popołudnia spotykamy się często i dużo rozmawiamy, ale chociaż Tom podzielił się ze mną wszystkimi swoimi odkryciami, nie jesteśmy w stanie pokonać dzielącej nas bariery.

Początkowo przypuszczałam, że Tom chce zachować dystans, ponieważ czuje się naznaczony piętnem nieślubnego pochodzenia - dla mnie nie ma to najmniejszego znaczenia, ale dla niego tak. Potem przyszło mi do głowy, że chodzi o coś bardziej namacalnego i oczywistego, i wreszcie zrozumiałam - Tom kocha kogoś innego, dlatego obudziło się w nim poczucie winy. Sam zaczął zresztą sugerować, że na tym właśnie polega problem, nigdy jednak nie mówił wprost o tej kobiecie, a ja nie śmiałam zadać tego najważniejszego pytania, więc upłynęło parę tygodni, zanim powiedział mi, jak ona ma na imię. Tak czy inaczej, zaczął mi chyba ufać i traktować mnie jak przyjaciółkę, co przecież należy uznać za pewien postęp. Tamten pocałunek nigdy się już nie powtórzył. Myślę, że z punktu widzenia Toma był zupełnie zbędnym, niezrozumiałym wyskokiem.

Zaraz po jego wyjściu zabrałam się do czytania notatnika Rebeki i czytałam go do późnej nocy, siedząc na fotelu w swoim pokoju. Słowa Rebki odrywały się od papieru i trafiały prosto do mojego serca. Czułam, że ta uskrzydłona dziewczyna użyła mi swoich skrzydeł, ale, jak z czasem odkryłam, nie była to reakcja typowa dla wszystkich, którzy przeczytali jej historię.

Może więc ja sama odebrałam ją tak, a nie inaczej, z powodu stanu mojego umysłu? Gdyby sceptyczna, mądra Rose kazała mi opisać ten stan, jak bym go określiła? Chwilami miałam wrażenie, że śmierć i narodziny napierają na mnie z dwóch stron, jak twarde okładki książki, ściskające umieszczone w środku stronie. Rebeka pisała o dziecku, które miało się narodzić, gdy w rzeczywistości umierała. Narodziny, śmierć, miłość, nienawiść - oto maski, które przybiera morderstwo. Te siły unosiły się ku mnie z kartek notatnika Rebeki, a na ich spotkanie wychodziły moje własne niepewności, nadzieje i ambicje. Znalazłam się w oku cyklonu, a w takich okolicznościach, jak postanowiłam powiedzieć Rose, nikt nie może być obiektywny.

Moim następnym zadaniem, którego podjęłam się za radą Toma Galbraitha, było sporządzenie kopii notatnika Rebeki. Tom twierdził, że anonimowy ofiarodawca przysłał notatnik ojcu, a więc jest jego własnością. Kiedy ojciec nabierze sił, trzeba dać mu zapiski Rebeki do przeczytania. Zgodziłam się z nim, oczywiście w pewnym stopniu. Tom także chciał mieć możliwość sięgnięcia po notatnik w dowolnym momencie. Powiedział, że jest sporo rzeczy, które chciałby sprawdzić. Właśnie wtedy pierwszy raz użył określenia: „zweryfikować”.

Nie spodobało mi się to słowo - brzmiało zimno i nieprzyjemnie. Niezależnie od tego, widziałam, jak bardzo mu zależy, aby mieć historię Rebeki pod ręką, dostrzegałam też inne dobre strony tej sytuacji i dlatego zgodziłam się pomóc. Jeśli mam być zupełnie szczerą, to chciałam też znaleźć sobie jakieś zajęcie.

Pozostała część deszczowego, szpitalnego tygodnia upłynęła mi na wiernym kopiowaniu słów Rebeki. Mogłam pisać na swojej starej walizkowej maszynie marki Hermes, ale nie byłam już tak dobrą maszynistką jak kiedyś. Poza doświadczeniem, jakie zdobyłam, pracując w biurze lokalnego sztabu podczas wojny, miałam też za sobą okres nudnej jak flaki z olejem pracy na stanowisku sekretarki w miejscowej agencji adwokackiej (przed chorobą ojca) i w rezultacie maszyna do pisania kojarzyła mi się wyłącznie z bezmyślnym wykonywaniem cudzych poleceń.

Postanowiłam posłużyć się piórem i atramentem. Charakter pis-

ma jest równie indywidualną i wyróżniającą cechą jak głos, nic więc dziwnego, że spisana moją ręką historia Rebeki wyglądała zupełnie inaczej. Trudno mi znaleźć właściwe określenie, ale sprawiała wrażenie źle przetłumaczonej, a jej osobliwości bardziej rzucały się w oczy. Jestem uważnym czytelnikiem (nauczyła mnie tego Rose) i bez trudu zauważyłam wyraźne luki w historii, lecz wcale mi one nie przeszkadzały - zaakceptowałam je jako charakterystyczne cechy opowieści i stylu Rebeki. Teraz, odmienione i uwydatnione moim piśmem, wyglądały na bardziej znaczące niż poprzednio. To, co wcześniej wydawało mi się naturalne, obecnie było celowe i przemyślane. Zwróciłam uwagę na kilka odniesień do unikania prawdy i oszukiwania w grze. Zaniepokoiło mnie to, byłam jednak głęboko przekonana o istnieniu trzeciego notatnika i powtarzałam sobie, że odpowiedzi na większość pytań znajdę właśnie w nim.

Wiernie przepisałam tekst, wprowadzając tylko jedną zmianę. Postanowiłam już, że moją kopię historii Rebeki dam ojcu, uznałam więc, iż mogę sobie pozwolić na tę jedną, jedyną poprawkę. Rebeka napisała, że gdyby miała nagle umrzeć lub zniknąć, mogłaby polegać na swoim „dobrym przyjacielu Arturze Julyanie”, który na pewno nie odstąpiłby od przeprowadzenia śledztwa do końca, wycięłam tę uwagę. Ojciec i tak ma już wielkie wyrzuty sumienia, chciałam więc uchronić go przed jeszcze większym cierpieniem. Krótko mówiąc, ocenzurowałam opowieść Rebeki.

Nim skończyłam pracę, minął tydzień. Byłam prawie pewna, że lada chwila dostaniemy trzeci notatnik. Tom mówił mi, że Jack Fa-vell otrzymał brylantowy pierścionek Rebeki dokładnie tego samego dnia, kiedy ojciec dostał pierwszy notes. Drugi nadszedł siedem dni po pierwszym. Anonimowy nadawca był dziwnie metodyczny, dlatego nie wątpiłam, że trzeci notatnik dotrze do nas pierwszą pocztą w środę rano. Barker i ja kręciliśmy się w pobliżu holu, czekając na listonosza. Okazało się, że miał dla nas zwięzły komunikat z urzędu skarbowego oraz rachunek ze sklepu spożywczego. Po południu nie dostaliśmy w ogóle żadnej przesyłki. Nic.

Byłam rozczarowana i sfrustrowana - tak bardzo chciałam poznać historię Rebeki do końca. Tom Galbraith zajęty był nudnymi działaniami związanymi z „weryfikacją”. Wrócił do Londynu, aby szukać innych źródeł informacji. Miałam tego wszystkiego dosyć,

chciałam zaczerpnąć wiedzy z pierwszego i najważniejszego źródła, i znowu usłyszeć głos Rebeki. Przepisywanie to dziwny proces -w trakcie pracy Rebeka stała się moją przyjaciółką i powiernicą, i niewykluczone, że byłam wyjątkowo podatna na jej urok. Czułam się samotna w Sosnach bez ojca i wiedziałam, że w przyszłości czeka mnie jeszcze bardziej dojmująca samotność. Wiele razy myślałam, jak dobrze byłoby, gdybym nauczyła się chwytać życie za kark równie odważnie jak Rebeka.

Kiedy trzeci notatnik nie nadszedł, uległam pokusie, poszłam do gabinetu ojca i przyjrzałam się teczkom, które starannie ułożył na biurku przed wyjazdem do szpitala. Wewnątrz znajdowały się owoce poszukiwań, które prowadził w czasie kilku minionych tygodni. Nie zabronił mi ich otwierać, ale też nie zachęcał.

Obeszłam biurko dookoła, ogarnęłam wzrokiem półki z książkami, otworzyłam i zamknęłam kilka szuflad, w których ojciec trzymał palety z motylami. Barker wydał z siebie jakieś artretyczne skrzypienie, ułożył się na dywaniku przed kominkiem i rzucił mi wyczekujące spojrzenie. Przez chwilę zmagalam się z sumieniem, lecz ostatecznie poddałam się i sięgnęłam po teczki. Biedny tata...

Nic dziwnego, że tak zazdrośnie strzegł swego „archiwum”, jak je nazywał. Nic dziwnego, że zwlekał z pokazaniem go Tomowi lub mnie. Gdyby nam na to pozwolił, jego duma na pewno by ucierpiała, bo zawartość archiwum była naprawdę żalсна. Co składało się na zgromadzoną przez niego dokumentację? Jego własny opis „poszukiwań”, który czytałam już wcześniej, zaproszenia na przyjęcia w Manderley, kilka skreślonych ręką Rebeki liścików, dotyczących miejscowych imprez charytatywnych, programy dorocznych zawodów regatowych w Kerrith, w których Rebeka zawsze uczestniczyła, kilkanaście przepisów kucharskich, nadesłanych z Manderley na prośbę mojej matki.

Szukałam dalej, chociaż czułam, że nie mam prawa tego robić. Po paru minutach natrafiłam na interesującą fotografię - przedstawiała cztery kobiety w pięknych sukniach, pijące herbatę w ogrodzie Manderley. Nie miałam trudności z rozpoznaniem, kim były, ponieważ ojciec opisał zdjęcie na odwrocie. Trzy urodziwe siostry Grenville i babka Maxa, „stara wiedźma” z opowieści Rebeki.

Babka wyglądała na twardą autokratkę, twarz Evangeline przesłoniło rondo dużego kapelusza, Virginia odwróciła głowę...

U stóp Virginii, z rozpuszczonymi, spływającymi na ramiona pięknymi włosami siedziała na trawie Isolda, która wtedy musiała mieć mniej więcej szesnaście lat. Sięgnęłam po leżące na biurku szkło powiększające. Na twarzy Isoldy malował się wyraz zniecierpliwienia, wpatrywała się w obiektyw ze zmarszczonymi brwiami, wargi były lekko rozchylone. Wszystkie fotografie naznaczone są piętnem „tajemniczego czynnika”, osoby, której na nich nie ma, tej, która nacisnęła przycisk aparatu. Kto zrobił to zdjęcie? Lionel de Winter?

Znalazłam też paczkę listów Maxima de Winter, które w pierwszej chwili wydały mi się suche i nieciekawe. Potem na samym dole odkryłam ostatni, wysłany do Singapuru, napisany drobnym, ścisłym pochyłym pismem na zwykłym papierze listowym.

Mój drogi Arturze,

Twój list bardzo mnie ucieszył. To świetnie, że Ty i Twoja rodzina już wkrótce wróćcie do Kerrith. Nie martw się „brakiem zajęcia”, jak to ująłeś - kiedy będziesz już na miejscu, okaże się, że każdy lokalny komitet, zajmujący się działalnością charytatywną i inną, bardzo chętnie dokooptuje Cię do swego składu. Słyszałem też, że zwalnia się stanowisko sędziego pokoju, więc jeśli byłbyś tym zainteresowany, daj mi znać, a powiem słowo komu trzeba i z całą pewnością otrzymasz nominację.

A teraz do rzeczy - mam Ci do zakomunikowania bardzo ważną nowinę. Zamierzam się ożenić i wprawić w konsternację wszystkich nudziarzy, którzy doszli już do wniosku, że zostanę zardzewiałym starym kawalerem. W końcu spotkałem jedyną kobietę, którą mogę uczynić swoją żoną. Na imię ma Rebeka. Jej ojciec, który już nie żyje, zrobił majątek, inwestując w kopalnie w Afryce Południowej i potem wrócił do kraju. Mamy wielu wspólnych znajomych i obracamy się w podobnych kręgach, chociaż towarzystwo Rebeki jest dla mnie trochę zbyt noivoczesne. Po raz pierwszy zobaczyłem ją w lecie zeszłego roku na jakimś przyjęciu w Londynie, ale nie miałem sposobności, by się jej przedstawić. Jest najpiękniejszą istotą, jaką kiedykolwiek widziałem - spojrzałem na nią i dosłownie zgłupiałem.

Nie opiszę ci, jak wygląda. Kiedy wróćcie, będziemy już małżeństwem. Zamierzamy wziąć elegancki ślub we Francji, gdzie Rebeka ma krewnych i być może spędzić część miodowego miesiąca w należącym do jej rodziny château. Potem wyruszymy do Monte Carlo w poszukiwaniu słońca. Wrócimy wiosną, kiedy w Manderley jest najpiękniej i wtedy sam zobaczysz, jak

niezwykłą osobą jest Rebeka. Mogę uważać się za prawdziwego szczęściarza, bo udało mi się ją zdobyć mimo bardzo ostrej konkurencji! Sądzę, że Beatrice nie bardzo wiedziała, co myśleć o Rebecce (wiesz przecież, jaka sztywna potrafi być Bea), natomiast moja babka od razu ją polubiła. Rebeka po prostu podbiła jej serce. Gdybym miał jakiegokolwiek wątpliwości, których naturalnie nie mam, babcia rozwiałaby je w jednej chwili.

W zeszłym tygodniu pierwszy raz przywiozłem Rebekę do Manderley i, jak zapewne sobie wyobrażasz, bardzo się denerwowałem, czy nasz stary dom przypadnie jej do gustu. Nerwy okazały się zupełnie niepotrzebne, bo Rebeka zakochała się w Manderley od pierwszego wejrzenia. Co za ulga! Obawiałem się, czy nie uzna Manderley za dziurę na końcu świata, zupełnie nieprzystającą do jej wielkomijskich wymagań - Manderley nie wszystkim się podoba i niektóre kobiety mogłyby uznać je za ponure i przygnębiające, na szczęście Rebeci nic nie jest w stanie przygnębić i pozbawić pogody ducha.

Tymczasem nieszczęsne Manderley naprawdę nie wygląda najlepiej. Od zakończenia wojny nie szcędzę sił, by przywrócić tu porządek, ale nawet z pomocą Crawleya nie jest to łatwe zadanie. Jeśli chodzi o sam dom, nie wiedziałem nawet, od czego zacząć (ostatni, bardzo skromny zresztą remont przeprowadzono tu jeszcze przed śmiercią ojca), lecz Rebeci wcale to nie zniechęca. Widzi potencjalne możliwości, drzemiące w tym pięknym domu, i mówi, że nie może się już doczekać, kiedy będzie mogła się nim zająć.

Nie potrafię opisać, co w ciągu ostatnich kilku miesięcy działo się w moim życiu i jakie zmiany zaszły w nim za sprawą Rebeci, Arturze. Pamiętam, jak kiedyś powiedziałeś, że małżeństwo przypomina wejście do bezpiecznego portu. Nie mogę powiedzieć, abym czuł coś takiego, mam raczej wrażenie, że wychodzę na otwarte morze, gdzie warunki są nieprzewidywalne, a potężne prądy miotają mną raz w tę, raz w drugą stronę. Kochać i wierzyć, że jest się kochanym z wzajemnością, odczuwać wielką radość, lecz jednocześnie tysiące typowych dla zakochanych wątpliwości i obaw... Cóż, prawdopodobnie to jest zapłata losu za długie lata sceptycyzmu, z jakim traktowałem romantyczną miłość. Teraz sam odkrywam wszystkie cierpienia, na które patrzyłem z przymrużeniem oka i lekką pogardą, i w rezultacie nie jestem w stanie pisać do rzeczy. Wybacz mi.

Wpadnij, by zobaczyć się z nami jak najszybciej, najlepiej zaraz po powrocie, bądź jednak przygotowany na pewne niespodzianki - Rebeka jest zupełnie niepodobna do innych znanych mi kobiet. Jest błyskotliwa, odważna jak mężczyzna i na szczęście nie ma w sobie nic z konwencjonalnych

dam, które mi podsuwano. Jej sposób bycia wyda Ci się zaskakująco bezpośredni; naszym tutejszym znajomym na pewno niełatwo będzie go zaakceptować. Myślę, że Ty, który znasz mnie lepiej niż większość ludzi, szybko zrozumiesz, dlaczego nie wahałem się ani chwili, gdy zupełnie przypadkowo spotkałem ją na pokładzie statku, którym wracałem z Ameryki. W zaufaniu powiem Ci, prosząc, abyś zachował to dla siebie, że...

Sięgnęłam po następną kartkę, ale nie było jej. Zaczęłam szukać wśród papierów w folderze, lecz dalszy ciąg listu Maxima zniknął. Wyglądało na to, że nigdy nie miałam się dowiedzieć, co Maxim chciał w zaufaniu powiedzieć mojemu ojcu.

Kilka tygodni później, kiedy przyznałam się ojcu do swego czynu, zapytałam go, co stało się z drugą kartką listu Maxima. Odparł, że zagubiła się już dawno temu, a ważne wyznanie dotyczyło aktorskiego epizodu w życiu matki Rebeki. Jestem pewna, że ojciec nigdy by mnie nie okłamał, ale tamtego dnia zakiełkowała we mnie podejrzliwość. Czy możliwe, że ocenzurował ten list z jakiegoś powodu, podobnie jak ja postąpiłam z notatnikiem Rebeki, pomyślałam. Może zniszczył też inne dokumenty, i może właśnie to tłumaczy skromne rozmiary jego archiwum...

Zerknęłam na kupkę popiołu w kominku, ale jej widok nic mi nie powiedział. Przed pobytem ojca w szpitalu paliliśmy w gabinecie prawie codziennie.

Kiedy ojciec wrócił ze szpitala i Rose przybyła do nas z wizytą, musiałam na pewien czas odłożyć te sprawy, żeby się nim zająć. Doktor Latimer wykluczył możliwość operacji, zapisał natomiast ojcu wielką ilość pigułek, z których połowa ma łagodzić efekty uboczne drugiej połowy. Zalecił także, aby tata jadał lekkie posiłki w regularnych odstępach czasu, dużo odpoczywał, trochę spacerował, nie denerwował się i nie ekscytował. Nadal dręczył mnie przesądny lęk, że przyczyną choroby ojca w pewnym stopniu było poczucie winy dotyczące wydarzeń z przeszłości, powiedziałam więc Rose o anonimowych przesyłkach i poprosiłam ją oraz Toma Galbraitha, aby w obecności ojca nie wspominali o Rebecce i jej notatniku.

Okazało się to łatwiejsze, niż przypuszczałam, częściowo dlate-

go, że Tom często wyjeżdżał do Londynu, pragnąc „zweryfikować” wyznania Rebeki, lecz również z zupełnie innego powodu. Niedługo po powrocie ojca do Sosen odkryłam, że na naszym horyzoncie pojawił się nowy ulubieniec taty. Ojciec bardzo nieufnie traktuje lekarzy, a medycynę ma w głębokiej pogardzie, ale jakimś dziwnym zbiegiem okoliczności obdarzył wielką sympatią doktora Latimera. Nie dość, że bez protestu łyka przepisane przez niego pigułki i że parę razy zaprosił go do Sosen, to jeszcze przy każdej okazji wyśpiewuje hymny pochwalne na jego cześć. Francis Latimer to wspaniały lekarz i cudowny człowiek, inteligentny i odcytany. Jest wprawdzie łagodnym radykałem, jeśli chodzi o przekonania polityczne, ale jego towarzystwo bywa niezwykle stymulujące. Nie ulega wątpliwości, że mieszkańcy Kerrith powinni cieszyć się z jego przybycia w te strony. Latimer wie absolutnie wszystko o chorobach serca. Poprawa stanu zdrowia ojca to wyłącznie jego zasługa. Latimer mówi, co myśli, robi, co do niego należy i nie zwraca nikomu głowy głupstwami, czego nie da się powiedzieć o pewnych osobach, które ojciec mógłby wymienić.

Latimer zaczynał życie od nowa po bliżej nieokreślonych przejściach i na razie wynajął dom w pobliżu szpitala, aby mieć czas na znalezienie stałej siedziby gdzieś nad morzem. Miał dwóch synów, Michaela i Christophera. Okazało się również, że jest rozwiedziony i w świetle tego faktu byłam tym bardziej zaskoczona, że ojciec tak się z nim zaprzyjaźnił. Tata wierzy w nierozzerwalność małżeństwa, jest zdecydowanym przeciwnikiem rozwodów i zwykle unika osób skażonych tym piętnem. Przyczyną ostatecznego rozdźwięku między nim a moją siostrą Lily był jej długi romans z żonatą mężczyzną. Mimo bólu, jaki sprawiła mu ta sytuacja, nigdy nie dostrzegłam żadnych oznak, aby skłaniał się do zmiany swoich konserwatywnych i staroświeckich poglądów.

Już niebawem Francis Latimer miał zacząć wywierać wpływ także i na moje postępowanie, lecz na razie byłam wobec niego trochę nieufna. Odwiedzał nas co najmniej dwa razy w tygodniu, podobno jako gość, lecz ja doskonale wiedziałam, że pod tą maską kryją się motywy zawodowe. Również motywy kierujące moim ojcem nie były wcale tak niewinne, jak mi się początkowo wydawało. Podczas gdy Latimer pilnował swego pacjenta, ojciec, ku mojemu ogromnemu zdumieniu, widział w lekarzu potencjalnego nabywcę Sosen.

Kiedy Latimer się zjawiał, tata neodmiennie zabierał go na wycieczkę z przewodnikiem. Zachwycał się roztaczającymi się z naszych okien widokami, pod niebiosą wychwalał palmę i araukarię. Zaglądał z doktorem do kuchni i z zapalem wymieniał wszystkie dobre strony naszego pieca, który psuł się co drugi tydzień (o tym ojciec nie wspomniał). Zapominał też o ciekącym dachu, zardzewiałych rurach i przegniłych, spaczonych futrynach.

- Morze widać stąd jak na dłoni, Latimer - mówił. - I to prawie z każdego okna...

Francis Latimer, który, jak już wspominałam, jest człowiekiem niezwykle bystrym i spostrzegawczym, świetnie zdawał sobie sprawę z marnego stanu naszego domu i bawiły go podchody ojca, zachowywał jednak pokerową twarz. Raz, gdy staliśmy na końcu ogrodu, tuż przy wałącym się murze granicznym, zerknął na mnie, słuchając zachwytów ojca nad widokiem z ogrodu. Przez jego inteligentną twarz przemknął wyraz rozbawienia, ale naturalnie zgodził się, że widok istotnie jest niezapomniany.

Nie bardzo wiedziałam, co myśleć o tej nagłej chęci „pozbycia się Sosen”, jak to ujmował ojciec, i o jego niedwuznacznych sugestiach, że najwygodniej byłoby nam w przytulnym bungalowie, którego koszty utrzymania są bez porównania niższe. Tata nigdy nie ukrywał, że po jego śmierci będę musiała sprzedać Sosny. Nie mamy dużych oszczędności, więc ten mocno podniszczony dom jest naszym jedynym poważnym zabezpieczeniem. Ojciec uważa, że w przyszłości będę się utrzymywać właśnie z pieniędzy ze sprzedaży Sosen. Myli się, ponieważ ja zamierzam pracować na swoje utrzymanie. Zgadzam się ze wszystkimi uwagami Rebeki na temat pracy i zatrudnienia kobiet, więc już teraz wszystko zaplanowałam. Pójdę na uniwersytet, zdobędę dyplom i podejmę pracę, ale naturalnie nie mogę powiedzieć o tym ojcu - zbyt boleśnie zraniłoby to jego dumę.

Nigdy wcześniej nie przyszło mi do głowy, że tata może brać pod uwagę sprzedaż Sosen przed swoją śmiercią. Zawsze powtarzał przecież, że opuści ten dom wyłącznie nogami do przodu. Nie rozumiem, dlaczego teraz nagle zmienił zdanie, chyba że to Latimer podsunął mu ten pomysł. Dobrze wiem, że to bzdura i naprawdę nie wyobrażam sobie ojca w bungalowie. Równie dobrze mógłby przeprowadzić się do wieżowca na Manhattanie... Sosny są dla nie-

go tak samo ważne, jak Manderley było kiedyś dla Maxima. Sprzedaż domu po prostu by go zabiła.

Powiedziałam o tym Francisowi Latimerowi podczas jego trzeciej czy czwartej wizyty. Nie chciałam, żeby się niepotrzebnie łudził, bo wyglądało na to, że rzeczywiście polubił Sosny, mimo wszystkich ich braków, a poza tym coraz bardziej niepokoiła mnie ta nowa idée fixe ojca. Zaczęłam zdawać sobie sprawę, że pobyt w szpitalu bardzo go zmienił. Wydawał się silniejszy i zdrowszy, lecz jego energia i krewkość znacznie zmalały, często o czymś zapominał i spędzał wiele godzin w stanie łagodnego zamyślenia, co budziło we mnie niedobre przeczucia. Byłam zadowolona, że jest spokojniejszy, ale to nie był ten sam ojciec, którego znałam. Podejrzewałam, że wśród legionu pigułek znajduje się przynajmniej jedna, która łagodzi jego drażliwość równie skutecznie jak inne kontrolują ciśnienie krwi.

Odpowiedź Francisza Latimera bardzo mnie zainteresowała. Dziś wiem, że w pewnym sensie wyznaczyła punkt zwrotny w naszym życiu. Oświadczył, że wie, iż opuszczenie Sosen byłoby katastrofalne dla ojca i że nie przepisał mu żadnego leku, którego działaniu można by przypisać zmianę w jego zachowaniu, i przyznał, że on również zauważył tę zmianę w czasie długich rozmów, jakie prowadził z ojcem w szpitalu. Właśnie wtedy dowiedziałam się o tych rozmowach i zaczęłam się zastanawiać, czy Latimer nie wie przypadkiem o stanie umysłowym ojca więcej niż ja, i czy ojciec nie zwierzył mu się z czegoś, o czym ja nie miałam zielonego pojęcia. Francis Latimer zdecydowanie zaprzeczył, ale ponieważ lekarze muszą zachować w tajemnicy osobiste zwierzenia pacjentów, nie do końca mu uwierzyłam.

Spojrzał na mnie poważnie i powiedział, że muszę zaakceptować pewne zmiany.
- Ludzie się zmieniają, Ellie - rzekł z zupełnie niespodziewaną gwałtownością.

Siedzieliśmy na rozsypującym się murze w ogrodzie i Latimer sprawiał wrażenie roztargnionego i zamyślnego, co było dość niezwykle. Myślę, że wtedy po raz pierwszy zobaczyłam w nim nie lekarza, lecz człowieka. Czułam, że coś go dręczy.

- Nie zauważyłaś, że ty także się zmieniasz, Ellie? - ciągnął. -Dobry Boże, ja widzę, że jestem teraz inny niż na przykład dwa la-

ta temu, kiedy się rozwodziłem... - Przerwał i ku mojemu wielkiemu zaskoczeniu wziął mnie za rękę. - Nigdy nie myśl, że ludzie się nie zmieniają, a zwłaszcza ludzie starzy - dodał łagodnie. - Ludzie w wieku twojego ojca, w jego stanie zdrowia, zmieniają się błyskawicznie. W okamgnieniu przekraczają granicę terytorium, którego ty czyja nawet nie potrafimy sobie wyobrazić. Twój ojciec jest wyjątkowym człowiekiem, bardzo odważnym. Musi teraz uporządkować całe swoje życie, musi dojść do ładu z samym sobą i wieloma sprawami, które go dotknęły. Jeżeli zrobi to spokojnie, albo chociażby spokojniej niż dawniej, możesz uznać to za prawdziwe błogosławieństwo, wierz mi.

Po tej rozmowie polubiłam Francisa Latimera, lecz mimo wszystko było mi przykro, że tak szybko zastąpił Toma Galbraitha w świecie mojego ojca. Wydawało mi się, że świadczy to o niestałości uczuć. Tak czy inaczej, słowa Latimera zrobiły na mnie wrażenie. Bywam nadmiernie opiekuńcza i dopiero wtedy uświadomiłam sobie, że nie mam prawa ukrywać przed ojcem „Opowieści Rebeki”. Była to przecież jego własność...

Poprosiłam o radę Toma i Rose. Gdy zgodzili się ze mną, dałam ojcu moją kopię historii Rebeki, trzy i pół tygodnia po jego powrocie ze szpitala. Dzień wcześniej zastanawiałam się do późnej nocy, czy podjęłam właściwą decyzję, przeglądałam notatnik w poszukiwaniu fragmentów, które mogłyby sprawić ojcu przykrość. W końcu postanowiłam dokonać jeszcze jednej ingerencji cenzora. Ta operacja była bardzo radykalna - usunęłam całą część z opisem życia Rebeki u boku ojca w Greenways.

Dla mnie samej te fragmenty były najbardziej niezrozumiałe i niepokojące. Dlaczego tak gwałtownie, z taką zajadłością i tak dużo pisała o kopalniach, na miłość boską? Nie chciałam też, aby tata przeczytał jej komentarze na temat wieży, w której zamknął ją ojciec. Wydaje mi się, że czasami Rebeka pozwala się ponieść wyobraźni i nieco przesadza. Doszłam do wniosku, że w gruncie rzeczy jej opowieść zyska na usunięciu tych dziwnych aluzji i opisów.

Ojciec potrzebuje teraz więcej snu niż wcześniej, więc lektura mojej wersji opowieści zajęła mu dużo czasu. Minęły prawie dwa tygodnie, a on jeszcze nie skończył czytać. Któregoś dnia, gdy drzemał na tarasie w słońcu, Rose wyjęła mu historię Rebeki z rąk

i przeczytała ją w ciągu jednego popołudnia, ale Rose po prostu pożera książki, poza tym nigdy nie była tak zaangażowana w tamte wydarzenia jak ojciec.

- Bardzo kobiecy styl - skomentowała zwięźle i nie dała się pociągnąć za język.

- Jaki był Maxim, Rose? - zapytałam ją pewnego wieczoru, kiedy obie przygotowywałyśmy kolację w kuchni.

Myślałam o tamtych latach przed pierwszą wojną, gdy młoda i śliczna Rose była jakoby obiektem uczuć Maxima. Poza tym Rose знаła przecież większość osób, które pojawiają się w historii Rebeki.

- Który Maxim? - rzuciła Rose, osuszając liście sałaty. - Mój Maxim? Rebeki? Jego drugiej żony? Twojego ojca? Wybieraj, moja droga.

- Twój - odparłam. - Nie rozdzielaj włosów na czworo, Rose.

- Okaleczony emocjonalnie przez przodków. Ale ja bardzo go lubiłam. Był przywiązany, co tam, przywiązany - przykuty do Man-derley lecz zawsze marzył o podróżach. Nie kochałam się w nim, ani on we mnie, chociaż być może wyobrażał sobie, że jest zakochany. Czy taka odpowiedź cię satysfakcjonuje?

- Byłaś kiedyś zakochana, Rose? - zagadnęłam ponuro, wpatrując się w połyskujące w oddali morze.

Tom Galbraith wrócił tego dnia z kolejnej wyprawy „weryfikacyjnej”, tym razem do Greenways, domu, który Jack Devlin kupił w Berkshire. Następnego ranka miał wyjechać do Bretanii, było też oczywiste, że niedługo potem na zawsze opuści Kerrith. Obiecałam mu, że spotkam się z nim późnym wieczorem, aby życzyć mu powodzenia w czasie poszukiwań w Bretanii. Powiedział, że po wyjeździe na stałe będzie pisał i odwiedzał nas w Sosnach, ale ja wiedziałam, że nasze pożegnanie będzie pożegnaniem prawie ostatecznym.

- Oczywiście - odpowiedziała Rose. - Byłam głęboko zakochana w studentce z mojej grupy w Girton. Miała na imię Helen, teraz już nie żyje. Później przez wiele lat kochałam inną kobietę, Jane Turner, która kiedyś mieszkała ze mną w Londynie, zanim zaczęłam wynajmować pokoje studentom. Spotkałaś ją parę razy, gdy byłaś młodsza, pamiętasz?

Odwróciłam się i wbiłam w Rose zdumione spojrzenie. Przypomniałam sobie popołudnie spędzone w domu Rose w St. John's

Wood i spokojną, łagodną kobietę w tweedowym komplecie, która nalewała nam herbatę i zapytała, co zamierzam studiować. Byłam wtedy tuż przed egzaminami wstępnymi na Uniwersytet w Cambridge. Dała mi swoją książkę o siostrach Bronte, którą nadal miałam chyba gdzieś w domu. Miłość? Byłam ślepa.

- Och, na miłość boską, Ellie, nie sądzisz chyba, że żyję jak zakonnica! - rzekła Rose z lekkim zniecierpliwieniem. - To byłoby potwornie nudne. W moich upodobaniach seksualnych nie ma nic nadzwyczajnego, możesz mi wierzyć. Jest to kwestia gustu, i tyle. Jedni lubią pomarańcze, drudzy jabłka, a jeszcze inni i pomarańcze, i jabłka. Moralność nie ma z tym wyborem nic wspólnego. Twój ojciec natychmiast by zaprotestował, ale po tobie spodziewam się czegoś lepszego. Mam sobie odmawiać jabłek, dlatego że on lubi pomarańcze? Czy to grzech, że ktoś lubi jakiś rodzaj owoców? Nie sądzę. Użyj głowy, kochanie, i obierz wreszcie te ziemniaki, dobrze?

Spełniłam jej polecenie. Patrząc, jak układają się spirale ze skórki ziemniaków, myślałam o Rebecce. Jakie owoce lubiła? W swojej historii nie wspomina o żadnych romansach z kobietami, zostawia jednak mnóstwo luk i niedomówień. Głęboko wierzyła przecież, że mężczyźni są wrogami kobiet... Wpadłam już na pomysł, w jaki sposób można by uzupełnić najbardziej rzucającą się w oczy lukę w opowieści Rebeki, i jeżeli nie była to pomyłka, otrzymałabym odpowiedź na dręczące mnie pytanie. Na razie postawiłam je Rose, lecz Rose, która potrafi być bardzo irytująca, nawet się nad nim porządnie nie zastanowiła. Odniosłam wrażenie, że w ogóle ją to nie zainteresowało.

- I te, i te? Żadne? Nie mam pojęcia, Ellie.

Zauważyłam jednak, że starała się odpowiedzieć enigmatycznie. Pomyślałam wtedy, że trudno odgadnąć, kogo Rebeka kocha -oczywiście poza Manderley.

Rose bywa też strasznie krótkowzroczna.

- Co za bdury, Rose - powiedziałam, wrzucając obrane ziemniaki do garnka. - Kochała matkę. I ojca. Wydaje mi się też, że kochała Maxima, chociaż za nic nie chciała się do tego przyznać...

- Ależ z ciebie niewiniątka! - zawołała Rose, obrzucając mnie ostrym spojrzeniem. Podeszła i pocałowała mnie w czoło. - Któregoś dnia muszę zrobić ci krótki wykład, bo widzę, że twój zmysł

krytyczny nieco zardzewiał. - Popchnęła mnie w stronę drzwi. -Idź i powiedz ojcu, że kolacja będzie gotowa za piętnaście minut. Znowu włoży się po ogrodzie razem z Barkerem.

Wyszłam prosto w płynne, delikatne światło pięknego wieczoru. Po upalnym dniu powietrze dopiero zaczynało się ochładzać. Od morza wiał lekki, słony wiatr, małe łodzie i jachty z barwnymi proporcami kołysały się u ujścia do portu, a po wodzie niosły się nawoływania żeglarzy. Niebo przybrało jasny odcień różu, natomiast tuż nad linią horyzontu było mlecznobiałe i fioletowe. Ojciec jak zwykle siedział na niskim murze, z wiernym Barkerem u stóp. Trochę przygarbiony, opierał się na lasce i patrzył na ocean.

Od razu się domyśliłam, że wreszcie dotarł do końca opowieści Rebeki. Oczy miał wilgotne, na twarzy malował się smutek i rezygnacja. Odwrócił się ku mnie, ale chyba dopiero po dłuższej chwili zdał sobie sprawę z mojej obecności. Wyciągnęłam do niego rękę. Chwycił ją mocno i przyciągnął mnie do siebie. Siedzieliśmy obok siebie w ciszy wieczoru, wpatrując się w rytmicznie uderzające o brzeg fale. Milczałam, lecz byłam zaskoczona jego spokojem.

Czy to, co go prześladowało, wreszcie znikło? Bardzo się bałam, że notatnik Rebeki obudzi demony jego przeszłości, ale nic na to nie wskazywało. Prawie przez cztery tygodnie, licząc od powrotu ze szpitala, spokojnie spał do rana, nie budząc się ani razu.

Ajednak przez cały ubiegły rok nękały go straszne sny, szczególnie jeden, który w różnej formie powtarzał się kilkakrotnie. W tym śnie ojciec jechał czarnym samochodem długą, wijącą się aleją, która prowadzi do Manderley, a na zewnątrz szalała zamieć. Siedział za kierownicą, lecz samochód wydawał się sam zmieniać biegi i pokonywać zakręty. Obok ojca, na siedzeniu dla pasażera, spoczywała mała trumna, którą miał bezpiecznie dostarczyć na miejsce.

W pewnej chwili trumienka zaczęła się poruszać, a ze środka wydobywał się błagalny głos dziecka. „Wypuść mnie, och, wypuść mnie. Wypuść mnie stąd natychmiast”. Ojciec, który w końcu rozpoznał głos Rebeki, usiłował zatrzymać samochód i odkręcić motylkowe śruby, którymi umocowano wieko trumny, lecz samochód

dalej pędził wśród zamieci, a śruby ani drgnęły. Krzyki i błagalne prośby, dobiegające z wnętrza trumienki, stawały się coraz głośniejsze i coraz bardziej gorączkowe... Wtedy ojciec się budził, zlany potem i przerażony, czasami wołając głośno moje imię, a czasami Rebeki.

Zapomniał już, że opowiedział mi ten sen, a ja nigdy tego nikomu nie powtórzyłam. Spostrzegłam, że w ciągu ostatnich tygodni zapomniał o tym śnie. Kiedy czytał opowieść Rebeki, z niepokojem czekałam na pojawienie się objawów wskazujących na powrót dawnych przeżyć, ale nic takiego się nie stało. Zapadał w drzemkę, czytał, zamyślał się głęboko, wracał do lektury i znowu na parę chwil zasypiał. Czasami wydawało mi się, że ogląda jakiś własny film i porównuje pochodzące z niego obrazy z utrwalonymi w spisanej przez Rebeke historii. Zdarzało się, że potrząsał głową, jakby się z czymś nie zgadzał, lecz najczęściej reagował na słowa kobiety, którą kochał, w taki sposób, jakby dobiegały do niego z bardzo daleka, z jakiegoś wymyślonego świata lub z powieści.

- Taka właśnie była stara pani de Winter - powiedział mi kiedyś. - Stara Megiera... Tak nazywała ją moja niania Tilly. Natomiast dziadek zawsze powtarzał, że wcale nie jest taka groźna, jakby się mogło wydawać... Tilly pochodziła z Londynu, wiesz? Po śmierci ojca okazała mi dużo serca. To wszystko wydaje mi się teraz tak bliskie...

Innym razem jakiś fragment historii (nie wiem, który) doprowadził go do łez, nie wyjaśnił jednak, dlaczego i niedługo potem odzyskał spokój.

- Zawsze myślałem o niej jako o dziewczynce z motylkiem - rzekł. - Z lat dzieciństwa pamiętałem Isoldę, jej matkę. Cieszę się, że zatrzymała motyla, prezent ode mnie, nawet jeżeli niedługo potem go zgubiła.

Ani śladu szoku czy gniewu... Byłam zdumiona. Wiele zachowań Rebeki było w oczywistej sprzeczności z przekonaniami ojca. Rebeka nie miała cierpliwości do konwenansów i zasad, które ukształtowały jego życie, a tymczasem on albo nie zdawał sobie z tego sprawy, albo w ogóle go to nie obchodziło. Tego wieczoru, kiedy siedzieliśmy, patrząc na morze, w chłodnym, pachnącym różami powietrzu i powoli, prawie niezauważalnie mroczniejącym świetle, ojciec wreszcie zaczął mówić, spokojnie i z namysłem. Zadał mi na-

wet kilka pytań. Chciał wiedzieć, co myślę o tym fragmencie, jak interpretuję tamten...

- Biedne dziecko - westchnął. - Tamtego dnia, gdy była u nas na herbacie, Elinor wzięła mnie na stronę i uprzedziła, żebyśmy w żadnym wypadku nie wspominali ojej matce. Taka waleczna mała dziewczynka! I wyrosła na dzielną kobietę. Stawiła czoło de Winterom i Manderley... Zawsze czułem, że ten przeklęty dom do nikogo nie jest dobrze usposobiony, ale ona go oswoiła. Kiedy sam byłem dzieckiem, nienawidziłem Manderley, Ellie! Nienawidziłem Manderley i Lionela de Winter! Słyszałem plotki o Lionelu i Isoldzie, i kiedyś nawet bałem się, że...

- Ze co, tato?

- Nic takiego... Nic, nic! - Zawahał się i odwrócił wzrok. -Przypominam sobie ostatnie stadium jego choroby, to wszystko. Jak wyglądał, kiedy umierał... Byłem świadkiem sporządzenia jego ostatniego testamentu. Nie jest to rzecz, z której byłbym dumny, ale oczywiście nie mogę cofnąć czasu.

Westchnął i poklepał mnie po dłoni. Pod nami szeptały fale.

Mówił jeszcze przez chwilę, przemierzając drogi przeszłości. Czasami odwoływał się do opisanych przez Rebeke wydarzeń, widziałam jednak, że nie pamięta ich zbyt dobrze. Zmieniały się wje-go umyśle i przybierały inne kształty, wkraczały w strefę cienia, gdzie łączyły się z jego własnymi wspomnieniami, stanowiącymi uzupełnienie, potwierdzenie lub zaprzeczenie wersji Rebeki.

- Rebeka chyba tego jednak nie mówi, tato - rzekłam łagodnie w pewnej chwili. Uśmiechnął się i potrząsnął głową.

- Nie? - zapytał spokojnie i cicho. - Cóż, najwyraźniej wszystko mi się myli. Skleroza, do diabła. No, ale nieważne. Dajmy temu spokój. Tak się cieszę, że po tylu latach milczenia znowu usłyszałem jej głos... Ale nie zwrę już więcej do tego notatnika. To wszystko należy do przeszłości. Jestem stary, a tamto działo się dawno temu. Mam teraz pilniejsze sprawy na głowie. Powiedz mi lepiej, co robiłaś, Ellie.

Okazało się więc, że tamte zdarzenia są odległe w oczach ojca, natomiast bardzo bliskie w moich. Zjedliśmy wczesną kolację,

wczesna kolacja to jedno z zaleceń doktora Latimera - i zostawiłam ojca oraz Rose przy grze w karty. Pobiełam na górę, przebrałam się w dość nową sukienkę i wymknęłam się tylnym wyjściem, żeby nie zwrócili uwagi na mój trochę wyszukany strój. Potem wyprowadziłam samochód i popędziłam do domku Toma Galbraitha.

Zaproponował, żebyśmy pojechali do kościoła w Manderley i przeszli się brzegiem rzeki. Podczas tego spaceru powiedział mi kilka zaskakujących i bardzo istotnych rzeczy, między innymi, co odkrył w czasie pobytu w okolicy Greenways.

ROZDZIAŁ 27

- Ojciec Rebeki nie popełnił samobójstwa, Ellie - rzekł Tom, gdy między zarośniętymi trawą pagórkami starych grobów szliśmy w kierunku rzeki.

Nie patrzył na mnie, lecz na wodę. Była pora odpływu, więc rzeka stała się tylko wąskim kanałem. Na bagnistych brzegach żerowały ptaki - ojciec potrafiłby je rozpoznać, ja nie. Kiedy podeszliśmy bliżej, stado poderwało się w górę, łopocząc mokrymi skrzydłami i rozsiewając fontanny lśniących jak brylanty kropli. Usiedliśmy na trawie wśród jaskrów. Zerwałam źdźbło trawy i owinęłam je sobie wokół palca.

- Wiem o tym już od pewnego czasu - ciągnął. - Oczywiście od razu sprawdziłem akt zgonu. Poza wszystkim, wersja jego śmierci, przedstawiona przez Rebeke, zupełnie nie zgadza się z wersją Fa-vella. Chciałem się upewnić co do szczegółów i teraz nie mam już żadnych wątpliwości, Ellie.

Jakiż był dokładny! Sprawdził wszystko dwa albo nawet trzy razy. Wreszcie miał swoje ukochane dowody, całą dokumentację. Akt zgonu, nekrolog i krótką wzmiankę, zamieszczone w lokalnej gazecie, raport z przeprowadzonego dochodzenia. Napisał do małżeństwa, które kupiło Greenways po śmierci Jacka Devlina. Ludzie ci, dość już starzy, nadal tam mieszkali. Chętnie oprowadzili go po domu i stajniach. Rozmawiał z mieszkańcami wioski, którzy przypominali sobie okoliczności śmierci Devlina, i odwiedził mały wiejski cmentarz w Hampton Ferrars, gdzie spoczywali obok siebie Jack Devlin oraz Isabel-Isolda.

- Czy nagrobek wykonano z czarnego marmuru? - zapytałam, wpatrując się w srebrzyste bagniska.

Wiedziałam, że w świetle tego, co mi powiedział, nie jest to najważniejsze pytanie, ale z jakiegoś powodu musiałam je zadać. Chciałam poznać odpowiedź, ponieważ właśnie ten szczegół wiele znaczył dla Rebeki i powinien mieć znaczenie dla Toma.

- Słucham? Nagrobek? Tak, z czarnego marmuru, ze złotymi literami. Najwyraźniej w guście Devlinów. - Zmarszczył brwi. - Czy ty w ogóle słuchałaś tego, co mówiłem, Ellie?

- Jakie imię wypisano na płycie - Isabel czy Isolda?

- Isabel. Ellie, wiedziałem, że cię to zdenerwuje. Przykładasz wielką wagę do słów Rebeki, i dobrze, ale zrozum, musiałem to sprawdzić. To dla mnie zbyt ważne, abym mógł zostawić miejsce na jakiegokolwiek wątpliwości...

- Opowiedz mi jeszcze raz - poprosiłam, chociaż doskonale pamiętałam, co powiedział.

Jeszcze raz owinełam łodyżkę trawy dookoła palca. Chciałam zyskać trochę czasu do namysłu, to wszystko.

Tak więc opowiedział mi wszystko raz jeszcze i rzeczywiście, sprawa była oczywista. Jack Devlin, zadłużony po uszy i bliski bankructwa, wcale nie powiesił się w Greenways, a jego śmierć była przypadkowa, nie samobójcza. Wczesnym rankiem feralnego dnia wybrał się na przejażdżkę konną na równinę za domem, w towarzystwie Rebeki i jednego ze stajennych. Półtora kilometra od domu, na wzniesieniu, jego koń nagle poniósł.

Dzień był jasny i pogodny, lecz ziemia stwardniała na kość po przymrozku. Devlin wyleciał z siodła i skreślił kark. Rebeka i stajenny nie mogli mu pomóc - gdy do niego dotarli, już nie żył. Załamana Rebeka nie mogła złożyć zeznań, zrobił to natomiast stajenny, Richard Slade. Sędziowie przysięgli wydali werdykt bez chwili wahania, uznali, że nawet nie muszą udawać się na obrady - Jack Devlin zginął w nieszczęśliwym wypadku.

- Krótko nakreślę ci sylwetkę Richarda Slade'a - ciągnął Tom. - Miał dwadzieścia lat, mieszkał w okolicy. Pracował dla Devlina cztery lata i cieszył się jego szacunkiem. Chociaż może się to wydawać dziwne i zupełnie nieuzasadnione, wszystko wskazuje na to, że obwinił się za śmierć Devlina. Po wypadku jego zachowanie bardzo się zmieniło, zaczął pić i chyba wpadł w alkoholizm. Następni właściciele Greenways zatrudnili go, ale po dziewięciu miesiącach dali mu wypowiedzenie. Dokładnie rok po wypadku, w rocznicę

śmierci swego pierwszego pracodawcy, Richard Slade się powiesił, przerzucając sznur przez belkę w sklepieniu stajni.

- Co do tego też nie ma żadnych wątpliwości? - zapytałam, chociaż doskonale zdawałam sobie sprawę, że Tom sprawdził to co najmniej trzykrotnie.

- Żadnych. Obejrzałem wszystkie oficjalne raporty. Dwóch braci Sladea nadal mieszka w Hampton Ferrars, rozmawiałem z nimi. Pytałem ich o wypadek. Jack Devlin był doświadczonym jeźdźcem, więc chciałem się dowiedzieć, czy akurat tego dnia dosiadał szczególnie narowistego konia, jak sugerował Favell. Obaj zaprzeczyli. Zapytałem też, czy może podejrzewają, dlaczego koń poniósł. Richard Slade nie umiał wyjaśnić tego podczas przesłuchania, i jego bracia także nie mieli pojęcia, co właściwie się stało.

- Istnieje wiele powodów narowienia się koni, nawet zupełnie spokojnych - powiedziałam. - Takie rzeczy zdarzają się często, również doświadczonym jeźdźcom też. Nie rozumiem, co sugerujesz...

- Nic.

W dalszym ciągu wpatrywał się w smugę powoli płynącej wody. Przyплыw skończył się i rzeka znowu płynęła zgodnie z naturalnym prądem. Długą chwilę siedzieliśmy w milczeniu.

- Dlaczego Rebeka to zrobiła? - odezwał się w końcu Tom. - Dlaczego połączyła elementy śmierci ojca i Sladea? Po co? Nie rozumiem tego. W notatniku ten fragment brzmi... - Przerwał i spojrzał na mnie niepewnie. - Cóż, powiedziałbym, że ten fragment aż prosi się o kilka pytań, ale brzmi szczerze, tak mi się w każdym razie wydawało...

- Tom, ona była chora - zaczęłam. - Po śmierci ojca przeżyła poważne załamanie emocjonalne, próbowała się zabić. Pisanie o ojcu na pewno było dla niej bardzo trudne, co zresztą, moim zdaniem, wyraźnie widać. Może nie byłaby w stanie opisać jego śmierci, nie zmieniając pewnych szczegółów, może tylko w ten sposób usiłowała się z tym uporać. A może czuła, że Devlin pragnął tego wypadku, że była to forma samobójstwa, co w tych okolicznościach jest prawdopodobne. Powiedziała prawdę, ale żeby stała się dla mej znośna, musiała ją trochę odmienić. Rebeka często to robi, takie odniosłam wrażenie...

- To jedna możliwość. Druga jest znacznie prostsza - Rebeka kłamie.

To słowo wstrząsnęło mną i wzbudziło mój gniew. Jednocześnie przypomniałam sobie, co Rebeka napisała o wierzycielach, którzy zgłosili się po odbiór pożyczonych sum, i nagle poczułam się trochę nieswojo.

- Nie wierzysz w to, prawda? - powiedziałam ostro. - Czy przyłapałeś jajeszcze na jakichś kłamstwach? Brakuje tylko, żebyś zaczął uważać Devlina i stajennego za ofiary Rebeki. Robisz się stronnicy, Tom, wiesz o tym?

- A ty nie? - odparował nie mniej ostro.

Zaskoczył mnie trochę. Wydawało mi się, że unikam zdecydowanego opowiadania się po jednej lub drugiej stronie. Wielokrotnie obserwowałam sytuacje, w których ludzie zajmują jasne stanowisko, oczywiście tutaj, w naszym Kerrith. Stają po stronie męża lub żony i obrzucają błotem któreś z nich, bo wydaje im się, że wszystko jest wyłącznie czarne lub białe. Zgodnie z oficjalną wersją Maxim był niewinny. Mieszkańcy Kerrith uważają, że najprawdopodobniej jej nie zabił, a jeżeli nawet tak, to miał powód, Rebeka doprowadziła go do tego. Nigdy nie mogłam zrozumieć, dlaczego zabicie kobiety, niewiernej żony, w oczach większości (w każdym razie męskiej większości) jest moralnie dopuszczalne. Tak czy inaczej, zwolennikom tej opcji na szczęście nie udało się stłumić głosów sprzeciwu i nie miałam zamiaru pozwolić, aby teraz zrobił to Tom Galbraith.

- Nie opowiadam się po żadnej stronie i nie wydaję sądów. - Westchnęłam. - Staram się tylko słuchać głosu Rebeki...

- To znaczy, że ja go nie słucham?

- W tej chwili nie. Nie wiem, dlaczego, ale ulegasz uprzedzeniom.

- Ulegam wpływowi własnej przeszłości - powiedział sztywno. - I mojej przybranej matki, jeśli chcesz wiedzieć. May Galbraith bardzo się starała trzymać mnie z dala od Rebeki, teraz dokładnie to widzę. Pozwoliła na to jedno spotkanie i to wszystko. Dlaczego? Zawsze mnie to zastanawiało. May nie była ani zaborcza, ani zazdrosna. Kiedyś myślałam, że może czuła się zagrożona, ale teraz nie jestem już tego taki pewny. Może chciała chronić mnie przed Rebeką?

- Chronić cię przed Rebeką? Co to za pomysł?

- Ponieważ związani z Rebeką mężczyźni z zadziwiającą regu-

larnością padali ofiarą fatalnych wypadków - odrzekł. - Ten chłopiec w Bretanii, który może rzeczywiście utonął w czasie sztormu, lecz nie wiadomo, w jakich właściwie okolicznościach. Może dowiem się prawdy, kiedy tam pojadę, ale mocno w to wątpię. Maxim de Winter. Jej ojciec. Dwudziestoletni stajenny. Nawet bracia mojej przybranej matki - pamiętasz krótką wzmiankę o trzech braciach May w notatniku Rebeki? Wszyscy zginęli bardzo młodo. Jeden w czasie wojny, drugi podobno podczas wspinaczki w górach, a trzeci... Trzeci zabił się niedługo po tym, jak May i Edwin zabrali mnie z sierocińca, czyli zaraz po ślubie Rebeki. Nie twierdzę, że Rebeka rzeczywiście miała „złe oczy” i potrafiła rzucać urok, ale to była *femme fatale*, poza tym sama mówi, że rzuciła klątwę na Lio-nela...

- Tom, nie możesz przecież winić Rebeki za śmierć żołnierza w czasie pierwszej wojny! Nie wierzę, że tak myślisz, po prostu nie mogę w to uwierzyć...

- Ja też nie mogę w to uwierzyć - przerwał mi z lekkim uśmiechem, podnosząc się z trawy. - Nie mówmy o tym więcej, Ellie. Postanowiłem, że pojadę jeszcze do Bretanii i na tym zakończę poszukiwania. W tej sprawie kryje się sto pytań, na które nigdy nie znajdę odpowiedzi. Wczoraj wieczorem zapisałem sobie tylko niektóre z nich i ta część zajęła dwie duże strony papieru. Na przykład: czy Jack Devlin był ojcem Rebeki? Dlaczego opuścił żonę? Czy Maxim de Winter odkrył prawdę o pochodzeniu Rebeki, o wątpliwościach otaczających kwestię jej ojcostwa? A jeżeli tak, to biorąc pod uwagę przeszłość Lionela de Winter i przyczynę jego śmierci...

- Rebeka w miarę swoich możliwości odpowiada na te pytania, Tom - powiedziałam szybko. - Jestem pewna, że jej ojcem był Devlin, no, prawie pewna. Myślę, że Jack odkrył, iż Lionel de Winter był kochankiem Isoldy - mógł przecież znaleźć listy od Lionela. Może sądził, że dziecko, które nosiła jego żona, nie było jego, więc zerwał z nią...

- To jedna interpretacja, ale istnieją i inne. - Spojrzał na mnie i znowu poczułam, że powstrzymuje się, aby nie powiedzieć czegoś więcej. - Przepraszam - rzekł zrezygnowanym tonem. - Wiem, że szukam pewności, lecz wiem także, że gdyby Rebeka i jej mąż stanęli teraz przed nami, i przedstawili swoje wersje wydarzeń, znacz-

na część moich pytań nadal pozostałaby bez odpowiedzi. Zajrzymy do kościoła, Ellie? Na chwilę, dobrze?

Zorientowałam się, że chce zmienić temat, co niewątpliwie było mądrą decyzją. Byliśmy bliscy kłótni, a ja również nie chciałam, żeby ostre słowa zakłóciły ostatni wieczór, jaki prawdopodobnie miałam szansę spędzić z nim sam na sam. Nie chciałam, aby Rebeka rozdzieliła nas właśnie teraz, kiedy zostało nam tak niewiele czasu.

Tom wyciągnął rękę i pomógł mi wstać. Myślę, że żałował ostrego tonu, którego kilka razy użył, w każdym razie od tej chwili zaczął zachowywać się zupełnie inaczej. Poszliśmy w kierunku kościoła, zatrzymując się przy niektórych grobach. Wiele bym dała, żeby ten spokojny, piękny wieczór trwał jak najdłużej, bym mogła snuć go bez końca, jak złotą nić. Tom nie wypuścił mojej ręki i jego ciepły dotyk wprawiał mnie w stan dziwnej, bolesnej tęsknoty. Nie chciałam okazać, co czuję, wiedziałam bowiem, że moje wyznania zepsułyby wieczór równie skutecznie jak kłótnia.

Rzeka wiła się pod nami jak srebrna wstążka. Zegar na wieży kościelnej wybił godzinę ósmą. Zapytałam, kiedy zamierza wrócić do Cambridge i czy ma już jakieś konkretne plany, związane z pracą na uczelni.

Ku mojemu zdumieniu, chętnie zaczął mówić o swoich zamiarach. Słuchając go, usiłowałam wyobrazić sobie tę mniśią celę nad pierwszym dziedzińcem King's College, na pierwszym piętrze pierwszej klatki schodowej. I Toma w uczelnianych bibliotekach, gdzie, jak oświadczył z lekką ironią, spędza zbyt dużo czasu, szukając prawdy w drobnych literkach. Chciałam zapamiętać własną wizję Toma przy pracy, na wypadek gdybyśmy mieli się już więcej nie spotkać.

Jego opis Cambridge nakładał się na moje własne wspomnienia, ponieważ kiedyś odwiedziłam Rose zimą, i obejrzałam miasto i uniwersytet. Wieże budynków, w których znajdują się dormitoria i sale wykładowe, wyłaniały się z bladej mgły, na pięknych brzegach rzeki Cam leżał śnieg, wschodni wiatr szczypał w policzki, a światła w oknach lśniły obiecująco. Tom mieszkał tam i pracował, lecz dla mnie była to tylko ulotna wizja, miraż. Oczywiście, nie powiedziałam mu tego.

Weszliśmy do kościoła i pochyliliśmy się nad mosiężną rzeźbą nagrobną Gillesa de Winter. Myślałam o Tomie jako małym chłop-

cu, o zielononiebieskich oczach Rebeki i ojej obecności w krypcie pod nami. I Tom, i ja mieliśmy świadomość straconych szans i uczucie dojmującego zawodu, jaki po nich pozostaje. Powietrze wokół nas wibrowało smutkiem niezrealizowanych możliwości.

Idąc do wyjścia, minęliśmy chrzcielnicę. Kiedyś wierzyłam, że zostaną w niej ochrzczone moje dzieci. Teraz dotknęłam jej lekko, z żalem. Na zewnątrz zapadał ciepły zmierzch, światło odchodzącego dnia było miękkie i przyćmione. Z trudem zdławiałam w gardle wszystkie słowa, które zamierzałam powiedzieć Tomowi Galbraithowi.

Zaczął teraz opowiadać o Nicholasie Osmondzie, człowieku, z którym miał się spotkać w Bretanii, również wykładowcy z Cambridge i swoim najbliższym przyjacielu. Osmond, którego Tom poznał na pierwszym roku studiów, zajmuje się średniowieczną literaturą francuską i wczesną tradycją pieśni romantycznej, i niedawno wygłosił cykl wykładów na ten temat na Sorbonie. W zeszłym roku owdowiał - jego żona umarła na białaczkę.

Tom przystanął. Byliśmy tuż za bramą kościoła, złote światło wieczoru bladło coraz bardziej, wyczułam, że w jego słowach kryje się coś więcej, coś, czego nie chciał albo nie mógł powiedzieć.

- Co za tragedia - powiedziałam neutralnym tonem, jakim zwykle robi się tego typu uwagi. - Dla niego i dla ciebie także. Była twoją przyjaciółką, prawda?

- Tak. Dobrze ją znałem, wszyscy troje byliśmy sobie bardzo bliscy... Nic nie zapowiadało choroby... Trwało to bardzo krótko...

- Jak miała na imię? - zapytałam, nie odrywając wzroku od grobów.

- Julia - odparł i to jedno słowo powiedziało mi wszystko. Było przesiąknięte silnym uczuciem, które przez chwilę, zanim odwrócił głowę, widziałam także na jego twarzy. Zrozumiałam wtedy, że nawet jeżeli jestem dla niego niewidzialna, to przyczyną tego stanu rzeczy są nie tylko moje braki.

Przyznam się, że miałam ochotę zadać mu jeszcze kilka pytań, ale na szczęście oparłam się tej pokusie. Pragnęłam usłyszeć z jego ust wszystkie te zwykłe, głupie rzeczy, których nie można znieść, a które jednak, w jakiś paskudnie perwersyjny sposób, chce się wiedzieć. Czy była piękna? Czy odwzajemniała jego miłość, ona, żona jego najlepszego przyjaciela? Czy doszło do czegoś między nimi,

czy też nie? Dzięki Bogu, szybko odzyskałam równowagę. Nie miałam prawa pytać, zresztą, na pewno by nie odpowiedział, nawet gdybym zapytała. Lepiej było nie wiedzieć. W ciągu ostatnich miesięcy nauczyłam się jednego - ze zmarłymi nie da się walczyć. Zmarli nigdy się nie zmieniają i dlatego są zbyt potężni.

Nie powiedziałam nic więcej, chociaż nie przyszło mi to łatwo. Wzięłam go pod ramię i poprowadziłam między dużymi i małymi grobami, między przekrzywionymi kamieniami nagrobnymi ku wyżej położonej części cmentarza, skąd roztaczał się wspaniały widok na morze.

- Zanim stąd odejdziemy, pokażę ci grób Lucy Carminowe -odezwała się. - Nie mogłeś go znaleźć, pamiętasz? Jest tutaj, popatrz...

Było już prawie ciemno. Szłam teraz przed Tomem, który został trochę z tyłu. Czulałam, że przerwałam rozmowę, którą chyba chciał kontynuować. Może miał mi do powiedzenia coś więcej, aleja nie chciałam już słuchać. Przyspieszyłam kroku, szukając wzrokiem znajomego nagrobka z granitu. Trawa była tak wysoka, że w pierwszej chwili nie mogłam go dostrzec, w końcu jednak zobaczyłam i z lekkim okrzykiem cofnęłam się o krok. Ktoś tu był, i to niedawno. Kamień został starannie oczyszczony z mchu, a z przodu, przed mogiłą, pozostawiono dość szczegółny dar - nie kwiaty, lecz muszelki, cały pagórek muszli, które przyniesiono tu w koszyku lub, pomyślałam z drżeniem, w fartuszk.

Przyklękłam i musnęłam je dłonią. Były to muszle o różnych kształtach, owalne i okrągłe, podobne do kastanietów i do paznokci syren. Przesunęłam palcem po doskonałej spirali różowej muszli i podniosłam ją do ucha. Chwilę słuchałam utajonych w niej odgłosów morza, a potem delikatnie odłożyłam na miejsce.

Stojący za mną Tom Galbraith bez słowa wpatrywał się w grób. Wiedziałam, że podobnie jak ja, myśli teraz o wieńcu z azalii, zostawionym przed domkiem Rebeki.

- Czy ktoś z rodziny Carminowe nadal mieszka w okolicy? -odezwał się w końcu. - Jacyś krewni albo może przyjaciele? Kto mógł to zrobić?

- W sąsiedztwie nie ma już nikogo z tej rodziny, nie słyszałam też o żadnych przyjaciółach... Lucy Carminowe umarła prawie czterdzieści lat temu, Tom.

- wygląda na to, że ktoś jednak o niej pamięta - powiedział cicho. - Bardzo się z tego cieszę...

Ja także byłam wzruszona i zaciekawiona. Sądzę, że te wspólne uczucia pomogły przełamać jego zwykłą rezerwę i dzielące nas nieдомówienia. Zawiozłam go do jego domku, który robił bardzo smutne wrażenie, ponieważ wszystkie książki Toma były już spakowane.

Wtedy Tom pierwszy raz pokazał mi wysadzany brylantami pierścionek Rebeki. Położyłam go sobie na dłoni - był maleńki! Jakież smukłe musiała mieć palce...

Nalał mi kieliszek whisky i na chwilę usiedliśmy na schodach przed domem. Mały pierścionek połyskiwał na stopniu między nami.

- Napisałem w jego sprawie do przyjaciółki Favella - odezwał się Tom, patrząc na morze. - Odpisała, że jej zdaniem przynosi pecha i ona za żadne skarby świata go nie chce. Co mam z nim zrobić, Ellie? Nie sądzę, bym go mógł zatrzymać...

- Nie rozumiem, dlaczego - powiedziałam. Byłam teraz znacznie spokojniejsza. - Jeżeli ktoś powinien go mieć, to właśnie ty. Myślę, że Rebeka byłaby z tego zadowolona.

- Ellie... - zaczął nagle Tom, zmienionym głosem.

Za późno zdałam sobie sprawę, że od kilku minut zbierał się na odwagę, żeby coś powiedzieć, i walczył z obawami, jak ja to przyjmę.

- Ellie, posłuchaj... Są pewne sprawy, o których muszę ci powiedzieć przed wyjazdem z Kerrith... Chcę, żebyś wiedziała...

- Chyba wiem, o co ci chodzi - rzekłam pospiesznie, kładąc rękę na jego ramieniu. Czulałam, że nie zniosę żadnych wyjaśnień, dotyczących Julii. - Nie musisz mi nic mówić, Tom, naprawdę. Jesteśmy przecież przyjaciółmi...

- Oczywiście i ma to dla mnie wielkie znaczenie. Chciałbym jednak, żebyś zrozumiała... Pobyt w Kerrith bardzo mnie zmienił. Ty mnie zmieniłaś, Ellie.

- Ja? - Odwróciłam się i spojrzałam na niego ze zdziwieniem.

- Tak, ty... - Zawahał się i delikatnie wziął mnie za rękę. - Ellie, posiadasz mnóstwo cech, które podziwiam i których ci zazdroszczę. Szczerść, umiejętność zaufania ludziom... Tak żałuję, że ich nie mam... Naprawdę bardzo żałuję. Trudno jest mi zaufać komuś,

mówić o swoich uczuciach. Nie jestem otwarty i dobrze o tym wiem. Dlatego postanowiłem, że zanim się dziś pożegnamy, będę z tobą tak szczery, jak ty ze mną...

- Och, Tom, ja wcale nie byłam zupełnie szczerą - przerwałam mu gwałtownie, zanim zdążyłam się powstrzymać. - Sądzę, że to mi jest dla ciebie żadna tajemnica. Nie umiem ukrywać uczuć...

- Dlaczego miałabyś je ukrywać? - zapytał łagodnie. - Dlaczego w ogóle staramy się to robić? Chyba tylko przez fałszywą dumę... Wiem, jak to jest, Ellie, jestem ekspertem w dziedzinie blokowania innym dostępu do siebie. - Zawahał się. - Ellie, muszę to powiedzieć i proszę, nie przerywaj mi. Wiele lat temu odkryłem, jak czuje się człowiek, który kocha kogoś i nie może wyrazić swego uczucia. To bardzo bolesne. Wiem, że wtedy żyje się tęsknotą i nadzieją na wzajemność, wreszcie radością, która przychodzi, gdy wyczuwasz tę wzajemność...

Znowu przerwał i utkwiał wzrok w morzu. Zdawałam sobie sprawę, ile wysiłku kosztują go te słowa.

- Nie chcę o tym mówić - ciągnął cicho. - Z zasady nigdy tego nie robię, ale powiem ci jedno: w takiej sytuacji niepewność powoduje większe cierpienie niż całkowita pewność, dlatego nie chcę, aby były między nami jakiegokolwiek niejasności i niedomówienia. Lubię cię, podziwiam i głęboko szanuję, Ellie. Mam nadzieję, że zawsze będziemy przyjaciółmi i że nigdy nie zrobię nic, co skłoniłoby cię do zerwania naszej przyjaźni. Musisz jednak wiedzieć, że darzę głębokim uczuciem kogoś innego, i to się nigdy nie zmieni. Kochałem tę osobę przez większą część dorosłego życia i nawet teraz, kiedy jesteśmy rozdzieleni, nadal czuję tę samą niezachwianą miłość. Potrafisz to zrozumieć?

- Tak - powiedziałam. - Oczywiście, że potrafię. Przykro mi tylko, że mówisz o tym z takim smutkiem. Chciałabym, żebyś...

Przerwałam. Czego dla niego pragnęłam? Szczęścia, naturalnie, i żeby nie był taki samotny. Miałam nadzieję, że kiedyś znajdzie kobietę, która go pocieszy. Z pewnością znajdzie. Ja byłam nieodpowiednia, to wszystko. Nie pociągałam go. Nie powiedziałam tego głośno, bo nie mogłam znaleźć właściwych słów, ale on mnie zrozumiał.

- Ellie, nie mógłbym pokochać żadnej kobiety - powiedział. - Chciałbym, żebyś mnie zrozumiała...

Zrozumiałam jedno - dotarliśmy do punktu, w którym dobry, wartościowy człowiek musiał mnie łagodnie, lecz nieodwołalnie sprowadzić na ziemię.

- Związek z kimś innym byłby dla mnie jak zdrada wobec tamtej osoby i samego siebie. Widzisz, niezależnie od okoliczności nie mogę zmienić tego, co czuję. Dlatego może nas łączyć tylko przyjaźń, Ellie. Nic więcej nie jest możliwe.

Nigdy dotąd nie słyszałam, żeby mówił w sposób tak emocjonalny. Zdawałam sobie sprawę, że wcześniej przygotował sobie te słowa, ale przemawiająca przez nie siła uczuć była tak wielka, że ogarnęło mnie wzruszenie. Może myślał, że wiadomość o śmierci Julii rozbudzi w moim sercu nadzieję, i miał rację. Nawet po tej rozmowie nadal pełgał w nim malutki płomycek nadziei, chociaż teraz jestem już silniejsza i zdecydowana go zgasić. Tom mówił tak jednoznacznie i zdecydowanie, żeby mi pomóc, i jestem mu za to wdzięczna. Poczułam także, że był bardzo zażenowany i kiedy zrozumiałam, że chce powiedzieć coś jeszcze, przerwałam mu.

- Tom, nie mów nic więcej - rzekłam pospiesznie, wypijając ostatnie krople whisky i wstając. - Naprawdę wiem, jak ciężko ci było zmusić się do tej rozmowy. Cieszę się, że to zrobiłeś. Byłeś dla mnie bardzo dobry i serdeczny, i okazałeś, że masz do mnie zaufanie. Zawsze będę ci za to wdzięczna. Nie musisz się obawiać, że stracisz moją przyjaźń, teraz czy w przyszłości. Przyjaciele nie potrzebują sobie niczego wyjaśniać, wiesz o tym, prawda? Nie przepraszaj, nie tłumacz się... Rose zawsze powtarza ten cytat... - Zawahałam się, nagle zrobiło mi się potwornie głupio. - A w ogóle, jeżeli ktoś tu powinien przepraszać, to ja, nie ty. Zwykle nie całuję mężczyzn bez uprzedzenia, mam nadzieję, że w to nie wątpisz.

- Oczywiście, Ellie, ani przez chwilę tak nie pomyślałam.

On także wstał. Gdyby wtedy zrobił jakąś zwyczajową uwagę na temat tego, że zasługuję na kogoś lepszego niż on, albo że pewnego dnia uszczęśliwię jakiegoś wspaniałego mężczyznę, chyba bym tego nie zniosła. Na szczęście nie przyszło mu to do głowy. Jest zbyt inteligentny i wrażliwy, i za to także byłam mu z całego serca wdzięczna. Spojrzał na mnie i zobaczyłam, jak jego twarz zmienia wyraz. Zawahał się, wyglądał na zupełnie zagubionego i rozdartego, lecz w końcu postanowił zaryzykować i otoczył mnie ramionami.

Czułam obecność ducha tuż za jego plecami. Nie chciałam ob-

razić jej czy jego, więc byłam bardzo ostrożna. Pożegnaliśmy się serdecznie, ale ostrożnie. Obiecałam, że będę zaglądać do jego domku i przysyłać mu listy na adres w Bretanii, a on przyrzekł, że zjawi się w Sosnach zaraz po powrocie z Francji. Oświadczył, że będzie tęsknił za mną i za ojcem, i chyba nie kłamał. Wreszcie, gdy odwróciłam się, żeby odejść, przyciągnął mnie do siebie i pocałował.

Był to pocałunek, którego nigdy nie zapomnę - delikatny i pełen żalu, pocałunek brata. Od tej pory zdecydowałam, że będę myślała o nim właśnie w ten sposób, jako o człowieku, który zastąpił mi utraconego podczas wojny brata. Postanowiłam uznać swoje wcześniejsze uczucia do Toma za zwykłą słabość i zaczęłam leczyć się z tej dolegliwości. Sama przepisałam sobie leki: połknęłam pastylki zdrowego rozsądku i eliksir, dzięki któremu mam nadzieję oderwać uwagę od Toma. Naturalnie nie obyło się bez efektów ubocznych, ale to mnie nie zaskoczyło. Wierzę, że najlepszym lekarstwem jest czas, pokładam też ufność w sile nieobecności - mam nadzieję, że przysłowie „co z oczu, to z serca” mówi prawdę.

Tydzień po wyjeździe Toma dostałam pocztówkę z barwnym widoczkiem, przedstawiającym bretońską wioskę rybacką. Trzy dni później wpadłam do jego domku, żeby zabrać pocztę i odebrałam telefon, który zaczął dzwonić, gdy otworzyłam drzwi. Dzwoniła kobieta, z którą Tom rozmawiał w domu przy Tite Street. Nazywa się Selina Fox-Hamilton.

Była bardzo podniecona i wyraźnie rozczarowana, kiedy powiedziałam jej, że Tom (lub Terence Grey, jak go nazywała) wyjechał, ale wyjaśniłam jej, kim jestem, i w efekcie odbyłyśmy długą i interesującą rozmowę. W domu przy Tite Street znowu zaczęło się coś dziać i podczas mojej jutrzejszej wizyty w Londynie mam zamiar spotkać się między innymi z Seliną.

Przenocuję w domu Rose i wrócę następnego dnia. Jestem pewna, że dokonam pewnych odkryć - znowu czuję ich bliskość. Jeżeli można polegać na tym, co mówi Selina, a mam wrażenie, że można, to jutro dowiem się, kim jest anonimowy nadawca tych wszystkich przesyłek. Potem powinnam już bez trudu wpaść na ślad ostatniego notatnika Rebeki.

ROZDZIAŁ 28

Złapałam najwcześniejszy pociąg i tuż po dwunastej w południe byłam na miejscu. Ostatni raz zrobiłam taką wycieczkę przed atakiem serca, który ojciec miał ubiegłej jesieni, więc już sama podróż była dla mnie ekscytująca. Siedziałam z nosem przy oknie i przyglądałam się, jak przez przedmieścia przedostajemy się prosto do serca miasta. Hałas i gwar na dworcu Paddington wydały mi się obce i fascynujące. Miałam na sobie pasiastą sukienkę z kloszową spódnicą, którą ojciec kupił mi na ostatnie urodziny. W Kerrith wydawała się bardzo modna, natomiast w Londynie bardzo staroświecka, ale wcale się tym nie przejęłam. Wcześniej z mapką w rękę dokładnie przypomniałam sobie trasę do metra, żeby nie zrobić z siebie prowincjuszki. Dzień był gorący, a panujący w metrze upał po prostu nieznośny. Wsiadłam na Sloane Square i ruszyłam w kierunku Tite Street, wyobrażając sobie, jak by to było - mieszkać w Londynie. Wprawdzie mogłabym chodzić do teatrów, na koncerty i do galerii, co byłoby niezwykle inspirujące, ale chyba jednak brakowałoby mi morza...

Idąc w górę King's Road, czułam się beztroska i podekscytowana. Myślałam o tym, że opiszę ten dzień w rozmowie z Tomem Galbraithem, gdy wróci z Francji, i opowiem mu, jakie odkrycia poczyniłam pod jego nieobecność. Nastrój uniesienia i optymizmu towarzyszył mi aż do Tite Street i zmienił się dopiero, kiedy zbliżyłam się do wysokiego domu, w którym znajdowało się mieszkanie Rebeki. Widok tej ulicy przywołał wspomnienia o mojej siostrze, Lily, za którą nadal bardzo tęsknię. Straciłam odwagę i ze znacznie mniejszym niż przed chwilą entuzjazmem pomyślałam o czekającym mnie zadaniu.

Przed domem stała ciężarówka z szyldem firmy zajmującej się przeprowadzkami. Uświadomiłam sobie, że smukła dziewczyna w dżinsach, stojąca na chodniku i wydająca polecenia dwóm mężczyznom w roboczych kombinezonach, musi być Seliną. Gdy podeszłam bliżej, spostrzegłam, że Tom opisał ją bardzo pobieżnie i mało wyraziście. Selina miała długie ciemne włosy, tego dnia ściągnięte w koński ogon, i fascynujący makijaż. Tom zbył makijaż Seli-ny jakąś pogardliwą, sarkastyczną uwagą, lecz ja zapragnęłam go skopiować. Nie ulegało wątpliwości, że Selina jest bardzo ładna, o czym Tom zapomniał mi powiedzieć.

Mam wrażenie, że mój wygląd trochę ją zaskoczył - na pewno dlatego, że spodziewała się zobaczyć modnie ubraną kobietę, nie taką szarą mysz, aleja od razu poczułam do niej sympatię i myślę, że ona odwzajemniła mi się tym samym. Pracownicy firmy przeprowadzkowej skończyli pakować rzeczy i odjechali, a Selina zaprowadziła mnie do swego mieszkania. Usiadłam na drewnianej skrzyni i wdałam się w pogawędkę z jej kotami, a ona zajęła się przygotowaniem dwóch kubków rozpuszczalnej kawy. Próbowałam wyobrazić sobie, jak to jest, kiedy mieszka się w oddzielnym mieszkaniu, samotnie, wychodząc i wracając bez konieczności opowiadania się komukolwiek. Dla mnie naga, biała przestrzeń mieszkania Seli-ny była jak ziemia obiecana.

- Zawsze pakuję czajnik ostatni, a na nowym miejscu rozpakowuję pierwszy - powiedziała Selina, wracając z kuchni. - Przez cały ranek parzyłam herbatę dla tych z firmy przeprowadzkowej. Nie przeszkadzają ci koty? Są strasznie zdenerwowane. Nie mogą się już doczekać, kiedy stąd wyjedziemy, zupełnie jak ja. Po prostu nie mogę uwierzyć, że wreszcie uwolnię się od tego domu...

Usiadła na podłodze, przeciągnęła się, zapaliła papierosa i zmierzyła mnie uważnym spojrzeniem spod zmrużonych powiek.

- A więc przystojny pan Grey wybrał się do Bretanii, tak? Poszczyło ci się z nim? Ja próbowałam wszystkich sztuczek -najpierw długo z nim rozmawiałam, potem posłałam mu pocztówkę, dzwoniłam co najmniej dwa razy... Rezultat? Nic, zero zainteresowania. Pomyślałam, że może zaczynam już tracić wdzięk i urok, ale teraz, patrząc na ciebie, rozumiem, że od samego początku nie miałam najmniejszych szans... Czy ty i on... No, wiesz...

- Nie - odparłam. - Niestety - dodałam po chwili zastanowienia.

- No, cóż, świat jest pełen wolnych mężczyzn - rzuciła nonszalancko. - Nie ten, to inny. Oczywiście większość nich nie zasługuje na uwagę, ale takie jest życie... Papierosa?

Zapaliłam (robię to czasami, kiedy chcę wyglądać na osobę nowoczesną). Lody zostały przełamane i dość długo rozmawialiśmy o różnych rzeczach. Selina opowiedziała mi o nowym mieszkaniu, jakie w końcu znalazła, i o pracy w galerii. Słuchając, miałam wrażenie, że wszystko przychodzi jej bez najmniejszego trudu - pewnego dnia weszła do tej galerii i przekonała właścicieli, że jest osobą, jakiej od dawna szukali.

- Ty też mogłabyś to zrobić, Ellie - rzekła lekko. - Ładna dziewczyna zawsze dostanie pracę. To, czym się zajmuję, jest naprawdę bardzo łatwe - głównie rozsyłam zaproszenia i organizuję prywatne pokazy z poczęstunkiem. Nie zamierzasz przypadkiem przenieść się do Londynu? Szukam współlokatorki do nowego mieszkania. Jest dosyć drogie, w przeciwieństwie do tego...

Wytłumaczyłam jej, dlaczego nawet nie myślę o przeprowadzce do Londynu. Powiedziałam, że na razie jestem potrzebna ojcu, a gdyby coś się z nim stało, mam już gotowy plan na przyszłość: zacznę życie w tym punkcie, gdzie dawno temu je przerwałam, i pójdę na uniwersytet.

- Cambridge - oświadczyłam. - Jeżeli tylko mnie przyjmą. Selina rzuciła mi dziwne spojrzenie.

- Nie mów mi tylko, że jesteś emancypantką! - zawołała. - Miej litość! I co, pójdiesz do żeńskiego college'u? Równie dobrze mogłabyś zamknąć się w klasztorze, Ellie!

Nigdy nie uważałam się za emancypantkę, ale nagle pomyślałam, że może rzeczywiście nią jestem. Przez całe życie podziwiałam Rose i liczyłam się z jej zdaniem w wielu kwestiach, no i bardzo dużo czytam. Wcale nie uważam Girton College za klasztor. Wręcz przeciwnie, w moich oczach jest to prawdziwy pałac nauki i paszport do przyszłości. Nie ulegało jednak wątpliwości, że Selina nie czułaby się tam najlepiej. Potem zapytałam ją, jak się maluje, żeby osiągnąć efekt cudownie mrocznych, egipskich oczu, a Selina w odpowiedzi przyniosła coś, co nazwała kredką do powiek, i zademonstrowała, jak to robi. W końcu, mniej więcej po pół godzinie lekkiej

rozmowy (w domu nie mam z kim poruszać takich frywolnych tematów, więc sprawiło mi to dużą przyjemność), przeszliśmy do rzeczy i Selina dokładnie wyjaśniła mi, co zaszło.

Tydzień wcześniej przysłała paczka, zaadresowana do mieszkania na górze. Była to pierwsza przesyłka pocztowa, jaką za przytomności Seliny otrzymała lokatorka tamtego lokalu. Po powrocie z pracy Selina znalazła pod drzwiami wejściowymi grubą szarą kopertę dla „pani Danvers”. Obejrzała ją i położyła na półce w holu. Od razu zadzwoniła do Kerrith, ale Toma nie było. Cztery dni później koperta nadal leżała na półce, chociaż Selina wiedziała, że w mieszkaniu na piętrze ktoś jest, ponieważ co noc budziły ją odgłosy przesuwania mebli.

Piątego dnia podjęła ryzyko i zapukała do czarnych drzwi na górze. Zawołała raz i drugi, prosząc „panią Danvers”, żeby się odezwała, lecz za drzwiami jak zwykle panowała martwa cisza. Selina była jednak pewna, że kobieta stoi po drugiej stronie i słucha, więc powiedziała, że przyniosła przesyłkę i zostawia ją na wycieracze. Dwa dni później, zaintrygowana, co się dzieje, na palcach weszła na górę i zobaczyła, że paczka nadal leży pod drzwiami. Tego dnia znowu spróbowała dodzwonić się do Toma i zastała mnie. Dzisiaj, tuż przed moim przyjściem, ponownie zakradła się na piętro. Paczka zniknęła, więc najprawdopodobniej adresatka w końcu ją wzięła.

- To znaczy, że ona na pewno tam jest - ciągnęła Selina. - Tyle że w ogóle nie reaguje. Przez ostatnie trzy noce nie wydała żadnego dźwięku. Przyzwyczyłam się już do hałasów, toteż cisza wydała mi się jeszcze gorsza. Pomyślałam, że może umarła albo obmyśliła jakiś nowy sposób postępowania, wycieczki na dół w środku nocy lub coś w tym rodzaju... - Zadrżała. - Jesteś pewna, że chcesz to zrobić, Ellie? Może poczekać tu na ciebie, co? Jeżeli tak wolisz, to zaczekam. Ona i tak nie otworzy tych cholernych drzwi, więc to nie potrwa długo.

Miałam ogromną ochotę skorzystać z propozycji Seliny. Kiedy weszliśmy do holu, zbadałam wzrokiem klatkę schodową. Była bardzo marnie oświetlona, ze schodów spływał krwiste czerwony chodnik... Nic dziwnego, że Selina i jej koty unikały tego miejsca. Wiedziałam jednak, że powie mi się tylko wtedy, jeśli w domu nie będzie nikogo poza mną.

- Myślę, że jeżeli usłyszysz lub zobaczysz, jak wychodzisz, będę

miała większe szanse. - Westchnęłam. - Pewnie masz rację, że ona nie otworzy drzwi, ale gdyby nawet się zdecydowała, to przecież nie ma żadnej motywacji, żeby zrobić mi krzywdę. Selina nie sprawiała wrażenia przekonanej.

- Jesteś pewna, Ellie? - powtórzyła. - Niezależnie od tego, kim ona naprawdę jest, wiemy o niej jedno: nie jest normalna...

- Jeżeli to jest osoba, o której myślę, to można śmiało powiedzieć, że nigdy nie była normalna - mruknęłam.

W końcu udało mi się ją przekonać. Pomogłam spakować ostatnie drobiazgi i namówić koty, aby weszły do koszyków podróżnych. Selina dała mi klucz do frontowych drzwi i przykazała, bym dała jej znać, co się stało. Potem wymieniliśmy adresy. Koty zaczęły rozpaczliwie miauczeć, kiedy ich pani zamknęła drzwiczki koszyków. Selina wyszła, głośno zatrzasnąwszy za sobą drzwi. Stałam w holu, naprzeciwko zamkniętych drzwi, i słyszałam, jak włącza silnik i odjeżdża. Po krótkiej chwili warkot silnika wtopił się w pulsujący rytm ulicznego ruchu.

W holu panował chłód. Szarawa poświata, bijąca z zawieszzonego u stropu żyrandola, wydobywała z półmroku czarno-białe kafelki posadzki i zakręcone schody. Powietrze wibrowało cichymi skrzypnięciami, które, jak usiłowałam sobie wmówić, były odgłosami typowymi dla każdego dużego i starego domu. Pyłki kurzu unosiły się, jakby zmierzały w kierunku otwartego lub uchylonego okna. Zbliżyłam się do schodów i po chwili wahania zaczęłam na nie powoli wchodzić. Wiedziałam, że Tom Galbraith nie zdołał sprowokować osoby mieszkającej na piętrze do żadnej reakcji, i że mnie także się to nie uda, jeżeli nie znajdę odpowiednich słów. Ale jakie słowa mogą podziałać jak odpowiednik „Sezamie, otwórz się!”? Myślałam, że odpowiedź na to pytanie znajdę w notatniku Rebeki.

Moje kroki na wyłożonych czerwonym chodnikiem schodach brzmiały zbyt cicho, aby można je było usłyszeć. W końcu stanęłam przed czarnymi drzwiami i w tej samej chwili poczułam zapach spalenizny. Miałam wrażenie, że ktoś mnie obserwuje i musiałam bardzo zdecydowanie powiedzieć sobie, że to niemożliwe, by ktoś mógł mnie zobaczyć przez grubą na kilka centymetrów deskę bez żadnego judasza.

Policzyłam do dziesięciu i lekko zapukałam do drzwi.

- Jesteś tam, Danny? - odezwałam się. - Wpuść mnie, proszę. Muszę z tobą porozmawiać.

Cisza. Powietrze wydało mi się dziwnie wilgotne. Może poniosła mnie wyobraźnia, ale odniosłam wrażenie, że zapach spalenizny stał się mocniejszy. Z wielkim wysiłkiem woli zmusiłam się, żeby jeszcze raz zapukać.

- Danny, proszę natychmiast otworzyć drzwi! - powiedziałam ostrzejszym, bardziej rozkazującym głosem. - Nie zamierzam spędzić całego dnia pod drzwiami. Otwieraj!

Przez chwilę panowała zupełna cisza, a potem dobiegł mnie opisany przez Toma odgłos, jakby miękki materiał otarł się o coś twardego. Rozległo się głośniejsze skrzyknięcie i dźwięk przekręcanego w zamku klucza. Ktoś odsunął jedną zasuwę, potem drugą i drzwi otworzyły się powoli. Duży korytarz skąpany był w jasnym świetle, padającym z okna naprzeciwko wejścia. Po półmroku klatki schodowej niespodziewany blask zupełnie mnie oślepił i dopiero po chwili dostrzegłam tkwiącą w progu postać.

Na tle ściany światła stała kobieta o zupełnie siwych włosach. W przeszłości kilka razy widziałam ją z ciemnymi włosami, uczesanymi w ciasny kok, lecz teraz rzadkie, białe włosy były rozpuszczone, co nadawało jej szokująco dziewczęcy wygląd. Była nieruchoma i blada jak śmierć. Mimo to wyczuwałam emanującą z niej dziwną energię, o której pisała Rebeka. Usiłowała się odezwać, blade wargi poruszały się bezgłośnie. Już w moim dzieciństwie ta kobieta ubierała się w stylu minionej epoki - teraz miała na sobie prawie takie same rzeczy, jakby jej zegar zatrzymał się w 1918 roku. Długa czarna spódnica sięgała kostek. Sama zaskoczona tym, co robię, zerknęłam na jej stopy, szukając wzrokiem starannie zacerowanej dziury, jaką zobaczyła siedmioletnia Rebeka. Nie znalazłam cery, ujrzałam natomiast dziurę przy dziurze. Kobieta była potwornie wychudzona, ale nie miałam cienia wątpliwości, że jest to pani Danvers.

Wydawało mi się, że wpatruje się w coś za moim ramieniem, potem jej ciałem wstrząsnął gwałtowny dreszcz. Kiedy przestała dygotać, zrobiła coś strasznego - nachyliła się ku mnie, bardzo, bardzo blisko. Dobry Boże, próbuje mnie obwąchać, pomyślałam.

Nie wiem, czy mnie obwąchała, w każdym razie ja poczułam zapach, kwaśny, gnilny odór, bijący z ubrania i ust. Cofnęłam się

z obrzydzeniem. Nie byłam pewna, czy mnie widzi. Jej źrenice przesłonięte były mlecznobiałą błoną katarakty.

- Proszę dać mi rękę - przemówiła suchym, zardzewiałym głosem, bez żadnej intonacji i bardzo cicho, jakby zupełnie odzwyczaiła się od mówienia. - Proszę dać mi rękę...

Bałam się, ale spełniłam prośbę. Mocno chwyciła moją dłoń i z jej gardła wyrwał się pęknięty, jednocześnie żaloszny i czuły jęk. Zaczęła gładzić mnie po ręce i ujrzałam, jak zmienił się wyraz jej twarzy. Mam wąskie dłonie, chociaż z pewnością nie tak smukłe i wąskie jak Rebeka, ale tęsknota Danny musiała być niewyobrażalnie wielka, a oczekiwanie bardzo długie i bolesne. Właśnie dlatego popełniła błąd. Było to całkowicie zrozumiałe.

Wydała jeszcze jeden jęk i ku mojemu przerażeniu zaczęła całować mnie po palcach. Wyrwałam rękę i ujrzałam, jak natychmiast, na moich oczach zachodzi w niej zmiana. Prawie czułam, jak zębate koła siły woli ruszają z miejsca. Zmiażdżyła miotające nią emocje i, drżąc z wysiłku, podjęła próbę powrotu do roli służącej.

- Nareszcie, nareszcie - powiedziała tym stwardniałym, dawno nie używanym głosem. - Wiedziałam, że pani wróci, że mnie nie zawiedzie. Wszystko jest przygotowane, wszystko jest tak, jak pani lubi. Pani ulubione kwiaty, piękne meble, obrazy i książki. Pamięta pani tę herbatę, którą tak pani lubiła? Mam ją tutaj. Muszę tylko zagotować wodę. Proszę do środka, bardzo proszę... Jak upłynęła podróż?

Zanim zdążyłam wykrztusić słowo, poprowadziła mnie korytarzem. Pokonałyśmy kilka schodków, pani Danvers cofnęła się i przepuściła mnie pierwszą przez łukowate wejście do olbrzymiego, przerażającego pokoju. Wydawało mi się, że zostałam uwięziona w jakimś koszmarnym śnie. Był to pokój z wielkim, półokrągłym oknem, które widziałam z ulicy. Nie jestem pewna, czy potrafię go opisać. Ogarnęła mnie fala zdumienia, litości dla niej i lęku, tak, lęku, bo strasznie jest stanąć twarzą w twarz z nieomylnymi dowodami szaleństwa i siły woli tak wielkiej, że powietrze wokół mnie aż od niej iskrzy.

- Widzę, że znowu zapuściła pani włosy - powiedziała, prowadząc mnie w kierunku krzesła. - Bardzo się z tego cieszę. Zawsze wolałam długie. Pamięta pani, jak je szczotkowałam? Chodź, Danny, czas na musztrę dla moich włosów, mawiała pani. Nie ma na

świecie lepszej pokojówki niż ty, Danny... Zająłam się wszystkim, proszę pani. Kiedy wyjeżdżałam z Manderley, nie mogłam wziąć z sobą zbyt dużo, ale zabrałam pani ulubione suknie, między innymi tę z zielonego jak morze jedwabiu, pamięta pani? I futro z fok. Nie było takie drogie, jak inne, ale wiedziałam, że właśnie to najbardziej lubiła pani nosić. Nie mogłam tylko znaleźć pierścionka z brylancikami. Szukałam i szukałam, lecz nigdzie go nie było... Zaczęła płakać.

- Pani Danvers... - odezwałam się cicho i najłagodniej, jak umiałam. - Pani Danvers, proszę nie płakać... Jest pani chora. Proszę usiąść, chociaż na chwilę...

- Przyniosę herbatę - powiedziała, odzyskując równowagę. Nie byłam pewna, czy nie dosłyszała moich słów, czy nie chciała ich słyszeć.

- Zaraz przyniosę herbatę - powtórzyła. - Proszę się nie ruszać, to potrwa tylko chwilę. Potem chcę pani coś pokazać. Mam dla pani niespodziankę...

Zanim zdążyłam ją powstrzymać, odwróciła się i wyszła. Usłyszałam kroki na schodkach, ciche trzaśnięcie zamykanych drzwi. Panujący w pokoju zaduch po prostu mnie dławił. Poduszka krzesła, do którego mnie podprowadziła, była pokryta molami. Cofnęłam się i rozejrzałam dookoła.

Pokój był bardzo wysoki i kiedyś musiał być piękny. Białe ściany pożółkły i miejscami pokryły się płatami pleśni. Całą przestrzeń wypełniało tyle sprzętów, które pani Danvers podczas nocnych rytuałów przesuwiała tak często, że jakakolwiek logika umeblowania kompletnie straciła prawo bytu. Stoliki leżały nogami do góry, poduszki wisiały na wbitych w ściany gwoździach, obrazy odwrócono do ścian, barykady z książek dzieliły pokój na części. Pomyślałam o religii Domu, którą wyznawała Rebeka - czy właśnie do tego prowadziło umiłowanie porządku? Między przegrodami z książek przeszłam w odległy róg pokoju, gdzie stał fortepian.

Kiedy się zbliżyłam, jakieś stworzenie szybko wybiegło spod instrumentu i schroniło się za grupą krzesel. Zmusiłam się, żeby podejść jeszcze bliżej. Odór w tej części pokoju był okropny, o mało nie zwymiotowałam. Fortepian został wybebeszony. Pokrywa była uniesiona, więc widziałam jego wnętrze. Ktoś poprzecinał struny, chyba nożem, a następnie próbował wyszarpnąć je ze środka. W re-

zultacie powstała plątanina drutów i pętli, przypominających metalowe wnętrzości. Jakieś małe zwierzę - szczur albo mysz - dawno temu złapało się w pułapkę pociętych strun. Kątem oka dostrzegłam zakurzone, zmumifikowane ciało w ciemnym pudle. Z odległości dwóch metrów czułam smród zstarzałego rozkładu.

Cofnęłam się, wstrząśnięta i przerażona. Kto to zrobił? Pani Danvers?

- Proszę się tym nie martwić, proszę pani - odezwał się głos za moimi plecami. - Teraz, gdy pani już wróciła, naprawimy fortepian. Sama bym się tym zajęła, ale nie lubię, kiedy ktoś tutaj przychodzi, a poza tym nie byłam pewna, czy nie wolałaby pani, żeby zostało tak, jak jest. Kiedy przyjechałam tu pierwszy raz po pani zniknięciu, wszystko jak zwykle wyglądało przepięknie, z wyjątkiem tego. Odgadłam, że musiała to pani zrobić po rozmowie z tym lekarzem. Czy mam kazać je naprawić, pytałam samą siebie. W końcu postanowiłam poczekać na pani polecenia. Och, no proszę spojrzeć... -Wydała stłumiony, przypominający kaszel dźwięk, jej twarz ściągnął żalospny spazm. - Proszę tylko spojrzeć... Przyniosłam herbatę, ale nie mam cytryny. Powinnam była kupić parę cytryn...

Była zrozpaczona. Zwróciłam się do niej per „pani Danvers”, ale to zdenerwowało ją jeszcze bardziej, więc w końcu, nie wiedząc, co robić i szczerze się nad nią litując, znowu nazwałam ją „Danny” i powiedziałam, że herbata jest wysmienita. Podniosłam zakurzoną filiżankę do ust i zaczęłam udawać, że piję. Woda w filiżance była zupełnie zimna.

- Czy mam rozpać ogień, proszę pani? - zapytała, rozglądając się niespokojnie po pokoju.

Tu, pod samym dachem, przy zamkniętych oknach i dużym nasłonecznieniu, temperatura na pewno sięgała trzydziestu paru stopni. Odparłam, że ogień nie będzie mi potrzebny i spojrzałam w stronę kominka. Paliła w nim książki, prawdopodobnie zimą był to jedyny opał, jaki miała. Na kracie piętrzył się duży pagórek popiołu, z którego tu i ówdzie sterczały resztki nadpalonych stron i grzbiety książek. Na półce nad kominkiem stała przepiękna porcelanowa figurynka wśród porcelanowych kwiatów i zepsuty zegar. Wiszące za nimi lustro pokrywała gruba warstwa kurzu.

- Och, jakież to był pożar, proszę pani! - rzekła pani Danvers, wpatrując się w coś za moimi plecami. - Ta boazeria, całe to suche

drewno, wszystko zajęło się w mgnieniu oka... Wiedziałam, że właśnie tego by pani chciała. Płomienie widać było z odległości kilku kilometrów, luna objęła połowę nieba, wyglądała jak wielki, odwrócony półksiężyc... Ogień huczał, och, jak huczał! Tak szybko przebiegł z jednego końca domu w drugi, że aż trudno było w to uwierzyć. To moje kochanie wreszcie pokazało im wszystkim, pomyślałam sobie. Panna Rebeka nigdy by nie pozwoliła, żeby ktoś ją znieważył... Potem przyjechałam tutaj. Niech pani zaopiekuje się mieszkaniem, powiedział, niech pani wszystkim się zajmie, pani Danvers... Nic go to nie obchodziło, co stanie się z mieszkaniem i z wszystkimi pani pięknymi rzeczami. Myślał tylko o tym, żeby o pani zapomnieć, ale ja wiedziałam, że nigdy mu się to nie uda. Mógłby mieć jeszcze sto żon, a i tak żadna nie zdołałaby zająć pani miejsca. Naznaczyła go pani na całe życie, widziałam to w jego oczach, nawet jeżeli tamta była zbyt ślepa, żeby to dostrzec... Tęsknota go zabijała. Czy mogę pokazać pani teraz tę niespodziankę? Przyszła wczoraj, a może w zeszłym tygodniu, nie pamiętam... Najpierw azalie, teraz to. Wiedziałam, że to zwiastuny pani przybycia, że już niedługo pani tu będzie. Ogarnęła mnie wielka radość, niewypowiedziana radość... Już niedługo, pomyślałam sobie. Proszę spojrzeć, o, tutaj...

Położyła wychudzone palce na moim ramieniu i zaczęła ciągnąć mnie w stronę jedyne go stołu w tym pokoju, który stał w normalnej pozycji. Była słaba jak nowo narodzone kocię, lecz siła jej woli porażała. Poszłam za nią kilka kroków i zatrzymałam się - ze wszystkich świadectw przeszłości, które mogłam znaleźć w tym strasznym miejscu, właśnie tego nie chciałam oglądać.

Na blacie stołu stały dwa eleganckie pudła, kiedyś białe, dziś pożółkłe, ze zdjętymi wieczkami i starannie odwiniętą bibułą. Wewnątrz, skrupulatnie poskładane, leżały dziecięce ubranka, te same, które Rebeka opisała w notatniku. Maleńkie kaftaniki, koszulki, czapeczki i buciki, i szal, tak cienki i delikatny, że można przeciągnąć go przez obrączkę. Drobnutkie perłowe guziczki, wyblakłe wstążki... Ubranka ręcznie szyte i robione na najcieńszych drutach, z najlepszej wełny... Wyprawka dla dziecka, które nigdy nie przyszło na świat. Malutkie szatki, bezlitośnie pogryzione przez mole. Na resztkach szala spoczywała broszka z niebieskiej emalii w kształcie motyla, a obok szara koperta, w której ją przysłano, zaadresowana

do „pani Danvers” pismem anonimowego nadawcy, które zaczęłam już rozpoznawać.

Długo patrzyłam na dziecięcą garderobę i broszkę. Nie byłam w stanie ich dotknąć. Myślę, że od chwili, gdy pani Danvers otworzyła mi drzwi, pojęłam, że ta wynędzniała kobieta nie mogłaby wysłać ani notatników Rebeki, ani jej pierścionka. Była zbyt słaba, by wyrwać się ze swojego świata i swojej obsesji. Oznaczało to, że musiał je wysłać ktoś inny, podobnie jak tę niebieską broszkę. Wpatrywałam się w motyla, który był talizmanem Rebeki, jej emblematem, i czułam się chora, schwytna w pułapkę i nieprzytomna z żalu. Przestało mnie już obchodzić, kto wysłał te rzeczy i dlaczego. Pragnęłam tylko uciec od tej kobiety, zostawić daleko za sobą to okropne miejsce i znowu odetchnąć świeżym powietrzem.

Ale nie mogłam przecież tak jej zostawić. Nie mogłam wyjść i zapomnieć. Jej widok budził we mnie obrzydzenie, jednak zmusiłam się, żeby na nią spojrzeć. Nie miałam cienia wątpliwości, że jest bardzo poważnie chora, nie tylko psychicznie, ale i fizycznie. Jak długo tkwiła w tym mieszkaniu? Co jadła? Jak egzystowała?

- Jak sobie tu radzisz, Danny? - zapytałam cicho. - Wychodzisz na zakupy? Co jadasz?

Popatrzyła na mnie takim wzrokiem, jakbym to ja była szalona.

- Puszki - powiedziała głośno. Drgnęłam nerwowo.

- Mam mnóstwo puszek, w kilku szafach - ciągnęła. - Do ubiegłego roku jeszcze pracowałam, proszę pani. Ludzie zawsze potrzebują gospodyń i osób do towarzystwa. Kiedy wyjeżdżałam lub wychodziłam, zostawiałam tu wiadomość, żeby pani wiedziała, gdzie mnie szukać. Wszystko planowałam. Ostrożnie wydawałam pieniądze i robiłam zapasy. Przecież nie wiedziałam, kiedy pani zechce wrócić. Teraz nie jestem już taka silna, ale czasami jeszcze wychodzę... - Skrzywiła się lekko. - Oczywiście w ciągu dnia, kiedy me ma tego szpiega z dołu. Czekam, aż ona wyjdzie, i wtedy sama wymykam się na krótko. Nie chcę, żeby ktoś mnie widział. Od paru tygodni jest mi trudniej, bo męczy mnie ból. No i moje oczy nie są już takie dobre jak kiedyś, na pewno to pani zauważyła. - Zwróciła ku mnie powleczone mleczną powłoką źrenice. — Na szczęście mimo wszystko widzę panią. Och, tak, widzę... Pamiętam tę sukienkę. Pani tata kupił ją pani dawno temu, jeszcze w Greenways...

- Danny, masz jakiegoś lekarza? - odezwałam się. - Kogoś, kto by ci pomógł, gdybyś się gorzej poczuła... - Zawahałam się. - Albo jeśli bym ja zachorowała...

Gdybym nie dodała tego ostatniego zdania, prawdopodobnie w ogóle by nie zareagowała, ale ten argument ją przekonał.

- Tak, tak - powiedziała, rozglądając się dookoła. - W zeszłym roku byłam naprawdę chora, proszę pani. Bardzo chora... Nie mogłam jeść i zdarzało się, że krzyczałam z bólu. Poszłam wtedy do lekarza, no, nie miałam innego wyjścia. Przez parę miesięcy byłam w szpitalu, wyszłam dopiero w styczniu. Bardzo dobrze mnie leczyli. Zaraz, chwileczkę, mam tu gdzieś wizytówkę tego doktora... Gdzież ja ją położyłam?

Przypomniałam sobie długie okresy kompletnej ciszy w mieszkaniu na górze, o których mówiła Selina. Pani Danvers była wtedy zapewne w szpitalu.

W końcu znalazła wizytówkę w wypełnionej muszlami wazie, stojącej obok pudeł z dziecięcymi ubrankami. Po drodze natrafiła dłonią na broszkę w kształcie motyla i ku mojemu zażenowaniu przypięła mi ją do sukienki. Podała wizytówkę lekarza w dziecinnie ufny sposób i wtedy zrozumiałam, jak powinno się z nią postępować - smutne instynkty feudalne były w niej tak głęboko zakorzenione, że najlepiej i najpewniej czuła się, wykonując polecenia.

Właśnie w ten sposób namówiłam ją, żeby zeszła ze mną na dolny poziom mieszkania. Nalegała tylko, żebym obejrzała swój pokój, w którym starała się zachować taki porządek, jak lubię. Otworzyła drzwi i zajrzałam do dużego, kwadratowego pokoju, w którym dominowało podwójne łoże. Żaluzje były opuszczone, światło w pokoju gęste i cieniste. Nie było tu śladu tragicznego chaosu, panującego w wielkim pokoju na górze. Poza grubą, srebrzystą warstwą kurzu, która pokrywała każdą powierzchnię, ta sypialnia rzeczywiście była chyba w takim stanie, w jakim zostawiła ją Rebeka.

Na toaletce leżały oprawne w srebro szczotki do włosów, a na komodzie stał mały tryptyk zdjęciowy w poczerńiałej srebrnej ramce. Niepewnie podeszłam bliżej. Pod welonem kurzu znajdowały się zdjęcia matki Rebeki, o których opowiadał Tomowi Jack Favell. Oto miałam przed sobą Isoldę-Isabel w roli pokojówki, damy dworu i Desdemony. Tu znalazła ostatnie schronienie świątynia ku czci matki, którą Rebeka wzniosła w Greenways.

- Taka piękna i utalentowana... - przemówił cichy głos za moimi plecami. - Kiedy umarła, krew zmroziła mi się w żyłach. Nigdy tego nie zapomnę... Ten obraz na zawsze wrył się w moją pamięć...

Myślała o śmierci Isabel, Desdemony czy Rebeki? Nie wiedziałam. Zaczęło mi się kręcić w głowie, miałam wrażenie, że ten pokój to obraz przeniesiony ze świata halucynacji. Odwróciłam się i spjrzałam na łóżko. To, co wzięłam za muślinowe zasłony, było pajęczynami. Pokrywały całe łóżko.

Zamknęłam drzwi sypialni Rebeki i namówiłam panią Danvers, żeby położyła się i odpoczęła. Była zupełnie wyczerpana. Wsparła się na moim ramieniu i razem poszliśmy do małego, ciemnego pokoiku obok dużej sypialni. Myślałam, że zamieszkała w nim po opuszczeniu Manderley, ale okazało się, iż miejsce to stało się dla niej ważne znacznie wcześniej.

- Pamięta pani, jak przyjechałyśmy tutaj po śmierci pani taty? - powiedziała, wpatrując się w przestrzeń, gdy tymczasem ja zdjęłam narzutę, żeby mogła się położyć. - Miałam swoje oszczędności, pani sprzedała bransoletki i powiedziała: „Spójrz, Danny, to zapewni nam spokojny kątek”. Znalazłam to mieszkanie, wynajęłam je i przywiozłam panią tutaj. Była pani taka chora... Nie wiedziałam już, co robić. Noc w noc męczyły panią te okropne sny... Wydawało się, że pani tata nigdy nie przestanie pani prześladować. Aleja zawsze byłam pod ręką, codziennie siedziałam z panią do białego rana. Była pani dla mnie jak córka, jak moje własne dziecko, którego nigdy nie mogłabym opuścić. „Teraz zacznę wracać do zdrowia, Danny, powiedziała pani. Zacznę zszywać wszystkie rozdarcia i zlepiać pęknięcia, a ty pomożesz mi zamaskować blizny”. I tak się stało. Kochałam pani matkę, ale przy pani ona była nikim. Nie znałam nikogo, kto miałby choć jedną czwartą pani odwagi i siły woli...

Łzy napłynęły jej do oczu. Wzięłam ją za rękę i powiedziałam, że musi odpocząć. Najpierw była zdenerwowana i zaniepokojona, w końcu skłoniłam ją, by wygodnie ułożyła się na wąskim łóżku i przykryłam ją zakurzonym kocem. Usiłowałam otworzyć okno, żeby wpuścić do środka trochę świeżego powietrza, ale nawet nie drgnęło, potem przez parę minut bezskutecznie szukałam telefonu. Wreszcie trafiłam do kuchni i nalałam szklanek wody dla pani Danvers. Gdy otworzyłam jedną z kuchennych szaf, zobaczyłam dziesiątki, może nawet setki puszek. Niektóre pochodziły chyba jeszcze

sprzed wojny. Wróciłam z wodą do pokoju, lecz pani Danvers leżała nieruchomo, z zamkniętymi oczami. Stałam w progu i w pierwszej chwili przestraszyłam się, że umarła, zaraz jednak dostrzegłam, że jej pierś rytmicznie unosi się i opada, i odetchnęłam z ulgą.

Wiem, że niektórzy nie znoszą przebywania w pobliżu ludzi chorych i starych, nie są w stanie wytrzymać zapachu choroby. Kiedyś sama taka byłam, lecz pielęgnowanie chorej matki i ojca całkowicie wyleczyło mnie z tej słabości, podeszłam więc do łóżka i delikatnie ujęłam dłoń pani Danvers. wyjaśniłam jej, że wychodzę na krótko i zabieram klucz do mieszkania.

Nie sądzę, aby mnie usłyszała lub zrozumiała, cieszę się jednak, że przez chwilę trzymałam jej rękę w swojej, zwłaszcza w świetle tego, co wydarzyło się później. Ze zdumiewającą siłą zacisnęła palce na mojej dłoni, jej zaciągnięte mleczną błoną oczy otworzyły się i wpatrzyły w coś za moimi plecami. Myślę, że resztkę energii włożyła w rozmowę ze mną i podanie mi tej zimnej herbaty. Teraz jej usta poruszyły się, kształtując słowa, które już się z nich nie wydobyły. Na jej twarzy pojawił się wyraz zadowolenia, zamknęła oczy i zapadła w sen.

Szczegóły następnych wydarzeń nie mają właściwie znaczenia. Nie bez trudu udało mi się znaleźć lekarza, którego wizytówkę miała pani Danvers, i namówić go, aby poszedł ze mną do chorej. Zrobił jej zastrzyk i poprosił mnie na słowo do dużego pokoju. Wydawało się, że wygląd tego pomieszczenia wcale mu nie przeszkadza - zapewne miał wielu starszych pacjentów i często widywał podobny chaos i rozkład. Oświadczył, że już w październiku ubiegłego roku, kiedy pani Danvers przeszła operację, nowotwór był w bardzo zaawansowanym stanie. Operacja dała kilkumiesięczną remisję. Do stycznia tego roku pani Danvers była w szpitalu, później w sanatorium. Kiedy wymieniał daty, usiłowałam zestawić je ze zdarzeniami, o których opowiadała mi Selina. Natychmiast zrozumiałam jedno - kimkolwiek była osoba, którą Selina widziała w listopadowej mgle, na pewno nie mogła to być pani Danvers.

Zaglądając do swoich notatek, lekarz powiedział, że ostatni raz pani Danvers zgłosiła się do niego na badanie w lutym. Wtedy nie miał już wątpliwości, że choroba powróciła. Kiedy nie stawiała się na kolejną wizytę, uznał, że nie żyje lub wyjechała z Londynu. Był

zdzumiony, że w tym stanie przeżyła jeszcze trzy miesiące, aleja nie czułam zaskoczenia.

Wiedziałam, co - a raczej kto - trzymało ją przy życiu. Zdawałam też sobie sprawę, że łatwiej będzie jej odejść teraz, kiedy wierzyła, że Rebeka do niej wróciła. Czy miałam poczucie winy z powodu oszustwa, jakiego się wobec niej dopuściłam? Nie, oczywiście że nie. Ostatnie dziesięć lat życia spędziłam z chorymi i starymi ludźmi, dlatego wiedziałam, że czasami prawda może wyrządzić wielką szkodę, natomiast kłamstwo przynieść może ukojenie.

Pani Danvers nie obudziła się już ze snu, w który przy mnie zapadła. Nie odzyskała przytomności, co szczerze mnie ucieszyło. Tak było dla niej o wiele lepiej. Przewieziono ją do szpitala w Chelsea, ale kiedy poszłam tam następnego dnia, z przypiętą do sukienki broszką w kształcie motyla, dowiedziałam się, że nie dożyła ranka. Zmarła o trzeciej nad ranem, w tej porze dnia, którą Rebeka nazywała „niebezpiecznymi godzinami po północy”.

Ileż bym wtedy dała, żeby móc natychmiast wyjechać z Londynu... Spędziłam wieczór w domu Rose w St. John's Wood, rozmawiając ze studentkami, które wynajmowały tam pokoje. Nie mówiłam im, co robiłam w ciągu dnia i najwyraźniej udało mi się dość dobrze ukryć uczucia, bo chyba nic nie zauważyły. Były serdeczne i miłe, pogodnie gadały o wykładach, egzaminach, przyjęciach, mężczyznach, i uważały, że ich świat może stać się moim, jeżeli tylko tego zapragnę. Kiwałam głową i uśmiechałam się, czułam jednak, jak ten wesoły świat coraz bardziej się ode mnie oddala. Jego uciechy znajdowały się po drugiej stronie grubej szklanej tafli. Nie mogłam przyłączyć się do tych młodych kobiet, ponieważ tkwiłam w zupełnie odmiennej rzeczywistości, wśród starych, chorych, prześladowanych przez widma przeszłości i umierających.

Wiedziałam, że nie powinnam niczego żałować, ale położyłam się z głową pełną pragnień, tęsknot i myśli o obowiązkach. Następnego ranka, po wizycie w szpitalu, miałam już tylko ochotę pobiec na dworzec Paddington, wsiąść do pociągu i uciec do domu, do Sosen, nad morze. Łudziłam się, że kiedy tam dotrę, zapomnę o tym strasznym mieszkaniu na Tite Street i o wszystkich targających mną sprzecznościach i konfliktach. Szybko przypominałam sobie jed-

nak, że jeszcze nie mogę wyjechać. Umówiłam się na spotkanie z artystami, którzy kiedyś wynajmowali dom do spółki z moją siostrą Lily i niedawno opowiedzieli Selinie te historie o duchach. Nadal mieszkali na Tite Street. Kiedyś znaleźliśmy się bardzo dobrze i wiedziałam, że cieszą się na spotkanie ze mną. Nie mogłam ich zawieść.

Zajmowali duży dom bardzo blisko mieszkania Rebeki. Pamiętam, że zawsze kręciło się w nim mnóstwo gości, kochanek, żon i byłych żon z tłumami dzieci, i wszyscy zachowywali się wobec siebie nadzwyczaj uprzejmie i przyjaźnie. Ostatni raz byłam tam tuż przed wojną, kiedy Lily opuszczała Londyn wraz ze swoim żonatym kochankiem, aby rozpocząć nowe życie w Australii. Dom wciąż promieniował ciepłą, cygańską atmosferą, która tak fascynowała nastoletnią Ellie. Na podłodze nadal leżały chodniki i dywany w głębokich, żywych kolorach, a pomalowane na intensywny błękit i czerwień ściany zawieszono obrazami. Na długim kuchennym stole ktoś położył składniki do następnego, jeszcze nie przygotowanego posiłku, co żywo przypominało interesującą martwą naturę, z pękatego dzbanu wychylały się szkarłatne maki i szafirowe chabry, z góry dobiegały dźwięki skrzypiec, a z ogrodu wesołe okrzyki dzieci.

Gospodarze zaprowadzili mnie do ogrodu, który przypominał Eden. Zarośnięty chwastami, pełen bujnej roślinności, zupełnie jakby nie znajdował się w samym środku Londynu, pachniał różami i kwiatem pomarańczy. Zostałam serdecznie wycelowana i wyściskana, przedstawiona nowym mieszkańcom domu i przypomniana dawniejszym. Usadzili mnie przy nieco rozchwianym drewnianym stole, ocienionym szkarłatnym japońskim parasolem. Centralną część stołu zajmowała wielka misa pełna śliwek i jabłek, nad którą, brzęcząc, latała jakaś łakoma osa. Nie znana mi kobieta z przerzuconym przez ramię długim pasmem kasztanowych włosów, wyglądająca tak, jakby właśnie zeszła z obrazu któregoś z prerafaelitów, przyniosła mężczyznom papierosy i dzban czerwonego wina. Była w zaawansowanej ciąży, piękna i majestatyczna. Miała na sobie szeroką spódnicę w barwne ludowe wzory i podobną bluzkę, a na ramiona nonszalancko zarzuciła jedwabny szal, haftowany w kwiaty i motyle. Spojrzałam na nią z zazdrością zza odzielającej mnie od tego świata szklanej tafli, a ona uśmiechnęła się do mnie

i niespiesznym krokiem wróciła do kuchni. Przypomniałam sobie, że w tym domu, mimo całego liberalizmu jego mieszkańców, kobiety zawsze traktowane były jak muzy i służące.

W jasnym świetle dnia z nowej perspektywy popatrzyłam na dawnych przyjaciół Lily, którzy kiedyś byli także przyjaciółmi Rebeki. Wszystko tutaj było dokładnie takie samo jak dawniej i oni też byli tacy sami. Jedyna różnica polegała na tym, że zapamiętałam ich jako młodych ludzi, a teraz miałam przed sobą pięćdziesięciolatków.

Trzej mężczyźni, którzy byli najbliższymi znajomymi Lily i od trzydziestu lat stałymi, charakterystycznymi postaciami w tym cygańskim domu, słynęli w okolicy i środowisku jako „trzej R”: Richard, Robert i Rayner. Pierwsi dwaj byli malarzami, Rayner rzeźbiarzem. Usiedli ze mną przy stole, zapalili papierosy, nalali wino do kieliszków i zaczęli gadać. Byli naprawdę wspaniałymi gawędziarzami. Opowiedzieli mi mnóstwo historii o Rebecce, które wiele lat temu słyszałam od Lily, historii, najwyraźniej często powtarzanych. Te anegdoty były wielokrotnie zmieniane, upiększane, starannie polerowane, aż w końcu stały się legendami. Opowiadali je doskonale, dowcipnie, z licznymi przerywnikami i zabawnymi wtrętami, niemniej były one pozbawione wszelkiego znaczenia. Gdzieś w głębokim lesie tych historyjek dostrzegałam czasami błysk, który był Rebeką, lub plamę chłodnego cienia. Tak, to ona, myślałam sobie wtedy, ale Rebeka zaraz znowu zniknęła, ginęła w gęstym poszyciu dygresji i szczegółów.

Liczyłam, że może powiedzą mi coś o mężczyznach, których wybierała raz na miesiąc, lub nawet zdołam zidentyfikować poetę irlandzkiego pochodzenia, wymienionego w notatniku. Niestety. Pytali, czy chodzi mi o tego znanego fotografa, a może bogatego Amerykanina, z którym kiedyś była związana. Albo o szkockiego hrabiego, zwanego „Hotspurem Północy”, który nie wytrwał zbyt długo? Był też taki niezwykle dowcipny, bezczelny powieściopisarz, jakże on się nazywał... Poeta? Nie, nie przypominali sobie żadnego poety, a już zwłaszcza Irlandczyka... Ale oczywiście mogli po prostu nie zwrócić na niego uwagi w tłumie zalotników, który zawsze otaczał Reбекę... Mężczyźni nie potrafili się jej oprzeć...

- W jakimś momencie życia każdy z nas kochał się w Rebecce -rzekł Robert, człowiek, który kiedyś podobno miał przed sobą wiel-

ką przyszłość, lecz chociaż nie zrealizował swoich ambicji, nie był z tego powodu zgorzkniały.

- Była cudowną kobietą, wspaniałą, żadna inna nie mogła się z nią równać - dorzucił Rayner, z uśmiechem unosząc kieliszek. -Ach, te dni, dni wina i róż...

Zaczęli opowiadać następną anegdotę, sypiąc znanymi i zapomnianymi nazwiskami. Richard poszedł na chwilę do domu i przyniósł wykonany ołówkiem portrecik Rebeki. Był dobrym portrecistą, kiedyś uczniem i protegowanym Augustusa Johna. Szkic wydał mi się bardzo ładny, lecz przedstawiona na nim kobieta w ogóle nie przypominała Rebeki.

Wyruszając z Kerrith, miałam przygotowaną listę szczegółowych pytań, jakie powinnam im zadać. Chciałam się dowiedzieć, co Rebeka robiła w ciągu czterech lat między śmiercią ojca i ślubem z Maximem. Napisała, że zarabiała pieniądze - ale w jaki sposób? Zależało mi także, aby się zorientować, jakie miała preferencje seksualne i czy kiedykolwiek była naprawdę zakochana, lecz przede wszystkim szukałam odpowiedzi na pytanie, jaka była. Co działo się z nią w okresie, o którym w ogóle nie wspominała, w latach między Greenways i Manderley?

Czy otrzymałam odpowiedzi? Nie, oczywiście że nie. Richard i Rayner w czasie pierwszej wojny nie wstąpili do wojska ze względu na swoje przekonania społeczno-polityczne. Pracowali na należącej do ojca Richarda farmie w Sussex, a po zakończeniu wojny przenieśli się do Londynu. Pamiętali, jak Rebeka zjawiała się na Tite Street trzy lata później. Twierdzili, że dość długo chorowała, przy czym jeden z nich utrzymywał, iż trwało to parę miesięcy, drugi zaś gorąco zaprzeczał. Zdaniem Roberta dopiero mniej więcej po roku Rebeka w pełni wróciła do zdrowia i stała się osobą podziwianą, uwielbianą i naśladowaną.

Richard był pewien, że pracowała w ambasadzie francuskiej, w dziale społecznym. Robertowi wydawało się, że zarządzała i kierowała ogromnie popularnym butikiem, którego właścicielkami były dwie utytułowane damy. Lansowane w tym sklepie stroje przez pewien czas stanowiły ostatni krzyk londyńskiej mody. Rayner powiedział, że pewien zaprzyjaźniony finansista pomagał jej grać na giełdzie i inwestować w nieruchomości. Wszyscy trzej zgadzali się co do jednego: wykorzystując swoją wielką urodę, dowcip, spryt,

urok i inteligencję, Rebeka z dnia na dzień stała się jedną z postaci, bez których nie mogło obyć się żadne przyjęcie epoki jazzu.

- Była muzą! — wykrzyknął Rayner, który wypił więcej niż pozostali. - Aja byłem wtedy taki młody! wystarczyło na nią spojrzeć, żeby poczuć powiew natchnienia!

- Ach, te oczy, te niebezpieczne oczy... - powiedział Richard, a może Robert, nie pamiętam.

Nie miałam wątpliwości, że wszystkie te historie są pajęczyną utkaną z nitek nostalgii, wielkiej sympatii do Rebeki i fantazji, ale nie ma w nich prawdy.

Kiedy wstałam i zaczęłam się z nimi żegnać, grupka dzieci, brudnych jak cyganiątka, pulchnych i wygłodniałych jak szczenięta, wyłoniła się z altanki w odległym krańcu ogrodu. Wpadły do kuchni w poszukiwaniu jedzenia, a piękna ciężarna kobieta, którą zauważyłam wcześniej, postawiła na stole kilka talerzy z chlebem z masłem i owocami. Potem sięgnęła po dzbanek i napełniła mlekiem szklanki, które dzieci zabierały spod jej ręki. Gdy ją mijałam, położyła rękę na moim ramieniu.

- Nosisz jej broszkę - odezwała się cicho, zerkając przez ramię na stojących w drzwiach mężczyzn.

Nadal spierali się o jakieś zdarzenie, które miało miejsce w 1921, a może w 1922 roku, albo zostało przez nich wymyślone. Dopiero teraz uświadomiłam sobie, że kobieta była starsza, niż sądziłam. Coś w tonie jej głosu lub w jej spojrzeniu sprawiło, że przystanęłam.

- Znałaś ją? - zapytałam i ujrzałam, jak jej twarz rozpromienia zamyślony, pełen ciepła uśmiech.

- Kiedyś znałam ją bardzo dobrze - odparła. - Oczywiście o tyle, o ile można było poznać Rebeke - dodała.

Odwróciła się do dzieci i całą uwagę skupiła na nich. Niedługo potem pożegnałam się ze wszystkimi i opuściłam ten dziwny, miły dom.

Wyszłam prosto na rozpaloną upałem Tite Street. Nadal miałam przy sobie klucze do mieszkania Rebeki, mogłam więc wejść i przejrzeć jej rzeczy, mogłam poszukać ostatniego notatnika, chociaż byłam przekonana, że tam go nie znajdę, i mogłam uratować ołtarzyk z trzech fotografii, przy którym wspominała matkę, nie

czułam się jednak na siłach, by przekroczyć próg tej świątyni śmierci. Nie wiem, czy zrobiłam dobrze, ale odwróciłam się i odeszłam. Niech ktoś inny zajmie się mieszkaniem i wszystkim, co w nim zostało, pomyślałam. Niech ktoś inny pozbędzie się pamiątek. Wczoraj widziałam, jakie rany zadaje obsesja na punkcie przeszłości, spotkałam kobietę, która umierała na przeszłość. Nie chciałam żadnych więcej talizmanów.

Zostawiłam klucze do mieszkania w gabinecie lekarza pani Dan-vers i pojechałam na dworzec. W pociągu usiadłam przy oknie i kiedy przemykaliśmy przez strefę cienia, przyglądałam się swojemu odbiciu, tańczącemu na szybie. Dokładnie widziałam niebieską broszkę w kształcie motyla, przypiętą do sukienki. Nie czułam się sobą, miałam wrażenie, że jestem kimś obcym. Próbowałam myśleć o tym, co widziałam i czego się dowiedziałam podczas wizyty w Londynie, ale szczegóły łączyły się ze sobą i zacierały. Dlaczego Rebeka zniszczyła fortepian po ostatniej rozmowie z lekarzem? Pomyślałam o fortepianie w domu jej dzieciństwa, w Bretanii, o instrumencie, który wymagał nastrojenia. W miarę jak pociąg pędził na zachód, w przedziale robiło się coraz bardziej duszno i gorąco. Nie udało mi się otworzyć okna i miałam wrażenie, że cała spływam potem.

Powiedziałam sobie, że Tom Galbraith podjął właściwą decyzję, postanawiając nieodwołalnie zakończyć poszukiwania, i że ja także powinnam to uczynić. Wiedziałam już o Rebecce wszystko, co mogło mieć jakiegokolwiek znaczenie, reszta sprowadzała się do nieistotnych detali. Niewykluczone, że byłabym wierna swemu postanowieniu, ale przeszłość, jak wkrótce miałam się dowiedzieć, bywa kapryśna. Czasami ty szukasz przeszłości, zdarza się jednak, że to przeszłość szuka ciebie i wtedy nie można jej zignorować.

- Mam dla ciebie dobre wiadomości - oświadczyła Rose, która przyjechała po mnie na stację naszym samochodem. - Twój pan Galbraith telefonował wczoraj z Bretanii. Za cztery dni wraca do Anglii. Zamierza odwiedzić nas ze swoim przyjacielem i...

- To nie jest żaden „mój” pan Galbraith, Rose - przerwałam jej, otwierając szerzej okienko. - Przestań go tak nazywać, dobrze? Co za potworny upał...

- Natomiast dziś na kolację wpadnie Francis Latimer. Udało mi się kupić morskie pstrągi.

- Dziś? Och, Rose, jestem wykończona, mam wrażenie, że jechałam pociągiem przez cały tydzień! Czyj to był pomysł? Twój?

Spojrzała na mnie z politowaniem.

- Można by pomyśleć, że w ogóle mnie nie znasz, Ellie. Nie, to nie był mój pomysł, lecz twojego ojca.

Potem Rose zamilkła i nie odzywała się przez większą część drogi, kiedy jechałyśmy wąskimi, wiodącymi w głąb łąd drogami, pokonując zakręty między krzewami tak wysokimi, że wydawało się, iż znajdujemy się w ciemnozielonym tunelu. Wnętrze samochodu wypełniły zapachy lata, i zmęczenie, które czułam, zaczęło powoli ustępować. Z przyjemnością zerkałam na kwitnący powój, oplatający pnie drzew i gałęzie krzaków, i myślałam o powrocie Toma. Dotarliśmy na szczyt wzgórza za Kerrith i ujrzałyśmy roztaczającą się przed nami panoramę oceanu. Linia horyzontu drżała w popołudniowym słońcu. Wszystko jest możliwe, pomyślałam. Wszystko może się jeszcze zdarzyć, mamy przed sobą tyle tygodni, miesięcy i lat...

- A, byłabym zapomniała - powiedziała nagle Rose. - Mieliśmy gościa. Jakaś kobieta przyszła do Sosen wczoraj po południu, kiedy twój ojciec odpoczywał. Trochę dziwna... Nie mówiłam mu ojej wizycie.

- Kto to był? Czego chciała?

- Nie mam pojęcia. Nie znam jej, a ona się nie przedstawiła. Zachowywała się jakoś tak niepewnie... Powiedziała, że może jeszcze wpadnie. Liczyła, że uda jej się zobaczyć z ojcem.

- Nie przedstawiła się? To rzeczywiście dziwne. Jak wyglądała?

- Bardzo zwyczajnie. Przeciętnej urody, ubrana w popielatą sukienkę, z szarymi włosami. Taka szara myszka, wiesz, co mam na myśli.

Na pewno ktoś z komitetu parafialnego, pomyślałam, albo jakiejś innej organizacji charytatywnej, które zwykle starały się zaangażować ojca w swoje działania. Prawie natychmiast zapomniałam o tym wydarzeniu i dopiero po paru dniach zrozumiałam, jak było ważne. Myślałam i kojarzyłam powoli, wolniej niż zwykle, chyba dlatego, że żyłam oczekiwaniem na spotkanie z Tomem, a pielęgnowanie takich nadziei potrafi być bardzo pochłaniające.

ROZDZIAŁ 29

Wiadomość o powrocie Toma Galbraitha rozeszła się po całym Kerrith ze zdumiewającą szybkością. Już następnego dnia, kiedy zajrzałam do apteki, żeby wykupić leki dla ojca, aptekarz i kasjerka obdarzyli mnie znaczącymi uśmiechami. Dwa dni później, dzień przed przyjazdem Toma i jego przyjaciela, pojechałam do Kerrith na zakupy, wyposażona w listę produktów, niezbędnych do planowanego przez Rose lunchu, i bez trudu zorientowałam się, że właściciele sklepów mierzą mnie baczным wzrokiem, oceniając, ile metrów materiału potrzeba będzie na moją suknię ślubną. Szybko załatwiłam sprawunki i uciekłam. Niestety, nie udało mi się umknąć przed tą potworną Marjorie Lane. Kiedy przechodziłam obok jej miniaturowego domku, wypadła na ulicę i złapała mnie za rękę. Bulgocząc tłumioną zjadliwością, oświadczyła, że chce pogratulować mi pierwsza.

- Wiedziałam, że on wróci! - wykrzyknęła. - Jutro, prawda? Cudownie! Niektórzy nasi znajomi - nie będę wymieniać nazwisk - utrzymywali, że nie ma żadnego powodu, aby wracał, aleja szybko uświadomiłam im, jak bardzo się mylą. Powiedziałam im, że Ellie nosi serce na dłoni, więc kochany pan Grey na pewno wiedział, co do niego czuje, zresztą, przecież wszyscy wiedzieli... W żadnym razie nie wystawiłby Ellie na pośmiewisko, co to, to nie, powiedziałam. Pan Grey wróci, zobaczycie. Macie już jakieś konkretne plany, kochanie? Rozumiem, że nie będzie wam łatwo, w końcu pan Grey bierze na siebie ciężki obowiązek... Co zamierzacie zrobić z twoim ojcem, skarbie?

- To jakaś pomyłka - rzuciłam. - Zupełnie nonsensowne plotki.

Tom Galbraith przyjeżdża tylko na jeden dzień, głównie po to, żeby zobaczyć się z moim ojcem. Przepraszam, ale...

- Oczywiście, oczywiście, skoro tak mówisz, kochanie! Jak się czuje drogi tatuś? Parę dni temu spotkałam jego i twoją ciotkę, wspominała ci o tym? Bardzo ostra z niej dama, nie sądzisz? Potraktowała mnie dosyć obcesowo, bo nie zdołałam ukryć poruszenia na widok stanu twojego ojca - biedak tak się szybko posunął... Najwyraźniej uważała, że powinnam się powstrzymać od paru uwag, ale ty mnie przecież znasz, Ellie, i wiesz, że u mnie zawsze co w sercu, to na języku... W dodatku tak lubię twojego ojca z jego śmiesznym, staroświeckim stylem bycia... Serce mi pękło, kiedy zauważyłam, że jest taki roztargniony i wychudzony! Teraz to już nie potrwa długo, powiedziałam później do Jocelyn Briggs, mam nadzieję, że kochana Ellie jest przygotowana na najgorsze. Wystawisz Sosny na sprzedaż, tak? Pewien mały ptaszek wyjawiał mi, że pan Latimer jest zainteresowany kupnem. Nie tylko dom go interesuje, odpowiedziałam. Doktor Latimer jest rozwiedziony, ale o tym na pewno wiesz...

- Naturalnie. Wiem także, że ojciec jest teraz znacznie silniejszy, i to wyłącznie dzięki staraniom doktora Latimera. Muszę już wracać do domu, pani Lane...

- Marjorie, kochanie, nie pani Lane! Nie znoszę ceremonii, wszyscy moi przyjaciele zwracają się do mnie po imieniu.

- Wobec tego ja nadal będę nazywać panią „panią Lane” -oświadczyłam i pospiesznie się z nią pożegnałam.

Czułam, że ta uwaga przynajmniej w części wyrównała rachunki, lecz to, co powiedziała, boleśnie mnie zraniło, oczywiście, zgodnie z jej intencją. Udałam się prosto do sióstr Briggs, gdyż nigdy nie miałam cienia wątpliwości, że właśnie w ich domu rodzi się większość krążących po Kerrith plotek.

W pewnym sensie miałam szczęście, bo udało mi się zastać Elinor samą. Zawsze łatwiej jest skłonić siostry do poważnej i konkretnej rozmowy, kiedy są osobno - gdy są razem, trudno wtrącić słowo. Jocelyn poszła w odwiedziny do przyjaciółki i Elinor była w swoim pięknym ogrodzie, zajęta tępieniem mszyc. Na mój widok wyraźnie się ucieszyła i zaraz usadziła mnie w cienistym miej-

scu na tarasie ze szklaneczką chłodnej domowej lemoniady. Kiedy przedstawiłam jej swoje oskarżenia, zarumieniła się.

- Dobry Boże, skąd biorą się te wszystkie plotki? Ta Lane to prawdziwa zgroza, kochanie. Jestem pewna, że nie mogła tego wywnioskować z rozmowy ze mną, jestem przecież wzorem dyskrecji. O, proszę, nikomu nie szepnęłam ani słóweczka o Tomie, no, ale on kazał nam obu przyrzec, że zachowamy jego tajemnicę dla siebie. Nie, nie, obawiam się, że to wina Jocelyn! Ona tak lubi Toma, zresztą obie szczerze polubiłyśmy go, jeszcze zanim się dowiedziałyśmy, kim naprawdę jest. Taki myślący młody człowiek - zawsze przywozi nam z Londynu czekoladki, i to nasze ulubione, z nadzieniem fiołkowo-śmietankowym, bardzo to miło z jego strony! I oczywiście obie jesteśmy bardzo przywiązane do ciebie, Ellie, więc gdy zawiadomił nas, że wraca do Kerrith, miałyśmy nadzieję, że... Tak, czuję, że Jocelyn musiało się coś wymknąć, a wiesz, jacy są ludzie, ze wszystkiego wyciągają własne wnioski i... - Zerknęła na mnie spod oka. - I może tym razem się nie mylą, kto wie, kochanie.

- Bardzo się mylą, Elinor, nie mogliby mylić się bardziej. Mam tego dosyć. Nie mogłabyś postarać się, żeby te idiotyczne plotki ustały? Tom i ja jesteśmy przyjaciółmi, to wszystko. Wcale nie chcę wychodzić za mąż, jestem zupełnie szczęśliwa jako osoba niezamężna. Co w tym złego, na miłość boską? Przywykłam do tego stanu rzeczy i jest mi z nim całkiem dobrze.

- Oczywiście, Ellie. Nie będziemy już o tym rozmawiać. Wkrótce wszyscy się dowiedzą, jak jest naprawdę, nie obawiaj się. No, ale sądzę, że niezależnie od wszystkiego cieszysz się na spotkanie z Tomem i jesteś ciekawa, czego dowiedział się w Bretanii, prawda? Jocelyn i ja płoniemy z ciekawości. Czy Tom mówił ci, kochanie, że pokazał nam fragment notatnika Rebeki? Nie sam notatnik, naturalnie - przepisał tę jego część, gdzie Rebeka opisuje swój pobyt w St. Winnow's, komentuje zachowanie naszej drogiej mamy i tak dalej...

- Nie wiedziałam. Ty też nic mi o tym nie mówiłaś, Elinor.

- No, tak... Widzisz, miałam po temu pewne powody. Prawdę mówiąc, obie czułyśmy się zagubione i poruszone. Jocelyn bardzo się zdenerwowała, nie lubi o tym mówić. W czasach Manderley bardzo lubiłyśmy Rebeke. Nigdy nie przyszło nam do głowy, że ma

ona coś wspólnego z tamtą dziwną dziewczynką, która wtedy u nas mieszkała, ale cóż... Jocelyn i ja prawie jej wówczas nie widywałyśmy i później zupełnie o niej zapomniałyśmy. Jedyny raz rozmawiałam z nią tego dnia, gdy zabrałam ją na podwieczorek do Sosen, a biedna Jocelyn była wtedy nieprzytomna z miłości. Ciągle pisała listy do swojego narzeczonego, który zginął parę miesięcy później... Rebeka pisze w bardzo niemiły sposób i pozwala sobie na różne nieścistości, Ellie. Tego właśnie nie potrafię zrozumieć...

- Jakie nieścistości, Elinor?

- No, pisze na przykład, że umieszczono ją w zimnym pokoiku na poddaszu! - wykrzyknęła z oburzeniem. - A to oczywista nieprawda, mama nigdy by czegoś takiego nie zrobiła! Na poddaszu, razem ze służbą? Co za bzdury! Rebeka spała w dawnym pokoju dziecinnym, chyba tym, który kiedyś należał do Jocelyn, albo w jednym z pokoi gościnnych, na pewno nie zimnym, bo nie wyobrażam sobie, aby mama na to pozwoliła! Poza tym mówi, że przed wizytą w Manderley została zmuszona do włożenia starej sukienki Jocelyn, tymczasem prawda jest taka, że przyjechała do St. Winnow's w rzeczach, z których powyrastała i mama zlitowała się nad nią, myśląc, że miło jej będzie włożyć coś ładnego... W każdym razie tak sądzimy, bo ani mnie, ani Jocelyn nie było tego dnia w domu.

- Może Rebece pomyliły się pewne szczegóły, Elinor. W czasie pobytu w St. Winnow's znajdowała się w stanie wielkiego napięcia, bała się, że jej matka umiera, poza tym jednak pisze o tym, jaka dobra była dla niej Evangeline...

- Nic dziwnego, bo mama była najlepszą osobą na świecie. Robiła, co mogła, żeby Rebeka poczuła się lepiej, ale ona bynajmniej nie ułatwiała mamie tego zadania, o nie! Była bardzo trudnym, niegrzecznym, szorstkim w obejściu dzieckiem z głową pełną dziwacznych pomysłów, o dziwnym sposobie bycia i wysławiania się! Pisze, że wszyscy umieraliśmy na anemię - bardzo nas to zabolalo. O co mogło jej chodzić, Ellie?

Doskonale wiedziałam, o co chodziło Rebece, ale przecież nie mogłam wyjaśnić tego Elinor.

- Krótko mówiąc, Jocelyn i ja jesteśmy bardzo zadowolone, że przeczytałyśmy tylko ten jeden fragment. Powiedziałyśmy Tomowi, że zupełnie nam to wystarczy, wcale nie chcemy czytać więcej.

Jeżeli potrafi być tak niesprawiedliwa i niedokładna na kilku stronach, to Bóg jeden wie, jaka jest reszta notatnika. Nawet Tom przyznał, że ma pewne wątpliwości. Powiedział, że bardzo dokładnie przeczytał notatnik i zauważył w nim mnóstwo niejasności. Podobno jest tam kilka odniesień do broni palnej, czy to prawda, Ellie?

- Tak, co najmniej trzy lub cztery.

- Tom twierdzi, że Rebeka sugestywnie podkreśla fakt, iż niedługo przed swoją śmiercią zobaczyła Maxima czyszczącego rewolwer. Zdaniem Toma takiego szczegółu nie da się sprawdzić, co oczywiście jest bardzo wygodne dla Rebeki. Sposób, w jaki pisze, podsuwa czytelnikowi myśl, że Maxim zamierzał ją zabić. Nie mogę w to uwierzyć, Ellie. Czasami podejrzewałyśmy, że mógł mieć coś wspólnego z jej śmiercią, ale zawsze uważałyśmy, że musiało to być... No, coś w rodzaju zabójstwa w afekcie... Co o tym myślisz, Ellie?

- Wydaje mi się, że wiele zależy od tego, gdzie zginęła Rebeka i w jaki sposób - odrzekłam ostrożnie. - Jeżeli została zabita w domku na plaży, co jest bardzo prawdopodobne, uduszona lub zaatakowana bronią, jaka wpadła w ręce mordercy, wtedy można mówić o zabójstwie w afekcie. Ale jeśli została zastrzelona, to morderca musiał przynieść rewolwer do domku, a to by sugerowało morderstwo z premedytacją. - Przerwałam i lekko zmarszczyłam brwi. Było mi przykro, że Tom Galbraith o wiele bardziej szczegółowo rozmawiał o swoich wątpliwościach z siostrami Briggs niż ze mną. - Tak czy inaczej, nigdy nie dowiemy się prawdy, Elinor - ciągnęłam. - Gdyby ciało Rebeki zostało odnalezione szybko, sekcja wykazałaby, co było bezpośrednią przyczyną śmierci, ale...

- Nie wyobrażam sobie, by w grę mógł wchodzić rewolwer -przerwała mi Elinor. - Niewiele wiem o broni palnej, lecz dość dużo o ranach. W czasie pierwszej wojny byłam pielęgniarką, jeśli pamiętasz. Wysłano mnie do Francji, gdzie pielęgnowałam żołnierzy z potwornymi ranami. Powiedziałam Tomowi, że skoro Rebeka usiłuje rzucić podejrzenie na Maxima, to można to łatwo sprawdzić, bo przecież kule miażdżą kości i zostawiają ślady. Tom musiał chyba rozumować w podobny sposób, ponieważ zasięgnął rady jakiegoś londyńskiego patologa, który potwierdził moje słowa. Po-

wiedział, że byłoby doprawdy bardzo dziwne, gdyby podczas sekcji zwłok nie wykryto rany postrzałowej, nawet w stanie tak daleko posuniętego rozkładu. Rana głowy byłaby wyraźnie widoczna, podobnie postrzał klatki piersiowej, ponieważ kula musiałaby roztrzaskać co najmniej jedno żebro. Jeżeli kości nie były uszkodzone, znaczyło to, że kula trafiła w tkankę miękką i przeszła ciało na wylot. Zęby taka rana była śmiertelna, morderca musiałby postrzelić Rebekę w brzuch.

- W brzuch? - powtórzyłam słabo, nie spuszczać wzroku z twarzy Elinor.

Elinor, która nie czytała całego notatnika, nie mogła wiedzieć, jak znaczące były jej słowa, lecz ja rozumiałam to doskonale.

- Właśnie. Tom oświadczył, że to tylko potwierdza, iż do wszystkich sugestii Rebeki należy podchodzić z wielką ostrożnością. Maxim walczył na froncie i od dziecka przyzwyczajony był do posługiwania się bronią palną, więc wiedział, że jeśli chce się zabić kogoś szybko i skutecznie, należy mierzyć w jedno z dwóch miejsc - w serce lub głowę. Nie strzela się w brzuch, ponieważ to powoduje powolną, okrutną śmierć z wykrwawienia. Tom uważa, że ten argument stanowi dowód niewinności Maxima i muszę przyznać, iż zaczynam się skłaniać ku jego punktowi widzenia.

- To najbardziej przewrotna argumentacja, jaką kiedykolwiek słyszałam - wybuchnąłam, chociaż znacznie większy gniew budziło we mnie stanowisko Toma Galbraitha, który dokładniej znał okoliczności śmierci Rebeki niż Elinor, która ich nie znała.

Nagle wyobraźnia podsunęła mi wizję Rebeki, powoli wykrwawiającej się na podłodze domku na plaży. Teraz byłam już prawie pewna, że nie umarła szybko. Czy była martwa, kiedy przeniesiono ją na pokład „Je Reviens”, a następnie zatopiono jacht?

- Co się z tobą dzieje, Elinor? - zapytałam spokojniej. - Mówimy o kimś, kto niemal na pewno został zamordowany. Zawsze tak dzielnie stawałaś w obronie Rebeki...

- Wiem, ale to było zanim dowiedziałam się, co naprawdę myślała, zanim przeczytałam te wszystkie niezyczliwe uwagi o mamie i St. Winnow's. Niezależnie od nieściskości, nie podoba mi się jej ton, te komentarze o psach, kłatkach, wybiegach i czerwonym mięsie. Powiem ci szczerze, Ellie, jej zapiski wydały mi się bardzo niedelikatne, po prostu w złym guście. Przesadzone, ostre, zupełnie

niekobiece. - Elinor przerwała i zaczerwieniła się. - Co sądzi o tym Artur? Mam nadzieję, że nie zdenerwował się tak jak my...

- Nie. Tata przeczytał już cały notatnik i jest chyba spokojniejszy niż przed jego lekturą. Zresztą Rebeka pisze o nim w bardzo miły sposób.

- Cóż, cieszę się, że o kimś pisze miło! - prychnęła Elinor.

Mam wrażenie, że wyczuła moją niechęć i zmieszanie, bo szybko zmieniła temat. I właśnie wtedy podzieliła się ze mną wiadomością, która miała się okazać bardzo istotna, chociaż nie od razu zdałam sobie z tego sprawę.

- Ach, dajmy temu spokój - powiedziała. - A skoro już mówimy o widmach przeszłości, Ellie - słyszałaś najnowszą historyjkę, jaka krąży po Kerrith? Mamy nowego ducha, moja droga! Wnuczek Jamesa Tabba widział tę zjawę na cmentarzu w Manderley, wczoraj czy przedwczoraj...

- Nowy duch? Nie, nikt mi o tym nie mówił. Niedawno byłam na cmentarzu razem z Tomem i nie widzieliśmy żadnego ducha...

Nie słuchałam jej zbyt uważnie, ponieważ Kerrith obfituje w historie o duchach, a poza tym ciągle myślałam o naszej wcześniejszej rozmowie, zwłaszcza o ranach postrzałowych. Obrazy, które pojawiały się przed moimi oczami, były mroczne i niepokojące. Byłam zła na Elinor i miałam ochotę jak najszybciej opuścić jej dom, lecz teraz zawahałam się, ponieważ przypomniałam sobie wzgórek muszli usypany na grobie Lucy Carminowe.

- Oczywiście biedny malec tylko wyobraził sobie, że widzi ducha, ale naprawdę był bardzo przestraszony. Opowiadał, że kiedy przechodził ścieżką, jakaś dziwna kobieta podniosła się spomiędzy grobów i pokiwała na niego palcem. Pobiegnął pędem do domu, gdzie matce udało się trochę go uspokoić, ale i tak przez całą noc me zmrużył oka.

- Dziwna kobieta? W jaki sposób dziwna? Elinor się uśmiechnęła.

- Nikt nie jest w stanie tego jednoznacznie określić, kochanie. Ja od razu wyobraziłam sobie jakąś przerażającą postać, tymczasem okazało się, że ta cmentarna dama była szara. Szara suknia, szare włosy - nic nadzwyczajnego! Naturalnie, teraz widuje ją coraz więcej osób. Żona sklepikarza widziała ją pod bramą Manderley, a Jennifer Lane, pamiętasz ją, Ellie, córka Roberta Lane, rudowłosa, jak

jej matka, pracuje w St. Winnow's i podobno jest ulubioną pielęgniarką starego Fritha... Otóż Jennifer utrzymuje, że wczoraj widziała tę szarą kobietę w ogrodzie St. Winnow's, jak stała i patrzyła na rzekę. I w jednej chwili znikła, dosłownie na oczach Jennifer. Absurdalne, co? Naprawdę musisz już biec, kochanie? Zaczekaj chwilę, poszukam tych słoików z ostrą mieszanką warzywną, którą zrobiłyśmy. Już dawno zamierzałam ci je dać, bo wiem przecież, jak twój ojciec lubi tę marynatę...

Zabrałam słoiki z marynatą, pożegnałam się i wybiegłam do samochodu. Nagle przypomniałam sobie tajemniczego gościa, który przed moim powrotem z Londynu złożył wizytę w Sosnach. Jak wiatr przemknęłam przez Kerrith i zatrzymałam się w połowie wysokości stromego wzgórza, na którym znajduje się nasz dom. Fragmenty układanki, które tak mnie niepokoiły, niespodziewanie zaczęły układać się w nowy wzór.

Pomyślałam o opisie „ducha”, który usłyszałam z ust Elinor, i o miejscach, w których zmanifestował swoją obecność. O wieńcu z azalii i wzgórkę muszli na grobie Lucy Carminowe. O notatnikach i brylantowym pierścionku Rebeki, o broszce w kształcie motyla i innych jej osobistych rzeczach, i ponownie zadałam sobie pytanie, które od samego początku nękało Toma, mojego ojca i mnie: kto mógł mieć dostęp do tych przedmiotów? Oczywiście pani Danvers, ale jeżeli ją wykluczyć... Kto inny mógł to zrobić, kto był jedyną możliwą kandydatką?

Przypomniałam też sobie ducha, którego w ostatnich dniach swego życia ujrzała w Manderley Rebeka - tę szarą, milczącą myszkę... Dopóki nie przeczytałam tamtego fragmentu, me sądziłam, aby kogokolwiek mogła prześladować przyszłość, a jednak przypadek Rebeki dowodził, że było to możliwe. Rozpoznałam tego ducha natychmiast po przeczytaniu opisu i teraz rozpoznałam ją znowu... Włączyłam silnik i szybko pojechałam do domu. Jak bomba wpadłam do kuchni, gdzie Rose właśnie przygotowywała lunch.

- Rose, ta kobieta, która zjawiała się tutaj, gdy mnie nie było... -wydyszałam. - Ta, która się nie przedstawiła - powiedz mi, jak wyglądała...

- Dobry Boże, sama nie wiem, jak ją opisać... Taka zwyczajna kobiecina, dosyć miła, chociaż wyglądała na nerwową. Szpakowata, chyba tuż po czterdziestce...

- Miała coś przy sobie?
- Nie. Oczywiście miała torebkę, ale...
- Jesteś pewna? Nic więcej? Nie miała książki albo teczki na dokumenty?
- Nie, tylko torebkę, jestem pewna. Taką prostą, pakowną, trochę podobną do mojej.

Spojrzałam na leżącą na parapecie torebkę Rose. Była duża, ponieważ Rose nigdzie nie rusza się bez książki, a w takiej torbie nawet całkiem spora książka mieści się bez trudu. Teraz wszystko stało się dla mnie jasne. Wiedziałam już, kim był anonimowy nadawca notatników Rebeki i dlaczego odwiedził Sosny. Ta osoba zjawiała się, aby osobiście doręczyć ostatnią przesyłkę.

Pospiesznie połknęłam lunch. Potem Rose zagoniła mnie do pomocy przy przygotowywaniu lunchu na następny dzień, specjalnego lunchu na cześć Toma Galbraitha i jego przyjaciela Nicholasa Osmonda. Ubiłam pianę z białek i rozpuściłam żelatynę na mus czekoladowy, pokroiłam ogórek w kostkę do chłodnika, który jest specjalnością Rose. Przez cały czas marzyłam o tym, żeby wymknąć się z domu i ruszyć na poszukiwanie tajemniczego gościa. O trzeciej, kiedy ojciec udał się na popołudniowy odpoczynek, wreszcie uciekłam z kuchni, wepchnęłam Barkera do samochodu i pomknęłam prosto do Manderley.

Prawie dwie godziny kręciłam się nad brzegiem i w pobliżu domu, nie było mi jednak dane ujrzeć szarej damy. Rozczarowana i zniechęcona, wyruszyłam do domu, po drodze wstępując do kościoła, w którym nie było żywej duszy, i do St. Winnow's. Zobaczyłam Fritha, siedzącego w fotelu na kółkach i nieustannie trzymającego straż na tej samej werandzie, gdzie kiedyś Rebeka układała kolorami motki jedwabnych nici i patrzyła na rzekę.

Zadałam parę pytań rudowłosej pielęgniarce, córce Roberta Lane. Okazało się, że w ciągu kilku godzin historia o duchu, którą opowiedziała mi Elinor, została wzbogacona o nowe, makabryczne szczegóły, których nie byłam specjalnie ciekawa. Poza tym nie dowiedziałam się niczego pożytecznego. Wróciłam do Sosen, wstawiłam samochód do garażu i tylnymi drzwiami weszłam do domu. Rose siedziała przy kuchennym stole, czytając opartą o wazon książkę i obierając truskawki. Kiedy usłyszała moje kroki, podniosła wzrok.

- Znowu tu jest - powiedziała. - Ta kobieta, wiesz, o kogo mi chodzi, zjawiała się tu godzinę temu. Wpuścił ją twój ojciec i teraz jest z nim w gabinecie...

- Nie poprosił cię, żebyś się do nich przyłączyła? Nie przedstawił ci jej?

- Dziwne, ale nie - odrzekła spokojnie Rose i powróciła do lektury.

Zawołałam Barkera i poszłam do ogrodu. Przystanąłam między palmą i araukarią. Przeszklone drzwi prowadzące do gabinetu ojca były szeroko otwarte, z wewnątrz dobiegał cichy szmer kobiecego głosu. Ojciec milczał. Odpięłam broszkę Rebeki, którą nosiłam od powrotu z Londynu, i schowałam ją do kieszeni. Potem wzięłam głęboki oddech, jednym krokiem pokonałam schodki na taras i weszłam do pełnego książek gabinetu, mrużąc oczy, które dopiero po chwili przyzwyczyły się do panującego w pokoju półmroku.

- Ach, oto i moja córka! - powiedział ojciec.

W jego głosie zabrzmiała wyraźna ulga. Próbował dźwignąć się z fotela, więc szybko podeszłam i położyłam mu rękę na ramieniu, aby go powstrzymać.

Odwróciłam się i spojrzałam na jego gościa. Siedziała w ustawionym naprzeciwko fotelu. Miała na sobie nieatrakcyjną letnią sukienkę w szare gałązki powoju i drobne kwiatki, gęste szpakowate włosy były rozdzielone przedziałkiem z boku głowy i obcięte na pazia, do ucha. Była to fryzura, o której często mi opowiadano i której ona najwyraźniej nigdy nie zmieniła. Przysiadła na brzegu fotela, ze sztywno wyprostowanymi plecami i dłońmi złożonymi na podołku, jak osoba, która przyszła na rozmowę w sprawie pracy. Obrzuciła mnie nienaturalnie pogodnym spojrzeniem, charakterystycznym dla bardzo nieśmiałych ludzi, którzy starają się ukryć zdenerwowanie i brak towarzyskiego obycia.

Wiedziałam, że kiedy pierwszy raz przyjechała do Manderley była bardzo młoda. Miała dwadzieścia jeden lat i styl bycia wiecznej uczennicy, w każdym razie tak głosiła złośliwa plotka. Prawie dwadzieścia lat po jej stosunkowo krótkim pobycie w Manderley mieszkańcy Kerrith nadal opowiadali o jej nieśmiałości, niezliczonych pytaniach na temat Rebeki, które uparcie zadawała, no i o tym, że była o dobre dwadzieścia lat młodsza od męża, na dobrą sprawę mogła być jego córką.

Ta kobieta nie była już wiotką dziewczyną, którą opisywali plotkarze z Kerrith. Z wiekiem przytyła, zwłaszcza w talii, co podkreślał nie najlepszy krój sukienki. Błada twarz naznaczona była zmarszczkami, lecz oczy miała nadal piękne, o niewinnym, słodkim wyrazie. Na stoliku obok niej leżała para letnich rękawiczek, a pod nimi znajomy, czarny kształt. Ostatni notatnik Rebeki, pomyślałam.

- Pozwól, że dokonam prezentacji, kochanie - odezwał się ojciec, tym razem nieco ostrzegawczym tonem. - Pani de Winter, oto moja córka, Ellie. Ellie, wiele razy słyszałaś, jak mówiłem o małżonce Maxima - oto pani de Winter.

Uścisnęłam jej dłoń i natychmiast wyczułam, że chętnie uciekłaby z gabinetu ojca. Nie wiem, o czym rozmawiali, ale najwyraźniej nie miała ochoty wracać do tego tematu w mojej obecności. Widziałam, że szuka wymówki, żeby się pożegnać, lecz brakowało jej tej podstawowej towarzyskiej umiejętności. Zacerwieniła się i rzuciła pierwszą uwagę, jaka przyszła jej do głowy. Niestety, nie był to szczęśliwy wybór.

- Ellie... Bardzo mi miło - powiedziała ze sztuczną pogodą. - Oczywiście, tak... Nigdy się nie poznałyśmy, ale pamiętam, że pani ojciec mówił mi o pani. Gra pani w golfa, prawda? Naturalnie, w golfa... Podobno była pani prawdziwą mistrzynią...

- W golfa grała moja starsza siostra - odparłam, zerkając na ojca. Lily nigdy nie była dobrą golfistką i poświęcała tej grze trochę

czasu tylko z nudów i w nadziei, że uda jej się spotkać jakiegoś interesującego mężczyznę. Nie miałam pojęcia, skąd pani de Winter przyszedł do głowy pomysł, że była mistrzynią. Nie ulegało też wątpliwości, że nie wie o śmierci mojej siostry. Zmarszczyła lekko brwi i pokręciła głową, jakby w zdumieniu, lecz jej twarz szybko znowu się rozpogodziła.

- Och, tak, teraz sobie przypominam... Mieli państwo dwie córki... I syna, prawda? Pamiętam, jak pan o nim opowiadał, pułkownik. Pisał wiersze, czy tak? Wydaje mi się, że trochę to pana niepokoiło...

- Pisywał wiersze jako młody chłopiec, bardzo krótko - powiedziałam szybko. Kątem oka dostrzegłam wyraz twarzy ojca i zrozumiałam, że muszę jej przerwać, zanim swoimi nieświadomie nie-

taktownymi uwagami wyrządzi jeszcze więcej szkód. - Zginął w czasie wojny, pani de Winter.

Zapadła cisza. Pani de Winter rzuciła mi bardzo dziwne spojrzenie, jakby mocno powątpiewała w prawdziwość moich słów. Potem zaczerwieniła się gwałtownie.

- Tak mi przykro... Gdybym wiedziała, nigdy bym o nim nie wspomniała, proszę mi wybaczyć... - Odwróciła się do ojca z błagalnym, dziecinnym spojrzeniem. - Czasami zapominam, jak długo mnie tu nie było, panie pułkowniku, i zachowuję się tak, jakby nic się nie zmieniło... Nie wiem, dlaczego, ale zawsze wyobrażałam sobie pańską córkę z kijem golfowym w ręku, a pańskiego syna piszącego wiersze... Zupełnie jak gdybym naprawdę ich widziała...

- To całkowicie zrozumiałe - powiedział ojciec tonem, który mówił coś odwrotnego, i schylił się, żeby pogłaskać Barkera i przynajmniej na moment ukryć twarz przed wzrokiem tej kobiety. - Nie przypominam sobie jednak, żebym opowiadał pani o moich dzieciach - dodał.

- Och, opowiadał mi pan o nich, naprawdę! - zapewniła, czerwieniąc się jeszcze mocniej. - Było to tego dnia, kiedy przyszedł pan do Manderley na lunch. Rozmawialiśmy o Dalekim Wschodzie i o pańskich dzieciach... - Spojrzała na mnie. - Mam taki okropny zwyczaj - zapamiętuję jakiś drobny fakt i zaczynam budować wokół niego całą historię... Czasami zdarza mi się to nawet w przypadku zupełnie obcych osób, które zauważam w kawiarni, w hotelu... Wyobrażam sobie, jak wygląda ich życie, oczywiście to fikcja, ale zawsze odnoszę wrażenie, że te historyjki bardzo pasują do ich twarzy... Maxim często podśmiewał się ze mnie z tego powodu... -Przerwała i przeniosła wzrok na swoje ręce, które wykonywały szybkie, nerwowe ruchy. - Co za kochany pies - ciągnęła tak uparcie pogodnym tonem, że prawie zrobiło mi się jej żal. - Bardzo brakuje mi psów... To tacy wierni towarzysze, prawda? Nigdy nie mają złego humoru, nie robią nam wyrzutów i zawsze cieszą się, że nas widzą... Dobry Boże, naprawdę zrobiło się już tak późno? Muszę iść. Jutro wracam do Londynu, potem do Kanady, więc muszę się spakować, a nie należę do osób dobrze zorganizowanych... Zawsze godzinami szukam czegoś, co położyłam w zupełnie nieprawdopodobnym miejscu. Maxim często się na mnie złościł...

Rzuciła mi niepewne spojrzenie, niezgrabnie sięgnęła po ręką-

wiczki i torebkę, i wstała. Ojciec również podniósł się z miejsca. Jego twarz była szara z napięcia i zmęczenia. Kiedy pani de Winter w ataku nerwowości upuściła rękawiczkę i schyliła się po nią, spojrzał mi prosto w oczy. Bez trudu odgadłam, o czym myślał.

- Pani de Winter przyjechała tu autobusem - odezwał się zdecydowanym tonem.
- Zatrzymała się w hotelu niedaleko stąd, tuż nad brzegiem morza, w Róży. Wiesz, gdzie to jest, Ellie, prawda? Pani de Winter, Ellie z przyjemnością odwiezie panią do hotelu.

Kiedy byłam już w połowie drogi do drzwi, pani de Winter zaczęła uprzejmie protestować, co naturalnie zignorowałam. Wiedziałam, że musi się zgodzić. Mój ojciec był chory, ale nadal dysponował nieugiętą siłą woli.

Wsiadłyśmy do samochodu, otworzyłam okna, żeby wpuścić do środka cudownie aromatyczne powietrze i przez pewien czas jechałyśmy w milczeniu. Czekałam, aż minie Kerrith. Zdawałam sobie sprawę, że będziemy przejeżdżać obok jednej z bram prowadzących do Manderley.

- Pani de Winter, widziałam notatniki Rebeki, które przysłała pani mojemu ojcu - odezwałam się w końcu, gdy Kerrith zostało już za nami. - Czy teraz zostawiła mu pani także i trzeci?

- Tak.... Och, tak. Wyobrażam sobie, co pani o mnie myśli - powiedziała z niespodziewaną gwałtownością. - Wysłałam je anonimowo i teraz zdaję sobie sprawę, że zachowałam się jak tchórz, bardzo paskudnie. Zastanawiałam się nad dołączeniem listu, ale najzwyczajniej w świecie nie wiedziałam, co powinnam napisać. Nie byłam nawet pewna, czy pani ojciec mnie pamięta... Ludzie często zapominają, że mnie kiedyś poznali. Obawiam się, że jestem bardzo przeciętną, anonimową osobą, w przeciwieństwie do Rebeki...

Zerknęła na mnie spod oka, jakby spodziewała się, że zaprzeczę, i zmarszczyła brwi.

- Widzi pani, nie chciałam zachować tych notatników dla siebie, a Rebeka nazywa pani ojca swoim jedynym prawdziwym przyjacielem, więc pomyślałam, że on na pewno się z nich ucieszy. Potem dowiedziałam się, że niedawno przeszedł zawał - usłyszałam, jak ktoś mówił o tym w sklepie w Kerrith - i ogarnęły mnie straszne wyrzuty sumienia. Doszłam do wniosku, że muszę go osobiście

przeprosić. Chyba mi się nie udało i w dodatku zrobiłam tę głupią uwagę o pani bracie, więc raczej pogorszyłam sytuację...

Postanowiłam zaakceptować to wyjaśnienie, chociaż nie do końca dałam mu wiarę.

- Jestem pewna, że właściwie zrozumiał pani intencje - rzekłam, przyspieszając.

- Nie mogła pani przecież wiedzieć o śmierci mojego brata.

Zbliżałyśmy się do bram Manderley. Domniemany wypadek, w którym zginął Maxim, wydarzył się właśnie na tym odcinku drogi. Spojrzałam na panią de Winter. Wpatrywała się w błękitne, wieczorne cienie, które spowijały lasy; jej twarz była blada i pełna napięcia.

- Bardzo się pani spieszy, panno Julyan? - zapytała nagle. - Czy pozwoliłaby mi pani przespacerować się trochę po lesie? Nie wrócę już tutaj więcej. Tak często śni mi się to miejsce... Czasami mam wrażenie, że właśnie na tym upłynęła mi połowa życia - na śnie i marzeniach...

Zatrzymałam samochód. Usłyszałam łzy w głosie, jeszcze zanim je dostrzegłam w jej szarych oczach. Wysiadła i podeszła do bramy. Zwróciła twarz w kierunku, z którego dobiegał szum morza, a wiatr rozwiewał siwiejące włosy. Stała tam i automatycznym ruchem obracała na palcu obrączkę, jedyną ozdobę, jaką nosiła.

Odczekałam parę minut. Wyjęła z torebki klucz, ale nie otworzyła bramy. Zatrzasnęłam za sobą drzwiczki i ruszyłam w jej stronę. Chciałam pomóc. Wstrząsnął mną ból, który malował się na twarzy kobiety. Wyglądała jak skrzywdzone, zagubione dziecko, a oznaki wieku podkreślały jeszcze głębię cierpienia.

- Muszę opowiedzieć pani o tych notatnikach - przemówiła, opierając się o bramę i wbijając wzrok w gęstwinę drzew. - Zamierzałam opowiedzieć to wszystko pani ojcu, ale zaczęliśmy rozmawiać o innych sprawach... Może mogłaby pani mu to wyjaśnić... Znalazłam je po śmierci Maxima, to znaczy znalazłam metalową kasetkę, w której je zamknął. Kasetka leżała w zamykanej na klucz szufladzie biurka w domu, który kupiliśmy w Anglii. Taki piękny dom - jak najdalej od morza, duży, bo miałam nadzieję, że urodzę dzieci... -Z trudem zapanowała nad rozedrganym głosem. - Wiedziała pani, że po wojnie wróciliśmy do Anglii, panno Julyan?

- Tak. Pani de Winter...

- Tę kasetkę zabrałam z sobą do Kanady - ciągnęła, jakby mnie w ogóle nie usłyszała, nadal wpatrując się w las. - Nie udało mi się znaleźć kluczyka, ale chciałam mieć przy sobie wszystkie pamiątki po Maximie, więc zatrzymałam kasetkę, licząc, że kluczyk w końcu się znajdzie. I wreszcie któregoś dnia w zeszłym roku otworzyłam ją. Musiałam wyłamać zamek śrubokrętem i skaleczyłam się w rękę. Strasznie tęskniłam za Maximem. Wie pani, smutek przychodzi falami... Czasami radzę sobie całkiem nieźle, lecz kiedy indziej budzę się z przerażającym uczuciem osamotnienia... Nie miałam pojęcia, co znajdę w środku. Myślałam, że może stare zdjęcia z okresu szkolnego, jakieś inne pamiątki, ale nigdy, nigdy nie przyszło mi do głowy, że będzie to coś, co mogłoby mieć jakiś związek z Rebeką... Widzi pani, pierwsze małżeństwo Maxima było głęboko nieszczęśliwe, o mało go nie zniszczyło. Dlatego w ogóle się tego nie spodziewałam... To był dla mnie prawdziwy szok...

Pchnęła bramę, którą przed chwilą otworzyłam i weszła na podjazd. Zawahałam się, lecz poszłam za nią. Przed nami drzewa tworzyły wysoki łuk, tunel cienia. Przypomniałam sobie sen ojca, w którym pojawia się małutka trumna. Pani de Winter w milczeniu ruszyła przed siebie, rozglądając się dookoła z mało przytomnym wyrazem twarzy. Nagle zatrzymała się i usiadła na pniu powalonego drzewa. Poszłam za jej przykładem. Dotarliśmy do tego zakrętu podjazdu, gdzie tata często lubi przystawać na chwilę, aby posłuchać przytłumionego szumu morza. Miałam wrażenie, że pani de Winter w ogóle go nie słyszy.

- W kasetce było pięć rzeczy - podjęła po chwili, odwracając bładą, znużoną twarz w kierunku ściany drzew. - Trzy notatniki, mały pierścionek z brylantami, zdecydowanie za mały na moje palce, i błękitna broszka w kształcie motyla. Nie rozumiałam, czemu Maxim zachował właśnie te rzeczy, dopóki nie przeczytałam drugiego notatnika... Jeden raz, potem drugi i trzeci... Nauczyłam się go na pamięć. Zawsze pragnęłam wiedzieć, jaka naprawdę była Rebeka... Cóż, teraz już wiem.

- Pani de Winter, jeżeli pani nie chce, wcale nie musi mi pani o tym mówić. Widzę, że sprawia to pani ból...

- Och, na początku było to rzeczywiście bolesne - rzekła poważnie. - Bardzo się zdenerwowałam. Nie mogłam zrozumieć, dlaczego Maxim zatrzymał jej rzeczy. Nie chciał, aby cokolwiek

przypominało mu o Rebecce, więc dlaczego to zrobił? Byłam kompletnie zagubiona, cierpiałam, źle spałam, zaczęły mnie dręczyć okropne sny o Rebecce, zupełnie jak po przyjeździe do Manderley wiele lat temu. Właśnie dlatego postanowiłam wrócić. Musiałam stanąć twarzą w twarz z przeszłością. Rebeka tak by postąpiła, prawda? Pomyślałam, że ja też mogę to zrobić. Nie chciałam być tchórzem...

W miarę spokojnie opowiedziała mi o swoim przyjeździe do Anglii. Zapewniła, że początkowo zależało jej, żeby dowiedzieć się czegoś więcej o Rebecce. Nie była pewna, czy zapisana w notatniku historia nie jest zmyślona. Zaczęła odwiedzać biblioteki, znalazła autobiografię McKendricka i sprawdziła wszystkie szczegóły, które można było sprawdzić. I wtedy zrozumiała, że to, co robi, wcale nie łagodzi jej cierpienia, wręcz przeciwnie.

Zdecydowała więc, że musi się pozbyć należących do Rebeki rzeczy, które od kilku tygodni wozila ze sobą. Czuliła, że nie może ich zniszczyć, dlatego postanowiła posłać je odpowiednim odbiorcom. Pierścionek wysłała Jackowi Favellowi, ponieważ to jego wuj przywiózł go z Afryki Południowej. Broszka powędrowała do pani Danvers, która z pewnością pamiętała matkę Rebeki. Odnalezienie pani Danvers zajęło jej sporo czasu. Powiedziała, że pewnego dnia, zupełnie przypadkiem, zobaczyła ją, kiedy przystanęła pod domem Rebeki na Tite Street. Pani Danvers właśnie wychodziła. Była bardzo zmieniona i postarzała, lecz ona natychmiast ją poznała.

- Natknęłam się na ten adres w starym notesie Maxima. Nigdy nie zapomniałam, jak wyglądała pani Danvers, nie mogłabym jej zapomnieć... Ta kobieta zmieniła moje życie w Manderley w piekło. Jestem przekonana, że poradziłabym sobie o wiele lepiej, gdyby jej tam nie było...

To wyjaśnienie wydało mi się co najmniej dziwne i zaczęłam się zastanawiać, ile razy pani de Winter przychodziła pod dom na Tite Street, żeby spojrzeć w okna mieszkania Rebeki. Zauważyłam, że całkowicie pomija świadczące o prawdziwej obsesji szczegóły swoich poszukiwań - nawet nie wspomniała o wieńcu z azalii. Ledwo o tym pomyślałam, gdy pani de Winter, jakby czytając w moich myślach, podjęła właśnie ten temat. Powiedziała, że zostawiła wieniec pod domkiem na plaży, aby uczcić pamięć Rebeki, potem zaś usy-

pała pagórek z muszelek na grobie małej dziewczynki, którą kiedyś zauważyła Rebeka.

- Wydaje mi się, że one obie miały ze sobą wiele wspólnego - rzekła niepewnie, obrzucając mnie krótkim spojrzeniem. - Rebeka i Lucy Carminowe... Żadna z nich nie zdołała dorosnąć. Było mi bardzo żal tego biednego dziecka, a kiedy dostrzegłam łączące je obie podobieństwa, zaczęłam współczuć Rebecce. To bardzo smutne, kiedy ktoś jest tak pewny swego jak ona i jednocześnie tak bardzo się myli, a raczej sam się oszukuje...

- Oszukuje, pani de Winter?

- No, tak. - Jej twarz rozjaśnił lekki uśmiech. - Rebeka przywiązuje ogromną wagę do swojej siły woli, stała się nią przechwała... Ale przecież nie zdołała siłą woli zmusić Maxima, aby ją pokochał, prawda? Maxim kochał mnie, nie Rebece. Twierdzi, że raz na zawsze zapadła mu w pamięć, lecz gdy stąd wyjechaliśmy, Maxim bardzo rzadko o niej myślał. W końcu uświadomiłam sobie, że Maxim zachował jej rzeczy z litości, ze zwykłego ludzkiego współczucia. Pierścioneł, który dostała od ojca, i broszkę od matki... Zrozumiałam, że Rebeka była dosyć dziecinna. Może naprawdę uwierzyła, że urosła dzięki sile woli, ale pod względem emocjonalnym nigdy nie dorosła, nie stała się osobą dojrzałą. Ona nawet pisze w dziecinny sposób, nie sądzi pani?

Pani de Winter spojrzała na mnie z nadzieją.

- Nie powiedziałabym tego - odparłam. - Chociaż faktycznie pisze w dziwny, bardzo charakterystyczny sposób.

- Och, ja uważam, że cała ta opowieść jej wyjątkowo infantylna. Zupełnie jak bajka, z rzucaniem klątw, z potworami... Zaskoczyło mnie to, bo uważałam Rebece za nowoczesną i wyrafinowaną... - Zmarszczyła brwi. - Możliwe nawet, że nie była zupełnie normalna, w każdym razie moim zdaniem jej zapiski świadczą o bardzo niestabilnym stanie umysłu. Zrozumiałam, dlaczego Maxim, człowiek o bardzo wysokim morale, był z nią nieszczęśliwy. Nie miała żadnych zasad. Bezwzględna i cyniczna, siała wokół siebie chaos i niepokój. Maximowi trudno było to znieść, bo lubił uporządkowane życie, spokój, poczucie bezpieczeństwa, normalne towarzystwo... Rebeka nigdy tego nie rozumiała i nic ją to nie obchodziło. W głowie miała pełno tych egoistycznych, romantycznych pomysłów. Była dziecinna, infantylna, proszę mi wierzyć. Bardzo mnie

rozczarowała. Wcale nie była taka interesująca, jak sobie wyobrażałam. Powiem pani, do jakiej doszłam konkluzji. - Spojrzała na mnie poważnie. - Była osobą godną pożałowania, która zapisywała swoje wspomnienia dla nieistniejącego dziecka, będąc bezpłodną. Może brzmi to okropnie, ale taka jest prawda. Była bezpłodna pod wieloma względami. Nie miała w sobie normalnych uczuć, ciepłego serca, kobiecości... Kiedy to do mnie dotarło, poczułam się o wiele lepiej, jakby przybyło mi sił. Zrozumiałam, że Maxim po prostu nie mógł jej kochać...

Czułam się nieswojo, jeszcze zanim pani de Winter rozpoczęła przemowę, a teraz ogarnął mnie gniew. Ani przez chwilę nie wierzyłam, że Rebeka była bezwzględna, cyniczna i pozbawiona zasad. Jeśli zaś chodzi o honor Maxima, to ciekawe, co z nim zrobił, gdy składał zeznania po śmierci Rebeki... Byłam prawie pewna, że Maxim zabił żonę i umknął sprawiedliwości. Ta kobieta o niewinnej twarzy, która siedziała teraz obok mnie, musiała znać prawdę o tych wydarzeniach, więc w oczach prawa była współniczką zabójcy. Tymczasem ją interesowało tylko jedno: czy Maxim kochał Rebeke, czy też nie... Otrząsnęłam się z zamyślenia.

- Chciałabym się dowiedzieć, jak było naprawdę, pani de Winer - odezwałam się cicho. - Czy pani mąż zabił Rebeke?

- Och, tak - odpowiedziała bez wahania, wprawiając mnie w skrajne zdumienie. - Teraz nie muszę już tego ukrywać, ponieważ Maxim nie żyje i nie grożą mu żadne reperkusje. Tyle że ja nigdy nie uważałam tego za morderstwo - Rebeka popełniła samobójstwo, a Maxim był tylko narzędziem w jej rękach. W nocy, kiedy wróciła z Londynu, poszedł do tego jej domku na plaży. Myślał, że przywiozła ze sobą jednego ze swoich kochanków, może tego kuzyna, Favella. Zabrał ze sobą rewolwer, o którym pisze Rebeka, żeby ich nastraszyć. Zdecydował, że dłużej nie będzie tolerował postępowania Rebeki. Powiedział mi, że była bezwstydną, nie da się nazwać tego inaczej. Nic go nie obchodziło, co Rebeka robi w Londynie, ale nie zamierzał patrzeć przez palce na jej wybryki w Manderley... - Przerwała na chwilę. - Został ją samą. Zaczęła drwić z niego i drażnić go w podły, bolesny sposób, panno Julyan. Powiedziała mu, że spodziewa się dziecka innego mężczyzny, które przedstawi światu jako potomka de Winterów. Ze jej bękart odziedziczy Manderley, że wszyscy dzierzawcy będą świętować jego uro-

dziny bo tak długo czekali na dziedzica... W końcu Maxim stracił panowanie nad sobą, wymierzył broń w jej serce i strzelił. Umarła natychmiast. Potem musiał zmyć krew, mówił, że wszędzie była krew... Przyniósł kilka wiader morskiej wody i starannie umył podłogę. Wreszcie przeniósł ciało na jej jacht. Chciał zatopić go na głębini, ale coś poszło nie tak, jak planował, nie wiem, co się stało. Biedny Maxim musiał być w strasznym stanie, wiatr się wzmaczał, a on nie pływał od kilku lat... Tak czy inaczej, sytuacja wymknęła się spod kontroli, więc wywiercił dziury w dnie i wskoczył do pontonu. „Je Reviens” przewrócił się na burtę i poszedł na dno tuż za rafą, na płyciźnie, zbyt blisko brzegu. Gdyby Maxim zdołał dopłynąć na głębini, byłby całkowicie bezpieczny. Nikt nie odnalazłby jachtu, a Maxim i ja zostalibyśmy w Manderley. Nadal byśmy tam mieszkali... Mielibyśmy dzieci i przyszłość przed sobą... Często myślę o przyszłości, która nie stała się naszym udziałem. Widzę ją bardzo wyraźnie. Chciałam mieć dwóch synów i dwie córki. Siedziałabym teraz w salonie w Manderley, z ogrodu dobiegałyby ich głosy i głos Maxima...

Odwróciła się gwałtownie, jakby rzeczywiście usłyszała wołający ją głos. Potem pochyliła głowę i zaczęła bezgłośnie płakać. Wyjęła z kieszeni chusteczkę do nosa i osuszyła oczy. Ku mojemu zdumieniu, zdołała odzyskać panowanie nad sobą. Gdy spojrzała na mnie, na jej niewinnej, zmęczonej twarzy malował się ten sam co wcześniej wyraz upartej pogody. Poruszyło mnie to bardziej niż słowa.

- Wytłumaczyłam dziś to wszystko pani ojcu - oznajmiła. -Więc na pewno i tak powtórzyłyby pani, wolę jednak, żeby poznała pani prawdę z moich ust. Powiedziałam pułkownikowi Julyanowi, że najważniejsze to zrozumieć szczegóły tamtych wydarzeń. Tamtej nocy Rebeka okłamała Maxima. Wiedziała przecież, że nie spodziewa się dziecka. Wiedziała, że umiera. Celowo sprowokowała Maxima, posłużyła się nim, wykorzystała go, panno Julyan. Zdaniem tego lekarza z Londynu i tak umarłaby w ciągu paru miesięcy, więc w pewien sposób czyn Maxima był aktem litości. Oszczędził jej długiego, strasznego cierpienia, potwornej agonii...

- To prawda, ale on wtedy o tym nie wiedział, pani de Winter.

- No, tak... - Zignorowała ton mojego głosu, zdecydowanie odsunęła wątpliwości. - Ale to nieistotne. Żadna ława przysięgłych nie uznałaby winy Maxima, nie w świetle tego, jaka była Rebeka i jak

bardzo go dręczyła. Na szczęście nigdy nie doszło do procesu, za co po części należy podziękować pani ojcu. Och, wiem, że nie miał żadnych dowodów przeciwko Maximowi, ale Maxim i ja zawsze uważaliśmy, iż pułkownik odgadł, co wtedy zaszło w domku na plaży. Pani ojciec okazał nam współczucie, panno Julyan, i tak naprawdę właśnie dlatego go dzisiaj odwiedziłam. Chciałam powiedzieć mu o swojej wielkiej wdzięczności. Maxim i ja byliśmy małżeństwem przez piętnaście lat - gdyby pani ojciec podjął wtedy bardziej zdecydowane kroki, nie mielibyśmy tych piętnastu lat szczęścia. Pragnęłam powiedzieć mu o tym przed swoim wyjazdem z Anglii i przed jego...

- Przed jego śmiercią?

- Cóż... No, tak... Oczywiście. Przeszedł poważną chorobę i nie jest już młody. Nie chciałam, aby nadal trwał w niewiedzy, sumienie by mi na to nie pozwoliło...

Jej sumienie wydało mi się wyjątkowo rozciągliwe, nie rozumiałam więc, dlaczego miałyby stać dęba akurat w tym wypadku, ale nie podjęłam tematu. Pani de Winter wstała, popatrzyła w kierunku Manderley i nagle, jakby pod wpływem świeżo podjętej decyzji, zwróciła się twarzą do bramy. Powoli ruszyliśmy w tamtą stronę. Szła obok mnie, robiąc wrażenie zupełnie spokojnej. Od czasu do czasu przekrzywiała głowę na bok, jakby słyszała dźwięki, które do mnie nie docierały, spoglądała na drzewa i uśmiechała się, jakby witała kogoś znajomego i darzonego szczególną sympatią. Myślę, że nadal widziała przed sobą przyszłość, która nigdy nie nadeszła, lecz jej wydawała się całkowicie realna.

Milczałam. Myślałam o mało wiarygodnych szczegółach historii, którą mi opowiedziała. Niezależnie od wszystkiego, tę wersję wydarzeń usłyszała od Maxima i może dlatego było w niej tyle słabych punktów. Jednym z najważniejszych wydawała mi się kwestia broni. Dlaczego przyzwyczajony do jej używania człowiek miałby zabrać naładowany rewolwer do domku na plaży, jeżeli jego jedynym celem było jakoby zaskoczenie Rebeki z kochankiem i napędzenie im strachu? Maxim de Winter mógł powtarzać, że mierzył w serce, ale od jakiej właściwie rany zginęła Rebeka? Czy ktoś, komu strzelono w serce i kto natychmiast umarł, obficie krwawi? Dobrze wiedziałam, że krwawienie ustaje w chwili, gdy serce przestaje bić. I co takiego powiedziała Rebeka, że Maxim całkowicie stracił panowa-

nie nad sobą? Pani de Winter wspomniała o dzierżawcach Manderley, co przypomniało mi, że Maxim bardzo pragnął spadkobiercy. Tymczasem oba jego małżeństwa były bezdzietne... Czy to możliwe, że tamtej nocy Rebeka oskarżyła męża o jakieś słabości seksualne?

Nie było jednak najmniejszego sensu, abym poruszała te kwestie z idącą obok mnie kobietą. Więcej, zakrawałoby to na okrucieństwo. Wyczuwałam, że pani de Winter nie jest tak spokojna, jak się wydaje i znacznie mniej przekonana o prawdziwości swoich słów, niż usiłowała mi wmówić. Zauważyłam, że kiedy byliśmy już blisko bramy, przyspieszyła kroku i przeszła na drugą stronę, nie oglądając się za siebie. Gdy wsiadliśmy do samochodu, wróciła do sprawy notatników.

- Wiem, kiedy mąż znalazł notatniki Rebeki, panno Julyan -powiedziała. - Było to po pożarze w Manderley, ostatniej nocy, którą tu spędziliśmy, tuż przed wyjazdem do Europy. Maxim chciał pójść na samotny spacer i pożegnać się z Manderley. Poszedł wtedy nad zatokę. Nie było go bardzo długo, parę godzin. Kiedy wrócił, dostrzegłam piasek na jego butach i wszystko odgadłam. Był milczący i blady. Zorientowałam się, że stało się coś strasznego, lecz powiedziałam sobie, że Maxim zachowuje się tak, bo musi opuścić Manderley. Dziś wiem, że poszedł do domku na plaży i natknął się na notatniki Rebeki. Wszystkie rzeczy nadal tam były nikt ich nie ruszał, chociaż od jej śmierci upłynął ponad rok. Nigdy tego nie rozumiałam... Maxim i inni zachowywali się tak, jakby Rebeka wyszła gdzieś na godzinę i miała zaraz wrócić. Nie mam pojęcia, dlaczego nie kazał uprzątnąć tego domku... - Rzuciła mi niepewne spojrzenie i jej ręce znowu zaczęły nerwowy taniec na podolku. - Dlaczego on zatrzymał te notatniki, panno Julyan? Dlaczego? I pierścionek, który miała na palcu, kiedy ją wynieśli na brzeg... Wiedziała pani, że zidentyfikowali ciało na podstawie tego pierścionka i ślubnej obrączki? Dlaczego Maxim zatrzymał pierścionek, który dostała od swojego ojca, a nie obrączkę, którą sam jej dał?

Zawahałam się. Przypomniałam sobie słowa Rebeki, że od chwili, gdy Maxim zobaczył pierścionek z brylantami na jej palcu, opanowała go ambicja, aby zastąpić go obrączką. Prawdopodobnie Maxim pochował Rebeke z obrączką na palcu, w ten dość szczególny

sposób osiągając swój cel, wydawało mi się jednak, że nie powinnam wspominać o tym wdowie po nim.

- Ja także tego nie rozumiem - odrzekłam. - Tylko pani mąż odpowiedziałby na te pytania. Nikt inny nie może wiedzieć, jakie miało to dla niego znaczenie.

- Nie wierzę, aby miało to dla niego jakiegokolwiek znaczenie - rzuciła ostro. - Nie mogło mieć. Mówiłam pani, że Maxim nigdy nie kochał Rebeki, że nienawidził każdej myśli o niej. Gdy dowiedział się, jaka naprawdę była, nie mógł już z nią żyć. Gdyby pani знаła Maxima, zrozumiałaby pani, o czym mówię - Maxim był bardzo opiekuńczy w stosunku do kobiet. Uważał, że kobieta powinna być delikatna, łagodna, czysta, niewinna...

Na policzki pani de Winter wypełzł krwawy rumieniec.

- Być może istnieją różne rodzaje niewinności - rzekłam, starając się zachować spokój. - Na podstawie zapisków Rebeki mogę powiedzieć, że była czysta. Niczego nie udawała, była szczerą...

- Nie rozumiem, co pani ma na myśli - rzekła z uporem. - Nie wierzę zresztą w to, co ona pisze. Mówiłam już, że w najlepszym wypadku zasługuje na litość, bo trudno przecież winić ją za to, jak została wychowana. Rebeka nie miała za grosz wyczucia proporcji... I strasznie przesadzała. Napisała, że obdarowała Maxima niepokojem... Kiedy to przeczytałam, bardzo się zdenerwowałam, lecz teraz wiem, że to absurdalne. Maxim nienawidził niepokojem, uwielbiał spokój, ciszę i rutynę. Bardzo proszę skrócić tu w lewo, panno Ju-lyan, hotel jest po prawej stronie drogi...

Spełniłam jej prośbę i ruszyłam w dół wąską drogą, prowadzącą prosto nad wodę. W oddali dostrzegłam błysk srebrzystych fal. Hotel, który wybrała pani de Winter, stał tuż nad morzem. Był niewielki i skromny, nieco staroświecki i, jak szybko się zorientowałam, faworyzowany przez gości w starszym wieku.

- Zameldowałam się tu pod panięńskim nazwiskiem - oświadczyła pani de Winter, kiedy wjechałyśmy na parking. - Wolę anonimowość. Maxim i ja nigdy nie szukaliśmy towarzystwa. Po co przywiązywać się do ludzi, skoro i tak niedługo rusza się w dalszą drogę? Zresztą, ludzie są tacy ciekawscy... - Zawahała się. - Bardzo brakuje mi męża, panno Julyan. Zawsze kierowałam się tylko jedną ambicją - chciałam uczynić Maxima szczęśliwym. I wiem, że mi się to udało. W głębi serca jestem o tym przekonana. Rzadko się roz-

stawaliśmy. Maxim całkowicie mi ufał... Cóż, teraz nie mogę z nim porozmawiać i czuję się bardzo, bardzo samotna. I dlatego lubię takie małe hoteliki... - Odwróciła się do mnie z rozjaśnioną, pogodną twarzą. - Ten przypomina mi śliczne miejsca we Francji, gdzie spędziliśmy dużo czasu. Czasami wieczorem siadam na tarasie i wyobrażam sobie, że Maxim jest tuż obok mnie. Opowiadam mu zabawne historyjki o innych gościach, a on udaje, że go to śmiertelnie nudzi i jak zwykle szorstko pomrukuje coś pod nosem... Lecz wiem, że w gruncie rzeczy świetnie mnie rozumie i wcale nie jest znudzony, tylko trochę się ze mną drażni. Jest szczęśliwy, bardzo szczęśliwy, bo przecież zawsze byliśmy szczęśliwi...

Znowu odwróciła się nagle, jakby usłyszała jakiś przeznaczony wyłącznie dla jej uszu dźwięk. Nieobecny wzrokiem popatrzyła na morze.

- Słyszała to pani? - zapytała nerwowo. - Wydawało mi się, że ktoś woła mnie po imieniu...

Powiedziałam, że niczego nie słyszałam, ale chyba jej nie przekonałam.

- To na pewno mewy — oświadczyła pospiesznie. — Tak, mewy... Czasami wydają z siebie zupełnie niesamowite dźwięki, prawda? No, muszę się pospieszyć. Jutro czeka mnie długa podróż, a po powrocie do Kanady... Widzi pani, postanowiłam, że raz na zawsze zostawię to wszystko za sobą. Zacznę nowe życie, spróbuję poznać nowych ludzi, niewykluczone nawet, że poszukam sobie pracy. Nie muszę pracować, Maxim zadbał o to, ale chcę być użyteczna. Może przydam się w jakiejś organizacji dobroczynnej, bo tam zawsze potrzeba pomocników, prawda?

Na jej twarzy znowu malowała się ta całkowicie sztuczna pogoda ducha, lecz oczy wydawały się puste i zagubione, a w głosie brzmiała nuta przerażenia. Zrobiło mi się jej żal i chyba to wyczuła, bo zaczerwieniła się, sięgnęła po torebkę i rękawiczki, i otworzyła drzwi, w każdej chwili gotowa do ucieczki. Rzuciła mi nieśmiało spojrzenie i chwyciła moją rękę.

- Była pani dla mnie bardzo miła - powiedziała. - Cieszę się, że mnie pani wysłuchała i że widziałam pani ojca. Mam nadzieję, że postąpiłam właściwie, że go nie zmęczyłam... Boże, jest już po siódmej! Jak ten czas leci! Muszę biec. Dziękuję raz jeszcze. Dowidzenia, panno Julian.

Patrzyłam, jak idzie w kierunku hotelu, zwyczajna, nierzucająca się w oczy kobieta w średnim wieku. Skinęła głową kilku osobom, które właśnie wracały ze spaceru. Zauważyłam, że na tarasie przystanąła, a jej popielata suknia wtopiła się w tło perłowoszarego nieba. Patrzyła ku morzu. Odwróciłam głowę, podążając za jej spojrzeniem, a kiedy wróciłam wzrokiem do miejsca, gdzie stała, już jej nie było.

Zwolniłam hamulec, zrobiłam małe kółko i pojechałam pod górę. Nacisnęłam pedał gazu, pragnąc jak najszybciej zostawić za sobą panią de Winter. Wiedziałam, skąd bierze się ta niechęć - nagle wydało mi się możliwe, że w niezbyt odległej przyszłości mogłabym bardzo się do niej upodobnić. Jak większość ludzi, miałam nadzieję, że życie da mi szansę na miłość, ale jeżeli rola żony sprowadzała się do szarej egzystencji w stylu pani de Winter, to wołałam uciec od tego jak najdalej.

Czy pielęgnując swój jedyny życiowy cel - uszczęśliwienie męża - przeczuwała długie lata wdowieństwa? Czy dar jego miłości zrekompensował fakt, że był mordercą? Jeśli miłość mogła doprowadzić kobietę do takiego stanu, to wołałam jej nie zaznać. Nie chciałam więcej słuchać drugiej żony, z całego serca pragnęłam usłyszeć głos pierwszej i wiedziałam, że moje życzenie się spełni, gdy dotrę do domu i otworzę ostatni czarny notatnik. Rebeka miała opowiedzieć mi prawdę o swoim ojcu i mężu. Uczynić zrozumiałym obcy język swojego małżeństwa...

W Sosnach zostawiłam samochód na podwórku i poszłam prosto do gabinetu ojca. Siedzieli tam we dwoje z Rose, pogrążeni w poważnej rozmowie. Rose wyglądała na zatroskaną i niespokojną, tata był blady i zmęczony. Bez słowa podał mi czarny notatnik. Zważyłam go w dłoni. Jeszcze zanim otworzyłam, zrozumiałam, że różni się od dwóch poprzednich. Był lżejszy.

Rozwiązałam zasupłane na grzbiecie rzemyki i z drżeniem serca rozchyliłam okładkę. Na pierwszej stronie, przedartej w połowie, widniała data, 12 kwietnia, dzień śmierci Rebeki. Niżej, zanotowane jej pismem, chociaż wyraźnie zmienionym pod wpływem stresu, znajdowało się jedno słowo: „Max”.

Dalej zobaczyłam fragmenty pierwszego zdania, popękane łuki poszczególnych liter. Papier rozdarło w taki sposób, żeby tekst był całkowicie nieczytelny. Większa część kilku następnych kartek zo-

stała usunięta, reszta pozostała niezapisana. Ostatnia wiadomość, jaką zostawiła Rebeka, przeznaczona była dla jej męża. I ktoś ją zniszczył. Nie było ostatnich słów. Koniec końców odebrano jej głos...

- Kto to zrobił? - zapytałam, wstrząśnięta i wściekła. - Maxim?

- Może. - Ojciec westchnął. - Albo pani de Winter, chociaż tak gorąco zaprzeczała...

- Mogła też zrobić to sama Rebeka - wtrąciła Rose. - Nie wykluczałabym takiej możliwości. Ja jednak wiem, na kogo z tej trójki oddałabym swój głos. Ktokolwiek to zrobił, postąpił głupio i nierozważnie - milczenie zawsze mówi bardzo, bardzo dużo... I zostawia ogromne pole dla wyobraźni.

ROZDZIAŁ 30

Tej nocy tata, ku mojej wielkiej uldze, spał mocno i spokojnie, w przeciwieństwie do mnie. Rano przyniosłam mu śniadanie do łóżka, lecz okazało się, że już wstał. Spodziewałam się pytań na temat pani de Winter, ponieważ poprzedniego wieczoru zadał ich zastanawiająco niewiele, ale jego nowa umiejętność nierozwodzenia się nad przeszłością zdążyła się w nim dość mocno zakorzenić. Można powiedzieć, że w ciągu ostatnich tygodni ojciec posiadał sztukę zapominania. Całą uwagę skoncentrował na zaplanowanym na ten dzień lunchu oraz przybyciu Toma Galbraitha i jego przyjaciela, Nicholasa Osmonda. Okazało się, że przygotowania są już w toku - na łóżku leżało kilka garniturów, a on trzymał w ręku pęk krawatów i jastrzębim wzrokiem mierzył swoją garderobę.

- Muszę wyglądać jak należy - rzekł. - Porządnie i schludnie. Mówiłem ci, że wpadnie także Francis Latimer, Ellie? Pomyślałem, że trochę ożywi towarzystwo. Potrzebuję kobiecej rady, moja droga. Który garnitur - ten czy tamten?

Oczywiście wcześniej ani słowem nie wspomniał o zaproszeniu Francisa Latimera i doskonale o tym wiedział. Oba garnitury, które wskazywał, uszyto z grubego tweedu. Dochodziła dziewiąta rano, niebo było bezchmurne, temperatura przekroczyła już dwadzieścia stopni i nadal rosła. Usiłowałam namówić ojca, by zdecydował się na jeden z lekkich garniturów, które dawno temu nosił w Singapurze, ale zdecydowanie zaprotestował. Wiedziałam, co nim powodowało - tata nie życzy sobie, by ktoś zauważył, jak bardzo wychudł i przygarbił się, a luźne tweedy znakomicie to maskują. Podałam

się i ostatecznie wybrał garnitur z zielonkawego tweedu z kontrastującym krawatem.

- Idealnie - rzucił, podnosząc je z łóżka. - Bardzo się cieszę na to spotkanie, Ellie. O której przychodzą ci młodzi ludzie?

- Około dwunastej, tato.

- Około dwunastej? Około, na miłość boską? Za moich czasów wszyscy byli punktualni i szcycili się tym. Muszę zająć się drinkami, sprawdzić, co mamy w piwniczce... Jakoś nie mogę znaleźć tej sherry, którą kupiłem po okazyjnej cenie. Dałbym sobie rękę uciąć, że zostały jeszcze ze dwie butelki, ale znikły gdzieś jak kamfora...

Pospiesznie zbiegłam na dół i ukryłam butelki wstrętnej sherry w jeszcze lepszym miejscu, a potem obie z Rose ustawiłyśmy stół w cieniu araukarii.

- Tweedowy garnitur... - mruknęłam. - I to jeszcze zielony... -Przykryłam stół białym obrusem i ozdobiłam wazonem z kwiatami. Powietrze pachniało nadzieją i oczekiwaniem, morze śpiewało, przyszłość uśmiechała się do mnie. - Och, Rose! - zawołałam. - Co za cudowny dzień!

- Bardzo ładnie wyglądasz - powiedziała Rose. - Oby tylko twój ojciec nie zaczął robić problemów z byle czego... Kiedy podam małże, nic nie mów - ten twój pan Galbraith obiecał mi, że przywiezie czosnek...

Tom Galbraith okazał się człowiekiem honoru. Przybył wraz z przyjacielem, wyszukany samochodem tegoż, dokładnie pięć po dwunastej. Rano przyплыnęli promem z St. Mało, przywożąc ze sobą frykasy z Francji, całkowicie niedostępne w Kerrith. W dużym koszu było parę butelek szampana i wspaniałego młodego wina, różowe winogrona, warkocz czosnku, bukiety pachnącego tymianku, rozmarynu i majeranku, spora torebka ziarnistej kawy oraz, w ozdobnym pudełeczku ze wstążkami, małe biszkopciki domowej roboty, wszystkie w kształcie palmowych liści. Rose spadła na te skarby jak jastrząb i zabrała się do ich rozpakowywania, podczas gdy ja najpierw pełnym zdumienia wzrokiem wpatrywałam się w od dawna nie widziane luksusy, a potem w Toma Galbraitha i jego towarzysza.

Dwa tygodnie w Bretanii odmieniły Toma nie do poznania. Był

opalony, uśmiechnięty i swobodniejszy niż kiedykolwiek przedtem. A jego przyjaciel? Wstyd przyznać, ale zagapiłam się na niego z otwartymi ustami. Spodziewałam się, że zobaczę zaszuszonego naukowca, smutnego wdowca, tymczasem Nicholas Osmond okazał się najpiękniejszym i najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek widziałam. Miał złociste włosy i wyłożoną słońcem skórę oraz intensywnie szafirowe oczy. Gdy stał nieruchomo, co zdarzało się bardzo rzadko, emanował idealnym urokiem i powagą anioła z obrazów mistrzów włoskiego renesansu. Nie pasował do kuchni z piecem, który psuł się co drugi tydzień. Powinien stać pod czystym jak łza, błękitnym niebem i podawać doskonałą lilię Dziewicy Maryi.

Nawet Rose była wyraźnie poruszona. Przywitała się z gośćmi, a potem szybko zajęła się koszem z francuskimi przysmakami, starannie opakowanymi w woskowany papier przekładany słomą, żeby ukryć wyraz twarzy.

- Czy możemy otworzyć szampana, pani profesor? - zwrócił się do niej Osmond, rozświetlając pokój promiennym uśmiechem. - Jest chyba wystarczająco schłodzony, steward na promie dał nam dziś rano trochę świeżego lodu. Musimy uczcić to spotkanie. Tyle o was wszystkich słyszałem... Co za wspaniały dzień! Panno Julyan - nie, to brzmi strasznie formalnie, nie mogę tak się do pani zwracać... Czy pozwoli pani, żebym mówił jej po imieniu? Ellie, gdzie jest twój ojciec? Jak się czuje? Nie mogę się doczekać, kiedy go poznam. Tom bardzo dużo mi o nim opowiadał, więc chwilami wydaje mi się, że znam go od lat...

Wiedziałam, gdzie jest ojciec - schował się w gabinecie. Cudem udało mi się doprowadzić go do szeroko otwartych drzwi na taras.

- Cieszę się, że znowu pana widzę, Galbraith - rzekł, potrząsając dłonią Toma.

Potem przedstawiliśmy mu anioła. Przez chwilę stawiał opór - jego chłodne spojrzenie spoczęło na złocistych włosach, które zwijały się w bezwstydne loki, i na rozpiętym kołnierzyku koszuli Osmonda. Przyszedł na proszony lunch bez krawata? Ojciec i jego garnitur lekko się zjeżyli.

Nieświadomy niczego, promienny Osmond mocno chwycił jego rękę.

- To dla mnie ogromna radość, że wreszcie mogę pana poznać,

pułkownika. Tom dużo mi o panu opowiadał... - zaczął i w tym momencie zauważył Barkera. - Co za wspaniały pies. Uwielbiam tę krzyżówkę! Pół nowofundland, pół wyżeł, czy tak, pułkowniku? Kiedy byłem mały, miałem dokładnie takiego samego, nigdy się z nim nie rozstawałem. To wyjątkowo inteligentne psy. Nazywasz się Barker, prawda? Nie, nie wstawaj, staruszk...

Barker, który zawsze odnosi się do obcych z chłodną rezerwą, usiłował dźwignąć się na nogi. Osmond podszedł do niego i wyciągnął rękę. Barker obwąchał ją, spojrzał na anioła, jeszcze raz dotknął nosem jego dłoni, a potem ją polizał. To było coś niesłychanego, zwłaszcza przy pierwszym spotkaniu. Osmond ukląkł i przytulił do piersi śmierdzącą głowę Barkera. Zerknęłam na ojca. Jego spojrzenie straciło cały chłód, w oczach zabłysło rozbawienie. Uśmiechnął się szeroko. Anioł przybył i zwyciężył, pomyślałam.

Był to wspaniały lunch. Kiedy teraz usiłuję przywołać te kilka godzin z pamięci, nie mogę przypomnieć sobie zbyt wielu szczegółów, a już zwłaszcza żadnych sygnałów, zwiastujących, że jeszcze tego samego dnia moje życie miało zmienić się raz na zawsze.

Zanim usiedliśmy, Tom Galbraith poprosił mnie o chwilę rozmowy, potem zaś bez śladu zwykłej rezerwy powiedział, że w końcu podjął decyzję, co powinien zrobić z pierścieniem Rebeki. Zapytał, czy po południu pójdę z nim i jego przyjacielem na spacer do Manderley ponieważ chciałby wyjaśnić mi wiele rzeczy.

- Tak się cieszę, że cię znowu widzę, Ellie - rzekł, obejmując mnie lekko. - Mamy sobie naprawdę dużo do powiedzenia...

Rzeczywiście tak było i perspektywa tej rozmowy wystarczyła, abym ujrzała świat w zupełnie nowych barwach. Nie pamiętam, jak długo trwał lunch. Chyba około dwóch godzin, lecz dla mnie czas przestał się wtedy liczyć.

We wspomnieniach widzę ojca, siedzącego u szczytu stołu, z Rose po prawej ręce i Nicholasem Osmondem po lewej. Ja usiadłam naprzeciwko niego, między Tomem i Francisem Latimerem, który przyjechał dość późno, ponieważ w ostatniej chwili musiał zająć się chorym w szpitalu. Pamiętam, że jedliśmy doskonały chłodnik Rose, mus rybny, świeżego, złowionego tego samego ranka łososia smażonego na maśle oraz małże, które ojciec zjadł bez słowa prote-

stu, chyba nawet nie zauważywszy, iż Rose doprawiła je czosnkiem. Pamiętam truskawki, mus czekoladowy, biszkopciki w kształcie palmowych liści i mocną, znakomitą kawę, a także wino, które miało smak lata, niebieskawy cień araukarii na białym obrusie... Przede wszystkim pamiętam jednak uczucie spokoju i szczęścia.

Wydaje mi się, że właśnie w czasie tego lunchu zrozumiałam, jak wielkim darem losu jest urok osobisty. Wszyscy, którzy znali Rebekę i rozmawiali ze mną o niej, od lat podkreślali jej niezwykły wdzięk; ja również zapamiętałam ją jako osobę, z którą chciało się przebywać, zdążyłam już jednak zapomnieć, jak potężną i rzadką siłą jest czar. Tego dnia znowu zetknęłam się z jego działaniem, tym razem w osobie Nicholasa Osmonda. Kiedy ludzie mówią o uroku, najczęściej mają na myśli coś złożonego i wypracowanego, technikę manipulacji, za pomocą której można wykorzystywać innych, lecz prawdziwy czar i wdzięk jest darem od bogów, czymś nieuświadomionym i zawsze naturalnym. Człowiek, który go posiada, wydaje się czarodziejem i nikt nie potrafi mu się oprzeć.

Nicholas Osmond nie starał się nikogo oczarować, podobnie jak Rebeka, ale z obojga promieniowała czysta radość życia, wobec której nikt nie mógł pozostać obojętny. Patrząc na niego - a trudno było oderwać od niego oczy - miałam wrażenie, że pod jego wpływem każde, nawet najdrobniejsze wydarzenie nabiera blasku. To, co zwyczajne, stawało się nadzwyczajne, to, co przeciętne - radosne i piękne. Nie umiem tego wyjaśnić, ale naprawdę wydawało mi się, że Rebeka jest wśród nas i otacza nas ciepłem swojej obecności.

Nie przypominam sobie, o czym rozmawialiśmy. Na pewno o Bretanii i chyba o Cambridge, o kapuście i o królach. Nawet czujny Francis Latimer padł ofiarą anioła. Wiem, że w czasie tego lunchu dowiedziałam się o nim więcej niż podczas wszystkich poprzednich spotkań. Na początku wydawało się, że postanowił być chłodny wobec Toma Galbraitha - może słyszał o nim jakieś plotki w Kerrith, a może mój ojciec powiedział o Tomie coś, co nie spodobało się Francisowi, lecz w trakcie posiłku ta wrogość zniknęła, chociaż uważnie obserwował i Toma, i jego przyjaciela. Obecność Francis'a jak zwykle wprawiła ojca w świetny humor. Zapomniał o zgryźliwości i zaczął opowiadać historie z okresu Singapuru, których nie słyszałam już od wielu lat. Z apetytem pochłaniał niewielkie porcje i w ogóle nie narzekał na „dziwaczne przyprawy”.

- Dziękuję, nie - powiedział, kiedy Tom chciał powtórnie napełnić winem jego kieliszek. - Lekarz zabrania. Sam chętnie podjąłbym ryzyko, ale on siedzi naprzeciwko i nie spuszcza mnie z oka...

- Skądże znowu - odparł Francis z uśmiechem. - Moja uwaga skupiona była na zupełnie innej osobie...

Dostrzegłam, że obaj, ojciec i Francis, wymienili porozumiewawcze spojrzenia, jakby właśnie opowiedzili sobie jakiś prywatny żart, którym nie mieli zamiaru podzielić się z nikim innym.

- Proszę jeszcze wpaść do nas kiedyś, Osmond - wielkodusznie powiedział ojciec pod koniec lunchu, żegnając się z nami przed udaniem się na popołudniową drzemkę. - Niech pan namówi Galbraitha, żeby przyjechał tu z panem na weekend. Jeżeli pogoda będzie ładna, Francis mógłby zabrać was na wycieczkę po morzu swoją łodzią. Francis uczy Ellie żeglować. W domu jest dosyć miejsca dla was obu. Będziemy szczęśliwi, jeśli przyjdziecie. Połowy pokoi i tak nigdy nie używamy... Ellie, namów ich, proszę.

Rose lekko uniosła brwi. Od zakończenia wojny do Sosen nie przyjeżdżał na dłużej nikt poza nią. W ciągu ostatnich dziesięciu lat zapraszaliśmy gości tylko na lunch, i to najwyżej po trzy, cztery osoby.

Nie rozumiałam, dlaczego ojciec uznał za stosowne wspomnieć o lekcjach żeglugi, które pobierałam u Francis'a...

Weszłam do domu, żeby odprowadzić ojca do sypialni. Otworzyłam okno w jego pokoju i zaciągnęłam zasłony. Z góry dostrzegłam Francis'a Latimera, który oddalił się od pozostałych gości i przystanął przy murze w ogrodzie, patrząc na morze. Zaczął przechadzać się tam i z powrotem, zupełnie jakby był czymś zdenerwowany. Zerknął na zegarek i przeniósł spojrzenie na dom, a właściwie na okno sypialni ojca. Odwrócił się gwałtownie. Słońce świeciło mu w oczy, więc nie byłam pewna, czy mnie widział.

Barker usadowił się na dywaniku przed kominkiem. Ojciec zdjął swoją okropną tweedową marynarkę, buty z niewyprawionej skóry,

i położył się. Zamknął oczy, więc pomyślałam, że od razu zasnął, i na palcach ruszyłam w stronę drzwi. Kiedy byłam w połowie drogi, podniósł powieki i utkwiał we mnie bystre spojrzenie niebieskich oczu.

- Chciałbym mieć pewność, że twoja przyszłość będzie spokojna i bezpieczna, Ellie - odezwał się. - Niczego więcej już nie prag-

nę. Kiedy zobaczę cię ustatkowaną, będę mógł odejść z czystym sumieniem. Mam nadzieję, że wiesz, iż nie zamierzam kopnąć w kalendarz, dopóki nie zyskam całkowitej pewności...

- W takim razie postaram się jeszcze długo trzymać cię w napięciu - odparłam.

- Nie żartuj sobie. - Westchnął. - Posłuchaj morza, Ellie, nadchodzi przypływ.

Odwróciłam się do drzwi, lecz nagle przystanąłam. Wsłuchując się w szum morza, poczułam, że jestem w jakimś dziwnym stanie, na pograniczu smutku i radości. Podeszłam do łóżka i pocałowałam ojca w czoło.

- Lunch był doskonały, Ellie - mruknął, przymykając oczy. - Bardzo spodobał mi się ten Osmond. Wdowiec, prawda? Przydałoby mu się porządne strzyżenie... Galbraith był w wyśmienitej formie, kiedy wszedł, ledwo go poznałem. Latimer też był w bardzo dobrym nastroju, robił wrażenie szczęśliwego... Szkoda, że Rose doprawiła małże czosnkiem, bez niego są znacznie lepsze... Wybierasz się gdzieś po południu?

Widziałam, że zasypia, więc powiedziałam mu tylko, że idę na spacer z Nicholasem i Tomem. Potem oni jadą do sióstr Briggs, ale ja wrócę na podwieczorek. Francis Latimer również zamierzał zostać. Na wieczór planowaliśmy kolejną lekcję żeglowania.

- Dobra z ciebie dziewczyna, Ellie - oświadczył ojciec i mocno chwycił mnie za rękę. - Oczywiście, jesteś uparta jak wszyscy diabli - zawsze taka byłaś i będziesz. Moim zdaniem trochę przesadzasz z niezależnością... I jesteś skryta, nigdy nie mówisz, co cię boli... Twoja matka była dokładnie taka sama. Wiem, że byłaby z ciebie dumna, tak jak ja. Nie wiem, co bym bez ciebie zrobił... Tak, zginąłbym marnie, nie ma co ukrywać. No, biegnij już...

Kiedy się upewniłam, że ojciec zasnął spokojnie, zbiegłam po schodach i wyszłam na słońce. Było cudownie piękne popołudnie, morze szumiało spokojnie, na niebie nie dostrzegłam ani jednej chmurki. Na sekundę położyłam rękę na broszce Rebeki, którą tego ranka przypięłam do niebieskiej sukienki. Chciało mi się śpiewać i skakać.

- Wyglądasz na szczęśliwą, Ellie - powiedział z uśmiechem

Francis Latimer, kiedy mijalam go, przechodząc koło araukarii. -Bardzo to do ciebie pasuje.

- Jestem szczęśliwa - odparłam.

- Dokąd popłyniemy wieczorem? W górę rzeki czy na otwarte morze?

- Na morze.

Na każde pytanie istnieje dobra i zła odpowiedź. Wiedziałam, że ta sprawa mu prawdziwą przyjemność, bo jego twarz pojaśniała. Zostawiłam go w ogrodzie, pogrążonego w rozmowie z Rose, i razem z Tomem wsiałam do nisko zawieszonoego samochodu Nicholasa Osmonda. Zajął miejsce z przodu, obok anioła, a Tom jakimś cudem wtłoczył długie ciało na małe siedzenie z tyłu. Dach samochodu był złożony, wiatr gwizdał nam w uszach. Nigdy wcześniej nie jechałam sportowym samochodem i nie miałam pojęcia, jakie to ekscytujące.

Przemknęliśmy obok ślepej drogi, przy której stoi domek Toma, i ruszyliśmy pod górę, w kierunku lasów Manderley. Zaparkowaliśmy na rozdrożu, otworzyliśmy ciężką bramę i weszliśmy w chłodny, niebieskawy cień drzew.

- Masz przy sobie pierścionek, Tom? - zapytał Osmond.

Tom skinął głową. Zauważyłam, że bez słów porozumieli się krótkim, pogodnym spojrzeniem.

- Rozejrzę się chyba trochę po lesie i może zerknę na dom -rzekł Osmond. - Muszę go wreszcie zobaczyć, bo przecież przez tyle tygodni żył w mojej wyobraźni. Dołączę do was na plaży, dobrze?

Zniknął między drzewami, a ja poczułam, jak powoli ogarnia mnie napięcie. Zostałam sam na sam z Tomem i nie miałam cienia wątpliwości, że obaj wcześniej to uzgodnili. Gdyby Tom był tak pełen dystansu jak zwykle, mój niepokój na pewno by wzrósł, ale szybko się zorientowałam, że nawet teraz, gdy byliśmy sami, świeżo odnaleziona pogoda ducha i pewność siebie bynajmniej go nie opuściły.

Trochę żałowałam, że nie wiem, co stało się przyczyną tej przemiany. Tom sprawiał teraz wrażenie człowieka, który podjął decyzję i pogodził się z sobą i ze światem. Z oddali dobiegał szum fal, które wołały nas do siebie, i kiedy tak szliśmy leśną ścieżką, zaczęłam mu opowiadać, co wydarzyło się w czasie jego nieobecności. Opi-

sałam swoje spotkania z panią Danvers i drugą żoną Maxima. Powiedziałałam o książkach, które znalazłam w domku na plaży, o liście imion dla dziewczynek i chłopców, o broszce w kształcie motyla, i wreszcie o ocenzurowanym notatniku.

Słuchał uważnie i zadawał mi pytania, jakich się spodziewałam. Gdy dotarliśmy na skraj lasu i wyszliśmy na słońce, uświadomiłam sobie, że nabrał do tej sprawy nowego dystansu. Nawet kiedy streściłam mu wyznanie pani de Winter, zareagował dziwnie spokojnie. Owszem, ciekawiło go to, co mówiłam, ale jeszcze niedawno byłby znacznie bardziej poruszony. Najwyraźniej równocześnie myślał o czymś innym. Zauważyłam, że raz czy dwa rzucił mi serdeczne, nieco rozbawione spojrzenie, lecz ogólnie rzecz biorąc, sprawiał wrażenie zdekoncentrowanego.

Doszłam do wniosku, że za długo rozwodzę się nad szczegółami. Pomyślałam, że Tom na pewno chce opowiedzieć mi o Bretanii i swoich tamtejszych odkryciach, a ja naturalnie chciałam o nich usłyszeć.

- Jak już mówiłem w czasie lunchu, spędziliśmy tam cudowne dni - rzekł, kiedy skierowaliśmy się w stronę morza. - Wybrzeże jest bardzo podobne do naszego. Od razu zrozumiałem, dlaczego Rebeka poczuła się tu jak w domu. Nicky i ja znaleźliśmy parę bardzo pięknych wiosek rybackich, nietkniętych przez czas. Są tam wyjątkowo interesujące kościoły...

- Ale pojechaliście chyba do samego St. Croigne Dulac?

- Tak, w końcu tam dotarliśmy. Najpierw sporo zwiedzaliśmy. Nicky potrzebował odpoczynku, a ja chciałem pozbierać myśli, dlatego niespiesznie podróżowaliśmy w dół wybrzeża. W St. Croigne znaleźliśmy się w połowie drugiego tygodnia...

- Czekaleś cały tydzień?! Boże, ja pognałabym tam od razu, natychmiast! I co, czy dom Rebeki, ten szary, kwadratowy dom na samym brzegu morza nadal stoi?

- A jakże. Nie sposób go nie zauważyć. St. Croigne to mała wioska, a ten dom stoi z dala od reszty domów, niemal na plaży, i jest dokładnie taki, jak opisała Rebeka. Niestety, nikt w nim teraz nie mieszka i jest zamknięty, więc nie udało nam się dostać do środka. Mieliśmy nadzieję, że umówimy się ze stróżem, który dogląda domu - to jeden z miejscowych rybaków - ale jakoś nic z tego nie wyszło. Nie mogliśmy zastać go w domu.

- A gdzie się zatrzymaliście? Widziałeś kościół i *château* krewnych Rebeki? Czy ktoś z rodziny Marie-Hélène jeszcze żyje? Może jej syn, który nadał nazwę jachtowi Rebeki?

- Mieszkaliśmy w małym hoteliku, właściwie pensjonacie. Zona właściciela jest znakomitą kucharką i bardzo polubiła Nicky'ego - na pewno zdażyłaś zauważyć, że szybko zjednuje sobie sympatię nowych znajomych. Nie zdołaliśmy odnaleźć nikogo z rodziny Marie-Hélène. Jej syn, ten, o którym mówisz, zginął w czasie wojny. I nie udało nam się ustalić, jak naprawdę było z tym chłopcem, który utopił się w czasie sztormu. Szczerze mówiąc, raczej nie oczekiwałem, że dowiemy się czegoś konkretnego. Wybrzeże w tej części Bretanii jest bardzo niebezpieczne i zdarza się tam dużo wypadków...

Coś tu było nie tak. Takie ogólniki z ust człowieka, który trzykrotnie sprawdzał każdy fakt?

- Na szczęście nie był to stracony czas - ciągnął, spoglądając przez ramię w kierunku domu.

Z oddali widziałam Nicholasa Osmonda, słońce lśniło na jego złocistych włosach. Zaczęliśmy schodzić ścieżką na plażę. Zbliżał się czas przyływu. Jeszcze pół godziny, i fale przykryją skalisty grzbiet rafy.

- Mam nadzieję, że nie był - odpowiedziałam, czując, jak poprzednie uniesienie opuszcza mnie bez śladu i bezskutecznie próbując je zatrzymać. - Tak chciałabym zobaczyć tamten dom... Pojechać tam i zobaczyć miejsce, gdzie spędziła część dzieciństwa...

Tom ujął mnie za ramię.

- Nie bądź taka smutna - powiedział z uśmiechem. - Wszystko jest tam dokładnie takie, jak opisała to Rebeka, daję ci słowo honoru. Akurat w tym nie ma żadnych nieścisłości. - Zawahał się i na chwilę zawiesił głos. - Czasami lepiej widzi się jakieś miejsce oczami wyobraźni, Ellie. Wyobraźnia sprawia, że wszystko jest barwniejsze i wyraźniejsze niż w rzeczywistości, w każdym razie tak twierdzi Nicky...

Nasze kroki zachrzęciły na żwirze. Podeszliśmy do domku, ale pracownicy agencji nieruchomości zakończyli już zabezpieczanie budynku - okna były starannie zabite deskami, drzwi wzmocnione drewnianą sztabą. Nagle zrozumiałam, że wczorajsza rozmowa z panią de Winter niczego nie zmieniła. Wdowa po Maximie udzie-

lila mi pewnych odpowiedzi, lecz pytania - a wiele z nich nadal pozostało nie wyjaśnionych - okazały się o wiele bardziej interesujące. Odwróciliśmy się i ruszyliśmy wzdłuż plaży. Przyspieszyłam kroku, natomiast Tom zwolnił i w rezultacie stopniowo zaczęliśmy się od siebie oddalać.

Zrzuciłam sandały i szłam brzegiem plaży, pozwalając, aby fale obmywały stopy. Wszystko, co obiecywał mi ten dzień o poranku, powoli bladło. Przystanąłam i spojrzałam na morze. To tutaj umarła Rebeka. Jej ciało leżało pod wodą dokładnie naprzeciwko mnie... Kiedyś Tom przejmował się tym tak samo jak ja, ale teraz sytuacja uległa zmianie. Miałam nieodparte wrażenie, że Tom zostawił przeszłość za sobą. Może postąpił słusznie... Niewykluczone, że wszystkie te wydarzenia miały dla mnie tak duże znaczenie tylko dlatego, że moje własne życie było ograniczone i blade...

Czy uwierzyłam w to? Nie. Przeszłość ma znaczenie. Zmarli także.

- Straciłeś zainteresowanie - zauważyłam ze smutkiem, gdy mnie dogonił. - Nie obchodzi cię to już tak bardzo jak kiedyś. Właśnie dlatego przyniosłeś tu dzisiaj pierścionek Rebeki, prawda? Chcesz powierzyć go falom, a potem wrócić do Cambridge i o wszystkim zapomnieć. Och, Tom, wiem, że wkrótce będzie to dla ciebie tylko drobny epizod...

- Nie, Ellie, nie myśl w ten sposób. - Wziął mnie za ramię i przyciągnął do siebie. - Nie mogłem dalej żyć wyłącznie tą obsesją, to nie było zdrowe. Zrozumiałem to, kiedy przyjechałem do Bretanii i porozmawiałem z Nickym. Ta podróż pokazała mi, jak powinna wyglądać lista moich priorytetów. Żadne z nas trojga - ani ja, ani Nicky, ani ty - nie może dzień i noc rozmyślać wyłącznie o zmarłych. Chcę normalnie żyć, robić plany na przyszłość. Czuję, że teraz wreszcie wiem, kim jestem. Poczucie tożsamości zależy od tego, co robisz, nie od tego, kim byli twoi rodzice, naprawdę w to wierzę, przynajmniej na razie. Ellie, spójrz na mnie, proszę... Są pewne rzeczy, o których muszę ci powiedzieć...

Zwróciłam się twarzą do niego. Wpatrywał się we mnie z troską i czułością, jakiej wcześniej nigdy u niego nie dostrzegłam.

- Posłuchaj mnie - ciągnął. - Powinnaś o czymś wiedzieć... Zmieniłem się, podróż do Bretanii bardzo mnie zmieniła. Rebeka wywarła na mnie duży wpływ, ty również, ale nie chodzi tylko o to.

Jeszcze miesiąc temu nie byłbym w stanie ci tego powiedzieć... Dwa tygodnie temu próbowałem, lecz nie zdołałem wykrztusić prawdy... Teraz już mogę. Sądzę zresztą, że i tak wiesz, co czuję, bo to chyba dość oczywiste. Nie umiem tego ukryć...

Przerwał. Daleko za nim Nicholas Osmond schodził ścieżką ze zbocza. Zawołał coś do Toma, on zaś odwrócił się, żeby spojrzeć na przyjaciela. Mój umysł usiłował jeszcze nadażyć za słowami Toma, ale moje serce okazało się szybsze. W ciągu dwóch tygodni najwyraźniej nie zdołałam całkowicie wyleczyć się z nadziei. Poczułam przypływ radości, gwałtowny i nagły, i wtedy zobaczyłam wyraz twarzy Toma.

Patrzył na Nicholasa i wydawał się całkowicie odmieniony. W tamtej chwili chyba wszystko zrozumiałam, a w każdym razie zaczęłam rozumieć. Ujrzałam miłość wypisaną na jego twarzy - na pewno powinnam była dostrzec ją wcześniej, bo tak wielkiego uczucia nie sposób nie zauważyć. Miłość rozświetliła jego oczy, a ja cofnęłam się przed jej blaskiem. Spojrzałam na idącego w naszą stronę Nicholasa i pojęłam, że zmiana, jaką przeszedł Tom, nie ma nic wspólnego ze mną czy z lekturą notatników Rebeki. Tak naprawdę zmienił się pod wpływem anioła, nawet jeśli jeszcze nie miał odwagi przyznać się do tego.

W połowie ścieżki Osmond zaczął biec. Beztrasko i radośnie zeskoczył na żwir i zbliżył się do nas. Wrócił w nie najlepszym momencie, ale w gruncie rzeczy nie miało to znaczenia. Tom Galbraith nie musiał mówić mi, co czuje, ponieważ było to wypisane na jego twarzy i twarzy Nicholasa. Wystarczyło raz na nich spojrzeć, żeby zrozumieć, iż ta miłość jest w pełni odwzajemniona.

Tom wiedział, że wszelkie wyjaśnienia są zbędne - zobaczył to w moich oczach.

- Rozumiesz już, Ellie? - zapytał niepewnie, odwracając się do mnie. - Powinienem być cię uprzedzić, ale nie wiedziałem, jak zareagujesz. Jeżeli zrobiłem lub powiedziałam coś, co mogło cię wprowadzić w błąd...

- Nie, nie - zaprzeczyłam pospiesznie. - Oczywiście że nie. Bardzo się cieszę, że wszystko się ułożyło, ze względu na ciebie, na was obu. Mówiłam ci przecież, że jesteś moim przyjacielem, Tom. I mam nadzieję, że zawsze nim będziesz.

Wypowiedziałam te słowa i nagle poczułam, że stają się prawdą.

Cieszyłam się z jego szczęścia. Nadal trochę cierpiałam, co oznaczało, że nie wyrzekłam się go tak szybko, jak liczyłam, byłam też zażenowana własną głupotą, ale te emocje się nie liczyły. Radość ze szczęścia Toma i jego przyjaciela prawie zupełnie przesłoniła ból, w każdym razie w tamtej chwili. Uściskałam Toma, a kiedy anioł podszedł do nas, jego także mocno objęłam.

- Pierścione, pierścione - ponaglił nas anioł, wyraźnie zadowolony z mojej reakcji. - Pospieszcie się. Fala przyływu się wzmacnia, za jakieś dziesięć minut skały znajdą się pod wodą...

Wszyscy troje przebiegliśmy po płachcie żwiru i zaczęliśmy wspinać się na skały, Tom pierwszy, a Nicholas Osmond i ja za nim.

- Widzę, że Tom o wszystkim ci powiedział - rzekł Osmond, spoglądając na mnie szafirowymi oczami. - Aprobujesz to?

- Tak. Dlaczego miałoby być inaczej?

- Większość ludzi traktuje to jak przestępstwo... - Zatrzymał się i widziałam, że zmaga się z wahaniem. Przeniósł wzrok na idącego przed nami Toma. - Zawsze go kochałem - powiedział. - Prawie od pierwszego dnia naszej znajomości. Jestem pewien, że moja żona wiedziała o tym, chociaż nigdy nie wyznałem jej prawdy. Nigdy nie powiedziałem też nic Tomowi... Nie jestem taki odważny jak on, Ellie. Kiedyś bałem się przyznać, kim naprawdę jestem, nawet przed samym sobą. Tom nigdy nie miał takich zahamowań. Myślałem, że jeżeli się ożenię, może stanę się kimś innym, sprostam oczekiwaniom mojej rodziny i przyjaciół... I starałem się, naprawdę się starałem... - Zmarszczył brwi, potem jego twarz rozjaśnił uśmiech. - Gdy Tom napisał do mnie i poprosił, żebym pojechał do Bretanii i załatwił tam dla niego jakąś drobną sprawę, uświadomiłem sobie, że chodzi mu o coś innego, że daje mi drugą szansę. Dużo wcześniej przyrzekłem sobie, że nigdy więcej nie będę żył w kłamstwie, więc skorzystałem z tego daru niebios...

- Chodźcie! - zawołał Tom.

Osmond położył rękę na moim ramieniu i z bliska zajrzał mi w oczy.

- Nie sprawiłem ci bólu, Ellie? Byłaś w nim zakochana?

- Nie wiem - odparłam i zrozumiałam, że mówię prawdę. - Tak mi się wydawało, ale byłam zakochana tylko raz, więc chyba nie jestem ekspertem w tej dziedzinie. Tak czy inaczej, Tom uprzedził mnie, że nie powinnam go kochać, zrobił to szczerze i otwarcie.

Cóż, kiedy nie tak łatwo jest przestać, prawda? Może teraz okaże się to mniej skomplikowane. Jestem przekonana, że wcześniej czy później odzyskam równowagę. Tak to bywa... Daję ci jednak słowo, że nie zamierzam usychać z nieodwzajemnionej miłości...

- Mało prawdopodobne, żeby ci się to udało - odparł z uśmiechem. - Obserwowałem cię podczas lunchu i zauważyłem, że pocieszenie jest tuż obok. Chodźmy.

Wziął mnie za rękę i poprowadził między skałami. Długą chwilę zastanawiałam się, co miał na myśli, mówiąc o pocieszeniu... Przeskoczyliśmy kilka oczek wodnych i w końcu znaleźliśmy się na najdalej wysuniętej skale. Stanęliśmy obok Toma, który wyjął z kieszeni mały pierścionek Rebeki. Po lewej stronie ciągnęła się rafa, przypominająca kształtem zagiętą szablę, a dalej, biała jak naga kość pod przejrzystą wodą, płycizna, na której zatonął „Je Reviens”. Miejsce, gdzie Rebeka słuchała głosu syren...

Wysoko nad nami z krzykiem krążyły mewy. Za naszymi plecami w cieniu lasu tkwiła przygięta do ziemi ciemna skorupa Manderley. Wiatr był słony, powietrze pachniało świeżością. Spojrzałam na mlecznobiałe, lekko zamglone niebo i przezroczystą wodę. Fale uderzały o brzeg i zaraz się cofały. Odsunęłam się trochę od dwóch mężczyzn i utkwiałam wzrok w ścieżce, z której kiedyś czternastoletnia Rebeka ujrzała to miejsce po raz pierwszy. Zobaczyła je i w jednej chwili pojęła, że mówi jego językiem. Zerknęłam na mały pierścionek, błyszczący w palcach Toma Galbraitha. Pomyślałam o tym, który go jej podarował, i jakie mogło to mieć dla niej znaczenie. Usiłowałam ją przywołać, wraz z całą wibrującą jasnością jej ducha. Fale uderzyły o skały z nową energią i Tom rzucił pierścionek wysoko w powietrze. Mała obrączka zakreśliła łuk w słońcu, zaślniła, znikła, błysnęła po raz ostatni i wpadła w zielononiebieską wodę na granicy płycizny.

Nigdy więcej już tu nie wrócę, pomyślałam. Wszystko skończone. Myliłam się - wróciłam tam jeszcze raz, ale w tamtej chwili nie mogłam przewidzieć nowych okoliczności.

Zawróciliśmy do brzegu. Wspięliśmy się na urwisko i przez błękitne lasy dotarliśmy do bram Manderley w porze, kiedy popołudniowy upał zaczynał już słabnąć. Tom i Nicholas Osmond zawieźli mnie do Kerrith i na moją prośbę wysadzili pod domkiem sióstr Briggs. Poszli do nich, żeby Tom mógł się pożegnać, a ja, zadowo-

lona z samotności, ruszyłam przez miasteczko do Sosen. Nie nękało mnie żadne przeczucie, żadna intuicyjna zapowiedź tego, co miało się wydarzyć, chociaż potem, gdy wielokrotnie wracałam pamięcią do tych chwil, wydawało mi się to wręcz niemożliwe.

Idąc, spoglądałam na kwitnące kapryfolium i krzaki polnych róż. Pozwalałam, aby wydarzenia tego popołudnia ułożyły się w moim umyśle i jakoś nie potrafiłam pozbyć się smutku. Wiedziałam, że z czasem przeboleję stratę Toma, ale jakże miałam przeboleć stratę Rebeki? Pode mną, u wejścia do portu, widziałam ruchliwe małe stateczki i łodzie. Przyszłość, na którą wbrew zdrowemu rozsądkowi jednak liczyłam, rozplynęła się przed moimi oczami. Wiedziałam, że za krawędzią horyzontu czeka na mnie inna, zupełnie odmienna, może nawet lepsza przyszłość, ale na razie czułam przede wszystkim rozczarowanie i ból. Spojrzałam w kierunku migocącego w słońcu oceanu i wtedy wreszcie usłyszałam, że ktoś mnie woła. Podniosłam głowę i ujrzałam stojącą przy furtce do Sosen Rose, której twarz była biała jak płótno i pełna napięcia.

- Ellie! - krzyknęła. - Ellie! Och, Bogu niech będą dzięki... Pospiesz się, proszę...

Zaczęłam biec. Wbiegłam na wzgórze, minęłam Rose, która nie mogła wydobyć z siebie głosu, i popędziłam przez ogród, między różami pań z rodu Grenville, palmą i araukarią, prosto ku spoczywającemu na końcu ogrodu kształtowi, zarysowi leżącej na ziemi postaci. Francis Latimer klęczał przy murze granicznym, trzymając mojego ojca w ramionach. Tata leżał, częściowo oparty o mur, a jego twarz... Och, jego twarz była straszliwie zmieniona.

Nie mogłam się odezwać ani zapłakać, ale nie skamieniałam, mogłam się ruszać. Uklękłam i otoczyłam go ramionami. Oczy miał otwarte i jeszcze oddychał, chociaż bardzo płytko. Chyba wiedział, że jestem przy nim i rozpoznał mój dotyk, ale z jego twarzy wyczytałam, że bardzo szybko zmierza tam, gdzie ja na razie nie mam wstępu. Oczy obserwowały tę odległość i ta niezwykła podróż pochłaniała całą jego energię i uwagę. Nie odwrócił się, żeby na mnie spojrzeć, lecz jestem przekonana, że czuł moją obecność i ta świadomość pozwoliła mu łatwiej pokonać drogę. Jego twarz trochę się odprężyła, dłoń drgnęła, poruszyła się i spoczęła w mojej. Wydaje mi się, że wypowiedział moje imię, choć wydobyć z gardła sylab przyszło mu z ogromnym trudem.

Potem westchnął i jego ciało rozluźniło się w moich ramionach. Myślałam, że się odezwie, bo czułam, że teraz musi się odezwać. Było to dla mnie niesłychanie ważne. Fala miłości w moim sercu była tak wielka... Wiedziałam, że miłość na pewno go ożywi, więc przytuliłam go mocno, z całej siły i starałam się przelać ją w jego serce, wydawało mi się, że zasnął, nie mogłam tylko zrozumieć, dlaczego śpi z otwartymi oczami. Po chwili Francis Latimer łagodnie położył mi rękę na ramieniu.

- Już po wszystkim - powiedział cicho. - On odszedł, Ellie.

- Nie - odparłam gwałtownie. - Nie, mylisz się...

Ale oczywiście Francis miał rację. Stało się to tak niepostrzeżenie, że nawet dziś nie wiem, w którym momencie mój ojciec przekroczył próg i drzwi zamknęły się tuż przede mną. Zostawił mnie w milczeniu, bez słowa, między jednym płytkim oddechem a drugim, spoczywając w moich ramionach. Odszedł na zawsze. Nie rozumiałam, a może raczej nie chciałam tego zrozumieć do chwili, kiedy z domu, w którym Rose zamknęła wiernego towarzysza ojca, rozległo się żalosne psie wycie.

Od tamtego dnia minęły trzy miesiące. Teraz wczesnym rankiem w powietrzu czuje się już jesień. Jest ciepło. Cieszyliśmy się tygodniami długich, balsamicznie łagodnych dni, ale w ogrodzie widuję już nitki babiego lata. Rebeka wierzyła, że właśnie o tej porze roku urodzi swoją dziewczynkę-chłopca...

Uczę się żyć sama, myśleć o ojcu, spędzać dni bez niego. Po jego śmierci nie dokonałam żadnych ważnych odkryć. Nie znalazłam głęboko ukrytej paczki listów ani dokumentu, który by zawierał odpowiedzi na moje pytania i rozwiał wszystkie wątpliwości. Jestem z tego zadowolona - niedawno zrozumiałam, że prawdą i rzeczywistością są niejasności, a niejednoznaczne odpowiedzi. Po stracie ojca historia Rebeki zamknęła się w moim sercu, ale nadal czuję wpływ tej niezwyklej kobiety.

We właściwym czasie przeżyłam pogrzeb ojca i przeczytałam mnóstwo listów od ludzi, którzy go lubili, cenili i szanowali. Czasami rozpoznawałam człowieka, o którym pisali, lecz częściej wydawał mi się kimś zupełnie nieznanym. Na szczęście to dziwne uczucie nie było dla mnie szokiem - miesiące, podczas których sta-

rałam się odzyskać Rebeke, uratować ją z opowieści i wspomnień innych ludzi, przygotowały mnie na tego rodzaju przeżycie. Sosny sprzedałam Francisowi Latimerowi, do którego bardzo się zbliżyłam po śmierci taty. Francis jest człowiekiem, który codziennie styka się ze smutkiem i rozpaczą w szpitalu, i dlatego świetnie rozumie, że proces powrotu do życia jest długi i skomplikowany.

W lecie wiele godzin spędziłam w jego towarzystwie. Opowiedział mi historię swego życia i małżeństwa. Czas, który poświęcili mi Francis i jego dwaj synowie, zabierając mnie na spacer, pikniki i wycieczki po morzu, pozwolił mi w miarę szybko wrócić do równowagi. Francis okazał się też idealnym doradcą, co miało dla mnie ogromne znaczenie, ponieważ oboje rodzice zawsze chronili mnie przed codzienną rzeczywistością. Ojciec po prostu nie chciał rozmawiać ze mną o finansach, twierdząc, że nie są to sprawy dla kobiet. Tak więc byłam w tych kwestiach kompletną ignorantką i nie miałam najmniejszych szans, aby poradzić sobie z inwestycjami, oszczędnościami, płatnościami, podatkiem od spadku i całą tej stronie życia, która zwykle towarzyszy śmierci. Nagle musiałam się uporać z legionem butnych prawników, bankierów i egzekutorów, których zabarwiona zniecierpliwieniem sztuczna uprzejmość nie ukrywała bynajmniej faktu, że oczekiwali, abym postępowała zgodnie z ich poleceniami, składała podpisy w wymaganym miejscu i „nie łamała sobie ślicznej główki” (jak ujął to jeden z nich) nad męskimi tajemnicami.

Francis okazał się nieoceniony. Wyjaśniał mi wszystko bardzo dokładnie i szczegółowo, a kiedy nie rozumiałam, tłumaczył raz jeszcze. Był nieskończenie cierpliwy i nawet jeżeli czasem bym wołała, żeby nie sprawiał wrażenia nieco rozbawionego, to po prostu starałam się o tym nie myśleć, ponieważ nie chciałam być niewdzięczna.

- Nie przytakuj mi we wszystkim, Francis - powiedziałam kiedyś. - To poważne sprawy i muszę je zrozumieć.

- Oczywiście - odparł, obrzucając mnie baczny spojrzeniem. - Ta sytuacja wydaje mi się po prostu dość niezwykła, to wszystko. Większość kobiet z radością zostawia takie sprawy swoim... - Tu przerwał na chwilę. - Swoim ojcom. Albo mężom.

- Może nie jestem podobna do większości kobiet - odparłam, chyba odrobinę za ostro.

- Z tym całkowicie się zgadzam - powiedział cicho i wziął mnie za rękę.

Pocałował ją i wtedy nagle pojęłam, jak trudno jest mi zdecydować, czego naprawdę chcę. Nadal oszołomiona smutkiem i żalem, pragnęłam ochrony, jaką, o czym dobrze wiedziałam, chciał mi zaproponować, ale zarazem obawiałam się jej.

Francis jest inteligentny i subtelny. Doskonale zna zagrożenia, jakie skrywa w sobie otwarta opozycja, wie, że wywołuje ona reakcję obronną; poza tym podejrzewam, że mój ojciec uprzedził go, iż potrafię być bardzo uparta. Kiedy więc przedstawiłam mu swój plan wyjazdu do Cambridge i zamieszkania razem z Rose, która wróciła na uczelnię pod koniec lata, wysłuchał mnie spokojnie i cierpliwie, po czym szybko zmienił temat. Było tak za każdym razem, gdy zaczynaliśmy rozmowę o mojej przyszłości. Ostatni raz podjęłam ten temat, kiedy pakowaliśmy książki w gabinecie ojca.

Kłęczałam na podłodze, układając dzieła starożytnej literatury greckiej w tekturowych pudłach, a biedny, osierocony Baker drzemał przed starannie wymiecionym, pustym kominkiem. Francis miał być za godzinę w szpitalu i starał się zapakować jak najwięcej książek. Słuchał mnie tylko jednym uchem, w każdym razie tak mi się wydawało. Powinnam była zdać sobie sprawę, że coraz szybsze tempo, jakie sobie narzucił, i rzucone przez niego zwięzłe, krótkie uwagi świadczą o czymś więcej niż o zwykłym pośpiechu, ale zadanie, które wykonywałam, było dla mnie bolesne i chyba dlatego nie zrozumiałam, w jakim stanie ducha znajduje się mój towarzysz.

Mozolnie tłumaczyłam, co mam zamiar zrobić: tej jesieni chciałam zdać egzaminy wstępne, a w następnym roku, oczywiście, jeśli dostanę stypendium, na które bardzo liczyłam, rozpocznę studia. Wcześniej kilkakrotnie usiłowałam skłonić Francisa, aby spojrzął na te plany moimi oczami. Opowiadałam mu o wielkiej tęsknocie za odrzuconą szansą, jaka ogarnęła mnie podczas jednej z wizyt u Rose, gdy szłam brzegiem rzeki Cam, wpatrując się w światła college'ów. Wydawało mi się, że w jego odpowiedziach słyszę ton typowo męskiego zniecierpliwienia, więc starałam się mówić krótko i zwięzłe. Będę studiować, wykorzystam swój umysł, zanim przestanie sprawnie działać, niczym zardzewiały, zastały silnik, w ciągu trzech lat zdobędę dyplom i będę mogła...

- Co będziesz mogła, Ellie? - zapytał, nagle nieruchomiejąc.

- Jeszcze nie wiem - odparłam, podnosząc wzrok i napotykając czujne, inteligentne spojrzenie szarych oczu. Nawet wtedy nie przeczuwałam, co za chwilę nastąpi, bo myśl o nieznanej przyszłości napełniła mnie wielkim podnieceniem. - O to właśnie chodzi, Francis, rozumiesz? Wszystko może się zdarzyć. Będę mogła wybierać. Pierwszy raz w życiu będę miała wybór... To dla mnie zupełnie nieznaną luksus. Rozumiesz mnie?

- Teraz też masz wybór - powiedział dziwnie gwałtownym, nieco szorstkim tonem, który bardzo mnie zaskoczył.

Podszedł do mnie szybko, ukląkł obok, przewracając stos powieści, chyba Jane Austen i sióstr Bronte, co naturalnie nie ma żadnego znaczenia. Z moich rąk wypadł opasły, oprawny w skórę tom Szekspira, Barker warknął cicho, a ja dopiero wtedy dostrzegłam wyraz oczu Francisca. Jestem niedoświadczona w miłości, ale wreszcie zrozumiałam, co się z nim dzieje.

Przyciągnął mnie do siebie i pocałował, bez śladu zwykłej łagodności. Nie przywykłam do pożądania i już dawno zapomniałam, jak szybko i nagle wbija ono szpony w umysł. Dziesięć minut później, nadal niesieni jego falą, staliśmy w pustym, zakurzonej pokoju, pośrodku morza książek, słuchając dobiegającego z oddali szumu prawdziwych fal. Francis poprosił mnie o rękę i długą chwilę, pobledli, patrzyliśmy sobie w oczy.

- Wyjdź za mnie, Ellie - powiedział.

Zadrżałam. Francisowi trzęsły się dłonie. Dokładnie za tydzień zamierzałam wyprowadzić się z domu ojca, a Francis miał objąć Sosny w posiadanie.

Będąc w takim stanie, nie można normalnie myśleć, o czym Francis świetnie wiedział. Wykorzystał to z bezwzględnością, o jaką nigdy bym go nie podejrzewała.

- Pocałuję cię za każdym razem, gdy użyjesz słowa myśleć, Ellie - oświadczył. - Nie chcę, żebyś myślała. Nie musisz myśleć. Kocham cię. Może jeszcze nie pojęłaś, że ty również mnie kochasz, ale niedługo to zrozumiesz. Zmuszę cię do tego. Czekałem na ciebie od dawna. Byłem cierpliwy, tolerancyjny i wyrozumiały, i mam tego dosyć. Potrafisz mnie zrozumieć?

- Chyba tak - odpowiedziałam, wywołując spodziewany efekt.

Takie zabawy są niebezpieczne, lecz to było coś więcej niż zabawa, więc nie pozwoliłam mu się spieszyć. Kiedy z nim byłam, chciałam tylko jednego; gdy nie było go w pobliżu, pragnęłam czegoś zupełnie innego, chociaż nigdy mu o tym nie powiedziałam. Wołała mnie przyszłość. Często zadawałam sobie pytanie, jak nazwałaby to Rebeka - może pragnieniem wolności? Z braku lepszego słowa przyjął, że chodzi mi o niezależność. Francis po prostu nie znosił tego określenia! Wystarczyło, że raz go użyłam, a już wpadał w rozdrażnienie. Spychał je na bok, mówił, że chce mnie chronić i opiekować się mną... Wtedy słyszałam głos Rebeki, jej reakcję na te same obietnice, składane przez Maxima.

- Przez całe życie ktoś się mną opiekował, Francis - rzekłam kiedyś. - Sama także potrafię o siebie zadbać.

Spojrzał na mnie i wyciągnął swego asa z rękawa. Naprawdę żałuję, że to zrobił...

- Tego chciałby dla ciebie ojciec - oświadczył. - Wiedział, że potrafię cię uszczęśliwić. Rozmawialiśmy o tym, i to dość często.

Jego słowa poruszyły mnie i przestraszyły. Dzień po dniu, godzina po godzinie starałam się zyskać na czasie. W końcu ustaliliśmy, że dam Francisowi odpowiedź w dniu przekazania Sosen w jego ręce. Kupiłam bilet do Cambridge (w jedną stronę), który mogłabym wykorzystać tego samego ranka lub nie... Przed podjęciem decyzji musiałam zrobić coś jeszcze, coś, czego Francis nigdy by nie zrozumiał. Musiałam po raz ostatni odwiedzić Manderley.

Nastawiłam budzik, ale obudziło mnie moja własna niecierpliwość. Zaczynało dopiero świtać, kiedy szliśmy z Barkerem przez ciche lasy Manderley. Spodnie przemokły mi od rosy, która osiadła na wysokiej trawie. Na krzakach jeżyn, zagrządzających drogę do Manderley, zwisały dojrzałe, czarne owoce. Obserwowaliśmy, jak blade, mlecznobiałe niebo między drzewami powoli różowieje na wschodzie. Słońce wstawało za ciemnym kształtem domu. Wyszliśmy z lasu, kierując się ku pogrążonej jeszcze w mroku plaży. Woda w zatoce pieniała się niespokojnie, raz ciemnozielona, raz szara jak metal.

Wiatr odświeżającym dotykiem muskał mi twarz. Usiadłam pod krzakiem janowca i natychmiast ujrzałam przed sobą zamieszkują-

ce to miejsce duchy - ducha Rebeki, mojego ojca i ducha mnie samej. Dotknęłam niebieskiej broszki w kształcie motyla, którą przypięłam sobie do kołnierzyka, i zamiast patrzeć w przeszłość, co tak często tu robiłam, spojrzałam w przyszłość. Miałam przed sobą dwie możliwości - po lewej stronie miłość, po prawej wolność.

Próbowałam spojrzeć na nie w spokojny, pozbawiony emocji sposób. Mogłam zostać żoną Francisa, ale czy byłam gotowa, aby zostać czyjąś żoną? Ta szansa niosła ze sobą wszystko, czego nauczono mnie oczekiwać od życia, także dzieci. Chciałabym mieć dzieci, pomyślałam. Z drugiej strony widziałam początek innej drogi, tej, którą sama sobie wytyczyłam - prowadziła na uniwersytet. Mogłam także wyjechać do Londynu i poszukać pracy, może wynająć mieszkanie do spółki z Seliną, która po śmierci ojca bardzo mnie na to namawiała. Z pieniędzmi, które otrzymałam za Sosny, mogłam zrobić wszystko, pojechać tam, dokąd miałam ochotę, przejechać je, jeśli właśnie tego bym zapragnęła, mogłam popłynąć do Ameryki lub Afryki i zobaczyć, co się wydarzy... Spojrzałam na morze i objęłam Barkera za szyję. Odkryłam, że dla kogoś nieprzyzwyczajonego do podejmowania decyzji wolność wyboru może okazać się przerażająca.

Wiedziałam, którą drogę wskazałby mi ojciec, i czułam mocną pokusę, by ją wybrać, właśnie dlatego, że on by ją zaakceptował. Nie było go już przy mnie, lecz nadal zależało mi na jego aprobacie. W dole widać było rafę i mieliznę, gdzie Tom rzucił w morze pierścionek Rebeki. Miotana niezdecydowaniem ciągle nie miałam pojęcia, co robić.

Wreszcie wstałam i ruszyłam w stronę zrujnowanego domu. Podeszłam bardzo blisko i długo patrzyłam na popękane, osypujące się tynki i ciemne, puste okna, prawie niewidoczne za zasłoną z powoju i winorośli. Zerwałam garść jeżyn. Czarne owoce były zimne od rosy i miały ostry, słodko-kwaśny smak. Ich sok poplamił mi ręce. Nagle przypomniałam sobie obietnicę, jaką Rebeka złożyła swojemu dziecku. Stałam nieruchomo, jak najbliżej murów Manderley, i słuchałam, słuchałam, słuchałam, starając się uchwycić w ciszy ten głos, to bicie serca...

Kiedy je usłyszałam, a byłam pewna, że się nie mylę, wróciłam do domu. Metodycznie spakowałam resztę rzeczy, między innymi zblakłe zdjęcie Rebeki i pociętą fotografię mojej matki, które znała-

złam złożone razem w portfelu ojca. Włożyłam też do walizki pierwszy notatnik Rebeki, ten z okresu dzieciństwa, lecz zanim to zrobiłam, spojrzałam na jego puste strony, opowiadające historię, którą tylko ona mogła odczytać. Miałam wrażenie, że zawierają także moją historię. Dotknęłam palcem skrzydełek dziewczynki-elfa, wsunęłam notatnik do walizki i zamknęłam ją.

Potem zeszłam na dół. Zostawiłam walizkę w holu i otworzyłam drzwi gabinetu ojca, gdzie na półkach nie było już książek. Tam zaczekałam na Francisca Latimera, a kiedy przyjechał, odrzuciłam jego oświadczenia.

Przyszło mi to z ogromnym trudem. Francis jest dobrym, atrakcyjnym i prawym człowiekiem, nie mogę też powiedzieć, że nic do niego nie czuję. Gdyby tak było, wybór byłby bardzo prosty. Przyjął to gorzej, niż się spodziewałam. Po raz pierwszy widziałam go wstrząśniętego i zagubionego, i zabołało mnie to.

- Zrobiłem to za wcześnie, czy tak? - zapytał. - Ellie, proszę cię, powiedz mi, że o to właśnie chodzi. Powinienem być jeszcze poczekać, prawda? Dobry Boże, żałuję, że w ogóle czekałem, należało poprosić cię o rękę tego samego dnia, kiedy się poznaliśmy, w szpitalu... Już wtedy chciałem to zrobić, naprawdę. Nie wiedziałaś o tym?

Spojrzałam na niego ze zdumieniem. Nie wiedziałam, nawet nie przyszło mi to do głowy.

- Postaraj się mnie zrozumieć, Francis - odezwałam się. - To takie trudne... Nie jestem jeszcze gotowa, żeby zostać czyjąś żoną. Mam trzydzieści jeden lat i dopiero przestałam być córką...

- Nie proszę cię, żebyś została czyjąś żoną, lecz moją żoną - powiedział ostro, nie potrafiąc ukryć, że go zraniłam. - Podejź do mnie, kochanie. Spójrz na mnie. Nie rób tego. Kocham cię, Ellie. Proszę, posłuchaj mnie...

Słuchałam. Słuchałam słów Francisca, mężczyzny, którego wybrał dla mnie ojciec, i słuchałam innych głosów, które przemawiały do mnie w czasie minionych miesięcy. Głosu drugiej żony Maxima, której jedynym życiowym celem było uszczęśliwienie męża, głosu Rebeki, która ostrzegała mnie przed przynoszącymi podarunki mężczyznami... Za podarunki trzeba później zapłacić, przypominałam sobie. Im uważniej słuchałam tych spierających się głosów, tym bardziej czułam się zagubiona i zdenerwowana. Ta gwałtowna sprzeczka w mojej głowie trwała bardzo długo i właściwie nic z niej

nie wynikło. Podjęłam jednak decyzję i wiedziałam, że wycofanie się z niej byłoby słabością, więc kiedy Francis trochę się uspokoił (w przeciwieństwie do mnie), odmówiłam mu po raz drugi.

Zapadło długie milczenie. Francis odsunął się ode mnie. W oczach miałam łzy, a w głowie zupełny chaos. Jest rok 1951, pomyślałam. Co się ze mną stanie, dokąd pojedę, kim będę w drugiej połowie tego wieku? Czas mijał powoli. Francis obrzucił mnie długim, badawczym spojrzeniem.

- Dobrze - powiedział w końcu, chyba trochę jeszcze zły, a trochę rozbawiony. - W takim razie zaczekam... A potem jeszcze raz poproszę cię o rękę, Ellie.

- Nie, nie, nie - zaprotestowałam gwałtownie. - Nie rób tego, proszę. Mogłabym zachwiać się w postanowieniu i...

- Właśnie o to mi chodzi - odparł sucho i zaprowadził mnie do swoich synów, którzy czekali w samochodzie.

Francis wie, jak bardzo ich lubię, więc było to odrobinę podstępne. Chłopcy przywitali się ze mną i pobiegli do domu. Usłyszałam odgłosy, których ściany Sosen nie słyszały od dwudziestu lat - śmiech dzieci, tupot stóp na schodach, głośne okrzyki z sypialni na górze. Chłopcy otworzyli jedno okno i wychylili się, aby popatrzeć na morze. Ja również odwróciłam się w tamtą stronę i przez parę sekund z bólem wpatrywałam się w niebieskozielone fale, jeszcze raz podejmując decyzję. Potem przypięłam smycz do obroży Barkera, pocałowałam Francisa i opuściłam swój dom i dzieciństwo.

Wyruszyłam w kierunku stacji i nowego życia, pracy i własnego pokoju w Cambridge. Barker siedział u moich stóp, kiedy taksówką zjeżdżaliśmy ze wzgórza do Kerrith i mijaliśmy znajome uliczki. Widziałam je zamglone, przez Izy. Małe domki, port, wszystkie miejsca, które znałam od dziecka. Mogłabym bezpiecznie chodzić po Kerrith z zawiązanymi oczami. Otworzyłam okno i wewnątrz samochodu wypełniła fala świeżego, słonego powietrza. Od razu poczułam się silniejsza. Gdy pięliśmy się pod górę, na wzgórzu przy cyplu Manderley moje łzy wyschły, a w żyłach obudziło się coś nowego, żywego, zbliżonego do podniecenia. Ta energia dawała życie, uderzała do głowy jak wino, była potężna jak wolność...

Byliśmy tuż obok bramy do Manderley na rozdrożu. Nachyliłam się w stronę kierowcy.

- Proszę się tutaj zatrzymać - powiedziałam. - Tylko na chwilę...

Wysiadłam i podbiegłam do bramy. Światło było przejrzyste, w powietrzu unosił się zapach przyszłości. Serce biło mi szybko, ręce drżały. Z tego miejsca nigdy nie słyhać morza, lecz tego ranka bardzo wyraźnie słyszałam jego szum. Podjęłam właściwą decyzję czy złą? Zrozumiałam, że otworzyłam jakieś drzwi i ogarnęła mnie radość i przerażenie. Pierwszy raz w życiu nie byłam od nikogo uzależniona. Nie byłam ani córką, ani żoną. Wiedziałam, że od tej chwili, na dobre i na złe, sama będę decydować o swojej przyszłości.

Stojący obok mnie Barker zaskowyczał cicho i zobaczyłam, że sierść zjeżyła mu się na karku. Pochyliłam się, żeby go pogłaskać, i wtedy, gdy podnosiłam głowę, ujrzałam (jestem prawie pewna, że tak było) postać, wychodzącą ku mnie pomiędzy drzew. Poruszała się bardzo szybko. Dostrzegłam tylko błysk, nagłe drżenie powietrza, ale poczułam na sobie jej uważne, skupione spojrzenie i ono dodało mi odwagi.

Wydaje mi się, że wymieniliśmy ostatnie pozdrowienie, chociaż może tylko to sobie wyobraziłam. Stałam bez ruchu, czekając, co się dalej zdarzy. Gdy powietrze uspokoiło się i znowu zapachniało solą, wróciłam do samochodu i poprosiłam kierowcę, żeby zawiózł mnie na stację.